

FRANCISCO GOLDMAN
MÓW DO NIEJ



FRANCISCO GOLDMAN
MÓW DO NIEJ

TŁUMACZENIE
DOROTA KOZIŃSKA

prawdziwe • *miłości*

Tytuł oryginału: SAY HER NAME

Redakcja: Maria Konopka-Wichrowska

Korekta: Marta Śliwińska

Projekt okładki: Katarzyna Borkowska

Opracowanie graficzne: Elżbieta Wastkowska

Zdjęcie na okładce: © Rebecca Parker/Trevillion Images

AGORA_{SA}

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE:

Dyrektor wydawniczy: Małgorzata Skowrońska

Redaktor naczelny: Paweł Goźliński

Koordinacja projektu: Katarzyna Kubicka

Koordinacja zakupu praw: Bożena Dudko

First published in United States of America in 2011 by GROVE/ATLANTIC, INC.

Copyright © 2011 by Francisco Goldman

Copyright © 2015 by Agora SA

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2015

ISBN: 978-83-268-2259-9

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

Przypisy

Vladimir: Może by zacząć żałować? (...)

Estragon: Żeśmy się urodzili?

Samuel Beckett, *Czekając na Godota* (tłum. Antoni Libera)

Nie chodzi po prostu o śmierć – to jest zawsze czyjaś śmierć.

Serge Leclaire

O, utracona! Od kiedy w żałobie

Trwam pogrążony, myślę wciąż o tobie.

To cała moja praca; tyś jest księga,

Tyś biblioteka, gdzie po rozum sięga

Wzrok, choć oślepty prawie.

Henry King, biskup Chichester, *Egzekwie* (tłum. Stanisław Barańczak)

Nie chciałbym być teraz szybszy

Ani młodszy, gdybyś ze mną była. Ach byłaś

Najlepszym, co mi się w życiu przytrafiło.

Frank O'Hara, *Zwierzęta*

...pewnie odkryjesz prawdę, kiedy trafisz

do nieba po występie z Biurem Szanghajskim.

Pewnie otworzysz szafkę w niebie i znajdziesz

swój kostium niedźwiedzia.

Aura Estrada, *Moje dni w Szanghaju*

1.

Aura zmarła 25 lipca 2007 roku. W pierwszą rocznicę jej śmierci pojechałem do Meksyku, bo chciałem być tam, gdzie to się zdarzyło, na plaży nad Pacyfikiem. Po raz drugi w ciągu roku wróce na Brooklyn bez niej.

Trzy miesiące przed śmiercią, 24 kwietnia, Aura skończyła trzydzieści lat. Do drugiej rocznicy ślubu zabrakło nam dwudziestu sześciu dni.

Matka i wuj Aury obciążyli mnie odpowiedzialnością za tę tragedię. Nie żebym czuł się niewinny. Na miejscu Juanity też dołożyłbym wszelkich starań, by wpakować mnie do więzienia. Tyle że z innych powodów niż podawane przez Juanitę i jej brata.

Jeśli będziesz miał cokolwiek do powiedzenia, od tej pory przekazuj mi to na piśmie – oto, co usłyszałem od Leopolda, wuja Aury, kiedy zadzwonił do mnie z informacją, że wystąpi jako adwokat swojej siostry w sprawie przeciwko mnie. Potem już nie rozmawialiśmy.

Aura.

Aura i ja

Aura i jej matka

Jej matka i ja

Trójkąt miłosno-nienawistny albo, sam już nie wiem,

Mi amor, czy to się dzieje naprawdę?

Où sont les aksolotls?

Ilekcroć Aura rozstawała się z matką, czy to na lotnisku w Meksyku, czy wychodząc wieczorem z jej mieszkania, nawet kiedy się żegnały po wspólnym posiłku w restauracji, Juanita unosiła rękę, żeby uczynić nad córką znak krzyża, i szeptała modlitwę w jej intencji do Matki Bożej z Guadalupe.

Aksolotl to nazwa pewnego gatunku salamandry, którego larwa nie przeobraża się w postać lądową – coś jakby kijanka, która nigdy nie przeistoczy się w żabę. Aksolotle występowały kiedyś gromadnie w jeziorach wokół starożytnego miasta Meksyku i były przysmakiem Azteków. Do niedawna utrzymywano, że można je spotkać w pólśłonej wodzie kanałów jeziora Xochimilco; w rzeczywistości i tam są na krawędzi wymarcia. Żyją teraz w akwariach, laboratoriach i ogrodach zoologicznych.

Aura uwielbiała opowiadanie Julia Cortázara o mężczyźnie tak zafascynowanym widokiem aksolotli z paryskiego Jardin des Plantes, że w końcu sam staje się aksolotlem. Bezimienny bohater odwiedza ogród dzień w dzień, czasem nawet trzy razy dziennie, gapiąc się na te przedziwne, stłoczone w akwarium stworzenia, obserwując ich białawe półprzezroczyste korpusy, delikatne jaszczurcze ogony, trójkątne i płaskie, różowe azteckie twarze, kruche kończyny o niemalże ludzkich palcach, czerwone wyrostki skrzelowe, oczy o złotym połysku, ospały tryb życia, przerywany

tylko wachlowaniem się skrzelami i nagłymi podpłynięciami w rytm falujących ruchów ciała. Aksolotle wyglądają tak obco, że mężczyzna nabiera przekonania, iż nie są po prostu zwierzętami: próbują z nim wejść w jakąś tajemną komitywę, cierpią w milczeniu, uwięzione we własnych ciałach, i tylko z ich złotych, pulsujących oczu wyziera błaganie o pomoc. Pewnego dnia bohater jak zwykle przykleja twarz do szyby i wpatruje się w aksolotle, aż tu nagle, w środku zdania, jego „ja” ląduje wewnątrz zbiornika, gapiąc się przez szybę na twarz mężczyzny; przemiana zachodzi ot tak, po prostu. Pod koniec opowiadania aksolotl wyraża nadzieję, że udało mu się coś przekazać mężczyźnie, przełamać milczącą samotność obu stron. Bohater przestaje odwiedzać akwarium, bo jest już gdzie indziej i pisze opowiadanie o tym, jak to jest być aksolotlem.

Kiedy po raz pierwszy wybraliśmy się razem do Paryża, mniej więcej pięć miesięcy po decyzji o wspólnym zamieszkaniu, Aura uparła się, żeby najpierw pójść do Jardin des Plantes i zobaczyć aksolotle Cortázara. Była już wcześniej w Paryżu, ale dopiero niedawno przeczytała opowiadanie. Można by pomyśleć, że poleciliśmy tam wyłącznie po to, by obejrzeć aksolotle: tak naprawdę Aura miała umówioną rozmowę na Sorbonie, dokąd zamierzała się przenieść z Uniwersytetu Columbia. Jeszcze tego samego dnia pomaszerowaliśmy do ogrodu i zapłaciliśmy za wstęp do dziewiętnastowiecznego zwierzyńca. Przed wejściem do wiarium, czyli pawilonu drobnych zwierząt, wisiała tablica z francuskim tekstem o zagrożonych gatunkach płazów, zilustrowanym wizerunkiem aksolotla z profilu – o czerwonych skrzelach, wesołej twarzy kosmity i kończynach albinotycznej małpy. Zbiorniki biegły rzędem wewnątrz pawilonu. Podświetlone, wbudowane w ścianę prostokąty, obramowujące wycinki różnych

wilgotnych siedlisk: mchy, paprocie, skały, gałęzie, sadzawki z wodą. Chodziliśmy od jednej do drugiej tabliczki, czytając nazwy najrozmaitszych gatunków salamander, traszek i żab, aksolotli jednak nie było. Okrążyliśmy pawilon raz jeszcze, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyliśmy. Wreszcie Aura podeszła do strażnika, umundurowanego mężczyzny w sile wieku, i spytała, gdzie są aksolotle. Nie miał pojęcia, ale uderzyło go coś w jej wyrazie twarzy. Kazał Aurze poczekać, wyszedł z pawilonu i wrócił w towarzystwie nieco młodszej kobiety, ubranej w niebieski fartuch laboratoryjny. Obydwie wdały się w cichą rozmowę po francusku, więc nie rozumiałem, co mówią, kobieta sprawiała jednak wrażenie miłej i pełnej energii. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, Aura stała przez chwilę w milczeniu, odrobinę zbita z tropu. Potem powiedziała, że kobieta pamięta aksolotle. Ba, nawet za nimi tęskni. Kilka lat temu zabrano je z pawilonu i przeniesiono do któregoś z laboratoriów uniwersyteckich. Aura miała na sobie ciemnoszary wełniany płaszcz i owinięty wokół szyi szal w odcieniu złamanej bieli. Kosmyki prostych, czarnych włosów opadały w nieładzie na jej miękkie, krągłe policzki, zaczerwienione jak z zimna, choć nie było szczególnie chłodno. Łzy – pojedyncze, niezbyt obfite – ciepłe i słone łzy wezbrały w oczach Aury i spłynęły w dół twarzy.

Kto płacze z takiego powodu? Pamiętam, że się nad tym zastanawiałem. Całowałem jej łzy, chłonąc słone ciepło bijące od skóry. Rozczarowanie Aury wydało mi się częścią tej samej tajemnicy, którą roztrząsa aksolotl pod koniec opowiadania Cortázara, mając nadzieję, że mężczyzna odsłoni ją, pisząc własną historię. Zawsze chciałem wiedzieć, jak to jest być Aurą.

Où sont les axolotls? – zapisała w swoim notesie. Gdzie one są?

Aura wprowadziła się do mnie na Brooklyn mniej więcej sześć

tygodni po przyjeździe z Meksyku do Nowego Jorku, wyposażona w kilka stypendiów, między innymi od Fundacji Fulbrighta i rządu meksykańskiego, na przygotowanie doktoratu z literatury iberoamerykańskiej na Uniwersytecie Columbia. Mieszkaliśmy razem prawie cztery lata. Kwaterę w bursie dzieliła z inną zagraniczną doktorantką, dziewczyną z Korei, która zajmowała się jakimś bardzo specjalistycznym zagadnieniem z dziedziny botaniki. Nim zaprosiłem Aurę do siebie, wpadłem tam ze dwa, może trzy razy. Mieszkanie z długim, wąskim korytarzem, dwiema sypialniami i salonem od frontu. Typowe studenckie lokum, pełne studenckich gratów: regał z Ikei, komplet ciemnoszarych naczyń kuchennych z teflonową powłoką, puf do siedzenia, wieża stereo, mały przybornik – także z Ikei – zabezpieczony jeszcze przezroczystą folią ochronną. Materac leżał wprost na podłodze, przywalony stertą ciuchów. Ten pokój wzbudzał we mnie dziką tęsknotę – za młodością, za czasem studiów. Aż mnie korciło, żeby kochać się teraz, zaraz, natychmiast, w tym pysznym nieładzie, Aura jednak się bała, że współlokatorka nakryje nas w łóżku, więc nic z tego nie wyszło.

Zabrałem ją z tego mieszkania, zostawiając w nim Koreankę, z którą dogadywały się całkiem nieźle. Jakiś miesiąc później, kiedy Aura była już pewna, że chce ze mną zostać, znalazła inną dziewczynę na swoje miejsce – Rosjankę, która najwyraźniej przypadła do gustu jej dawnej współlokatorce.

Aura mieszkała na skraju kampusu, na rogu Sto Dziewiętnastej Ulicy i Amsterdam Avenue. Z Brooklynu musiała dojeżdżać na uniwersytet metrem, praktycznie codziennie, w godzinach szczytu, co najmniej sześćdziesiąt minut w jedną stronę. Mogła wsiąść do pociągu linii F, wysiąść przy Czternastej, zanurzyć się w labirynt schodów i długich tuneli, ponurych w lecie i lodowatych

w zimie, podjechać linią ekspresową dwójką albo trójką, po czym przesiąść się do zwykłego metra przy Dziewięćdziesiątej Szóstej. Albo przejść prawie pół godziny na piechotę do stacji Borough Hall i tam złapać dwójkę lub trójkę. W końcu zdecydowała się na drugie rozwiązanie i krążyła na tej trasie niemal dzień w dzień. Zimą zdarzało jej się zmarznąć do szpiku kości, zwłaszcza w cieniutkim wełnianym płaszczu, dopóki nie namówiłem jej na kupno niebieskiej puchowej kurtki North Face z kapturem, którą mogła się otulić od czubka głowy aż do pół łydki. Nie, *mi amor*, nie wyglądasz w niej g r u b o, zwłaszcza ty, każdy w tym wygląda jak chodzący śpiwór, zresztą kogo to obchodzi? Lepiej, żebyś miała przytulnie i ciepło. W kurtce z kołnierzem zapiętym pod szyją, z dwojgiem lśniących czarnych oczu wyzierających z kaptura wyglądała jak irokeskie dziecko w powijakach. Kiedy robiło się chłodno, nie ruszała się bez niej z domu.

Miała tym większe kłopoty z dojazdem, że nieustannie się gubiła. Zdarzało jej się w roztargnieniu przegapić przystanek albo wsiąść do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. Zaczytana, pogrążona w myślach, zasłuchana w muzykę z iPoda, przekonywała się o pomyłce dopiero gdzieś hen na Brooklynie. Dzwoniła wtedy z automatu na jakiejś stacji, o której istnieniu nie miałem pojęcia, *hola, mi amor*, no, wiesz, jestem na Beverly Road, znów pojechałam w złą stronę – stanowczym, rzeczowym tonem, nic wielkiego, kolejna zabiegana mieszkanka Nowego Jorku walcząca z rutyną dnia codziennego, w jej głosie dało się jednak wyczuć porażkę. Nie znosiła, kiedy jej dokuczałem, że wsiadła nie do tego pociągu albo zgubiła się tuż koło domu, ale czasem nie mogłem się powstrzymać.

Odprowadzałem Aurę na przystanek metra od pierwszych do ostatnich dni naszego wspólnego mieszkania na Brooklynie codziennie rano – z wyjątkiem poranków, kiedy jechała do Borough

Hall rowerem i przyczepiała go tam do stojaka, co długo nie potrało, bo bezdomni pijacy i ćpuny z Downtown Brooklyn wciąż jej kradli siodełka; kiedy padało albo kiedy była tak spóźniona, że musiała brać taksówkę do Borough Hall; przy nielicznych okazjach, kiedy próbując zdążyć na czas, wypadała z domu jak małe wściekłe tornado, a ja siedziałem na kiblu i wrzeszczałem, żeby na mnie zaczekała; oraz ze dwa lub trzy razy, kiedy się na mnie o coś wściekła i absolutnie nie miała ochoty, żebym ją odprowadzał.

Przeważnie jednak odprowadzałem ją do linii F na stację Bergen Street albo od razu do Borough Hall, choć w końcu doszliśmy do porozumienia, że jeśli Aura zamierza iść aż do ratusza, będę jej towarzyszył tylko do francuskich delikatesów przy Verandah Place – miałem swoją robotę i nie mogłem trwonić prawie godziny na codzienne wyprawy do stacji i z powrotem – choć i tak próbowała zaciągnąć mnie dalej, do Atlantic Avenue, a może jednak do Borough Hall albo i na sam Uniwersytet Columbia. Wtedy spędzałem dzień w Butler Library – kilka semestrów wcześniej prowadziłem warsztaty pisarskie na Columbi i wciąż miałem kartę biblioteczną – czytając, pisząc albo próbując coś notować, siedząc przy jednym z komputerów i sprawdzając pocztę bądź zabijając czas nad elektronicznymi wydaniem gazet, poczynawszy od rubryki sportowej „Boston Globe” (wychowałem się w Bostonie). Lunch jedliśmy zwykle w chińskiej restauracji Ollie’s, potem przepuszczaliśmy pieniądze na płyty CD i DVD w sklepie Kim’s albo buszowaliśmy w Labirynth Books, skąd wychodziliśmy z ciężkimi pakami książek, których żadne z nas nie miało czasu później przeczytać. W te dni, kiedy nie dawałem się rano przekonać do wyprawy na uniwersytet, Aura potrafiła zadzwonić do mnie z prośbą, żebym i tak po nią przyszedł i wybrał się z nią lunch. Z reguły ustępowałem. Aura zwykła mawiać, Francisco, nie po to

wyszłam za mąż, żeby jeść lunch w pojedynkę. Nie po to wyszłam za mąż, żeby spędzać czas samotnie.

Aura gadała niemal przez całą poranną drogę do metra: o zajęciach na uniwersytecie, o wykładowcach, o innych studentach, o pomysłach na nową powieść bądź opowiadanie albo o swojej matce. Nawet kiedy była wyjątkowo *neuras* i dawała się ponieść nawracającym lękom, wynajdywałem jej nowe słowa otuchy, próbowałem przeformułować stare lub chociaż je powtórzyć. Uwielbiałem, gdy była w nastroju, żeby przystawać co kilka kroków, całować mnie i kąsać po wargach jak tygrysiątko, na każde moje „auć”, reagując bezgłośnym śmiechem mima; uwielbiałem, kiedy się skarżyła *¿Ya no me quieres, verdad?*, ilekroć nie wziąłem jej za rękę lub nie objąłem ramieniem, kiedy miała na to ochotę. Kochałem ten nasz rytuał, chyba że akurat miałem go dość, kiedy się martwiłem, jak mam, do jasnej cholery, napisać kolejną książkę, skoro jestem z kobietą, która co rano każe się odprowadzać do metra i kusi, żebym wpadł do niej na uniwersytet i zjadł z nią lunch?

Wciąż sobie wyobrażam, że Aura idzie chodnikiem koło mnie. Czasem sobie roję, że trzymam ją za rękę, i wtedy odrobinę odsuwam ramię od tułowia. Nikt się już nie dziwi, że ludzie gadają do siebie na ulicy: pewnie rozmawiają z kimś przez Bluetooth. A jednak przechodnie się gapią, kiedy masz wilgotne zaczerwienione oczy i usta skrzywione przez dławiony szloch. Zastanawiam się, co sobie myślą i czy próbują dociec, dlaczego płaczesz. Wzbudza to ich niepokój, jakby na chwilę coś się w tobie otworzyło.

Pewnego dnia, pierwszej jesieni po śmierci Aury, na skrzyżowaniu brooklyńskich ulic Smith i Union ujrzałem starszą panią stojącą na przejściu po drugiej stronie, zwykłą starszą panią z sąsiedztwa, siwowłosą, schludnie uczesaną, odrobinę zgarbioną,

o bladej, cudnie pomarszczonej twarzy. Sprawiała wrażenie, jakby cieszyła się słoneczną październikową pogodą, czekając cierpliwie na zmianę świateł. Nagła myśl uderzyła mnie jak pocisk: Aura nigdy się nie dowie, jak to jest się zestarzeć, nigdy nie spojrzy wstecz na swoje długie życie. Wystarczyło pomyśleć, jakie to niesprawiedliwe, i wyobrazić sobie, jak piękną, spełnioną starszą panią byłaby kiedyś Aura.

Przeznaczenie. Czy było mi przeznaczone pojawić się w życiu Aury, czy też w nie wtargnąłem i zniszczyłem drogę jej przeznaczenia? Czy Aura miała poślubić kogoś innego, jakiegoś studenta z Columbii, tego faceta, który uczył się kilka miejsc dalej w Butler Library, albo tego z Hungarian Pastry Shop, który wciąż nieśmiało na nią popatrywał? Czy cokolwiek poza tym, co się wydarzyło, można określić jako przeznaczenie? Co w takim razie z wolną wolą Aury, z jej odpowiedzialnością za własne decyzje? Czy starsza pani przyjrzała się mojej twarzy, kiedy zmieniły się światła i przeszedłem na drugą stronę Smith Street? Nie wiem. Utkwiłem zamglony wzrok w asfalcie i zapragnąłem jak najszybciej znaleźć się z powrotem w domu. Aura była tam bardziej obecna niż gdziekolwiek indziej.

Mieszkanie, które wynajmowałem od ośmiu lat, mieściło się na pierwszym piętrze czterokondygnacyjnej kamienicy z brązowego piaskowca. Kiedy jej obecni właściciele, włoska rodzina Rizzitano, korzystali jeszcze z całego budynku, urządzili sobie tutaj salon, który później służył nam za sypialnię. Sufit był tak wysoko, że przed wymianą żarówki w lampie musiałem się wspiąć na sam szczyt półtorametrowej drabiny, stanąć niepewnie na palcach i sięgnąć najwyżej, jak się dało: przerażony, rozpaczliwie machając rękami, żeby utrzymać równowagę – Aura przypatrywała mi się znad biurka

w rogu i mówiła, że wyglądam jak ptak amator. Pod sufitem ciągnął się gipsowy gzyms pomalowany na biało, podobnie jak ściany – na górze rząd neoklasycznych rozet, pod spodem szerszy pas zdobiony motywem stylizowanych liści paproci. Dwa duże okna z zasłonami i szerokimi parapetami wychodziły na ulicę. Między oknami, niczym komin wznoszący się od podłogi aż do sufitu, pysznił się najjaskrawszy element wystroju: olbrzymie barokowe lustro w drewnianej złoconej ramie. Teraz było częściowo zasłonięte suknią ślubną Aury, rozpostartą na wieszaku, który umocowałem sznurkiem kuchennym do dwóch lśniących zawijasów w przeciwległych narożnikach ramy. Na marmurowej półce pod lustrem – ołtarzyk z przedmiotów należących kiedyś do zmarłej.

Kiedy wróciłem z Meksyku sześć tygodni po śmierci Aury, jej koleżanka ze studiów Valentina oraz ich wspólna przyjaciółka Adele Ramírez, która przyjechała z wizytą do Stanów i zatrzymała się u Valentyny, odebrały mnie z lotniska Newark eleganckim BMW kombi należącym do męża gospodyni, pracownika jednego z banków inwestycyjnych. Miałem ze sobą pięć walizek: dwie własne i trzy z rzeczami Aury, nie tylko z jej ubraniami – nie chciałem niczego wyrzucać ani oddawać – ale też z książkami, zdjęciami, nagromadzonymi w ciągu jej krótkiego życia dziennikami, notatnikami i stosem luźnych papierów. Jestem pewny, że gdyby tego dnia przyjechał po mnie któryś z moich przyjaciół i wszedł potem ze mną do naszego mieszkania, byłoby zupełnie inaczej. Prawdopodobnie rozejrzelibyśmy się wokół z niedowierzaniem i postanowili pójść na wódkę. Tymczasem ledwie zdążyłem wnieść na górę walizki, Valentina i Adele zabrały się do urządzania ołtarzyka. Biegały po pokoju, jakby wiedziały lepiej ode mnie, gdzie czego szukać, znosząc wszystkie skarby i tylko od czasu do czasu prosząc mnie o radę albo opinię. Adele, artystka

plastyk, przycupnęła nad marmurową półką pod lustrem, aranżując ołtarzyk z dżinsowego kapelusza z tekstylnym kwiatkiem, kupionego przez Aurę podczas naszej wyprawy do Hongkongu; zielonej płóciennej torby, którą Aura wzięła ze sobą na plażę w dniu swojej śmierci, z całą zawartością, portfelem, okularami przeciwsłonecznymi i dwiema napoczętymi książkami (Bruno Schulz i Silvina Ocampo); ze szczotki z zaplątanymi między zębki długimi pasmami czarnych włosów; kartonowego pudełka chińskich patyczków, które kupiła w domu handlowym obok naszego mieszkania w Meksyku i zabrała do restauracji T.G.I. Friday's, gdzie piliśmy tequilę i graliśmy w bierki dwa tygodnie przed wypadkiem; egzemplarza „Boston Review”, w którym na początku lata ukazał się jej ostatni esej po angielsku; jej ulubionej (a zarazem jedynej) pary butów od Marca Jacobsa; turkusowej piersiówki; kilku innych bibelotów, pamiątek i ozdób; zdjęć; świeczek; pod ołtarzykiem stała para supermodnych, teraz już niepotrzebnych kaloszy w czarno-białe prążki z jaskraworóżową podeszwą. Valentina wyprostowała się przed strzelistym lustrem i oznajmiła: Już wiem! Gdzie jest suknia ślubna Aury? Wyjąłem suknię z szafy i przyniosłem drabinę.

Powstało coś, z czego zawsze stroiliśmy sobie żarty z Aurą: ludowy ołtarzyk meksykański, urządzony w mieszkaniu, jako ckliwa manifestacja polityki tożsamościowej. Miałem jednak poczucie, że robię, co należy – suknia ślubna wisiała na lustrze ponad rok po śmierci Aury. Regularnie kupowałem świeże kwiaty do wazonu, zapalałem świeczki i wymieniałem zużyte na nowe.

Suknia ślubna dla Aury była dziełem zaprzyjaźnionej meksykańskiej projektantki mody, właścicielki butiku przy Smith Street. Zoila pochodziła z Mexicali. Podczas wizyt w jej sklepie rozmawialiśmy o budce z prawdziwymi tacos, którą zamierzaliśmy

kiedyś otworzyć, by zbijać pieniądze na podpitych, głodnych młodych ludziach wylewających się w środku nocy z okolicznych barów. Wszyscy troje udawaliśmy, że myślimy całkiem poważnie o tym obiecującym przedsięwzięciu. Później Aura odkryła, że suknie ślubne szyte na miarę przez Zoilę są polecane na stronie internetowej Daily Candy jako oszczędna wersja kreacji Very Wang. Aura umówiła się na trzy albo cztery przymiarki w pracowni Zoili na Downtown Brooklyn – z każdej kolejnej wracała coraz bardziej zmartwiona. Kiedy poszła odebrać gotową już suknię, z początku była nią rozczarowana. Uznała, że jest prostsza w kroju, niż sobie wyobrażała, i nie różni się zbyt wiele od zwykłych kiecerek, które w sklepie u Zoili kosztowały cztery razy mniej. Coś jakby minimalistyczna wersja stroju meksykańskiej wieśniaczki, uszyta z białej delikatnej bawełny, zdobiona dyskretnym jedwabnym haftem i koronką, dołem rozszerzana i marszczona.

W końcu jednak Aura uznała, że suknia jej się podoba. Może zyskała w odpowiednim otoczeniu, w niemal pustynnej scenerii sanktuarium Atotonilco, wśród zabudowań dawnego kościoła misyjnego, pośród kaktusów i krzewiastych zarośli, w oazie zieleni wokół odrestaurowanej hacjendy, którą wynajęliśmy na wesele, pod bezmiarem intensywnie błękitnego, a później żółtosiwego meksykańskiego nieba, po którym przewalały się stada skłębionych chmur. Może na tym polegała kunsztowność projektu Zoili. Suknia z pozoru bezbarwna, nijaka jak arkusz bibuły, zaczęła się iskrzyć w rozrzedzonym, naładowanym elektrycznością powietrzu śródlądowych wyżyn. Doskonała kreacja na meksykańskie wiejskie wesele w sierpniu, a poza wszystkim urzeczywistnienie dziewczęcych marzeń o ślubie. Teraz odrobinę zżółkła, ramiączka ściemniały od słonego potu, jedna z koronkowych wstawek w dolnej części, ponad marszczoną spódnicą, trochę się odpruła,

zostawiając dziurę jak po kuli, a rąbek się przetarł i wybrudził od wleczenia po błocie i nadeptywania w tańcu podczas ciągnącego się aż do świtu przyjęcia weselnego, kiedy Aura zdjęła ślubne pantofle i zmieniła je na śnieżnobiałe buty taneczne, kupione w sklepie dla nowożeńców w stolicy Meksyku, które wyglądały jak skrzyżowanie obuwia dla pielęgniarek z dyskotekowymi trampkami na platformie z lat siedemdziesiątych. Ulotna relikwia w postaci sukni ślubnej. W nocy, na tle wzmacniającej wrażenie głębi, odbitej w lustrze poświaty lamp i świec, w barokowej ramie przypominającej złotą aureolę, suknia wygląda, jakby płynęła w powietrzu.

* * *

Mimo ołtarzyka, a może trochę i przez niego, nasza sprzątaczką postanowiła odejść. Flor, urodzona w stanie Oaxaca, matka trojga dzieci wychowanych na hiszpańskim Harlemie, przychodziła do nas co dwa tygodnie. Teraz powiedziała, że pobyt w naszym mieszkaniu za bardzo ją przygnębia. Któregoś razu podpatrzyłem, jak klęczy rozmodlona przed ołtarzykiem, zobaczyłam, jak podnosi zdjęcia Aury, przyciska je do ust i z płaczem obsypuje pocałunkami. Naśladowała radosny głos Aury, która nigdy nie kryła podziwu dla jej starań, ach, Flor, potrafisz czynić cuda! *Ay, señor*, wzdychała Flor. Pani była zawsze taka wesoła, tak pełna życia, taka młoda, taka dobra, zawsze pytała, co tam u moich dzieci. Jak ma teraz sprzątać, robić to wszystko, z czego Aura była kiedyś tak zadowolona, pytała Flor błagalnie, skoro nie może przestać płakać? Więc zabrała swoje łyzy i smutek do domu, wróciła do swoich dzieci, jak tłumaczyła mi później przez telefon, to nie w porządku, *no señor*, nie da rady już więcej u mnie sprzątać, bardzo jej przykro, ale musiała zrezygnować. Nie rozglądałem się za nową sprzątaczką. Chyba sądziłem, że Flor

mnie pożałuje i wróci. W końcu do niej zadzwoniłem, w nadziei, że się rozmyśli, i usłyszałem nagrany komunikat, że numer został odłączony. Niewiarygodne, ale po kilku miesiącach sumienie ją ruszyło. Zatelefonowała i zostawiła swój nowy numer w poczcie głosowej – najwyraźniej się przeprowadziła. Kiedy oddzwoniłem, usłyszałem, że to pomyłka. Pewnie coś źle zapisałem, mam lekką dysleksję.

Tym razem, piętnaście miesięcy po śmierci Aury, kiedy znów wróciłem do domu bez niej – nikt mnie nie odebrał z lotniska – zastałem nasz kącik w tym samym stanie, w jakim zostawiłem go w lipcu. Łóżko było niepościelone. Otworzyłem najpierw okna, żeby wpuścić do środka chłodne, wilgotne październikowe powietrze.

Macbook Aury stał na jej biurku jak przedtem. Poczułem się na siłach, żeby zacząć wszystko od nowa, uporządkować, poukładać, zebrać w całość jej opowiadania, eseje, wiersze, dopiero naszkicowaną powieść, niedokończone zapiski, tysiące fragmentów rozproszonych w czeluściach jej komputera, bo nigdy nie miała głowy do katalogowania plików i dokumentów. Uznałem, że jestem gotów oddać się temu bez reszty.

W sypialni na podłodze pod ołtarzykiem czerwieniły się zwiędłe płatki róż, ciemniejsze niż krew. Wazon był jednak pusty. Rośliny w kuchni jakoś przeżyły, choć przez trzy miesiące nikt ich nie podlewał. Pomacałem ziemię w jednej z doniczek: wciąż była wilgotna.

Wtedy sobie przypomniałem, że zostawiłem klucze sąsiadom z góry i poprosiłem, żeby pod moją nieobecność zajęli się kwiatkami Aury. Wyjechałem do Meksyku w pierwszą rocznicę jej śmierci, zamierzałem pobyc tam miesiąc, zostałem na trzy, a oni

przez cały ten czas doglądali mieszkania. Wyrzucili zwiędnięte róże, które najpewniej zgniły i zaczęły cuchnąć. Wyjęte ze skrzynki listy przełożyli do torby na zakupy i ustawili przy kanapie obok drzwi wejściowych.

Tamtego dnia na plaży – z pomocą kilku pływaków, którzy zobaczyli, co się dzieje, albo usłyszeli moje wołanie o pomoc – wyciągnęliśmy Aurę z wody, ułożyliśmy ją w skośnym zagłębieniu obmywanym przez fale, potem znów ją podnieśliśmy, znaleźliśmy kawałek równego podłoża i opuściliśmy ranną na gorący piasek. Walcząc o każdy oddech, chwytając łapczywie powietrze, szepcząc tylko *aire*, kiedy przywierałem wargami do jej warg, Aura powiedziała jeszcze coś, czego sobie nie przypominam, podobnie jak innych szczegółów wypadku, ale usłyszała to jej kuzynka Fabiola, zanim pobiegła po karetkę, i przekazała mi potem. Oto co powiedziała Aura, jedna z ostatnich rzeczy, jakie do mnie powiedziała.

Quiéreme mucho, mi amor.

Kochaj mnie mocno, kochanie.

No quiero morir. Nie chcę umierać.

Może to ostatnie pełne zdanie w jej życiu, może to jej ostatnie słowa.

Czy to zabrzmiało jak próba usprawiedliwienia? Czy powinienem się wystrzegać podobnych sformułowań? Cóż, błaganie Aury o życie i jej wezwanie do miłości wzruszyłyby każdą ławę przysięgłych, ale nie jesteśmy w sądzie. Muszę stawić czoła faktom; to gremium nie da się zbałamucić. Tutaj wszystko się liczy, wszystko jest dowodem

w sprawie.

2.

Czy to naprawdę się dzieje, *mi amor*? Czy naprawdę znów wróciłem na Brooklyn bez ciebie? Przez cały pierwszy rok po twojej śmierci i teraz włóczę się nocami po mieście, *s z l i f u j ą c b r u k i*, w jedną stronę ulicy, a potem w drugą, przystając przy zaparowanych witrynach, żeby sprawdzić w kartach dań, które znam na pamięć, jaką wybrać potrawę na wynos, w której taniej restauracji zjeść kolację, do której knajpy wpaść na jednego albo na dwa, albo na trzy, albo nawet i pięć, żeby nie czuć się tak rozpaczliwie samotny – ale czy jest takie miejsce, gdzie nie będę się czuł rozpaczliwie samotny?

Mniej więcej pięć lat przed poznaniem Aury byłem samotny jak nigdy. Rok i kilka miesięcy po jej śmierci byłem jeszcze bardziej samotny. A te cztery lata pomiędzy? Czy stałem się wówczas innym człowiekiem niż przedtem, lepszym dzięki doświadczeniu szczęścia i miłości? Dzięki temu, co dała mi Aura? A może byłem taki sam jak kiedyś, tylko przez te cztery lata niewytłumaczalnie szczęśliwy? Cztery lata – czy to za mało, żeby odcisnąć się piętnem na życiu dojrzałego mężczyzny? A może aż tyle, że wszystkie pozostałe lata nie zdołają zrównoważyć tych czterech?

Przez pierwszy miesiąc po śmierci Aury nie śniłem o niej, choć w mieście Meksyku wszędzie czułem jej obecność. Przyśniła mi się dopiero jesienią, kiedy normalnie zaczęłyby się jej zajęcia na uniwersytecie. Miałem sen, że muszę natychmiast kupić komórkę. Sklep z telefonami znalazłem w drewnianej chacie

pośrodku soczyście zielonej, przeciętej srebrzystym strumieniem łąki. Potrzebowałem koniecznie zadzwonić do Wendy, koleżanki Aury z roku. Chciałem ją spytać, czy Aura za mną tęskni. Chciałem ją o to spytać dokładnie w tych słowach: Czy Aura tęskni za naszą codzienną rutyną? Kupiłem w chacie nową srebrzystą komórkę o szafirowych klawiszach, poszedłem z nią w pole nad strumień, ale nie mogłem jej uruchomić. W końcu się zezłościłem i wyrzuciłem telefon.

Tęsknisz za naszą codzienną rutyną, *mi amor*?

Czy to naprawdę nam się dzieje?

Degraw Street, przy której mieszkaliśmy, wyznacza ponoć granicę między Carroll Gardens i Cobble Hill. Nasz dom stoi po stronie Carroll Gardens, z widokiem na Cobble Hill. Kiedy się tutaj sprowadziłem, mniej więcej cztery lata przed poznaniem Aury, Carroll Gardens wyglądały jak typowa włoska dzielnica na Brooklynie, ze staroświeckimi restauracjami, w których stołowali się politycy i członkowie mafii, z ustawionymi na trawnikach figurami Najświętszej Pani, z grupkami starszych panów na boisku do gry w bocce; zawsze bałem się tędy chodzić, zwłaszcza w letnie wieczory, kiedy w okolicy kręciło się mnóstwo hałaśliwych, zaczepnych osiłków. Cobble Hill, gdzie urodziła się matka Winstona Churchilla, miało jeszcze swój dawny urok i klimat – z rozpoznawalnym z daleka gmachem kościoła episkopalnego o wnętrzach urządzonych w stylu Tiffany’ego, fantastycznym budynkiem starej powozowni i parkiem. Z czasem doszło do ujednoczenia obydwu dzielnic, zamieszkałych przede wszystkim przez młodych białych ludzi sukcesu. Zamach na WTC tylko przyspieszył ten proces – w spokojnej okolicy po drugiej stronie mostu Brooklińskiego zaczęły się osiedlać rodziny na dorobku.

Przechodnie na Court Street kluczą w dzień wśród długich kordonów wózków dziecięcych, jedzą lunch lub wpadają na kawę do lokali pełnych młodych mam, jeszcze młodszych niań i zaskakująco licznych pisarzy. Włoskie kluby dla mężczyzn przekształcają się w hipsterskie knajpy. Wszechobecne domy z brązowego piaskowca, od dawna przystosowane pod wynajem mieszkań, znów wracają w ręce pojedynczych właścicieli. Kilka przecnic dalej, po drugiej stronie Brooklyn-Queens Expressway, zaczyna się portowa dzielnica Red Hook; nocami dobiegają stamtąd odgłosy syren statków. Aura je uwielbiała: dawała nura w pościel, mościła się wygodnie i nieruchomiała, czekając, aż długie, posępne dźwięki opłyną nas niczym stado płaszczyk.

Tu było jej studio jogi; tam salon piękności, dokąd chodziła na masaże, ilekroć dopadł ją stres; tutaj jeden, a tam drugi ulubiony butik z ciuchami; nasz sklep rybny; tutaj kupiła te świetne okulary z żółtymi szklami; tam wpadaliśmy nocą na drinka i hamburgery; tu jedliśmy późne śniadania; tam jest restauracja-w-której-zawsze-się-kłóciliśmy – każdy spacer po mieście zmienia się teraz w niemą litanię znajomych miejsc. W okolicy jest mnóstwo włoskich pizzerii i knajpek serwujących dania z pieca, a tylko jeden maleńki, klinicznie czysty punkt Domino's Pizza, na rogu ulic Smith i Bergen, koło wyjścia z metra, odwiedzany przede wszystkim przez lokatorów mieszkań socjalnych przy Hoyt Street oraz czarnych i latynoskich nastolatków z pobliskiej szkoły średniej. Wracaliśmy kiedyś do domu z zakrapianej kolacji u znajomych; Aura bez słowa pchnęła szklane drzwi Domino's, wpadła do środka, stanęła przy ladzie i po minucie, nie więcej, słowo dając, wyszła z pudełkiem dużej pizzy w rękach i uśmiechem z rodzaju „zobacz, co mam”. Wszystkie dobre pizzerie były już zamknięte o tej porze, ale idę o zakład, że akurat w tamtej chwili nikt nie zaspokoiłby nagłej

zachcianki Aury równie skutecznie jak Domino's. W jej rodzinnym mieście Meksyku, w osiedlach mieszkaniowych na południu stolicy armia zakutych w hełmy dostawczych, wielotysięczna armia chłopaków na skuterach bucujących i brzęczących jak stado pszczoł, pruć co wieczór przez ulice i trasy szybkiego ruchu, rozwożąc tanie pizze do domów pracujących samotnych matek, takich jak matka Aury. Ilekroć przechodzę obok tego punktu Domino's, widzę w drzwiach Aurę z pudełkiem pizzy i triumfalnym uśmiechem na twarzy.

Nieczynny od lat, szarobury kościół katolicki po drugiej stronie ulicy przerabiano właśnie na zespół mieszkaniowy (inwestorami są ortodoksyjni Żydzi, wykonawcami Meksykanie); Aura cieszyłaby się z nowego sklepu Trader Joe's u zbiegu ulic Atlantic i Court; budka z tacos, którą zamierzaliśmy otworzyć razem z Zoilą przy Smith Street, w końcu rozpoczęła działalność, za to Zoila w zeszłym roku zamknęła swój butik i nie mam pojęcia, co się teraz z nią dzieje. Za rogiem jest obskurna, ale popularna kafejka internetowa, dokąd Aura lubiła czasem wpaść, żeby się pouczyć i popracować, kiedy nie miała zajęć na Columbi. Mogła się tam łatwiej skupić niż w domu, gdzie albo ja zawracałem jej głowę, dopraszałem się seksu i tłukłem w maszynę do pisania, albo matka wydzwaniała z Meksyku. Wchodziłem do środka i wypatrywałem Aury przy jednym ze stolików pod ceglana ścianą, Aury z niedojedzonym bajgłem na papierowej torebce śniadaniowej i kubkiem kawy, z włosami upiętymi spinką, ściągniętymi czerwona opaską albo związanymi z tyłu w kok, żeby nie opadały na czoło, kiedy pochylała się nad laptopem, ze słuchawkami w uszach, z zaciętym i nieobecnym wyrazem twarzy, z zagryzioną dolną wargą, stałem i obserwowałem ją albo udawałem, że jej nie widzę, czekając, aż podniesie wzrok i zwróci na mnie uwagę. Sam też wpadałem

popracować do tej kafejki. Nie miała nic przeciwko temu. Siadaliśmy przy tym samym stoliku, jedliśmy lunch, dzieliliśmy się bajgłem albo ciastkiem. Teraz zjawiam się tylko po poranną kawę na wynos. Stoję w kolejce, jak zawsze, i gapię się na rząd stolików, na długą niebieską ławę pod ścianą, na obcych ludzi przy komputerach.

Nie wyrzuciłem ani nie wyniosłem z domu żadnych ubrań Aury, wciąż były w jej komodzie i w garderobie. Płaszcz i kurtki, włącznie z puchową, wisały na kołku przy drzwiach wejściowych. Co najmniej raz dziennie odsuwałem szufladę, brałem garść fatałaszków i przyciskałem do nosa. Czułem zawód, że bardziej pachną drewnem niż Aurą. Czasami wysypywałem zawartość szuflady na łóżko i kładłem się twarzą w ubraniach. Zdawałem sobie sprawę, że kiedyś powinienem rozdać te rzeczy – przynajmniej odzież – że na pewno znajdzie się ktoś potrzebujący, kogo nie stać na kurtkę puchową, że mogłbym w ten sposób uczynić czyjeś życie znośniejszym, o ile wręcz go nie uratować. Wyobrażałem sobie nielegalne imigrantki marznące w nieogrzewanej czynszowce w Chicago albo w jakiejś zabitej dechami dziurze w Wisconsin, gdzie są tylko zakłady przetwórstwa mięsnego. Ale nie byłem jeszcze gotów, żeby się czegokolwiek pozbyć. W ogóle nie brałem tego pod uwagę – choć rozmawiałem na ten temat z koleżankami Aury. Z początku próbowały mnie przekonać, że lepiej to zrobić dla własnego dobra. Nikt nie sugerował, żeby się pozbyć wszystkiego. Może najpierw przekazać część płaszczy na zbiórkę odzieży zimowej? Oczywiście, niektórych przedmiotów nie wolno wyrzucać, na przykład sukni ślubnej, którą powinienem zachować „na pamiątkę”. Przez kilka miesięcy unikałem większości swoich kumpli, odciąłem się też od rodziny – matki i rodzeństwa.

Przebywałem wyłącznie w damskim towarzystwie: przyjaciółek Aury i kilku kobiet, z którymi kiedyś łączyły mnie bliższe więzi.

Wyjąwszy stół do pisania w kącie środkowego pokoju – między kuchnią a dawnym salonem, w którym urządziliśmy sypialnię – oraz kilka starych półek na książki, oboje z Aurą stopniowo wyzbywaliśmy się sprzętów z moich niechlujnych czasów kawalerskich. Aura była rozczarowana, że nie przenieśliśmy się do nowego lokum, wolnego od pamiątek przeszłości spędzonej bez niej, miejsca, które mogłaby urządzić po swojemu, choć i tak całkiem odmieniła nasze dotychczasowe mieszkanie. Zdarzało mi się wrócić do domu i przyłapać ją na przesuwaniu nawet najcięższych mebli. Aranżowała wystrój tego zagraconego wnętrza w sposób, który w ogóle nie przyszedłby mi do głowy albo uznałbym go za niewykonalny, jakby mieszkanie było czymś w rodzaju skomplikowanej łamigłówki, którą da się rozwiązać tylko dzięki przestawianiu sprzętów, łamigłówki, która stała się jej obsesją, a może po prostu nie miała rozwiązania, w każdym razie po każdej takiej akcji mieszkanie wyglądało znacznie lepiej.

Ostatnim naszym nabytkiem, wypatrzonym w sklepie ze starzyzną, jakieś pięć przecznic dalej, był stół kuchenny w stylu lat pięćdziesiątych, z blatem z tworzywa w błękitnoperłowy wzór, radosny dziecięcy obrazek przedstawiający obłoki na słonecznym niebie. Mieliśmy też w kuchni ciemnozielony kredens kupiony w prowincjonalnym antykwariacie w górach Catskills, dokąd pojechaliśmy na weekend, żeby odwiedzić Valentinę i Jima w ich domu na wsi; mniej więcej dwa miesiące później zadzwoniła poirytowana właścicielka sklepu – nie był to jej pierwszy telefon w tej sprawie – z informacją, że jeśli natychmiast nie odbierzemy kredensu, wystawi go powtórnie na sprzedaż i nie zwróci nam

pieniędzy. Nie była to żadna okazja. Podobne wiejskie kredensy kosztowały tyle samo przy Atlantic Avenue i w okolicznych antykwariatach. Mimo to wzięliśmy SUV-a z wypożyczalni na Brooklynie, żeby przywieźć nasz mebel, i spędziliśmy weekend w jakimś włosko-amerykańskim ośrodku myśliwskim, w chatce z plastikowym jacuzzi, lśniąca mosiężną armaturą i kominkiem gazowym, w której zaszyliśmy się z winem, książkami, telewizyjną grą w futbol z wyłączonym dźwiękiem, pękając ze śmiechu, ilekroć próbowaliśmy się pieprzyć w tej śmiesznej wannie z masażem, a kiedy byliśmy głodni, szliśmy do restauracji wytapetowanej zbieranymi od pokoleń, podpisanymi przez zawodników zdjęciami New York Yankees, żeby połasować w całodobowym bufecie jesz-ile-chcesz, gdzie serwowano spaghetti z olbrzymimi klopsikami, lasagne z kiełbasą i tym podobne. W końcowym rozrachunku kredens kosztował nas cztery razy więcej, niż gdybyśmy kupili go na Brooklynie.

W naszej kuchni oprócz kredensu były też rozmaite sprzęty do gotowania – garnki, patelnie i inne utensylia – w większości nieużywane od śmierci Aury. Toster, który wypluwał kromki z wizerunkiem Hello Kitty – wciąż z niego korzystałem, uśmiechając się na wspomnienie reakcji mojej żony, fanki japońskich kreskówek, kiedy rozsmarowywałem masło na pyszczku rysunkowej kotki. Maszynka Cuisinart, kupiona przez Aurę specjalnie po to, żeby przyrządzić lody kajmakowe na przyjęcie z okazji jej trzydziestych urodzin, z metalicznym cylindrem wciąż osadzonym w komorze mrozącej. Długi, rozkładany stół jadalny ze sklepu ABC Carpet and Home, ufundowany z pieniędzy, które dostaliśmy w prezencie ślubnym; zmieściło się wówczas wokół blatu ponad dwadzieścioro gości. Podaliśmy cochinita pibil, delikatną wieprzowinę ociekającą pikantnym sosem z marynaty achiote i soku z cytryny, zapieczoną

w cieniutkich jak pergamin liściach bananowych, rayas con crema i arroz verde, Valentina specjalnie przyszła wcześniej, żeby przygotować swoje klopsiki w sosie z chipotle, był też rozkosznie kiczowaty tort urodzinowy z ciastkarni meksykańskiej w Sunset Park – pokryty biało-pomarańczowo-różowym lukrem i zwieńczony kawałkami owoców w obwódce ze słodkiej polewy – serwowany z lodami Aury. W tamtym roku dostała na urodziny dwie długie rustykalne ławy kuchenne. Uwielbiała urządzać przyjęcia.

To nieprawda, że do szczęścia w Nowym Jorku potrzeba pieniędzy. Nie zaprzeczam, że dodatkowe dwadzieścia, trzydzieści albo i pięćdziesiąt patyków ułatwiłoby nam życie i być może uczyniłoby z nas jeszcze szczęśliwszych ludzi. Ale mało kto z naszych dawnych znajomych podejrzewałby nas o jakiegokolwiek skłonności do domatorstwa.

Dzięki trzem równoległym stypendiom Aura miała zaskakująco dużo pieniędzy, przynajmniej jak na doktorantkę. Nigdy jej nie prosiłem, żeby dokładała się do czynszu ani większości innych wydatków, mogła więc je przeznaczać na własne potrzeby i gromadzić oszczędności. Ciułała na zakup wspólnego domu albo mieszkania, oczywiście pod warunkiem, że i ja zebrałbym odpowiednią kwotę, a obiecałem sobie, że to zrobię. Kiedy w końcu zamknąłem konto Aury, byłem zdumiony wysokością salda. Teraz w znacznej mierze żyłem z tych oszczędności, z jej stypendiów, ale też z pieniędzy, które odkładała niemal od dziecka. Wykorzystałem już środki z ubezpieczenia, żeby pokryć koszty opieki medycznej, hospitalizacji i transportu karetką w Meksyku. Spłaciłem ledwie połowę tych zobowiązań, a i tak popadłem w długi. Zostałem bankrutem. I co z tego? Byłem zatrudniony w niepełnym wymiarze godzin na wydziale anglistyki jednego z niewielkich college'ów w stanie Connecticut, więc nie miałem prawa do urlopu z powodu

śmierci bliskiej osoby. A ponieważ nie byłem w stanie prowadzić zajęć w semestrze, który rozpoczął się tuż po wypadku, zrezygnowałem. Wiedziałem, że wkrótce będę musiał poszukać jakiejś pracy. Jakiej? Nie miałem pojęcia. Ale nie wyobrażałem sobie powrotu do zawodu nauczyciela. Miałem swoje powody. Nie byłem literaturoznawcą z wykształcenia. Żeby podtrzymać uwagę zblazowanych dwudziestolatków, potrzebowałem zapału urodzonego showmana, a tego mi właśnie zabrakło. Dopóki byłem nieprzyzwoicie szczęśliwy w małżeństwie z Aurą, dopóty sprawdzałem się jako ten pajac od literatury.

Rośliny, które Aura trzymała na drodze pożarowej, pousychały zeszłej zimy i zostały po nich tylko plastikowe i gliniane doniczki, wypełnione ziemią, żwirem, zszarzałymi pędami i pomarszczonymi liśćmi. Ale jej składane krzesło wciąż tam stało, pociemniałe od miejskiego brudu, poza tym jednak nietknięte od chwili jej śmierci, podobnie jak stojąca pod nim szklana popielniczka, przez ponad rok splukiwana deszczem. Wiewiórki wskakiwały czasem na siedzenie z poręczy przy schodach, spijając nagromadzoną w zagłębieniu deszczówkę albo stopiony śnieg. W ładną pogodę Aura lubiła siadać w tej małej zardzewiałej klatce przy wyjściu ewakuacyjnym, z nogami opartymi o stopnie schodów na półpiętro, wśród swoich roślin, z książką albo laptopem, czasem się kusząc na dymka. Nie była nałogową palaczką. Zdarzało jej się wypalić kilka papierosów, a potem zrobić sobie przerwę. Od wielkiego dzwonu zwijała sobie skręta, zwykle z trawki sprezentowanej przez kogoś z uczelni. Ostatnią, prawie pustą torebkę przechowywałem w szufladzie naszego kredensu. Aura traktowała drogę pożarową jak najprawdziwszy ogród, taki sam jak u sąsiadów z parteru. Śmiałem się, że wygląda jak Kramer z *Kronik Seinfelda*, który świętował

Dzień Niepodległości, wystawiając przed drzwi mieszkania krzesło ogrodowe i rozsiadając się w korytarzu z piwem, cygarem i hot dogiem niczym w ogródku na przedmieściach.

Pewnego ranka złapałem się na tym, że stoję przy oknie w kuchni i patrzę na krzesło przy wyjściu ewakuacyjnym, jakbym go nigdy przedtem nie widział. Właśnie wtedy postanowiłem je nazwać Podróżnym Krzesłem Aury. Wyobraziłem sobie, że Aura zstępuje powoli w snopie przezroczystego, różowożółtego światła, z otwartą książką w dłoniach, i po powrocie z długiej tajemniczej podróży ląduje miękko na krześle. Unosi wzrok znad lektury, widzi, że ją obserwuję przez okno kuchenne, i odzywa się jak zwykle, wesołym i lekko ochrypłym tonem, *hola, mi amor*.

Hola, mi amor. Ale gdzieś ty była? I czemu tak długo? Przecież nie po to wyszłaś za męża, żeby gdzieś przepaść i zostawić mnie tutaj samego!

Pod koniec czerwca, w ostatni weekend przed naszym wyjazdem do Meksyku, Valentina i Jim zaprosili nas znów do swojego domu na wsi. W niedzielę po południu w drodze powrotnej do Nowego Jorku Aura i Valentina poprosiły o postój przy sklepie, do którego wpadliśmy dzień wcześniej. Zostaliśmy w samochodzie we trójkę z Jimem i ich śmierdzącą suką Daisy. Kilka minut później zobaczyłem Aurę, jak wychodzi ze sklepu z nowym, zapakowanym w przezroczystą folię nabytkiem: narzutą, która wyglądała jak cudowny płaszcz snów w technikolorze z musicalu o biblijnym Józefie. Kosztowała ledwie 150 dolarów, pochwaliła się Aura. Przyznałem, że to dobra cena za tak piękną kołderkę, i to jeszcze nową, a nie ściągniętą ze stęchłego strychu prababci. W dołączonej broszurce znaleźliśmy informacje o amerykańskiej artystce, która studiowała tkaniny podczas wieloletnich podróży po świecie, a teraz zajmuje się projektowaniem takich właśnie narzut, szytych później

ręcznie przez szwaczki w jej pracowni w Indiach.

Kilka dni później, kiedy zaczęliśmy się pakować, Aura wyszła z garderoby ze zwiniętą narzutą w objęciach, po czym włożyła ją do otwartej walizki na podłodze. Czyli zamierzała wziąć ją ze sobą do Meksyku. A potem, jesienią, przywieźć z powrotem na Brooklyn? *Así es, mi querido Francisco*, odparła zasadniczym, odrobinę sarkastycznym tonem, co oznaczało, że spodziewa się oporu z mojej strony. Rzadko sprzeciwiałem się kaprysom Aury, z wyjątkiem, to muszę przyznać, próśb o przeprowadzkę do większego mieszkania albo domu z ogródkiem, żebyśmy mogli mieć psa, bo na to jeszcze nie było nas stać. Tym razem jednak postawiłem sprawę twardo. Powiedziałem, że nie ma sensu zabierać narzuty i targać jej z powrotem we wrześniu. Spójrz, zajmuje prawie całe miejsce w walizce. Przecież mamy już jedną śliczną kołderkę w Meksyku. Ale ta jest przepiękna, upierała się Aura. I dopiero co ją kupiliśmy. Z jakiej racji sublokator miałby się nią cieszyć przed nami? Może powinniśmy wywieźć narzutę na zawsze, zastanowiła się; tamto mieszkanie przynajmniej jest nasze (w rzeczywistości należało do jej matki; kupiła je dla Aury, zanim się poznaliśmy, choć potem zaczęliśmy sami spłacać hipotekę). Nie musimy jej zostawiać do dyspozycji sublokatora, przekonywałem. Możesz ją zamknąć w szafie. Zaczniemy jej używać jesienią, po powrocie do domu. Wyobraź sobie, jak tęsknilibyśmy za nią w zimie, gdybyśmy ją zostawili w Meksyku.

Aura bez słowa wyjęła narzutę z walizki i odniosła do szafy. Wróciła do sypialni i w głuchym milczeniu zabrała się do pakowania. Przez kilka minut nienawidziła mnie. Zostałem jej śmiertelnym wrogiem. Musiałem zagryzać wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Po śmierci Aury dowiedziałem się od Valentyny, że narzuta nie

kosztowała 150, tylko 600 dolarów. Aura bała mi się przyznać. Wiedziałem, że nie chodziło tylko o pieniądze. Nie chciała, żebym ją uznał za j e d n ą z t y c h, które potrafią wydać tyle kasy na jakąś tam kołdrę – choć i tak nie miałem złudzeń. Na podobnej zasadzie wpadała w panikę, ilekroć przyłapałem ją na czytaniu plotek z życia gwiazd lub otwieraniu stron poświęconych modzie, kiedy braliśmy laptopy do łóżka, żeby poczytać bądź popracować przed snem. Siedziała z komputerem na kolanach, zasłaniając przede mną ekran, bębniąc staccato na klawiaturze i przeskakując między oknami przeglądarki. Nie obchodziło mnie, że interesuje się modą i celebrytami. I to ją najbardziej wkurzało: że przegląda się w moich oczach, w oczach faceta, który pewnie jest zachwycony, że jego bystra i superwykształcona żoneczka ma te same słabostki co bezmyślna kura domowa, która nigdy nie wzięła do ręki nic poważniejszego niż magazyn „People”. Że właśnie za to ją kocham, że uważam to za słodkie i seksowne, że czerpię uciechę z tego cholernego, maczystowskiego podglądactwa – co za wstyd! Na koniec pracowitego dnia lubiła sobie pobuszować w internecie; *¿y qué?* Przecież to bez znaczenia. Już sam fakt, że zwracam na to uwagę, świadczy o tym, że robię z igły widły i nie chcę dostrzec, kim n a p r a w d ę jest Aura. Próbowiałem się bronić, że jestem zachwycony wszystkim, co robi moja żona, i wprost nie mogę oczu od niej oderwać. Serio, tylko czekałem, aż odłoży komputer i zginie w moich objęciach pod kołdrą. Ona też o tym wiedziała.

Kiedy po raz pierwszy wróciłem do domu sam po śmierci Aury, było gorąco i parno, mimo że minęła już połowa września. Jesienią 2007 roku lato nie chciało się skończyć, wisiało nad miastem jak kara. Klimatyzacja chodziła całą dobę. Kiedy wreszcie się ochłodziło, otworzyłem szafę, wyjąłem narzutę z folii i rozłożyłem ją na łóżku, tak jak obiecałem Aurze. Kapa była zszyta z wąskich skrawków

materiału – w najrozmaitszych jaskrawych barwach z niewielką przewagą czerwieni – ułożonych wzdłuż w równoległe pasy. Dosłownie mieniła się w oczach. Dzięki niej moja wdowia sypialnia zyskała jeszcze bardziej kobiecy wygląd. Pluszowe zwierzaki i plastikowe roboty; przyczepiona do abażuru zawieszka w kształcie rubinowego pantofelka; wielkie czekoladowe serce, wciąż zawinięte w celofan i ozdobione wstążką, prezent na walentynki sprzed kilku lat. Obita pluszem sofa narożna naprzeciw telewizora zarzucona mnóstwem kolorowych poduszek. Suknia ślubna na lustrze. Rzeźbiony malowany anioł z Taxco o białej twarzy i szkarłatnych ustach lubieżnego cherubina, który zwisa z wyciągnika lampy nad łóżkiem, obraca się nieustannie na nylonowej żyłce i wlepia drewniany wzrok we mnie – tak jak kiedyś gapił się na nas oboje – po czym powolutku się odwraca.

Nad ranem, tuż po obudzeniu, Aura zwracała się często w moją stronę i mówiła ze słodkim szelmowskim uśmiechem, *ay, mi amor, quo feo eres. ¿Por qué me casé contigo?* Ach, kochanie, jaki ty jesteś brzydki. Po co ja za ciebie wyszłam?

¿Soy feo?, pytałem smutno. To był jeden z elementów naszej codziennej rutyny.

Sí, mi amor, odpowiadała, *eres feo, pobrecito*. Potem mnie całowała i wybuchaliśmy śmiechem. Śmiechem, który przynajmniej w moim przypadku zaczynał się gdzieś głęboko w trzewiach, przetaczał po całym ciele i rozkwitał na twarzy wyrazem błogiego szczęścia, utrwalonym na zdjęciach z tamtych lat, głupkowatym grymasem, który nie zszedł mi z ust nawet podczas składania przysięgi małżeńskiej – mimo że Aura okazywała emocje stosowne do powagi sytuacji – przez co oglądanie naszych ślubnych fotografii było zawsze odrobinę krępujące.

Aura schowała narzutę do szafy, wróciła do sypialni i skończyła się pakować na śmierć, która miała nadejść za trzydzieści jeden dni.

3.

Ten pierwszy dzień po powrocie, spędzony z Valentiną i Adele Ramírez, był jak wejście w absolutną pustkę, w czas poza czasem – kiedy wniosłem walizki do mieszkania, kiedy zawiesiliśmy na lustrze suknię ślubną i urządziliśmy ołtarzyk, spytałem, ciekawe, gdzie Aura trzymała swój pierścionek zaręczynowy? (A może: ciekawe, gdzie Aura trzyma swój pierścionek zaręczynowy?). Nie wzięła go ze sobą do Meksyku, żeby ktoś go nie ukradł. Ale też nie nosiła go zbyt często. Uznała, że jest zbyt ostentacyjny jak na uniwersyteckie zwyczaje. Nie chciała stwarzać wrażenia, że jest córką jakiejś bogatej mieszczańskiej rodziny z Meksyku, hipokrytką, która prowadzi skromny żywot studentki literatury, żeby wrócić do domu z kolejną kosztowną błyskotką w postaci doktoratu elitarniej uczelni. Aura sądziła, a raczej boleśnie się o tym przekonała, że często wzbudza takie fałszywe odczucia, zwłaszcza wśród amerykańskich wykładowców.

Zawsze się martwiłem, że Aura zgubiła pierścionek zaręczynowy, tylko boi się do tego przyznać. Ciągle coś gubiła – tak samo jak ja – i już sobie postanowiłem, że jeśli gdzieś go zapodzieje, nie będę się tym przejmował. Czemu miałbym się przejmować? Ilekroć uznałem, że tym razem naprawdę zgubiła pierścionek, bo od dłuższego czasu nie widziałem go na jej palcu, postanawiałem o tym nie wspominać, przemilczeć tę stratę, jakby ten klejnocik nigdy nie istniał. To było niemądre, być może nawet naganne, wydać tyle kasy na maleńki diament, i to pewnie z jakiejś kopalni w Afryce, pozyskany w nieetyczny, może nawet morderczy sposób, ale nawet

ja potrafiłem docenić, że w porównaniu z innymi kamieniami wyłożonymi na tackę przez handlarza ten sprawiał wrażenie, jakby wymachiwał roziskrzonymi rączkami, chcąc zwrócić uwagę na swój radosny blask. Cóż, nie sądzę, by wręczanie pierścionków zaręczynowych z brylantem było jedynym odwiecznym rytuałem na świecie, który wiąże się z wygodnie przemilczanym krwawym procederem. Skoro ta doniosła, wyracająca życie do góry nogami propozycja została złożona i przyjęta, wydatek okazał się trafiony, nieprawdaż? Kiedy wsunąłem pierścionek na palec Aury, kiedy Aura powiedziała „tak” i się pocałowaliśmy – oświadczyłem się w Puerto Escondido – być może najrozsądniej byłoby od razu cisnąć klejnot do oceanu, odciąć się, wymazać z pamięci ten kosztowny drobiazg, o który zawsze się bałem, że zginie. A może powinna była zabrać pierścionek do miasta Meksyku, pochwalić się nim matce, swojemu *tío* Leopoldo, swoim znajomym, żebyśmy potem mogli go rzucić z wiaduktu na autostradzie, pod którym znalazłby go jakiś ulicznik i odmienił swoje życie na lepsze lub przeistoczył je w koszmar. Dzięki temu nie zmarnowałbym ani chwili na rozważania, czy Aura zgubiła pierścionek i czy próbuje to przede mną ukryć.

A tak szliśmy do ulubionej restauracji w dzień jej urodzin, w rocznicę ślubu, w walentynki albo przy innej okazji, którą uznaliśmy za godną spędzenia kosztownego wieczoru na mieście, i pierścionek się nagle pojawiał, i skrzył na palcu Aury. Ten diament przybywał i znikał jak wędrująca gwiazda na nocnym niebie widoczna z ziemi dwa albo trzy razy do roku.

Jak bardzo jej zależy na tym pierścionku, dowiedziałem się jednak dopiero wówczas, kiedy nieomal go zgubiła na targach książki w Austin w Teksasie. Aura uczęszczała na tamtejszy uniwersytet przez dwa lata, po wybuchu strajku studenckiego, który

doprowadził do zamknięcia UNAM, Narodowego Uniwersytetu Meksykańskiego, gdzie robiła specjalizację z literatury angielskiej. Jej matka Juanita, administratorka UNAM, nie zamierzała dopuścić, żeby córka marnowała się w domu albo traciła czas, włóczęąc się po opustoszałym kampusie, wylegając z kolegami na trawie, popalając zioło na *el aeropuerto* – ocienionym drzewami miejscu narkotycznych spotkań studentów – albo bratając się ze strajkującymi rockmanami w zabarykadowanych, pokrytych graffiti budynkach uczelni. Znudzona przerwą w zajęciach Aura i tak zresztą opowiedziała się po stronie przeciwników strajku. Juanita dogadała się z dwójgiem wykładowców Aury, skądinąd parą jej rodziców chrzestnych, którzy pociągnęli za sznurki, gdzie trzeba, i skłonili dawnych meksykańskich znajomych, zatrudnionych obecnie na University of Texas, żeby przyjąć ją w ramach międzynarodowej umowy o wymianie studenckiej.

Aura zamieszkała najpierw w akademiku, potem razem z trzema innymi studentkami z zagranicy, dwiema dziewczynami z Panamy oraz Iriną, która dotarła do Stanów z Rumunii przez Izrael, wynajęła piętro w domu. Eteryczna, długonoga piękność, lokalna mistrzyni kickboxingu, perkusistka w zespole rockowym i poetka stypendystka na wydziale literatury. Silne młode kobiety o wyrazistej osobowości, które potrafiły się zatroszczyć o swoje potrzeby i siebie nawzajem, i miały gdzieś, że jankeski z żeńskich wspólnot studenckich nie dopuściły ich nigdy do swego grona. Trudniej było dać odpór agresywnym zapędom białych chłopaków, którzy traktowali wszystkie kobiety o śniadej cerze jak tanie dziwki oferujące brudny seks po drugiej stronie granicy albo przynajmniej czuli się w obowiązku tak je traktować w ramach opacznie rozumianej galanterii. Ale to ja mówiłem o nich „biali chłopcy”, Aura nie używała takich określeń i podrwiwała sobie, ilekroć

usłyszała je ode mnie. Ona sama nazywała ich *gringos* albo *los blancos*, nigdy szyderczo, choć czasem z oburzeniem. Oto wiersz zapisany w jednym z notesów Aury podczas jej studiów w Austin:

*Me velvo sucio
Y leo Bukowski aunque lo odie
Parece quisiera ser hombre
Para quitar a las mujeres del camino
Que nadie se escandalice
Esto es privado
Esto es mentira
La poesía es ficticia y no salva e nadie^[1].*

Były to jednak szalone lata. Trudno znaleźć fotografię, na której Aura i jej współlokatorki nie wyglądają na urżnięte w sztok albo jakby całą noc balowały: z butelką piwa, rozczochrane, flejtuchowate, a przecież słodkie i apetyczne. Aura uczyła się jednak pilnie, napisała po angielsku referat o Raymondzie Carverze, który jej profesor odczytał studentom na głos podczas zajęć, pracowała niezmordowanie nad bakalaureatem na temat twórczości W.H. Audena, złożonym na UNAM po zakończeniu strajku. I mimo wszelkich domniemyanych wybryków miała przez ten czas tylko jednego chłopaka, Żyda z Houston, muzyka grającego w typowym dla Austin stylu country rock z domieszką hippie. Jak powiedziała mi jedna z dziewczyn z Panamy, zielonooka Belinda, ze trzy albo cztery lata młodsza od pozostałych, to właśnie Aura wyratowała ją z wielu opresji i pomogła przetrwać niejednen kryzys w Austin. Była dla niej kimś w rodzaju matki zastępczej. Ale i Aura miała w Teksasie swoją przybraną matkę – Irinę, która zachowywała się skądinąd jak przeciwieństwo rodzonej. Wspierała Aurę na każdym kroku, mało tego, wpajała jej przekonanie, że powinna zbuntować

się przeciw matce, która zaplanowała dla niej karierę naukową. Aura, przynajmniej z pozoru, przez niemal całe swoje życie starała się zaspokoić matczyne ambicje. Ale odwaga i sposób bycia Iriny też miały na nią wpływ. Przez kilka miesięcy brała lekcje kickboxingu w klubie sportowym przy Penn Stadion, kursując metrem między Columbią a Brooklynem z przyczepioną do plecaka parą czerwonych rękawic bokserskich. Irina była jedną z trzech druzhen Aury na naszym ślubie, wraz z Valentiną i Fabiolą, które pojechały z nami nad morze ostatniego lata przed jej śmiercią. Targi książki w Austin, na których wygłosiłem odczyt przed skąpą jak zwykle publicznością, dały Irinie i Aurze okazję do weekendowego spotkania po latach, wielogodzinnych dziewczynskich rozmów i podzielenia się nowinkami, między innymi niespodziewaną wiadomością o naszych zaręczynach.

Kiedy weekend dobiegł końca, Irina wpadła odwiedzić nas z hotelu na lotnisko. Zanim dojechaliśmy na miejsce, Aura zorientowała się, że nie ma pierścionka. Była pewna, że został w pokoju. Musieliśmy wrócić. W recepcji dali nam zapasową kartę magnetyczną do drzwi. Nic nie wskazywało, żeby ktokolwiek wszedł przez ten czas do środka. Taca pełna brudnych naczyń po śniadaniu wciąż leżała na podłodze przy niepościelonym łóżku. Sprawdziliśmy każdy kąt. Miotająca się po pokoju Aura zaczęła przypominać podrzędnego mima na barbituranach. Repertuar jej gestów powoli się wyczerpywał. Powiedziałem, że lepiej wrócić na lotnisko, bo w przeciwnym razie przepadnie nam także samolot. Nie szkodzi, *mi amor*, kupię ci nowy. Ale nie było mnie stać na drugi taki pierścionek, więc obraziłem się w duchu na Aurę za jej beztroskę i lekceważący stosunek do moich pieniędzy. Choć próbowałem sam siebie przekonywać, że Aura nie prosiła się o kosztowny pierścionek zaręczynowy. Skoro postanowiłem go kupić i popadłem w jeszcze

większe długi, to już wyłącznie mój problem.

Pierścionek zginął: domyśliłem się tego po bezsilnym, zmartwiałym wyrazie twarzy Aury. Usiadła w kucki na podłodze, zgięła się w pół, trzymając za głowę, i załkała. Choć wiele rzeczy potrafiło doprowadzić ją do płaczu, tak przejmującym szlochem wybuchała tylko w chwilach rozpacz, przerażenia, bólu, skrajnego poniżenia albo wszystkiego naraz, i zamiast uspokoić się po kilku minutach, wpadała w coraz większą histerię i desperację, do tego stopnia, że ludzie zaczęli się o nią bać i wątpić w jej zdrowie psychiczne. Nie mogłem pojąć, jakim cudem w tym drobnym ciałku mieści się tyle łez i emocji. Patrzyłem na nią bezradnie, stawałem jak wryty albo pochylałem się, żeby ją objąć – ja, który właściwie nigdy nie płakałem, który sądziłem, że doznaję romantycznej epifanii uczuć, kiedy czasem zwilgotniały mi oczy w kinie, a wtedy próbowałem zwrócić na siebie uwagę Aury niczym chwalcący się swoją łownością kot, który kładzie panu u stóp upolowaną mysz, przesadnie mrugając powiekami, chwytając Aurę za palce i unosząc je ku zażawionym rzekomo rzęsom, *mira mi amor*, ja płaczę! Na pogrzebie ojca naprawdę płakałem, mniej więcej pięć minut. Nawet nie podejrzewałem, co może ze mnie wypłynąć, nie sądziłem, że jeszcze się dowiem, jakie to uczucie, kiedy człowieka pożera jego własne łkanie, kiedy żal się na nim pasie, jakby wysysał szpik z kości. Aura siedziała w hotelowym pokoju na podłodze, obok tacy z naczyniami po śniadaniu, płacząc nad utraconym pierścionkiem zaręczynowym. Irina klęczała przed nią, przyciskając sobie do ust jej dłoń, ja przykucnąłem z drugiej strony, oboje mówiliśmy do niej „kochanie”, oboje powtarzaliśmy, och, Auro słodziutka, Auro najdroższa, och, moja dziecinko, już dobrze, przecież to nie koniec świata, to tylko pierścionek, już się nie przejmuj, no, chodźmy, trzeba jechać na lotnisko. I wtedy Aura wyciągnęła rękę,

po prostu zawadziła o któreś z naczyń na tacy – i proszę, był tam, skrzył się pod spodem wysmarowanego żółtkami talerza. Okrzyki zdumienia i radości!

Tamtego dnia na Brooklynie dotarło do mnie, że może już go więcej nie zobaczę. Taki drobiażdżek, Bóg raczy wiedzieć, gdzie Aura go schowała, o ile tym razem nie zgubiła go naprawdę. Pomyślałem sobie, że jeśli go znajdę, najprawdopodobniej i tak go sprzedam. Tonąłem w długach.

Założę się, że przepadł na amen, powiedziałem do Valentyny i Adele.

Czekaj, niech się zastanowię, odparła Valentina. Jestem w tym całkiem niezła. Zresztą wszystkie kobiety chowają biżuterię w tych samych miejscach.

Stała na środku sypialni, założyła rękę pod biust, chwyciła się za łokieć, wsparła podbródek na drugiej dłoni i kołyszac trzymanymi za zauszki okularami przeciwsłonecznymi, powoli kręciła głową. Hmm, powiedziała. Gdzie. Gdziegdziegdzie... Podeszła wprost do komody Aury, wysunęła dolną szufladę, odgarnęła poskładane albo zwinięte w kłębek swetry i koszulki, żeby sięgnąć głębiej, wydobyła meksykańską szkatułkę z malowanego i lakierowanego drewna, jakby sama ją tam schowała, po czym uchyliła wieczko. W środku było mniejsze pudełko, obite ciemnym aksamitem; otworzyła je, ukazując naszym oczom znajomą, radosną iskierkę.

Myślę, że kiedyś i tak znalazłbym ten pierścionek.

Mniej więcej tydzień po śmierci Aury wstąpiłem do jednego ze sklepików jubilerskich przy placu Zócalo, kupiłem gruby srebrny łańcuszek na szyję i jeszcze przy ladzie nawlokłem na niego nasze obrączki ślubne. (Ta okropna skwapliwość, z jaką załatwiałem

codzienne sprawunki żałobne w tych pierwszych tygodniach, zupełnie jakbym meblował dom i urządzał życie od nowa z myślą o nowej ukochanej: robienie odbitek ze zdjęć cyfrowych, szukanie w księgarniach i w internecie poradników dla osób w żałobie, po angielsku i po hiszpańsku, kupowanie ciemnych ubrań, zamawianie u krawca garnituru na pogrzeb, próbowanie różnych religii, przesiadywanie w kościołach, czytanie kadiszu, chodzenie na medytację do Centro Budista w dzielnicy Colonia Nápoles). Jubiler przerobił zapięcie za pomocą kilku narzędzi, między innymi miniaturowej piłki, żeby je zabezpieczyć przed przypadkowym otwarciem. Obrączki były z platyny, z wygrawerowanymi wewnątrz imionami i datą naszego ślubu: Paco & Aura 20/8/2005. Kiedy Valentina znalazła pierścionek zaręczynowy w naszym mieszkaniu na Brooklynie, postanowiłem nawlec go na łańcuszek razem z obrączkami. Ściągnąłem łańcuch przez głowę – po raz pierwszy, odkąd go założyłem. Usiadłem przy stole kuchennym, włożyłem gwóźdź w dziurkę w zapięciu, pogmerałem w otworze w poszukiwaniu jakiejś zapadki i uderzyłem w gwóźdź młotkiem. Zapięcie się otworzyło. Nanizałem na łańcuch pierścionek z diamentem, zatrzasnąłem zapięcie i przycisnąłem je oburącz do klatki piersiowej, żeby zamek na pewno zaskoczył.

Przez kilka dni nosiłem diament na szyi. Skąd mi przyszło do głowy, że dzięki temu poczuję się lepiej, a mój żałobny łańcuszek stanie się przez to ważniejszy albo zyska jakąś nową, czarodziejską moc tylko dlatego, że nanizałem na niego pierścionek? Nie poczułem się ani trochę lepiej, co rano budziłem się równie zrozpaczony, w stanie ponurego oszołomienia pomieszanego z niedowierzaniem, do których teraz dołączył niepokój, towarzyszący mi bodaj od zawsze w związku z tym klejnotem. A jeśli któregoś dnia padnę ofiarą złodzieja, który ukradnie mi

łańcuszek razem z pierścieniem zaręczynowym i obydwoma obrączkami? Nie chodziło mi nawet o wartość pierścionka, choć za tę cenę mógłbym sobie kupić subaru, gdybym akurat miał taki kaprys. Myślałem, że wtedy już nic mi nie zostanie. Nic mi nie zostanie? Przecież to tylko rzeczy! W końcu jednak zdjąłem diamentowe cacko z łańcuszka i odłożyłem tam, gdzie schowała je Aura.

Wciąż miałem szampon, który Aura zabrała ze sobą na plażę. Szampon leczniczy z miętą i wyciągiem z drzewa herbacianego, w torebce ze sklepu Sanborns. Ilekroć musiałem załatwić jakąś szczególnie przykrą sprawę, niosłem niebieską butelkę pod prysznic i nalewałem na dłoń odrobinę szamponu Aury. Panicznie bałem się dnia, kiedy opróżnię butelkę do cna, zużyję wszystko, co zostało z ochronnej mocy naszej miłości. Biłem się wtedy z myślami – siedząc nad kubkiem porannej kawy i czekając, aż się woda w bojlerze nagrzeje – czy sytuacja jest na tyle poważna, żeby znów skorzystać z szamponu. W kabinie prysznicowej były też dwa słoiczki scrubu do twarzy. Kiedy po raz pierwszy otworzyłem ten większy, z różowawego szkła, ujrzałem ślady palców Aury, zastygłe jak skamieniałość w lepkiej brei koloru orzecha kokosowego; zakręciłem wieczko z powrotem i odstawiłem słoik na samą górę półki pod prysznic – od tamtej pory otwierałem go tylko wyjątkowo, zanim puściłem wodę, żeby jeszcze raz popatrzeć na ślady jej palców. Czasem podczas kąpieli używałem scrubu do twarzy z mniejszego słoika, ziarnistej masy, która przypominała mi nasze poranne pocałunki i cytrusowo-mydlaną woń jej policzków.

Teraz już wiem, co powiedziałyby na to psychiatra: że sięgałem po zewnętrzne substytuty wewnętrznego Obiektu Utraconego, po tę część mnie samego, która przepadła wraz z autonomicznym

Obiektem Utraconym. Że przez wudu w postaci szamponu i scrubu do twarzy próbowałem ożywić naszą wzajemną miłość i wszystko inne, co przepadło po śmierci Aury, przestało być częścią mnie samego. Takie jest życie w cieniu Obiektu Utraconego. Mimo to nie sądziłem, że lepiej było zostawić ten szampon w Meksyku. Kiedy płyn się wreszcie zużyje, moje życie po prostu wyblaknie, i tyle – dlaczegóż nie miałoby blaknąć z każdym kolejnym dniem spędzonym bez Aury?

Oto zdarzenie, które uzasadniało zużycie odrobiny tamtego szamponu: dziewięć miesięcy po śmierci Aury po raz pierwszy zdecydowałem się przejechać metrem całą drogę na Uniwersytet Columbia. Zjadłem samotny lunch u Olliego. Wpadłem obejrzeć płyty CD i DVD u Kima. Stałem na rogu, gdzie zawsze się żegnaliśmy, zanim Aura poszła dalej w stronę Casa Hispánica, gdzie mieścił się jej instytut. Casa Pánica, jak nazywały go z Valentiną. Rzadko kiedy pozwalała mi się pocałować na tym rogu. Nie chciała, by dzieląca nas różnica wieku dostarczała tematu do plotek wykładowcom czy studentom. Poszedłem do Butler Library i usiadłem nad filiżanką kawy na wolnym miejscu pod brązową tablicą ogłoszeń, w zatłoczonej kafejce, gdzie często czekałem na Aurę, jeśli akurat miałem tyle szczęścia, żeby trafić na wolny stolik albo przynajmniej krzesło. Patrzyłem, jak studenci wchodzi i wychodzą, obserwowałem, jak siedzą, rozmawiają, uczą się, obnoszą z modnymi ciuchami, i myślałem sobie, że związek z Aurą zapewniał mi dostęp do światowego imperium młodości, którego już teraz nie mam. (Czy spędzę jeszcze półtorej godziny, włączając się z kimkolwiek po sklepach Sephora albo Urban Outfitters? – poniekąd błahy przykład, tyle że niemal na pewno nie będę już czegoś takiego robił). Cofnąłem się w głąb korytarza do męskiej toalety i po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy wysiusiałem

do jednego z wielkich starych marmurowych pisuarów. Nawet wówczas czułem się upiornie. Potem w holu stanąłem przy komputerze i napisałem e-mail do Aury, w którym doniosłem, że po raz pierwszy wybrałem się do Butler Library bez niej i że bardzo za nią tęsknię. Wyszedłem na dziedziniec. Na Broadwayu kupiłem „New York Times”, żeby mieć jakąś lekturę w drodze powrotnej. Kiedy dotarłem do strony z nekrologami i zacząłem czytać, że ktoś przeżył 90... 88... 73... 96... jak zwykle poczułem wzbierającą gorzką wściekłość. Ilekroć trafiałem na nekrolog osoby, która zmarła choćby w wieku czterdziestu kilku lat, doznawałem przejściowej ulgi; rozpierała mnie straszna satysfakcja. No, proszę, nie tylko ty umarłaś, kurwa, tak młodo, myślałem sobie. Ale publikowane codziennie listy amerykańskich żołnierzy, którzy zginęli w Iraku, nierzadko kobiet i w większości znacznie młodszych od Aury, czasem nawet kilkunastoletnich, prowokowały mnie do jeszcze bardziej wstrząsających porównań, jakby to wszystko działo się w jakimś innym kasynie, gdzie prowadzi się inną grę z losem, w której obowiązują odmienne reguły, a może to jednak to samo kasyno, tylko stoły się różnią i gracze używają innej metafory losu. Nie przeczę, flaki się we mnie przewracały także na myśl o stracie tamtych ludzkich istnień, i stąd moje próby nawiązania łączności telepatycznej podczas przejazdów metrem: halo, czy to Kolorado, nadaję z pociągu linii F, kierunek Brooklyn, mam na imię Francisco... możesz do mnie mówić Frank... moja Aura zmarła bardzo młodo, tak samo jak twoja starsza szeregowka Ramona... moje najszczęśliwsze... znamy nawzajem swój ból, więc jakbyśmy byli znajomymi... może chciałbyś dołączyć do mojej telepatycznej grupy wsparcia dla osób w żałobie... Zabitych na wojnie Irakijczyków nie wymienia się z nazwisk, ale w artykule na tej samej stronie przeczytałem, że „20 samochodów osobowych

z przymocowanymi do dachów trumnami ruszyło z Basry na północ, żeby pochować zmarłych na cmentarzu szyickim w świętym mieście Nadżaf”, i pomyślałem, że co najmniej w jednej z tych trumien spoczęła młoda kobieta, uwielbiana przez męża, który jedzie samochodem pod trupem własnej żony. Znamy nawzajem swój ból i swój wstyd. Jakbyśmy byli znajomymi.

W końcu co za różnica, czy chodzisz w nawiedzone miejsca, czy trzymasz się od nich z daleka? I tak czuje się to samo, zupełnie to samo.

Wybrałem się wreszcie na Uniwersytet Columbia, minęło jednak piętnaście miesięcy, a wciąż nie wróciłem do Café le Roy, pobliskiej restauracji, do której szczególnie często zaglądaliśmy z Aurą, zwłaszcza na późne śniadanie w weekend. Aura była pewna, że to nawiązanie do Triste-le-Roy z opowiadania Borgesa *Śmierć i busola*, tymczasem się okazało, że właściciel lokalu ma na nazwisko Leroy. Większość obsługi stanowili młodzi Meksykanie, zawsze bardzo dla nas grzeczni, nawet gdy w restauracji był duży ruch i goście niecierpliwili się przy stolikach. Od nas przyjmowali zamówienia po hiszpańsku, ze wszystkimi innymi rozmawiali po angielsku; z przejęciem pytali, co u nas słychać, a my odwzajemnialiśmy się tym samym. Kiedy teraz mijałem Café le Roy po drodze do metra, przechodziłem na drugą stronę ulicy. Oni jednak musieli mnie widzieć, więc wmawiałem sobie, że na pewno myślą, że Aura mnie porzuciła.

W supermarkecie na rogu, ilekroć ekwadorska kasjerka, wesoła pyzata dziewczyna z bliznami po trądziku i w okularach ze szklami jak denka od butelek, pytała: *¿Y tu esposa, señor?*, odpowiadałem, że u żony wszystko w porządku. Wtedy droczyła się ze mną i mówiła ze śmiechem, ooch, teraz żona każe panu robić wszystkie zakupy. *¡Que bueno!*

Przestałem też zachodzić do sklepu rybnego. Nie będzie więcej faceta, który wpadał z żoną albo przychodził sam dwa razy w tygodniu, żeby kupić dzikiego łososa z Alaski, zawsze filety dla dwóch osób, czyste szaleństwo, ale Aura je uwielbiała, i zdarzało się, że któryś z dwóch sympatycznych sprzedawców podnosił z lodu wielki lśniący jaskrawopomarańczowy płat ryby i zaczynał go ciąć na kawałki w momencie, kiedy wchodziliśmy do sklepu.

Już go więcej nie będzie. Nie będzie więcej męża. Nie będzie więcej mężczyzny, który idzie do sklepu rybnego, żeby kupić filety na kolację dla siebie i żony. Nie minie rok, a męża więcej nie będzie, niż był, kiedy był mężem. Ale byliśmy razem jeszcze dwa lata przed ślubem. Ale nadejdzie przecież dzień, kiedy już więcej nie będę z Aurą niż wtedy, kiedy z nią byłem.

Czasem budziłem się z przekonaniem, że śniłem o Aurze, ale nie mogłem sobie przypomnieć co. Kilka tygodni po tamtym powrocie na Brooklyn miałem jednak sen, który zapamiętałem po obudzeniu. Znalazłem się w surowym, lodowato zimnym pomieszczeniu o ścianach z żółtawego kamienia i zrozumiałem, że jestem w grobie. Na prostokątnym kamiennym cokole, pod wełnianym kocem w brązowo-beżowe pasy, rysował się nieruchomy ludzki kształt. Wiedziałem, że pod przykryciem leży Aura, bo mieliśmy w domu taki sam gwatemalski koc z szorstkiej wełny, ten jednak był podarty i zniszczony, jak pledy, którymi owijają się bezdomni w tunelach metra. Wszedłem na cokół i położyłem się obok. Coś się ruszyło pod kocem i zdałem sobie sprawę, że Aura powoli odwraca się w moją stronę. Wysunęła ramiona spod rąbka poszarpanej tkaniny, więc przyciągnąłem do siebie to jakże znajome ciało, a gdy tylko wytknęła czubek głowy spod koca, wtuliła mi w brodę swoje czarne włosy (podobne do włosów młodej Japonki), rozczochrane,

pachnące aromatem do pieczenia, jak zwykle o poranku. Objęła mnie za szyję i mocno przytuliła, przytuliła mnie tak, jak zawsze mnie przytulała.

Obudziłem się i siadłem na łóżku. Nie przeraziłem się, bo tak naprawdę nie był to koszmar. Wodziłem pustym wzrokiem po pokoju. A potem znów się zagrzebałem w wielobarwną kołdrę i zacząłem rozpamiętywać szczegóły snu. Po raz pierwszy od miesiący poczułem czyjś czuły dotyk – od chwili kiedy przyśniło mi się, że Aura mnie przytula, a było to kilka dni po jej śmierci. Szepnąłem: *gracias, mi amor. Te amo.* I zostałem w łóżku aż do południa.

* * *

Z każdym dniem czułem się coraz gorzej. Pustka, wyrzuty sumienia, wstyd, przerażenie, i tak w kółko. Zadręczałem się z powodu Aury – wystarczyło pomyśleć, ile ta dziewczyna straciła, żeby paść na kolana i zacząć wyć. Często nachodziła mnie refleksja, ale jeszcze gorzej utracić dziecko, utracić jedyne dziecko, córkę... kiedy samotna matka utraci swoje jedyne dziecko! Jeszcze gorzej.

Zanim Aura podjęła studia na University of Texas, rozstawała się z matką najwyżej na kilka tygodni. W wieku trzynastu lat pojechała na trzytygodniowy obóz letni na Kubę; jako nastolatka wybrała się z przyrodnią siostrą na zorganizowaną wycieczkę po Europie; ze dwa albo trzy razy Juanita posłała ją na kursy wakacyjne do Paryża i Cambridge. Za wszystko płaciła z pensji administratorki uczelni, pracowała przeważnie na dwóch etatach, czasem zatrudniała się gdzieś jeszcze, w niepełnym wymiarze godzin.

Nie mogłem z nią jednak dojść do porozumienia. Nawet nie wiedziałem, co zrobiła z prochami Aury.

Myślałem, że przeżyję jeszcze kilka miesięcy za pieniądze

z rachunku oszczędnościowego Aury i z ubezpieczenia, które dostałem od Uniwersytetu Columbia jako najbliższy członek jej rodziny – tylko ja złożyłem odpowiedni wniosek i wystąpiłem o odszkodowanie.

Kto powinien rościć sobie prawo do miana najbliższego członka rodziny, owdowiały mąż czy osierocona matka?

O ile mi wiadomo, Juanita zdążyła już rozsypać prochy Aury w miejscu, które wybrała z siebie tylko znanych przyczyn i którego nie zamierzała mi zdradzić.

Juanita i jej brat, a może doradzający im prawnicy uniwersyteccy, chcieli mnie aresztować i posłać za kratki. Żyłem w stanie zagrożenia, nawet wówczas, gdy oboje czekali, aż śledczy znajdą dowody przeciwko mnie – a może nawet je sfabrykują. Rok później niebezpieczeństwo zdawało się zażegnane, mój adwokat jednak powiedział, że jeśli wybieram się nad ocean w pierwszą rocznicę śmierci Aury, powinienem zająć do prokuratury okręgowej i złożyć wniosek o zakończenie sprawy; to tylko formalność, zapewnił, ale lepiej dmuchać na zimne. Niech pan jedzie i opowie swoją historię. Otwarta sprawa, dodał, jest jak żywe zwierzę.

4.

Jak w piosence *Gavilán o Paloma*, w której José José śpiewa, że coś go pchnęło w jej stronę jak fala, *una ola*, więc wszedł do niej na górę i powiedział *hola*, tak to się właśnie stało.

Kiedy dotarłem do King Juan Carlos Centra na Uniwersytecie Nowojorskim, *presentación de libro* José Borginiego już się rozpoczęła. Argentyński profesor wszedł właśnie na podium i wygłaszał zwyczajowe słowo wstępne, ja odegrałem pantomimę z pełnym skruchy spóźniałskim, który biegnie truchtem między krzesłami i ciągnie za sobą walizkę na kółkach, wyplątałem się z płaszcza, kapelusza i szalika, rzuciłem je na puste siedzenie w pierwszym rzędzie, „wskoczyłem” po bocznych schodkach na mównicę, potknąłem się o najwyższy stopień, „przemaszerowałem” przez podium i zająłem przy stole miejsce obok Borginiego. Na sali rozległy się chichoty; profesor ze skunksową bródką zlustrował mnie z za nieprzeniknionych szkielek okularów, lśniących oślepiającym blaskiem w świetle reflektorów. *Señorrr* Paaaco Gohhhldman, jak mniemam, mówił z silnym argentyńskim akcentem, a jego bardzo wysoki głos brzmiał niemal jak skrzek. Podniosłem rękę i skinąłem głową, a gdy sięgnąłem po butelkę wody Poland Spring, przewróciła się i potoczyła na skraj stołu, ale na szczęście zdążyłem ją złapać, zanim spadła. Krótko mówiąc, zrobiłem z siebie niezłego idiotę. Takie było pierwsze wrażenie Aury, która obserwowała mnie z widowni. Ilekroć sobie o tym przypominała, śmiała się do rozpuku. Ciągnąc za sobą

walizkę, lubiła powtarzać z gardłowym rechotem, jakby to było najśmieszniejsze, i naśladowała mój świński trucht, trzęsąc energicznie głową i z szelmowskim uśmiechem wyciągając w bok rękę z dłonią zaciśniętą w pięść na nieistniejącym uchwycie. Miałem wówczas doroczne zajęcia w Wadley College w stanie Connecticut i ze dwa razy w tygodniu zdarzało mi się nocować w kampusie uczelni. Kończyłem po południu i zaraz potem wsiadałem w pociąg Metro-North na dworzec Grand Central.

Znałem trochę Borginiego z Meksyku, choć był dopiero po trzydziestce, jakieś dziesięć lat młodszy ode mnie. Nie widziałem go od czasu, kiedy jego ostatnia powieść dostała ważną nagrodę literacką w Hiszpanii. Teraz, kiedy książka ukazała się w przekładzie angielskim, Borgini zaprosił mnie do udziału w nowojorskiej *presentación*, metodzie promocji stosowanej podczas oficjalnych premier książkowych w Meksyku, polegającej na zastąpieniu tradycyjnego odczytu autorskiego wypowiedziami innych pisarzy. Borgini przyleciał z Berlina, gdzie właśnie objął posadę attaché kulturalnego ambasady meksykańskiej. Drugą prezydentką była meksykańska powieściopisarka Gabriela Castresana, która kilka lat wcześniej przeprowadziła się z Meksyku do Nowego Jorku i zamieszkała z dwojgiem nastoletnich dzieci w dwupoziomowym apartamencie na Brooklynie, zaledwie kilka przecznic ode mnie. Gabriela, charyzmatyczna bujna piękność po czterdziestce, była typowym zwierzęciem towarzyskim: dokądkolwiek się wybrała, zawierała mnóstwo znajomości wśród sławnych i kompletnie nieznanymi przedstawicieli świata literackiego. Tamtego wieczoru, po prezentacji, urządziła w swoim mieszkaniu przyjęcie dla Borginiego, na którym miał rzekomo pojawić się Salman Rushdie. Kiedy zadzwoniła do mnie z tą wiadomością, nie mogłem się powstrzymać od złośliwego komentarza: a gdyby tak zaprosić Saula

Bellowa? Może on też chce poznać José Borginiego? Po zakończeniu *presentación* Borgini został, żeby podpisywać książki, Gabriela stanęła na skraju podium i emablowała swoich fanów, a ja poszedłem do stolika z winem w głębi audytorium. Była tam tylko jedna osoba, drobna, śliczna dziewczyna o czarnych, modnie przystrzyżonych włosach i lśniących czarnych oczach – elfowa piękność, szczupła i zgrabna, o pełnych wargach podkreślonych czerwoną szminką. Uśmiechnęła się do mnie tym swoim uśmiechem, który musiałem odwzajemnić, jakbym nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

Hola!, powiedziałem, a ona, trzymając w ręku plastikowy kubek z czerwonym winem, patrząc na mnie, jakby spodziewała się dalszej rozmowy, odpowiedziała, *hola*.

(Cześć! To ja, twoja śmierć.

Cześć, moja śmierci).

Miała przerwę między górnymi jedynkami i pieprzyk pod prawym koniuszkiem ust. Była ubrana w elegancki jasnoszary sweter, plisowaną sukienkę z czarnej wełny, ciemne rajstopy i skórzane kozaczki. Doktorantka na Uniwersytecie Nowojorskim, pomyślałem sobie. Wyglądała jednak młodziej, jakby była jeszcze studentką. Moja wymarzona latynoska dziewczyna, dziesięć lat za późno. Spytałem, czy jej się podobało, na co odparła, *sí, por supuesto, estaba muy bien*, kończąc raptownym skinieniem głowy, co w połączeniu z grzecznymi komplementami świadczyło raczej o tym, że *presentación* była jak zwykle zawracaniem głowy i częścią gadaniną, nie żeby miała pretensje do mnie albo do kogokolwiek innego, zresztą co za różnica, prawie każda *presentación* tak wygląda. Jej głos brzmiał niezwykle ponętnie, szorstki, chrapliwy, odrobinę nosowy, trochę jak u postaci z kreskówki, dźwięczała w nim nuta pogodnej, dobrodusznej młodości. Uśmiech i głos

najbardziej przykuwały w niej uwagę. Poza tym jej inteligencja i wdzięk, zupełnie nie z tego świata. (W depepszach kondolencyjnych pojawiały się określenia: Aura była zupełnie nie z tego świata... Aura przypominała mi istotę z zaczarowanego lasu, te jej oczy, ten uśmiech i jej zabawne historyjki...). Rzuciła mnie na kolana, wzbudziła ciekawość przemieszana z podnieceniem. Naprawdę sądziłem, że tak właśnie się w życiu dzieje: poznajesz kogoś całkiem niespodziewanie, tworzy się jakaś magiczna więź, nagle wspólnota dusz i wszystko się zmienia. Mimo wielu fałszywych alarmów, na przekór mojej koncepcji, od lat cierpliwie czekałem na tę chwilę. Wprawdzie głos wewnętrzny ostrzegał, żarty sobie stroisz, idioto? Spójrz na nią, jest o wiele za młoda.

Okazało się, że nie studiuje na NYU i nawet nie mieszka w Nowym Jorku. Była z Uniwersytetu Browna. Przyjechała aż z Providence.

Chcesz powiedzieć, że przyjechałaś do Nowego Jorku specjalnie na *presentación* książki José Borginiego?

Tak, odparła. Sprawiała wrażenie, jakby chciała jeszcze coś dodać. W końcu powiedziała, no dobrze, nie tylko dlatego. Przeprosiła mnie i wróciła do stolika po kolejny kubek wina. Przygotowałem się na nieuniknione: że pomacha mi przyjaźnie na pożegnanie i zniknie w gwarnym tłumie, by odnaleźć swoich kumpli, że za kilka minut ujrzę ją w gronie znajomych, ubraną i gotową do wyjścia, może nawet z chłopakiem, choć do tej pory nic nie wskazywało, by ktoś jej towarzyszył. Tak czy inaczej, już nigdy nie będę miał okazji z nią porozmawiać ani zobaczyć jej uśmiechu. Przecież nie przyjechałaby z Providence z własnej nieprzymuszonej woli, specjalnie na *presentación* książki Borginiego.

Wróciła jednak, tym razem jakby czymś zaniepokojona, z nieco poważniejszym uśmiechem. Miała wydatny nos, pokryty drobnymi

zmarszczkami i maleńkimi przebarwieniami, ale najśmieszniejsze, że z przodu wyglądał na dużo mniejszy, perkaty i lekko zadarty. Wszystko w jej twarzy, nawet nos, wskazywało na osobę sympatyczną i obdarzoną mocną indywidualnością.

Przyjechałaś z Providence ze znajomymi?, spytałem.

Nie, niezupełnie, odpowiedziała. Przyjechałam autobusem Bonanza, na dworzec Port Authority. Uśmiechnęła się wstydliwie, jakby chciała dać do zrozumienia, że wprost uwielbia wymawiać tę nazwę.

Tylko co miała na myśli, mówiąc, że przyjechała niezupełnie ze znajomymi?

Co studiujesz u Browna?, spytałem, a ona odparła, że dostała stypendium badawcze w dziedzinie literatury latynoamerykańskiej. I wszystko jasne. Przyjechała do Nowego Jorku ze względu na naukowe zainteresowanie powieściami José Borginiego.

No cóż, to mój przyjaciel, bąknęła.

Jak mogłem na to nie wpaść? Powiedziałem więc, ooch, no tak, jesteś przyjaciółką José. Cudownie. Czyli wybierasz się na przyjęcie do Gabrieli?

Nieeee, odparła żałośnie. Zesznurowała usta i spojrzała na mnie badawczo, jakby ważąc w myślach, czy wytłumaczyć mi, w czym rzecz. Przysięgam, że serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Pomyślałem sobie: zaproszę cię na kolację, urwę się od Gabrieli i pójdziemy gdzieś indziej, ale zanim zdążyłem powiedzieć to na głos, wyjaśniła, że to prywatne przyjęcie. Tak jej powiedział José. Naprawdę próbował zdobyć dla niej zaproszenie, ale się nie udało. To będzie kolacja *en petit comité*, żeby poznać Borginiego z Salmanem Rushdie.

Petit comité?

Tak, szepnęła.

Tak właśnie powiedział? *Petit comité*?

Taaak, powtórzyła. Nie wiem dokładnie, o co chodzi z tą kolacją *en petit comité*. Będą roztrząsać jakieś ważne problemy literatury światowej dla zbawienia ludzkości? A potem zniżyła głos, naśladując głęboki ojcowski ton, całkiem niepodobny do mowy Borginiego, i powiedziała: wiesz, jak to jest, Auro. To przecież Salman Rushdie.

Jej śmieszny bas, żaloszny grymas ust i wzruszenie ramion doprowadziły mnie do ataku śmiechu. Rozumiem, odparłem. Skoro więc nas zaliczono do *petit comité*, co ty zamierzasz ze sobą zrobić?

Och, po prostu wrócę do hotelu i zaczekam, odpowiedziała.

Byłem skonsternowany. Co ich właściwie łączy, jeśli Borgini nie zamierzał zabrać jej ze sobą na przyjęcie? Jeśli nic, dlaczego miała wracać do hotelu – do jego pokoju? – i tam na niego czekać? Czekać na co? Dlaczego nie zaprosił jej na przyjęcie?

Bez sensu, wypaliłem. Każdy nowojorczyk prędzej czy później wylądować na kolacji z Salmanem Rushdie. (Nie żebym ja dostąpił wcześniej tego zaszczytu). Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś poszła z nami. Jeśli nie możesz, zaproszę cię gdzie indziej.

Ach nie, nie zwracaj sobie mną głowy – zduszony wybuch śmiechu, usłyszałem go wówczas po raz pierwszy.

Kilka chwil później zaczęli Gabrielę, która właśnie podchodziła do stolika z winem. Gabrielo, powiedziałem, to jest Aura. Przyjaciółka José Borginiego. Może przyjść na przyjęcie, prawda?

Gabriela zerknęła na Aurę, potem na mnie i wyszczerzyła swoje olbrzymie oczy, jakby musiała się oswoić z nagłym blaskiem światła. *¿Por qué no?*, odparła. Oczywiście, że może.

Borgini zasiadł do kolacji wciśnięty między Gabrielę i Salmana Rushdiego – z jego słynnym spojrzeniem spod zmrużonych ciężkich

powiek i zaskakująco cherubinową twarzą pod czaszką łysiejącą jak u Pnina, co nadawało mu dziwnie niespójny wygląd osoby jowialnej i dobrodusznej, a zarazem niepokojąco zgryźliwej. Borgini, ze znacznie potężniejszym mężczyzną po swojej lewicy, przemawiającym nad stołem do znacznie potężniejszej, żywołowo gestykulującej kobiety, która siedziała po jego prawicy, wyglądał jak Suseł z *Alicji w krainie czarów*. Salman Rushdie nie znał hiszpańskiego i z miejsca dał wszystkim do zrozumienia, że nie zamierza uprawiać się tego wieczoru w dyplomatycznej francuszczyźnie. Z kolei Borgini nie znał dostatecznie angielskiego, żeby nadażyć za rozmówcami. Gabriela, niczym szkolny opiekun przeprowadzający dzieci przez jezdnię, od czasu do czasu wstrzymywała konwersację, żeby dać szansę Borginiemu: zachęcała go pytaniami i podrzucała mu angielskie zwroty. Sądzę, że Rushdie nawet nie zwrócił uwagi, że tego wieczoru przedstawiono mu Borginię, idę też o zakład, że nie zapamiętał ani mojego nazwiska, ani tym bardziej tego, że siedzieliśmy naprzeciw siebie. Ciekawe, czy zauważył Aurę. Moim zdaniem przyjęcie wypadło wspaniale – Aurę i mnie zostawiono sobie samym w kącie stołu – nic lepszego nie mogło się nam przytrafić. Ledwie sobie przypominam, jak zerkałem na pana Rushdiego. W ogóle nie miałem poczucia, że przebywam w obecności gwiazdy światowego formatu, a byłoby pewnie inaczej, gdybym nie siedział obok Aury. Zakochiwałem się w Aurze na tle pięknie szlifowanej angielszczyzny i chłopięcego chichotu Salmana Rushdiego. (Czy pan nas pamięta, panie Rushdie? Czy zauważył pan, spoglądając na nas sokolimi oczami ze słynną przenikliwością wybitnego powieściopisarza, że zakochujemy się w sobie nawzajem, a przynajmniej ja się zakochuję? Coś jeszcze? Choćby mętną zapowiedź nadchodzącego nieszczęścia? Pomyślał pan, przekleci kochankowie? Czy ja to przeżyję? Czy na to

zasłużyłem?). Całą uwagę skupiłem na Aurze. Jeśli nawet Borgini popatrywał na nią ze złowróbnym, znudzonym bądź jeszcze innym wyrazem twarzy, wydawała się całkiem tego nieświadoma. Usiedliśmy tuż obok siebie w kącie stołu, zetknięci kolanami, pijąc wino, rozmawiając i się śmiejąc. Ona coś powiedziała, ja się śmiałem, ja coś powiedziałem, ona się śmiała. Utało się, że sposób, w jaki ze sobą rozmawiamy, będzie n a s z y m sposobem na rozmowę. Od tej pory już zawsze porozumiewaliśmy się ze sobą jak dwoje komików. Nieważne, czy to, co do siebie mówiliśmy, było naprawdę śmieszne. Szkoda, że nie zapamiętałem wszystkiego, o czym rozmawialiśmy przy tamtej kolacji, choć i tak byłoby to niemożliwe. Dowiedziałem się, że Aura ma zaledwie dwadzieścia pięć lat (cholera!). Jej stypendium badawcze na Uniwersytecie Browna kończy się w kwietniu. Aura zbiera materiały do pracy magisterskiej z komparatystyki literackiej na UNAM. Będzie pisała o wpływie pisarzy angielskich, między innymi Hazlitta, Lamba i Stevensona, na twórczość Borgesa. Złożyła papiery na studia doktoranckie w Stanach i w Europie. W domu w Providence, gdzie wynajmowała pokój, wybuchł niedawno pożar, więc musiała się przeprowadzić; na szczęście ogień nie doszedł do jej kwatery i udało się ocalić większość rzeczy, choć woda z sikawek strażackich zdążyła przesiąknąć przez sufit, zniszczyć pościel oraz część książek. Powiedziała, że wszystkie jej ubrania, nawet po oddaniu do pralni chemicznej, śmierdzą teraz dymem, i podniosła rękę, żebym powąchał jej sweter. Chwyciłem ją za palce, uniosłem odrobinę jej dłoń, schyliłem się nad rękawem i wciągnąłem nosem ledwie rozpoznawalną woń spalonego drewna, ale też dymu papierosowego i delikatnych perfum, i ten aromat rozgrzanego ciała, jakby wżarty w wełnę, który dał się wyczuć w swetrach jeszcze ponad rok po jej śmierci. Spojrzałem jej w oczy i przytaknąłem, tak,

dym, rzeczywiście czuć. Tak czy inaczej, ciągnęła, nie było tego dużo, a komputer i najcenniejsze książki zostawiła w oddzielnym pokoju w bibliotece. Opowiedziała mi o swoich kolegach w Providence, o geju Mauriciu, studencie literatury, też z Meksyku, i o Frances, pulchnej, czarnoskórej współlokatorce ze spalonego domu, studentce Rhode Island School of Design. Ale wykładowca, który był jej opiekunem naukowym u Browna, wybitny chilijski profesor komparatystyki, Profesor T., który z początku ją ubóstwiał, ni stąd, ni zowąd zwrócił się przeciw niej. Wezwał Aurę do swojego gabinetu i powiedział, że nigdy nie odniesie sukcesu jako badaczka literatury, bo nie umie zachować powagi. Powiedział jej, że jest trzpiotowatą dziewczyną z bogatego domu, która uważa, że uniwersytet powinien w pierwszym rzędzie dostarczać jej rozrywki. Jest przystojny?, spytałem. *Uy no*, odparła i aż się wzdrygnęła, *está muy feo*. I do tego pod sześćdziesiątkę, rozwiedziony i tak próżny, że aż śmieszny. Ogniecie rude włosy i broda, pewnie farbowane. Ma coś nie tak z jednym okiem, źrenica ucieka mu w bok, wygląda jak czarna rybka, powiedziała, która wciąż się obija o ścianę swojej szklanej kuli. Uśmiech Aury mógł ściągnąć w jej życie każdego, ale też wystawiał ją na paskudne ryzyko błędu. Wygląda, że się w tobie zadurzył, co w pełni zrozumiałe, a ty nie odwzajemniłaś jego uczuć, odparłem, ale to w żadnym razie nie usprawiedliwia jego reakcji. Nie jestem dziewczyną z bogatego domu, zaprotestowała Aura, tylko czasem robię takie wrażenie na ludziach. Nie wiem dlaczego. To przecież żaden afront, wtrąciłem. A co mu na to odpowiedziałaś? Nic, wyznała. Poczułam się strasznie zgnębiona i upokorzona, wróciłam do domu i się rozplakałam. I zadzwoniłam do mamy. Użyła angielskiego słowa *mom*. Kiedy matka usłyszała, jak Profesor T. potraktował jej córkę, zdenerwowała się jeszcze bardziej niż Aura.

Zagroziła, że wsiądzie do samolotu, przyleci z Meksyku i wyrznie faceta w gębę. No, cóż, zasłużył sobie, uznałem. Oj, tak, zgodziła się Aura, kurwa, co za palant; co za palant. Choć tych zwrotów nauczyła się pewnie w Teksasie, mówiła po angielsku z jakimś staroświeckim akcentem, trochę jak z Brooklynu, niczym zachrypnięta wiewiórka z kreskówki. Od tamtej pory unikała Profesora T. Spędzała cały czas w bibliotece, zbierając materiały do pracy o Borgesie i angielskich pisarzach, albo na siłowni. Najbardziej lubiła chodzić do siłowni o trzeciej nad ranem, powiedziała, żeby poćwiczyć na orbitreku. W czasie egzaminów było tam czynne całą dobę.

Jeszcze niedawno Aura nosiła fioletowe pasemka. Dowiedziałem się o tym dopiero po jej śmierci, od Mauricia, kolegi z Uniwersytetu Browna, który wspomniał o tym w e-mailu z kondolencjami. *Kiedy poznałem Aurę, miała fioletowe pasemka. Zanim się zaprzyjaźniliśmy, myślałem o niej „ta dziewczyna z fioletowymi włosami”. Jakimś cudem naprawdę było jej w tym do twarzy. Któregoś dnia zmieniła kolor na czarny i tak już zostało. Jak zmyła farbę, robiło mi się trochę smutno na jej widok, jakby jakiś oprych ją napadł i ukradł jej ten fiolet z włosów, a wszyscy wiedzieli, że już się nie da go odzyskać.*

Tamtego wieczoru wciąż przerzucałem się z angielskiego na hiszpański. Było widać, że Aura jest dumna ze swojej angielszczyzny – była lepsza od mojej hiszpańszczyzny, choć nigdy nie miałem odwagi, żeby się do tego przyznać. Większość znajomych dziewczyn z miasta Meksyku mówiła po angielsku z miękkim, melodyjnym zaśpiewem, jakby chciała naśladować charakterystyczną wymowę paryżanek. Ale nie Aura.

Jak to się dzieje, spytałem, że mówiąc po angielsku, brzmisz jak nowojorska Żydówka? Wyszliśmy już od Gabrieli i spacerowaliśmy chodnikiem, razem z ignorowanym przez nas oboje Borginim.

Salman Rushdie gdzieś zniknął – odjechał w bańce mydlanej albo taksówką.

Ha, ha. Wytłumaczyła mi. Ponieważ matka była ciągle w pracy, mała Aura siedziała godzinami sama w mieszkaniu i oglądała telewizję. Nauczyła się angielskiego z telewizji, przede wszystkim z *Kronik Seinfelda*. Miały w domu kablówkę i to był ich ulubiony serial.

Aura opowiedziała mi wtedy trochę o swojej rodzinie. Jej matka pracowała jako sekretarka, przeważnie na wydziale psychologii, i jako administratorka UNAM. W wolnym czasie studiowała psychologię i wreszcie otrzymała dyplom ukończenia college'u, wymarzony od czasu, kiedy musiała przerwać naukę na uniwersytecie w Guanajuato po urodzeniu córki. Później zaczęła uczęszczać na jednosemestralne studia podyplomowe. Teraz musiała już tylko obronić pracę doktorską z psychologii.

Wylądowaliśmy na ostatniego drinka w Zombie Hut przy Smith Street. Na przyjęciu piliśmy wino, teraz przierzuciliśmy się na wódkę. Po ostatniej kolejce zamówiliśmy drugą, po niej jeszcze jedną, choć Borgini przez cały czas sącył pojedynczą wódkę z tonikiem. Uderzył mnie jego przestraszony wygląd. Borgini stał naprzeciwko Aury, trzymając się drinka niczym pałaka w zarzucającym na zakrętach wagonie metra, jakby nie potrafił utrzymać równowagi i unieść kieliszka do ust jednym ruchem, żeby przełknąć normalnie choć łyk. Jestem pewny, że Zombie Hut to ostatnie miejsce na ziemi, do którego chciał trafić, zwłaszcza ze mną, nieodstępującym ich ani na krok – co za natrętny idiota, musiał sobie o mnie myśleć, przystawia się bezczelnie do Aury i zaciągnął ją na przyjęcie *en petit comité*, z którego on, w swoim krętactwie, tchórzostwie albo z jakichś innych tajemniczych powodów, próbował ją wykluczyć. Nie miał jednak odwagi się skarżyć.

Straszny był z niego buc, jak to się mówi. Ale tam, w Zombie Hut, Aura odnosiła się z całkowitą nonszalancją do wszystkiego, co z niego przy tej okazji wylazło. Byłem już niemal przekonany, że nic ich nie łączy. Pewnie są tylko znajomymi. Może Borgini jest gejem?

W stół uderzyłem, krzycząc: Dosyć! Chcę w świat szeroki!^[2]

Aura recytowała wiersz po angielsku, wymachując pięścią. Niczym (pijana) uczennica przy szkolnej tablicy. Poszczególne wyrazy formowały się w jej pięknych ustach jak w animacji poklatkowej, jakby usta i słowa wiersza były z tej samej masy plastycznej, jakby słowa nabierały kształtu w powietrzu, zwarte i jasne – do żucia, do całowania.

Cóż?! Czy mam... wzdychać, cierpieć sta-a-a-le?

Czasem jej głos piął się w górę:

Toć jestem wolny, wooolny...

A potem się obniżał, przechodząc w komiczny rejestr barytonowy:

Wolny jak obłoki [obłłłoki].

I jeszcze niżej, gdy pochyliła głowę, na końcu wiersza:

I wyszeptałem: PANIE.

Wiersz był całkiem długi! W życiu nie nauczyłem się na pamięć równie długiego tekstu. Powiedziała, że to *Jarzmo* George'a Herberta. Dziewczyna z miasta Meksyku, stojąca przy barze na Brooklynie i recytująca angielską poezję metafizyczną

z siedemnastego wieku. Czy kiedykolwiek coś takiego zdarzyło się w tej dzielnicy?

*Wiem, że do kresu zbliżę się przeznaczeń
W chmurach przeszytych na nieboskłonie...*

Aura wygrzała się w ciepłe mego osłupiałego zachwyty nad recytacją Herberta, upiła łyk wódki, odstawiła kieliszek na bar i zabrała się za wiersz Yeatsa.

*Nie nienawidzę tych, z którymi walczę,
Nie umiem kochać tych, których bro-o-o-o-nię.*

Jakże ten głos we mnie rozbrzmiewał przez kolejne miesiące, zresztą słyszę go do tej pory.

*Własne pragnienia porwały mnie skryte
W nieba wrzawę i obłoków tumult.
...otchłań przyszłość moją wchłania...
...w wielkiej waży się otchłani...^[3]*

Pewnego dnia uświadomiłem sobie, że gdy Aurze zdarzyło się przekroczyć dopuszczalną dawkę alkoholu, czyli zwykle po dwóch, góra trzech drinkach, a równocześnie czuła się szczęśliwa, szczęśliwa i kochana, albo chciała się po prostu przed kimś popisać, zaczynała recytować poezję, prawie zawsze właśnie te dwa wiersze, często powtarzając je po kilka razy, jak szafa grająca, którą ktoś nastawił na dwie odtwarzane w kółko piosenki.

W stół uderzyłem, krzycząc: Dostyc! Chcę w świat szeroki...

W Zombie Hut też zdarzyło jej się odpłynąć; druga runda.

Wiem, że do kresu zbliżę się przeznaczeń...

Aura wpadła w całkiem inny nastrój. Zapomniała o mnie i znów zaczęła się interesować Borginim. Nie poświęciła mi więcej uwagi tamtego wieczoru. Wkrótce oboje wyszli z baru. Wszystko działo się tak szybko. Staliśmy na chodniku, żegnaliśmy się, zdawkowo pocałowałem ją w policzek, jakbyśmy na przyjęciu ograniczyli się do wymiany konwencjonalnych uprzejmości. W jakiejś części mojej pijanej, złaknionej miłości duszy naprawdę się łudziłem, że to ja wezmę ją na noc do domu. Aura zanurkowała na tylne siedzenie taksówki, jakby w pościgu za czymś, co się od niej odturlało, on wsiadł za nią i zatrzasnął drzwi. Wpatrywałem się przez chwilę w zamazaną postać na kanapie samochodu i pomyślałem, że już nigdy nie zobaczę tej dziewczyny. Taksówka ruszyła w głąb Smith Street. Poczułem się jak w końcówce opowiadania Babla. Stałem pod latarnią, patrząc na znikającą w ciemnościach ulicy taksówkę i uświadamiając sobie coraz dobitniej, że się dałem omamić, że jestem żałosny, skazany na życie w nieszczęściu.

Wymieniliśmy się jednak adresami i numerami telefonów. Zgodnie z obietnicą przesłałem jej egzemplarz mojej najnowszej powieści, wydanej przed czterema laty. Mijały tygodnie i miesiące, lecz nie dostałem żadnej odpowiedzi. Uznałem, że książka jej się nie spodobała. Nie ma się czym przejmować, ta dziewczyna jest o wiele za młoda. Naprawdę musisz o niej zapomnieć.

Aura zeszła się po raz pierwszy z Borginim poprzedniej wiosny, na konferencji literackiej u Browna zorganizowanej z okazji czterdziestej rocznicy wydania Aury, opowieści grozy Carlosa Fuentesa, pisarza związanego z nurtem realizmu magicznego. Współorganizatorem konferencji był profesor, który dopiero później miał zostać jej nemezis. Zebraliśmy się tutaj, żeby oddać hołd Aurze, zaimprovizował Bogini podczas swojego wystąpienia, tymczasem ja odnalazłem swoją Aurę. Wywołało to coś w rodzaju sensacji;

Profesor T. mógł sobie nawet pomyśleć, że konferencję zdominował zanadto ostentacyjny romans czarującego młodego pisarza ze słodką studentką z fioletowymi pasemkami we włosach. Jego frustracja skrupiła się oczywiście na Aurze. Pewnie dlatego się od niej odwrócił. Jeszcze pięć lat później wystarczyło wspomnieć o Profesorze T. przy matce Aury, żeby znów wpadła w furję. Wspominała z wściekłością o swoim zamiarze, żeby polecieć do Providence, stanąć z nim twarzą w twarz, a nawet mu przyłożyć. Juanita była piękną kobietą, ale jej wykrzywiona gniewem twarz stawiała się nieznośnie ekspresyjna, a rysy jakby odbijały się i powiększały w odłamkach potłuczonego zwierciadła. Lubiła urządzać takie przedstawienia, bluzgając i złorzecząc jak meksykańska ulicznica, wystawiając na pokaz swą wściekłą nadopiekuńczość wobec ukochanej córki. I nie była to tylko gra. Dla Juanity osiągnięcia Aury – sukcesy w szkole, stypendia na amerykańskich uniwersytetach – były także jej osiągnięciami. Pracowała ciężko, na dwóch etatach, na trzech etatach, rok w rok, żeby jej córka miała takie same możliwości edukacyjne jak dziewczęta z meksykańskiej klasy wyższej. Kiedy Profesor T. nazwał Aurę trzpiotową pannicą z bogatego domu, wypowiedział bluźnierstwo, które przekreśliło całe życie Juanity – przynajmniej tak ona to odebrała, zamiast odczytać jego słowa jako niejednoznaczny wyraz uznania dla jej dotychczasowych postępów.

Juanita nie była zapaloną czytelniczką beletrystyki, lecz Aura Fuentes – bohaterka opowiadania, piękna i młoda Aura, okazuje się duchem swojej stuletniej ciotki, która weszła w ciało dziewczyny niczym sukkub, żeby nasycić swą żądzę – była kamieniem milowym w historii jej pokolenia w Meksyku.

Matka nazwała mnie imieniem bohaterki pańskiej książki, Maestro Fuentes, powiedziała Aura do Carlosa Fuentes – podczas

konferencji. Podsunęła mu egzemplarz, który podpisał z dedykacją dla Juanity. Pozowali do zdjęcia we troje z Borginim.

W dzienniku prowadzonym od kwietnia do grudnia, podczas stypendium u Browna, Aura wspomniała tylko raz, króciutko, choć nie bez żalu, o swoim ostatecznym rozstaniu z Borginim – JB, bo prawie wszystkich określała w swoich dziennikach inicjałami, jakby w rozważnym odruchu dyskrekcji. Bardzo pobieżnie zrelacjonowała swój wypad do Nowego Jorku, nie wspomniawszy nawet o promocji książki Borginiego ani o przyjęciu z udziałem Salmana Rushdiego, nie uczyniła też żadnej aluzji do naszego spotkania ani do powieści, którą jej przesłałem – nic w jej zapiskach nie wskazuje, bym zrobił na niej jakiegokolwiek wrażenie. Umieściła za to tajemniczą wzmiankę o innej wizycie, jeszcze tej samej jesieni: odwiedził ją chłopak z Meksyku, którego nazwała po prostu „P.”.

Na kilku stronach opisywała spokój i nudę Providence, które całkiem jej wówczas odpowiadały – lubiła spędzać długie, chłodne i deszczowe jesienne dni wśród książek, w wynajętym pokoju albo w bibliotece. W jednej z notatek zganiła samą siebie za łatwość introspekcji i brak woli doskonalenia się w precyzyjnych opisach świata zewnętrznego, tych wietrznych, słonecznych dni, kiedy na ulicach Providence wirują tysiące żółtych, pomarańczowych i czerwonych liści. „Większość dnia spędziłam na rozmyślaniach o matce” – podobna refleksja pojawia się kilkakrotnie. „Martwię się o Mamę”. „Tęsknię za matką”. O postępach swojej pracy pisała z niepokojem, ale też z dumą i coraz większym podekscytowaniem. W ten sposób chciała się wybić, udowodnić, że nie minęła się z powołaniem. Chciała pokazać Profesorowi T., jak bardzo się pomylił w swojej ocenie. Pisała o samotnym, ale bezpiecznym schronieniu, jakie znajdowała w książkach:

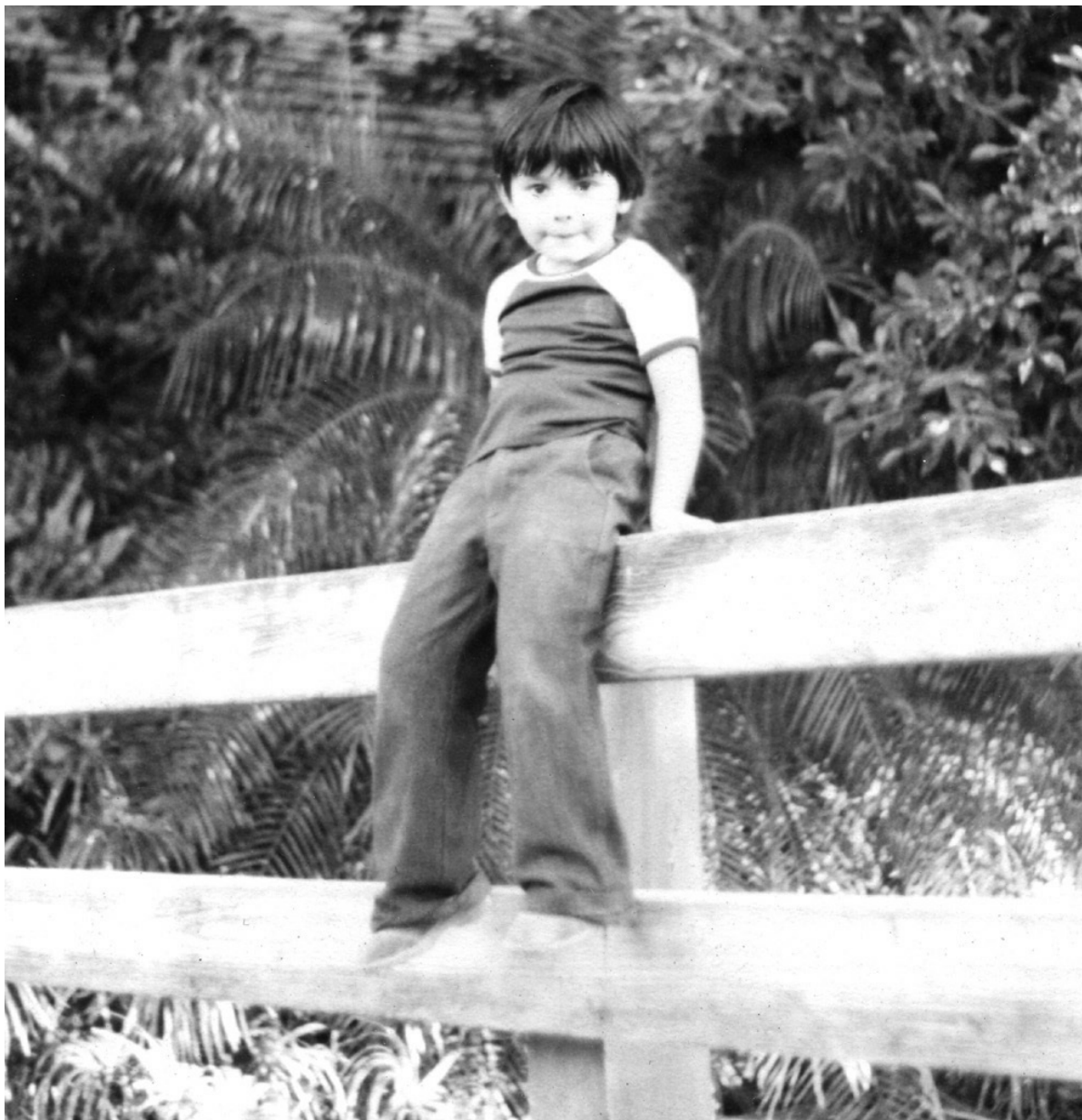
...to bodaj jedyne krainy, które mogę zwiedzać, nie siejąc w nich spustoszenia. Ale może w ten sposób znajdę kiedyś drogę ucieczki z tego skrawka łądu, który już zniszczyłam. Urodziłam się zwichnięta – przez przeszłość, o której nic nie wiem.

Można to uznać za typowy obraz młodzieńczych lęków i egocentryzmu. Było to rzeczywiście typowe dla Aury. Jej strach i niepewność siebie, obsesja na punkcie tajemnic wczesnego dzieciństwa i okoliczności porzucenia przez ojca, kiedy Aura miała zaledwie cztery lata, przebijają z tyłu stron jej dzienników i innych notatek, że właściwie nie sposób czytać ich bez współczucia i rosnącego zdumienia, że potrafiła tak bezwzględnie obwiniać samą siebie. Czy była naprawdę tak nieszczęśliwa i samotna, czy to tylko przesadna retoryka zapisków młodej kobiety, której ten rodzaj twórczości, co sama przyznała, przychodził zbyt łatwo?

W jednym z kolejnych wpisów, datowanym na 24 kwietnia, czyli dzień, w którym skończyła dwadzieścia sześć lat, wspomniała, że ojciec zadzwonił do niej z życzeniami, po raz pierwszy od przeszło dwudziestu lat. Stwierdziła zwięźle, że rozmowa była krótka i że w jego głosie dało się wyczuć napięcie.

Wtedy po raz ostatni Aura rozmawiała ze swoim ojcem.

5.



Śni mi się czasem zdjęcie, na którym mam pięć lat. Siedzę na brzegu drewnianego ogrodzenia. Monstrualne drzewo ocienia mnie przed słońcem, którego nie widać na fotografii.

Oto cała treść dokumentu w języku angielskim, zapisanego w komputerze Aury pod nazwą Toexist.doc. Codziennie odnajdywałem na dysku nieznane mi wcześniej pliki. Wzruszyła mnie świadomość, że Aura śniła o zdjęciu, które i mnie nawiedzało po nocach; zdążyłem już je przerzucić na swój pulpit. Pięcioletnia dziewczynka z fotografii ma na sobie wygniecione džinsy i różową koszulkę. Jej czarne włosy, lśniące w promieniach niewidocznego słońca, są przycięte pod miche, jak u jakiegoś urwisa, postrzępione kosmyki opadają na czoło i brwi, płatki uszu wystają spod bujnej czupryny. Aura miała wielkie uszy, podobnie jak ja. Nasze dziecko z pewnością miałoby monstrualne uszyska. Ogrodzenie jest tak wysokie, że wdrapanie się na sam szczyt musiało być powodem do maleńkiego triumfu. Widać to zresztą na twarzy Aury, która spogląda prosto w obiektyw, z buzią ściągniętą w wyrazie milczącej satysfakcji. Z jej miny przebijają zarazem tak słodkie ufność i niewinność, że nie sposób się oprzeć wrażeniu kruchości i samotności tej małej istoty, które pogłębia widok ciemnej masy listowia i poskręcanych wężowo gałęzi.

Znów mam poczucie, że to nieuczciwe wobec Aury: analizować każdą z jej dziecięcych fotografii pod kątem znaków i przepowiedni przyszłego nieszczęścia. Ilekroć jednak spoglądałem na to zdjęcie, jeszcze za jej życia, ogarniała mnie fala nagłej opiekuńczości. Naśladowałem jej pełen napięcia uśmiech, wydęte policzki, ufny, a zarazem dziwnie nieobecny wzrok. Mówiłem jej, że wciąż tak wygląda.

Czyli jak?, pytała czasem, a kiedy papugowałem jej wyraz twarzy, odpowiadała, nieeee, nieprawda, i wtedy oboje wybuchaliśmy śmiechem.

Znalazłem jeszcze taki fragment, zapisany jako El sueño-

demimadre.doc:

Marzenie mojej matki

Oto marzenie mojej matki, stopniowo i systematycznie niweczone w miarę, jak dorastałam: dożyć dnia, w którym zostanę członkinią Akademii Francuskiej. Myśl, że moi przodkowie wywodzą się z regionu Bajío i że daleko mi do biegłości językowej pradziadka, nie dawała jej spokoju. Kiedy więc powiedziałam, że zamierzam wyjechać do Nowego Jorku i zrobić dyplom na wydziale iberystyki, zmiażdżyła w palcach kieliszek czerwonego bordeaux i urządziła skandal w restauracji, do której przyszliśmy na naleśniki z nadzieniem z czterech serów.

6.

Jestem balonem na powietrze, który leci dookoła świata, prawie nigdy nie dotyka ziemi, i już nikt nie chwyta za moją linę, żeby przyciągnąć mnie bliżej. Trudno mi, słuchajcie, strasznie mi trudno, muszę dać z siebie wszystko, żeby dotknąć ziemi. Czasem sobie myślę, że to przeze mnie, bo za mało jem. Na Uniwersytecie Browna poznałam dziewczynę, u której zdiagnozowano anoreksję – zwierzyła mi się ze wszystkiego i uświadomiłam sobie, że mam sobowtóra.

Jestem z powrotem w Meksyku. W nowym mieszkaniu matki. Czeka mnie trudny rok. Pod wieloma względami niepewny.

Ten wpis w dzienniku pochodzi z początku grudnia, kiedy Aura wróciła do miasta Meksyku po ostatnim semestrze u Browna. Czuła się samotna, trochę zagubiona i pełna obaw o przyszłość. Ja tymczasem siedziałem na Brooklynie i trudno powiedzieć, bym czerpał szczególną frajdę z życia; minęło już pięć lat, odkąd rozstałem się z ostatnią dziewczyną, i od tamtej pory nie miałem nikogo na stałe. Czytając dziennik Aury, mogę prześledzić jej niewinną podróż przez tamte miesiące, od naszego pierwszego spotkania w Nowym Jorku aż do momentu, gdy na kolejnych stronach należało się spodziewać opisu naszego zakochania, a tu akurat dziennik się urywa, jakby nawet Aura nie mogła uwierzyć, co będzie dalej, i porzuciła swoje zapiski niczym powieść ze zbyt powikłaną intrygą. W czasie naszego związku Aura zaniedbała swój dziennik, tamten zeszyt był więc ostatnim z kilkudziesięciu, jakie prowadziła od szóstego albo siódmego roku życia, wypełniając ich karty po nocach, często z latarką pod kołdrą, żeby nie obudzić śpiącej w sąsiednim łóżku przyrodniej siostry Katii.

Za kilka godzin wyjeżdżamy na święta Bożego Narodzenia do Guanajuato.

Na dworze jest jeszcze ciemno, ale na Periférico zrobił się już korek. Dochodzące stamtąd odgłosy przypominają zgiełk plastikowych trąbek, dudniących bębnów i rozochoconych kibiców meczu piłki nożnej na jakimś podziemnym stadionie.

Nowe mieszkanie Juanity znajdowało się na dziewiątym piętrze bloku przy Periférico, międzymiastowej drodze ekspresowej północ – południe. Musiało być koło piątej nad ranem. Aura sypiała na składanej kanapie w pokoju do pracy. Pewnie siedziała w pościeli, z opartym na udach notesem w miękkiej skórzanej oprawie, z rozczochraną czupryną, wydatnymi ustami, długopisem w garści i parą błyszczących oczu, skupionych na kartce niczym idealnie wypoziomowane pęcherzyki w rurkowej libelli. W przyszłości mieliśmy spędzić niejedną wspólną noc na tej kanapie, choć w razie nieobecności Rodriga, ojczyma Aury, który skądinąd często wyjeżdżał, spałem na niej sam, podczas gdy Aura nocowała z matką. O swoim ojczymie Aura mówiła po prostu „mąż”. A Juanita rzadko umiała się powstrzymać od lekceważących, pełnych sarkazmu uwag o swoim małżonku, czy to w kontekście pieniędzy (których nie miał), czy też polityki (lewicowej), ambicji (a raczej jej braku), a nawet inteligencji (niższej niż u matki i córki). Rodrigo słynął ze stoickiego spokoju i kamiennej obojętności, choć wewnątrz wszystko w nim buzowało i czasem zdarzało mu się wybuchnąć. Muszę jednak przyznać, że kochał Aurę i był z niej dumny, mnie zaś traktował uprzejmie. Często rozmawialiśmy o futbolu amerykańskim. Z jakiejś przyczyny był wielkim fanem Coltsów. Pewnej niedzieli oglądaliśmy mecz Colts kontra Patriots w ramach rozgrywek play-off w restauracji Hooters przy Avenida de los Insurgentes, gdzie później dołączyły do nas Aura z Juanitą, zamówiły hamburgery i piwo, po czym obserwowały speszone, jak wysportowane kelnerki w szortach uwijają się między stolikami na rolkach, balansując pełnymi tacami wśród rozjarzonych ekranów

telewizyjnych, co skłoniło Juanitę do wspomnień, że Aura w dzieciństwie kręciła na rolkach młynki niczym najprawdziwszy derwisz; skakała i robiła piruety na parkingu przy stacji Copilco, prawie jak mistrzyni olimpijska – to, co zapamiętałem z tamtego popołudnia, to głębokie poczucie przynależności do zwykłej rodziny, wrażenie, jakiego doznałem bodaj pierwszy raz w życiu.

Ale nie było mnie tu jeszcze tamtego poranka przed świtem, kilka dni przed Bożym Narodzeniem, kiedy Aura, tuż po powrocie z Uniwersytetu Browna, siedziała w łóżku i pisała w swoim dzienniku. Skrzące się w mroku za oknem powietrze nad Doliną Meksyku przywodziło na myśl wielki port nocną porą, iluminowane szczyty zakotwiczonych w nim wieżowców wyglądały jak futurystyczne chińskie dżonki, wieże radiowo-telewizyjne – jak podświetlone maszty i żurawie; na horyzoncie rysowało się smoliście czarne pasmo Sierra de Ajusco. Przez kolejne pół godziny Aura obserwowała, jak góry wyłaniają się stopniowo z bezgwiazdnej ciemności: nierówny rząd strzelistych wierzchołków skąpanych w srebrzystej poświacie, na tle sączących się w niebo malinowych smug światła; blask świtu powoli zabarwiał zbocza fosforyzującym błękitem, uwypuklając fakturę sosnowych lasów, wijących się ścieżek i pstrokatych połączeń gruntu. Aura opisała to wszystko ze szczegółami w swoim notesie. Uświadomiła sobie, że całe życie w Meksyku, w Guanajuato i Taco – a może i w San José Tacubaya, choć tego nie była już pewna – po przebudzeniu podziwiała przez okno górskie widoki. A potem nastały rozjechane jak walcem równiny Austin i kopulaste wzgórza Providence. Co jej przyniesie kolejny rok? Miała nadzieję, że drapacze chmur i mosty Nowego Jorku. Podczas studiów u Browna była w mieście trzykrotnie, w tym raz z matką, i z każdą wizytą przekonywała się coraz bardziej, że chce się tam przenieść. Zamieszkałaby, jak pisze

w swoim dzienniku, w jednym z tych apartamentów, które wiszą jak gniazdo nad malowniczą aleją. Ilekroć wkraczała na chodnik którejś z ulic na Manhattanie, czuła, jakby porywał ją potężny, ukierunkowany prąd nieskończonego miasta – Meksyk, miasto też nieskończone, był niejako odwrotną stroną Nowego Jorku, niczym gąszcz poplątanych nitek na spodzie ściśle utkanego dywanu. Miasto Audena, Boba Dylana, Woody’ego Allena, tego drugiego, tragicznego Dylana, którego wierszy Aura uczyła się na pamięć podczas zajęć z poezji na UNAM, Seinfelda i Elaine z jej ulubionego sitcomu. (Aura żywiła skryte przekonanie, że mogłaby odnieść sukces jako aktorka komediowa. Marzyła też o karierze reżyserki filmowej; w ostatniej klasie Colegio Guernica prowadziła zeszyt z wycinkami prasowymi, w którym notowała też własne recenzje ze wszystkich filmów obejrzanych w Cineteca Nacional. Prosiła nawet matkę, żeby pozwoliła jej studiować aktorstwo i sztukę filmową w Centro Nacional de las Artes. Juanita zabroniła jej przystąpić do egzaminów, miała jednak poważne powody, żeby obawiać się tej profesji. Jej ojciec zagrał w kilku legendarnych filmach meksykańskich, pojawiając się u boku takich gwiazd, jak María Félix i Dolores del Río – jako młody, wytworny mąż zastrzelony w pierwszych pięciu minutach filmu oraz listonosz podrywacz, który w kulminacyjnym momencie puka do drzwi i doręcza bohaterce list miłosny, sypiąc z oczu iskry i łyskając zalotnie zębami. Ojciec Juanity był jednak przede wszystkim pijakiem, morfinistą, kobieciarzem i niepoprawnym graczem; zmarł w wieku trzydziestu czterech lat, wkrótce po narodzinach córki. Juanita nie zachowała po nim żadnych wspomnień). Aura dorastała, oglądając na wideo filmy Woody’ego Allena, często po nocy, w jednym łóżku z matką, wciąż te same od nowa, zwłaszcza jego nowojorski melodramat i skrajnie neurotyczne komedie. Uwielbiała

screwball comedies; w dzieciństwie odgrywała pod prysznicem całe sceny ze *Śpiocha*, ale też z filmów z Cantinflasem i Tin-Tanem. Juanita uczyniła z Woody'ego Allena coś w rodzaju opiekuńczego ducha domowego, powiesiwszy jego oprawioną fotografię na ścianie sypialni. Odkąd jednak Aura zdradziła się z zamiarem podjęcia studiów doktoranckich na Uniwersytecie Columbia, matka nie przepuściła żadnej okazji, żeby nagadać coś złego o Nowym Jorku.

Ale przecież każda normalna matka odchodziłaby od zmysłów, gdyby jej jedynaczka oświadczyła jesienią 2002 roku, że chce mieszkać i studiować w Nowym Jorku, choć na świecie jest tyle pierwszorzędnych uniwersytetów, w których można przebierać jak w ulęgałkach! Mimo strachu przed lataniem Juanita odwiedziła Aurę w Providence i towarzyszyła jej w podróży do Nowego Jorku. Wizyta, zamiast uśmierzyć obawy Juanity, podsycała je jeszcze bardziej. Brygady krzepkich, zamaskowanych, ciężkozbrojnych policjantów z owczarkami niemieckimi patrolowały dworzec Grand Central i Penn Station. Przy wejściu do bibliotek i muzeów strażnicy skrupulatnie kontrolowali torebki, czasem nawet świecąc do środka latarkami, a Juanita nie rozstawała się z wielką torbą, wymagającą gruntownego przeszukiwania. Kiedy wybrały się do restauracji, w której Woody Allen grywał na klarnecie, dowiedziały się, że tego wieczoru nie wystąpi, a poza tym i tak trzeba zarezerwować stolik. Nawet metro w Meksyku było czystsze niż nowojorskie. Buszując w sieci, Juanita wyszukiwała informacje o kradzieżach i gwałtach na studentkach Uniwersytetu Columbia, zwłaszcza w Harlemie i w dzielnicy Morningside Heights. Aura przypominała matce o typowo meksykańskich aktach terroru. Czy zdarzyło jej się gdziekolwiek przeczytać o nowojorskich taksówkarzach porwujących swoich pasażerów i prowadzących ich potem

na muszce do najbliższego bankomatu?

Choć dziadkowie Juanity ze strony matki byli Francuzami, ona sama nigdy nie odwiedziła kraju przodków i nie znała francuskiego. Gdyby nawet Aura nie spełniła marzeń matki i nie została profesorem Sorbony, powinna przynajmniej podjąć karierę akademicką w Meksyku, na UNAM, gdzie zyskałaby gwarancję stałego zatrudnienia, przyzwoitą pensję, niezależność i szacunek studentów. Oczywiście nic w tym złego, że matka chce takiej przyszłości dla córki; kiedy Juanita była w wieku Aury, wiedziała aż za dobrze, jakie niebezpieczeństwa czyhają na młodą kobietę bez ustabilizowanej pozycji zawodowej. Jeśli pewnego dnia trafi jej się młody, przystojny i możliwie bogaty kandydat na męża, tym lepiej, choć w Meksyku, podobnie jak wszędzie indziej – tak przynajmniej sądziła Juanita – nie można zanadto liczyć, że facet dochowa żonie wierności, nie rozpije się, nie zwariuje, nie zniszczy własnej kariery i nie pociągnie całej rodziny na dno. Zdaniem Juanity decyzja Aury, żeby wyjechać z Meksyku, porzucić UNAM – gdzie mogłaby pracować nad doktoratem, a równolegle zatrudnić się jako adiunkt – i rozpocząć studia w dziedzinie literatury iberoamerykańskiej w Nowym Jorku, była całkiem bez sensu.

A mimo to Juanita odprowadziła Aurę na Uniwersytet Columbia w dniu jej rozmowy kwalifikacyjnej na Wydziale Iberystyki, który mieścił się w zniszczonej klasycystycznej kamienicy, gdzie mieszkał niegdyś Federico García Lorca, brylujący wśród studentów i wykładowców na urządzanych w holu cocktail party. Obydwie postanowiły, że matka zaczeka w Hungarian Pastry Shop. Ilekroć komukolwiek związanemu z Columbią zadawano pytanie: a dokąd powinniśmy pójść, żeby zakosztować studenckiego życia?, odpowiedź brzmiała niezmiennie: do Hungarian Pastry Shop. Jeszcze w Providence otworzyły stronę internetową, żeby sprawdzić

adres, i przeczytały o „cudownie przytulnej kawiarence”. Kawiarenka okazała się wilgotną, zatłoczoną dziurą, przypominającą raczej piwnicę, aczkolwiek wyposażoną w długie przeszklone lady pełne apetycznych wypieków. Być może to sprawdzian, czy pasujesz do Columbii – jeśli dostrzegasz w tym tylko obskurną kafejkę, nie jest to miejsce dla ciebie. Juanita uznała, że skoro ta właśnie kawiarenka reprezentuje *el colmo*, czyli absolutną kulminację tutejszego życia studenckiego, nie ma powodu wybierać się aż do Nowego Jorku – mnóstwo podobnych kafejek, ani lepszych, ani gorszych, można znaleźć w sąsiedztwie UNAM. A guzik mnie to obchodzi, odparła zniecierpliwiona Aura. Miała przed sobą rozmowę kwalifikacyjną. Matka nie wzięła ze sobą nic do czytania, więc Aura zostawiła ją z tomem *Obras completas* Borgesa, który powiewał mnóstwem jaskrawych karteczek samoprzylepnych, niczym odświeżnie przystrojony statek, z impetem popchnęła drzwi i wyszła.

Mniej więcej godziną rozmowę poprowadziła szefowa wydziału, jasnowłosa Peruwianka o mlecznobiałej cerze. Omówiły w szczegółach dotychczasowe badania Aury nad twórczością Borgesa i pisarzy angielskich. W połowie spotkania dziekan oznajmiła, że Aura zostanie przyjęta i otrzyma stypendium wydziałowe na sfinansowanie pełnych studiów. Kiedy Aura wróciła do Hungarian Pastry Shop, zastała matkę przy tym samym stoliku pod ścianą. Nie zdjęła nawet płaszcza. Stolik był pusty. Tomik Borgesa leżał na blacie nietknięty. Nie wzięłaś nawet kawy, mamo?, spytała Aura.

Noooo, hija, odparła matka i westchnęła rozdrażniona. Mają tu bardzo skomplikowany system zamówień. Trzeba być chyba geniuszem i świetnie znać angielski, żeby go rozgryźć. Uznałam, że prędzej wrócisz z rozmowy, niż się w tym wszystkim połapię,

i odechciało mi się na dobre.

Ay, mamá, nie przesadzaj, proszę.

Ja przesadzam? Powiedz mi, *hija*, czy to normalne robić tyle ceregieli z powodu zwykłej filiżanki kawy? Najpierw trzeba podejść do lady i złożyć zamówienie – Juanita, niczym świadek zbrodni, niepewnie wskazała palcem w stronę kontuaru i na chwilę zamilkła, jakby musiała odtworzyć w pamięci całą tę straszną i pogmatwaną scenę – potem je notują na jakimś karteluszkach i każą ci się podpisać, wracasz na swoje miejsce, a kiedy zamówienie jest już gotowe, zjawia się kelnerka z tacą i tak długo wywołuje twoje imię z kartki, aż się sama odezwiesz i potwierdzisz, że chodzi o ciebie. Pół biedy, jeśli patrzy w twoją stronę, wtedy wystarczy podchwycić jej spojrzenie i podnieść rękę. A jeśli cię minie i pójdzie na drugi koniec kawiarni? Masz wykrzykiwać swoje imię na całą salę? Czemu mam się przedstawiać na głos w zatłoczonej kafejce? Too jaaa, Juaniita! Taka mała Meksykanka, o tutaj! Hal-o-o-o! Juanita zamachnęła się ręką, jakby chciała coś rzucić przez ramię – *Ay, no*.

Ay, mamá, parsknęła Aura, śmiejąc się tak serdecznie, że jej oczy zrobiły się wąskie jak szparki.

No-no-no, hija. Dlaczego muszę im się przedstawiać, żeby dostać filiżankę kawy? Może jeszcze zażądają ode mnie paszportu i wizy?

Nikt nie potrafił rozśmieszyć Aury równie skutecznie jak matka. Ilekroć potem wybieraliśmy się do Hungarian Pastry Shop, Aura przypominała sobie jej tyradę.

Matka ostentacyjnie nie spytała Aury o wynik rozmowy. Postanowiły wpaść razem na drinka do West End Bar, kolejnej obowiązkowej miejscówki na trasie studenckich pielgrzymek. W drodze na Broadway musiały przejść przez kampus. Było już późne popołudnie i zaczynało się robić ciemno. Aura przeprowadziła matkę przez uniwersytecką bramę z kutego żelaza i dalej,

aż na środek dziedzińca, zwieńczonego po obu stronach monumentalnymi gmachami bibliotek, niczym zimowe Zócalo, pełne studentów wędrujących we wszystkich kierunkach po zbrązowiełej trawie i okolonych żywopłotami alejkach, wchodzących i wychodzących drzwiami, z których padały krzyżujące się w mroku snopy światła.

Prawda, jak pięknie, Ma?, spytała Aura, przystając i zataczając krąg ręką. W przyszłym roku będę tu chodzić do szkoły.

Ruszyły z miejsca, jakby matka puściła jej słowa mimo uszu. Kiedy jednak dotarły na drugą stronę dziedzińca, policzki Juanity były mokre od łez. Matka uściskała Aurę i powiedziała, że jest z niej dumna, że zdaje sobie sprawę, ile pracy ją to kosztowało. Przynajmniej na ten wieczór ogłosiły zawieszenie broni w swojej bitwie o Nowy Jork. W West End Bar piły obydwie, celebrując opowieść o swoich bliźniaczych perypetiach – porzuconej matki bez grosza przy duszy, bez pracy, bez doświadczenia i perspektyw, która uciekła z San José Tacubaya z czteroletnią córeczką pożyczonym volkswagenem garbusem, żeby zacząć nowe życie w Meksyku. A teraz jej córka otrzyma stypendium na sfinansowanie pełnych studiów doktoranckich na jednym z najbardziej renomowanych uniwersytetów świata.

Odkąd Aura skończyła cztery lata, widziała swojego biologicznego ojca zaledwie dwa razy. Kiedy doszło do pierwszego spotkania, w restauracji w Guanajuato, miała dwadzieścia jeden lat. Po kilku rozmowach telefonicznych, zainicjowanych przez nią i utrzymanych w tajemnicy przed matką, wsiadła do autobusu z miasta Meksyku do Guanajuato, on zaś przejechał prawie cały stan z San José Tacubaya, gdzie mieszkał nadal, tyle że z nową rodziną. Kiedy ojciec wszedł do restauracji, ubrany w granatowy garnitur i beżową

koszulę, siedząca samotnie przy stoliku Aura rozpoznała go natychmiast. Oczywiście wyglądał starzej, niż go zapamiętała, a brązowe, przyprószone siwizną włosy miał przystrzyżone krócej niż przed laty. Skoro się zorientował, że córka rozpoznała go znad stolika w głębi restauracji, jego czarne jak węgiel oczy rozszerzyły się ze strachu. Mimo to podszedł do niej z rozpostartymi ramionami i szerokim, ujmującym uśmiechem, który zapamiętała z dzieciństwa i czasem dostrzegła ze zdziwieniem na własnych fotografiach. Wstała i rzuciła mu się w objęcia. Miał odstające uszy, które odziedzyczyła po nim wraz z długim garbatym nosem (aczkolwiek w miłszym, delikatniejszym i bardziej kobiecym wydaniu). W następnej kolejności zwróciła uwagę, że jedna z nogawek ojcowskich spodni jest pokryta zaschniętym żółtawym błotem. A przecież nawet nie padało. Dlaczego miał całą nogawkę uwalaną błotem? Aura słyszała od *tía* Vicky, że u ojca się nie przelewa, ale garnitur wyglądał poza tym całkiem przyzwoicie. Nie chciała zawstydić taty pytaniem o brudne spodnie, on sam też niczego nie wyjaśnił. W niemal wszystkich niedokończonych opowiadaniach Aury o jej spotkaniu z ojcem pojawiał się później motyw ubłoconej nogawki. Można by rzec, że zagadkowe plamy z błota stały się metaforą wszelkich tajemnic związanych z jej ojcem i przeszłością, nie znalazła jednak sposobu, jak wpleść ten wątek w narrację opowiadania. Uznała, że błoto musi – albo powinno – mieć związek z plantacjami truskawek w San José Tacubaya. Praca na grząskich polach truskawkowych za miastem była podstawowym źródłem utrzymania miejscowej biedoty. W swoich opowiadaniach Aura bezskutecznie próbowała połączyć motyw ubłoconej nogawki spodni z plantacjami truskawek, a co za tym idzie, ze spotkaniem ojca z córką po siedemnastu latach i wciąż nieujawnioną prawdą o przyczynach ich rozłąki. Ojciec nie miał już nic wspólnego

z truskawkami, choć w czasach, kiedy Aura była jego ukochaną dziewczynką, on zaś wschodzącą gwiazdą miejscowych struktur Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, brał udział w licznych kampaniach i przewodniczył wielu uroczystościom organizowanym na plantacjach z okazji zakończenia zbiorów lub podpisania kolejnych porozumień robotniczych. Często wracał do domu w pochłapanych, cuchnących gnojem butach, które musiał zdejmować przed wejściem i zostawiać na zewnątrz.

Ubłocona w tajemniczych okolicznościach nogawka i niewyjaśnione do końca okoliczności porzucenia żony z czteroletnią córką – czy jedno z drugim naprawdę musiało mieć jakiś związek? Czy uwalana błotem nogawka naprawdę mogła być metaforą autentycznych wydarzeń sprzed siedemnastu lat? Nieumiejętność zebrania wątków w spójną narrację była jedną z przyczyn nieukończenia przez Aurę żadnego z tych opowiadań.

Być może młodym pisarzom, takim jak Aura, ale też czytelnikom i części starszych autorów – którzy wbrew wszystkiemu nie nauczyli się rozpoznawać, że ich wysiłki są płonne – zdarza się przeceniać możliwości beletrystyki w odsłanianiu ukrytych prawd. Jeśli nawet zachodzi jakieś podobieństwo rzeczy – ubłocona nogawka spodni i porzucenie żony z dzieckiem, w obu przypadkach odnoszące się do tego samego mężczyzny – czy trzeba na siłę doszukiwać się innych, mniej oczywistych powiązań? Głębszych, odkrywczych, a przynajmniej metaforycznych? Aura była o tym przekonana i wydrążyła niejeden przepastny tunel w daremnym poszukiwaniu konkluzji – co nie oznacza, że kiedyś by jej nie znalazła.

A może chodzi po prostu o to, że czasem musisz komuś opowiedzieć, co się naprawdę stało.

W albumie z wycinkami, założonym przez Aurę w pierwszej klasie podstawówki, znalazł się list do jej ojca, wklejony między rysunki

i strony z kolorowanek do nauki słówek:

Héctor

*Te amo papá no se porque se separaron.
Pero de todas formas te sigo
queriendo como cuando estábamos
juntos. ¿Oye tú me sigues queriendo
como antes? espero que sí porque
Yo hasta te adoro adiós papá te
amo con todo mi ♥^[4]*

Aura twierdziła, że nie ma żadnych wspomnień z rozstania rodziców. Przez całe dzieciństwo i wczesną młodość, być może do końca życia – domyślam się tego ze słów, jakie wypowiedziała niedługo przed śmiercią – uporczywie wypytywała matkę o szczegóły tamtych wydarzeń. Juanita nie mogła przewidzieć, że miłość Aury do ojca, a nawet obsesja na jego punkcie, przetrwa każdą próbę czasu. Szybkie powtórne zamążpójście, żeby zapewnić córce tatę zastępczego, w niczym nie osłabiło manii odnalezienia utraconego oryginału; niewykluczone, że odniosło wręcz przeciwny skutek. Cóż takiego było w tej miłości czterolatki do ojca, że przez całe dzieciństwo i dorastanie, nawet w wieku dwudziestu pięciu lat, tkwiła w niej niewzruszenie niczym miecz wbity w kamień?

Pewnego popołudnia w Meksyku, mniej więcej dwa tygodnie przed wypadkiem, Aura wróciła do domu po długim obiedzie z matką i podzieliła się ze mną swoimi podejrzeniami, że „doniosłe wydarzenia” z jej przeszłości przebiegły inaczej, niż sądziła na podstawie wcześniejszych opowieści. Wspiąwszy się po stromych schodkach do naszej sypialni pod sufitem, zastała mnie nie przy pracy ani z książką u boku, tylko rozciągniętego beczynn timer na łóżku. Zanim zdążyła się odezwać, spojrzałem na nią z nadzieją

w oczach i spytałem, naśladowując figlarny ton, z jakim lubiła wypowiadać te słowa, niczym dziecko zapraszające kolegę do wspólnej zabawy, *¿Quieres hacer el amor?* Aura najwyraźniej nie była w nastroju. Powiedziała to, co powiedziała, o doniosłych wydarzeniach, szorstko, z odrobiną przygany w głosie. Odparłem *¿Ah, sí?*, i czekałem, aż coś doda. Tymczasem ona wzięła kilka książek i stos papierów z plastikowego stolika, który służył jej za miejsce do pracy, kiedy chciała się zaszyć na górze, i zniosła na biurko w pokoju. Cóż takiego powiedziała jej matka, o czym Aura nie wiedziałaby już wcześniej? Łatwo mi teraz utrzymać, że Aura po prostu nie miała ochoty na rozmowę, że z pewnością zwierzyłaby mi się kiedy indziej. Może sam nie chciałem jej naciskać z czystego lenistwa albo z braku zainteresowania – nudziły mnie dramaty jej matki. Chciałem się pieprzyć, a nie z n ó w gadać o Juanicie. Wiedziałem też, że Aura jest bardzo opiekuńcza wobec matki. Jeśli poznała nową wersję zdarzeń, ukazującą Juanitę w złym świetle – teraz mogę sobie wyobrazić jakieś mętne wyznanie po pijaku, wkrótce odwołane albo zracjonalizowane, co sprawiło, że wszelkie pozory spójności ulotniły się i wybrzmiały niczym upiorny chichot – nie sądzę, by zamierzała mi ją ujawnić, a w każdym razie nie od razu. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdobyłaby się na tę rozmowę. Po prostu nie wiem. Aura i Juanita miały swoje sekrety.

7.

Pośród błota i nienarodzonych truskawek, zapuszczających korzenie w ziemię zmieszaną z nawozem, kobiety trzymały białe nogi w rozkroku i ponaglały ją chóralnymi okrzykami: „Przyj, Señora Primera Dama, przyj!”. A Señora Primera Dama, zważywszy na skąpość relacji z wydarzeń, z których i ja, muszę przyznać, na przekór zdziwieniu i szyderstwom wątpiących w ten rodzaj pamięci prenatalnej, zachowałam niezatarte wspomnienia, przejawiające się w snach, które niestety często przeistaczają się w koszmary – wróćmy jednak do truskawek i historii moich narodzin.

– z niedokończonego opowiadania Aury Estrady *O truskawkach*

Uwielbiała truskawki, zanim zdążyła dogłębnie je poznać (zanim dowiedziała się wszystkiego o ich pochodzeniu i uprawie). Jadła je o każdej porze. A kiedy ich nie jadła, lubiła o nich myśleć; ze śmietaną, bez śmietany, bez niczego albo flambée. Nie od rzeczy będzie wysunąć hipotezę, że to miłość do *Fragaria* (Rosaceae) skłoniła ją do pośpiesznego małżeństwa z przyszłym strażnikiem i prokuratorem Państwa Truskawek. Ów związek miał też ją popchnąć ku niespodziewanej nienawiści do tego przyziemnego owocu.

– z niedokończonego opowiadania Aury Estrady *Historia błota*

Gdzie traci swą córkę, a gdzie ją odzyskuje???

Poczucie winy, którego się unika, aż się go nie da uniknąć, aż je dopadniesz albo ono cię dopadnie.

Jaka jest najlepsza metafora poczucia winy? Błoto!!!!

– z niedokończonego opowiadania Aury Estrady *Wizyta*

8.

Przed rozstaniem z ojcem Aury Juanita nigdy nie prowadziła auta samodzielnie. Mąż dał jej kilka lekcji w niedzielne popołudnia na spokojnych ulicach przemysłowej dzielnicy San José Tacubaya, siedząc na fotelu pasażera w swoim fordzie falconie i asekurując jej dłonie na kierownicy. Mimo to spakowała dwie walizki, wsiadła z czteroletnią Aurą w autobus jadący przez góry do Guanajuato i pożyczyła od Vicky volkswagena garbusa, nie uprzedzając jej, dokąd się wybiera. Włączyła się do ruchu na pełnej ciężarówek autostradzie i pokonała z córką całą pięciogodzinną trasę do miasta Meksyku. Choć Aura słyszała tę opowieść wielokrotnie, nie utkwił jej w pamięci żaden, bodaj najdrobniejszy szczegół tej legendarnej podróży.

Za to Aura zapamiętała tatę: jego nos, pucołowate policzki, lśniące ciemne oczy. Brał ją na ręce, unosił wysoko w powietrze, sadzał na barana i spacerowali tak po całym domu. Śpiewał i grał jej na gitarze piosenki Cri-Cri, uczył ją angielskich i francuskich słówek. Tysiąc razy na dzień powtarzał, że ją kocha. Na jednym ze starych zdjęć Aura siedzi mu okrakiem na brzuchu; ojciec leży na trawniku w ogrodzie, śnieżnobiały terier tańczy obok na tylnych łapach i chyba szczeka. Kiedy Aura patrzyła na fotografię, ogarniało ją nieraz jakieś dziwne poczucie oszołomienia, nieledwie fizyczne wspomnienie łaskotek, rzucania się ze śmiechem w ojcowskie objęcia i muskania policzkiem szorstkiego zarostu na brodzie, od czego przeskakiwały między nimi iskierki wyładowań elektrycznych. Potem już nigdy nie mieszkała w domu z ogrodem,

jeśli nie liczyć pobytu w Austin, gdzie mogła korzystać z ogrodu należącego do chłopaków z dołu. Zawsze marzyła o własnym domu z ogrodem.

Ilekcio Aura pytała, dlaczego rodzice się rozstali, Juanita odpowiadała ze znużonym westchnieniem: Héctor przestał mnie kochać. Błagałam go, żeby wrócił, *nena*, ale nie chciał. Wtedy zrozumiałam, że musimy się wyprowadzić i zacząć wszystko od nowa. Nie miałyśmy wyboru, *hija*.

Aura znała historię związku swoich rodziców – a przynajmniej jej wersję oficjalną. Juanita poznała Héctora, kiedy był studentem uniwersytetu w Guanajuato i mieszkał na stacji z dwiema siostrami Hernández, Lupe i Cali, oraz Vicky Padillą – późniejszymi *tías* Aury. Mama Violeta, matka Juanity, wysłała ją z Taxco do Guanajuato w wieku czternastu lat do żeńskiej katolickiej szkoły z internatem. Siostry Hernández mieszkaly we własnym domu, a ich matka, Mama Loly, na dobrą sprawę przyhołubiła Juanitę do rodziny i zaproponowała jej miejsce u siebie. Wtedy właśnie zaprzyjaźniły się z Vicky. Guanajuato, wzniesione na stromych skałach, pełne kościołów i innych zabytków architektury kolonialnej, ze słynnym uniwersytetem, wąskimi krętymi uliczkami, placami o spadzistej nawierzchni i mnóstwem barów, było wówczas, podobnie jak dziś, kosmopolitycznym miastem studenckim i celem turystycznych pielgrzymek. W połowie lat siedemdziesiątych okazało się takim samym przybytkiem pijaństwa, dragów i rozpusty jak każde inne miejsce na świecie. Nie zarzekałbym się, czy siostry Hernández, Vicky, a nawet Juanita korzystały z ówczesnych uciech, wiem jednak, że każda z tych kobiet uchodziła za młodą za zniewalającą piękność, co w wieku dojrzałym wydatnie zwiększyło ich podatność na nieudane związki, alkoholizm i inne klęski w życiu osobistym. Wtedy właśnie Juanita

poznała Héctora na prywatce w ich wspólnej kwaterze. Kilka lat wcześniej Héctor spotykał się z Lupe Hernández. Tamtego wieczoru – przynajmniej tak mi opowiadała Aura – jego uwagę przyciągnęła Juanita, ubrana w skórzaną minispódniczkę, ukazującą jej zgrabne mlecznobiałe łydki i uda. Juanita głośno się śmiała, była też znana z bezczelnych i uszczypliwych uwag; gruba kreska zarysowana czarną konturówką uwydatniała bijącą z jej oczu hardość. Dziewczyna onieśmiała rówieśników. Ale Héctor, miejscowy polityk i prawnik, był dziesięć lat starszy. Ubrany na biało od stóp do głów, zjawił się na przyjęciu z białą gitarą. Juanita zawsze podkreślała, że właściwie nie był przystojny, za to był dowcipny i elokwentny, miał jasną, delikatną cerę, twarz pełną wyrazu i smutny, ujmujący uśmiech. Prawdziwy sierota, adoptowany przez bezdzietne małżeństwo z San José Tacubaya – biegłego księgowego i jego żonę – podjął studia na wydziale prawa uniwersytetu w Guanajuato i wykazał się prawdziwym talentem. Cóż za błyskotliwy umysł, powtarzali wszyscy, i ma przed sobą świetlaną przyszłość – wschodząca gwiazda Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, polityk bardziej obiecujący niż Leopoldo, brat Juanity, który już wówczas działał w lokalnych strukturach PRI. Héctor potrafił zagrać na gitarze wszystkie piosenki Beatlesów, a kiedy śpiewał po angielsku *In the Summertime*, brzmiał zupełnie jak jeden z członków grupy Mungo Jerry, jeśli nie liczyć meksykańskiego akcentu. Juanita i Héctor pobrali się po dwóch latach znajomości, a niespełna rok później, w szpitalu w León w stanie Guanajuato, urodziła się Aura. Małżeństwo zamieszkało w San José Tacubaya. Partia wystawiła Héctora jako swojego kandydata na urząd gubernatora miasteczka. PRI nie zdarzyło się dotąd przegrać w wyborach do rady tej gminy. Héctor prowadził kampanię, mając u boku piękną i młodą żonę o długich falujących

kasztanowatych włosach, ubierając się w dzinsy i bluzki z ludowym haftem. Sam nosił wówczas fryzurę à la Bobby Kennedy, opadającą na oczy, i miał odstające uszy; reprezentował nowe oblicze PRI, nieco już mniej radykalnej partii rewolucyjnej, która zdołała odnowić swój program po krwawych doświadczeniach masakry studentów w 1968 roku, idąc z duchem czasu, a zarazem nie tracąc kontaktu z młodzieżą. Jako Primera Dama Municipal matka Aury znalazła się pod jeszcze większym obstrzałem opinii publicznej niż jej mąż, zmuszona do udziału w oficjalnych przyjęciach i uroczystościach oraz przewodniczenia najrozmaitszym spotkaniom dla pań, popołudniowym herbatkom, akcjom dobroczynnym, festynom i piknikom na plantacjach truskawek. Kiedy Héctor postanowił się rozwieść, Juanita natychmiast pojęła, że narzucona jej w tym spektaklu rola porzuconej matki z córką uniemożliwi im dalsze życie w San José Tacubaya. Wychowywanie Aury w takiej atmosferze przekraczało jej wyobraźnię. Zresztą i zniechęciła to beznadziejnie nudne miasteczko. Jedyne, czego w życiu nie żałowała, to decyzja o przeprowadzce do Distrito Federal i rozpoczęciu wszystkiego od nowa.

Czy poszło o inną kobietę, *Ma?*, pytała ją czasem Aura.

A skąd ja mogę wiedzieć, *hija*. Nic już mnie nie zdziwi. Ale Héctor nigdy nie był specjalnym kobieciarzem.

A ja?, dopytywała się dalej Aura. Dlaczego mnie opuścił? Czemu nie odpowiadał na moje listy?

Nawet rodzice najwspanialszych dzieci potrafią się czasem odkochać, próbowała tłumaczyć Juanita, za każdym razem zapewniając Aurę, że ojciec ją wprost uwielbiał. Ale Héctor się zmienił, dodawała po chwili. Teraz już wiadomo, że coś z nim było nie tak – Juanita miała na myśli jego psychikę. Nigdy nie wierzył w prezenty od losu, *hija*. Taki uroczy i błyskotliwy, a nie umiał

przewalczyć w sobie tej cechy, przez którą dusił w zarodku każdą nadzieję na szczęście.

Odkąd minęły dni chwały na stanowisku gubernatora, ojcu wiodło się coraz gorzej. Zamiast awansować, łądował coraz niżej w hierarchii – błyskawicznie czy stopniowo, tego już Aura nie wiedziała. *Tía Vicky* miała czasem od niego wieści: wykładał prawo na miejscowej uczelni, ale musiał dorabiać na boku rozwożeniem napojów do sklepów i dostarczaniem pustych butelek do punktów skupu. Trudno było uwierzyć, że upadł tak nisko. Kilka lat później runęły też przegniłe struktury znienawidzonej partii PRI – jej władze chyba nie były w stanie pojąć, że jeśli ktokolwiek mógłby poprowadzić ją w przyszłość, to właśnie ludzie pokroju młodego i rzutkiego prawnika, do niedawna *presidente municipal* San José de Tacubaya.

Najwcześniejsze wspomnienia Aury z miasta Meksyku wiążą się z matką, która przesiadywała godzinami w salonie ich maleńkiego mieszkania i przy zgaszonym świetle, zalewając się łzami, grała smutne piosenki na flecie. Ilekroć potem Aura słuchała ckliwych ballad José José, stawały jej przed oczyma tamte obrazy. Pisała listy do ojca. Dopóki nie nauczyła się stawiać liter, korzystała z pomocy matki. Czasem go nawet pytała, czemu nie pozwala im wrócić do domu. Matka wysyłała jej listy, ale ojciec nigdy nie odpisywał.

Wkrótce Juanita znalazła pracę w sekretariacie wydziału psychologii na uniwersytecie. Aura z matką przeprowadziły się do niewielkiego mieszkania z jedną sypialnią w południowej części miasta, na osiedlu wieżowców z tanimi lokalami dla pracowników uniwersyteckich, choć wielu najemców nie miało nic wspólnego z uczelnią i najprawdopodobniej przejęło lokale nielegalnie po krewnych i znajomych, wręczyszy łapówkę, komu trzeba. Mieszkanie pachniało stęchłym cementem i gazem. Podczas

wichury odpadały całe fragmenty elewacji, rozbijając i krusząc parapety. W nocy Aura wsłuchiwała się we wrzaski dorosłych kotów i rozpaczliwe miauczenie głodnych kociąt uwięzionych w szybach dwudziestopiętrowych wysokościowców, ale nie mogła ich ratować, bo matka mówiła, że na klatkach mieszkają też narkomani. Aura wyobrażała sobie, że ćpuny śpią w szybach do góry nogami, jak nietoperze, żywiąc się krwią kotów i zaginionych dzieci.

Zdaję sobie sprawę, że większość pracowników uniwersytetu mieszka do dziś w tych wieżowcach i z reguły nie narzeka na warunki lokalowe. Ale wrażenia Aury z miejsca, które nazywała czasem „Koszmarną Wieżą”, ukształtowały się nie tylko pod wpływem dziecięcych wspomnień z tych beznadziejnych lat – pewnego wieczoru stało się coś, co Aura zapamiętała jak przez mgłę, nie była nawet pewna, czy naprawdę się zdarzyło. A było to tak, jakby kilka lśniących odłamków pamięci nadwerężyło jej neurony i uwrażliwiło ją na pewne bodźce, na podobnej zasadzie, na jakiej słońce przebłyskujące między drzewami albo sztachetami płotu, a nawet widok przechodnia w jaskrawo prążkowanej koszuli przy słonecznej pogodzie może u niektórych wywołać drgawki.

Ilekcroć przyjeżdżaliśmy do Meksyku w lecie lub podczas przerw semestralnych, Aura zabierała mnie na długie spacerunki, a raczej wycieczki z przewodnikiem po ścieżkach swego dzieciństwa i wczesnej młodości: wokół Ciudad Universitaria i na terenie samego kampusu, na wpół autonomicznego miasta-państwa o powierzchni większej niż Watykan. Pewnego razu, kiedy szliśmy do restauracji z sushi przy Avenida Universidad i zatrzymaliśmy się na światłach, wskazała ręką na trzy wieżowce mające na horyzoncie, za rzędami stojących wzdłuż alei domów handlowych, niskich biurowców i lokali usługowych, i oznajmiła,

że właśnie tam, w *unidad habitacional*, w tym wieżowcu po lewej, mieszkały z matką przez pierwsze lata pobytu w stolicy. Budynki wzniesiono z myślą o sportowcach uczestniczących w olimpiadzie 1968 roku. Zasnute smogiem rozświetlonym promieniami zachodzącego słońca wyglądały jak paski niebieskawego kartonu naklejone na siwożółte niebo. Aura ciągnęła swoje wspomnienia, tymczasem ja gapiłem się na wieżowiec, próbując sobie wyobrazić klatki schodowe pełne rozwrzeszczanych kotów i wampirycznych narkomanów. Kiedy zmieniły się światła, wzięliśmy się za ręce i przeszliśmy na drugą stronę alei. Ponieważ matka Aury bała się wynosić śmieci po ciemku, zawsze prosiła sąsiada, żeby zszedł z nią na podwórko. Sąsiad był spokojnym otyłym mężczyzną i pracował w laboratorium na wydziale weterynarii. Ilekroć otwierał drzwi mieszkania, Aura zerknęła do środka, żeby popatrzeć na wyliniałą araraunę, siedzącą na drążku w głębi salonu, i na terraria, w których laborant trzymał węże i pająki. Miał też niewielkiego płowego kundla, który był równie dobroduszny jak jego pan i nigdy nie czekał, za to radośnie merdał ogonem i obskakiwał Aurę na korytarzu. Biedny psiak okropnie się bał windy, powiedziała Aura. Sąsiad co najmniej dwa razy dziennie wyprowadzał go na spacer, więc co najmniej dwa razy dziennie czekał w korytarzu na windę, która strasznie wolno jeździła i zatrzymywała się na piętrze z przeraźliwym zgrzytem. Przez ten czas grubas próbował uspokoić psa, głaszcząc go i przemawiając do niego pieszczotliwie, niestety, na próżno, bo gdy winda zajeżdżała z łomotem i rozsuwały się drzwi, przerażony kundelek tracił kontrolę nad pęcherzem i siusiał na podłogę. Tłuszcioch traktował swojego pupila jak nieznośne rozbisurmanione dziecko, rugał go cichym, zrezygnowanym, odrobinę nosowym głosem, który Aura umiała do dziś naśladować: w takim razie jeszcze nie możemy wyjść, *perrito*

necio, po czym wracał do mieszkania po wiadro i mop. Mimo że sąsiedzi wciąż się skarżyli na zastarzały smród psiej uryny przed wejściem do windy, mimo że ścieranie szczyń przed każdym spacerem musiało być dla niego udręką, otyły sąsiad zachowywał stoicki spokój i nigdy nawet nie wspomniał o pozbyciu się kundla.

Przykład bezwarunkowej miłości, czy co?, pamiętam, że wtrąciłem coś takiego, kiedy szliśmy dalej chodnikiem.

Aura odparła po chwili milczenia, tak, ale moim zdaniem dałby lepszy dowód swojego uczucia, gdyby przeprowadził się z tym psem na parter.

Może nie chciał się przeprowadzać, stwierdziłem, bo jeszcze bardziej kochał swoją matkę.

Quién sabe, niewykluczone, rzekła Aura. Biedny Άγας.

Ajas, jak ten płyn do czyszczenia?, spytałem.

Άγ-γας, odparła, jak bohater *Iliady*, pod czym ujęła mnie pod brodę, powiedziała, ay, mi amor *¿por qué eres tan tonto?*, i pocałowała mnie w usta. Tak przebiegał kolejny z naszych rytuałów, choć moje głupie uwagi, wbrew temu, co sugerowały jej przekomarzanki, nie zawsze były umyślne. Aura wyjaśniła, że płyn do czyszczenia także w Meksyku nazywa się Ajas, ale bohater z mitologii greckiej nosi hiszpańskie imię Άγας. Tak czy inaczej, matka schodziła do śmietnika po nocy pod warunkiem, że towarzyszył jej Άγας. Może naprawdę się w niej kochał, zastanowiła się Aura, i odkładał część śmieci na później, żeby mieć coś do wyrzucenia, kiedy matka do niego zapuka. Ciekawe... Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że to sąsiad, a nie pies miał na imię Άγας, i znów miałem wtrącić jakiś durny komentarz, ale ugryzłem się w język. Zastanowił mnie ton, jakim Aura powiedziała *c i e k a w e*, nuta smutku w jej głosie, jakby ktoś delikatnie uderzył czarny klawisz fortepianu.

Bardzo zabawna historia, rzekłem skwapliwie, żeby ją zachęcić do dalszego opowiadania. Zorientowałem się jednak, że jej nastrój raptownie się zmienił. Jak wabił się pies?, spytałem. Nie pamiętam, odparła. Przysunęła się bliżej i położyła mi głowę na ramieniu. Nie odzywała się przez całą drogę, aż usiedliśmy przy stoliku w restauracji. Sushi okazało się całkiem niezłe jak na tutejsze standardy. Restaurację prowadzili prawdziwi Japończycy, nie Meksykanie poprzebierani w kimona i opaski na czoło, jak w większości tego typu lokali. Wnętrze było urządzone tradycyjnie, w ciemnym, misternie rzeźbionym drewnie, z mnóstwem lampionów z czerwonego papieru ozdobionych japońskimi ideogramami.

Może to się zdarzyło przy kontenerach na śmieci, powiedziała Aura, nie na klatce schodowej, jak mi się zawsze wydawało.

Co się zdarzyło przy kontenerach?, spytałem ostrożnie.

Coś naprawdę strasznego, odparła. Mojej matce. Nie wiem, może. Nie masz pojęcia, Frank, ile matka wtedy wycierpiała. Zrozum, między innymi dlatego nie potrafię się na nią porządnie rozzłościć. Nie sądzę, by kiedykolwiek wyznała mi całą prawdę. Nawet na łożu śmierci – Aura wzdrygnęła się demonstracyjnie i objęła się wpół, jakby nagle zmarzła. Podkasła rękaw bawełnianego swetra i pokazała mi przedramię. Spójrz, powiedziała. Miała gęsią skórkę. Kiedy ująłem jej dłoń, okazała się zimna i mokra od potu.

¿Qué te pasa, mi amor?

Przez jakieś pięć minut wpatrywała się smutnym wzrokiem w blat stołu – może trwało to krócej, ale i tak wystarczająco długo. Siedziałem naprzeciwko, bojąc się choćby odetchnąć.

Cóż, miałam raptem cztery, góra pięć lat, odezwała się w końcu, więc nie pamiętam dokładnie – kiedy Aura zaczęła mówić, uciekła oczami w bok. Z trudem cedziła słowa, a jej głos brzmiał trochę

dziecinnie. Wracaliśmy do domu późno, taksówką, tego jestem pewna. Matka zabrała mnie ze sobą do Vicky, albo coś w tym rodzaju. *Vocho verde*, zielony volkswagen, jak wszystkie taksówki w tamtych czasach, z wyjętym przednim siedzeniem. Chyba spałam – musiała mnie obudzić – i powiedziała, Auro, poczekaj na mnie, zaraz wrócę, tylko pójde po pieniądze. Jej głos brzmiał normalnie, ale sprawiała wrażenie wystraszonej, jakby ze wszystkich sił próbowała nad sobą zapanować; usta jej drżały, jakby miała za chwilę wybuchnąć. Czy to się naprawdę zdarzyło, czy już dawno temu to sobie wymyśliłam, żeby wypełnić lukę w pamięci i pozbyć się uczucia niepewności? Nie mam pojęcia.

Nie jesteś pewna, czy matka naprawdę coś takiego powiedziała?, spytałem. A czego się spodziewałaś? Przecież to było strasznie dawno temu. Czy w takim razie jest coś, co n a p e w n o pamiętasz?

Pamiętam kierowcę, odparła Aura, a przynajmniej tak mi się wydaje. Po pierwsze, pamiętam tył jego głowy. Taksówkarz miał wielki łeb i krótkie czarne włosy, jakby przyлизane na szczycie. Pewnie miał też uszy – zachichotała ponuro – ale ich nie zapamiętałam, tylko tę głowę. Wyglądała jak martwa planeta. Wiesz, co mam na myśli? Martwa planeta promieniująca antymaterią. Po drugie, jego kark, przypominający świńską szyję. Po trzecie, jego oko. Kiedy matka wysiadła z taksówki, odwrócił głowę i wtedy je zobaczyłam. Zwróciłeś uwagę – Aura spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem – że zawsze milknę na tylnym siedzeniu, jeśli taksówkarz ma taką wielką głowę?

Tylko w Meksyku czy w Nowym Jorku też? Nigdy nie zwróciłem na to uwagi.

Przeważnie tutaj, powiedziała. W Nowym Jorku są inne taksówki, no, wiesz, mają przegrodę, która oddziela kierowcę od pasażerów.

Może coś tam zauważyłem, ale nie zdawałem sobie sprawy, że chodzi o głowę taksówkarza, odparłem.

Kiedy zobaczyłam to oko, przestraszyłam się.

Czego się przestraszyłaś?

Aura odchyliła głowę na bok i zmrużyła jedno oko.

Faktycznie, straszne, przyznałem z uśmiechem, ale zastanowił mnie wyraz jej twarzy. Wiem, myślisz sobie, to takie urocze, a ja chcę, żebyś mi uwierzył, rozpaczliwie pragnę, żebyś zrozumiał, co do ciebie mówię. Jak sądzisz, co wydarzyło się tamtej nocy?, spytałem.

Zostawili mnie samą w taksówce, powiedziała. Wysiedli oboje, kierowca i matka. Chyba zablokował drzwi, nie pamiętam. Wyobrażasz sobie, jakie to uczucie?

Nie, szepnąłem. Choć potrafiłem sobie wyobrazić czteroletnią Aurę siedzącą w taksówce jak zapomniana lalka, z rozrzuconymi nogami, z pyzatą buzią, z oczami pełnymi niezrozumienia i strachu.

Może weszli do budynku po drugiej stronie placu, powiedziała Aura, nie jestem pewna. Nie pamiętam, czy byli tam jacyś inni ludzie, nie pamiętam, kiedy matka wróciła. Wiem tylko, że wyciągnęła mnie z taksówki i wzięła na ręce; pamiętam, że wtuliłam jej się twarzą w ramiona. Chyba płakałam. Ale nic więcej nie pamiętam.

Aura roztrząsała te fragmenty wspomnień przez wiele lat, również podczas terapii; próbowała samodzielnie złożyć je w całość, ale wypytywała też o incydent matkę. *Ayyy no, hija*, nie teraz! – brzmiała zwykle odpowiedź Juity. *Próbujesz mi wmówić, że naprawdę coś z tego pamiętasz? Nic się wtedy nie stało. iNo pasó naaada!* Pewnego razu, gdy Aura przycisnęła ją do muru i spytała, czy przynajmniej wezwałaś policję, *Ma?*, matka zareagowała wybuchem sztucznego śmiechu: No, pewnie! Przecież każdy by tak

się zachował! Wezwać policję? Żeby postawili tequilę temu *cabrón*? Za co mieliby mu postawić, *Ma?*, spytała Aura. Matka spojrzała na nią pustym wzrokiem, po czym odpaliła, za to, że mnie okradł, *hija*, a niby za co?

Aura zmięta w rękach serwetkę. Po chwili odezwała się cichym i drżącym głosem, Frank, czasem tak się boję, że wszystko mi się wymknie spod kontroli. To mnie przerasta. Sam widziałeś, wiesz, o czym mówię.

Usiadłem przy niej i objąłem ją ramieniem. Sam widziałem i miałem jeszcze nieraz zobaczyć. Pewnie miała na myśli naszą nocną rozmowę o zamachu bombowym w Madrycie 11 marca, mniej więcej pięć miesięcy wcześniej, i swoją gwałtowną reakcją na te wydarzenia, pierwszą, jakiej byłem świadkiem. Choć w dniu zamachu Aury nie było w Madrycie ani w ogóle w Hiszpanii, jej płacz i ogólne roztrzęsienie na wieść o kolejnym akcie terroru nie sprawiły na mnie wrażenia taniego aktorstwa, uznałem je raczej za przejaw empatii jasnowidzącego dziecka i pamiętam, jak sobie pomyślałem, że każdy, przynajmniej od czasu do czasu, powinien w ten sposób zareagować na okrucieństwo tego świata. Podobna sytuacja zdarzyła się u nas w domu na Brooklynie pewnego mroźnego wieczoru, kiedy oglądaliśmy na DVD film o aresztowaniu Abimaela Guzmána, przywódcy terrorystycznej organizacji partyzanckiej Świetlisty Szlak. W pierwszych scenach filmu Guzmán wciąż jeszcze siał śmierć i zniszczenie ze swej mrocznej kryjówki. Zbliżenie woskowożółtej twarzy zbrodniarza, jego szydery śmiech i węzowy błysk w zimnych oczach doprowadziły Aurę na skraj paniki. Oskoczyła od telewizora i skuliła się w rogu łóżka, objęła głowę rękami, zaczęła się gwałtownie trząść i płakać. Nie miało dla niej znaczenia, że ogląda aktora wcielającego się w postać Guzmána, zachowywała się tak, jakby mordercze instynkty terrorysty, jego

obojętność na zawinione przez siebie cierpienia, a nawet rozkosz, jaką z nich czerpał – innymi słowy, zło w stanie czystym – wypełzły przez jakąś szczelinę z ekranu i rozlały się po naszej sypialni. Jej lęk był tak obezwładniający, że truchlałem na samą myśl, jak by się to skończyło, gdyby znalazła się w domu sama i nie mógłbym jej przytulić ani uspokoić. Takie napady, choć zdarzyły się tylko kilka razy podczas naszego czteroletniego związku, przypominały reakcję weterana na traumatyczne wspomnienia z wojny.

Czasem odnoszę wrażenie, że po śmierci Aury odziedziczyłem jej sposób przeżywania dziejących się wokół okropności. Nie trzęsę się wprawdzie ani nie szlocham, z pewnością jednak tracę nad sobą kontrolę. Pewnego dnia podczas pobytu w Meksyku wybrałem się na wystawę upamiętniającą czterdziestą rocznicę masakry na placu Tlatelolco, a potem przeszedłem kilka przecznic dalej, na miejsce ówczesnych wydarzeń. Szpetny blok mieszkalny, architektoniczny bliźniak Koszmarnej Wieży, choć zaledwie kilkupiętrowy, zamyka jedną z pierzei betonowego placu; po przeciwnej stronie znajduje się stanowisko archeologiczne – ruiny Tlatelolco, gdzie po zwycięskiej bitwie hiszpańscy konkwistadorzy porzucili w okolicznych kanałach i gruzowiskach rozkładające się zwłoki czterdziestu tysięcy pomordowanych Indian. W dniu masakry 1968 roku żołnierze przemknęli się ukradkiem przez stanowisko i zajęli pozycje na skraju ruin, skąd otworzyli ogień do zgromadzonych na placu ludzi, w większości demonstrujących studentów, ale też dzieci z sąsiedztwa i przypadkowych przechodniów. Tamtego popołudnia, kiedy spoglądałem w dół z miejsca, gdzie stało wojsko, plac był niemal pusty, tylko trochę śmieci i bawiących się dzieciaków. Było też bardzo cicho, jakby wszyscy mieszkańcy bloku zamilkli w unisonie, wyłączwszy radia i telewizory, żeby lepiej usłyszeć, co się za chwilę wydarzy. Nawierzchnia placu miała odcień

grafitowej szarości, niebo było o ton jaśniejsze, parne, letnie powietrze zdawało się samo oddychać, nisko zawieszona deszczowa chmura przywołała na myśl duchy żołnierzy gotowych do oddania śmiertelnych strzałów. Nawet kołowa wyrysowana plansza do gry w klasy wyglądała złowieszczo, jakby zamaskowano nią jakiś ukryty właz. Pomyślałem o Aurze, która bez trudu odnalazłaby tutaj przedmiot swoich lęków. W tym miejscu śmierć kryła się w cieniach, w świetle, oddychała w powietrzu, roznosiła śmieci po placu. Śmierć silniejsza niż życie, gotowa przeciąć powietrze wrzaskiem erynii, zstąpić w ciszy na bawiące się dzieci albo na cały świat.

Niewykluczone, że doświadczyłem wówczas nieco łagodniejszej formy lęku, o którym Aura wspomniała w restauracji japońskiej. Tamta rozmowa skłoniła mnie do przypuszczeń, że związek Aury z matką był równie głęboki jak tajemniczy, że przypominał bankowy depozyt złożony dwanaście pięter pod ziemią, w sejfie, do którego tylko one znały kod dostępu. Czyżby spadł na mnie obowiązek dzielenia się z Aurą emocjami, jakie żywiła do własnej matki, tą mieszaniną litości, strachu, szacunku i wdzięczności? Podzielałem jej odczucia, przynajmniej częściowo. Wszystko to było dla mnie nowe: ten poziom intymności i wzajemnego zaufania, który z jednej strony wymagał wzrostu uwagi, z drugiej zaś zawężenia pola widzenia, by zmieścić całą przeszłość i teraźniejszość w promieniu jej życia; nauczyć się przewidywać i chronić, być zawsze gotowym. Możecie mi nie wierzyć, ale miłość była dla mnie czymś nowym. Jakim cudem udało mi się przekroczyć czterdziestkę i nic na ten temat nie wiedzieć? Tymczasem minął ledwie rok od śmierci Aury, a ja już zacząłem się bać, że nigdy nie zdołam zatroszczyć się o nikogo innego poza nią.

9.

Juanita miała prochy Aury. Ja miałem dzienniki Aury. Juanita zataiła przede mną, co się stało z prochami, ja zataiłem przed nią los dzienników. Starłem się nie wynosić ich z domu i ślęczałem przy biurku całymi dniami, wertując zapiski, przepisując z nich zdania i całe akapity. Lektura zeszytów Aury z dzieciństwa wprawiała mnie czasem w konfuzję, wzniecała bowiem uczucie, jakiego wcześniej nie znałem, przypominające raczej rodzicielską miłość. Może to zresztą tylko złudzenie. Przecież nie mam dzieci, więc skąd mógłbym wiedzieć, co czują i myślą rodzice?

Przepisywałem takie właśnie zdania z dzienników Aury:

My jesteśmy los bichitos!

Był to prawdopodobnie jej pierwszy dziennik, w jasnoniebieskiej plastikowej okładce z pasterką Little Bo Peep i zagubioną owieczką. Przewiska „bichitos” używał *tío* Leopoldo na określenie stadka brzdąców w piżamach – trójki własnych dzieci, Aury i jeszcze jednej dziewczynki – dokazujących na ogrodzonym podwórzu. Wyobraziłem sobie pilnującego ich Leopolda z owiniętą w serwetę szklaneczką szkockiej z wodą sodową, z kozim zarostem wokół szczupłej, odrobinę zaciętej twarzy, na której wyraz powagi miesza się z rozbawieniem. Czemu tak się to spodobało sześciolatniej Aurze? Bo to śmieszne, kiedy ktoś o tak nieprzeniknionym obliczu zwraca się do swoich dzieci i siostrzenicy per „robaczki”. Poza tym Aura czuła się dobrze w towarzystwie kuzynów. Mieszkały z matką

w Koszmarnej Wieży mniej więcej od roku, a *tío* Leopoldo osiedlił się z żoną, dziećmi i służącą w pobliskiej dzielnicy Coyoacán w odremontowanym domu kolonialnym z czarnego, otynkowanego na żółto kamienia wulkanicznego. Aura spotykała się wtedy często ze swoim rodzeństwem ciotecznym. Kiedy wuj się rozwiódł, a dzieci przeprowadziły się z matką do jej nowego, bogatego męża, w zasadzie przestała się z nimi widywać. (Nie przyjechali na nasz ślub; tylko jedno z nich zjawiło się na pogrzebie).

Tamtego wieczoru na placu zabaw pojawiła się nowa dziewczynka, wysoka i śliczna Katia. Trzymała się z boku, jakby nie umiała się bawić w berka, aż w końcu Rafa, kuzyn Aury, chwycił ją za rękę i wciągnął do gry. Nikt nie był w stanie jej dogonić; biegała po podwórzu niczym wystraszona łania. Ojcem Katii był Rodrigo, rosły, żylasty, prosty jak struna mężczyzna o czarnych włosach do ramion i bystrych oczach w kształcie migdałów. Miał miedzianą karnację, ciemniejszą niż córka; w przeciwieństwie do Juanity, która miała jaśniejszą cerę niż Aura. Juanita i Rodrigo wpadli powiedzieć dzieciom dobranoc, po czym wyszli dokądś razem; niedługo później los bichitos zapędzono do łóżek. Nad ranem, kiedy dzieci jadły śniadanie i oglądały telewizję, Aura niecierpliwie czekała na powrót matki, a Katia nie mogła doczekać się ojca. Oboje zjawili się koło południa.

Mamá i Rodrigo mieli na sobie te same ubrania co wczoraj!

Zanotowała Aura w dzienniku. Wkrótce potem Rodrigo i Katia wprowadzili się do ciasnej klitki w Koszmarnej Wieży zajmowanej dotąd przez Juanitę z córką. Od tamtej pory Aura musiała nazywać Rodriga *papá*, Katia mówiła do Juanity *mamá* i dziewczynki zostały siostrami. Kim była prawdziwa matka Katii i co się z nią stało? Miała na imię Yolanda i mieszkała w Orlando na Florydzie,

niedaleko Disney World. Porzuciła męża i córkę bez uprzedzenia; podobno nie chodziło o żadnego mężczyznę. Dlaczego to zrobiła? Bo marzyła o czymś innym. Chciała zacząć nowe życie w Orlando w Stanach Zjednoczonych. Mała Katia odwiedziła matkę najwyżej cztery razy podczas wakacji. Z czasem spotykały się coraz rzadziej, aż w końcu kontakt całkiem się urwał; Yolanda przestała nawet dzwonić w urodziny córki. Znalazła pracę hostessy w jednej z restauracji w Orlando i zaczęła się kształcić w branży „luksusowych usług gastronomicznych”. W końcu została sommelierką. Oczywiście zyskała też obywatelstwo amerykańskie. Dowiedzieli się o tym z artykułu w czasopiśmie „Good Life Orlando”, który Yolanda wysłała krewnym Rodriga w McAllen w Teksasie. O jej życiu osobistym nie dowiedzieli się nic. W artykule nie było wzmianki o żadnym mężu, ani byłym, ani obecnym.

Rodrigo i Yolanda pochodzili z Culiacán, miasta na surowej, skwarnej, spalonej słońcem północy. Rodrigo przyjechał na uniwersytet w Meksyku, gdzie zrobił dyplom na wydziale socjologii i został gwiazdą drużyny baseballowej, występując jako miotacz i outfielder grający na polu zewnętrznym. Był urodzonym mięśniakiem, ale duch czasu i życie studenckie zrobiły z niego hippisa, stronnika ruchów lewicowych, kontestatora, uczestnika demonstracji i zajadłego awanturnika politycznego. Poprzysiągł sobie, że robi wszystko, by ulżyć niedoli biedaków. Tymczasem ledwo skończył studia, spadł na niego obowiązek utrzymania żony z dzieckiem, poszedł więc do pracy w firmie budowlanej swojego wuja. Kilka lat później nie miał już żony i został samotnym ojcem.

Jego smukła i zgrabna córeczka, która odziedziczyła po matce jedwabście czarne włosy, lśniące brązowe oczy, bladą cerę i różowe policzki, w każdej szkole okazywała się najpiękniejszą,

najgrzeczniejszą i najmiłą dziewczynką w klasie, najpopularniejszą wśród rówieśników, pilną uczennicą, otrzymującą najwyższe stopnie prawie ze wszystkich przedmiotów. Aura, dwa lata młodsza od przyszywanej siostry, też była dobrą uczennicą, choć nie tak zdyscyplinowaną ani tak równą w ocenach; jej złośliwe wybryki często bywały zabawne, ale niektórzy uznawali je za przejaw krępującego dziwactwa. Na przykład w tamtym roku, kiedy Juanita kilkakrotnie łądowała na dywaniku u panny Becky, dyrektorki Colegio Kensington, ponieważ Aurę codziennie przyłapywano na drobnych kradzieżach z uczniowskich plecaków i tornistrów – ołówka automatycznego ze Spider-Manem, portmonetki z Hello Kitty, linijki z Wonder Woman i tak dalej – i wyglądało na to, że żadna kara ani upomnienie przy klasie nie wyleczy jej z tego nałogu. Juanita i Rodrigo obiecali Aurze, że jeśli do końca roku szkolnego już nic więcej nie przeszkobie, pozwolą jej wyjechać z Katią do domu Yolandy w Orlando, niedaleko Disney World. Zanim do Juanity dotarło, że Aura zrobi wszystko, byle tylko uniknąć wakacji z przyrodnią siostrą i jakąś sommelierką w Orlando, mała łobuziara prawie wyleciała ze szkoły. Kiedy matka wycofała się z obietnicy, złodziejskie wybryki ustały.

Rodrigo znalazł wkrótce posadę, którą miał utrzymać co najmniej przez ćwierć wieku, w firmie konsultingowej świadczącej organom administracji lokalnej usługi doradcze w dziedzinie rozwoju budownictwa komunalnego. Mniej więcej o czymś takim marzył od ukończenia studiów. Jeździł po całym Meksyku, spotykał się z urzędnikami, członkami komisji mieszkaniowych i przywódcami miejscowych wspólnot, wysłuchując ich propozycji i dzieląc się w zamian radami. Firma kontaktowała samorządy z prywatnymi przedsiębiorcami, którzy otrzymywali zamówienia po podpisaniu stosownych umów. Rodrigo nie miał wiele do czynienia

z wykonawcami zleceń budowlanych; dostarczał tylko ich raporty i zalecenia do swojego szefa, jedynego właściciela firmy. Zwierzchnik Rodriga, jego dawny profesor ze studiów urbanistycznych, bogacił się dzięki współpracy doradców z inwestorami. Rodrigo był w nieustannych rozjazdach, przebywał poza domem nieraz i pięć dni w tygodniu, co chyba mu nawet odpowiadało; zarabiał grosze.

Juanita, sekretarka dziekana wydziału psychologii, zatrudniona na pół etatu w charakterze asystentki badawczej i dorabiająca wieczorami w bibliotece, dostawała co miesiąc przeszło dwa razy więcej pieniędzy niż Rodrigo. Sama wpłaciła zadatek na nowe mieszkanie w kompleksie Copilco oferującym lokale o znacznie wyższym standardzie niż w Koszmarnej Wieży. Rodrigo i Juanita mieli własną sypialnię, dziewczynki dostały nieco mniejszy pokój po drugiej stronie korytarza. W mieszkaniu były dwie łazienki, oddzielna kuchnia i duże pomieszczenie pełniące funkcję salonu połączonego z jadalnią. Brama ze strażnikiem, tuż przy zjeździe z alei, prowadziła na parking i ogrodzone podwórko. Dzieci mogły się bawić na dworze i jeździć po placu na rowerach i wrotkach; nie trzeba było omijać niebezpiecznych klatek schodowych ani przechodzić do samochodu po ciemku. Aura miała na osiedlu przyjaciółkę, którą rodzice puszczali wieczorem samą do śmietnika –

na co matka nigdy mi nie pozwalała,

zapisała w dzienniku. Miasto Meksyk zmagало się wówczas z katastrofalnym zanieczyszczeniem powietrza; stężenie trujących substancji bywało tak wysokie, że dzieci zwalniano z obowiązku chodzenia do szkoły, a z nieba spadały martwe, poduszone smogiem ptaki. Jeden runął tuż przed rowerem Aury, kiedy kręciła ósemki na placu parkingowym.

Aura i Katia miały skrajnie odmienne charaktery, a w każdym razie dokładały wszelkich starań, żeby się od siebie odróżnić. Jeśli po jednej stronie sypialni dziewczynek wszystko leżało w idealnym porządku, po drugiej – zgadnijcie po której – panował nieopisany bałagan. Katia była spokojna, śmiała, czasem nawet zbyt pewna siebie, nigdy nie płakała i nie dawała się wyprowadzić z równowagi, sprawiała wrażenie zdystansowanej, która potrafi bez trudu dostosować się do wymagań otoczenia. Aura była nieznośną beksą, uprzykrzoną pleciugą i pyską histeryczką. Katia od dziecka miała fioła na punkcie modnych ciuchów i zawsze umiała podpowiedzieć Juanicie, jak powinna dbać o jej garderobę, by bez rujnowania domowego budżetu mogła zachować palmę pierwszeństwa wśród najlepiej ubranych dziewcząt w szkole. Aura wolała dżinsy, sztruksowe spodnie na gumce, workowate bluzy i ogrodniczki; uwielbiała kolorowe trampki, gumowe kalosze i klapki, ekstrawaganckie kapelusze i wielkie okulary przeciwsłoneczne. Starsza z przyszywanych sióstr szanowała swoje zabawki. Młodsza niszczyła wszystkie bez wyjątku – własne i cudze. Katia była rozkochana w lalkach Barbie. Aurą, owszem, lubiła się bawić lalkami, ale miała też transformersy, zestawy Power Rangers, wojownicze żółwie Ninja, zabawki z serii Robotix, konsolę Atari i tak dalej. Obydwie przepadały za książkami, ale Aura bardziej –

Przeczytałam książkę po angielsku, *Małe kobiety*, i wszystko bardzo dobrze rozumiałam,

zanotowała w dzienniku, kiedy miała dziewięć lat; pięć dni później złożyła samokrytykę, że często woli komiksy – *Mafaldę*, *Betty and Veronica*, *La Familia Burrón* – od „prawdziwych książek”. Katia była świetna w grach zespołowych. Aura lubiła jazdę rowerem i na wrotkach. Obydwie dziewczynki posłano do szkoły baletowej.

Wydawało się z początku, że Katia jest urodzoną baleriną, szybko jednak straciła zainteresowanie lekcjami, zniechęcona harówką podczas prób i ćwiczeń; wolała spędzać czas z kolegami. Aura, choć nie miała takich predyspozycji fizycznych jak Katia, podeszła do lekcji tańca z zaskakującym zapałem i brała w nich udział przez lata. Z czasem została pierwszą solistką w szkolnych przedstawieniach i asystentką w klasie dla początkujących. W swoim dzienniku wyznała, że nie chce dłużej dzielić sypialni z Katią; wolałaby ją przekształcić w salę baletową z drążkiem do ćwiczeń i lustrem od podłogi do sufitu.

W dni powszednie Rodrigo rzadko bywał w domu, więc to Juanita odprowadzała Aurę i Katię do szkoły, chodziła z nimi do lekarza, do dentysty, a później także do psychoterapeuty, na lekcje baletu i na nauki przed bierzmowaniem, na przyjęcia urodzinowe koleżanek, na zbiórki harcerskie, na korepetycje z francuskiego i matematyki, na półkolonie organizowane przez masonów, i wszędzie indziej. Na szczęście mieszkały parę kroków od uniwersytetu. Poza tym Juanita mogła korzystać z pomocy swoich przyjaciółek z Guanajuato, które przeprowadzały się do Dystryktu Federalnego jedna po drugiej, uciekając od byłych mężów i partnerów wraz z dziećmi z tych nieudanych związków. Juanita najęła gosposię Urszulę, która przyjeżdżała co rano z przedmieścia i wychodziła dopiero o czwartej, a i tak musiała jeszcze przyrzadzić kolację dla swojej rodziny.

Matka właściwie samotnie wychowywała Katię i swoją własną córkę, mawiała Aura. Prawdę powiedziawszy, traktowała Katię lepiej niż mnie. Katia mogła startować do programu *Little Miss Perfect*, a ja przysparzałam wszystkim kłopotów. Rodrigo umiał dopilnować, żeby jego córka była zawsze lepiej przystosowana, mniej zdemoralizowana i szczęśliwsza. Bronił jej za wszelką cenę.

A matka godziła się na wszystko, co powiedział Rodrigo, przede wszystkim ze strachu przed powtórny odrzuceniem.

Aura opowiadała o swoim samotnym dzieciństwie. Matka często wracała z pracy dopiero o dziesiątej wieczorem. Katia lubiła spędzać czas po szkole w towarzystwie koleżanek, które zwykle zapraszały ją do siebie, z dala od osiedla Copilco; nigdy nie zabierała ze sobą swojej młodszej przyszywanej siostry i rzadko ściągała przyjaciółki do Copilco – Aura zapamiętała ostatnią z tych nielicznych wizyt. Kiedy Katia poszła do kuchni, żeby sprawdzić, czym może poczęstować koleżanki, znalazła w zamrażalniku pojemnik z zielonymi kostkami lodu, przyrządzonymi, jak sądziła, z limonkowej galaretki Jell-O albo z napoju Kool-Aid. Kostki zrobiła Aura, ale zabarwiła je na zielono płynem do WC marki Lysol. Uwielbiała zapach domowych środków czystości i odkryła, że jeśli mieszać je z odrobiną wody i zamrozić w kostkownicy do lodu, będą miały jeszcze świeższy aromat. Przystawiasz pojemnik do twarzy, dotykasz lodu czubkiem nosa – co samo w sobie jest bardzo przyjemne, o czym dwadzieścia lat później próbowała przekonać swojego męża w kuchni na Brooklynie, choć wówczas posłużyła się zwykłymi kostkami do napojów – po czym głęboko wciągasz powietrze: mmmmm, aż wierci w nosie od tego mrozu! Aura już wtedy miała problemy z zatokami na tle alergicznym, zaostrzające się pod wpływem miejskich zanieczyszczeń. Później, kiedy skończyła trzynaście lat, weszła w fazę nastoletniego buntu i paliła tak namiętnie, że przezywali ją w szkole La Pipa, musiała przejść operację zatok. Katia podała przyjaciółkom zielone kostki lodu owinięte w serwetki. Wręczyła też porcję Aurze, która przystawiła sobie kostkę do nosa, wciągnęła powietrze i rozejrzała się wokół z uśmiechem, żeby sprawdzić, czy wszystkim odpowiada zapach mrożonego płynu do czyszczenia, zobaczyła jednak, że Katia

i jej koleżanki wysunęły języki z ust i zaczęły lizać jej wynalazek. Aura nie umiała potem wytłumaczyć, czemu nie uprzedziła dziewczynek; nie przyszło jej do głowy, że można być tak głupim i lizać zmrożone kostki lysolu.

Diabla idiota!, wrzasnęła Katia, otrułaś moje przyjaciółki! Spanikowane dziewczynki zaczęły krzyczeć, wezwijcie karetkę! Aurze opadła szczęka. To tylko takie żarty, prawda? Kilka pańienek, krztusząc się łzami, zadzwoniło do rodziców. Spędzisz resztę życia w więzieniu!, darła się Katia. Skonsternowana Aura zamknęła się w łazience, szlochając ze wstydu i przerażenia. Mimo całej hysterii nikt się nie rozchorował ani nawet nie wymiotował; po paru liźnięciach dziewczynki wypluły kostki na dywan. Juanita miała później twardy orzech do zgryzienia: serdecznie współczuła Aurze, musiała jednak jakoś ją ukarać. Szlaban na rower przez dwa tygodnie! Kilka dziewczynek dostało kategoriyczny zakaz odwiedzin u Katii – tyleż pochopna, co okrutna reakcja rodziców przysporzyła jej sporych problemów w szkole.

Mało brakowało, a po powrocie zastałabym sześć martwych dziewczyn na podłodze! Aura podsłuchiwała, jak matka wyzala się przez telefon do babci, Mamy Violety. Juanita miała poważne obawy, że Aura nie umie oddzielić fantazji od rzeczywistości, bo zbyt długo przesiaduje sama w domu. Musiała jednak pracować do późna, żeby opłacić wykształcenie obu podopiecznych. Nie miała innego wyjścia.

Rodrigo z matką poszli na targ i kupili Aurze szczeniaka teriera szkockiego, żeby dotrzymywał jej towarzystwa popołudniami. Aura była w siódmym niebie. Niestety, zwierzak miał kłopoty ze zdrowiem i zaledwie tydzień później zdechł. Matka próbowała przekonać Aurę, że to nie jej wina, że sprzedawcy wcisnęli im

z rozmysłem śmiertelnie chorego psa.

W niedokończonych opowiadaniach i innych fragmentach prozy, które odkryłem później w komputerze Aury, małe narratorki zawsze padają ofiarą upokorzeń ze strony starszych siostr przyrodnich:

„To twoja wina, że gospoia od nas odeszła”.

„Nieprawda”, odparłam, gwałtownie podnosząc głos.

„To twoja wina, że mój ojciec nie odwiózł nas dziś do szkoły”, ciągnęła.

Przełknęłam ślinę i powtórzyłam „nieprawda”, tym razem bez przekonania.

Minęły dwa lata. Rodrigo i Juanita zdążyli się pobrać. Aura zanotowała w dzienniku:

Mam wszystko, nawet swój dzienniczek, a rodzice mnie kochają. Skończyłam dziesięć lat. Moja siostra jest ciągle zajęta. Lubię pisać opowiadania i wysłałam jedno do gazety „La Jornada”.

Mama wygłosiła odczyt na uniwersytecie, był *padrísimo*, czułam się taka szczęśliwa!

Właśnie się ubrałam i jestem wściekła, *mamá* jest niemożliwa, nie wiem, co się z nią dzieje, prawdę mówiąc, trochę jej nie lubię, no, dobra, wcale jej nie lubię, najzwyczajniej nie możemy się dogadać, cokolwiek powiem, to ona się wkurza, czasem nawet nie daje mi dojść do słowa. A może po prostu nie jestem w nastroju, więc idę na wrotki.

Coś się stało, jest jakoś dziwnie, wszystko się zmieniło. *Papá* ciągle wyjeżdża, a kiedy widuję się z nim w weekendy, czuję, że coś nie gra.

Chyba potrzebuję jakiejś innej przyjaźni. Przyjaźni pełnej miłości, w której ciągle by się mówiło, jak bardzo się kochamy, w której odczytywałyby się sygnały wysyłane przez drugą stronę, tworzyło zgraną paczkę, ale do tej pory nie udało mi się nikogo takiego znaleźć.

Dziś tak samo jak zawsze. Nie wynudziłam się, ale też się specjalnie dobrze nie bawiłam. Ale po południu idziemy do Perisur kupić kostium kąpielowy dla Katii.

Zgłodniałam, a ponieważ nie znoszę jeść razem z Katią, poszłam do kuchni z Ursulą. Ona już skończyła, ale obiecałam, że zjem szybko i nie będę przeszkadzać, a potem usiadłyśmy razem przy herbacie ze słodkimi bułeczkami, mówiłam do Ursuli po angielsku i wyjaśniałam jej znaczenie słówek.

Cárdenas zyskał głosy różnych wyborców, między innymi matki i ojca, a ja jestem po ich stronie. Stanęliśmy przed budynkiem Kongresu, na znak poparcia dla naszej partii. Ludzie z Partii Akcji Narodowej robili dużo hałasu, a my po prostu składaliśmy palce w literę V, symbol zwycięstwa. Kiedy przemawiał ktoś z Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej, odwracaliśmy się wszyscy plecami. Matka знаła takiego jednego z PRI: kiedy tylko się pojawił, obrzuciła go obelgami. Niosłam transparent z napisem

NO
AL FRAUDE

Miałam dziś dobry dzień i zrozumiałam, że jeśli matka nie może być bez przerwy z córką, to jeszcze nie znaczy, że jest złą matką, nie chodzi o ilość spędzanego razem czasu.

Noszę stanik!

Kochany Dzienniczku:

Pewnie jesteś ciekaw, czemu do ciebie piszę. Znów jakieś problemy z matką, samotność dokucza? Nie, dziś nic z tych rzeczy, po prostu miałam ochotę sobie popisać. Opowiem ci wszystko, co się wydarzyło –

Poszłyśmy wieczorem do Disco Patín. Były dwa tory do jazdy na wrotkach, duży i mały, obydwie podświetlone. Jeździłyśmy po dużym – snuł się za nami jakiś żałosny *mongolotito*, ale dziewczynom udało się go pozbyć. Poznałam instruktora.

Nie wiem, dlaczego Frida się na mnie wściekła.

Czuję się jak robak, nikt nie zwraca na mnie uwagi, chyba się zaraz rozpłaczę. Jestem tak nieszczęśliwa i upokorzona, że aż nie wiem. Wciąż muszę wysłuchiwać szyderczych śmieszek mojej IDEALNEJ siostry, która zbiera wszystkie pochwały, gratulacje i wyrazy miłości, a ja się czuję, jakby ktoś wyrzucił moje serce do śmieci. Ale przypuszczam, że takie jest życie, niektórzy ludzie są zawsze górą.

Grałam na atari jak wściekła, przemeblowałam domek dla Barbie, oglądałam

telewizję, czytałam, nakryłam do stołu.

Początek nauki w *secondaria* [gimnazjum] był fantastyczny. Najgorsze są moje układy z matką. Już nie mogę z nią wytrzymać. Skoro jej nie obchodzą moje sprawy, czemu mam się interesować jej życiem?

Co robić, żeby nie stać się taką *maldita perra* jak moja matka

1. Nie zniechęcaj swoich dzieci.
2. Nie wrzeszcz na nie.
3. Zadbaj, żeby każdy dzień w ich życiu był wyjątkowy, żeby nigdy nie zaznały pojęcia „nuda”.

Jestem kompletna *pendeja*. Nic mnie nie obchodzi i mam siebie dość, NIENAWIDZĘ SIĘ. Chciałabym mieć kogoś, komu mogłabym to wszystko powiedzieć, kto by dał się przytulić, tak mocno, z całej siły. Ale się rozglądam i nikogo takiego nie widzę.

Kochany Dzienniczku:

Mamy nie ma, siedzę w domu sama, więc mogę robić, co mi się żywnie podoba, matka zabroniła mi wychodzić, ale mam to gdzieś, i tak wyjdę, z chłopakiem na motocyklu, a prawda jest taka, że facet naprawdę szybko jeździ.

Zabieram się z nim, podrzuca mnie nie tam, gdzie trzeba, a ja jestem głodna, więc idę do sklepu i upycham po kieszeniach batony czekoladowe, ale sprzedawca mnie przyłapuje, wybiegam na ulicę, koleś chwytą mnie za ramię i zabiera mi batony, następnym razem, jak zechcę coś ukraść, będę ostrożniejsza.

Później poszłam na ten okropny targ i wpadłam na Luísa, który poczęstował mnie whiskey, na początku wydała mi się strasznie mocna, ale potem się przyzwyczaiłam. Rano, mniej więcej za dwadzieścia jedenasta, postanowiłam wrócić do domu, akurat w porę, żeby matka się nie zorientowała.

Na śniadanie jadłyśmy jajka, ale nie byłam głodna, whiskey starczyła mi aż nadto. Potem musiałam odprowadzić matkę do pracy. Myśli, że tu jestem i siedzę przy jednym z biurek, a ja tymczasem schodzę na parter, do automatu z colą, walę w maszynę ostrożnie, żeby mnie nikt nie przyłapał, i wyciągam napój za darmo. Mmmm, pycha. Wracam na górę, a matka nie ma pojęcia, co dziś wyprawiałam.

Być może Aura podejrzewała, że matka zagląda do jej dziennika, w przeciwnym razie ten ostatni wpis byłby tylko wytworem jej wyobraźni. Inna rzecz, że od tamtej pory zaczęła się włóczyć

ze starszymi kolegami z kompleksu Copilco, a niektóre z jej późniejszych opowieści były dziwnie zbieżne z tą historyjką, więc kto ją tam wie?

Nigdy nie mieliśmy okazji usiąść razem z Juanitą i porozmawiać, jak podzielić się rzeczami po zmarłej; nie było nawet szans na taką rozmowę. Oddałbym jej prawie wszystko, czego by sobie życzyła, a już z pewnością dzienniki Aury z dzieciństwa. Dostałem telefon od kuzyna Juanity, że Juanita chce wziąć komputer córki, ale odmówiłem, dlatego że nie tylko kupiłem go Aurze w prezencie, ale też większość z tego, co było w nim zapisane, należała do nas obojga lub była nieodłącznym elementem naszego związku – zdjęcia, pliki muzyczne, nasza strona ślubna, teksty, nad którymi razem pracowaliśmy, fragmenty prozy Aury. Zaniósłem komputer do informatyka i zleciłem mu skopiowanie całej zawartości twardego dysku – z wyjątkiem danych z poczty elektronicznej – na nośniki zewnętrzne, jak poradził mi adwokat. Mniej więcej miesiąc po śmierci Aury otrzymałem e-mail od prawnika Juanity – prawnika uniwersyteckiego, znajomego Leopolda i jego kolegi po fachu – że mam dwa dni na opuszczenie mieszkania w dzielnicy Escandón, które zajmowaliśmy z Aurą. Tak w ogóle list nie był skierowany bezpośrednio do mnie; facet wysłał go do mojego przyjaciela, nowojorskiego adwokata, który był gościem na naszym ślubie i przyjechał również na pogrzeb, tymczasem Juanita i jej prawnik wyszli z fałszywego założenia, że to właśnie on reprezentuje moje interesy, choć rzeczywiście pomógł mi znaleźć adwokata w Meksyku. Prawdopodobnie nie mieli prawa eksmitować z dnia na dzień świeżego wdowca, mimo że formalnie mieszkanie było własnością Juanity. Nie miałem jednak ochoty ani siły z nimi walczyć. Nie żebym się ich obawiał. Odpuściłem, by się

więcej nie borykać z ich nienawiścią i potępieniem. Zabrałem z mieszkania wszystko. Musiało to zaskoczyć Juanitę. Chyba się spodziewała, że zostawię większość rzeczy Aury, włącznie z kufrem podróżnym, w którym jej córka przechowywała swoje pierwsze dzienniki, stare zeszyty szkolne i inne pamiątki. Wziąłem też dyskietki z plikami zgranymi z komputera.

Zostawiłem za to w mieszkaniu egzemplarz aforyzmów politycznych Leopolda z dedykacją dla Aury. Położyłem otwartą książkę na podłodze, grzbietem do góry, nadepnałem ją, zostawiając odcisk buta na okładce, po czym odesłałem kopniakiem na stertę śmieci do wyrzucenia. Zrezygnowałem z transportu mniej cennych mebli, między innymi sosnowego stołu do jadalni kupionego na targu staroci w dzielnicy Tlalpan, na którym poukładałem w równiutki stosik rodzinne fotografie i część papierów ze szkoły; wsunąłem też do koperty srebrną bransoletkę z wisiorkami, dziecięcy talizman Juanity z imieniem wygrawerowanym na jednej z blaszek. Dołączyłem karteczkę z informacją, że Aura miała na sobie tę bransoletkę w dniu wypadku.

Mam wujka, który cię znienawidzi, powiedziała Aura, jak tylko zaczęliśmy się spotykać. A ty jego znienawidzisz.

A jednak nie znienawidziłem Leopolda. Był jednym z nielicznych krewnych Aury, siostrzenica go kochała, chyba z wzajemnością, więc dokładałem wszelkich starań, żeby jakoś się z nim dogadać. W gruncie rzeczy był dość pocieszny. Uwielbiał przemawiać aforyzmami. Na widok starszego małżeństwa, które wdało się w sprzeczkę z kelnerem, zawzięcie gestykulując, oznajmił tym samym cierpkim i beznamiętnym tonem, który tak zauroczył sześciolletnią Aurę i jej kuzynów, kiedy wujek nazwał ich *bichitos*: *Los viejitos sólo deben salir para ser amables*. Starzy ludzie powinni

po prostu być mili.

Ale był też aroganckim, próżnym i zmanierowanym facetem, który doskonale zdawał sobie sprawę, że od wszystkich odstaje, i przynajmniej w niektórych sytuacjach czerpał dziką przyjemność z wywoływanej przez siebie konsternacji, kiedy ludzie nie mieli pojęcia, czy naprawdę jest tak odpychający, czy tylko urządza jakieś dziwaczne przedstawienie. Mama Violeta pozbyła się go z domu równie wcześnie jak Juanity, posłała go jednak do szkoły wojskowej w Tabasco, gdzie inteligentny, wrażliwy i samotny chłopak cierpiał istne katusze. Niezabliźnione rany z tamtych czasów były główną przyczyną jego sztywnych zachowań, niewolniczego przywiązania do staroświeckich form, ogólnej mizantropii i wrogości wobec otoczenia.

Jak bardzo mnie nienawidził, zrozumiałem dopiero na pogrzebie Aury, podchwyciwszy jego spojrzenie przypadkiem. Płakałem, znajomi otaczali mnie ciasnym kręgiem, wydawało się, że jeszcze jedno kondolencje, jeszcze jeden uścisk, a kompletnie się załamie. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Leopolda, który gapił się na mnie z chłodną nienawiścią w oczach. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, o co mu właściwie chodzi?, ale szybko przestałem się nad tym zastanawiać, w końcu każdy może przeżywać żałobę, jak chce. Dopiero później pojąłem, co kryło się w tym spojrzeniu. Znacznie więcej niż tylko nienawiść. Z jego badawczych oczu biła chłodna refleksja, kiełkowało w nich podejrzenie oparte na czystej logice. Gapił się na mnie jak sędzia śledczy Porfiry Pietrowicz na Raskolnikowa.

10.

Pierwszej zimy po śmierci Aury obsesyjnie pilnowałem, żeby nie zgubić rękawiczek, czapki ani szalika. Odkąd poszedłem do przedszkola i musiałem sam się zatroszczyć o swoje rękawiczki, czapkę i szalik, chyba się nie zdarzyło, żebym przez zimę nie pogubił wszystkiego po kolei. Z Aurą było tak samo, może nawet jeszcze gorzej. W naszej ogromnej szafie walało się po kilkanaście rękawiczek, żałośnie nie do pary, niczym niedobrane ptaki w opuszczonej wolierze. Aura przynajmniej raz na sezon zakochiwała się w jakiejś modnej czapce – zimowe czapki wciąż miały dla niej urok nowości – i nosiła ją na okrągło, nawet jeśli nie było zimno na dworze, a kiedy zaczynałem się rozczulać, jak ślicznie w niej wygląda, i chciałem obsypać pocałunkami jej zaróżowione od mrozu policzki, myślałem sobie, że tylko patrzeć, aż gdzieś posieje tę czapkę, i nigdy się nie myliłem. Zawsze nadchodził taki poranek, kiedy próbowałem odtworzyć naszą trasę z ubiegłego wieczoru i obdzwaniałem wszystkie bary i restauracje po drodze, rozmawiając po hiszpańsku z pracownikami kuchni albo członkami ekipy sprzątającej, żeby dokładnie opisać zgubioną część garderoby. Dokądkolwiek poszedłem tej pierwszej zimy bez Aury, wciąż klepałem się po kieszeniach kurtki puchowej, chcąc się upewnić, czy rękawiczki są w środku i czy dobrze zasunąłem suwak, choćbym był nie wiem jak pijany, nie zdarzyło mi się o tym zapomnieć. Jeśli zostawiłem kieszeń otwartą i ze środka wystawał choćby jeden palec, zaczynałem sapać z przejęcia, kłąłem na własną głupotę i zasuwałem zamek z taką pasją, że ścigałem na siebie zaskoczone

i zaciekawione spojrzenia przechodniów, współpasażerów w metrze i gości z sąsiedniego stolika. *Mi amor*, nie zgubię tych rękawiczek, obiecuję, mamrotałem pod nosem, jakby to były jej rękawiczki, a ona liczyła na to, że przyniosę je z sobą do domu. I przez całą tę zimę, po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią, nie zgubiłem ani czapki, ani rękawic. Posiałem za to szalik, w styczniu, podczas całonocnego ochlaju w Berlinie, gdzie spędziłem trzy tygodnie tej pierwszej zimy bez Aury, bo chciałem uciec na ferie z Brooklynu, a potem zdecydowałem, że nie kupię sobie drugiego, mimo dokuczliwego mrozu, który zdawał się przenikać na wskroś, jakby go przywiało z rosyjskiego stepu, z zasłanego skostniałymi trupami pola bitwy. Tydzień później, po powrocie na Brooklyn, zacząłem nosić szal Aury, z czarnej paszminy w białe wzorki, przetykany srebrną nicią. Ludzie będą mówić: jaki ładny szal, albo: jaki śliczny szal, a ja im odpowiem: to Aura, a wtedy ludzie, zwłaszcza kobiety, odpowiedzą: tak właśnie myślałam, albo poklepią mnie po ramieniu. Ten sam szal wiązałem na szyi, kiedy byłem już gotów na drugą zimę bez Aury.

Nie zdążyły jeszcze minąć dwa pierwsze tygodnie grudnia, kiedy wychodząc wieczorem ze stacji metra, sięgnąłem do kieszeni kurtki i zdałem sobie sprawę, że zgubiłem rękawiczkę. Otworzyłem w domu szafę i znalazłem inną nie do pary, też na lewą dłoń, a kiedy i ją zgubiłem, przestałem się przejmować. Wciąż jednak trwałem w zamiarze dopilnowania czapki, szarej płóciennej pilotki z nausznikami obszytymi sztucznym futrem. Aura była ze mną, kiedy kupiłem ją za dziesięć dolarów na Chinatown, ostatniej zimy przed wypadkiem.

Aura mieszkała na osiedlu Copilco od szóstego roku życia aż do wyjazdu na University of Texas. Po powrocie ze stypendium u Browna wprowadziła się na kilka miesięcy do nowego mieszkania

matki w spółdzielczym wysokościowcu, ale z własnej inicjatywy przeniosła się znów na Copilco, korzystając z tego, że nie udało się jeszcze sprzedać poprzedniego lokum. Właśnie tam spędziliśmy naszą pierwszą wspólną noc. Większość punktów zwrotnych w życiu Aury była związana z Copilco. Kiedy Aura skończyła jedenaście lat, jej babcia Mama Violeta przyjechała z wizytą z Taxco i miała zostać co najmniej miesiąc; były nawet plany, żeby sprowadziła się do nich na stałe. Kilka dni później Aura usłyszała z sypialni odgłosy karczemnej awantury: babcia wyzywała matkę od najgorszych, rozwścieczona Juanita kazała Mamie Violecie natychmiast pakować manatki. I Mama Violeta rzeczywiście się wyniosła, ale przebiegło to całkiem nie po myśli Aury, która miała nadzieję, że babcia wypadnie z domu, pochodzi po parkingu, ochłonie i wróci na górę, cała we łzach poprosi córkę o wybaczenie za wszystkie okropne słowa wypowiedziane pod jej adresem i doczeka się od niej wzajemnych przeprosin. Nie, po prostu spakowała walizkę, wyjechała i nigdy więcej nie odezwała się ani do córki, ani do wnuczki. Przed tym incydentem Juanita rzadko piła alkohol, w weekendy uprawiała jogging z Rodrigiem i chodziła na aerobik; miała jędrne ciało, gładką skórę, świeżą cerę i zawsze potrafiła się ładnie ubrać. Och, była taka śliczna, nie wyobrażasz sobie, powtarzała Aura z dumą i uwielbieniem jak mała dziewczynka. Nie wiedziała albo nie chciała mi powiedzieć, o co wtedy poszło, ale była niemal pewna, że powolny, z początku niemal niedostrzegalny upadek jej matki zaczął się od rozstania z Mamą Violetą.

Sześć lat później Juanita wyrzuciła też Katię z mieszkania na osiedlu Copilco. Katia przestała być idealną pasierbicą. Uparta jak osioł, ośmielona własną urodą i powodzeniem u chłopców, przez cały okres dojrzewania toczyła zażarte boje z Juanitą. A potem,

mimo doskonałych stopni w szkole, oblała egzamin wstępny na prestiżową uczelnię UNAM. Kiedy Katia, która marzyła o karierze w świecie mody, dostała się na studia administracyjne na prywatnym uniwersytecie, Juanita jakimś cudem wytrzasnęła pieniądze na czesne. Minęło kilka tygodni. Katia co wieczór wracała do domu obładowana zakupami z El Palacio de Hierro i innych luksusowych sklepów odzieżowych. Któregoś razu pochwaliła się parą nowiutkich włoskich kozaków ze skóry, które tak zapadły Aurze w pamięć, że nawet po latach, ilekroć kupowała buty w Nowym Jorku albo przystawała obejrzeć witryny, zachowywała się tak, jakby spostrzegła za szybą kozaczki Katii, smętne, odrobinę przykurzone, założone ledwie parę razy, i z miejsca przypominała sobie o przyszywanej siostrze, która zdominowała ją jak prawdziwy tyran, po czym nagle znikła z jej życia. Juanita cierpliwie przymykała oko na wybryki Katii, żeby nie denerwować Rodriga. Kiedy jednak odkryła, że Katia tylko udaje, że nie chodzi na zajęcia, że nie pofatygowwała się nawet na uroczystość przyjęcia nowych studentów, że pieniądze przeznaczone na spłatę czesnego wydała na ciuchy, na te cholerne kozaczki i na swojego chłopaka, po prostu wyrzuciła ją z domu. Rodrigo nie stanął w obronie córki, być może nie starczyło mu odwagi. Katia miała dziewiętnaście lat, nie była już dzieckiem i dopuściła się grzechu czarnej niewdzięczności; no cóż, teraz musiała sama o siebie zadbać. Dziewczyna szybko odzyskała kontrolę nad życiem, jakby marzyła od dawna, żeby zerwać z rodziną i mieszkaniem w osiedlu Copilco. Znalazła sobie lokum, zatrudniła się jako modelka, wkrótce zyskała pewniejszą posadę sekretarki w instytucie ekonomii i wróciła na studia zaoczne, czesne opłacała z własnej kieszeni. Rodrigo widywał się z córką przeważnie po kryjomu. Juanita nigdy nie wybaczyła Katii. Ale i Katia nie wybaczyła Juanicie, nie przeprosiła jej i nie przejawiała chęci

do odnowienia kontaktów. Zanim doszło do ponownego spotkania Aury z Katią, upłynęło dziesięć lat.

Choć Aura nie rozmawiała z babcią, odkąd skończyła jedenaście lat, trzymała oprawioną w ramki fotografię Mamy Violety w naszej sypialni na Brooklynie. Na zdjęciu widniała smukła, koścista kobieta o europejskich rysach, jasnej pomarszczonej cerze, zwiotczałych policzkach i nieco obwisłej dolnej wardze (kiedy Juanita była nie w humorze, też miała skłonność do rozdziawiania ust), z charakterystycznym błyskiem niepokoju w inteligentnych, przepelnionych bólem oczach. Na naszym łóżku, zasłanym wielobarwną kołdrą, leżała haftowana przez Mamę Violetę falbaniasta narzuta w kwiatki – perłowszare, szkarłatne i w baudelaire’owskim odcieniu fioletu, osadzone na czarnych pędach – z żółtym napisem „AURA”, przesytytym ozdobnym ścięciem w poprzek wazonu.

Słynna pierwsza sesja terapeutyczna jedenastoletniej Aury:

Masz poczucie, że matka słucha, co do niej mówisz, Auro?

A czy pani matka słucha tego, co pani do niej mówi, *doctora*?

Juanita, zaniepokojona konsekwencjami tylu traumatycznych rozstań – z ojcem Aury, matką Katii, Mamą Violetą – umówiła dziewczynki na oddzielne wizyty u doktor Nory Banini, prowadzącej zajęcia z psychoanalizy na wydziale psychologii. Zwiewna jak elf istota o wyrazistej twarzy i chropawym głosie, z opadającą na oczy czupryną, siedziała pochylona na miękkiej skórzanej kanapie, z łokciami na kolanach i podbródkiem wspartym na złożonych rękach, patrząc wprost na Norę Banini, która ze spokojem wytrzymywała jej spojrzenie.

Sprawiasz wrażenie rozzłoszczonej, Auro, a przecież dopiero mnie poznałaś, więc chyba nie złościsz się na mnie. Czy jesteś wściekła

na swoją matkę?

Ale ja naprawdę chcę panią poznać, *doctora*. Czy pani się wścieka na swoją matkę?

Auro, proszę, mów do mnie Nora. Może jesteś zła na matkę, że cię tutaj przyprowadziła? Jak myślisz, dlaczego chciała, żebyśmy ze sobą porozmawiały?

Porozmawiajmy o pani matce. Jest dla pani miła? Czemu nie chce pani rozmawiać o swojej matce, *doctora*?

Aura spotykała się z Norą Banini do dwudziestego siódmego roku życia, choć później już tylko przy okazji wizyt w mieście Meksyku. Katia płaciła za swoje sesje osobno i też spotykała się z Norą Banini, nawet po trzydziestce, kiedy miała już męża i dzieci.

W 1990 roku – kiedy runął mur berliński, a Związek Radziecki znalazł się na krawędzi upadku – Aura została wysłana na obóz letni na Kubę. Juanita była już wtedy zajadłą przeciwniczką lewicy, trochę z przekory, żeby zrobić na złość Rodrigowi. Skąd więc pomysł wakacji na Kubie? Aura marzyła kiedyś o lekcjach baletu u wielkiej Alicii Alonso, ale to było dawno. W wieku trzynastu lat, pod wpływem sfałszowanych wyborów prezydenckich w Meksyku oraz inwazji Stanów Zjednoczonych na Panamę, zadeklarowała się wszem wobec jako komunistka i zwolenniczka rewolucji kubańskiej. Juanita doszła wówczas do wniosku, tak przynajmniej twierdziła Aura, że wystarczy kilkutygodniowy pobyt na Kubie, żeby wybić córce z głowy te utopijne mrzonki. Obóz zorganizowano nad morzem, przyjechała młodzież z całego świata, przede wszystkim z krajów skandynawskich. Uczestników zakwaterowano w czymś, co wyglądało jak stary szpital z długimi, pomalowanymi na zielono korytarzami, z których wchodziło się do dusznych zielonych pokoiów wyposażonych w sześć łóżek polowych każdy. Pierwszej nocy Aura nie mogła zasnąć; przeszkadzały jej egipskie ciemności,

nieznośny upał i rozpaczliwe szlochy Meksykanki z sąsiedniego pokoju, której skradziono portfel wypchany po brzegi dolarami od rodziców. W ciągu kilku dni Aura zgubiła na plaży sandały i posiała gdzieś tenisówki, które być może też jej ktoś ukradł. Resztę turnusu chodziła boso. Na każdy posiłek dostawali ryż z fasolą i musieli wygarniać resztki do roznoszonych po jadalni wiader, żeby nic się nie zmarnowało, skutkiem czego każde kolejne danie przeistaczało się w coraz bardziej lepka błotnistą papkę. Aura przestała jeść. Kiedy matka przyjechała po nią na lotnisko Benito Juárez, zastała córkę tak wychudzoną, że musiała przytrzymywać spodnie rękami, bosonogą, spaloną na brąz, ze skórą pokrytą rozdrapanymi śladami po ukąszeniach owadów, w ubraniu niepranym od wyjazdu z Meksyku. Na pytanie, jak spędziła te trzy tygodnie, Aura odparła beztrąsko:

Migdaląc się z Duńczykami, *Mami!*

Od tamtej pory słowo „komunizm” wywoływało u Aury odruch wymiotny połączony z koszmarnym wspomnieniem krążących po sali wiader z resztkami stęchłego ryżu z fasolą. Ogólne wycieńczenie miało jednak i dobre strony: przydało jej zawadiackiego, odrobinę chłopięcego uroku. Niespokojna radość z nowego odbicia w lustrze przyczyniła się do zaburzeń odżywiania na pograniczu anoreksji, z którymi Aura borykała się jeszcze po dwudziestce. Kilka tygodni po powrocie poznała swojego pierwszego chłopaka – na całonocnej imprezie z muzyką elektroniczną w parku Bosque de Tlalpan. Juanita oczywiście zabroniła jej chodzić na *rave*, więc Aura musiała uciekać się do wybiegów, informując matkę, że spędzi noc u koleżanki. Podstęp wyszedł wkrótce na jaw i Aura dostała szlaban na dwa miesiące, wspomniany potem z rozrzewnieniem, bo któregoś niedzielnego popołudnia odkryła w gabinecie *tío* Leopolda oprawny w błękitne

płótno tom dzieł wybranych Oscara Wilde'a, którego nazwisko zapamiętała z kalendarzy firmowych księgarń Gandhi oraz z koszulki noszonej przez niejakiego O.D., darksa w ciemnym makijażu i z pomalowanymi na czarno paznokciami, kumplującego się z chłopakiem, którego poznała na nocnej imprezie. Ten facet z koszulki, smutnooki, z wydatną szczęką i falującą grzywką, przypominał jej Mamę Violetę. Aura zabrała ze sobą książkę na Copilco, żeby mieć co czytać do końca aresztu domowego. „Nigdy nie ruszam w podróż bez mojego dziennika. Trzeba mieć coś sensacyjnego do poczytania w pociągu”, zapisała różowym flamastrem na okładce notesu i dorysowała obok kilka różowych serduszek. Piętnaście lat później, kiedy wprowadzaliśmy się do mieszkania na Escandón, wyjęła z kartonu opasły niebieski tom i opowiedziała mi tę historię; teraz książka jest u mnie na Brooklynie.

Chłopak poznany na imprezie nazywał się Dos Santos i miał osiemnaście lat, czyli był pięć lat starszy od Aury. Aura mówiła o nim po imieniu tylko wtedy, kiedy do niego dzwoniła, a telefon odebrało któreś z rodziców. W starym kufrze podróżnym, w którym Aura przechowywała swoje dzienniki, znalazłem też wiersze Dos Santosa, setki wierszy, całe rzyty papieru poupychane w plastikowych torbach. Kiedy poznali się z Aurą, Dos Santos skończył właśnie pisać sześćsetstronicową powieść i dał ją ojcu do przeczytania. Ojciec skwapliwie zabrał się do lektury, a kiedy przebrnął przez całość, oświadczył, że to beznadziejna szmira, bez jakichkolwiek przebłysków talentu. Mimo wystudiowanej pozy Dos Santos był w gruncie rzeczy ufnym, wręcz naiwnym chłopcem, zapatrzonym bez reszty w swojego tatę, wybitnego ekonomistę z Instituto Tecnológico Autónomo de México. Zdruzgotany, obiecał nie brać więcej pióra do ręki, choć nie widział innego celu w życiu

poza pisaniem.

Do tej pory Aura nie czuła się potrzebna nikomu prócz własnej matki. Jest jedna rzecz, której nie wolno robić młodym pisarzom – powiedziała Dos Santosowi – pokazywać swoich utworów rodzicom: rozsądna rada, do której sama rzadko się stosowała. Przeczytała tomiszczce Dos Santosa i była zachwycona. Nie powiedziała tego tylko po to, żeby go pocieszyć. Kompletnie odjechana proza, z własną gramatyką, pełna absurdalnych, hermetycznych dowcipów, wytwór szalonej wyobraźni, powinienes się cieszyć, że ojciec nie kazał cię zamknąć u czubków! (Nie znalazłem tej powieści wśród pism Dos Santosa w kufrze podróżnym). Entuzjastyczne pochwały Aury, zapewne w połączeniu z pocałunkami wyćwiczonymi na młodych Duńczykach z kubańskiej plaży, pomogły odzyskać Dos Santosowi buntowniczego ducha i wiarę w umiejętności pisarskie, wiarę, dzięki której był w końcu kimś, nastoletnim El Poeta czy coś w tym stylu, a nie tylko jakimś osiemnastoletnim cieniem, który wyrwał trzynastoletnią panienkę. Aura i Dos Santos stworzyli nierozłączną parę. To on był tym wytęsknionym przyjacielem, z którym mogła się porozumieć bez słów.

Gdzie twoje poczucie humoru, matko?

Miłość

Nie było w tym nic niezwykłego: miłość. Zakochać się, zbudować młodzieńczą, niewinną miłość, przecież to straszne. Nic niezwykłego nie było też w moim przeświadczeniu, że wszyscy są przeciwko mnie – zdaniem Freuda paranoja jest naturalną reakcją na młodzieńczą miłość. Tyle że w moim przypadku paranoja miała pewne uzasadnienie. Usiadłam wygodnie na ramionach matki, jej ciało stało się niczym cokol, na jej czole pojawił się grymas niezadowolenia i wzniosła ręce ku niebu i jęknęła głucho, gdy w odwiedzinie przyszedł czarny obiekt jej nienawiści: mój Pierwszy Chłopak, siedzący tutaj – na JEJ KRZEŚLE! – w ciemnych okularach w ciemny jesienny piątek, najwyraźniej pod wpływem marihuany. Rozchmurz się, *Ma*; gdzie twoje poczucie humoru? Ale matka, moja samotna matka, zwłaszcza

w stosunku do trzynastoletniej, miesięczkującej córki w okresie dojrzewania, nie ma poczucia humoru. Ani krzty. Moja samotna matka jest obciążona brzemieniem podejrzeń, zdrętwiała pod presją surowych przestróg opartych na statystykach, badaniach opinii publicznej i najgorszych możliwych scenariuszach. Które nie miały nic albo bardzo niewiele, ale raczej nic wspólnego z faktem, że jej córka była po raz pierwszy w życiu zakochana. Zamiast troski i ciepła sypały się kary i zakazy, niczym przedwcześnie opadłe z drzew liście. Ta jesień nigdy nie odeszła; przewróciła przed sobą przyszłość jak kostki domina. *Szybkie przewijanie do przodu*, a ja przecież chciałam *przewijanie do tyłu*.

– Aura Estrada

Nieżłomna pogarda apodyktycznej matki dla chłopaka dorastającej córki z reguły bierze górę, a trzeba przyznać, że Aura i Dos Santos tworzyli parę trudną do zaakceptowania przez czujnych rodziców. Dos Santos w końcu zniknął z życia Aury, jakby stopniowo wciągnęła go jakaś niewidzialna fala powrotna, z której istnienia zdał sobie sprawę dopiero w połowie straconych lat po dwudziestce. Tymczasem Aura nigdy nie przestała wierzyć w Dos Santosa – tak samo jak później uwierzyła we mnie. Ilekroć przyjeżdżaliśmy do miasta Meksyku i szliśmy do księgarni, doskonale wiedziałem, co spodziewa się znaleźć na stole z nowościami: świeżo wydaną debiutancką powieść albo tomik poezji Dos Santosa. A ja sobie myślałem, choć nigdy nie przyznałem się do tego głośno, facet ma trzydzieści parę lat, jeśli miałby zostać pisarzem, to chyba już najwyższy czas.

Kiedy po raz ostatni widziałem się z Lolą, przyjaciółką Aury z UNAM, która też była córką samotnej matki i wychowała się w mieście Meksyku, powiedziała, kiedyś chciałam mieć taką matkę, która by się o mnie troszczyła i stawiała w mojej obronie bez względu na wszystko. Wiesz, o co mi chodzi? O matkę, która walczy

o ciebie jak matka, a zarazem jak ojciec.

Mniej więcej zrozumiałem. Chyba chciałem mieć kogoś takiego, kiedy byłem nastolatkiem. Mój ojciec był istnym zaprzeczeniem rodzica walczącego o swoje dziecko.

Rozmawiałem z Lolą w sylwestra w barze przy Ludlow Street. Wciąż pracowała nad doktoratem w Yale, podobnie jak za życia Aury, dojeżdżała na uczelnię autobusem i po drodze zatrzymywała się w Nowym Jorku, żeby spotkać z narzeczonym Berniem Chanem, doktorantem z Cornell University. Pięć lat wcześniej, kiedy zacząłem chodzić z Aurą i poznałem Lolę, odciągnęła mnie na stronę i ostrzegła z pijacką szczerością, jeśli Juanita nie ma nic przeciwko temu, żebyście byli razem, to będziecie. W przeciwnym razie, Lola powoli pokręciła głową, nie będziecie. Wiesz o tym, prawda?

Mówisz, że jeśli matka Aury będzie miała coś przeciwko nam, to doprowadzi do naszego zerwania?

O władzy, jaką Juanita ma nad Aurą, krążą już legendy, powiedziała Lola. Jakby potrafiła ciskać gromy z Meksyku.

Spotkam się z Juanitą za kilka tygodni, odparłem. Wyobraź sobie, że w Las Vegas.

Lola próbowała mnie pocieszyć. Skoro Juanita się przekona, że Aura jest z tobą szczęśliwa, powiedziała, wszystko będzie dobrze. W końcu na tym jej najbardziej zależy.

Kiedy skończyły się wydatki na wyrzuconą z domu Katię, znalazło się więcej pieniędzy na edukację Aury. Żeby dostać się na studia doktoranckie z dziedziny komparatystyki literackiej, musiała znać płynnie trzy języki, więc przez trzy kolejne lata wysyłano ją na wakacje do Europy: dwa razy do Paryża, żeby nauczyła się francuskiego, i raz do Cambridge na kurs literatury angielskiej. Juanita i Rodrigo, jeśli w ogóle wybierali się dokądś za granicę, to

tylko w krótką podróż samochodem, przeważnie do Teksasu, i chyba raz do Belize. Nie sposób było odwdziżyć się matce za jej poświęcenia, choć Aura się bardzo starała. „Córka dla samotnej matki, czynna całodobowo” – pisała Aura w swoim dzienniku. Uporczywie nazywała matkę samotną, po części dlatego, że wskutek częstych wyjazdów Rodriga Juanita istotnie nią była, przynajmniej w wymiarze praktycznym. Troska o matkę bywała często przytłaczająca, nawet wówczas, kiedy Aura nie umiała jeszcze sformułować swoich przeczuc. Pod koniec każdego tygodnia pędziła z uniwersytetu na złamanie karku, żeby zastąpić w kuchni gospozię Ursulę i ugotować obiad dla matki. Dzięki temu Juanita mogła wyrwać się wcześniej z kampusu i pobycć kilka godzin sam na sam z córką, zamiast jak co dzień przesiadywać w restauracjach i *fondas* w towarzystwie wykładowców i kolegów z pracy – Aura wiedziała, że podczas tych wspólnych posiłków matka z reguły nie może się oprzeć pokusie i zamawia drugą, trzecią albo jeszcze kolejną tequilę, bo przecież inni też piją. Aura, podobnie jak jej matka, właściwie nie potrafiła gotować – Ursula przed wyjściem do domu zostawiała im gotową kolację – ale zaczęła się uczyć z wydanej po angielsku uniwersalnej książki kucharskiej, którą wyszperała na polecenie w jednej z księgarni sieci Gandhi. Prawie co weekend robiła listę zakupów i szła z nią do supermarketu. Aura lubiła przyrządzać ryby, bo krótko się gotują i podobno są zdrowe, ale tych wymienionych w jej angielskiej książce nie można było dostać na stoisku rybnym w Superamie. W dodatku większość była zbyt droga, z wyjątkiem jednej, na której było napisane „punta de venta” i która była dostępna na okrągło, w postaci paczkowanych filetów. Na obiad będzie *punta de venta, Ma*, oznajmiała przez telefon, dzwoniąc do matki na uniwersytet, żeby się pospieszyła do domu, a ilekroć Juanita rzucała w słuchawkę, znowu?, Aura zapewniała ją, że tym

razem zrobiła ją według innego przepisu, pieczoną, smażoną, *à la veracruzana*, czy nawet *à la meunier*.

Pewnego dnia Juanita powiedziała, Aura, posłuchaj, naprawdę nie musisz ciągle kupować *punta de venta*, dam ci trochę pieniędzy i znajdziesz coś świeżego, stać nas. *¿Como?*, Aura była wyraźnie zbita z tropu. Matka spytała, czy Aura przypadkiem nie sądzi, że *punta de venta* to jakiś gatunek ryby. Oczywiście, prychnęła Aura, przecież wiem, że to ryba. Zaraz, zaraz, chcesz powiedzieć, że nie? To w takim razie co to jest? Matka wyjaśniła, że określenie *punta de venta* oznacza ryby przecenione, z bliskim terminem przydatności do spożycia. Och! Śmiały się obie jak wariatki, aż wreszcie Juanita rzekła, posłuchaj, *mi amor*, naprawdę nie musisz codziennie dla mnie gotować. Na chwilę zapadła cisza. Aura spytała, czyli już nie chcesz, żebym ci gotowała, *Ma? Hija*, odparła Juanita, wykańcza mnie to jeżdżenie między domem a pracą tylko po to, żeby coś zjeść, *el tráfico está de la chingada*. Aura zachichotała, matka zawtórowała jej wymuszonym rechotem, co pociągnęło za sobą kolejny wybuch śmiechu, tym razem już mniej spontaniczny. *Hija, corazón*, przemawiała łagodnie Juanita, ciebie to też niepotrzebnie obciąża, całe te zakupy i gotowanie; nie szkoda ci czasu? Nie lepiej pójść coś zjeść z przyjaciółmi?

Cała nasza rodzina to wymysł, stwierdziła pewnego dnia Juanita, podczas kolejnej rozmowy, o której Aura wspomniała w swoim dzienniku.

Żadna z *tías* Aury nie była z nią spokrewniona. Nie łączyły ich więzy krwi. Były ich przyszywaną, udawaną rodziną. Proteżą rodziny, jak mówiła o nich Aura.

I co ja mam z tym począć?, spytała Aura. Na co mi potrzebna wiedza, że ta rodzina to wymysł?

To dotyczy nas obu, nie tylko ciebie, odparła matka. Powinnaś się

cieszyć, być wdzięczna losowi, zamiast ciągle urządzać awantury z tego powodu.

Czy Juanita uważała swojego męża albo obydwu swoich mężów – a może nawet wszystkich mężów na świecie – jedynie za protezę rodziny? Element wymienny wymysłu, jakim jest rodzina? Czy prawdziwe więzi łączyły tylko matkę z córką?

Przeglądałem zapiski z pierwszych miesięcy naszej znajomości, kiedy Aura wróciła do Meksyku ze stypendium u Browna i pojechała na Boże Narodzenie do Guanajuato, i poczułem się trochę dziwnie, nie odnalazłszy się w jakże znajomym gronie – złożonym z *tías*, Mamy Loly, Vicky Padilli, rodziców chrzestnych Aury, którzy byli zarazem jej wykładowcami, Fabioli – z którym przyszło mi spędzić święta rok później, w charakterze jej nowego, jakkolwiek podstarzałego chłopaka z Nowego Jorku. W Guanajuato zjawił się także zwierzchnik Juanity, znany pod przydomkiem El Dramaturgo. W wieku dwudziestu kilku lat popełnił sztukę w stylu Młodych Gniewnych Macho, którą wciąż wystawiano w meksykańskich szkołach. Aura wystąpiła w przedstawieniu zorganizowanym przez Colegio Guernica w roli temperamentnej, lecz bezlitośnie maltretowanej żony bohatera. „Nienawidzę wyciągać sobie kul z ciała, *carajo!*” – tak brzmiała jedna z jej kwestii, która z czasem stała się żartobliwym refrenem przywoływanym w chwilach prawdziwej lub udawanej rozpacz przez wszystkie kobiety w tym domu, nie wyłączając Ursuli. El Dramaturgo, teraz już mężczyzna po pięćdziesiątce, był dziekanem wydziału humanistycznego, jednego z najlepszych na uniwersytecie. Po zakończeniu strajku studentów, przez który Aura musiała wyjechać do Austin, El Dramaturgo powierzył Juanicie prestiżową funkcję szefowej administracji wydziału. Miała teraz własny gabinet, piętro niżej od dziekana, dwie sekretarki i godziwą pensję.

Zatrudnienie Juanity okazało się posunięciem tyleż brawurowym, co genialnym – nikt nie orientował się lepiej w powikłanym labiryncie uniwersyteckiej biurokracji; trudno było o urzędnika, archiwistę, ochroniarza czy kierowcę autobusu, z którym Juanita nie byłaby po imieniu. Mogła się przekwalifikować, zostać ważną działaczką uniwersyteckich związków zawodowych – ludzie dawali jej nieraz do zrozumienia, że świetnie się sprawdza w tej roli – ale w głębi duszy i serca czuła się zawsze związana z akademicką stroną uczelni, z kadrą wykładowców i badaczy, którzy pomogli jej przetrwać, kiedy zjawiła się w stolicy ze swą maleńką córeczką. Uniwersytet przypominał renesansowe miasto-państwo, które zaopiekowało się znajdującą Juanitą, żeby wychować ją na tutejszą damę, obeznaną w tajnikach sprawowania władzy w obrębie jego murów.

Przynajmniej tyle dobrego, zanotowała Aura w dzienniku, że jest już dorosła i nie musi się zwracać do El Dramaturgo per *tío*. Pierwszy poranek w Guanajuato spędziła na mieście, wysłana przez matkę po sprawunki. Miała kupić na targu prezent dla El Dramaturgo – wybrała drewnianą rzeźbioną obsadkę na stalówkę – i kwiaty na popołudniową uroczystość ku jego czci, zorganizowaną w domu matki *tía* Vicky, gdzie miały spędzić święta. Carlota Padilla, jedna z ostatnich żyjących gwiazd złotej ery kina meksykańskiego, grywała teraz w telenowelach babcie i stare mądre służące. Choć mieszkała na stałe w stolicy Meksyku, była też właścicielką odrestaurowanej hacjendy na przedmieściach Guanajuato, która wyglądała jak jeden z tych kolonialnych klasztorów zaadaptowanych na luksusowe hotele; za murem posiadłości rozpościerał się stary sad z basenem. Aura czuła się szczęśliwa, chodząc po ulicach, robiąc zakupy, podziwiając zabytki architektury kolonialnej i urwiste wzniesienia nad miastem. (Lubiła cytować

pijanego doktora Vigila z powieści *Pod wulkanem*: „Guanajuato jest położone na przepięknym amfiteatrze stromych wzgórz”^[5]).

Kupiłam kwiaty (Pani D., z VW), wróciłam do domu i zastałam na miejscu El Dramaturgo. Zaczął już golić tequilę z moją matką, dając tym samym sygnał do rozpoczęcia ochlaju, który jak dla mnie skończył się fatalnie. Rozmowy. Komplementy – szczerze i fałszywe. Jedzenie. Mięso. Odmawiam. Tequila. Piję mrożoną herbatę. Zjadam swoją porcję i wstaję od stołu; tańczę samotnie w kącie, oglądam telewizję. Następna tequila – moja matka i jej *jefe*. Mąż matki zajmuje niespodziewane stanowisko w gwałtownej kłótni o politykę. Pojawia się jeszcze jeden dramaturgo, który przyjechał aż z Guadalajary tylko po to, żeby spotkać się z El Dramaturgo. Kolejna tequila. Matka zaczyna poruszać niewygodne tematy. Tak niewygodne, że dramaturgo #2 szepcze do mnie na odchodnym, idź za głosem swego przeznaczenia. Czy ja mam jakieś przeznaczenie? Jestem na skraju wytrzymałości nerwowej. Chcę się zabrać za doktorat, podjąć studia na prestiżowym uniwersytecie, pisać, uczyć się, pracować, żyć. Mój ojciec chrzestny jest naprawdę poczciwy. Komplementuje mnie na wszelkie możliwe sposoby. Nie jestem pewna, czy mu wierzyć. Gdyby choć połowa z tego, co mówi, okazała się prawdą, byłabym w siódmym niebie. Jest pijany. Podobnie jak moja matka.

Jakież to niewygodne tematy, *mi amor*? Może kolejne szydercze wynurzenia o bezsensowności wyjazdu na uniwersytet dla *gringo*, żeby studiować literaturę iberoamerykańską? Przecież Juanita zrobiła wszystko, co leżało w jej mocy, żeby przygotować Aurę do studiów za granicą. A teraz nie chciała jej puścić. Juanita bała się rozstania z Aurą, bała się samotności w małżeństwie z człowiekiem, który już jej nie kochał i nie mógł jej w niczym pomóc, bo żeby jej pomóc, trzeba by było ją kochać. Lęk przeszedł na córkę i okazał się najcięższym z bagaży, jakie przywiozła ze sobą do Nowego Jorku. Aura mogłaby kochać ojczyznę, ale pod warunkiem, że przynajmniej spróbowałby zadowolić jej matkę. Wiedziała, że to nie całkiem jego wina, ale zależało jej tylko na szczęściu Juanity.

Dlaczego mnie zostawiłeś? Czemu pozwoliłeś, żebym chowała się

bez taty?, pytała Aura z wypiekami na twarzy w restauracji w Guanajuato, kiedy spotkała się z ojcem po siedemnastu latach rozłąki. Dlaczego nie odpowiadałeś nawet na moje listy? Na razie nieźle mi idzie, powiedziała sama do siebie. Jeszcze się nie rozplakałam. A potem się rozplakała. Wtuliła głowę w ramiona i zaczęła szlochać, a ojciec przysiadł się bliżej, położył jej dłoń na plecach i z pewnością się zastanawiał, po co on to robi i po co ona to robi, i po co w ogóle żyć, skoro życie to jeden wielki burdel, a on tu siedzi ze swoją rozszlochaną córką, której nie widział od siedemnastu lat, i w ubłoconych spodniach.

No cóż, nic dziwnego, że się rozplakała. On jednak powiedział to, co miał powiedzieć; siedząc przy stole z założonymi rękami i opierając łokcie o blat, podał jej wyjaśnienie, które pewnie ćwiczył przez całą drogę z San José Tacubaya, myślałem, że powinnaś mieć tylko jednego ojca, *hija*. Kiedy się rozstaliśmy i twoja matka wyszła za mąż za Rodriga, chciałem, żebyś go pokochała jak własnego ojca. Myślałem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Dziecko nie powinno mieć dwóch ojców. Oczywiście, nadal cię kocham i wciąż za tobą tęsknię.

Dziękuję, *Pa*, odparła. Ja też cię kocham i tęsknię za tobą. Ale za co właściwie mam ci dziękować? Im więcej myślała o słowach ojca, tym bardziej czuła się przygnębiona, a nawet wściekła. Zrozumiała, że jej prawdziwy ojciec jest inteligentnym, wrażliwym, ułomnym człowiekiem, który szedł przez życie, jak umiał, i ciągle przeproszał, że żyje. Wszystko – jego łagodne oczy, ściszony głos, grzeczny sposób bycia, tajemnicze błoto na spodniach – wzbudzało w niej współczucie. Wiedziała, że ich wzajemna miłość, sprytnie konszachty między ojcem a córką dodałyby sił im obojemu. Odebrano im coś ważnego, czego oboje potrzebowali. To ten męczyzna powinien być jej ojcem.

Nazajutrz po Bożym Narodzeniu Aura poszła do Mamy Loly, żeby pożegnać się z Fabiolą i klanem Hernándezów, po czym wróciła na piechotę do domu Padilli; już miała włożyć klucz w zamek, kiedy potężne drewniane drzwi na wewnętrzny korytarz zadrżały w posadach jak po trzęsieniu ziemi, rozległ się metaliczny odgłos dłubania w zapadce i klamka zaczęła się ruszać. Aura odczekała chwilę, przekręciła klucz w zamku, popchnęła ciężkie drzwi i zastała po drugiej stronie swego ojca Héctora, który stał w kamiennym westybulu, wyraźnie podenerwowany, z kosmykami siwiejących włosów opadającymi w nieładzie na czoło. Zatrzepotał rękami, próbując przytrzymać drzwi, które i tak zamknęły się za plecami Aury. Popatrzyli na siebie, ucałowali się w policzki, wymienili trochę niezdarne uściski i życzenia świąteczne. Ale niespodzianka, *Pa, co ty tu robisz?*, odezwała się Aura. Był ubrany tak samo jak przy poprzednim spotkaniu – była pewna, że miał na sobie ten sam garnitur, tyle że bez krawata – ale wyglądał starzej, jakby minęły nie cztery lata, ale dziesięć. Sprawiał wrażenie wycieńczonego i zabiedzonego. Nie mogłem sobie poradzić z tymi drzwiami, odparł z krzywym uśmiechem. Dowiedziałem się od Vicky, że tu jesteś, ciągnął, więc postanowiłem podjechać i się z tobą przywitać, *hija*, ale muszę już wracać, przepraszam, sama widzisz, właśnie wychodziłem. *Está bien, Pa*, powiedziała zduszonym głosem, wyraźnie zakłopotana, *feliz año, pues. Igualmente, hija*, odrzekł – mam nadzieję, że Nowy Rok przyniesie ci szczęście, na które zasłużyłaś – i pochylił się, żeby jeszcze raz pocałować ją w policzek, po czym dodał, *perdón*, Aura, pomóż mi przy tych drzwiach, nie potrafię tego rozgryźć. Otworzyła mu, równocześnie naciskając klamkę i odciągając zapadkę. Rzeczywiście, trochę skomplikowane, *Pa*, przyznała, popychając drzwi oburącz i przytrzymując je łokciem.

Uśmiechnęła się, leciutko dygnęła, na co chyba nie zwrócił uwagi, podziękował i wypadł na zewnątrz jak uwolnione z klatki zwierzę.

Doszedłszy do końca alejki, pomachał jej nerwowo na pożegnanie i skręcił w ulicę. Wtedy właśnie Aura widziała ojca po raz ostatni. W ciemnym kącie przestronnego salonu zastała matkę i Vicky; siedziały przy stole jak dwie szemrane wróżki, ze wzrokiem wbitym w blat, w kłębach dymu z papierosów i stojącą pośrodku butelką tequili. Było po nich widać, że jeszcze przed chwilą się śmiały, opanowały się dopiero wtedy, gdy weszła do środka. Śmiały się z mojego ojca, pomyślała. Nie chciała dać im okazji do kpin z jego wizyty, nie zamierzała o nic pytać, chciała tylko pójść prosto do swojego pokoju, spakować się i za godzinę wyjść na dworzec autobusowy. Ale Vicky zagadnęła ją, widziałaś Héctora?, więc musiała odpowiedzieć i odparła, tak, *tía*, spotkałam się z nim w drzwiach. Przyjechał tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć, rzekła matka, nie podnosząc oczu znad stołu. Vicky do niego zadzwoniła i dała mu znać, gdzie jesteś. Wiem, przerwała jej Aura, powiedział mi. Dziękuję, *tía*... dobra, muszę się spakować. No i przypomniał sobie, ciągnęła matka, że musi pozbierać puste butelki na targu, dlatego tak się śpieszył. Obydwie zachichotały. Aura odpaliła, *yayaya*, i poszła do łazienki. Wybierała się nad morze z P., który od wakacji był jej chłopakiem na dochodne. Mieli wyruszyć z Dystryktu Federalnego luksusowym autobusem sypialnym, dotrzeć do Puerto Escondido w stanie Oaxaca i tam złapać lokalny autobus, który kursuje wzdłuż wybrzeża do trzech dzikich plaż oddzielonych od siebie pasmami urwisk i skalistymi cyplami: Ventanilla, San Agustínillo i Mazunte. Marzyła o tej wycieczce od czternastego roku życia, kiedy zaczęły tam jeździć koleżanki ze szkoły, z którymi matka nigdy jej nie puściła. W okolicy nie było żadnego ośrodka ani hotelu turystycznego, za to bez problemu dało

się wypożyczyć hamak; ludzie przywozili też własne i rozwieszali je między drzewami albo biwakowali za darmo na plaży. Związek Aury z P. miał potrwać zaledwie kilka miesięcy dłużej, został jej jednak sentyment do tego kawałka wybrzeża.

Przez następne cztery lata i siedem miesięcy miała odwiedzić te strony co najmniej ośmiokrotnie, z czego pięć razy ze mną, jakby nie mogła się oprzeć głosowi przeznaczenia, zarówno w sensie dosłownym, jak i metaforycznym. P. zabrał ją na plażę Ventanilla, najdzikszą ze wszystkich, przy której nie uświadczyło się nawet hosteli dla backpackerów. Najobszerniejszą z tutejszych kwater była piętrowa chata z drewnianą podłogą i dwiema spiczastymi strzechami, częściowo oszalowana, z wydzielonymi pomieszczeniami mieszkalnymi, wsparta na długich pniach palmowych. Pokryty liśćmi okap rozpościerał się od frontu nad wstęgą brązowego piasku. Rybak, który mieszkał tu wraz z rodziną, za niewielką opłatą wypożyczał turystom hamaki, pozwalał im rozwieszać własne między słupami pod okapem lub rozbijać namiot na plaży, na co zdecydowali się P. i Aura – płacili tylko za możliwość korzystania z wychodka i umieszczonych w cieniu hamaków. Niedaleko od domu, w półotwartej wiacie pod strzechą, żona rybaka i jej siostry gotowały rodzinne posiłki i prowadziły restaurację, gdzie można było zjeść proste śniadanie, a podczas długich wieczorów rozkoszować się smakiem ryb, krewetek i homarów, przywożonych łodziami, które mąż i jego bracia spychali w morze jeszcze przed świtem.

Ventanilla ze swym bezmiarem oceanu, nieba i piasku, z prostym, spokojnym życiem rybaka – które bez trudu można było dzielić z jego rodziną, wystarczyło tylko pożyczyć hamak – całkowicie odmieniła Aurę, dziewczynę z metropolii, wychowaną w niewielkim mieszkaniu, skąd nie było ucieczki przed taksującym

wzrokiem współlokatorów i kolejną rodzinną scysją, i musiała „kipieć ze złości”, jak pisała w swoim dzienniku, gdzie nie miała wyboru, jak „ćwiczyć się w sztuce kłótni i ciętej riposty, żeby po prostu przetrwać”. Nie wiedziała, że ma w sobie miejsce na coś takiego jak Ventanilla. Była pewna, że odkryła tu całkiem nowy sposób bycia, swoje nowe ja, do tej pory schowane, ale bezsprzecznie prawdziwsze niż ta wiecznie naburmuszona, skupiona na sobie, wyzywająco pyskata dziewczucha z miasta Meksyku.

Ventanilla była rajem, zanotowała Aura, a zarazem labiryntem, pełnym niezwykłości, jakich nigdy przedtem nie doświadczyła. Nawet papaja smakowała tu całkiem inaczej. Pracowite i skrzętne pelikany, nurkujące w wodę długim koszącym lotem, żeby nabrać ryb w swoje przepastne dzioby. Przycupnięte na skałach zadumane czaple. Wiatr od morza, przez cały dzień wiejący prosto w twarz, mocny, pełen piasku, a jednak tkliwy jak pieszczota. Odkrycie, że można spędzić tyle czasu w hamaku, czytając, pisząc, gapiąc się na ocean, snując marzenia, wsłuchując się z zamkniętymi oczami w śmiech i krzyki dzieci rybaka, niesione wiatrem strzępy zdań, które brzmiały jak poezja eksperymentalna.

Dni były tak długie, że przed zachodem słońca Aura traciła pewność, czy coś, co stało się rano, nie wydarzyło się przypadkiem wczoraj; wieczory nadchodziły zawsze jak miła niespodzianka, chłodząc rozpalony piasek, zasnuwając powietrze i niebo barwami rozcieńczonych napojów owocowych, aż do chwili, kiedy robiło się zbyt ciemno na dalszą lekturę. Jej oczekiwania wobec nocy były tak niewygórowane, jakby znów stała się małą dziewczynką. Zасыpanie przy mechanicznych odgłosach uderzających o siebie fal, spokojna pewność, że nic jej nie grozi. Chłopcy rybaka godzinami grali w futbol plastikową piłką, tak sflaczała, że przypominała raczej kapelusz, ich rozpaplanym siostrom nigdy nie brakło tematów

do rozmów w drodze do jednoizbowej szkoły w Mazunte. Dziewczynki nosiły ze sobą żywe papugi i kocięta jak ulubione lalki z gałganków. Aura знаła wszystkie dzieci po imieniu i za każdym wyjazdem robiła im zdjęcia. Odstraszał ją jednak długi pas dżungli i palm wzdłuż plaży, przecież tam na pewno są węże, wyobrażała sobie ich oczy śledzące ją pośród zielonych cieni. W gęstej porannej mgłę ludzie idący po piasku wyglądali jak duchy z Comala.

Na końcu plaży wznosił się stromy cypel z wielkim samotnym krzyżem na szczycie. Tysiąclecia erozji wyłobiły trójkątne okienko w potężnych głazach wcinających się w ocean u podnóża urwiska, ową „ventanillę”, w której oprawie zachody słońca przypominały oddzielny skrawek nieba; Aura wciąż próbowała sobie wyobrazić, kiedy i w jaki sposób wiatr i morze wdarły się w głąb skały, w którym momencie światło i rozbryzgi wody przebiły się na drugą stronę, jak to wszystko mogło wyglądać. Plaża Ventanilla była *mar abierto*, z otwartym dostępem do morza, w którym tworzyły się zdradliwe prądy i gwałtowne fale. Wszyscy ostrzegali przed niebezpieczeństwem pływania w tych wodach, ale surferzy robili wrażenie nieustraszonych.

Ocean cię otacza, skoro tylko się do niego zbliżysz, pisała Aura w dzienniku, popycha cię i szarpie, i kusi szeptem spienionej fali odboju na bulgocącym piasku. Ciężkie grzywacze, przez kilka magicznych chwil wiszące w powietrzu tuż przed twoimi oczami. Łamią się, łamią się, łamią się z impetem i miotają tobą, i wciągają cię z większą siłą, niż mogłeś przypuszczać.

Prawie codziennie rano, gdy budzę się i otwieram oczy, pierwsze, co widzę, to obraz rzutowany z mózgu przez oczodoły niczym promienie lasera z horroru: Aura, kiedy się dowiedziałem, że umarła, kiedy podbiegłem do łóżka i zobaczyłem ją martwą.

Albo cofające się w głąb oceanu szerokie pasmo morskiej piany, które odśłania dryfujące twarzą w dół ciało, a ja zawsze krzyczę, NIE! Koszmar może wrócić w każdej chwili. Panika uderzająca we mnie jak ściana niesłyszalnego ognia przeciwlotniczego albo przytłaczająca mnie z góry, bo przypomina to trochę uczucie spadania we śnie, tyle że dzieje się na jawie. Fale gorąca na czole, pot ściekający po plecach, dreszcze. Kurwa. Krzyk, czasem stłumiony, czasem tak głośny, że ludzie się odwracają. Stoję na peronie metra albo na ulicy, albo w ciemnym barze, na baczność, ze wzrokiem wbitym w ziemię, głowa mi się trzęsie, z ust wydobywa się Nie Nie Nie nie NIE NIE nie nie NIE! NIE! – natychmiast się z tego budzę i rozglądam dookoła.

Przeraża mnie myśl, że cię w sobie utracę. Od powrotu na Brooklyn łapię się na próbach skakania po płytach chodnikowych, tak jak ty to robiłaś, aniołku. Aura mnie podpuszczała, ja się dawałem, no i proszę, po chwili pękała ze śmiechu, nabijając się z moich paralitycznych wygibasów. Sama skakała zręcznie, niczym w grze w klasy, szurnięcie uskrzydloną stopą, piętą w tył, piętą w tył, a całe ciało porusza się w przód w radosnych podskokach po chodniku, jakby cofało się do dzieciństwa na Copilco, dziewczynki tłoczące się na parkingu jak owieczki o zmierzchu, podpatrujące się nawzajem. Chciałbym, żeby każdy mógł przystanąć na Degraw Street i przypomnieć sobie, jak Aura skakała z płyty na płytę, nie patrzeć na mnie, jak próbuję rozpamiętywać ją w moich półwiecznych kończynach, niezdarnie tupiąc i potykając się na chodniku, wprawiając sąsiadów i innych przechodniów w zakłopotanie swoim jałowym wdowim tańcem.

11.

Luty 2003 (Dystrykt Federalny)

Moje dzieciństwo zmarnowane w bezdennej torebce matki, konturówka do ust i kosmetyczka, być może dowód niedopuszczalny: błękitna żyłka pulsująca na jej czole. Spuszczone oczy błagające o wybaczenie. Udręka, a potem nienasycony gniew.

W mojej głowie jest za dużo hałasu, to przez pamięć, wspomnienia, które wolałabym zapomnieć, wracają, wracają. To miejsce mnie wykończy. Cień matki. *Aura*, ta cholerna książka, to opowiadanie i zawarty w nim splot okoliczności. Fikcja stała się rzeczywistością. Może to ja jestem czyimś wymysłem. Koszmarem matki. Chyba jednak nie. Może w takim razie nawracającą ideą śmierci. Jedynym, co pozwala zaakceptować siebie, odnaleźć siebie, być kimś, osobą zdolną do spontanicznego działania. A przynajmniej odkryć język, którego ona nie zrozumie, mój własny język. Ale za tym idą też niepokój, obrzydzenie, poczucie winy. Gówniana psychoanaliza, która nie daje żadnych rozwiązań w praktyce. Wiedzieć nie oznacza działać. Oto, gdzie żyję: w czystych łzach.

Romantyczne rozczarowanie.

Moje zniszczone dzieciństwo: ruina.

Podstarzała młodość: pozwalałam umrzeć nadziei.

Przez nią wszystko jest udręką i zwątpieniem.

Marzec 2003, Copilco – Wciąż mam te sny. Ktoś mnie goni, muszę kogoś ratować, mama topi się morzu, mój prawdziwy tata wraca i znów nas porzuca, basen znika, pożarty przez morze.

25 maja 2003 – Chciałabym się zakochać, zaangażować. Wysłałam nad ranem od P., wściekła, niekochana, w poczuciu, że jestem nikim. Wrażenie, że jestem czerwoną kostką na środku pustyni.

3 czerwca – Mam siłę tylko wtedy, gdy czuję się bezpieczna. Funkcjonuję przez dwa tygodnie, po czym na kolejne dwa tygodnie zmieniam się w uśpione warzywo, któremu nawet się czytać nie chce. Nie nadaję się do pracy naukowej. Odkąd skończyłam osiemnaście lat, prześladuje mnie

myśl, że powinnam poświęcić się czemuś bez reszty. Czemuś, co nie skazywałoby mnie zarazem na samotność. Nie potrafię się poświęcić ani komuś, ani czemuś. Coś we mnie próbuje zniszczyć tę pewność, którą z takim mozołem buduję. Przez następne dwa tygodnie czuję twórczą wenę, odzyskuję wiarę w siebie, zaczynam się odnajdywać w swojej samotności i w towarzystwie książek (Chesterton, Yeats), ale te dwa szczęśliwe tygodnie się kończą i znów kompletna degrengolada, zero motywacji, cały dzień spędzony w łóżku, ze wzrokiem wpatrzonym w przestrzeń, albo w niespokojnym oczekiwaniu na czyjś telefon, na męskie towarzystwo w nocnej wyprawie do baru, na tę absurdalną obecność drugiego człowieka, która sprawia, że czuję się jeszcze bardziej samotna. I kogo ja chcę oszukać? Przecież to wszystko przez te hormony i fazy cyklu miesięczkowego.

Mam tylu znajomych, a czuję się tak wyobcowana w tym domu, w domu mojego dzieciństwa, w którym spędziłam wprawdzie kilka miłych chwil, ale na co dzień kojarzy mi się z potwornym stresem.

Zmarli w ciągu jednego tygodnia:

Bolaño

Compay Segundo

Celia Gruz

Lupe Valenzuela (była żona El Dramaturgo)

Bolaño urodził się w tym samym roku, w którym zmarł Dylan Thomas (i Stalin).

Ventanilla, 3 lipca – Znów jestem nad oceanem. Wszyscy są zdziwieni, że tym razem pojawiłam się bez P. Mam nadzieję, że polubią mnie dla mnie samej. To było dziwne uczucie, kiedy postanowiłam tu przyjechać, nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się wybrać we dwoje z P. Pomyślałam tylko, jak dobrze będzie znów ujrzeć piękne smagłe twarze tych dzieci. Żona rybaka ma dopiero dwadzieścia cztery lata, a urodziła już pięcioro. Próbuję sobie czasem wyobrazić, jak będzie na studiach doktoranckich, próbuję się zastanowić, czy mi naprawdę na tym zależy, i jestem kompletnie zbita z tropu. Przynajmniej wzięłam ze sobą Kafkę, znakomity, pośmiertnie wydany zbiór opowiadań *Budowa chińskiego muru...* choć z przyczyn zawodowych lepiej, żebym wróciła do Derridy... Mam nadzieję, że nie opuści mnie wena pisarska.

Wrzesień 2003 – Jestem w Nowym Jorku. Udało się wyjechać. Początki są trudne. Co do zamiarów na przyszłość – pajęczyna zasnuwa moje myśli, wątki śmierci wplecione w osnowę lęku przed niepowodzeniem i utratą przynależności. Boję się samej siebie. Nie rozumiem, skąd we mnie ta kompulsywna potrzeba zapuszczania się nocą w ulice, skoro aż tak mi to

szkodzi. „Stanowisz zagrożenie publiczne” – matka ma rację.

Luty 2004 (Paryż)

Où sont les axolotls?

12.

To ma być robot?

Aura pokazała mi rysunek w notesie przedstawiający parę sznurowanych trzewików otoczoną zapiskami drobnym maczkiem i mnóstwem wzorków z kanciastych i falujących kresek.

To są buty, które przychodzą na zawołanie, odparła.

Czyli wystarczy zawołać, buty, do nogi, a one do ciebie przyjdą, gdziekolwiek będziesz?

Tak, powiedziała. No dobra, nie powinieneś być za daleko. Poza tym nie umieją wchodzić ani schodzić po schodach.

Można je nosić?

Trzeba je nosić. Automaty, wyjaśniła, muszą być użyteczne, w przeciwnym razie trudno je nazwać automatami.

Byliśmy w mieszkaniu na Copilco, siedzieliśmy na kanapie w salonie. Notes, a właściwie gładki kołonoatnik w okładce z czerwonego kartonu leżał otwarty na kolanach Aury. Automatyczne buty były jej wynalazkiem, który wszedł dopiero w fazę wstępnych przygotowań. Aura miała fioła na punkcie robotów. Tłumaczyła, że każdy but musi być wyposażony w odpowiednio zaprogramowane czujniki reagujące na głos właściciela, a tym samym umożliwiające sterowanie obuwiem w obrębie pokoju, mieszkania lub całego domu. Gdyby ktoś wolał się nie odzywać, na przykład kiedy trzeba wymknąć się z mieszkania po ciemku, nie budząc domowników, urządzenie powinno też działać z pilotem. Wszystkie elementy układu należy wpasować w konstrukcję buta; mechanika chodu jest dość

skomplikowana, ale wystarczy ją sobie wyobrazić, powiedziała Aura, jako zsynchronizowany z rytmem kroków pentametr jambiczny.

Wspaniały wynalazek, przyznałem. Zarzuciła dumnie głową niczym cyrkowy kucyk, podziękowała za komplement i przewróciła kilka kartek w notesie, żeby pokazać mi szkic zaprojektowanej przez siebie sukni. Wyglądała dość osobliwie: żółto-niebieska, z dorysowanymi czerwoną kredką rzędami obręczy, które zdawały się wirować wokół spódnicy. Naprawdę nosiłabyś coś takiego?, spytałem, a ona odparła, że tak. Projektowanie sukienek było jednym z jej ulubionych sposobów na zabijanie czasu. Szkice damskich ubrań znalazłem we wszystkich notatnikach z okresu studiów na Columbi. To była nasza „pierwsza randka”. Pod koniec sierpnia, dziewięć miesięcy po tym, jak się poznaliśmy w Nowym Jorku – od tamtej pory ani jej nie widziałem, ani nie miałem od niej żadnych wieści – wpadliśmy na siebie w El Mitote, obskurnym lokalu meksykańskich kokainistów i cyganerii artystycznej, na skraju dzielnicy Condesa. Piłem przy barze z przyjaciółmi, Montielem i Lidą, kiedy ni stąd, ni zowąd wyrosła mi przed oczyma. Witaj znów, moja śmierci. Odniosłem wrażenie, jakbym patrzył na nią przez gęstą mgłę – wiszącego w powietrzu dymu z papierosów, własnego pijaństwa i nieśmiałego zaskoczenia.

Czemu nie odpisałeś na mój e-mail?, spytała. Odparłem, że nie dostałem od niej żadnego e-maila. Twierdziła nieustępliwie, że go wysłała, z podziękowaniem za moją książkę oraz wiadomością, że wybiera się ponownie do Nowego Jorku. Chyba nie uważam jej za kogoś, kto nie podziękowałby za wysłaną w prezencie książkę, prawda? No cóż, w takim razie nie mam pojęcia, co się stało z tym listem, odrzekłem; pewnie gdzieś się zawieruszył.

Tamtego wieczoru w El Mitote nie wyglądała już na pilną

studentkę, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Jej fryzura, kiedyś tak modna, była teraz w nieładzie, niesforne włosy spadały na czoło. Przyszła z niewielką grupką znajomych, którzy stali po drugiej stronie baru. Powiedziała, że już za trzy dni wybiera się do Nowego Jorku, żeby zacząć studia doktoranckie na Uniwersytecie Columbia. Poczułem w duszy cichą eksplozję podniecenia. Ja też mam samolot do Nowego Jorku, za dwa tygodnie. No, to nie mamy czasu, żeby się spotkać przed twoim wyjazdem, powiedziałem, ale ona odparła, czemu nie? Czas na pewno się znajdzie. Umówiliśmy się na następny wieczór w San Angel Inn, restauracji z barem w starej hacjendzie, gdzie można się rozsiąść na solidnej skórzanej kanapie przy patio, sącząc margarity i martini serwowane w małych srebrnych pucharkach zanurzonych w wiaderku z lodem. Jestem pewien, że nie ja pierwszy próbowałem jej zaimponować zaproszeniem w to miejsce, ale przynajmniej miałem nadzieję, że nie uzna mnie za gościa, który włączy się wyłącznie po spelunkach w rodzaju El Mitote.

Siedząc na beżowej kanapie ze skaju w osiedlu Copilco, przerzuciła kilka kolejnych stron w notesie i otworzyła go na kartce gęsto zapisanej turkusowym długopisem żelowym. Było to niedawno skończone opowiadanie. Chcesz posłuchać?, spytała. Jest naprawdę krótkie, tylko cztery strony. Oczywiście się zgodziłem, więc przeczytała je na głos. Bohaterem opowiadania był młody człowiek, który nie mógł sobie przypomnieć, czy znalazł się na lotnisku, bo miał za chwilę samolot, czy też właśnie przyleciał. Minimalistyczna historia o samotności w porcie lotniczym, pełna rozkosznie czarnego humoru. Mimo to słuchałem jej niezbyt uważnie, bo w głowie kotłowały mi się sprzeczne myśli. Już przy kolacji snułem plany na przyszłość, kombinując, kiedy uda mi się spotkać z Aurą w Nowym Jorku. Tymczasem ona wzięła mnie

z zaskoczenia i zaprosiła do siebie do domu. Czy chciała mi tylko przeczytać swoje opowiadanie? Siedziałem tuż przy niej, patrząc, jak słowa spływają z jej pięknych warg, i zastanawiając się, czy pocałuję ją za kilka minut, godzin albo kiedykolwiek.

Rodzice Aury wyprowadzili się z Copilco rok wcześniej. W salonie zostały tylko kanapa, na której siedzieliśmy, i okrągły stół jadalny z metalicznym biało-szarym blatem, przy którym Aura zjadła tysiące rodzinnych posiłków. Większość książek i innych drobiazgów spakowała już do kartonów. Obok stał kufer podróżny. Na drzwiach lodówki błyszcząły magnesy ze słowami i nalepka ze sloganem reklamowym „Keep Austin Weird”; w środku stały duża butelka piwa Indio, w połowie opróżniona i zakryta z powrotem kapslem, i sok pomarańczowy Jumex w lśniącym okrągłym pojemniku, z którego napiłem się nazajutrz rano, po umyciu zębów wyciśniętą na palec pastą Aury. Puste butelki po piwie walały się w kącie, za koszem na śmieci piętrzył się stos kartonów po pizzy. Aura mieszkała sama mniej więcej od pół roku. Znajomi, którzy jeszcze nie wyprowadzili się od rodziców, wpadali do niej na weekend, nocując pokotem na kanapie i na podłodze. Aura prowadziła na UNAM zajęcia z poezji angielskiej i prozy iberoamerykańskiej dla studentów pierwszego roku, kończąc jednocześnie pracę magisterską o Borgesie i pisarzach angielskich, przygotowując się do sesji i zdając kolejne egzaminy, miesiące stresu i nerwówki, ale też szalonych nocy. W żadnym mieście noc nie jest tak długa, wyuzdana i absurdalna, jak w Dee Efeh. Ilekroć Aura zaczynała naprawdę rujnować sobie życie ostatnimi czasy, nie miała wątpliwości, że to przez słabość do nocy w mieście Meksyku, gdzie można było bez trudu zejść na złą drogę i już n i g d y nie zawrócić.

Przez wiele miesięcy data wyjazdu na Uniwersytet Columbia

wydawała się niemożliwie odległa. Nadszedł jednak dzień, kiedy Aura załadowała pralkę brudnymi rzeczami i pomyślała, kiedy następnym razem włożę te skarpetki, będę już w Nowym Jorku. Och, ale miała też tęsknić za Meksykiem. Szczerze wdzięczna i podekscytowana, bez ustanku trajkotała o przyjęciu, które matka urządziła dwa tygodnie wcześniej w luksusowym apartamencie *tía* Cali z tarasem na dachu, żeby uczcić pomyślne wyniki egzaminów i uzyskanie przez córkę tytułu magistra: były tańce, muzyka na żywo i okazja do wystąpienia w nowej szkarłatnej sukni wieczorowej, w której jeszcze cztery lata później lubiła się pojawiać na weselach i koktajlach. Nosiła w torebce zdjęcia z tamtej imprezy, które pokazała mi już w San Angel Inn.

Kiedy Aura skończyła czytać opowiadanie o młodym człowieku na lotnisku, powiedziałem, że naprawdę mi się podoba, a ona podziękowała i spytała, co konkretnie mi się w nim podoba. Kiedy mówiłem, siedziała w zupełnym milczeniu, jakby chciała usłyszeć mój puls i przeanalizować go niczym wykrywacz kłamstw. Potem oznajmiła, że nie jestem z nią szczery, że powiedziałem to tylko z sympatii do niej. Roześmiałem się i odparłem, rzeczywiście mi się podoba, ale opowiadanie też mi się spodobało, słowo honoru, i opisałem własnymi słowami fragment, w którym bohater podnosi z podłogi wyrzuconą przez kogoś ulotkę, czyta, że z okazji uruchomienia nowych połączeń meksykańskich linii lotniczych z Hawajami można dostać darmowe drinki przy wyjściu numer trzydzieści siedem, więc idzie po drinka, bierze udział w losowaniu wycieczki na Hawaje i przegrywa. Wybuchła śmiechem i przewróciła się na bok z zaciśniętymi oczami, jakbym streścił jej cudzy tekst, a ona usłyszała go po raz pierwszy i uznała za bardzo zabawny. Była to pierwsza z naszych rozmów o jej pisaniu, które zawsze przebiegały mniej więcej tak samo: najpierw próbowała mi

wmówić, że chwałę ją tylko po to, żeby się jej przypodobać, nakłonić do seksu albo mieć chwilę świętego spokoju. Tamtego wieczoru zaczęliśmy się całować na kanapie, po czym wylądowaliśmy w łóżku. Byłem tak zaskoczony jej ciepłym, słodkim zapachem i młodzieńczą gibkością, nie wspominając już o niespodziewanej odmianie w moim własnym życiu, że mało brakowało, a zacząłbym się zachowywać jak rozbrykany szczeniak w polu tulipanów, więc napomniałem się w duchu, że powinienem zachować zimną krew i kochać się jak dorosły mężczyzna, a nie jak nadpobudliwy nastolatek. A wtedy ona spytała, czy mam coś przeciwko temu, żeby została w dzinsach. Czyli nie będzie pieprzenia. Pewnie, że tak, nic nie szkodzi, powiedziałem; nie ma pośpiechu. Przemawiałem do niej łagodnie, choć niewykluczone, że w moim głosie dało się wyczuć rozczarowanie lub chęć wycofania się z niezręcznej sytuacji. Odezwała się płaczliwym, a zarazem wyzywającym tonem, jakby wciąż nie mogła się pogodzić z niechcianym, a przecież nieuniknionym rozwojem wypadków, mam ci obciągnąć albo co? Roześmiałem się, odparłem, no, co ty, nie musisz mi obciągać, i pomyślałem sobie, jak okropnie to świadczy o naszym stosunku do kobiet. Przyznałem szczerze, że chcę się z nią kochać, ale dopiero jak będzie gotowa. *Muy bien*, powiedziała. Szepnąłem z nosem wtulonym w jej włosy, hmm, ślicznie pachniesz, nie tylko twoje włosy, cała twoja głowa pachnie, pachnie zupełnie jak ciasto. Nieprawda, odparła z chichotem. Prawda, obstawałem przy swoim, twoja głowa pachnie jak ciasto, jak *tres leches*, mniem, moje ulubione. Znów wtuliłem nos w jej włosy, wciągnąłem ich woń, pocałowałem, zacząłem się nawet zgrywać, że odgryzam jej kawałek głowy, i powtórzyłem, twoja głowa pachnie jak ciasto! Wkrótce potem zasnęliśmy przytuleni. Aura nie zdjęła dzinsów. Na suficie migotały setki maleńkich

gwiazd – przykleiły je razem z Lolą, pomagając sobie dołączoną do zestawu mapą nocnego nieba.

Nad ranem, kiedy byłem w łazience, wyśliznęła się z łóżka i wyjęła mój portfel z ciśniętych na podłogę spodni. Po powrocie do sypialni zastałem ją z moim prawem jazdy w ręku. Spojrzała na mnie i wykrzyknęła, czterdzieści siedem!

Ano, odparłem zawstydzony.

Myślałam, że jesteś co najmniej dziesięć lat młodszy, powiedziała. Oceniałam cię na trzydzieści sześć.

Chyba powinienem uznać to za komplement, rzekłem. No, cóż, więcej. Czterdzieści siedem.

Do tej pory nie pytała mnie o wiek. Mimo to się zdziwiłem, że nie wie. Myślałem, że przynajmniej Borgini coś jej napomknął. Była sobota i Aura wybierała się na wesele. Powiedziała, że wróci wcześniej; ma jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia przed wylotem do Nowego Jorku nazajutrz rano. Przenocuje u matki. Zadzwoiłem do niej wieczorem i telefon odebrała Juanita. Rozmawialiśmy wtedy po raz pierwszy, ale już wiedziała, jak mam na imię. Mówiła do mnie Frank. *Hola Frahhhhnk*, z tym charakterystycznym meksykańskim akcentem, który w ustach Aury brzmiał jak wesołe gęganie. Juanita zwracała się do mnie bardzo przyjaźnie, więc doszedłem do wniosku, że Aura napomknęła jej o mnie, i to coś miłego. Nie wróciła jeszcze z wesela, ale wzięła ze sobą komórkę matki, pewnie swoją zgubiła albo gdzieś posiała w mieszkaniu. Juanita dała mi numer; kiedy zadzwoniłem, usłyszałem nagrany przez nią komunikat. Aura odezwała się późnym wieczorem. Jej głos przebijał się z trudem przez muzykę i zgiełk imprezy. Powiedziała, że dobrze się ze mną bawiła, i przeprosiła, że musiałem wysłuchać jej opowiadania o porcie lotniczym. Zapewniłem ją jeszcze raz, że bardzo mi się podobało, podobnie jak historyjka o butach, które

przychodzą na zawołanie. Powiedziałem, że zadzwonię do niej od razu po powrocie do Nowego Jorku, czyli za dziesięć dni. Kiedy odłożyłem słuchawkę, pomyślałem sobie, za dziesięć dni jej życie zmieni się o sto osiemdziesiąt stopni.

Przez ostatnie sześć lat wynajmowałem niedrogie mieszkanie w mieście Meksyku i przed każdym powrotem na Brooklyn zawierałem umowę z jakimś sublokatozem. W latach osiemdziesiątych, kiedy pracowałem jako niezależny dziennikarz w Ameryce Środkowej, część moich wynagrodzeń przelewano z Nowego Jorku do banków w stolicy Meksyku, więc musiałem specjalnie tam przyjeżdżać, żeby podjąć gotówkę na miejscu. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w 1984 roku, kiedy Aura miała siedem lat. W porównaniu z Managuą, Tegucigalpą i miastem Gwatemalą meksykańska metropolia sprawiła na mnie olśniewające wrażenie, wydała się pełna niespożytej energii i zaskakujących możliwości. Nie minęła jeszcze doba mojego pobytu w Dystrykcie Federalnym, a już zdążyłem poderwać dziewczynę w Museo Rufino Tamayo: chudziutką punkówkę w obcisłych kraciaczkach i odblaskowo różowych trampkach, dziewiętnastoletnią uczennicę szkoły plastycznej przy Palacio de Bellas Artes, subtelną piękność o rysach księżniczki Majów, która obściskiwiała się ze mną na schodach muzeum. Potem już jej nie spotkałem; nazajutrz wyjechała do rodzinnego Jukatanu na święta Bożego Narodzenia. Mój paszport został w recepcji taniego hotelu w śródmieściu, wzięty w zastaw do czasu otwarcia banków po długim weekendzie, kiedy będę mógł podjąć pieniądze i uregulować rachunek. Któregoś wieczoru w hotelowej kawiarni zaczęły mnie dwie dziwki – starsze ode mnie, pewnie mocno pod czterdziestkę – spytały, czy szukam towarzystwa, i poszły ze mną na górę do mojego pokoiku,

jak się później okazało, dwie piękne, dojrzałe kobiety, w bieliźnie jak z reklam w starych, zapamiętanych z dzieciństwa wydaniach magazynu „Life”, jedna z wąskim pasemkiem czarnych włosów łonowych, które wyglądało jak płomień liżący jej miękki, rozłożysty brzuch aż do pępka, druga jaśniejsza, dobrze umięśniona, z niewielkim biustem. Nigdy przedtem ani potem nie kochałem się z dwiema kobietami naraz, na pojedynczym łóżku z lichym materacem sprężynowym, dziwki ochoczo witały każdy nasz orgazm, kiedy już było po wszystkim, zapłaciłem im przenośną krótkofalówką, bo nie miałem przy sobie gotówki, brunetka powiedziała, że następnego dnia możemy znów się spotkać, jeśli mam coś jeszcze pod ręką, czym mógłbym się odwdzięczyć za ich usługi, i wtedy przemknęło mi przez głowę, w krótkim przeblysku intuicji, że to para biseksualnych gospodyń domowych, które robią to przede wszystkim dla frajdy. Następnym razem przyjechałem do Meksyku przeszło rok później, mniej więcej sześć miesięcy po trzęsieniu ziemi. Hotel był zrujnowany, został jednak fragment tylnej ściany z cegieł i z drugiej strony ulicy można było zobaczyć, jak zapadły się górne piętra, tworząc wielowarstwowy betonowy naleśnik z wystającymi po bokach kawałkami gruzu. Wokół było pełno takich zniszczeń, większych lub mniej poważnych, zależnie od dzielnicy; południowa część miasta, w której mieszkała Aura, w przeciwieństwie do centrum nie została wzniesiona na miękkim podmokłym gruncie w miejscu dawnego jeziora i przetrwała trzęsienie prawie bez szwanku. (Chciałem właśnie teraz krzyknąć, Aura, powiedz mi jeszcze raz, co takiego zapamiętałaś z pierwszych wstrząsów?! Opowiadała mi o tym raz czy dwa, ale zapomniałem, co to było, przepadło na zawsze). Śledziłem wiadomości na bieżąco i znałem osobiście wielu dziennikarzy z Ameryki Środkowej wysyłanych przez swoje redakcje w rejon katastrofy; część z nich

wracała w stanie kompletnej rozsyпки. Świadomość, że na ten rozgrywający się przed ich oczami koszmar nie da się nałożyć żadnej narracji politycznej, zwłaszcza związanej z wojną i geopolityką, dołowała ich jeszcze bardziej. Miałem kumpla imieniem Saqui, który był znacznie bardziej doświadczony jako reporter wojenny niż ktokolwiek z naszych rówieśników: Afganistan, Afryka, Bliski Wschód i Ameryka Środkowa. Saqui opowiadał, jak wieczorem, tuż po przyjeździe do miasta Meksyku, wyszedł z hotelu przy Avenida Reforma, dwa dni po trzęsieniu ziemi, w powietrze ciężkie od smogu, sproszkowanego cementu i gryzącego dymu, a kiedy znalazł się po drugiej stronie alei, w jednym z zamkniętych dla ruchu zaułków zobaczył zwłoki dziecka, leżącą na bruku dziewczynkę w bluzie, džinsach i tenisówkach, która wyglądała, jakby ktoś obtoczył ją w mące. Stało nad nią dwóch Meksykanów. Jak powiedział mój kumpel, spojrzeli na niego wzrokiem tak pełnym smutku, a zarazem groźby, że nie podszedł bliżej, tylko obrócił się na pięcie i uciekł, jakby mierzyli do niego z pistoletów, nie odważył się nawet obejrzeć, dopóki nie znalazł się po drugiej stronie ulicy, gdzie zerknął przez ramię i ujrzał obydwu mężczyzn stojących nadal nad ciałkiem dziecka, jakby czekali na autobus, i pomyślał, że w życiu nie widział czegoś równie makabrycznego. I jeszcze te zapłakane matki przed szkołą, która runęła tuż po pierwszym wstrząsie, w samym środku lekcji. Szesnaście zburzonych szkół, tysiące zabitych dzieci – szkół, które miały być odporne na trzęsienia ziemi, ale nie były, bezpośrednie konsekwencje korupcyjnych układów Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej z inwestorami budowlanymi – to była narracja polityczna, jeśli miałoby to kogokolwiek pocieszyć. I ochotnicy z całego świata, którzy wspomogli setki tysięcy Meksykanów w poszukiwaniach ocalałych pod gruzami, i radość mimo

wyczerpania, ilekroć udało się natknąć na kogoś żywego. Co jednak najbardziej zdumiało Saquiego, to szybki i nieustępliwy powrót miasta do życia, coraz więcej samochodów na tych samych ulicach, gdzie ludzkie krety z ekip ratunkowych wciąż przekopywały gruzy, a grupki matek wciąż czekały i płakały w narastającym z dnia na dzień smrodzie rozkładu i śmierci.

Wracałem do Meksyku co najmniej raz w roku. Przywiązałem się do tego miasta i zafascynowały mnie jego średniowieczne tajemnice, bo Dystrykt Federalny po trzęsieniu ziemi miał w sobie coś ze średniowiecznego grodu świętującego koniec plagi czarnej śmierci urządzaniem maskarad i wystawianiem misteriów. W 1993 roku mieszkaliśmy tu nawet przez rok z moją ówczesną dziewczyną, w dzielnicy Coyoacán, gdzie musieliśmy się mijać z piętnastoletnią Aurą włączającą się z innymi niedomytymi nastolatkami i hipisami po Plaza Hidalgo – chodziła tam prawie co weekend – buszować razem z nią w księgarniach Parnaso i Gandhi albo uskakiwać przed jej rowerem, kiedy sunęła z łoskotem po bruku Calle Francisco Sosa. Tamta dziewczyna zerwała ze mną w 1995 roku i została w naszym mieszkaniu na Brooklynie, podczas gdy ja przeprowadziłem się do Dystryktu Federalnego, uwolniony od toksycznego związku i szczęśliwy, że zaczynam wszystko od nowa, napędzany romantycznym złudzeniem, że odnajdę i poślubię dziewczynę, z którą dziesięć lat wcześniej całowałem się na schodach Museo Tamayo. Byłem sentymentalnym durniem, to nie ulega kwestii, i choć jestem prawie pewny, że zapamiętałem jej nazwisko, Selena Yanez, to nieprawda, że szczęście głupcom sprzyja, bo nie udało mi się odnaleźć ani jej, ani żadnego z jej znajomych.

Skończyło się na tym, że w następnych latach spędzałem znacznie więcej czasu w mieście Meksyku niż w Nowym Jorku, aż do chwili, kiedy zaproponowano mi pół etatu w Wadley College.

Postanowiłem zamieszkać w Meksyku na stałe i przyjeżdżać na Brooklyn tylko w terminach prowadzenia zajęć. Znalazłem sobie lokum przy Avenida Amsterdam w dzielnicy Condesa, pięciopokojowy apartament pełen zakamarków, prawie bez mebli, w stuletnim domu, zaniedbanym pod każdym względem przez właściciela. (Siedzi teraz w więzieniu; aresztowano go kilka lat temu za pranie brudnych pieniędzy dla gangu porywaczy). W kuchni ulatniał się gaz; przestarzała instalacja elektryczna w każdej chwili groziła wypadkiem; ze zmurszałych desek na podłodze obłaziła lepka farba w odcieniu sraczkowatego brązu; we framugach oszklonych drzwi żerowały termyty, a przez otwory po stłuczonych szybkach lał się do środka deszcz i od czasu do czasu wpadały zbłąkane ptaki. Całe umeblowanie sprowadzało się do taniego łóżka ze sklepu Dormimundo, dwóch stołów, kilku krzeseł i starej komody, która została po dawnych lokatorach. Za oknami od frontu rosły drzewa; podczas długich letnich deszczowych wieczorów nachodziła mnie refleksja, że to najspokojniejsze miejsce do pisania, jakie mi się w życiu trafiło. Kiedy się tu sprowadziłem, Condesa wciąż jeszcze była zaciszną dzielnicą willową klasy średniej, pełną kamienic w stylu art déco, rozrzuconych tu i ówdzie zabytkowych rezydencji, obsadzonych drzewami ulic, parków, okrągłych placów z fontannami, wśród których zachowało się kilka starych żydowskich piekarni i zapyziałych kafejek, pamiątek z czasów, kiedy mieszkali tu imigranci i uchodźcy z Europy Wschodniej, którzy później się dorobili i przenieśli się wraz z rodzinami do dzielnicy Polanco lub na przedmieścia. Ale Condesa wchodziła właśnie w nowy etap przemian, które wkrótce nabrały tempa i doprowadziły do błyskawicznej transformacji dzielnicy w najmodniejszą hipsterską enklawę w mieście, a może i w całej Ameryce Łacińskiej. Podobno dlatego, że na stare śmiecie wrócili

potomkowie dawnych żydowskich lokatorów, urodzeni już w Meksyku i rozmiłowani w kokainie artyści, menedżerowie i twórcy kultury alternatywnej.

W pierwszych miesiącach pobytu w Meksyku i poszukiwań Seleny Yanez wpadłem w ciąg przelotnych romansów i przygód miłosnych, których swoim zdaniem potrzebowałem, bo od czasów college'u bez przerwy byłem w jakimś związku, czasem nawet w dwóch naraz. D., z którą po studiach przeprowadziłem się do Nowego Jorku; Gus (pobraliśmy się i wzięliśmy rozwód, zanim skończyłem dwadzieścia sześć lat, i teraz jest moją chyba najlepszą przyjaciółką); J.; później M.; i wreszcie S. Ledwo się obejrzałem, a wszedłem w kolejny związek-nie-związek, najkoszmarniejszą i najbardziej toksyczną relację, w jaką kiedykolwiek się wpakowałem. Dziewczyna rujnowała sobie życie na własne życzenie: utalentowana artystka, której nie było dane zrealizować swojego twórczego potencjału, trzynaście lat ode mnie młodsza, sfrustrowana uciekinierka z rodziny arystokratów, jedyna z czterech sióstr, która wyniosła się z domu przed zamążpójściem. Młode, dobrze wychowane kobiety, które postanawiały się wybić na samodzielność i żyły w ciasnych klitkach jak ich rówieśnice w Nowym Jorku lub Paryżu, były wciąż stosunkowo świeżym zjawiskiem w mieście Meksyku. Moja przyjaciółka nie radziła sobie kompletnie. Wiecznie skrzywdzona i skonfliktowana z całym światem, miała też obsesyjną potrzebę kontroli: kiedy pierwszy raz zostałem u niej na noc, o świcie wyrzuciła mnie na zbity pysk za powieszenie ręcznika w złym miejscu w łazience. *Niña perversa*, jak sama lubiła o sobie mówić, prześliczna i zmysłowa, o wielkich, ciemnych oczach i chmurnym spojrzeniu, a pod tym wszystkim zaskakująco łagodna i nieśmiała. Chyba nigdy nie spotkałem kogoś, kto by tak rozpaczliwie pragnął miłości, a potem wzgardliwie ją

odrzucał. Słyszałem, że takich ludzi można rozpoznać na pierwszy rzut oka; mnie to najwyraźniej nie dotyczy. Czy nie powinienem się tego domyślić po tym pierwszym pieprzeniu u mnie w domu, kiedy oznajmiła, że będziemy uprawiać seks przez tydzień, a potem już nigdy więcej? Przez tydzień co wieczór meldowała się sumiennie pod moimi drzwiami. Naciskała dzwonek, widziałem przez wizjer, jak nerwowo nawija kosmyk włosów na palec, a kiedy tydzień upłynął, po prostu znikła. Odchodziłem od zmysłów, wystając pod jej oknami, szlochając w domofon, wpychając za tabliczkę z nazwiskiem liściki miłosne na pozwijanych skrawkach papieru niczym wróżby w chińskich ciasteczkach. Poddała się jakiś miesiąc później i zaczęliśmy od nowa. Pozwoliłem się zeszmacić przez Z., spierdoliłem sobie kawał życia w tym związku, taka jest prawda. Nie pamiętam już, ile osób próbowało mnie namówić do ucieczki od tego koszmaru. Niestety, parę ładnych lat poszło na marne, co tylko dowodzi, że brakowało mi czegoś, co powinien mieć każdy dojrzały, normalnie funkcjonujący mężczyzna, a ja nie miałem bladego pojęcia, o co właściwie chodzi. Kiedy już wreszcie było po wszystkim, musiałem zdać sobie sprawę, chyba po raz pierwszy w życiu, że jeśli nawet dopuszczę kogoś blisko do siebie i dołożę wszelkich starań, żeby go pokochać, to wcale nie znaczy, że moja miłość zostanie odwzajemniona. Zaliczyłem potem niezłą jazdę. Umawiałem się na randki, bywałem porzucany (choć prawie nigdy przez kobiety, na których mi naprawdę zależało), parokrotnie sam zakończyłem związek. Jakkolwiek bym się łudził, nie byłem już młodzieniaszkiem. Czas mijał nieubłaganie, aż nadeszło pięć lat samotności, nie częściej niż raz w roku przerywanej jakimś przelotnym romansem, który trwał kilka tygodni albo i dni. Pracowałem nad powieścią jak niewprawny majsterklepka, nie czując ani chęci, ani potrzeby, żeby ją skończyć; prawie zarzuciłem

dziennikarstwo; zacząłem chodzić na siłownię; pod wieczór lądowałem w spelunkach w rodzaju El Bullpen i El Jacalito albo w jeszcze obskurniejszych lokalach, których nazw już nie pamiętam. Z perspektywy oceniam ten czas jako długą próbę kostiumową do czegoś, co miało naprawdę nadejść: do żałoby, melancholii, odosobnienia, rozmycia tożsamości, do tego wszystkiego, co jeszcze mnie czeka i być może nigdy się nie skończy. Mój ojciec właśnie powoli dogorywał. Umierał długo, przez prawie pięć lat krążąc między domem a szpitalem, panicznie, rozpaczliwie walcząc o życie, przeraźliwie bojąc się śmierci i straszliwie cierpiąc. Co rusz wzywano mnie do Bostonu, skądkolwiek, zewsząd – przeważnie z Meksyku, raz z Barcelony, raz z Hawany, gdzie akurat zbierałem materiały do książki – spodziewając się, że tym razem to już koniec, ale ojcu za każdym razem udawało się przezwyciężyć kryzys.

Kilka dni po naszym pierwszym wieczorze z Aurą na Copilco, zanim wróciłem do Nowego Jorku, wpadła do mnie Argentynka, której zamierzałem podnająć mieszkanie – żeby odebrać klucze i wręczyć mi czek. Była projektantką graficzną, kobietą po trzydziestce, która właśnie rozstała się ze swoim meksykańskim mężem; miała smutne piwne oczy, dołeczek w podbródku i proste blond włosy, rzadkie i przetłuszczone; włożyła na siebie spłowiałe obcisłe džinsy i flanelową koszulę z rozchylonym kołnierzem, odsłaniającym dyskretnie rowek między piersiami. Załatwiwszy formalności związane z mieszkaniem, poszliśmy razem na drinka, a potem odwiozła mnie do domu. Było późno, na ulicy pusto i ciemno, no i skończyło się szybkim seksem w samochodzie, wyplątała się z džinsów i usiadła okrakiem na mnie wciśniętym w fotel pasażera. Zerkając jej przez ramię, obserwowałem zdumiony, jak przednia szyba błyskawicznie zachodzi mgłą, a wilgoć jarzy się w blasku stojącej wśród drzew latarni niczym różowawa tafla lodu.

Kiedy ostatnio pieprzyłem się w samochodzie? – myślę, że jeszcze w college'u. Uprawiałem seks po raz pierwszy od wielu miesięcy. Czemu akurat teraz doszło do tej niespodziewanej sytuacji? Czyżbym powracał do życia? Więcej już jej nie widziałem.

Po przyjeździe do Nowego Jorku nie spieszyłem się do spotkania z Aurą. Nie nazwałbym tego świadomą strategią, choć miałem poczucie, że jeśli na cokolwiek liczę, w żadnym razie nie powinienem jej naciskać. Byłem pewny, że wkrótce pochłoną ją studia i życie na Columbii, że zyska nowych przyjaciół, błyskotliwych mężczyzn z całego świata – pełnych fantazji konstruktorów robotów! Dlaczego miałyby o mnie pamiętać? Szykowałem się na rozczarowanie, poprzysiągłem sobie nie ciągnąć tej znajomości na siłę. Nie minął jeszcze tydzień od mojego powrotu, kiedy odezwała się matka z informacją, że ojciec jest znów w szpitalu. Pojechałem do Wadley, poprowadziłem pierwsze zajęcia w semestrze i w upale późnego lata ruszyłem do Bostonu, żeby się z nim zobaczyć. Wcześniej wysłałem Aurze e-mail, na który odpowiedziała z nowego adresu w domenie uniwersyteckiej, podając mi swój numer telefonu. Kiedy zadzwoniłem po raz pierwszy, tak podniecony i zdenerwowany, że miałem wrażenie, jakby w brzuchu załęgło mi się stado węgorzy, odebrała jej współlokatorka, botaniczka z Korei. Miała uroczy młody głos, który muskał moje uszy jak świeża wiosenna bryza. Powiedziała, że Aura b i e r z e p r y s z n i c. Bierze prysznic. To zdanie niosło ze sobą tyle podtekstów – był weekend, szósta albo siódma po południu, dość niezwykła pora na prysznic, chyba że ktoś się dokądś wybiera, najprawdopodobniej na randkę, cokolwiek by to było, w każdym razie na coś, co doktoranci nazywają „randką”. Nawet teraz trudno mi przyjąć do wiadomości, że urządziła sobie ten słodki rytuał z myślą o kimś innym: wychodząc z łazienki w turbanie z ręcznika,

z drugim rękawnikiem udrapowanym na piersiach, wybierając sukienkę, susząc włosy suszarką, przymierzając sukienkę, przeglądając się w lustrze, robiąc sobie makijaż, zdejmując sukienkę i wkładając następną – nie tak ładną i seksowną, za to zakrywając tatuaż ze słońcem i księżycem splecionymi w symbol jin-jang, który nosiła nad lewą piersią od piętnastego roku życia – z wprawą godną kaligrafa zen nanosząc na usta kolejną warstwę błyszczycy, drepcząc po mieszkaniu boso albo w samych rajstopach, z trudem powściągając emocje przed wieczornym wyjściem na miasto. Zostawiłem swoje namiary, poprosiłem o przekazanie, że jeszcze się odezwę, i kilka dni później znów zadzwoniłem. Rozmawialiśmy trochę o zajęciach na uczelni i wykładowcach – szefowa wydziału, bladokóra Peruwianka, która poinformowała ją o przyjęciu na studia, objęła posadę w Michigan i dała nogę z Columbii, ot tak, po prostu! – Aura sprawiała jednak wrażenie zadowolonej, opowiedziała mi o przyjęciu, na które zaprosiła swoich kolegów z roku, pochwaliła się, że na hiszpańskim Harlemie udało jej się kupić wszystko, czego potrzebowała do przygotowania meksykańskich dań, nawet syrop z agawy, wielki blok lodu i specjalną maszynkę do przyrządzania raspados. Uwielbiała urządzać przyjęcia. Spytałem, czy znajdzie czas, żeby wybrać się ze mną na kolację. Odparła, że wolałaby się umówić na obiad. Powiedziałem, że nie umawiam się na obiady, bo to zaburza mój dzień pracy. Czemu to zrobiłem? Ponieważ uznałem, że proponując wspólny obiad, daje mi do zrozumienia, byśmy zostali tylko przyjaciółmi. Niewiele wtedy było trzeba, żeby mnie zniechęcić. Zanim odłożyła słuchawkę, powtórzyła raz jeszcze, że w ciągu dnia zawsze jest wolna. Zastanawiam się, jak potoczyłyby się nasze dalsze losy, gdybym uległ, podjechał na Columbię i wybrał się z nią na obiad albo umówił na popołudniową kawę w Hungarian Pastry

Shop. Być może nadal tkwilibyśmy w impasie, gdyby nie nagłe pogorszenie stanu zdrowia mojego ojca. Przenieśli go ze szpitala w Bostonie do ponurego hospicjum Medicare w Dedham, tuż przy zjeździe z Route 128. Miało to znaczyć, że tym razem koniec jest naprawdę blisko, ale ojciec tylekroć wymykał się śmierci, że i teraz mógł się jakoś wywinąć, czego byłem pewien, choć nikt już mu tego nie życzył, zwłaszcza moja matka.

Rodzice nie byli szczęśliwi w małżeństwie. Nigdy nie widziałem, żeby się całowali. Ojciec był o osiemnaście lat starszy od matki. Kiedy kończyłem szkołę średnią, rozstali się ostatecznie, do czego moja siostra namawiała matkę od lat. Separacja nie pociągnęła jednak za sobą rozwodu. Po odejściu na emeryturę w wieku siedemdziesięciu lat ojciec kupił sobie kawalerkę na Florydzie, w której od tamtej pory spędzał zimę, wracając na wiosnę do Massachusetts. Miał też mieszkanie w Walpole, ale po kilku latach je sprzedał i przy okazji każdej podróży na północ sprowadzał się do naszego domu w Namoset – pod pretekstem, że matka nie poradzi sobie z płaceniem rachunków, wynajmowaniem ogrodników i tak dalej. Wkrótce po osiemdziesiątych siódmych urodzinach, kiedy podupadł na zdrowiu i musiał zrezygnować z prowadzenia samochodu, sprzedał też kawalerkę na Florydzie. Mieszkanie z ojcem na okrągło, znoszenie jego chorób i nieustannego marudzenia wyczerpało matkę do tego stopnia, że po kilku latach sprawiała wrażenie równie sędziwej i zramolałej jak on. Za młodu ojciec był zapalonym sportowcem, w szkole średniej uprawiał futbol i grał w półzawodowej drużynie baseballu, ale w ostatnich latach życia, zżerany stopniowo przez raka, zrobił się przeraźliwie chudy i przypominał zniedołężniałego Fidela Castro. W 1999 roku zachłysnął się wymiotami przez sen i spędził osiem dni w śpiączce, z której ocknął się cudem, z szalonym błyskiem w oku,

wymachując wąłymi nogami jak zgalwanizowany kościotrup. Po wybudzeniu ze śpiączki miał zaniki pamięci i kłopoty z orientacją, co nie zmienia faktu, że cztery lata później codziennie rozwiązywał krzyżówkę w „Timesie” i miał wyrobione zdanie na każdy temat. Czasem zdarzało mu się powiedzieć coś dziwnego i przerażająco sugestywnego, jakby śpiączka otworzyła w nim jakąś szczelinę, przez którą dokonywał się niekontrolowany przeciek myśli uwarunkowanych logiką snu, na przykład w dzień zamachów 11 września, kiedy rozmawialiśmy przez telefon i ojciec spytał: Frankie, czemu nie pilnujesz lotnisk? Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Frankie, ciągnął uparcie, wszyscy młodzi mężczyźni poszli pilnować lotnisk, czemu nie jesteś z nimi?

Mniej więcej w połowie września pojechałem do ojca wprost z Wadley, żeby odwiedzić go w hospicjum. Znalazłem go w pokoju przypominającym cementową trumnę, podłączonego mnóstwem rurek i kabli do kroplówek, worka na szczynty i monitorów kontrolujących funkcje życiowe. Spędził ostatnie dni w tym strasznym miejscu, leżąc bezwładnie na boku i gapiąc się w ścianę. Personel zachowywał się arogancko i opryskliwie; matce nie zdarzyło się spotkać ani jednej uprzejmej pielęgniarki. Kiedy poprosiłem ojca, żeby opowiedział o mojej babci, rozpłakał się. Nigdy nie widziałem go w takim stanie, dosłownie zanosił się szlochem. Jego matka umarła wiele lat przed moim urodzeniem i do tamtej pory niespecjalnie się nią interesowałem. Ojciec pochodził z rodziny emigrantów, którzy uciekli z Rosji po fali pogromów; był jednym z najmłodszych z rodzeństwa liczącego ośmioro lub dziewięcioro dzieci i przybył do Stanów w czasie Wielkiego Kryzysu. Harował przez całe dorosłe życie, aż do siedemdziesiątki, jako inżynier chemik w fabryce wyrobów dentystycznych w Somerville, dzień w dzień wychodząc do pracy

o wpół do siódmej rano. Jak wyznał mi wtedy w hospicjum, jego matka była „pierdoloną pyską zdzirą”, wiecznie skłóconą z rodziną i zamieniającą w piekło życie wszystkich dokoła. Jego słowa pozostawały w jawnej sprzeczności z tym, co opowiadał mi o niej przed laty i co musiało być wersją ocenzurowaną na użytek małoletniego syna. Jeszcze bardziej zdumiał mnie jednak jego płacz, kiedy z bezsilną wściekłością wspominał swoją matkę. Chyba zdawał sobie sprawę, że spytałem go o nią, przeczuwając jego rychłą śmierć. Pewnie uznał to za typowy oportunizm powieściopisarza: zebrać informacje, zanim przypadną na zawsze. W sumie miał w życiu przesrane, umiał jednak docenić nieliczne płynące zeń przyjemności: uprawę kwiatów i warzyw w ogrodzie, obstawianie wyścigów konnych i meczów piłkarskich, czytanie powieści szpiegowskich i książek o historii Stanów Zjednoczonych. Jeszcze w wieku osiemdziesięciu sześciu lat potrafił się wybrać na stadion Fenway Park, żeby popatrzeć, jak miota Roger Clemens. Prawie pod każdym względem radził sobie lepiej ode mnie: dorobił się domu na przedmieściach, posłał dzieci do college’u, ożenił się z piękną kobietą z Ameryki Środkowej – dwujęzyczną sekretarką w jego zakładzie pracy, a później nauczycielką, która tak naprawdę nigdy go nie kochała, podobnie zresztą jak on jej naprawdę nie kochał. Ale świadomość bycia niekochanym przez własną żonę wcale nie ułatwiała ojcu rozstania z życiem. Obiecałem mu, że przyjadę za tydzień. Byłem pewny, że wciąż go tam zastanę, sądziłem nawet, że jego agonia przeciągnie się o kolejny rok. Tato, już niedługo obejrzymy razem Red Soksów w Pucharze Świata, powiedziałem. Żartowaliśmy sobie, że ojciec nie umrze, dopóki Red Soksi nie zdobędą wreszcie mistrzostwa ligi. Nie było im dane w 2003 roku, choć wtedy wciąż jeszcze mieliśmy nadzieję. Kupiłem już bilet na pociąg i wybierałem się w weekend do Bostonu.

Siedziałem akurat w swoim mikroskopijnym gabinecie w Wadley College, kiedy zadzwonili z hospicjum z informacją, że ojciec nie żyje. Nikogo przy nim nie było, umarł samotnie, twarzą do ściany, przynajmniej tak to sobie wyobrażałem.

Można by rzec, że nigdy nie miałem okazji opłakać ojca ani obejść po nim żałoby, przypuszczam jednak, że i tak nie rozpamiętywałem tej straty. Którejś nocy obudziłem się z koszmaru: ojciec siedział na brzegu łóżka, tylko że w miejscu, gdzie powinien mieć twarz, ujrzałem wypełniony cieniem owal, niczym wrota do czarnej dziury. Jakieś dwa tygodnie po pogrzebie zadzwoniła Aura i powiedziała, że musi natychmiast ze mną porozmawiać; potrzebowała mojej rady. Chciała się ze mną zobaczyć jeszcze tego samego dnia; czy mógłbym? Umówiłem się z nią o drugiej w księgarni Barnes & Noble przy Union Square. Kiedy się zjawiła, stałem przy jednym ze stolików z nowościami, tuż obok drzwi wejściowych. Miała na sobie spłowiałe džinsy, koszulkę w paski i zapinaną na suwak bluzę z kapturem; grzywka opadała jej na oczy, przez co dziewczęcy uśmiech wydawał się jeszcze bardziej promienny. Na przewieszanej przez ramię płóciennej torbie z książkami widniał emblemat Uniwersytetu Columbia; Aura była jeszcze chudsza niż sześć tygodni temu, kiedy widziałem ją po raz ostatni w Meksyku. Najlepsze przyjaciółki odwróciły się ode mnie!, wygarnęła prosto z mostu. Takie były jej pierwsze słowa. Co narobiłam! Roześmiała się, niczym zawstydzona własnym zachowaniem dama w opałach. Zaproponowałem, żebyśmy wyszli i rozmawiali w parku. Był słoneczny jesienny dzień, zupełnie jak na pogrzebie mojego ojca, nieskazitelnie lazuruwe niebo, kilka białych obłoków, drzewa w kolorowych liściach, powietrze czyste i rześkie, piękny dzień, który zmienił Union Square, jak powiedziałem Aurze, w Ogród Luksemburski, tyle że bez posągów

królowych. Królowe uciekły, ciągnąłem, ale popatrz, zrzuciły swoje długie brązowe suknie z kamienia, żeby lżej im się biegło, widzisz? Widzisz te pogniecione torebki papierowe, toczone wiatrem wzdłuż krawężników i wymieszane z liśćmi, zwinięte w kulkę i wrzucone do koszy na śmieci, i tę, którą postawił przy sobie facet jedzący kanapki, o tam, na wprost, na tej ławce? To są suknie królowych. Aura rozejrzała się powoli, obrzuciła wzrokiem wszystkie torebki, jakbym mówił najszczerzą prawdę, i uśmiechnęła się szeroko. A gdzie się podziały królowe?, spytała. Tego właśnie nikt nie wie, odparłem. Cóż, może ja też tam ucieknę, rzekła. Kiedy usiedliśmy na ławce, opowiedziała mi o swoich kłopotach z koleżankami. W pierwszych dniach zajęć na Columbi przygarnęły ją dwie dziewczyny, nierozłączne przyjaciółki, stare wygi akademickie, które traktowały ją czasem jak przysłowiowe piąte koło u wozu. Pierwsza miała na imię Moira, mieszkała w Nowym Jorku na stałe i pochodziła z Dominikany, druga, Lizette, przyjechała z Wenezueli. Podczas zorganizowanej przez wydział konferencji naukowej Moira, prześliczna Mulatka, *total neurótica* i *a pinche obsesiva de controlar todo*, zadurzyła się w jednym facecie z Princeton, który wygłosił odczyt na temat swojej pracy doktorskiej „Obraz dzieciństwa w twórczości trzech pisarek latynoamerykańskich”. W tym momencie poczyniliśmy małą dygresję, żeby porozmawiać o tych trzech pisarkach: Clarice Lispector – Clarice L’Inspector, jak mówiła na nią Aura – była ulubienicą nas obojga; Aura ceniła też poezję Rosario Castellanos, której akurat nie znałem; nazwisko trzeciej nawet nie obito mi się o uszy, dowiedziałem się jednak od Aury, że jest właściwie jedyną pisarką współczesną, jaką uznają wykładowcy z jej wydziału, przede wszystkim dlatego, że jej powieści są „idealnym obiektem analiz z punktu widzenia teorii literackiej”. Facet z Princeton wyglądał z początku

na zainteresowanego Moirą, zamierzał nawet wyskoczyć z nią gdzieś w przyszły weekend, ale od powrotu do New Jersey dzwonił wyłącznie do Aury. Co gorsza, napisał e-mail do Moiry, w którym wyznał, że zakochał się w Aurze, mało tego, że padł ofiarą *flechazo*, miłosnej strzały, a Moira natychmiast przekierowała ten list na konto Aury i swojej przyjaciółki Lizette, nie wspominając już o innych ludziach z wydziału. Po kilku dramatycznych wymianach zdań Moira i Lizette wysłały Aurze e-mail z informacją, że zrywają z nią znajomość – jakby zawarła z nimi swoistą umowę przyjaźni i nie dotrzymała jej warunków. Aura poszła odwiedzić obydwie w domu, ale nikt nie otworzył na jej pukanie, choć była pewna, że przez drzwi mieszkania Lizette dobiegły ją czyjeś stłumione głosy. Tak więc po sześciu tygodniach pierwszego semestru została bez przyjaciółek, zyskawszy niezасłużoną reputację złodziejki cudzych mężczyzn.

Po chwili wymądrzań połączonych z udzielaniem świątłych rad spytałem, czy facet wybrał akurat taki temat pracy doktorskiej, bo jest szczególnie zainteresowany sprawami kobiet, czy też po to, żeby kobiety tak o nim myślały?

Aura się roześmiała. Och, przecież muszą być prostsze sposoby na podryw, nawet w środowiskach akademickich, odparła. Ma obsesję na punkcie matki, ja mam obsesję na punkcie swojej, i o tym właśnie rozmawialiśmy. Ale to, że facet ma obsesję na punkcie mamusi, nie znaczy od razu, że mam ochotę z nim się spotykać. Powiedziałabym raczej, że wręcz przeciwnie.

Cóż, ja nie mam obsesji na punkcie mamusi, odrzekłem, więc nie musisz się tym przejmować.

Aura dźwigała w torbie laptop i mnóstwo książek. Spytałem, czy wybiera się do biblioteki. Nie, ale musi to i owo poczytać. Do końca jej życia nie było dnia, w którym nie musiałaby „tego i owego

poczytać”. Zamierzała wybrać się do kawiarni. Powiedziałem, że jeśli ma ochotę, możemy pójść do mnie i chwilę poczytać, a potem wezmę ją na kolację. Pojechaliśmy metrem na Brooklyn i przesiedzieliśmy aż do wieczora w moim mieszkaniu, ona na paskudnej kanapie w biało-niebieskie paski, która z czasem miała wylądować na śmietniku w pierwszej kolejności, ja zaś uciałem sobie drzemkę, ukołysany miękkim odgłosem śmigania jej palców po klawiaturze.

Zjedliśmy kolację w restauracji śródziemnomorskiej przy Piątej Alei, w dzielnicy Park Slope; wciąż było jeszcze dość ciepło, żeby usiąść przy stole w ogródku. Próbowałem ją później pocałować na ulicy. Odwróciła się z czarującym uśmiechem. Co, czyżby nie chciała dać mi całusa? Roześmiałem się, jakby było mi całkiem wszystko jedno, czy kiedykolwiek to zrobi. Wróciliśmy do mnie i kochaliśmy się aż do świtu, a potem jeszcze raz, przed południem, tuż po przebudzeniu. Kiedy jednak zaczęła się zbierać do wyjścia, naprawdę ją spytałem, czy jeszcze cię kiedyś zobaczę?

Spojrzała na mnie trochę speszona i odparła, oczywiście, że tak. Wróciła wieczorem.

13.

Moja matka i jej przyjaciółki należą do Oderwanego Pokolenia, powiedziała mi kiedyś Aura. Oderwanego od rzeczywistości, dodała. Do pokolenia '68 ugrzęźniętego w mieście Meksyku, które, jakkolwiek by na to patrzeć, nie jest ani San Francisco, ani Nowym Jorkiem, ani tym bardziej Paryżem, tylko wciąż tym samym starym Meksykiem, tyle że pogubionym i znerwicowanym jak nigdy przedtem.

Stołeczną inteligencję z Oderwanego Pokolenia połączył entuzjizm dla psychoanalizy. Sposobu na lepsze, właściwsze i wznioślejsze poukładanie sobie życia – tak powiedziała mi Aura – należało teraz szukać, a później go doskonalić, we własnym intymnym gronie, w kręgu najbliższej rodziny i najdroższych przyjaciół, żeby pewnego dnia, który z pewnością kiedyś nadejdzie, udostępnić go masom. Kilku tutejszych psychiatrów stało się obiektem wręcz obsesyjnych domysłów i plotek znajomych jej matki i wuja. Część uwodziła pacjentów i wdawała się z nimi w romanse. Wśród Oderwanych zapanowała moda, przedstawiana pod pozorem światłej powinności, żeby posyłać na terapię służbę domową – kobiety i dorastające dziewczęta, niemal bez wyjątku niewykształcone i niepiśmienne. Warto oczywiście przypomnieć, że w mieście Meksyku nawet zwykła sekretarka może sobie pozwolić na wynajęcie gosposi, choćby w niepełnym wymiarze godzin, bo służba jest bardzo źle opłacana. Wuj Aury był jednym z pierwszych, którzy wysłali swoją domową „muchacha” do psychoterapeuty rodzinnego. Skoro on chodzi na terapię wraz

z żoną i dziećmi, wyjaśniał Leopoldo, objęcie terapią służącej przyczyni się tylko do dobra domowego Gestalt.

Wszystko to zainspirowało Aurę do napisania powieści, nad którą pracowała w ostatnich latach życia i którą nazwała roboczo *Pamiętnikiem doktorantki*. Tytułowa bohaterka ma na imię Alicia i jest młodą kobietą z miasta Meksyku, która robi doktorat z literatury w Nowym Jorku. Alicia niechętnie poświęca się pracy naukowej, ale nie ma odwagi sprzeciwić się matce, która pragnie, by córka spełniła jej najskrytsze marzenie. Prawdziwa Aura nie zawsze ukrywała, że chce zostać pisarką, ale i tak wiedziała, że matka się na to nie zgodzi. Juanita była święcie przekonana, że jeśli Aura ma odnieść sukces, powinna skupić całą energię na przygotowaniach do kariery akademickiej.

Aura zostawiła po sobie dwa ukończone rozdziały i dużo luźnych fragmentów powieści. Rozdział pierwszy opisuje dzieciństwo Alicii w Meksyku. Poznajemy jej matkę Julietę; ich pomoc domową Irmę; oraz byłego faceta Juliety, psychoanalityka nazwiskiem Marcelo Díaz Michaux, który właśnie powrócił do stolicy po latach studiów i praktyki we Francji. Marcelo Díaz Michaux przekonuje Julietę, by gosposia Irma została jego pacjentką, po czym zamierza ją wysłać do eksperymentalnego, realizującego utopijne metody leczenia zakładu dla nerwowo chorych we Francji. Irma, podobnie jak prawdziwa Ursula, jest uroczą i gadatliwą kobietą o ciele dziesięcioletniej dziewczynki, mimo że zbliża się już do czterdziestki. Pamiętam, że Aura zaśmiewała się do łez, opowiadając, jak będą wyglądały pierwsze sesje terapeutyczne Irmy w gabinecie Marcela. Zamierzała też przedstawić gosposię jako świadka rodzinnych tajemnic oraz najbliższą przyjaciółkę i powiernicę samotnej dziewczynki, która zwierza jej się co dzień po powrocie ze szkoły.

Słynny z radykalnej terapii zakład we Francji też miał swój

pierwowzór: renomowany szpital psychiatryczny w La Ferté, oddalony kilka godzin jazdy od Paryża. Aura nawiązała już korespondencję z osiemdziesięciosiedmioletnim dyrektorem placówki i umówiła się z nim na wizytę, żeby zebrać materiały do swej powieści. Zamierzaliśmy się wybrać do La Ferté wiosną 2008 roku.

Oto ostatnie, napisane niedługo przed śmiercią fragmenty powieści Aury, które znalazłem później w oddzielnym pliku na jej komputerze:

Marcelo Díaz Michaux:

Wszyscy grali ze mną w kulki, nawet Julieta w roli nieżyjącej już matki. A teraz nikt jej nie dorówna... choć jeszcze się przekonamy. Jestem młody – życie zaczyna się po sześćdziesiątce – a ona nie żyje, więc kto wygrywa? Zostawiła mnie bez dachu nad głową, razem z Alicią, moją żoną, i naszym dzieckiem, w ostatniej chwili podjąwszy decyzję, że przepisze dom naszej długoletniej gosposi Irmie Hernández, która przebywa obecnie we Francji, gdzieś pod Paryżem, dokąd się właśnie wybieram.

Postaci

Marcelo Díaz Michaux

Urodzony w 1946 roku w mieście Meksyku, w rodzinie dyplomaty i oddanej gospodyni domowej. Dorastał w Meksyku, wychowany (głównie) przez matkę. Uczęszczał (w Meksyku) do liceum francuskiego, gdzie poznał Julię. W wieku dwudziestu sześciu lat wyjechał studiować psychiatrię na Sorbonie. Jego upadek rozpoczął się dwa lata później, kiedy Julieta przysłała mu zaproszenie na swój ślub. Po piętnastu latach wrócił do Meksyku, żeby otworzyć gabinet czegoś w rodzaju psychoterapii lacanowskiej. Po godzinach pracował nad esejem o chmurach jako konstrukcji ideologicznej.

Alicia – córka Julii

Urodzona w 1977 roku; liść, pierścionki, wyrzucona na brzeg, w beczce, zmysłowa, kłębek, szkwał, szczelina, pałeczka, darń, krokusy, wtargnąć, wzdragać się, pełzać, stuknięta, zebrać, bakszysz, snucie pajęczyny.

W 2008 roku Alicia skończyła trzydzieści jeden lat.

Alicia jest w wieku, który Aura osiągnęłaby dziewięć miesięcy po śmierci, gdyby dożyła swoich wiosennych urodzin 24 kwietnia 2008 roku. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, wiosną 2008 roku dotarlibyśmy do La Ferté i Aura byłaby już w ciąży.

Czyżbym był pierwowzorem postaci Marcela Díaza Michaux? Z pozoru nie mamy ze sobą wiele wspólnego. Aura wymyśliła go jako dziesięć lat starszego ode mnie, co mogło być wyrazem jej niepokoju albo nerwowym żartem z dzielącej nas różnicy wieku. Rzecz jasna, Julieta musiała być wściekła, że ten popapraniec, jej były facet, ożenił się później z jej córką. Ale Marcelo był słynnym paryskim psychiatrą i zarabiał dużo więcej ode mnie. Tak więc Marcelo i Alicia powinni spędzać wakacje 2007 roku w Tulum albo gdzieś indziej na Jukatanie, na przykład na Riviera Maya nad Morzem Karaibskim, a nie w stanie Oaxaca, na hipisowskiej plaży słynnej z wysokich fal na Pacyfiku. Alicia pojechała do Tulum, a nie do Oaxaca, i dzięki temu wiosną 2008 roku żyje w najlepsze i obchodzi trzydzieste pierwsze urodziny. Czemu nie wróciliśmy tamtego lata do Tulum, dokąd wpadliśmy na pięć dni na początku 2004 roku, tylko wybraliśmy się na plażę w Oaxaca? Bo nie miałem pieniędzy, żeby wynająć domek na dwa tygodnie w Tulum, za to było mnie stać na chatkę w Oaxaca.

liść
pierścionki
wyrzucona na brzeg
w beczce
zmysłowa
kłębek
szkwał
szczelina
pałeczka

darń
krokusy
wtargnąć
wzdragać się
pełzać
stuknięta
żebrać
bakszysz
snucie pajęczyny

Nauczyłem się tej listy na pamięć i często nad nią medytowałem, skupiając się czasem tylko na jednym słowie tak długo, aż odnalazłem w nim Aurę, i wtedy się śmiałem, jakby była ze mną i jakbyśmy oboje chichrali się do rozpuku z tego, co chciała powiedzieć przez „pałeczkę”. Albo wyśpiewywałem całą listę, od początku do końca, i czekałem, co się pojawi: obrazy, wspomnienia, inne słowa, wizje.

* * *

Szczelina: cenote. Przy zakurzonej drodze, która odchodziła tuż za naszym hotelem w Tulum, przed wjazdem do Rezerwatu Biosfery Sian Ka'an, znajdowało się niewielkie cenote, pozornie bezdenna studnia krasowa wypełniona krystalicznie czystą wodą z podziemnej rzeki. Zaparkowaliśmy wynajęty samochód – oboje byliśmy w strojach kąpielowych – i poszliśmy popływać razem z miejscowymi dziećmi, które wdrapywały się na rachityczne drzewka nad brzegiem, żeby stamtąd dać nura w głębinę. Ja też to zrobiłem, wywołując nieśmiałe parsknięcia śmiechu wśród małych gapiów: wyrzuciłem w powietrze włochate, wylewające się z kąpielówek brzuszysko i blady baryłkowaty tors, wpadłem do wody z głośnym pluśnięciem, z całej siły młócąc

rękami i nogami, żeby się przekonać, jak głęboko zanurkuje w lodowato zimnej, fioletowawej czeluści, po czym obleciał mnie strach, że przez przypadek wpłynę do jakiejś jaskini, więc obróciłem się w toni i w panice wynurzyłem na powierzchnię. Półwysep Yukatan, jak przeczytaliśmy w przewodniku turystycznym, jest potężną płytą kruchego piaskowca, spłaszczoną miliony lat temu przez upadek wielkiego meteorytu, który pozostawił po sobie mnóstwo szczelin i pęknięć, a wsączająca się w nie deszczówka zasila podziemne, płynące pod jałowym gruntem rzeki. Ilekroć skała zapadnie się nad wodną czeluścią albo ruch płyt tektonicznych odsłoni szczelinę w warstwach piaskowca, powstaje cenote.

„Wrota do podziemia” – oto, co usłyszeliśmy z Aurą od przewodnika w ruinach miasta Majów objaśniającego rozgęganej wycieczce, czym jest właściwie cenote, którego gładka, jaskrawozielona powierzchnia kryła mętną, przepastną czeluść i szkielety ofiar z ludzi, ciśniętych w toń, kiedy wyrwano im serca z piersi. „Hell-Ha” – oto, jak Aura nazwała park tematyczny Xel-Ha, zatłoczoną pułapkę na turystów, którą odwiedziliśmy skuszeni możliwością uprawiania snorkelingu w cenotes i lagunach, tymczasem pod wodą zastaliśmy znacznie więcej par ludzkich nóg dyndających i młócących w toni pod lasem wystających nad głowę rurek niż pływających pod nimi ryb – nie wspominając już o mnóstwie dryfujących, półprzezroczystych śmieci.

* * *

Pamiętam też tamtą lagunę – lub staw czy jezioro – którą odkryliśmy pewnego popołudnia w Rezerwacie Biosfery Sian Ka’an. Zapusciliśmy się daleko w głąb parku, jadąc nierówną, zakurzoną drogą wśród gęstych zarośli, pełną błotnistych kolein i podmokłych wybojów, aż wypatrzyliśmy po prawej stronie

niewielki parking i jaskrawożółtą wieżę obserwacyjną, która wystawała nad drzewa niczym zgubione krzesło ratownika. Zatrzymaliśmy się, wysiedliśmy z samochodu, poszliśmy ścieżką do wieży i wdrapaliśmy się po krętych schodkach na platformę widokową. Ku naszemu zaskoczeniu Morze Karaibskie rozpościerało się niespełna dwieście metrów dalej, tuż za pasem dżungli po przeciwnej stronie drogi. Było później, niż myśleliśmy: pulsujące, pomarańczowe słońce chyliło się już ku zachodowi.

Zeszliśmy z wieży i zamiast od razu wrócić do Tulum, pomaszerowaliśmy dalej szlakiem, do ukrytej laguny. Rozsiedliśmy się na niskim drewnianym pomoście. Wokół nie było żywej duszy. Obserwowaliśmy, jak pastelowe, rozmigotane barwy zachodu rozlewają się na powierzchni wody i błyszczą na niebie ponad linią dżungli oddzielającej nas od morza. Powietrze aż drżało od śpiewu ptaków, jakby w każdym opromienionym blaskiem drzewie, w każdej roślinie, krył się co najmniej jeden hałaśliwy ptaszek; oszołomieni, pogrążyliśmy się oboje w spokojnej medytacji nad szaloną wzniosłością tego, czego akurat byliśmy świadkami, każde z osobna w poczuciu mistycznego cudu i samotności, które wkrótce nas zjednoczyło i stało się wspólnym poczuciem mistycznego cudu i samotności. Jakbyśmy uczestniczyli w tajnej ceremonii zaślubin prowadzonej przez ptaki. Czasem sobie myślę, że jeśli cenotes są naprawdę wrotami do podziemi, przez które mógłbym przejść i zjednoczyć się z Aurą, wyostałbym się na zewnątrz na brzegu tej właśnie laguny w dżungli. Aura by na mnie czekała.

No cóż, Hell-Ha, *mi amor*. Każde szczęśliwe wspomnienie jest czymś zarażone. Szczepem wirusa, który przeskoczył ze śmierci na życie i wgryza się żarłocznie w głąb mojej pamięci, wywołując pragnienie, żeby cała przeszłość nigdy się nie zdarzyła. Ale ja

przypominam strażnika, który przysnął na stacji kwarantanny i dał pacjentom okazję wymknięcia się z kordonu. Czuję się jednak samotny, mając tylko swoją wersję wydarzeń. Aura nie może powiedzieć, ale to nie było do końca tak, *mi amor*, zapamiętałam to trochę inaczej. Miało być tak, że to ona któregoś dnia ujmie moją kościstą dłoń i poprowadzi mnie przez wspólne wspomnienia początków naszej miłości. To słodkie uniesienie, kiedy budziłem się ze snu i miałem ją przy sobie w łóżku. Mieszkanie rozbrzmiewające muzyką, której wcześniej nie znałem, melodyjną, zgrabnie napisaną dziewczynską muzyką – grupy Belle & Sebastian – w najszcześniejsze poranki mojego życia. (Mimo upływu czterech lat wciąż nie mogę się pogodzić z utratą radości odkrywania szczęścia codziennie od nowa). Na kilka pierwszych wspólnych nocy przyniosła ze sobą własne płyty. *Dear Catastrophe Waitress*, *Wrapped up in Books*, *Judy and the Dream of Horses*, a także *If You Find Yourself Caught in Love*, czyli

Kiedy się znajdziesz w objęciach miłości,
Módl się do tego, co na wysokości,
Za każdą chwilę trzeba mu dziękować,
Za to, że wciąż nam chce dupę ratować.

Czy to się naprawdę działo? W m o i m życiu? Ilekroć słucham tych piosenek, łzy stają mi w oczach. Soda Stereo, Charlie García, The Smiths, Pixies, OOIOO; jej ukochani Beatlesi i Dylan. A na kogo ja nawróciłem Aurę? Chyba na Iggy'ego Popa i na The Stooges. *Te quiero aún más hoy que ayer*, dziś kocham cię jeszcze bardziej niż wczoraj – takie były moje pierwsze słowa każdego poranka, trochę jak w tym angielskim przesądzie, że w pierwszy dzień nowego roku trzeba powiedzieć na głos „rabbitrabbitrabbit”. Minęło wiele miesięcy, zanim nadszedł poranek, kiedy zapomniałem wypowiedzieć swoje zaklęcie. Aura przez dwie minuty udawała,

że się na mnie gniewa, co, już przestajesz mnie kochać? Nazajutrz rano nie zapomniałem, lecz po upływie kolejnego roku powtarzanie tych słów zaczęło mi się wydawać zbyt mechaniczne. Nie wyświechtały się jednak na tyle, żebym w ogóle z nich zrezygnował, wciąż zdarzały się poranki, kiedy bardzo mi zależało, by Aura je usłyszała, albo po prostu sam miałem ochotę je wypowiedzieć. Pewnego dnia w pierwszym lub drugim tygodniu naszego związku Aura wyciągnęła mnie z łóżka, zaprowadziła do wieży stereo, włożyła do odtwarzacza płytę Björk i nastawiła *It's Oh So Quiet*, piosenkę o zakochiwaniu się, w której kołysankowe szzz-szzz przechodzą w pełen euforii krzyk WOWWWW WOWWWW... THIS IS IT!!! – czy naprawdę mogłem ją natchnąć do c z e g o ś t a k i e g o?! Aura miała oczy skośne jak Björk, podobnie opadającą grzywkę i taki sam wygląd złośliwego duszka. Któregoś wieczoru usiadła mi na kolanach i zaczęła czytać wiersz ze zbioru poezji Carol Ann Duffy: *Za rogiem dzieciństwa domy poznikały... aż dotarłaś nareszcie na skraj wielkiej puszczy. W tej właśnie puszczy, na słonecznej polanie, Czerwony Kapturek, czyli narratorka wiersza, po raz pierwszy w swym życiu wilka zobaczyła. Stary wilk miał pysk poplamiony winem i z wilczym skowyyytem czytał swoje poezje, wzięwszy tom w łapy kudłami pokryyyte – Aura zniżyła głos, żeby podkreślić rymy wewnętrzne, a jej czarne, sfałdowane na palcach rajstopy unosiły się w rytm wiersza niczym odwracające się w stronę źródła dźwięku kocie uszy. Jakie wielkie oczy... jakie zęby, hahaha, postawił mi drinka, pierwszego w moim życiu. Dlaczego Czerwony Kapturek chce pójść za starym wilkiem? Aura oparła rozpalone czoło o moją głowę: Jak to? Przez poezję. Po chwili powtórzyła: przez POEZJĘ. Czerwony Kapturek też chce być poetką.*

Któraż słodka dziewczyna wilka nie pokooocha?

– zaintonowała z emfazą, przeciągając samogłoski jak w refrenie

ulubionego hymnu rockowego. Tyle że wiersz nie kończy się dobrze, przynajmniej dla wilka. Po dziesięciu latach słuchania tych samych starych pieśni, nie mogąc odnaleźć własnego głosu, Czerwony Kapturek bierze topór, rozpruwa wilka *od moszny po gardziel* i znajduje wewnątrz *babcię kosteczki*. No, nie, powiedziałem, kochanie, proszę cię, nie rób tego ze mną, nie będę cię uciszał, jestem starym wilkiem, ale nie takim!

W pierwszą niedzielę, którą spędziliśmy razem w Nowym Jorku, poszliśmy do Katz's Delicatessen, żeby Aura mogła po raz pierwszy skosztować kanapki z pastrami. Plan był taki, by wybrać się stamtąd do Metropolitan Museum, potem ewentualnie na spacer do parku, zamówić drinka w romantycznym barze przy jakimś hotelu, wyskoczyć do kina i zjeść późną kolację w restauracji. Kanapki u Katz's są tak ogromne, że chciałem kupić jedną na spótkę i zamówić do tego dwie porcje rosółu z kulkami z macy, którego Aura też nigdy nie jadła, ale ona tak się rozsmakowała w podsunętym jej na spróbowanie kawałku pastrami i tak ją zachwycił sam wygląd kanapki wypełnionej po brzegi soczystym mięsem, że poprosiła o całą dla siebie. Dosłownie ją pochłonęła. Kiedy wyszliśmy na dwór, powiedziała, że boli ją żołądek. Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem, z twarzą ściągniętą cierpieniem, a kiedy przycisnąłem usta i nos do jej policzka, poczułem, że jest wilgotny, pachnie musztardą i tłuszczem wołowym. Oooh, jęknęła, zgięta w pół, trzymając się rękoma za brzuch, muszę jechać do domu. Czyli do mnie?, spytałem. Skinęła głową. Wezwałem taksówkę i wróciliśmy do mojego mieszkania na Brooklynie, gdzie Aura spędziła resztę dnia w łóżku, ja zaś podałem jej alka-seltzer, pogałem do supermarketu po herbatkę rumiankową, poczytałem trochę, obejrzałem mecz futbolowy z wyłączonym dźwiękiem, kiedy

na chwilę przysnęła, połaskotałem ją po ręce, wodząc po skórze lekkimi jak piórko opuszkami palców, bo już wiedziałem, że uwielbia, kiedy to robię. Wieczorem poczuła się lepiej, więc zszedłem na dół do chińskiej knajpki i zamówiłem dania na wynos: dla Aury zupę z kurczaka z ryżem, dla siebie smażony makaron sing chow mein fun. Obejrzelśmy film na DVD. Prawie już zapominałem, że można tak spędzić niedzielę.

Ilekcóż teraz przechodzę obok Katz's Delicatessen, przystaję i gapię się tępym wzrokiem w ten chodnik, w ten długi czarniawy krawężnik wijący się niczym padalec i w puste miejsce po Aurze. Czasem zatrzymuję się dokładnie tam, gdzie to się zdarzyło, i szepczę: „czyli do mnie?”. Zejść w głąb pamięci jak Orfeusz i na chwilę przywrócić Aurę do życia – oto żałosny cel tych wszystkich bezowocnych rytuałów i prób odtworzenia przeszłości.

Żeby uczcić pięćdziesiąte urodziny Juanity, dwie *tías*, Lupe i Cali, oraz kilku innych znajomych, w tym stomatolog, który leczył Aurę w dzieciństwie, zaprosiło oboje z Rodrigiem na długi weekend do Las Vegas. Aura miała zajęcia w piątek i poniedziałek, więc kupiliśmy bilety na poranny lot w sobotę, żeby przynajmniej zjeść z matką kolację; następnego dnia musieliśmy wrócić. Las Vegas leży u stóp czarnej spłaszczonej góry, a może płaskowyżu wznoszącego się nad pustynią Mojave niczym olbrzymia czarna furgonetka na pustym parkingu, lśniąca i rozpalona w piekącym słońcu. Pomyśleliśmy sobie z Aurą, że promieniuje od niej zło, zalewając rozmigotane miasto dalekosiężnym strumieniem, który skojarzył nam się z kocimi szczykami. Za to nieodparte pierwsze wrażenie w dużym stopniu odpowiadał kierowca naszej taksówki z lotniska, który zachowywał się tak, jakby miał rozkaz dowieźć nas czym prędzej do podnóża góry, gdzie w swojej jaskini czeka już Pan

i Władca, rządca naszych losów. Pędził jak opętany długą prostą aleją na tyłach szklanej zabudowy Las Vegas Strip, ruszając z piskiem opon na każdym skrzyżowaniu po zmianie świateł, jakby już wiedział, co nas czeka, i nie potrafił temu zapobiec. Aura wstrzymała oddech i trzymała się kurczowo uchwytu na drzwiach; oboje wymienialiśmy spłoszone spojrzenia. Jeśli wierzyć danym z identyfikatora, taksówkarz miał na imię Bogoljub, a jego SUV był wyposażony w elektroniczną tablicę informacyjną, skierowaną ekranem w naszą stronę, która tylko nas utwierdzała w klaustrofobicznym poczuciu osaczenia, bombardując ogłoszeniami o rewiach, kasynach i promocjach na steki. Minęliśmy billboard z reklamą występów duetu Siegfried & Roy, Mistrzów Niemożliwego, choć zaledwie miesiąc wcześniej jeden z iluzjonistów, nie pamiętam już który, został pogryziony przez tygrysa i ledwie uszedł z życiem – białego tygrysa, który włókł Siegfrieda albo Roya po scenie, zaciskając mu zęby na szyi i potrząsając nim, pamiętam ten zwrot z gazet, „jak szmacianą lalką”. (Jakim cudem on to przeżył?). Bogoljub skręcił w lewo i wcisnął gaz do dechy, wjeżdżając w długą boczną ulicę wiodącą wprost do naszego hotelu The Venetian. Rzecz jasna od tamtej pory mówiliśmy na niego Belzebub, choć z prześladowającym Aurę koszmarnym wspomnieniem taksówkarza o głowie w kształcie kowadła kojarzyło nam się raczej piekielne wzniesienie nad miastem niż ten niebieskooki mężczyzna z płowożółtą czupryną.

Okropnie się przejąłem słowami Loli, która ostrzegała, że Aura zerwie ze mną natychmiast, jeśli tylko matka jej każe – do tego stopnia, że nawet nie pamiętam, jak się poznaliśmy. *Hola Ma*, to jest Francisco, Juanita taksująca mnie wzrokiem po raz pierwszy – nie mam żadnych takich wspomnień. Musiałem zerknąć na zdjęcia, które robiliśmy jednorazowym aparatem. Juanita, Rodrigo i Aura

siedzą przy stole zastawionym nieodpakowanymi prezentami i kieliszkami do koktajli, Juanita trzyma w górze różową koszulkę z błyszczącym napisem „New York City” i uśmiecha się od ucha do ucha, jakby dostała prawdziwy skarb. Aura była niecierpliwa i zawsze kupowała prezenty w ostatniej chwili – w przyszłości często musiałem sam wybierać podarunki dla jej rodziców. Na fotografiach widać przeszklone atrium, zarumienioną z emocji Juanitę, Rodriga w naciśniętej na oczy czapce bejsbolowej, Aurę, która wygląda jak koleżanka Audrey Hepburn ze studiów, ubraną w beżowy sweterek i szarą wełnianą spódnicę, z fryzurą na niesfornego pazia, szczęśliwą, że spotkała się z mamą. Mną nikt specjalnie się nie przejmował. Może wszyscy czuliśmy się odrobinę skrępowani, a może byłem po prostu kolejnym chłopakiem Aury, która zmieniała facetów jak rękawiczki, więc dlaczego ze mną miałoby być inaczej? Może nie zdawali sobie sprawy z mojego wieku i nie mieli pojęcia, że za niespełna trzy lata sam będę obchodził pięćdziesiąte urodziny. Aura miała fioła na punkcie matki: „Mami”, pobekiwała jak kózka, prowokując Juanitę do wybuchów trzpiotowatego śmiechu. Nie zdążyłem jeszcze zauważyć, że pod maską spokoju i powściągliwości Rodrigo próbuje ukryć dojmujące poczucie osamotnienia. Zorientowałem się w pewnej chwili, że Juanita obserwuje mnie bacznie zza stołu. Kiedy nasze oczy się spotkały, natychmiast odwróciła wzrok. Tamtego wieczoru przyłapałem ją na tym jeszcze raz. Myślę, że już wtedy podjęła decyzję. Aura i ja, podobnie jak wszyscy świeżo upieczeni kochankowie, potrafiliśmy odciąć się od świata, usiąść blisko siebie i śmiać się z każdego drobiazgu, jaki nam ślina na język przyniosła. Mniej więcej sześć tygodni później po raz pierwszy nakryłem Juanitę na szpiegowaniu nas w takiej chwili: w Meksyku, podczas hucznej gali noworocznej w Salon del Lago, na którą zaprosił nas

Leopoldo. Sprawiała wrażenie smutniejszej i bardziej zatroskanej niż wówczas, kiedy podpatrywała wyłącznie mnie. Wyglądała jak matczyne wcielenie Prospera, całkiem wyzute z sił, obserwujące bezradnie splecionych w czułym uścisku, niewytłumaczalnie w sobie zakochanych Mirandę i Kalibana.

Ale w Las Vegas zwracałem uwagę tylko na Aurę i mało mnie obchodziło, co myśli o mnie jej matka. Większość pozostałych zdjęć zrobiliśmy w naszym kiczowatym pokoju w hotelu The Venetian: pozuję na maskarona nad fotelem, który wyglądał jak tron papieski, Aura się mizdzy i przybiera szykowne pozy, przechadzając się wśród pretensjonalnych mebli w wykwintnym hotelowym szlafroku. Kolejna fotografia, tuż po tym, jak uprawialiśmy seks: Aura siedzi wsparta na stosie poduszek, rozchylone poły szlafroka odsłaniają jej maleńki tatuaż i miękką krzywiznę biustu, oczy mają odrobinę senny wyraz, patrzą jednak śmiało wprost w obiektyw – jak oczy aksolotla.

Jeszcze tego samego wieczoru przy stole do blackjacka w kasynie Bellagio Aura postawiła swój pierwszy w życiu zakład i wygrała pięćdziesiąt dolarów. Dziecko szczęścia! Dołączyliśmy do jej rodziców, sióstr Hernández i reszty znajomych – do tej pory ledwie ich zauważałem, bo albo w coś grali, albo robili zakupy – żeby wybrać się razem na urodzinową kolację. Bellagio wydaje się równie imponujące i nieogarnione jak pałac w Luwrze: niekończący się korowód sal ze stołami do gry, barów, restauracji, sklepów i turystów pstrykających sobie zdjęcia. Początkowo szliśmy razem ze wszystkimi, pochłonięci rozmową, chwilę później rozejrzeliśmy się wokół i byliśmy sami w tłumie obcych ludzi, Juanita, Rodrigo, *tías*, ich znajomi, wszyscy znikli nam z oczu, jakby zapadli się pod ziemię. Nie wiedzieliśmy, jak nazywa się nasza restauracja i na czyje nazwisko zarezerwowano stoliki.

Przez prawie dwie godziny chodziliśmy od restauracji do restauracji – a było ich kilkanaście – przeglądając listy rezerwacji i błagając nadętych *maitre*, żeby na wszelki wypadek pozwolili nam zajrzeć do środka. Okrążyliśmy wielkie Bellagio trzykrotnie. Po raz trzeci zatrzymaliśmy się przed Le Cirque, gdzie odprawiono nas stanowczym: „Waszych rodziców tu nie ma”, zanim zdążyliśmy się odezwać. Przylecieliśmy do Las Vegas wyłącznie po to, żeby w sobotę wieczorem zjeść kolację z Juanitą. Wreszcie przerwaliśmy poszukiwania i wpadliśmy na drinka do baru przy jednym z kasyn. A jeśli już nigdy nie zobaczę swojej matki?, spytała Aura. W końcu gdzie my jesteśmy, Francisco? Powiedziałem jej coś na pocieszenie. Wiedziałem jednak, że w Las Vegas wszystko się może zdarzyć, a w głowie zaczęły mi już migotać nagłówki z brukowców: Meksykańska rodzina wraz z przyjaciółmi znikła bez śladu w Bellagio, niczym ogłoszenia na ekranie tablicy informacyjnej w taksówce Belzebuba. Snując się w otępieniu, zaczęliśmy sprawdzać po kolei wszystkie kasyna. Trzymaliśmy się za ręce jak dzieci, żeby się więcej nie zgubić. Minęło kolejne pół godziny. *¿Cómo se dice una cobija de indios?*, spytała Aura ni stąd, ni zowąd, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, odpowiedziała sobie sama, pled indiański? *¿Se dice así?* Nagle wyrwał jej się cichy okrzyk: to stanął przed nami Rodrigo i chwycił nas mocno za ramiona – jakby chciał nam przeszkodzić w ucieczce. Wyszedł z restauracji, żeby nas poszukać. Wszyscy najpierw na nas czekali, ale wreszcie zabrali się do jedzenia. Może zdążymy się jeszcze załapać na deser. Zaprowadził nas do samoobsługowej restauracji z bufetem, której przedtem nawet nie zauważyliśmy. Kolejna radosna scena powitania Aury z mamą i z *tías*. Poszliśmy później na spacer bulwarem, słynnym z neonów, podświetlanych fontann i repliki wieży Eiffla. Nazajutrz rano wróciliśmy do Nowego Jorku. Aura uczyła się w samolocie, ja

obejrzałem film o koniu wyścigowym. W pełnych napięcia scenach z gonitw, kiedy stawka wychodziła na ostatnią prostą, podskakiwałem w fotelu jak dżokej, nie zdając sobie z tego sprawy, dopóki Aura nie dała mi kuksańca. Odwróciłem się i ujrzałem, że mnie przedrzeźnia, podrygując na siedzeniu, gapiąc się w ekran i naśladowując mój zaferowany wyraz twarzy. Roześmiała się i zaczęła mnie całować, a ja wyszczerzyłem zęby jak głupek – niespodziewany zwycięzca dosiadający swego serca, które pędzi cwałem do mety, rozbryzgując błoto zmieszane z nawozem!

Prawie rok po śmierci Aury dowiedziałem się od jej kuzynki Fabioli, że Juanita próbowała namówić córkę do rozstania ze mną. Aura powiedziała o tym Fabis, mnie jednak się nie przyznała. Ona musi zrozumieć, wyznała w rozmowie z Fabis, że jestem zakochana. Fabis podzieliła się też ze mną wspomnieniami z odwiedzin u Aury na Uniwersytecie Browna: Juanita dzwoniła codziennie o ósmej rano, żeby zagadnąć córkę o jej bieżące plany, postępy w pisaniu pracy i tak dalej. Fabis mówiła, byłam zaskoczona, że za każdym razem tak grzecznie rozmawia z matką, bez względu na to, do której zabalowałyśmy poprzedniego wieczoru, i pamiętam, jak jej zazdrościłam, że moja mama tak się o mnie nie troszczy, choć teraz jestem jej wdzięczna, że szanowała moją potrzebę wolności. Kiedy Fabis pojechała z Aurą do Nowego Jorku, żeby pomóc jej się urządzić po rozpoczęciu studiów na Columbii, Juanita zadzwoniła do niej z podziękowaniami. Powiedziała, że Fabis oszczędziła jej wizyt u psychiatry, które z pewnością by jej nie ominęły, gdyby Aura wyruszyła do Stanów na własną rękę. O co jej wtedy chodziło?, zastanawiała się Fabis. Wizyty u psychiatry? Wciąż tego nie rozumiem, przyznała. Zaintrygowała mnie opowieść Fabis; być może podsunęła mi klucz do interpretacji pewnego zdarzenia, które

od dawna nie dawało mi spokoju, choć już nigdy się nie dowiem, jak do niego doszło. Pewnego dnia przyprowadziłem do domu kolegę i zastałem Aurę siedzącą w kucki na podłodze w kuchni, zgiętą w pół, ściskającą kurczowo słuchawkę, zapłakaną, powtarzającą coraz bardziej udręczonym tonem:

No, mamá...

NO, mamá...

Nooo...

No, mamá, NO...

Cichutko zamknęliśmy za sobą drzwi i poszliśmy kupić butelkę wina przy Atlantic Avenue kilka przecznic dalej. Kiedy wróciliśmy, Aura skończyła już rozmawiać i sprawiała wrażenie całkiem opanowanej, choć wciąż przygnębionej. Zagadnąłem ją później, ale odpowiedziała tylko, och, nic takiego. Wiesz, moja matka... Nie przypominam sobie jednak, żebym widział ją kiedykolwiek tak roztrzęsioną. Ta kobieta musi być na skraju załamania nerwowego, pomyślałem wówczas o Juanicie, może nawet grozi, że popełni samobójstwo, i choć naprawdę nie ma zamiaru tego zrobić, potrafi śmiertelnie wystraszyć córkę.

Któż bardziej nienawidzi Romea niż matka Julii – byłem gotów powiedzieć Aurze, gdyby kiedykolwiek napomknęła o wrogości Juanity wobec mnie. Ale nigdy tego nie zrobiła, więc jej nie powiedziałem. Teraz już wiem, dzięki Fabis. Aurze musiało być ciężko puszczać matczyne rady mimo uszu. Nie wystarczyło oznajmić, ale ja go kocham, *Mami*, i tyle. Był jeszcze jeden epizod, o którym prawie już zapominałem. Wybraliśmy się do Meksyku na długie ferie bożonarodzeniowe niespełna trzy miesiące po tym, jak zaczęliśmy ze sobą chodzić, choć mieszkaliśmy już razem na Brooklynie. Zatrzymaliśmy się w moim mieszkaniu w dzielnicy Condesa. (Argentyńska sublokatorka wróciła do męża po dwóch

miesiącach). Po moich wcześniejszych opowieściach – które brzmiały, jakbym wynajmował całe piętro pałacu we Florencji z widokiem na słoneczne wzgórza Toskanii – Aura była wyraźnie rozczarowana. Nie doceniła uroku oszklonych drzwi w zbutwiałych framugach, z szybkami osadzonymi w popękanych ramkach, kuchni z widokiem na patio przypominające studnię, gdzie w porze deszczowej lęgły się komary, nieustannych kłopotów z ulatniającym się gazem, koślawych mebli kupionych na targu staroci, przede wszystkim zaś pozbawionej okien sypialni, o ścianach upstrzonych truchłami owadów, z którymi walczyłem od lat w ponure, bezsenne noce, stając na łóżku albo uganiając się po pokoju z packą na muchy bądź zwiniętą w rulon gazetą. Chyba po raz pierwszy naprawdę ją zawiodłem. Co z tego wynikało? A jeśli sam byłem taki jak ta sypialnia? Niechlujny, podstarzały, romantyczny dureń, który naobiecycwał Bóg wie co, a miał do zaoferowania tylko tę duszną, ponurą celę z owadzimi polami śmierci na ścianach i tanim, niewygodnym łóżkiem. Tak, tak, oczywiście, że tak, *hija*, właśnie tego można się po nim spodziewać, myślisz, że nie znam tych *niñotes*, moich rówieśników, którzy nie chcą dorosnąć?

Nie mam żadnych dowodów, że między Aurą i jej mamą doszło do takiej rozmowy. Ale przez trzy dni i trzy noce z rzędu Aura traktowała mnie chłodno i bezwzględnie, jak nigdy przedtem ani potem. Kochaliśmy się zaledwie raz, tak obojętnie, że fiut mi całkiem sflaczał. Rano wychodziła jeszcze przed śniadaniem i jechała na drugi koniec miasta, żeby pozałatwiać jakieś sprawy w UNAM, zobaczyć się z matką, przyjaciółmi, dawnymi wykładowcami, nawet z Norą Banini, swoją psychoterapeutką z dzieciństwa. Wyglądało na to, że nie zamierza przedstawiać mnie swoim znajomym. Nie próbowała mnie łąpać przez telefon. Spotykała się z byłym chłopakiem? Do kurwy nędzy, może z Borginim? (Teraz już wiem,

że Juanita gorąco popierała ich związek). Przecież to do niej niepodobne. Czyżby? Wychodziłem z siebie, strach mnie przenikał do szpiku kości. Traktowała mnie w sposób, w jaki kobieta traktuje mężczyznę, kiedy nie chce z nim być i szykuje się do rozstania – wając swoje racje, omawiając je z matką i przyjaciółmi.

Co się dzieje?, poskarżyłem się wreszcie, kiedy wróciła do domu. Co ja ci zrobiłem? Masz rację z tą zasraną dziurą, pozbędę się tego mieszkania. O Boże, już mnie nie kochasz! Tak po prostu!?

Spuściła wzrok. Stała po drugiej stronie łóżka i poprawiała pościel, strzepując pierze ze starej, rozprutej kołdry. W pokoju zrobiło się cicho jak w grobie. Najpierw odnóża, a potem skrzydła zakatrupionych na ścianie owadów zaczęły lekko drżeć; komary zombi budziły się do życia, czując w pobliżu złamane serce, które miały za chwilę wyssać do ostatniej kropli krwi.

Aura wreszcie się odezwała. To nie tak, Frank, szepnęła cichutko. Nie martw się, nic się nie stało, niedługo przejdzie.

I rzeczywiście przeszło, nazajutrz rano. Minęło jak gorączka, odsłaniając dawną Aurę, jakby psotnica bawiła się ze mną w chowanego. Nagabywała mnie jak zwykle, żebyśmy poszli gdzieś razem. Tego dnia postanowiła mnie zabrać do Upiornego Domu. Nigdy potem nie rozmawialiśmy, czemu odnosiła się do mnie z taką rezerwą. Byłem szczęśliwy, że mam te trzy dni już za sobą, jakby niosły jakąś śmiertelną zarazę.

Upiorny Dom był najszkaradniejszym obiektem przy Avenida de los Insurgentes. Olbrzymi, na wpół opustoszały blok mieszkalny miał piętnaście pięter – znacznie więcej niż sąsiednie budynki – i szeroką, załamaną pod kątem prostym fasadę osłaniającą betonową konstrukcją, która przypominała wypaloną od środka wieżę kontrolną lotniska. Gmach sprawiał wrażenie, jakby cudem ocalał

z bombardowania Drezna. Pewien redaktor zamówił u Aury materiał do rubryki sensacyjnej w nowym czasopiśmie, z którym wielu młodych autorów chciało nawiązać współpracę, ona jednak nie miała żadnego doświadczenia w pisaniu tego rodzaju tekstów. Skończyła właśnie pierwszy semestr studiów, uczestnicząc w zajęciach, które w praktyce wymagały opanowania całkiem nowego dla niej języka teorii krytycznej. Jednym z wykładowców Aury była Gayatri Chakravorty Spivak, od czasów Edwarda Saida bodaj największa gwiazda krytyki literackiej na Uniwersytecie Columbia. Spivak miała zwyczaj zapędzać ją w kozi róg, więc Aura bała się jej jak ognia, ale jednocześnie ją uwielbiała. I oto dostała szansę współpracy z magazynem, który podpowiadał hipsterom z Distrito Federal, gdzie się bawić, gdzie jeść i robić zakupy.

Postanowiła napisać o Upiornym Domu. Wiedziałem tylko, że dwie nocne spelunki, El Bullpen i El Jacalito, działały kiedyś na parterze w tylnej jego części, ale później zostały zamknięte. Co tu jest teraz?, spytałem. Zagłębienie handlu kokainą? Być może, odparła, ale nie jestem pewna; dlatego musimy tam pójść. W lecie popełniono tutaj morderstwo, powiedziała, ofiarą padł adwokat, który miał kancelarię na górze. Cudownie, mruknąłem, od razu poczułem się bezpiecznej, adwokaci mają tu swoje kancelarie i padają ofiarą morderców. Staliśmy na chodniku, gapiąc się na szerniałe mury. Bure kafelki i płyty betonu były spękane, podziurawione lub całkiem odpadły od elewacji. Zza okopconych szyb w oknach wyzierały zniszczone zasłony i opuszczone częściowo żaluzje. Na wyższych kondygnacjach wybite okna ziały czarną pustką po wypalonych lokalach. Woleliśmy nie korzystać z windy, przeszliśmy więc z holu na klatkę schodową, która śmierdziała szczykami i stęchłą wilgocią. Szybkie, lekkie kroki, jakiś szemrany typ schodzi po schodach, brudny podkoszulek bez rękawów, tatuaże

– prymitywne, zrobione niebieskim atramentem, pewnie w więzieniu, włosy ściągnięte w kucyk, w ręku zmięta papierowa torba, wzrok wbity w ziemię; minął nas biegiem, bez słowa. Wdrapaliśmy się na drugie piętro i zapuściliśmy się w głąb mrocznego korytarza, żadnych świateł, drzwi pozamykane, cisza, zastarzała woń szczurów. Na poobijanych drzwiach plakietki i tabliczki, na jednej z nich napis „Oficina Jurídica” – biuro prawne. Skręciliśmy za rogiem w następny korytarz, tak długi, że zdawał się nikać w ciemnościach. Wróciliśmy do schodów i weszliśmy piętro wyżej, potem jeszcze jedno, im wyżej, tym silniejsze doznanie wymarłej, klaustrofobicznej przestrzeni. Chciałem się już stąd wydostać. W tej opustoszałej ruinie wszystko mogło się zdarzyć, a gdyby coś przytrafiło się Aurze, ja później byłbym za to odpowiedzialny. Ale przy kolejnym zakręcie schodów, kiedy próbowałem sprowadzić ją na dół, pociągnęła mnie za rękę i szepnęła, wyżej, chodźmy wyżej – jakby ktoś rzucił na nią zaklęcie. Nie idziemy wyżej, odparłem. Wychodzimy stąd. Potem obydwie z Fabiolą się z tego śmiały. Ja, jeszcze niedawno „korespondent wojenny”, a boję się Upiornego Domu!

Señora Gama, administratorka bloku przy Insurgentes, bezpośrednio odpowiedzialna za zamknięcie dwóch lokali na parterze zrujnowanego budynku – słynnych knajp El Bullpen i El Jacalito – idzie pewnym krokiem wzdłuż ciemnego, potrzaskanego korytarza na dziesiątym piętrze, ubrana w neonowobłękitny żakiet i minispódniczkę. Z wymuszonym uśmiechem puszcza przodem swoje ewentualne przyszłe najemczynie – dwie młode kobiety szukające miejsca na zakład krawiecki – i sprowadza je po schodach na ósme piętro. Ostatnie, na które dociera jedyna z czterech wind ocalałych po trzęsieniu ziemi w 1985 roku. Ściany windy są szczelnie pokryte barwnymi, wymownymi graffiti. Kobiety zjeżdżają na czwarte piętro^[6].

Tak zaczyna się tekst *Upiorny dom*, który kilka tygodni później ukazał się w magazynie „DF”. Dwie młode kobiety, które chciały

wynając lokal pod zakład krawiecki, to Aura i Fabis. W tajemnicy przede mną Aura zaciągnęła tam swoją kuzynkę.

Chcąc się przekonać, co jest powyżej dziesiątego piętra, dziewczyny wspinają się po przerażających schodach. Widok na miasto zapiera dech w piersi. Dotarłszy na samą górę, znajdują tabliczkę z napisem: „Własność prywatna. Osobom z personelu wstęp wzbroniony”. Kobiety patrzą w głąb opustoszałego korytarza. Widzą potężny filar, osmalony i pokryty graffiti. Z okien zostały tylko zwęglone framugi, obramowujące bezchmurne niebo. Gdzieś słychać muzykę z radia. Kierują się w stronę źródła dźwięku. Na końcu korytarza, za otwartymi na oścież drzwiami, dostrzegają pokój z czerwonym dywanem, a w środku dwóch mężczyzn czytających na kanapie. Dobiega ich odgłos zbliżających się kroków. Wystraszone dziewczyny spoglądają po sobie i bez słowa ruszają biegiem do schodów.

Kiedy Aura oddała gotowy artykuł, redaktor wpadł w zachwyty i zamówił u niej kolejny tekst. Zaczęliśmy nocować w dawnym mieszkaniu Aury, w sypialni, gdzie spędziła większość życia. Nie było tam prawie żadnych mebli, telefon został odłączony. Choć nie robiliśmy żadnej tajemnicy z naszego pobytu na Copilco, czuliśmy się jak w kryjówce dwojga nastoletnich uciekinierów.

Aura miała jednak wkrótce dostać własne mieszkanie. Młodzi architekci przekształcali stary magazyn na obrzeżach Colonia Escandón w nowoczesny apartamentowiec z loftami. Odette, mama Fabioli, była znajomą rodziców jednego z architektów i jeszcze przed rozpoczęciem budowy kupiła po okazyjnej cenie dwa mieszkania na parterze, jedno dla Fabis, drugie pod wynajem. Juanita sprawiła Aurze apartament na tej samej kondygnacji, wydając wszystkie oszczędności na zaliczkę. Wspaniały dar, gwarantujący Aurze niezależność i poczucie bezpieczeństwa na początku kariery zawodowej. Mieszkania miały być gotowe do zasiedlenia w lecie.

Na weekend przed świętami Bożego Narodzenia wybraliśmy się

z rodzicami Aury do Taxco, rodzinnego miasta Juanity, żeby spędzić ten czas w świeżo odrestaurowanym luksusowym hotelu Los Ángeles de Las Minas, na koszt właściciela, który przyjaźnił się z Leopoldem. Nie zdążyłem jeszcze poznać wuja Aury – jedyne go członka rodziny, który jej zdaniem znienawidzi mnie od pierwszego wejrzenia, i to zapewne z wzajemnością. Okazało się, że to właśnie ten mężczyzna, który stał przed hotelem, z głową zabezpieczoną żółtym kaskiem budowlanym, z projektami architektonicznymi zwiniętymi w rulon pod pachą, w śnieżnobiałej koszuli z trzema guzikami odpiętymi na górze, żeby odsłonić wygolony pływacki tors, i jasnożółtym swetrze, luźno związanym rękawami wokół szyi – jedyny brat Juanity, sześć lat od niej starszy, profesor prawa, były dyplomata oraz pisarz. Spiczasta kozia bródka nadawała mu mefistofeliczny wygląd człowieka dobrze wychowanego, dumnego, próżnego i obdarzonego nieprzeciętną inteligencją – z rodzaju tych, którzy nie zachęcają do nawiązania bliższych kontaktów i przed którymi lepiej się mieć na baczności.

Wymieniliśmy uprzejme, aczkolwiek dość szorstkie słowa powitania. Nie było powodu, żeby Leopoldo paradował w kasku. Budowa jego domku jeszcze się nie rozpoczęła; przeprowadzali tylko obchód działki z wykonawcą projektu. Niewykluczone, że rulon pod pachą nie zawierał żadnych rysunków technicznych. Leopoldo wyglądał jak mały chłopiec, który ze śmiertelną powagą przebrał się za Boba Budowniczego. Powiedziałem później Aurze, że nawet polubiłem jej wuja za tę maskaradę.

Po drodze do pokoju przystanęliśmy w holu przy gablotce ze srebrną biżuterią. Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy zszedłem do baru po butelkę wina, udając, że nie chce mi się czekać na obsługę hotelową, zakradłem się chyłkiem do sklepu i kupiłem Aurze naszyjnik, który wydawał mi się w jej guście. Cały ja,

radosny utracjusz, obrzucający swoją dziewczynę prezentami i z wiewiórczym zapałem powiększający swój dług na karcie kredytowej. Przewyciężenie tajemniczego trzydniowego kryzysu przypieczętowało naszą miłość – nasze mistyczne zaślubiny z ptakami w Tulum, zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Zrobiłem Aurze zdjęcie: ubrana w czarną koszulkę bez rękawów stoi na balkonie naszego pokoju w gasnącym świetle dnia, na tle zamglonych błękitnych gór, z zarumienionym nosem i policzkami, z nieśmiałym uśmiechem na ustach i przechyloną w bok głową, z delikatnym, niewinnym błyskiem w oku, który sprawiał, że wyglądała jeszcze młodziej, zdumiewająco, absurdalnie młodo, jak zakochana, świeżo zbałamucona *quinceañera*, o czym przekonuję się z lekkim niedowierzaniem, ilekroć patrzę na tę fotografię. Kiedy zapadła noc, góry wybuchły feerią ruchomych, rozmigotanych świateł, jakby ktoś potrząsnął śnieżną kulą ze szkła. Powietrze rozbrzmiewało cichym, elektronicznym szumem owadów, przywodzącym na myśl chmarę mikroskopijnych, unoszących się nad doliną motorków i pozytywek. Usiedliśmy na balkonie, żeby napić się wina. Wyciągnąłem z kieszeni naszyjnik.

Ilekroć teraz patrzę na to zdjęcie, widzę już w pełni dzielącą nas różnicę wieku, która dręczy mnie bardziej niż wówczas, kiedy byliśmy razem. Juanita zawsze się pilnowała, żeby nie powiedzieć czegoś, przynajmniej w mojej obecności, czym mógłbym poczuć się skrępowany, co skłoniłoby mnie do tłumaczeń z powodu mojej metryki. Myślę, że nie tyle przejmowała się mną, ile robiła to ze względu na córkę, zwodząc nas oboje, udając, że odbiera nasz związek zgodnie z oczekiwaniami Aury. Niewykluczone też, że działała z czysto egoistycznych pobudek. Juanita zawsze rozmawiała ze mną, jakbym był rówieśnikiem jej córki. Wprawdzie nie uważam, że powinniśmy odnosić się do siebie jak dwoje

rodziców Aury, ale teraz mi wstyd, że w obecności jej matki zachowywałem się czasem jak niedowarzony młokos, że zwracałem się do niej, jakbym był wciąż nastolatkiem, niedojrzałym mężczyzną, *niñote*. Maskowałem swój wiek i nawet się tym pyszniłem. Życie zaczyna się po sześćdziesiątce. Z Aurą nie pozwalałem sobie na takie błazeństwa. Muszę się teraz pilnować, żeby nie pomylić sposobu, w jaki traktowała mnie Juanita, z jakimkolwiek aspektem mojego związku z Aurą – kolejna zdradliwa, niszczycielska konsekwencja jej śmierci.

* * *

Aura powiedziała, tutaj spędziłam najpiękniejsze chwile dzieciństwa. Staliśmy na stromej uliczce w Taxco, patrząc na dom babci Aury, zamieszkaną obecnie przez długoletnią gosposię Mamy Violety i jej rodzinę, choć Mama Violeta wciąż żyje i ma się świetnie. Dwupiętrowy narożny budynek w kolorze intensywnego błękitu, z jaskrawożółtymi okiennicami i dekoracją z płytek ceramicznych, był częściowo osadzony w zboczu góry. Ze szczytu ulicy wyglądało to tak, jakby wystarczyło zeskoczyć jednym susem na dach, chyba właśnie z tego powodu zabezpieczony gęstą plątaniną drutu kolczastego i szkłem z potłuczonych butelek. Wewnątrz domu kryło się mnóstwo zacienionych tarasów i zacisznych pokoi, okna po obu stronach wychodziły na góry, gdzie działały niegdyś kopalnie srebra, między innymi ta, w której pracował pradziadek Aury, francuski inżynier górnictwa. Po zakończeniu roku szkolnego Aura przyjeżdżała do babci na wakacje, czasem aż na miesiąc. Teraz Mama Violeta nie odzywała się do żadnego ze swoich dzieci z pierwszego małżeństwa. Leopoldo podpytał rodzeństwo przyrodnie i dowiedział się, że Mama Violeta naprawdę zamierzała zapisać dom w spadku swojej byłej gosposi.

Czworo dzieci Mamy Violety z drugiego małżeństwa wyprowadziło się daleko stąd, jedno urządziło się gdzieś w Teksasie, pozostałe rozjechały się po całym Meksyku, między innymi córka, z którą Mama zamieszkała na plantacji awokado w stanie Nayarit. Ich ojciec był całkowitym przeciwieństwem aktora hulaki, z którym Mama Violeta związała się wcześniej. Miał posadę księgowego w jednej z kopalń srebra, nie brał do ust alkoholu, trenował chłopców z miejscowej drużyny piłkarskiej, regularnie chodził do kościoła i co roku uczestniczył w procesji Wielkiego Tygodnia. Zmarł, kiedy Aura uczyła się jeszcze w szkole podstawowej.

Mama Violeta była też uzdolnioną szwaczką i krawcową, marzyła kiedyś o wyjeździe do Paryża i karierze w branży haute couture; może by jej się udało, gdyby jej pierwszy mąż nie umarł tak młodo. W rodzinie, w której przywiązywano nadmierną wagę do wyglądu, Katia i Sandrita, starsza córka Leopolda, uchodziły za niekwestionowane piękności, walczące o palmę pierwszeństwa, tymczasem Mama Violeta wyraźnie faworyzowała Aurę. Poświęciła kiedyś wiele tygodni na uszycie i wykończenie olśniewającej sukni wieczorowej według własnego projektu. Dla kogo ta suknia? Mama Violeta nie chciała powiedzieć. Każda z jej wnuczek marzyła, żeby ją w końcu dostać. Mama Violeta powiedziała jedenastoletniej Aurze, że szyje ją specjalnie dla niej, ale kazała jej utrzymać to w tajemnicy. Aura dochowała tajemnicy nawet przed matką. Kiedy suknia była gotowa, Mama Violeta dała ją w prezencie Sandricie, o rok starszej kuzynce Aury. Oświadczyła, że Sandrita jej najpiękniejsza z całej trójki. Krój sukni wskazywał, że od samego początku myślała o wysokiej, długonogiej, smukłej jak trzcina córce Leopolda; kiedy więc Aura zaczęła płakać i poskarżyła się matce, że Mama Violeta nie dotrzymała obietnicy, nikt jej nie uwierzył.

Szaleństwo jest dziedziczne, to przecież oczywiste, powiedziała

Aura tamtego dnia w Taxco. Podobno częściej przechodzi z matki na córkę niż z ojca na syna. Występuje w obrębie trzech pokoleń, po czym zanika. Może to tylko mądrość ludowa, przyznała, ale to nie znaczy, że nie tkwi w niej ziarno prawdy. Cóż, moja babcia jest na pewno wariatką, moja matka też, muszę więc się dowiedzieć, czy prababcia miała wszystko w porządku z głową.

Mi amor, nie jesteś wariatką, powiedziałem, słowo honoru. Ale o co chodzi z tą prababcia? Prababcia, odparła Aura, pojechała do Francji, żeby odwiedzić swoją matkę na łożu śmierci, i nigdy już nie wróciła do Meksyku; zachorowała i umarła. Na co zachorowała?, spytałem. Aura nie wiedziała. Mama Violeta była zaledwie podlotkiem, kiedy to się stało. Jej ojciec nie ożenił się po raz drugi, wychowywał ją samotnie i kilka lat później też umarł.

To byłoby świetne miejsce do pisania, powiedziała Aura, wskazując ręką narożny pokój na piętrze. Gdyby tylko udało się przekonać Mamę Violetę, żeby sprzedała nam dom. Postanowiliśmy zacząć odkładać pieniądze. Aura od dawna marzyła, by tu zamieszkać. Chciała wyremontować dom także z myślą o matce, która aż się zachnęła, kiedy zaproponowaliśmy, że pójdziemy go obejrzeć we trójkę. Tylko że Aura nie widziała Mamy Violety ani z nią nie rozmawiała, odkąd skończyła dwanaście lat, od tej strasznej kłótni, do której doszło między babcią a matką na Copilco. Może w przyszłym roku pojedziemy do Nayarit, powiedziała Aura, i złożymy babci niespodziewaną wizytę.

Ostatniego dnia w Taxco kupiliśmy rzeźbionego w drewnie, pomalowanego białą farbą anioła o karminowych ustach i lubieżnym, lecz sympatycznym wyrazie twarzy, który zawisł nad naszym łóżkiem na Brooklynie i bez przerwy na nas patrzył, obracając się z wolna i nie spuszczać nas z oka.

iAy mi amor, qué fero eres! Ten jej cichy, pocieszny śmiech, z otwartymi ustami, zaciśniętymi oczyma i rozkołysaną głową.

¿Soy feo?

Sííí mi amor, pobrecito.

Lubiła się ze mną droczyć, że też wyglądam jak żaba. *¿Cómo está tu papada?*, mawiała, jakby zwisająca mi pod brodą skóra, wcale niepodobna do żabiego podgardla, żyła własnym życiem. Chwytała ją oburącz, śmiała się i mówiła ochrypłym głosem, *tu papada, mi amor.*

Pobrecito, no tienes cuello. Nie masz szyi, biedactwo.

Jesteś stary, biedactwo. Tak też czasem mówiła, ilekroć zdarzyło mi się przysnąć, kiedy leżeliśmy w łóżku i oglądaliśmy telewizję albo film na DVD. To prawda, zwykle ucinałem sobie drzemkę, nawet jeśli program mi się podobał. Zdarzało mi się to tylko w łóżku, w kinie prawie nigdy. Zasybiałem również nad książką. Czy to oznaka starości?

Nigdy nie zwróciłem ostatniego filmu na DVD, który Aura wypożyczyła z Netflix'a. Znalazłem opakowanie, ale brakowało dwóch płyt. Nie miałem pojęcia, co z nimi zrobiła ani gdzie ich szukać. Zacząłem wnosić miesięczną opłatę; prawdopodobnie będę się wywiązywał z tej wieczystej umowy do końca życia, nawet jeśli już nigdy nie pożyczę od nich żadnego filmu, co jest całkiem możliwe. Aura zostawiła po sobie gigantyczne długi we wszystkich wypożyczalniach w sąsiedztwie i przy Uniwersytecie Columbia. Tymczasem ja przestałem oglądać filmy w domu. Nie lubiłem przebywać w pokoju sam na sam z włączonym odtwarzaczem. Mechaniczne odgłosy zamykania i otwierania szufladki, szum napędu optycznego, jakieś podejrzane światełka, towarzystwo martwego, bezdusznego przedmiotu – wszystko to wpędzało mnie

w depresję, sprawiało, że czułem się jak ostatni człowiek na ziemi.

Pewnej chłodnej zimowej nocy zasnąłem u boku Aury, która jeszcze czytała w łóżku. Jakąś godzinę później potrząsnęła mną gwałtownie, żeby mnie obudzić.

Co się stało?, sapnąłem półprzytomny.

Wskazała palcem na wyłącznik od lampy, na której powiesiliśmy anioła, i powiedziała, zgaś światło, *mi amor*.

Wytrzeszczyłem na nią oczy.

Bezwstydnie zadowolona z siebie, roześmiała się od ucha do ucha. Wstałem z łóżka i zgasłem światło.

Gracias, mi amor.

...

Zimno mi! Nie chciałam wychodzić z łóżka!

Sposób, w jaki mówi do mnie „Frank”, kiedy jesteśmy sami, od czego natychmiast mięknie mi serce. Słyszę to i czuję w środku, to mięciutkie, pieszczotliwe gęganie dobiegające z jej aksamitnych ust, ta żarłocznie połknięta samogłoska, która płynie z jej oddechem, mija po drodze „n” i uderza z młaśnięciem w „k”. Ale na piśmie, w swoich e-mailach, Aura zawsze nazywała mnie „Paco”.

Od czasu do czasu mawiała, czemu nie jesteś o dziesięć lat młodszy? Tak by wtedy było pięknie!

Mój wiek był przeszkodą, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale czy dzięki temu, że się, powiedzmy, młodo trzymałem – mam na myśli nie tylko swój wygląd, ale i niedojrzałość – pasowaliśmy bardziej do siebie? Pewnie tak, przynajmniej czasami, choć ta młodzięczość była też źródłem

niepokoju dla Aury. Jakim cudem przeżyłem tyle lat, nie robiąc żadnych oszczędności, nie snując poważnych planów na przyszłość? Nie uważała mnie za nieudacznika, ale się bałem, że kiedyś zacznie. Bałem się, że kiedyś ode mnie odejdzie właśnie przez to, nie z powodu dzielącej nas różnicy wieku – i dlatego postanowiłem ciężko pracować i więcej zarabiać. Może to było tylko złudzenie, ale oboje sądziliśmy, że odziedziczyłem mocną konstytucję po ojcu, że dożyję setki w najlepszym zdrowiu, że z wiekiem stanę się jednym z tych baryłkowatych, z gruba ciosanych, prostackich i jurnych staruszków w rodzaju Picassa i Mailera, tyle że wiernym i szczęśliwym w związku z wciąż tą samą kobietą! Kiedy byłem młodszy i chodziłem z dziewczynami, które miały parę lat więcej niż Aura, ludzie czasem pytali, czy jestem ich ojcem, stosując najprostszą metodę upokorzenia starszego kochanka. W relacji z Aurą nigdy mi się to nie zdarzyło. Jak to możliwe? Chyba po prostu nie wyglądaliśmy na ojca z córką, przynajmniej w sytuacjach towarzyskich.

Mój ojciec miał zwyczaj jeść cebule na surowo, zupełnie jak jabłka, powiedziałem jej kiedyś. Uważałem to za przejaw zdrowego chłopskiego apetytu i przywiązania do dawnych rosyjskich tradycji. Kto je cebulę, musi być silny jak tur. Kilka dni później, kiedy byłem sam w kuchni, z ciekawości nadgryzłem czerwoną cebulę, żeby sprawdzić, jak smakuje. Aura usłyszała moje chrupanie z sypialni na drugim końcu mieszkania i wrzasnęła, gryziesz surową cebulę?! Nawet nie próbuj mnie teraz całować!

Skąd wiedziała, że to nie jabłko?

W domach towarowych ciągała mnie do stoisk z męskimi kosmetykami, przeciwzmarszczkowymi kremami do twarzy i tym podobnymi wynalazkami, nie wyłączając preparatów z botoksem.

Proszę, *mi amor*, zrób to dla mnie, nie chcesz wyglądać młodziej dla swojej młodej żony? Zastanawiałem się, czy mówi poważnie: przecież gdybym naprawdę wstrzyknął sobie botoks i któregoś dnia wrócił do domu z gębą jak mrożony spód do ciasta, przestraszyłaby się na sam mój widok. Wysyłała mi e-maile z linkami do stron o kremach, dajmy na to, z wyciągiem z grasic cielęcych oraz informacjami, gdzie można je kupić w sieci. Wiedziała, że i tak nie mam zamiaru ich stosować. Krem, którym trzeba sobie upaćkać całą twarz przed pójściem do łóżka, a potem znów to samo nad ranem, no, proszę cię. Aura miała jednak krętka na punkcie kremów do twarzy. Podczas naszej ostatniej wyprawy do Paryża – krótkiej, zaledwie dwudniowej, bo przyjechałem tylko na promocję swojej książki – spędziłem z Aurą cztery godziny w sklepie firmowym Sephora przy Champs Élysées. Aura, nie chcę zmarnować jednego z dwóch popołudni w Paryżu na łożenie po stoiskach z kosmetykami, kwękałem. Kiedy tu są rzeczy, których nie ma w Nowym Jorku, odparła. Po czym skonfiskowali jej większość skarbów z Sephory podczas kontroli na lotnisku Roissy-Charles de Gaulle, bo spakowała wszystkie te tubki i słoiczki do bagażu podręcznego.

Było to naszej pierwszej wspólnej jesieni, pewnego poranka w metrze, kiedy odprowadziłem Aurę na przystanek linii F w dzielnicy Carroll Garden i dałem się przekonać, żebyśmy pojechali razem aż na Uniwersytet Columbia. Dyżurny ruchu przetrzymał pociąg na stacji. Aura zaczęła mnie całować, w usta, po całej twarzy; tamtego ranka całowała mnie bez końca, a ja się śmiałem i oddawałem jej pocałunki. W pewnej chwili zerknąłem w bok i spostrzegłem znanego krytyka literackiego, który mieszkał w sąsiedztwie; stał obok ubrany w ciemny płaszcz

przeciwdeszczowy i patrzył na nas surowo, z ustami wciśniętymi między sfałdowany podbródek a nos przypominający rozmamłaną piankę cukrową. Ilekroć spotykaliśmy się na ulicy, nie raczył się nawet przywitać, w najlepszym razie odpowiadał mi zdawkowym skinieniem głowy, choć z pewnością wiedział, kim jestem, a ponieważ ze ćwierć wieku temu zdarzało nam się widywać na rozmaitych przyjęciach, wiedział też, ile mam lat, aczkolwiek już wtedy wyglądał na pana w średnim wieku, mimo że dopiero skończył studia. I proszę, oto on, siwy i łysawy, o ziemistej cerze, w zatłuszczonym, szarzielonym płaszczu, gapił się na nas tęsknym, zamglonym wzrokiem, niczym złakniona życia mumia. Pamiętam, że przeszedł mnie nawet dreszcz niepokoju i grozy, jakby tym spojrzeniem mógł rzucić na nas klątwę. Pociąg wreszcie ruszył; krytyk usiadł i rozłożył gazetę.

Aura nigdy nie wróci i nie usiądzie na swoim Krześle Podróżnym przy wyjściu pożarowym, to był wyjazd tylko w jedną stronę. Próbowałem odnaleźć siłę w tej twardej, antymistycznej konstatacji. Czasem wchodziłem rano do kuchni, wyglądałem przez okno i patrzyłem na zasypane śniegiem krzesło. Gałęzie drzew na podwórzu ugięte pod ciężarem śniegu, śnieg kładący się pasmami na drodze pożarowej, kilkanaście centymetrów śniegu na siedzeniu. Przypomniałem sobie haiku Borgesa: *To jest ta ręka, co się kiedyś bawiła twymi włosami*^[7]. Śnieg, który teraz leży na twoim krześle.

14.

Grudzień 2003

Wszystko się zmieniło. Otworzyła się kolejna ścieżka i nie wiem, dokąd prowadzi.

Epoka: My przeciwko Światu.

Świat przeciwko Nam.

Wciąż nie umiem prowadzić dziennika.

Dziennik: nowy rok się zbliża. Nie przestaje mnie zaskakiwać, że odkąd skończyłam szkołę średnią, każdy kolejny przynosi z sobą jakieś ważne wydarzenie. Jakiś znamieny epizod, który kieruje mnie w nową stronę. Mam nadzieję, że ta zasada będzie obowiązywała w moim życiu jeszcze przez wiele lat. Nie wiem, jak daleko w przyszłość sięgnie akurat ta droga... *isste caminho... nao sel... en si się que en estou contenta*. Miewam wątpliwości i gorsze nastroje, jak zwykle, ale na ogół jestem bardzo, bardzo zadowolona z życia i niespodziewanych darów losu. Naprawdę muszę powiedzieć/napisać, że czuję ogromną wdzięczność. Przed Paco świat pociemniał. Wymazałam sama siebie. Powaliła mnie samotność. Straciłam nadzieję. Ból straszliwego osamotnienia. Serce, które nie należy do nikogo.

Paryż 2004 – (rok później!)

Przyjęcie na górze. Moje życie wywrócone na opak. Nierozpoznawalne. Już nie jestem chuda, jestem gruba. Mam 27 lat. Jestem wkurwiona. Próbuję pisać *je ne sais quoi*. Życie jest tak piękne. Czuję się winna, że jest pięknie. Czuję się winna, że istnieję. Co ja wyprawiam?!

24 grudnia 2006

Jesteśmy sami. Boże Narodzenie tylko z Paco. To już drugi raz, poprzednim razem w Paryżu i było cudownie. Lecimy samolotem, spędziliśmy większość dnia w podróży, Paco śpi z głową na moim ramieniu. Miłość jest religią. Można w nią uwierzyć tylko wówczas, jeśli się jej doświadczy.

15.

Aura utknęła w zepsutej windzie w Butler Library – zadzwoniła do mnie z komórki, kiedy byłem w Wadley. Razem z nią zakleszczyli się inni ludzie, ktoś z zapalonym wciśniętym guzikiem bezpieczeństwa, siejąc panikę po drugiej stronie linii. Powiedziałem Aurze, żeby zachowała spokój, za kilka minut z pewnością usuną awarię, niech się ze mną skontaktuje, kiedy już będzie po wszystkim. Nie odezwała się przez kwadrans, więc oddzwoniłem, ale nie odebrała. Za chwilę miałem zacząć zajęcia. (Omawialiśmy *Ulicę krokodyli*, opowiadanie ze zbioru, który Aura wzięła na plażę ostatniego dnia przed śmiercią). Nie wyłączyłem telefonu. Mniej więcej w połowie ćwiczeń powiedziałem studentom, że muszę coś załatwić, i wyszedłem z sali – dodzwoniłem się na jej pocztę głosową i zostawiłem wiadomość, żeby dała znać, czy wszystko w porządku. Przychodziły mi do głowy najczarniejsze scenariusze: zaczyna brakować tlenu, Aura się dusi, dostaje ataku klaustrofobii. Zajęcia mogłem już spisać na straty. Ponieważ wciąż nie było odpowiedzi, wybrałem numer centrali Uniwersytetu Columbia; przełączyli mnie do agencji ochrony kampusu, gdzie w końcu się dowiedziałem, że tego dnia nie dostali żadnych zgłoszeń o awarii windy w Butler Library. Jakby ta winda niepostrzeżenie znikła razem z Aurą i resztą pasażerów.

Później się okazało, że dosłownie chwilę po jej telefonie winda naprawiła się sama, drzwi się otworzyły i Aura poszła wprost do czytelnicy, gdzie musiała wyłączyć komórkę. Przesiedziała tam kilka godzin, potem sprawdziła pocztę, odebrała moje rozpaczliwe

wiadomości i przypomniała sobie...

Mniej więcej w tym samym czasie dostaliśmy zaproszenie na cocktail party na Manhattanie. Aura siedziała w domu, ja byłem o kilka przystanków metra bliżej celu, na Dumbo, gdzie wynająłem na parę miesięcy tanią pracownię od znajomego. Plan był taki, że Aura wsiądzie do pociągu linii F, dojedzie do stacji York Street, znajdzie mnie na peronie i następnym metrem dotrzemy na Manhattan. Przyjechał jeden pociąg, drzwi się otworzyły, wysiadła garstka pasażerów; kolejny wtoczył się kilka minut później. Na ponurej stacji z betonu i żelaza było zimno jak w zamrażarce. Automaty telefoniczne nie działały. Moja komórka straciła zasięg. Na torach szczury roboty żywiące się prądem i opiłkami. Jak to możliwe? Wszystko było dograne, zadzwoniłem do niej i powiedziałem, w porządku, zaraz idę na stację, na co odparła, daj mi jeszcze pięć minut, więc odczekałem kolejne pięć minut. Pomyślałem, że wciąż się stroi, przymierza sukienki, po czym je ściąga, bo są zbyt seksowne, zanadto modne, za bardzo podkreślają dekolt albo odsłaniają tatuaż. Uwielbiała zakładać swoje najdroższe suknie, w tym kilka, które sam jej kupiłem, i przeglądać się w lustrze, ale na miasto by w nich nie wyszła. Odjechały kolejne cztery pociągi. Mróz kłuł mnie w dłonie i stopy, zaczęło mi cieknąć z nosa. Wyszedłem po długich schodach na górę, żeby zadzwonić do niej z ulicy. Odzyskałem zasięg dopiero na następnym skrzyżowaniu. Wiatr wiał od East River, śmieci wirowały w powietrzu jak zmarznięte nietoperze. Nie odbierała ani komórki, ani telefonu domowego. Wróciłem na stację. Po drodze na dół usłyszałem huk zbliżającego się lub odjeżdżającego pociągu, który zabrzmiał jak odgłos potężnej fali przyboju. Dotarwszy na peron, zajrzałem w głąb tunelu, spostrzegłem gasnące zielone

światła i pomarańczowy znak linii F w kierunku Manhattanu. A jeśli Aura była w środku? Odczekałem kolejne pół godziny i znów wyszedłem na ulicę. Zadzwoiłem do mieszkania, w którym odbywało się przyjęcie, ale tam też jej nie było. Poczucie *déjà vu*, samotności, dezorientacji, smutku, niewiary, że to naprawdę się dzieje. Sam nie wiedząc, co począć w tej sytuacji, zszedłem ponownie na stację. Gdybym opowiedział to psychoanalitikowi jako senny koszmar, czy uznałby to za przejaw lęku przed rozstaniem i śmiercią?

Jak się potem okazało, Aura wsiadła do metra na Carroll Gardens, przejechała tylko jeden przystanek do Bergen Street i tam właśnie na mnie czekała; pomyliła Bergen Street z York Street dwie stacje dalej albo była myślami gdzie indziej, kiedy jej tłumaczyłem, co ma zrobić. W końcu powlokła się z powrotem do domu, równie smutna i zbita z tropu jak ja. Po drodze wstąpiła do Sweet Melissa na filiżankę gorącej czekolady.

Wracając z zagranicy do Nowego Jorku, musieliśmy się kierować do osobnych okienek na lotnisku, nawet po ślubie. Aura stała znacznie dłużej w kolejce dla cudzoziemców. Zawsze przechodziłem pierwszy przez kontrolę paszportową i czekałem pod ścianą naprzeciwko wyjścia dla obcokrajowców. Strażnicy czasem mnie upominali, że nie wolno tu stać, więc wracałem do taśmociągu, skąd pasażerowie odbierali swoje bagaże. Przeważnie jednak dawali mi spokój, choć z minuty na minutę byłem coraz bardziej zdenerwowany, że Aura wciąż się nie zjawia. Wreszcie wchodziła do którejś z kabin, a mnie ogarniała kolejna fala lęku: może znów coś nie tak z jej dokumentami? A jeśli urzędnik jest w złym humorze albo po prostu lubi się poznęcać nad Meksykanami i zawróci ją pod jakimś błahym pretekstem? Przecież wszyscy znają takie historie.

Ktoś z ambasady Stanów Zjednoczonych w Meksyku powiedział Aurze przez telefon, że nawet stypendium Fulbrighta nie jest już gwarancją otrzymania wizy studenckiej. A gdyby zatrzymano ją przy samym wyjściu, cofnięto z granicy i zawrócono do Meksyku, nie pozwoliliwszy nawet porozumieć się ze mną? Sporadycznie udawało mi się wyśledzić z tej odległości, jak Aura posłusznie przystawia kciuk do skanera odcisków palców, odpowiada na pytania, wytrzymuje badawczy wzrok urzędnika celnego, kwitując niektóre komentarze uśmiechem, a nawet wybuchem głośnego śmiechu, inne zaś przyjmując z powagą i opanowaniem – co zawsze przypominało mi, jak w dzieciństwie obserwowałem matkę rozmawiającą z policjantem, który przed chwilą wlepił jej mandat za nieprawidłowe parkowanie, albo z kasjerem w banku, albo z rzeźnikiem na Haymarket Square, podobnie jak oni świadom jej delikatnej, cudzoziemskiej urody i niemożliwego do przewyciężenia dystansu – aż wreszcie widziałem, jak urzędnik wzrusza ramionami i wbija stempel w paszporcie, a chwilę później Aura szła wprost w moje objęcia.

* * *

Chwile rozstań, nieobecności, a nawet utraty, które okazały się jak małe wprawki do tego, co miało nastąpić. Nawet nie ostrzeżenia, tylko najprawdziwsze wizytacje z zaświatów, śmierć przechodzi przez wrota, zabiera Aurę, oddaje ją i z powrotem chowa się do swojej dziury.

Śmierć, jadący w złą stronę pociąg metra, z którego nie można wysiąść, bo się nie zatrzymuje po drodze. W Śmierci nie ma przystanku na gorącą czekoladę.

Po pierwszych wspólnie spędzonych świątach Bożego Narodzenia i Nowym Roku w Meksyku zarezerwowaliśmy pięć noclegów w eleganckim hotelu na plaży w Tulum. Trzy dni wypruwaliśmy sobie flaki, jeżdżąc co rano z Tulum do urzędu paszportowego w Cancún i z powrotem, po sto pięćdziesiąt kilometrów w każdą stronę. Zanim wybraliśmy się nad morze, Aura odkryła, że w ciągu tych kilku tygodni od przyjazdu do Meksyku zgubiła gdzieś paszport. *Tía* Lupe wysłała świadectwo urodzenia Aury pocztą ekspresową z Guanajuato do biura FedEx w Cancún. Meksykański aparat państwowy słynie z nieudolności: kolejki ciągnące się we wszystkich kierunkach, aż po imperium Azteków; nieustanne wędrówki od okienka do okienka; niezliczone formularze urzędowe, które trzeba kupić w którymś z tych maleńkich sklepów papierniczych prowadzonych bez wyjątku przez miłe starsze panie, wypełnić, poświadczyć notarialnie, po czym wyrzucić, kupić i wypełnić od nowa, bo biurokrata w jednym z okienek dopatrzy się w rubryce jakiegoś idiotycznego błędu, znów poświadczyć notarialnie i tak dalej. Aura była zaprawiona w bojach z meksykańską biurokracją, zwłaszcza z koszmarnym formalizmem urzędników UNAM. Podziwiałem niewzruszony spokój, z jakim to wszystko znosiła, jej pogodę ducha, uprzejmość, nieledwie sympatię okazywaną kancelistom i sekretarkom, którą zjednywała sobie nawet najbardziej odętych gburów. W ten sposób mogła dać upust swojemu temperamentowi. Uwielbiałem stać z Aurą w kolejkach do urzędu paszportowego, choć przecież nie tak miały wyglądać nasze krótkie wakacje na plaży w Tulum. Dwupasmowa szosa, którą się wówczas najeździliśmy, przebiegająca z dala od morza, cenotes i starożytnych ruin, przypominała każdą inną drogę szybkiego ruchu, jeśli pominąć billboardy z reklamami ośrodków

wypoczynkowych i parków wodnych o nazwach i znakach graficznych nawiązujących do kultury Majów. Nasz wynajęty samochód był wyposażony w odtwarzacz CD. Powiedziałem kiedyś Aurze, że niezbyt dobrze znam piosenki José José, więc na jednej ze stacji benzynowych kupiła składankę jego największych przebojów. Słuchaliśmy ich przez całą drogę między Tulum a Cancún, w obydwie strony, tych samych smutnych ballad, których jej matka słuchała w Koszmarnej Wieży, płacząc nad swoją samotnością.

Co rusz mijaliśmy niepozorne, ręcznie malowane drogowskazy do „Subway”, co uznałem za nazwę jakiegoś miasta Majów, którą należy wymawiać przez „u”. Powiedziałem nawet, może tam jest napisane „Subwaj”, tylko źle odczytujemy ostatnią literę. Ale nie, było wyraźnie „y”, nie „j”. Z jakichś tajemniczych powodów ktoś chciał zwabić podróżnych do Suuubway. Okazało się jednak, że chodzi o pierwszą w stanie Quintana Roo restaurację sieci Subway, niewielki lokal na uboczu drogi, niedaleko pola golfowego pod Tulum. Ilekroć od tej pory napatoczyliśmy się na bar kanapkowy Subway w dowolnym miejscu na świecie, Aura nie omieszkiwała zauważyć, twoje *pueblo Maya, mi amor* – Suuubway. Żeby dotrzeć do naszego hotelu na plaży, trzeba było skręcić na długi pas zapyłonej drogi. Samochód trafiał w miększą nawierzchnię niemal z szosową prędkością, podskakując, bujając się, dryfując przez brunatny tuman wzburzonego pyłu, jakby niósł się na długim, przytrzymanym dźwięku donośnego głosu José José, i znów to poczucie nagłej dyslokacji, przechodzenia przez wrota międzyświata z powrotem do nadmorskiego Tulum. W końcu biurokrata z okienka oświadczył Aurze, że może otrzymać paszport wyłącznie w miejscu stałego zamieszkania. Dlaczego nie powiedzieli jej o tym od razu? Na to pytanie nie ma odpowiedzi.

Aura przy mnie w łóżku: Co by się z tobą stało, *mi amor*, gdybym od ciebie odeszła?

Umarłbym, *mi amor*, wiesz przecież.

Wiem, Umarłbyś, *n a p r a w d ę* byś Umarł, mam rację?

Naprawdę bym Umarł.

Roześmiała się wesoło jak dziecko i powiedziała,

A gdyby coś mi się stało, gdybym to ja –

Nie, Aura! Przestań!

– gdybym to ja Umarła –

To ja też bym Umarł. Umarłbym. Aura, nawet się nie waź tak mówić!

U m a r ł b y ś naprawdę? *Ay, mi amor* – i pokręciła głową ze smutkiem.

Taki z ciebie szczęściarz, Francisco, mawiała. Jesteś najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, że masz taką młodą, inteligentną, utalentowaną żonę, która cię kocha. Wiesz, że masz szczęście?

Wiem, *mi amor*. Jestem najszczęśliwszym facetem na świecie.

Jesteś, Francisco, naprawdę jesteś.

Jestem, wiem o tym.

A skoro masz zamiar zostać w tym wieku ojcem, musisz zadbać o swoją kondycję. Słuchaj, niemowlaki sporo ważą i trzeba je wszędzie ze sobą nosić.

Dlaczego tak często chodzę na siłownię. Przygotowuję się.

I musisz cały czas zwracać uwagę, co się dzieje wokół nas na ulicy. Jeśli któreś z nas nie zacznie uważać, nie chcę mieć z tobą dziecka.

Wiem, *mi amor*, będę uważał za nas oboje, słowo honoru.

Każdy dzień upiorną ruiną. Każdy dzień ruiną dnia, który miał być. Z każdą kolejną sekundą na tykającym zegarze, cokolwiek robię, na cokolwiek patrzę, o czymkolwiek myślę, wszystko obrócone w popiół i zgliszcza, ruiny przyszłości. Życie, które mieliśmy przeżyć, dziecko, które miało się nam urodzić, lata, które zamierzaliśmy spędzić razem, jakby całe to życie dokonało się przed tysiącami lat, w zaginionym mieście, popadłym w ruinę, zarośniętym dżunglą, którego mieszkańcy wymarli, nie pozostawiając po sobie żadnych szczątków, a ich historia nigdy nie ujrzała światła dziennego – w zaginionym mieście o zapomnianej nazwie, którą pamiętam tylko ja – Suuubway.

Po lunchu w restauracji Ollie's staliśmy na peronie metra przy Dziewięćdziesiątej Szóstej ulicy, niedaleko Columbii, i czekaliśmy na skład ekspresowy na Brooklyn, kiedy Aura powiedziała, och, wiesz, to jest o tym, jak teksty tworzą dyskurs intertekstualny, więc nie ma powodu, żeby wspominać o autorach albo o intencji autorskiej. No dobra, w porządku, wiem, że tak jest, ale... Ale na dzisiejszych zajęciach, podczas dyskusji na temat opowiadania Borgesa *Pierre Menard, autor Don Kichota* żaden z jej kolegów nawet się nie zaśmiał. Frank, F r a n k, wykrzyknęła, czy naprawdę do nikogo nie dotarło, że Borges miał niezły ubaw, kiedy to pisał? Narrator opowiadania, ciągnęła, mierny krytyk literacki, jest oburzony, że jakiś inny krytyk nie uwzględnił jego zmarłego przyjaciela Pierre'a Menarda w zestawieniu wybitnych pisarzy. Okej, ale czy ktokolwiek poza nim uważa, że Menard był taki świetny? Owszem, zgadzają się z nim baronowa i hrabina, rzekła Aura, obydwie zaprzyjaźnione z Menardem i krytykiem. Ale to

przecież tylko baronowa i hrabina! A ta francuska hrabina mieszka w Łiicizita albo w czymś takim i jest żoną jakiegoś bogatego *gringo*, nie sądzisz, że tu jest pies pogrzebany? Że poza tym Borges się wygłupiał i robił sobie jaja ze złych, zapatrzonych w siebie pisarzy? Zaczęła przedrzeźniać swojego profesora, który skarcił ją basem: Nie, *Oo-rra*, nie masz racji. Wygłupiał? *¿Qué?* Z ł y c h pisarzy? Nie tak się t u t a j czyta teksty, *Oo-rra*.

Czerwono-różowe włóczkowe chwościki, zwisające jak kiście maleńkich bananów, po trzy z każdej strony, z kłapek śmiesznej andyjskiej czapki uszatki ze sterczącym na czubku czerwonym pomponem, trzęsły się w rytm jej podskakujących policzków i gromkich salw śmiechu. Aura też miała ubaw, w jej oczach paliły się iskierki; trajkotała z zapałem przez całą powrotną drogę na Brooklyn. Właśnie zaczęła odkrywać, że nie przypomina innych doktorantów, którzy ze względów ideologicznych wzdragali się wnikać w osobowość autora i doceniać jego szelmostwa. Nie zawsze potrafiła stroić sobie żarty z tych różnic ani przechodzić nad nimi do porządku dziennego, wręcz przeciwnie, często się zamartwiała. Wywałą mnie! Odbiorą mi stypendium! Wyślą mnie do gułagu!

Myślisz, że Jim ma drewnianą nogę? – spytała, zmieniając temat na coś, co ostatnio nie dawało jej spokoju. Mąż Valentyny, superbogaty bankier inwestycyjny, nieco starszy od swojej żony – zwróciłem na to uwagę? Czy Jim ma drewnianą nogę, a może protezę? Od kolana w dół, powiedziała, chodzi mi o tę kość paszczelową albo piszczeniową, jak to się mówi? A gdyby tak spytała Valentinę, czy Jim ma drewnianą nogę, i okazałoby się, że nie, to co, obraziłaby się? Valentina tak się wstydziła swego przedwcześnie postarzałego męża, że nie pozwalała mu się zapuszczać w okolice Columbii. Wiesz, odparłem, nawet gdyby miał piszczel z sera, to z pewnością nie byłby to zwykły camembert, ten

gość zarabia kupę forsy. *Ay, mi amor*, odezwała się słodkim głosem, *iqué tonto eres!* Pewnego wieczoru kilka miesięcy później ruszyliśmy za nimi ukradkiem po wyjściu z kina, żeby poobserwować z bliska chód Jima. No, może rzeczywiście, pomyślałem. Tamtego lata zaprosili nas do swojego domku na wsi. Poszliśmy popływać – cierpiał po prostu na podagrę i miał sztywne stawy.

Czekając na metro na Brooklyn, słuchając Aury, patrząc na wyraz jej twarzy, pełen szczenięcego entuzjazmu i swoistej niewinności, zastanawiałem się: czym jest ta niewinność? Czy tym, czego Aura nie zaznała w przeciwieństwie do mnie? Mnóstwem minionych porażek i rozczarowań. Czyżby miłość czyniła mnie znów niewinnym, zacierała wspomnienie tamtych lat? Aura była nieświadoma mocy własnych uzdolnień, przez swą niewinną skromność i ufne otwarcie na przyszłość wydawała mi się czasem tak krucha. W takich chwilach jak ta na peronie metra, kiedy aż mi się w głowie kręciło z miłości, czułem dobitnie, jak jest bezbronna – zapamiętana w swoim entuzjazmie, rozkojarzona i słaba fizycznie – jak jest podatna na podstępny atak jakiegoś szaleńca, który zapomniał wziąć leków i wpadł na pomysł, żeby pchnąć ją pod nadjeżdżający pociąg. Ten nawracający lęk przed wariatem w metrze był czasem tak silny, że walczyłem z pokusą, żeby własnoręcznie zepchnąć ją na tory, jakbym sam był tym podstępnym szaleńcem, jakbym chciał już mieć za sobą to, co nieuniknione, jakbym nie mógł już znieść tego nadmiaru miłości i szczęścia, a przecież, w nagłym porywie paniki, odciągałem ją w bezpieczne miejsce z dala od krawędzi peronu. Ujmowałem ją w pasie lub za ramiona, delikatnie wciągałem w tłum czekających pasażerów, zagradzałem jej sobą tory, całowałem ją z ulgą w policzek. Nigdy tego nie zrozumiałem, tej strasznej pokusy, żeby zepchnąć ją z peronu metra,

a zarazem odciągnąć od torów, ocalić nie tylko przed wyimaginowanym napastnikiem, lecz także przed sobą.

16.

Kiedy w listopadzie po raz pierwszy włożyłem kurtkę puchową, szykując się na drugą zimę bez Aury, w zewnętrznej, zapinanej na suwak kieszonce na piersi znalazłem różowe opakowanie po prezerwatywie i przez chwilę nie mogłem sobie przypomnieć, skąd się tam wzięło. Gapiłem się w nadruk ze słowami: „Extra feucht, Zartrosa”, jakby składały się w jakiś szyfr, którego znaczenia już zapomniałem. Opakowanie zostało z ubiegłej zimy, z tamtych kilku tygodni w Berlinie. Pewnego wieczoru poszedłem do baru z młodą kobietą, właściwie dziewczyną, meksykańską studentką sztuk pięknych, która przyjechała odwiedzić Pancho Moralesa, mojego znajomego pisarza z Dystryktu Federalnego przebywającego w Berlinie na stypendium niemieckiej organizacji DAAD. Dziewczyna studiowała w Londynie, ale znała Berlin od podszewki. Szliśmy właśnie do kolejnego baru, kiedy uświadomiła sobie, że zgubiła czapkę, jakąś szczególnie dla niej ważną, własnoręcznie wykonaną czapkę – jeszcze jedna Meksykanka, która miała fioła na punkcie czapek – i chciała wracać do mieszkania Pancho, żeby sprawdzić, czy jej tam nie ma, i owszem, była, wisiała na kołku w przedpokoju. Stała tam również choinka świąteczna, całkiem odarta z igieł i kory, o bladych gałązkach obwieszonych czymś, co wyglądało jak śnieżynki i sople, a okazało się związanymi w delikatne kokardki pasmami gazy opatrunkowej i zawieszonymi na białych sznurkach kawałkami potłuczonego lustra. Jaka śliczna choinka, zachwyciłem się, bo naprawdę była śliczna, potem się okazało, że dziewczyna zrobiła ją w prezencie dla Pancho i jego

żony. Musisz być cudowną artystką, powiedziałem, a ona odparła, że mogę zobaczyć więcej na komputerze, jeśli mam ochotę. Poszliśmy do pokoju gościnnego, zdjęliśmy buty, usiedliśmy na futonie, dziewczyna uruchomiła laptop, zaczęła pokazywać mi swoje prace i ani się obejrzałem, a już całowałem ją w szyję, ona schyliła się naprzód, koszulka jej się podwinęła, odsłaniając skórę na brzuchu i kawałek pleców, tam też ją pocałowałem, a ona spytała, chcesz mi wylizać? – tak po prostu, z obezwładniającą szczerością; zabrzmiało to jak echo naszej pierwszej nocy z Aurą, kiedy czytała mi swoje opowiadanie o lotnisku i pokazała rysunek automatycznych butów. Tamtej nocy nie pieprzyłem się z Aurą, tylko z dziewczyną w Berlinie, ale najpierw, rozpaczliwie wygłodzony, długo jej wylizywałem. Użyliśmy gumki, którą wyjęła z torebki. W różowym opakowaniu.

Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, była w tym samym wieku co Aura, kiedy się poznaliśmy, ale od tego czasu minęło już pięć lat i Aura miałaby, wciąż ma trzydzieści lat. Poszliśmy spać, a potem zostaliśmy w łóżku aż do wieczora; był to jeden z tych ponurych, pozbawionych słońca berlińskich dni, które przelatują bezszelestnie niczym sowa w kolorze sadzy. W mieszkaniu było cicho jak makiem zasiał. Pancho poszedł w tango, jak to miał w zwyczaju, i raczej nie należało się go spodziewać przed upływem trzech dni. Po jego żonie ani widu, ani słychu. Pieprzyliśmy się jeszcze trochę, wybraliśmy się do kina w Sony Center, zjedliśmy kiełbaski i napiliśmy się Glühwein na jarmarku świątecznym, o trzeciej nad ranem zapakowałem dziewczynę z mnóstwem bagaży do taksówki, odprawiłem na lotnisko i wróciłem do mieszkania, które było własnością mojego znajomego z Gwatemali i jego niemieckiej żony. Kiedy się obudziłem, miałem wrażenie, że to półtorej doby seksu i uroczego towarzystwa kobiety nigdy się nie wydarzyło, choć

oczywiście się wydarzyło, tylko nie miało żadnego znaczenia. Czułem się identycznie jak co rano, ta sama ciemność i smutek, te same wspomnienia, obrazy (Aura nie żyje...). Intymność i seks z młodą kobietą nie zrobiły mi żadnej różnicy, mógłbym pieprzyć wszystko, co się rusza, albo niczego nie pieprzyć, i tak by to nic nie zmieniło – później, kiedy znalazłem w džinsach różowe opakowanie po prezerwatywie, postanowiłem zachować je na pamiątkę tej lekcji i przełożyć do kieszonki w kurtce puchowej. Przez kilka tygodni mojego pobytu w Berlinie i po powrocie na Brooklyn wymieniliśmy kilka e-maili, potem nie miałem już od niej żadnych wieści, choć od czasu do czasu zaglądałem na jej profil na Facebooku. Pojechała w Alpy na snowboard. Obiecała sobie, że przestanie chlać i odstawi prochy. Robiła rzeźby z potłuczonych luster.

* * *

Valentina wpadła do mnie z Jimem, kiedy poprosiłem ją o pomoc w ustawieniu wygaszacza ekranu z obracającymi się zdjęciami Aury – odkąd jej zabrakło, przestałem sobie radzić z najprostszymi funkcjami komputera – i zwróciła uwagę, że zapisałem ich co najmniej pięćset na twardym dysku.

Dlaczego masz tyle zdjęć Aury? – spytała.

Bo ją kochałem, odparłem, i robiłem jej zdjęcia bez przerwy.

Valentina odwróciła się i spytała Jima, a dlaczego ty nie masz w komputerze moich zdjęć?

Dżentelmeńskie milczenie Jima okazało się bardziej wymowne niż słowa. Czyli co? Fotki w komputerze są dowodem miłości, a nasza kamienica w Gramercy Park to już nie?

Czasem spotykałem się wieczorami z Valentiną i kilkoma innymi nowojorskimi przyjaciółkami Aury, na przykład z Wendy albo Chilijką Julianą, która też studiowała na Columbii. Umawialiśmy się w barze niedaleko mojego domu albo gdzieś indziej w sąsiedztwie, bywało, że nawet na Manhattanie. One również tęskniły za Aurą i próbowały podtrzymać tę łączność przez nasze rozmowy lub za moim pośrednictwem, podobnie jak ja szukałem w nich Aury, za każdym razem zachęcając, zmuszając, błagając je, by opisały w szczegółach wszystko, co zostało im w pamięci z najzwyklejszych wspólnie spędzonych chwil. Nie dało się uniknąć pewnych komplikacji wynikających z naszej wzajemnej bliskości przez tych kilka miesięcy, tej pierwszej zimy i pierwszej wiosny po śmierci Aury, tuż przed moim wyjazdem do Berlina, a zwłaszcza po moim powrocie.

Valentina była *norteña*, miała długie smukłe nogi i proste plecy, jakby całe życie jeździła konno, bezpośrednia, nieledwie bezczelna, niczym rozpuszczona córka ranczera. Tyle że jej rodzice byli nauczycielami muzyki i prowadzili niewielki sklep z instrumentami w jednej z galerii handlowych w Monterrey, a Valentina spędzała znacznie więcej czasu na koncertach rockowych niż w okolicach zagród dla bydła. Zanim wyszła za Jima, randkowała do upadłego z naćpanymi rockmanami i innymi popaprańcami ze skłonnością do autodestrukcji. Teraz ubierała się jak bogate emo i nosiła zwariowane fryzury, jakby wyszła przed chwilą z najbardziej hipsterskiego salonu w Tokio. Paplały z Aurą jak dzieci, wybuchając co chwila głupkowskim śmiechem. Valentina mówiła na Aurę „Raua”, Aura nazywała Valentinę „Navilenta”; lubiły rozmawiać i wymieniać się e-mailami w wymyślonym przez siebie języku. Przepadały za sobą, choć była to szorstka przyjaźń i Aura nieraz się zżymała na zadziwiająco nietaktowne odzywki Valentiny. Latami

pozwalala sobie dokuczac, az wreszcie zrozumiala, ze wcale nie musi tak byc. Valentina byla bystra i dowcipna w rozmowie, ale bylo w tym sporo intelektualnego szpanu, podobnie jak u wiekszosci nowojorczykow z hipsterskiego swiata sztuki i finansjery – jej maz byl jednym z tych nadzianych bankierow, ktorzy wlocza sie po galeriach Chelsea i Williamsburga albo klubach z muzyka rockowa i eksperymentalna ubrani jak podstarzale punki, upijajace sie wylacznie bardzo drogim winem (lubiłem go przezywac Staruszek Pistol) – co nie znaczy, ze uvažalem jej slowa za czca gadanine, niektore jej wypowiedzi byly wręcz błyskotliwe, trzymaly sie jednak, aczkolwiek dość luźno, z gory określonego i przewidywalnego scenariusza. Valentina nie byla szczesliwa w małżeństwie. Żyła w nieustannym kryzysie, który wciąż próbowala przepracowac. Rozpaczliwie pragnęła dziecka, w przeciwieństwie do Jima, który miał dwóch dorosłych synów z pierwszego związku. Dla Meksykanki z klasy sredniej, zbliżajacej sie do czterdziestki i próbujacej bezskutecznie ukończyć doktorat, bylo wręcz nie do pomyslenia, zeby zrezygnowac z wartej dwanaście milionów kamienicy w Gramercy Park i wszelkich związanych z nią przyległości – prywatnej masażystki, dochodzących instruktorów jogi i ćwiczeń pilates. Uświadomiłem sobie, ze coś mnie ciągnie do Valentiny, ze szukam jej towarzystwa, domagam się wręcz jej uwagi. Trzymałem się blisko, patrzyłem jej prosto w oczy, próbując wykrzesac z niej ochotę do głupich żartów, którymi przerzucała się kiedyś z Aurą, a kiedy mi się udało, nie mogłem się nadziwić intensywności wzbudzanej przez to tęsknoty, nagłego wyrzutu energii, która szybko się wyczerpywała, pogrążając mnie w stanie bezmyślnego stuporu.

Valentina potrafiła jednak zachowywac się tak bezdusnie, ze zacząłem się zastanawiac, czy nie jest dotknięta jakas postacią

autyzmu. Dlaczego nie chcesz wrócić do życia, jakie prowadziłeś przed spotkaniem Aury? – spytała mnie któregoś wieczoru w winiarni. Jej wrodzony brak taktu mógł sugerować rozwiązłość; coraz częściej łąpałem się na fantazjach i rozważaniach, czy byłbym zdolny się z nią pieprzyć. Valentina podniecała mnie w dość krępujący sposób. Jakbym wolał, żeby mnie ignorowała i źle rozumiała, niż żeby okazywała mi współczucie. Uświadomiłem sobie, że nie znoszę, kiedy ktoś się nade mną użala.

Irytowało mnie też, gdy Valentina dawała mi do zrozumienia, że zna jakieś wstydliwe szczegóły mojego związku z Aurą – nie mam pojęcia, o co mogło chodzić, ale coś mi mówiło, że nie należy w to wierzyć. Byłem ciekaw, a zarazem nie chciałem wiedzieć, co jej się wydawało.

Pewnego razu Aura wróciła do domu po wieczorze spędzonym z Valentiną, z komicznie teatralną skruchą złożyła mi głowę na piersi i wyrzuciła z siebie, powiedziałam Valentinie parę okropnych rzeczy o naszym małżeństwie, oczywiście nieprawdziwych, ale ona jest strasznie nieszczęśliwa w związku z Jimem i chciałam ją trochę pocieszyć. Już więcej tego nie zrobię, obiecuję! Frank, bardzo jestem okropna?

Pomyślałem sobie, że właśnie to leży u sedna niektórych szyderstw Valenty. Lubiła mi wypominać, że znała Aurę od innej strony niż ja, a poza tym nikt nie może rościć sobie prawa do pełnej wiedzy o drugim człowieku – uwielbiała snuć wywody na ten temat – bo w takim założeniu jest coś nieledwie faszystowskiego. Kiedy wdawałem się w takie rozmowy z przyjaciółkami Aury, zawiązywały się spontaniczne sojusze: Wendy spoglądała chłodno na płaczącą się w wyjaśnieniach Valentinę i dogadzała mi staroświecką metodą uspokajania wdowców, okazując żarliwą tkliwość i *douceur*, głaszcząc mnie po rękę, podczas gdy ja z zimną

krwią, wściekle odpierałem zarzuty, mrugając oczyma i przekonując, oczywiście, że znałem Aurę, nie wolno ci mówić, że jej nie znałem. (*La douceur* – rewolucyjna, dziewiętnastowieczna technika „łagodnego” traktowania szaleńców, z którą zetknąłem się podczas badań nad *l’histoire de la psychanalyse*, zbierając materiały do powieści Aury).

Kiedy powtórzyłem Valentinie słowa Aury, że podczas jednej z rozmów o jej nieszczęśliwym małżeństwie naplotła o nas bzdury tylko po to, żeby ją pocieszyć, wyszła z baru wściekła i upokorzona. Zachowałem się wobec niej okrutnie. Tamtego wieczoru była z nami Juliana i spodziewałem się, że wybiegnie za Valentiną, ale nie, została. Opróżniła kieliszek wina kilkoma haustami i zamówiła następny. Ogarnęła nas cicha, pełna napięcia melancholia. Poczuliśmy się samotnie jak nigdy dotąd. Ja piłem bourbona. Och, Francisco, Valentina tak tęskni za Aurą, jęknęła Juliana. Wiem, że nikt za nią nie tęskni bardziej niż ty, powiedziała, ale to nie zawody, Francisco, wszyscy tęsknimy za Aurą, a Valentina naprawdę za nią tęskni. To Aura była najlepszą przyjaciółką Valentiny, nie ja, i czasem odnoszę wrażenie, że chciałaby, żebym ją zastąpiła, a ja po prostu nie mogę. Juliana miała brązowe lisie oczy o długich, wywiniętych rzęsach i ciemnorude włosy, które okalały jej szczupłą twarz, szyję i ramiona niczym delikatne pnącze, co uznałem za szalenie atrakcyjne. Kiedy wracaliśmy taksówką przez most Brooklyński, przypomniałem sobie, że Aura uwielbiała wyglądać w tym miejscu przez okno i zachwycać się widokami. Zapamiętałem zwłaszcza jeden wieczór, gdy obróciła się na siedzeniu z jedną nogą podwiniętą pod siebie, sukienka zadarła jej się odrobinę, odsłaniając wewnętrzną stronę uda gibkiego jak u tancerki, z pantofla wysunęła się obnażona pięta, latarnie na moście i światła miasta olśniły ją niczym błyskawica, a mnie

zalała fala tak radosnego podniecenia, że prawie całkiem straciłem głowę. Chwilę później całowałem się w taksówce z Julianą. Pojechaliśmy do niej na Park Slope i pieprzyliśmy się do późna w nocy, a potem znów nad ranem, jakby to miało cokolwiek zmienić. Uderzałem ją po twarzy obrączkami zawieszonymi na srebrnym łańcuszku; patrzyłem, jak za każdym razem się wzdryga. Jej skóra, usta, ślina, wszystko pachniało inaczej niż Aura, dziewczyna w Berlinie też inaczej pachniała, ale tym razem to była kompletna porażka. Nie zdążyliśmy nawet wygrzebać się z łóżka, a już wiedziałem, że nigdy więcej tego nie powtórzymy. Dlaczego tak się stało? – spytała Juliana, kiedy szedłem do drzwi, a ja bąknąłem niepewnie, bo czuliśmy się samotni i oboje tęsknimy za Aurą.

Jeszcze tego samego dnia postanowiłem zaczekać na Valentine w niewielkim parku w West Village po drugiej stronie ulicy, którą dwa razy w tygodniu chodziła na lekcje gry na harfie, od wpół do czwartej do piątej po południu. Zawołałem ją, kiedy tylko się zjawiała: w ciemnych okularach i krótkim pomarańczowym płaszczu z kapturem podbitym futrem. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Przeprosiłem ją za to, co powiedziałem w barze. Ująłem jej długie, wypielęgnowane palce, które uczyły się grać na harfie, obsypałem je pocałunkami, potem całowałem jej usta. Zaczęliśmy wygadywać takie rzeczy, jakbyśmy tylko czekali na ten moment, żeby je z siebie wyrzucić. Zupełne wariactwo. Postanowiliśmy uciec do Meksyku i zamieszkać razem, ale jeszcze nie teraz, za kilka miesięcy, kiedy upłynie rok od śmierci Aury, bo wcześniej nie wypada. Tak właśnie, bo wcześniej nie wypada. Przed rozstaniem całowaliśmy się jak szaleni, w krótkich chwilach dla zaczerpnięcia oddechu wykrzykując, czy to naprawdę się dzieje? Odeszła na zachód, jak szpieg po umówionym spotkaniu. Kilka przecznic dalej był przystanek

metra linii A, więc wróciłem na Brooklyn, wyobrażając sobie, że Valentina kładzie się z szeroko rozstawionymi kształtnymi udami na swoim łóżku za milion dolarów, a ja patrzę, jak się powoli masturbuje, przebierając zręcznymi palcami harfistki, o paznokciach wymalowanych jaskrawym lakierem. Następnego dnia napisałem do niej e-mail z przeprosinami i prośbą, żeby nie traktowała moich słów poważnie. Potem się pokłóciliśmy o to, kto wpadł na pomysł ucieczki do Meksyku i kto pierwszy powiedział: „Kiedy upłynie rok od śmierci Aury, bo wcześniej nie wypada”. Dlaczego to wszystko musiało się stać?

Przypuszczam, że szukaliśmy Aury w sobie nawzajem, choć pewnie nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Byliśmy samotni, wciąż pogrążeni w szoku, przerażeni. Każdą z tych młodych kobiet ogarniał lęk na myśl, że ich ukochana przyjaciółka zginęła tak nagłą i straszną śmiercią. Nie umiały się po tym pozbierać. Nic dziwnego, że garnęły się do kogoś, kto je rozumiał, kto był tak samo przerażony. Być może ja próbowałem odzyskać świeżo nabytą, a już utraconą tożsamość męża, wykorzystując kobiety i ich ciała jako swoje medium, żeby połączyć się z ukochaną, która nawykła do codziennego okazywania wzajemnej miłości. Teraz, piętnaście miesięcy po wypadku Aury, przestaliśmy nawet ze sobą rozmawiać. Ale Valentina zaszła wreszcie w ciążę ze swoim Staruszkim Sex Pistolem, uratowała swoje małżeństwo. Drugi rok śmierci zapowiadał się na jeszcze bardziej samotny niż pierwszy.

Pewnego popołudnia, wkrótce po powrocie z drugich wakacji spędzonych w Meksyku bez Aury, wybrałem się do supermarketu za rogiem. Pulchna ekwadorska kasjerka w okularach wykrzyknęła na mój widok, och, jaki pan opalony, *señor*, był pan nad morzem?

Nie, odparłem.

Jak się miewa pańska żona, *señor*?

Och, w porządku, powiedziałem. *Tú sabes*, nowy rok akademicki, dużo zajęć na uczelni.

Spojrzała na mnie uważnie, jak zatroskany lekarz, przed którym pacjent próbuje zataić objawy choroby, ale już strasznie długo jej nie widziałam, rzekła.

Nie widziałaś jej od przeszło piętnastu miesięcy, pomyślałem. Czyżbym właśnie zdał sobie sprawę, że dziewczyna podejrzewa mnie o kłamstwo? Dziesięć minut drogi stąd był drugi supermarket, przy Smith Street, naprzeciwko Café le Roy. Postanowiłem, że od tej pory będę tam robił zakupy.

Pracujący w nowojorskich restauracjach Meksykanie okazywali Aurze szczególną sympatię, potrafili oderwać się od każdych zajęć, żeby choć chwilę z nią porozmawiać. Aura kojarzyła im się z typową meksykańską dziewczyną z sąsiedztwa, o czarnych, przyjaznych, roziskrzonych słońcem oczach i włosach splecionych w dwa czarne warkocze do ramion – wprawdzie rzadko się tak cesała, ale było jej niesłychanie do twarzy w tej fryzurze. Wyglądała jak współczesny odpowiednik ślicznotki z meksykańskich filmów wojennych, odwiedzającej żołnierzy w bazie z dala od domu. Przy naszym stoliku, nawet w najelegantszych lokalach, gromadzili się nie tylko pomocnicy kelnerów, ale i chłopcy z kuchni w przybrudzonych białych fartuchach – tylko po to, by zamienić parę słów z Aurą. Pytała ich, skąd pochodzą, odpowiadali i dopytywali się w zamian o nią. W tych spotkaniach było coś tak naturalnego, że ani razu się nie zdarzyło, by kierownik zezłościł się na swoich ludzi albo zagonił ich z powrotem do roboty. Czasem ktoś z obsługi prosił Aurę o numer telefonu, a ta oczywiście odmawiała. Kiedyś, na samym początku naszego związku, w idiotycznym porywie entuzjazmu udostępniłem numer jednemu z facetów, który potem wydzwaniał

do nas przez kilka tygodni. Prawie za każdym razem ja odbierałem telefon. Mówił z chłopskim akcentem, zawsze chciał rozmawiać *con la paisana*, ja odpowiadałem, że nie ma jej w domu, aż wreszcie palnąłem, że wróciła do Meksyku.

Café le Roy, dokąd co weekend wpadaliśmy na późne śniadanie, był jedynym lokalem przy Smith Street, który zatrudniał też meksykańskich kelnerów, nie tylko pomocników i personel kuchenny. Obsługiwała nas wyjątkowo śliczna kelnerka o wyglądzie młodej Nefertiti, z oczami jak ciemne podłużne klejnoty i aksamitnym dołeczkiem między kośćmi obojczykowymi, w który gapiłem się jak sroka w gnat. Pochodziła z Puebli, podobnie jak większość tych młodych ludzi, i uczyła się w jednym z tutejszych kolegiów nauczycielskich. Nazywała się Ana Eva. Kiedy się zwierzyła, że może oblać kurs z literatury, a wtedy wyleci ze szkoły, Aura przez dwa weekendy spotykała się z nią w sąsiedztwie i udzielała jej korepetycji. Ana Eva miała napisać pracę zaliczeniową o dowolnym nurcie w poezji XX wieku: Aura podsunęła jej pomysł eseju o meksykańskiej grupie Los Contemporáneos. Pomogła jej zebrać materiały, zredagowała brudnopis i ostatecznie wyciągnęła Anę Evę na piątkę z minusem. Od śmierci Aury nie zaglądałem do Café le Roy. Byłem ciekaw, czy Ana Eva jeszcze tam pracuje.

Pewnego popołudnia, kiedy siedziałem w czytelni Nowojorskiej Biblioteki Publicznej (nad artykułem Freuda *Żałoba i melancholia* – rolę żałoby jest odseparowanie się od wspomnień i nadziei związanych z utraconą osobą. Masz to zaakceptować i przepracować. Zdaniem Freuda powinno ci to zająć od roku do dwóch lat. Ale ja się nie chciałem odseparować ani niczego akceptować, nie chciałem, i już, dlaczego miałbym się z tego „leczyć“?), poczułem na ramieniu czyjś miękki dotyk, odwróciłem się i zobaczyłem kelnerkę z Café le

Roy. *Hola*, Francisco... Uśmiechnąłem się nerwowo, bo zapomniałem, jak ma na imię. *Soy Ana Eva, la mesera del de Roy...* Egipskie oczy, rzeźbione policzki, idealnie wykrojone usta pociągnięte ciemnoczerwonym błyszczkiem. Do tej pory widywałem ją zawsze w schludnym uniformie kelnerki, w białej bluzce z kołnierzykiem i w czarnych spodniach. Teraz miała na sobie luźny szary sweter o chłopięcym fasonie, niebieską bawełnianą spódnicę za kolano, czerwone trampki Converse i krótkie czarne skarpetki odsłaniające długie, szczupłe, gładkie i opalone łydki. Studentka kolegium. Czubek czarnej czupryny na wysokości mojego podbródka, z dziesięć centymetrów niższa od Aury. Zapomniałem języka w gębie.

Dalej się uczysz?

Chciałam z tobą porozmawiać, Francisco, powiedzieć, jak mi przykro i smutno z powodu Aury. Tylko nie było jak się skontaktować.

Wyszliśmy na zewnątrz, do Bryant Park. Kupiłem jakąś kawę w kiosku za rogiem i usiedliśmy przy zielonym metalowym stoliku. Był początek listopada, niezbyt zimno. Narzuciła na siebie kurtkę dzinsową i owinęła się czarnym, aksamitnym szalem. Dzień był pochmurny, trawa jeszcze zielona, liście wyblakłe i upstrzone brunatnymi plamami; pomyślałem o Paryżu i uciekających francuskich królowych. Ana Eva dowiedziała się o śmierci Aury z hiszpańskiego dodatku do „Daily News”, który zamieścił krótką notatkę o ceremonii pamiątkowej zorganizowanej przez kolegów ze studiów. Kontynuowała naukę w Baruch College, była już na ostatnim roku, pracowała teraz w restauracji niedaleko uczelni, ale wciąż mieszkała na Brooklynie, w Kensington. Jej wdzięk i uroda wprowadziły mnie w stan pobudzenia, jakiego nie doświadczyłem od dawna, jakbym ocknął się z jakiegoś letargu,

który bardziej przypominał sen. Przypomniałem sobie, co mi chodziło po głowie, kiedy Ana Eva pochylała się, żeby dolać mi kawy, przypominałem sobie, jak Aura mnie potem strofowała, och, czyżby ci wpadła w oko? Czasem lubiła być zazdrosna. Droczyła się ze mną, że zakochałbym się po uszy w pierwszej napotkanej po drodze *mexicanita* i że mam niewiarygodne szczęście, bo pierwsza napotkana po drodze *mexicanita* okazała się właśnie nią. Wtedy się śmiałem, lecz teraz, złapawszy się na tym, że wpatruję się trochę zbyt intensywnie w młodą twarz Any Ewy, usłyszałem nagle głos Aury, *cualquiera mexicanita, ¿verdad?*, i chyba nawet zachichotałem, bo Ana Eva spojrzała na mnie pytająco. *¿Qué pasó?* Och, nic, *perdón*, odparłem, po prostu sobie przypominałem, jak bardzo lubiliśmy wpadać do Café le Roy na późne śniadanie. I bardzo dobrze, powiedziała Ana Eva, bo w przeciwnym razie nie studiowałabym teraz w college'u. Aura uratowała mi wtedy życie z tym esejem. Jeszcze nikt nie wyświadczył mi takiej przysługi, Francisco. Nie miałam pojęcia, jak się jej zrewanżować, co dać jej w prezencie, żeby pokazać, jak jestem wdzięczna i jak ją podziwiam. Zawsze myślałam, że kiedyś przyjdzie okazja, żeby jej podziękować... Ana Eva wtuliła głowę w wąskie ramiona, przez chwilę wyglądała, jakby się miała rozplakać, potem westchnęła i wyprostowała plecy. Pomyślałem sobie, że jest taka młoda, i zacząłem się zastanawiać, jak się stąd zmyć. Czasem czuję, że Aura jest we mnie, odezwała się Ana Eva. Jestem pewna, że jej duch mnie nawiedza. Parę dni temu usłyszałam wewnątrz jej głos, prosiła mnie, żebym się tobą zaopiekowała, Francisco. A ja nie wiedziałam, co zrobić ani gdzie cię szukać. W restauracji mi powiedzieli, że już tam nie zaglądasz. No i dziś wpadłam na ciebie w bibliotece, jakby to Aura chciała, żebym cię znalazła.

Przez ostatnie kilkanaście miesięcy zachodziłem w głowę, gdzie

się podziewa duch Aury. Byłem ciekaw, czy Aura pochwalałaby moje zachowania, zastanawiałem się, czy o mnie myśli i nade mną czuwa (byle mnie tylko nie śledziła). Przypuszczałem, że jej duch rozpułynał się w nicość, po czterdziestu dziewięciu dniach od śmierci przeistoczył się w czystą energię, jak wierzą buddyści, albo nigdy nie opuścił Meksyku. Podejrzewałem, że Aura zatroszczyła się o matkę. Kiedy więc usłyszałem od Any Ewy, że nawiedził ją duch Aury, uznałem, że ona w to wierzy, w czym zapewne tkwi sedno sprawy, bo kto jej udowodni, że było inaczej? Może naprawdę rozmawiała z nią we śnie? Myślę, że właśnie od tego zaczął się mój romans z Aną Ewą Pérez, od decyzji, że jej uwierzę, albo przynajmniej zacznę się tak zachowywać, jakbym jej uwierzył.

Jak chcesz się mną zaopiekować? – spytałem.

Spuściła wzrok. Nie wiem, odparła i zaśmiała się z odrobiną skrępowania.

Może chciałabyś mi gotować? Umiesz zrobić klops z indyka? Aura przyrządzała go na trzy sposoby. Na niedzielne śniadanie podawała czasem chilaquiles con salsa verde, mniam, moje ulubione, tylko tak pracobłonne, że zanim były gotowe, przychodził już czas na kolację. Siedziała w kuchni godzinami, chyba że kupiła salsa verde w supermarkecie.

Potrafię zrobić chilaquiles, powiedziała Ana Eva z uśmiechem. A ty gotujesz?

Kiedyś gotowałem, w małżeńskich czasach. Może pozwól, że najpierw ja ci coś przyrządzę. Jeśli będzie ci smakowało, zrobisz mi chilaquiles.

Trochę to było bez sensu, ale tak właśnie powiedziałem, a ona się zgodziła. Wymieniliśmy się numerami telefonów. Kiedy zadzwoniłem do niej kilka dni później, poczułem dziwne łaskotanie – motyle w brzuchu! – ba, nawet panikę, bo nie odbierała

i musiałem podjąć decyzję, czy zostawić jej wiadomość, ale w końcu zostawiłem, wdzierając się do słuchawki z wymuszoną swobodą. Nie czułem się tak od czasu, kiedy oddzwaniałem do Aury i trafiłem na jej współlokatorkę, studentkę botaniki z Korei. Czyżby to był znak, że znów jestem gotów na związek? Zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek to nastąpi; czy w ogóle uda mi się spotkać kobietę, która mnie pokocha, a ja odwzajemnię jej uczucie. Pierwszy raz pomyślałem o tym na pogrzebie, kiedy matka Aury ni stąd, ni zowąd wygarnęła mi przy wszystkich, ty jeszcze masz szansę na miłość, a ja już nigdy nie będę miał drugiej córki.

Nie miałem pojęcia, co jej odpowiedzieć. Juanita straciła córkę, swoje jedyne dziecko, i już nigdy nie urodzi następnego. Czy powinienem odnieść się także do zawartego w jej słowach oskarżenia? Spojrzałem jej prosto w oczy i odparłem, tak, wiem. W głębi duszy obiecałem sobie, nie, to już koniec. Twoja strata nie jest większa niż moja. Czy rzeczywiście była większa? Czy da się to zmierzyć? A jeśli była większa? Jak to się miało do mnie i mojej żałoby? Czy miałem złożyć przysięgę, że już nigdy się nie zakocham, i zawrzeć pakt z Juanitą na dowód, że bardzo kochałem jej córkę? Tego właśnie chciała? Nie, nie tego chciała.

Nigdy w życiu nie kochałem nikogo tak mocno jak Aury, nawet w przybliżeniu, żadnego z rodziców, nikogo z rodzeństwa, żadnej z wcześniejszych kochanek ani mojej pierwszej żony; może tak naprawdę nikogo przedtem nie kochałem. Byłem przekonany, że kocham Aurę tak, jak mąż powinien kochać swoją żonę, jak w najświętszym związku małżeńskim, może nawet bardziej.

Ale Juanita miała rację.

Cała literatura na temat utraty i żałoby, wszystkie te badania nad wdowieństwem, których wyniki studiowałem w bibliotekach i w sieci, wprowadzały jeszcze większy zamęt. Wymieniani w nich

wdowy i wdowcy szybko wchodzili w nowe związki, bo wiedzieli, że właśnie tak należy postąpić, wiedzieli, jak kochać i wziąć na siebie odpowiedzialność za małżeństwo; żałoba w połączeniu z jałowością codziennej egzystencji okazywała się dla nich nie do zniesienia, więc próbowali ją zwalczyć, szukając czym prędzej nowego partnera. Pewien psychiatra napisał, że małżeństwo zawarte wkrótce po śmierci ukochanej osoby należy wręcz uznać za hołd jej pamięci i dowód jakości poprzedniego związku. Ale z tych samych badań wynikało, że powtórne małżeństwa się nie sprawdzają i szybko kończą się rozwodem. Wdowcy, którzy byli szczęśliwi w związku, są znacznie bardziej podatni na stan określany przez specjalistów mianem żałoby patologicznej – „charakteryzujący się skrajnym wyobcowaniem emocjonalnym i objawami głębokiej depresji” – niż ci nieszczęśliwi w małżeństwie. Dotyczy to zwłaszcza wdowców w moim wieku. Osoby osierocone przez partnerów, z którymi tworzyli udane stadło, mają więcej problemów zdrowotnych niż owdowiali w toksycznych związkach. Jeśli twój partner był tak zwanym obiektem znaczącym – kimś, kogo uważałeś za źródło swojego szczęścia i zadowolenia z życia oraz prawidłowego funkcjonowania w świecie – wtedy masz najbardziej przesrane. Badania dowodzą, że silne wsparcie rodziny (której nie miałem) i przyjaciół (których miewałem) nie ma w tym przypadku żadnego znaczenia. Jeśli na domiar złego ukochana osoba zmarła śmiercią nagłą, niespodziewaną lub gwałtowną – śmierć Aury spełniała wszystkie te kryteria – wtedy jesteś szczególnie „narażony na reakcję patologiczną”, na przykład zespół stresu pourazowego, który dotyka przede wszystkim weteranów wojennych. Przeczytałem, że żałoba traumatyczna zwiększa podatność na raka, choroby serca, uzależnienie od alkoholu (*isí, señor!*), zaburzenia snu i odżywiania oraz myśli samobójcze. Tak czy inaczej, mężczyźni

po stracie ukochanej żony żyją dziesięć lat krócej; szczęśliwi mężowie, którzy owdowiali po pięćdziesiątce, umierają przeciętnie w wieku sześćdziesięciu trzech lat, chyba że przedtem wejdą w udany związek małżeński. A co z tymi, których zmarła żona była rozpaczliwie młoda, piękna, bystra, czuła, dobra, u progu spełnienia swoich zamierzeń i najskrytszych marzeń (pisarstwo, macierzyństwo), ale miała rodzinę, która obarczyła pozostałego przy życiu męża całą winą za jej śmierć – winą, którą i tak wzięłyby na siebie, ale nie w taki sposób, jakiego odeń oczekiwano? Nie znalazłem wyników badań nad taką grupą wdowców.

Wszystko wskazywało na to, że dla własnego dobra powinienem przynajmniej spróbować. Tęskniłem za prawdziwym życiem, brakowało mi odpowiedzialności za drugiego człowieka. Sprawdziłem się jako mąż, jeśli pominąć rosnący dług na karcie kredytowej – problem, który dotyczy także milionów innych porządnym amerykańskich mężów – i wynikającą stąd niemożność przeprowadzki do większego, droższego mieszkania. W dniu wyborów prezydenckich, kiedy zaczęły spływać pierwsze wyniki z komisji, ogłoszono zwycięzcę i niemal w całym narodzie zapanowała euforia, leżałem w naszym łóżku pod aniołem i gorzko płakałem. Nasze dziecko dorastałoby w lepszym, zmieniającym się dynamicznie kraju; no cóż, przynajmniej wtedy tak mi się wydawało. A co ja z tego będę miał? Tańszy dostęp do państwowego domu starców? Lepsze schroniska dla bezdomnych, gdyby i na to mi przyszło?

Że się użalam nad sobą? A co, kurwa, nie wolno?

Ale mogłem z tym walczyć. Wciąż mogłem zostać mężem i tatą. Ana Eva miała dwadzieścia sześć lat. Czy nie była dla mnie za młoda? Czy warto ryzykować jeszcze większą różnicę wieku niż ta, która dzieliła mnie i Aurę? Mało brakowało, a zostalibyśmy

wzorcowym małżeństwem. Aura, z doktoratem uczelni Ligi Bluszczowej i świetnie zapowiadającą się karierą dwujęzycznej pisarki, byłaby rozchwytywana w Nowym Jorku, Meksyku, dosłownie wszędzie. Ja miałem uczciwą pracę i niezłą pensję uzupełnianą dochodami z książek, które – cokolwiek o nich mówić – odzwierciedlały moją energię i radość życia. Teraz musiałbym zacząć wszystko od nowa. Ana Eva była inteligentną, godną podziwu, ciężko pracującą młodą kobietą. Chciała zostać nauczycielką w szkole podstawowej. Interesowała się literaturą. Gdybyśmy się pobrali, mogłaby dostać zieloną kartę. Utrzymywała, że nie przejmuję się różnicą wieku. Przekonywała, że z Aurą byłby w zasadzie rówieśnikami. Miała dużo pracy i zajęć na uczelni, więc nie mogliśmy widywać się zbyt często, ale i tak poświęcała mi każdą wolną chwilę. Zabierałem ją do restauracji na Brooklynie, po sąsiedzku, przeważnie na pizzę albo spaghetti. Jako kelnerka znała się na winach i doradzała mi, jakie zamówić. Kiedy poszliśmy do lokalu z sushi przy Court Street, gdzie byliśmy kiedyś z Aurą częstymi gośćmi i dokąd nie zaglądałem od jej śmierci, izraelski właściciel powitał nas z takim zdumieniem i serdecznością, jakby ucieszył się na nasz widok, i wtedy zdałem sobie sprawę, że pomylił Anę Evę z moją zmarłą żoną. Czasem wpadała do mnie, żeby się pouczyć, albo spotykaliśmy się w jakiejś kafejce internetowej, żeby razem „odrobić lekcje”. Kupowałem jej prezenty, aczkolwiek bez szaleństw – sprawiłem jej nowego laptopa nie tylko dlatego, że stary był wolny i przestarzały. Na pierwszej randce się całowaliśmy, na drugiej poszliśmy do łóżka. Gotowałem jej u siebie w domu, korzystając z garnków, patelni i innych przyborów kuchennych, które stały nietknięte od czasu, kiedy zabrakło Aury, czując, jakbym próbował je wyrwać ze stoickiej żałoby, zmuszał, żeby zdradziły swą panią. Przymknijcie się, garnki i patelnie, trzeba

ż y ć d a l e j, jak wszyscy. Obdzwoniłem moich przyjaciół w Nowym Jorku i Meksyku, żeby im powiedzieć, że się zakochałem. Czekałem na ich gratulacje i słowa aprobaty jak wygłodniały pies; ilekroć w ich głosie pojawił się choćby ślad sceptycyzmu, robiłem się napastliwy. Oznajmiłem Anie Evie, że ją kocham, i usłyszałem od niej to samo. Mieszkała w Kensington z dwoma innymi studentami City College, imigrantami z Turkiestanu i Słowenii. Trafiła na nich z ogłoszenia na tablicy informacyjnej uczelni. Chłopcy zajmowali oddzielny pokój z dwoma łózkami. Nie lubiłem tam chodzić: ze względu na dzielnicę, w której nie bardzo było dokąd się wybrać wieczorami, przede wszystkim jednak ze względu na to obskurne, typowo męskie lokum. Spotykaliśmy się zatem u mnie. Kochaliśmy się w naszym łóżku, pod aniołem, obok zawieszanej na lustrze sukni ślubnej, szafek i komódek Aury, wciąż wypełnionych jej ubraniami, biżuterią, kosmetykami, torebkami i butami. Czy Anie Evie to przeszkadzało? Mówiła, że nie, że i tak jest pięknie, że czuje się związana z Aurą, która z pewnością by się cieszyła, że los nas ze sobą zetknął. Obiecałem, że w drugą rocznicę zdejmę z lustra tę sukienkę i zdecyduję, co zrobić z resztą rzeczy Aury; Ana Eva odparła, że tak będzie najlepiej. Starłem się pamiętać, żeby w sytuacjach intymnych przerzucić łańcuszek z obrączkami na plecy. Uwielbiała oglądać moje tatuaże i pytać o ich znaczenie. Wszystkie z wyjątkiem jednego sprawiłem sobie w salonie w Zona Rosa, pod wpływem nagłego impulsu, w czasie szalonej pijackiej trzydniówki pod koniec sierpnia. Wyszły spod ręki młodej tatuażystki Consuelo, która nosiła luźną kamizelkę z czarnej skóry wprost na gołe ciało w odcieniu cytrynowego brązu, wytatuowane fioletowym pigmentem. Aromat balsamu kosmetycznego i rozkoszna jak narkotyk piżmowa woń spod jej pach, kiedy się nade mną schylała, długie czarne włosy, których

Łaskotanie tworzyło hipnotyzujący kontrast z palącym, pulsującym bólem, jaki zadawała mi igłą do wprowadzania barwnika. Wysłuchała mnie jak prawdziwy psychiatra, przekładając każdą, choćby najlżejszą sugestię na projekt tatuażu, skłaniając mnie do wyznań spokojnym i stonowanym głosem, melodyjnym niczym chińszczyzna. Miałem już jeden tatuaż na ramieniu, odrobinę wyblakły, z wizerunkiem szkieletu La Catriny siedzącej okrakiem na komecie, zrobiony w Meksyku w latach osiemdziesiątych, na znak „powtórnych narodzin” po zakończeniu jakiegoś związku, który pamiętam jak przez mgłę. Teraz zamówiłem sobie tatuaż na przedramieniu z napisem „Natalia 17/1/09” – jeśli urodziłaby nam się córeczka, Aura chciała dać jej na imię Natalia, jeśli chłopiec, miał być Bruno, a ja uznałem, że to miała być córka, że to miała być Natalia, która przyszłaby na świat siedemnastego stycznia 2009 roku (wylądowałem w łóżku z Aną Evą zaledwie kilka miesięcy później); drugi na piersi, z sercem rozbitym na kawałki, datą „25/7/2007” u góry i napisem „Hecho en Mexico” pod spodem; trzeci obok, z pięknym rysunkiem Aury w sukni ślubnej i koronie Matki Boskiej Gwadelupskiej z gwiazd, oraz datą naszego ślubu, „20/8/05”; czwarty na łopatce, ze smutnym klaunem, któremu spływa z oka ciemna łza, i słowami „teraz się śmieje, potem będziesz płakał”; piąty wydziarany wąską kursywą pod obojczykiem, jak naszyjnik, z cytatem z *Egzekwii* Henry’ego Kinga, biskupa Chichester:

Byśmy się rychlej na brzegu spotkali.

(tłum. Stanisław Barańczak)

Ale ty przecież nie chcesz umrzeć, powiedziała Ana Eva. Czasami naprawdę chciałem, Ana Eva, dopóki się nie spotkaliśmy. Wziąłem do łóżka tom poezji, w którym były *Egzekwie*, i zaczęliśmy je razem czytać. Dzięki temu zdobyłem się na odwagę

i opowiedziałem Anie Evie o wszystkim, co się wydarzyło, o wypadku Aury, o moim poczuciu winy i oskarżeniach jej matki, o tym, że miłość jest silniejsza niż śmierć, więc trzeba podjąć wyzwanie i nieść ją dalej ze sobą, no i oczywiście o stylu samego wiersza, o umiejętności wyrażenia oczywistego, odwiecznego żalu po stracie w sposób tak prawdziwy, a zarazem wyrafinowany, że *Egzekwie* do dziś pozostają w tym względzie wzorem niedoścignionym, choć powstały przeszło trzysta lat temu. Właśnie dlatego potrzebujemy piękna, żeby dotrzeć do sedna własnego cierpienia, powiedziałem, wcielając się trochę w rolę starego belfra. Nie żeby je przewyciężyć ani przekuć w coś innego, ale przede wszystkim po to, żeby je dostrzec. Ana Eva uroczyście pokiwała głową, jak pilna uczennica, i powtórzyła cichutko, tak, żeby je dostrzec.

Więc wbij to sobie do głowy, pieprzony Gollumie, razem z tym swoim latynoskim sofizmatem cudownej, maniackiej miłości, wsadź sobie, kurwa, szmacianą lalkę w dupę, ty głupi *pendejo*!

Ana Eva gapiała się na mnie z otwartymi ustami. Co we mnie wstąpiło? Skąd ten nagły wybuch, skoro jeszcze przed chwilą zachwycaliśmy się pięknym wierszem?

Była przerażona. Skuliła się w rogu łóżka. Co się stało? Czy to jej wina? Czemu się na nią wydzieram i bredzę o jakimś Gollumie?

Och, Ana Eva, nie, nie, to nie ma nic wspólnego z tobą. Przepraszam. Ten Gollum to taki jeden krytyk literacki. Rzucił na nas urok w metrze. To on, kurwa, zabił Aurę, nie ja.

Och, Paquito, *cariño* – podpełzła do mnie, wijąc się całym ciałem. Nie zabiłeś Aury, nikt jej nie zabił. To był wypadek. Ana Eva ujęła moją głowę i zaczęła mnie delikatnie kołysać, gdy kajałem się zawstydzony. Nigdy się tak nie wściekłem w obecności Aury. W każdych okolicznościach trzymałem nerwy na wodzy. Tylko raz,

na samym początku naszego związku, wdałem się w pyskówkę z arabskim taksówkarzem, który nie chciał nas zawieźć na Brooklyn, i choć w końcu nas zawiózł, doszło między nami do tak zapalczącej wymiany zdań, że wysiedliśmy obaj z wozu, stanęliśmy w strugach deszczu na Cadman Plaza, gotowi wziąć się za łby, obrzucając się nawzajem obelgami, a wtedy taksówkarz kazał też wysiąść Aurze i jej przyjaciółce Loli, i choć się dałem, żeby nie ruszały się z miejsca, posłuchały kierowcy i wyszły na deszcz, a Lola pobiegła do pobliskiej kępy drzew, żeby się schować. Taksówka odjechała. Poszliśmy we dwójkę szukać Loli, wołaliśmy ją po imieniu, w końcu ją znaleźliśmy, skuloną pod drzewem jak zmokłe kocię. Wyjaśniła nam, że uciekła, bo w życiu nie widziała takiej eksplozji nienawiści jak podczas mojego starcia z taksówkarzem; okropnie się złąła. Przemoczeni do suchej nitki, czekaliśmy na drugą taksówkę. Aura powiedziała mi później, nie ma nic gorszego niż ludzie, którzy kłócą się z taksówkarzami, kelnerami i sprzedawcami w sklepach. Mój ojczym tak robił, a ja nie mam zamiaru znosić podobnych zachowań u swojego faceta. Jeśli jeszcze raz pożresz się z taksówkarzem, Francisco, odejdę od ciebie, słowo honoru! Nigdy więcej nie dałem się sprowokować. Od tej pory byłem już grzecznym i potulnym pasażerem zgłaszającym swoje zastrzeżenia wyłącznie w uzasadnionych przypadkach, zawsze jednak z szacunkiem i umiarem. Miłość zmienia człowieka, zmusza go, żeby zachowywał się przyzwoicie. Zawsze można się zmienić. Tymczasem spójrz na mnie, wściekam się na jakiegoś Golluma, wściekam się jak własny ojciec.

Ana Eva spytała mnie kiedyś, jak brzmiałoby pełne nazwisko Natalii, na co jej powiedziałem, cóż, Natalia Goldman. Ale moglibyśmy też dać jej nazwisko Aury, Estrada, a nawet panieńskie nazwisko mojej matki, Molina. Rozmawialiśmy o tym z Aurą.

Dziecko byłoby tylko w jednej czwartej Żydem. Po co je obciążać najbardziej żydowskim nazwiskiem na świecie? Z jakiej racji Natalia miałaby znosić docinki jakichś palantów, którzy przezywaliby ją Goldman Sachs?

Myślałam, że człowiek powinien być dumny z odziedziczonego po ojcu nazwiska.

Owszem, owszem, odparłem. Cóż, nieszczęśliwie podzielałam to odczucie. Pamiętam sytuację, do której doszło kilka lat przed śmiercią starego – ojciec stoi na szczycie schodów w naszym domu w Massachusetts, na niebieściutkim pluszowym dywanie, i gdera, ten pierdolony ćwok, mój rodziciel, tępy ruski wieśniak, przyjeżdża do kraju i pozwala sobie nadać jakieś, kurwa, typowo żydowskie nazwisko, na ten przykład Goldman. Do jasnej cholery, był piekarzem; mógł przecież powiedzieć, nazwijcie mnie Baker. Kisił też ogórki. Wiecie co? Nazwijcie mnie Pickle, psiamać, czemu by nie? Albo zostanę przy swoim nazwisku, bez łaski, kurwa wasza mać! Ale Goldman? Dziękuję, postoję. A ten idiota posunął się jeszcze dalej i zmienił sobie imię z Mojsze na Morton!

Oniemiałem. Stary przez osiemdziesiąt lat z okładem dusił w sobie nienawiść do przebrzydłego nazwiska, którego nie uważał za swoje, które zostało mu narzucone, i przyznał się do tego dopiero wówczas, kiedy śpiączka rozprostowała mu zwoje w mózgu. Wtedy się właśnie dowiedziałem, że nazwisko, które mój dziadek nosił w Rosji, nasze prawdziwe nazwisko, brzmiało Małamudowicz. Spodobało mi się znacznie bardziej niż Goldman. Dlaczego nie mogliśmy go zachować? Zgodziłem się z ojcem, co mu do łba strzeliło, temu popieprzonemu ruskiemu wieśniakowi? Malamudovich Molina – tak byłoby jeszcze lepiej. Gdyby to tylko ode mnie zależało, posługiwałbym się swoim prawdziwym nazwiskiem, Francisco Malamudovich Molina.

Ale tego się nie da nawet wymówić, jęknęła Ana Eva.

W takim razie Paco M&M.

A mnie się bardziej podoba Goldman, odparła. Brzmi jak imię jakiegoś superbohatera. Człowiek ze złota.

Tia? A co powiesz na Pickelman? Człowiek z ogórka?

Kiedy zabrałem Anę Evę do Katz's Deli, bo nigdy w życiu nie jadła kanapki z pastrami, poprosiła, żebyśmy zamówili jedną na spótkę. Jak magdalenka Prousta, wymamrotałem po pierwszym kęsie. Kto to jest Proust? – spytała. Co za magdalenka? To jakieś ciastko z pastrami? Nie dojadła nawet swojej połowy. Złapałem się na porównywaniu jej komentarzy z tym, co kiedyś powiedziała albo powiedziałaby Aura. Pewnego dnia Ana Eva zagadnęła mnie płaczącym tonem, czy ja w ogóle potrafię być zabawna? Prawda, że nie? Och, tak bym chciała cię kiedyś rozśmieszyć.

Cechy, które z początku najbardziej mnie w niej ujęły, choćby potulność, zaczęły mnie z czasem irytować. Miała swobodne podejście do seksu, podobnie jak inne kobiety w jej wieku. Ale jej apetyt na codzienne pieprzenie okazał się znacznie większy niż u Aury. Aura zawsze myślała o sryliardzie rzeczy naraz i miała sryliard spraw do załatwienia. Można się było z nią migdalić w środku dnia, co niekoniecznie kończyło się pieprzeniem. Ana Eva kierowała się metodycznym podejściem do życia, w którym wszystko stało grzecznie w kolejce po seks, i to dzień w dzień. Ledwie się człowiek z nią popieścił, a już była gotowa, wystarczyło położyć jej rękę na biuście albo wsunąć między uda, a pischczała jak nastoletnia prawiczka, mruzczała *¿Qué ha-ces?* zdyszczanym dziecinnym głósikiem i całowała mnie jeszcze mocniej albo odsuwała się i rozpiniała stanik, by uwolnić swoje śliczne malutkie piersi o twardych ciemnych brodawkach, wielkich niczym bąki – wtedy zawsze mnie zatykało. Miała długie, smukłe jak u sarny nogi

i gładkie szczupłe ramiona; czułem się, jakbym połowę czasu na jawie spędzał wplątany w jej kończyny, wijące się jak węże, wstrząsane parkosyzmami skurczów i dreszczy. Czasem od razu po wejściu do mieszkania padała na kolana i rozpiniała mi rozporek. Uświadomiłem sobie, że jest zanadto łapczywa na seks, że nie potrafię za nią nadażyć, co przypisywałem nie tyle rozbieżności naszych charakterów, ile dzielącej nas różnicy wieku, choć zapewne chodziło o jedno i drugie. Pewnej nocy oświadczyłem w łóżku, że nie mam siły na seks i chcę po prostu iść spać. Wtedy się na mnie wściekła. Nie poprzestała na zniecierpliwionym westchnieniu ani demonstracyjnym odwróceniu się do mnie plecami. Oczy jej rozbłyły jak u nożownika. Zażądała wyjaśnień. Po raz pierwszy zachowała się aż tak roszczeniowo. Jestem tylko zmęczony, powtórzyłem. Nie umiem się pieprzyć co noc, powiedziałem, i chyba nawet nie chcę. To po co ma u mnie nocować? Czego od niej chcę, spytała, skoro nie mam zamiaru się z nią kochać?

Od tamtej pory zaczęło się między nami psuć. Robiłem się coraz bardziej opryskliwy i w końcu musiało do niej dotrzeć, że często się nudzę w jej towarzystwie. Czułem, że znów ogarnia mnie depresja, która w zasadzie nie odstępowała mnie od śmierci Aury, ale tym razem okazała się jakby cięższa, bardziej mroczna, podszyta napięciem, które wdzierało się w głąb przez skórę, niszcząc zakończenia nerwowe. Pewnego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy z Aną Evą w kuchni, zauważyłem na blacie butelkę z trucizną, butelkę wypełnioną czymś, co wyglądało jak mezczał, ale było trucizną, o czym świadczyły napis „VENENO” i czarne czaszki na etykiecie, więc powiedziałem, nie wolno zostawiać takich rzeczy na widoku, wziąłem butelkę i schowałem do szafki. Ana Eva spytała, dlaczego wkładasz do szafki sok grejpfrutowy? Zanim skończyła zdanie, uświadomiłem sobie, że trzymam w ręku karton

z sokiem i rzeczywiście odstawiam go do szafki, zamiast schować do lodówki, ale spojrzałem na Anę Evę jakby była gdzieś daleko, w jakimś innym pomieszczeniu, za ścianą z przydymionego szkła, i odezwałem się w poczuciu, że każde moje słowo przebija się z trudem przez gęstą atmosferę, bo to trucizna, Ana Eva. Chyba właśnie wtedy zaczęły się te dziwne halucynacje, miałem oczy otwarte i wiedziałem, co się wokół mnie dzieje, słyszałem, co się do mnie mówi, a zarazem jakbym śnił na jawie, senne marzenia wyciekały w światło dnia niczym ropa z zatopionego tankowca. Pewnego razu poszliśmy do kina na film o parze zakochanych nastolatków, którzy uciekli z domu. Pod koniec dziewczyna umiera z winy chłopaka; leży w karetce w zakrwawionej białej sukience, ma delikatne krągłe policzki, życie w jej oczach powoli gaśnie, a ja zaczynam trząść się na całym ciele, mamroczać pod nosem, chwilę później prawie krzyżąc, nie, nie! Nie rób tego! NIE! Wstałem i zacząłem się przepychać do wyjścia, gryząc się w rękę i płacząc, Ana Eva szła za mną, nie odstępowała mnie na krok, choć nie zatrzymałem się i nie odezwałem słowem, aż ocknąłem się samotny w barze na dole restauracji Rexo, przed pięcioma ustawionymi rzędem kieliszkami po mezcalu, gapiąc się przez okno na Avenida Nuevo Leon, kompletnie pustą, skąpaną w zielonej poświacie latarni, na cztery ulice wpadające do niej pod różnymi kątami, na jedno z najniebezpieczniejszych skrzyżowań w mieście Meksyku, na s k r z y ż o w a n i e, g d z i e s t r a s z y. Kilka lat wcześniej Yuniór, kumpel, który wpadł do mnie z Nowego Jorku, spojrzał na tę narożną knajpę za poplamionym krawężnikiem po drugiej stronie ulicy i powiedział, ktoś tu kiedyś zginął, a ja ani przez chwilę nie wątpiłem, że ma rację. Poziom adrenaliny spadł, atak paniki wywołany zakończeniem filmu wreszcie minął, ustępując miejsca znajomym doznaniom pustki i osamotnienia, które starałem się

zagłuszyć alkoholem. Gapiłem się przez okno na lśniący chodnik opustoszałej alei i myślałem, to się nigdy nie skończy. Tylko że bar był przy Houston Street, a nie w Meksyku, z kieliszków piłem tequilę, a przy mnie na stołku barowym siedziała cichutko półprzytomna z niewyspania Ana Eva.

Kilka dni później obudziła się z jakiegoś koszmaru i obejmując głowę szczipłymi śniadymi ramionami, które wyglądały jak trójkątne spinacze do papieru, przez chwilę ciężko dyszała, po czym krzyknęła, przepraszam, już dłużej nie wytrzymam, cały czas czuję jej obecność, nie mogę spać przy jej ślubnej sukni, nie mogę, nie mogę, lo intenté pero ya no puedo, *ayyy*, Aura, *perdóname!*

Tydzień później, kiedy zerwaliśmy ze sobą, tłumaczyłem Anie Evie, że to nie przez nią, że jest cudowna, tylko ja nie jestem jeszcze gotowy na stały związek. Myślisz, że Aura nie chciałaby, żebyś był szczęśliwy? – próbowała mnie przekonać. Byłem zdumiony, że tak źle to znosi; sądziłem, że o niczym innym nie marzy, jak o tym, by się wreszcie ode mnie uwolnić. Kiedy uklękła przed ołtarzykiem Aury i jej suknią ślubną, żeby się pożegnać, przypomniała mi się Flor, nasza była sprzątaczką. Ana Eva użalała się nad naszą „biedną, małą, skazaną na śmierć miłością”, płakała jak zagubione dziecko, błagała Aurę o wybaczenie, zapewniała, że zrobiła wszystko, co tylko w jej mocy, by się mną zaopiekować, a ja to odrzuciłem. Cała się trzęsła, ramiona jej drżały. Nasz romans trwał niespełna miesiąc.

* * *

Sprawdziłem później, co znaczy nazwisko Małamudowicz, i dowiedziałem się, że „syn nauczyciela” albo „człowieka wykształconego”. Czegóż takiego nauczył się mój ojciec od swojego ojca? Czego ja się od niego nauczyłem?

Oboje z Aurą zostaliśmy wychowani przez nieszczęśliwych rodziców, w atmosferze złości, a nawet przemocy. Nie rozmyślałem o tym zbyt często, łączyło nas jednak coś jeszcze. Wiedzieliśmy, że w naszym wspólnym życiu nie powinniśmy powielać wzorców wyniesionych z domu. Gdy byłem dwunastolatkiem, pewnego wieczoru wróciłem z boiska później, niż mi kazano. Wybieraliśmy się na kolację do ciotki Sophie – chyba z okazji jakiegoś żydowskiego święta – i przeze mnie nie zdążyliśmy na czas. Ojciec spuścił mi manto, ledwo przestąpiłem próg, przed wejściem na piętro; zawsze tak robił, kiedy coś przeszkrobałem, ale tym razem tak mocno wyrznął mnie w plecy, że upadłem na podłogę, a kiedy próbowałem wstać, okazało się, że jestem sparaliżowany od pasa w dół. Kiedy wylądowałem w szpitalu na ostrym dyżurze i powoli odzyskiwałem władzę w ścierpniętych nogach, lekarz spytał mnie surowym tonem, co się właściwie stało. Odezwał się ojciec. Frankie miał wypadek podczas gry w piłkę, panie doktorze, powiedział. Powinienem się wtrącić i posłać go do więzienia, a przynajmniej narobić mu kłopotów, ale trzymałem buzię na kłódkę. Jakże go nienawidziłem. Zaklinałem się przez te wszystkie lata, że nie chcę być taki jak on. Nic nie przepełniało mnie tak głęboką odrazą do siebie samego jak poczucie, że dławię w sobie ten sam gniew, który doprowadzał mojego ojca do wybuchu i znęcania się nad własnym dzieckiem. Wmawiałem sobie na każdym kroku, że odziedziczyłem charakter po matce, że oboje trzymamy emocje na wodzy, jesteśmy spokojni, ugodowi, w gruncie rzeczy potulni jak baranki, choć czasem nie mamy odwagi wyrazić swojego zdania. Rzadko zdarzało nam się – a mojej matce nigdy – komuś odpyskować albo dać upust złości.

A przecież bunt jest jednym z powszechnie uznanych etapów żałoby. Gdzie się podział ten mój? Po śmierci Aury doświadczałem

najróżniejszych emocji, ale nigdy złości. W jaki sposób powinno się ją okazywać? Czy w ogóle jest na to jakiś dobry sposób? Czy zrobiłem postępy, zbluzgawszy Golluma? Po zerwaniu z Aną Evą czułem na karku oddech czarnej, wściekłej furii. Dawałem wszystkim do zrozumienia, że lepiej trzymać się ode mnie z daleka. Miałem ochotę to uczcić: nareszcie wszedłem w fazę sprzeciwu. I czekałem, co będzie dalej.

Pewnego wieczoru, kiedy skończyłem ćwiczenia w siłowni i wróciłem do szatni, zastałem przed swoją kabiną faceta w garniturze, bez krawata. Rozmawiał przez iPhone'a. Musiał dopiero wyjść spod prysznic, bo jego rudawe włosy były wciąż mokre. Położył na ławce aktówkę ze lśniącej licowej skóry, z zatkniętymi w kieszonkę schludnie złożonymi egzemplarzami „Financial Times” i „Wall Street Journal”. Gość z finansjery, sporo ich zaglądało na moją siłownię, często słyszałem w szatni, jak dzielą się problemami zawodowymi i współczują sobie nawzajem. Zdjąłem przepoconą koszulkę. Dobry obyczaj nakazywał ustąpić mi miejsca albo przynajmniej odsunąć aktówkę, żeby móc usiąść w swojej kabinie. Facet gapił się na mnie pustym wzrokiem i dalej gadał. Czekałem, patrząc mu prosto w oczy. Stał do mnie bokiem. Sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego rozmową. Czy mógłby pan wziąć swoje rzeczy? – odezwałem się wreszcie. A ten skurwiel tylko przewrócił oczami, uśmiechnął się kpiąco i pokazał mi plecy, wciąż rozmawiając przez telefon. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem go za ramię i zacząłem nim z całej siły szarpać – NIEEE, nie zacząłem; chciałem, ale tego nie zrobiłem. Stłumiłem w sobie mordercze instynkty, cały aż się trząsnę, słowo daję, a on spokojnie schował telefon do kieszeni, zabrał aktówkę i poszedł. Nawet nie raczył na mnie spojrzeć. Obserwowało nas kilku innych gości. Poczułem na sobie ich wzrok, usłyszałem, jak chichoczą na widok moich

tataży – śmieją się ze mnie – i mój gniew ustąpił miejsca upokorzeniu. Jakby ktoś wylał na mnie kubeł zimnej wody. Wszedłem do środka i długo stałem pod prysznicem.

Tymczasem wciąż opłacałem miesięczny abonament Aury na korzystanie z siłowni. Nie mogłem się zebrać, żeby dostarczyć im wymagane dokumenty: notarialnie poświadczony akt zgonu et cetera. I na tym się skończyło – złość przygasła jak wilgotny fajerwerk.

Wkrótce wydám wszystkie oszczędności Aury i przekrocze limity na kartach kredytowych. I co wtedy? W co zmienią się moja miłość i poczucie utraty? Złapałem się na podpatrywaniu bezdomnych z równie niezdrową ciekawością, z jaką w młodości obserwowałem sławnych i uznanych pisarzy – choć niekoniecznie w ten sam sposób. Przypomniałem sobie, jak tuż po rozpoczęciu studiów w college’u siedziałem w jednym pokoju z Kenem Keseyem w motelu na przedmieściach Nowego Jorku i z niemy niedowierzaniem sięgałem po skręta w dziwnie różowej bibułce, którego podał mi w swojej wielkiej dłoni. Dowiedziałem się wcześniej, że Ken Kesey wyłowił mnie z tłumu słuchaczy na swoim wykładzie, zwrócił się do jednej z uczestniczek kursu twórczego pisanie, starszawej poetki, która dostąpiła zaszczytu przedstawienia go publiczności, i spytał, kim jest kędzierzawy cherubin? Idę o zakład, że wszystkie dziewczyny chcą mu matkować. Tak właśnie powiedział o mnie Ken Kesey. Kędzierzawy cherubin, któremu wszystkie dziewczyny chciałyby matkować. Zachwycona poetka poprosiła mnie i kilkoro innych uczestników kursu, żebyśmy odprowadzili pisarza do motelu. Pewnie był ciekaw, czemu się nie odzywam, tylko siedzę przycupnięty na skraju łóżka, przypalam z nim jointa, wytrzeszczam gały, śmieję się razem ze wszystkimi

i odwracam wzrok, ilekroć na mnie spojrzy; a może wcale nie był ciekaw. Gdzie jest mój bezdomny mentor, który wypatrzy mnie na chodniku albo w zatłoczonym wagonie metra i powie, kim jest ten kędzierzawy frajer? Jeśli natychmiast nie ruszy dupy i się nie ogarnie, wkrótce stoczy się na dno. Co ten koleś sobie myśli, że tylko on stracił żonę?

Według ksiązek o żałobie, przynajmniej tych, które wyszły spod pióra psychoanalityków, sny opłakującego czyjąś śmierć powinny odzwierciedlać powolny, lecz nieunikniony proces odseparowywania się od Obiektu Utraconego. W jednej z analiz znalazłem opis przypadku wdowca w średnim wieku, który po długim i trudnym okresie żałoby miał sen o smudze kału na skrawku białego płótna; jego psychoanalityk uznał to za wyraźny postęp. Jakkolwiek wdowiec kochał swoją żonę, udało mu się odesłać śmierć i poczucie straty tam, gdzie ich miejsce. Teraz był gotów podjąć życie od nowa i znów obdarzyć kogoś miłością. Pewnej nocy śniło mi się, że Aura odeszła. Zostałem sam w ogromnym, strasznie zapuszczonym mieszkaniu, które nie należało do nas. Wtedy Aura pojawiła się w drzwiach. Była smutna, wręcz zrozpaczona, bo zakochała się w jakimś hipisie, lalkarzu z Hiszpanii, z którym uciekła do Vermontu, a on ją porzucił. Wróc do mnie, błagała. Przecież wiesz, że się kochamy. Nawet nie zwróciła uwagi, że tam jestem. Położyła się na kanapie, rozczochrana, zmizerniała, z trzęsącą się głową, przede wszystkim jednak dziwnie odległa i całkowicie zaabsorbowana sobą. Wreszcie zebrała się do wyjścia, bez słowa pożegnania. Dotarła do drzwi jak w transie, brodząc w walających się po podłodze śmieciach. Przekroczyła próg. Zrozumiałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Ale podbiegłem do niej, złapałem ją za rękę i wciągnąłem z powrotem do środka. Chwilę później całowaliśmy się jak szaleni, powtarzając:

mi amor, mi amor, w tym śnie udało mi się oszukać przeznaczenie i odzyskać Aurę, och, oboje byliśmy tacy szczęśliwi.

A potem był drugi sylwester. W głębi dżungli, w zaginionym mieście Suuubway, brzuch Aury rósł coraz większy, dziecko bez przerwy kopało, Natalia miała przyjść na świat za siedemnaście dni. W zaginionym mieście przyjąłem zeszłej wiosny propozycję dobrze płatnego etatu wykładowcy podrzędnego uniwersytetu na północnym wschodzie kraju – sto sześćdziesiąt pięć patoli rocznie. Napięty grafik, mało czasu na pisanie, ale nie ma co narzekać, dopóki Aura nie skończy swojej pierwszej powieści, a Natalia trochę nie podrośnie. Trzeba oszczędzać. Może za kilka lat uda nam się przeprowadzić do Meksyku.

Pierwszego sylwestra bez Aury spędziłem w Berlinie z Moyą i jego niemiecką żoną Kirsten w wietnamskiej restauracji o tandetnym jaskrawopomarańczowym wystroju, do której wstąpiliśmy tuż przed północą. Trochę spacerowaliśmy – przedtem wypiliśmy u nich w domu butelkę prosecco Bella Aura, którą wypatrzyłem w supermarkecie – i nie znaleźliśmy innego miejsca, gdzie moglibyśmy doczekać Nowego Roku. Zamówiliśmy jedzenie i butelkę szampana. Właściciele restauracji z rodziną i kilkoma pracownikami wyszli na zewnątrz, żeby umocować fajerwerki na składanej drabinie. Sylwester na ulicach Berlina przypomina jakieś obrzędy albo egzorcyzmy wojenne, z puszczaniem sztucznych ogni, odpaleniem rakiet i małych bomb po całym mieście, z młodymi ludźmi, którzy zatykają uszy palcami i tłoczą się w ciemnych zaułkach przy wyrzutniach fajerwerków, z unoszącym się w chłodnym powietrzu zapachem materiałów wybuchowych.

Kiedy rozpoczęło się odliczanie, powiedziałem, ten dzień nic dla mnie nie znaczy, teraz będę mierzył czas od daty 25 lipca. Kiedy jednak Moya i Kirsten stanęli w drzwiach z kieliszkami szampana, żeby popatrzeć na fajerwerki, a o północy wymienić się życzeniami z resztą gości i personelem knajpy, postanowiłem do nich dołączyć. Z Aurą świętowaliśmy Nowy Rok cztery razy; tylko cztery razy. Z wybiciem północy uświadomiłem to sobie boleśnie, więc uściskawszy Moyę i Kirsten, wyszedłem na ulicę i usunąłem się w cień, żeby pobyć sam ze sobą. Kilka lat wcześniej spędziliśmy sylwestra w Paryżu. Wynajęliśmy na miesiąc mieszkanie w piętnastej *arrondissement*. Gonzalo i Pia, nasi znajomi, którzy przeprowadzili się z Meksyku do Paryża, zaprosili nas na kolację w swoim mieszkaniu na Montmartrze. Mieli małe dzieci, podobnie jak brat Gonzala, który przyszedł do nich w gości z całą rodziną. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy połowa dorosłych musiała ciągle wstawać od stołu, żeby zaopiekować się dziećmi, ale i to traktowaliśmy jak rozrywkę. Wcieliłem się w rolę Super Mario i stoczyłem walkę na miecze z małym Jero. Skromny, ale przemiły sylwester w towarzystwie dwóch młodych małżeństw. Wyszliśmy z Aurą przed pierwszą i postanowiliśmy wybrać się na spacer po Pigalle, dzielnicy podrzędnych barów i klubów. Wstąpiliśmy do lokalu o zaparowanych oknach, gdzie za niewielką opłatą można było posłuchać afrykańskiej muzyki na żywo. W środku było mnóstwo Afrykanów i Europejczyków, prawie wszyscy tańczyli. Zespół był świetny, elektryczne gitary, w tym hawajska, gadające bębny, saksofon, wokół dosłownie wymiatał. Tańczyliśmy do białego rana, aż zespół przestał grać i ludzie zaczęli się wykruszać. Spoceni i szczęśliwi, mrużąc oczy w odbitym od paryskich kamieni blasku zimowego poranka, uznaliśmy, że zamiast pojechać metrem, wrócimy do domu na piechotę. Poszliśmy do Ogrodu

Luksemburskiego, żeby popatrzeć na rzeźby królowych i Pałac Babara, potem zapuściliśmy się w uliczki wokół Sorbony i obejrzeliliśmy starą kamienicę naprzeciwko średniowiecznego kościółka, w której Aura wynajmowała mieszkanie na spółkę z dwiema Japonkami latem 2001 roku, kiedy przyjechała do Paryża uczyć się francuskiego. Znaleźliśmy knajpkę ze śniadaniem, zjedliśmy świetny omlet z *pommes frites*, popiliśmy szampanem i wróciliśmy metrem do stacji La Motte-Picquet – Grenelle. Tak zaczął się rok 2005.

Teraz był już 2009. O drugiej po południu umówiłem się z Lolą i jej narzeczonym Berniem Chanem w barze przy Ludlow Street. Przyjechali z New Haven, żeby obejrzeć bal sylwestrowy na Times Square. Nie mam pojęcia, dlaczego im tak na tym zależało. Piłem w domu sam, oglądając rozgrywki futbolu uniwersyteckiego. Tuż po północy byłem już trochę wstawiony, postanowiłem więc wpaść na kilka głębszych do baru w sąsiedztwie, zanim będę musiał pojechać metrem na Manhattan. Na cześć Nowego Roku oraz spotkania z Lolą i Berniem założyłem garnitur. Uszył mi go pewien stary krawiec z Meksyku tydzień lub dwa po śmierci Aury, mistrz polecony przez dziewczynę mojego kumpla, która pracowała w agencji rządowej i powiedziała, że jej szefowie zamawiają u niego ubrania na miarę. Postanowiłem sobie sprawić kruczoczarny garnitur żałobny z grubej, zgrzebnej wełny, który zamierzałem nosić dzień w dzień co najmniej przez rok. Krawiec, który przyszedł do naszego mieszkania na Escandón, żeby zdjąć ze mnie miarę – kilka tygodni przed tym, zanim musiałem się stamtąd wyprowadzić – okazał się przemiłym, eleganckim starszym panem o bystrych, łagodnych oczach i obwisłej twarzy pokrytej plamami wątrobowymi. W górnej kieszeni marynarki nosił małą okrągłą gąbkę z wbitymi szpilkami. Powiedział, że jego zdaniem Aura nie

byłaby zachwycona, gdybym chodził bez przerwy w czarnym żałobnym garniturze. Wskazał na jej zdjęcia porostawiane po całym pokoju i oświadczył, widzę po jej oczach i uśmiechu, że była kobietą pełną życia, Francisco, i nie chciałaby, żeby się pan tak włóczył, demonstrując całemu światu swoją ciężką żałobę. A gdybym tak zaproponował grafitową flanelę? W stonowanym, lecz niezbyt przytłaczającym odcieniu? Otworzył wzornik tkanin.

Kiedy dotarłem do baru przy Ludlow Street, Lola i Bernie już tam byli. Zmarzłem, bo miałem na sobie tylko garnitur z bluzą pod spodem oraz czapkę, tę samą uszatkę kupioną na Chinatown, którą nosiłem przez całą pierwszą zimę. Choć w barze było mnóstwo ludzi, Loli i Berniemu udało się zająć stolik, co uznaliśmy za dobry prognostyk na nadchodzący rok. Lola piła tylko wodę butelkowaną, Bernie zamówił wódkę z tonikiem. Przywitałem się z Lolą serdecznie; a kiedy uwolniliśmy się z objęć, zamrugła oczami i rzekła, tyle mam do powiedzenia Aurze, czasem sobie myślę, że wystarczy do niej zadzwonić, a potem do mnie dociera, że to już niemożliwe. Ja też, odparłem. Mimo to z trudem nadażalem za rozmową. Może dlatego, że toczyła się trochę obok, ale nie, oboje patrzyli na mnie; mało tego, Lola opowiadała mi historię o Aurze i jej matce. Na blacie stołu leżał farfocel z jakichś wodorostów ubabranych owsianką i kleksami dżemu malinowego. Próbowałem go chwycić w dwa palce, ale mi się nie udało, więc wziąłem serwetkę, żeby go zetrzeć, kiedy jednak dotknąłem blatu, okazało się, że nic tam nie ma. Nie byłem pewien, czy ktokolwiek poza mną to zauważył. Lola opowiadała o składaniu wniosków o stypendium rządu meksykańskiego na studia doktoranckie za granicą. Juanita zawiozła dziewczyny do gmachu, przed którym wiły się długie kolejki aplikantów, ale one – dzięki obecności mamy Aury – nie musiały czekać; Juanita zaprowadziła je od razu do okienka. Lola

zapamiętała wściekłe spojrzenia innych studentów i zażenowanie Aury. Po powrocie do samochodu Aura rozplakała się jak dziecko: nie chciała zdawać egzaminu na stypendium, była zmęczona nauką i pracą nad magisterium, potrzebowała wytchnienia od nieustannej presji, jakiej ją poddawano. Skończyło się na tym, że nie przystąpiła wówczas do egzaminu i dlatego Lola rozpoczęła studia doktoranckie rok wcześniej.

Mieli dla mnie wieści. Nie tylko o tym, że zamierzają się tego lata pobrać, na Hawajach, w rodzinnym stanie Berniego. Lola była w ciąży. Dziecko miało się urodzić jeszcze przed ślubem. Lola była chuda jak tyczka, kiedy jednak wstała i obciągnęła sweter, dostrzegłem krągłe wybrzuszenie w kształcie maleńkiej dyni. Już wiedzieli, że będą mieli dziewczynkę. Właśnie dlatego chcieli się ze mną zobaczyć. Zamierzali dać córce na imię Aura, jeśli się na to zgodzę. Czy nie mam nic przeciwko temu, żeby nazwali córeczkę Aurą? Och, Lola, Bernie, oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu, mało tego, to naprawdę wspaniała wiadomość! Byłem szczerze wzruszony, nie tylko dlatego, że dostałem pretekst, by zamówić kolejną butelkę szampana, którą właściwie sam wypilem. Aż trudno uwierzyć, ilu przyjaciół Aury spodziewało się potomstwa, i to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy miała przyjść na świat nasza Natalia! Lola, Valentina, żona Artura, kumpla Aury z Austin, który też się przeniósł do Nowego Jorku, dwie inne znajome pary z Meksyku, wszyscy przy nadziei!

Lola i Bernie pojechali taksówką na Penn Stadion, żeby złapać pociąg do New Haven. Postanowiłem wrócić do domu metrem linii F, więc zabrałem się kawałek z nimi i wysiadłem przy stacji West Fourth Street. Pa! Uwielbiam was! Gratulacje. Szczęśliwego nowego roku! Następnym razem będziemy świętować razem z małą Aurą! Pamiętam, że skręciłem w boczną ulicę z myślą, że bar przecznicę

dalej będzie jeszcze otwarty. Usłyszałem huk, jakby przy moim lewym uchu wybuchła mała bomba, drzwiczki samochodu zatrzęsły się głośniejszym niż zwykle, dźwięk poniósł się echem wzdłuż ulicy, ludzie tkwiący w korku aż podskoczyli na siedzeniach, także w samochodzie, którym kierowała Juanita, Aura z przodu, ja z tyłu, i ujrzeliśmy postawnego młodego mężczyznę, który trzasnął tymi drzwiami i uciekał chodnikiem od samochodu, który był na podjeździe, niewyraźną sylwetkę kobiety za kierownicą, i ten młody mężczyzna płakał – kobieta w samochodzie pewnie złamała mu serce – a Juanita odkręciła szybę i krzyknęła na niego drwiącym tonem, *Ay, no llores (no JOOO-res), aj, nie płacz.*

Kiedy się ocknąłem, jakiś facet rozcinał mój garnitur czymś w rodzaju nożyc ogrodniczych. Zdejmowali ze mnie bluzę i podłączali czujniki do klatki piersiowej. Metaliczny połysk sufitu karetki. Byłem w karetce, siedłem za tobą, *mi amor...* Moja czapka! Czyżbym zostawił ją w barze? Cholera! Gdzie jest moja czapka? Nikt nie odpowiadał na moje pytania. Powieźli mnie na noszach przez bajeczną kaskadę światła, przypominającą cukier sypiący się przez dziurę w nocnym niebie, w przepastne wrota na tyłach szpitala i na obskurną izbę przyjęć. Policjant. Ludzie stali nade mną, coś mówili, zadawali pytania, a potem chyba znów straciłem przytomność. Później byłem w windzie, sam na sam z czarnoskórym mężczyzną w bieli. Co się dzieje? Zabierają mnie na kolejną tomografię. Kolejną? Tak, drugą. Wszystko będzie dobrze? Mało pan nie umarł, odparł mężczyzna w bieli. Tak właśnie powiedział, głębokim, surowym głosem. Mało pan nie umarł. Ojej, pomyślałem. No dobrze, *mi amor*, widzisz? *N a p r a w d ę* idę za tobą, *está bien*. Drzwi windy się otworzyły i mężczyzna wytoczył mnie na zewnątrz. *Resignación, señor, resignación. Hell-Ha, mi*

amor. To właśnie snuł ten pająk. W porządku. Wszystko w absolutnym porządku. No to jazda, wprost w najprawdziwsze aksamitne podziemie, wcale nie jest tak zimno na tej Alasce. Nie masz pojęcia, jak za tobą tęskniłem. Och, byśmy się rychlej na brzegu spotkali.

17.

Wynajęliśmy duży dom w San Miguel de Allende, żeby Juanita, Rodrigo i kilkoro naszych przyjaciół mogło z nami pobyc w ślubnym tygodniu. Ale we wtorek wieczorem pojechałem autobusem do stolicy, gdzie nazajutrz o jedenastej miałem odebrać zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego z Meksykanką w Meksyku. Usiadłem z przodu, żeby podziwiać widoki. Autobus ujechał już niezły kawał drogi z San Miguel, kiedy wyjąłem z plecaka szarą kopertę, żeby przejrzeć dokumenty, kopie przedłożonego wniosku, akt urodzenia, świadectwo zdrowia i tak dalej. I zdałem sobie sprawę, że zostawiłem w domu paszport. Bez paszportu nie dadzą mi zezwolenia, które musi dotrzeć do San Miguel najdalej we czwartek, żeby sędzia pokoju mógł udzielić nam ślubu na terenie stanu. Do tego czasu zjadą się już wszyscy goście, niektórzy nawet z Europy. Ceremonia miała się odbyć w sobotę. Przedślubną kolację i cocktail party zaplanowaliśmy na piątek. Jeśli jutro rano nie będę miał z sobą paszportu, ze ślubu nici. Aura siedziała w domu w San Miguel. Kiedy do niej zadzwoniłem, od razu znalazła mój paszport. Wpadła na pomysł, jak rozwiązać tę sprawę, korzystając z uprzejmości jednego z organizatorów ślubu. Wstałem z miejsca i zapukałem do kabiny kierowcy. Wyłuszczyłem mu, w czym rzecz, przez uchylone drzwiczki, nie zakłócając jazdy. Powiedziałem, że nasze małżeństwo stanęło pod znakiem zapytania. Byliśmy już prawie pół godziny drogi od San Miguel. Kierowca zgodził się zjechać na prawy pas i maksymalnie zwolnić, żeby organizator mógł dogonić autobus samochodem. Jeśli nie złapie nas,

zanim dotrzemy do skrętu na zatłoczoną, płatną autostradę w Querétaro, cały plan na nic.

Asystent organizatora jechał czarnym SUV-em. Usiadłem z powrotem i wbiłem wzrok w prawe lusterko wsteczne, w którym odbijał się fragment jałowego pejzażu z wąską szosą za nami. Ruch był niewielki, mogłem więc obserwować światła mijających nas z różną prędkością ciężarówek i samochodów osobowych. O zmroku kontury drogi zaczęły się rozmywać, nad szosą wyrosły słupy granatowoczarnych chmur, tuż po zachodzie słońca granica między niebem a ziemią zaczęła przypominać horyzont nad wzburzonym oceanem. Spojrzałem na zegar w telefonie. Upłynęły prawie trzy kwadranse. A jeśli przez moje niedbalstwo trzeba będzie odwołać ślub? Dlaczego oboje z Aurą wciąż mamy jakieś kłopoty z dokumentami i zaświadczeniami, zagubionymi i zapomnianymi paszportami, studencką wizą do Stanów, która okazała się nieważna, kiedy już byliśmy na lotnisku w Paryżu? Czy nasze życie toczyłoby się inaczej, gdybyśmy nigdy niczego nie gubili i zawsze mieli porządek w papierach? Każde niefortunne zrządzenie losu prowadzi do farsy. Dni spędzone na wesołych pogaduszkach w kolejce do urzędu paszportowego w Cancún zamiast na plaży w Tulum, bez żadnych niesnasek ani wzajemnych pretensji, odsłoniły więcej prawdy o naszej świeżej miłości niż łączący nas seks. Każde niefortunne zrządzenie losu wymusza zmianę: nieoczekiwaną podróż albo zboczenie z trasy, kompromitujące błędzenie po bezdrożach, ale też widzialne znaki opatrności, jak tamta czarna plamka ze światłami z przodu, którą zobaczyłem w lusterku, kiedy tylko się ukazała na ciemnym horyzoncie. Próbowałem ocenić jej prędkość. Zbliżała się błyskawicznie jak niezidentyfikowany obiekt z kosmosu.

Niefortunne zrządzenie losu pociąga za sobą śmierć; najpierw

twoją, a ledwie brakowało, żeby później i moją. Pierwsze dwie tomografie ujawniły krwiak w mózgu. Gdyby krwiak się powiększył, pewnie bym umarł, proszę pana. Dwie ciemne plamki na horyzoncie, jedna rośnie, a druga, no cóż, nie wiadomo, trzeba będzie zrobić jeszcze jedną tomografię.

Pojawiły się już znaki skrętu na autostradę w Querétaro. Usłyszałem sygnał komórki. Dzwonił asystent organizatora. To pan? Zamrugał światłami. Tak! Znów zapukałem do kabiny kierowcy, tym razem z wylewnymi podziękowaniami. Autobus zatrzymał się na poboczu. Dokowanie w przestrzeni kosmicznej. Drzwi się otworzyły, zbiegłem po schodkach, wdychając zapach bylicy, nawozu i oleju silnikowego pod pierwszymi gwiazdami na nieważkim fioletowawym niebie. Czarny SUV zahamował tuż za nami, wyrzucił spod kół radosną fontannę żwiru, od strony pasażera wysiadła Aura, trzymając w ręku mój paszport; pogubiłem się, ale już się odnalazłem, Aura śmiesznie truchta na zdrętwiałych nogach, trochę jak baletnica zbiegająca drobnymi kroczkami ze sceny; uścisk na skraju drogi. *Ay, Francisco, ¿qué te pasa?* Nie chcesz się ze mną ożenić? Francisco, omijaj knajpy szerokim łukiem i trzymaj się z dala od tych swoich *cocainómanos*. Dobrze, obiecuję! Ocalony pan młody wsiadł z powrotem do autobusu, wymachując paszportem. Pasażerowie przywitali go huraganem braw. *¡Viva México, cabrones!*

Otwarłem oczy i zobaczyłem Gus – Augustę – swoją pierwszą żonę, siedzącą na krześle przy moim łóżku na szpitalnym oddziale ratunkowym. Pobraliśmy się, kiedy miałem dwadzieścia cztery lata, a Gus dwadzieścia, studiowała na Columbii i zarabiała na chesne, serwując colę w Cannon's Pub. W drugim roku naszego małżeństwa wyjechałem jako dziennikarz do Ameryki Środkowej i to był

właściwie koniec naszego związku. Teraz Gus jest moją najlepszą przyjaciółką, osobą bliższą niż ktokolwiek z rodziny. Podałem jej numer telefonu, kiedy przewieźli mnie do szpitala, choć sam tego nie pamiętam. Zadzwonili do niej o piątej nad ranem. Położyła się spać zaledwie trzy godziny wcześniej i wciąż była trochę pijana. Mąż podrzucił ją samochodem z Brooklynu i wrócił do łóżka. Jej niebieskie oczy były załamane i podkrążone, kasztanowata czupryna w zupełnym nieładzie. Na oddziale panował tłok: lekarze ze szpitala St. Vincent mają najwięcej roboty w Halloween i właśnie w sylwestra. Obok mnie leżał zwalisty facet, który mówił po angielsku ze wschodnioeuropejskim akcentem. Wypadł przez witrynę sklepową, kawały potłuczonego szkła wbiły mu się głęboko w plecy, ramiona i uda. Jego dziewczyna płakała z twarzą ukrytą w dłoniach, on wrzeszczał, żeby przestała. Po drugiej stronie miałem wysokiego, bladego transwestytę w rozmazanym błękitnym makijażu. Próbował się zabić i łyknął jakieś tabletki. Doszedł już do siebie i teraz gęba mu się nie zamykała, zaczął mi opowiadać historię swojego życia, ledwo się zorientował, że odzyskałem przytomność, nawijał z ciężkim akcentem z Południa, jak to w wieku trzynastu lat uciekł z domu i wylądował w Nowym Jorku. Występował jako drag queen; kiedy oznajmił Gus, że wygląda jak babochłop, kazała mu się odpierdolić. Miałem całą głowę w skrzepach, wciąż krwawiłem z lewego ucha. Gus darła się na pielęgniarki, żeby mnie wreszcie umyły, na co odpowiadały, że mają pilniejsze przypadki. Spytałem Gus, co się stało. Odparła, że nikt nie wie. Może ktoś rzucił się na mnie z młotkiem albo gazurką, może potrącił mnie samochód i doznałem urazu głowy. Tak czy inaczej, znaleźli mnie nieprzytomnego na ulicy, tuż przy krawężniku. Miałem kompletnie zmiażdżone ucho i złamane trzy żebra, ale najpoważniejsza okazała się rana na potylicy. Policjanci

pytali Gus, czy mam jakichś wrogów.

Wrogów? Wcale bym się nie zdziwił. Niefortunne zrządzenie losu: bywa przyczyną śmierci, ale może też być początkiem żalosego melodramatu. Powiedziałaś im o wuju i matce Aury? – spytałem półżartem. Nie chciało mi się wierzyć, by Leopoldo wynajął zbirów i kazał im śledzić mnie od baru przy Ludlow Street aż do West Village. Kiedy ocknąłem się następnym razem, byłem już gdzie indziej; wywieźli mnie na korytarz. Gus wciąż mi towarzyszyła. Powiedziałem jej, żeby jechała do domu, ale odparła, że się stąd nie ruszy, aż położą mnie w sali, umyją i opatrzą mi ucho. Wkrótce mieli mnie zabrać na kolejną tomografię. Musiałem zostać w szpitalu, choć już nie byłem ubezpieczony.

Co mi się stało w ucho? Będzie zdeformowane?

Wygląda paskudnie, przepraszam, że ci to mówię.

Dotknąłem go palcami, było lepkie i pulsowało bólem.

Skoro nie Leopoldo, kto inny chciałby mi zrobić krzywdę? Pomyślałem o mordercach z mojego ostatniego reportażu, Mono de Oro, Tito, te ich gejowskie, skrytobójcze *chafas, la pareja diabólica*, trudno o gorszych wrogów, ale żeby mnie śledzić w sylwestra, po wyjściu z baru na Lower East Side, a potem przejechać samochodem albo walnąć w łeb?

Gus, czy ci mówiłem, że posiałem gdzieś czapkę? Wyobrażasz sobie?

Jeszcze tego samego rana przenieśli mnie z korytarza do sali. Gus poszła się przespać, obiecawszy, że wróci po południu, choć jej mówiłem, że nie trzeba. Dzieliłem salę z drugim pacjentem ukrytym za zaciągniętą zasłoną. Na ścianie między łózkami wisiała niewielka umywalka, w plastikowej torbie na dnie szafy leżał mój pocięty garnitur. Aluminiowe poręcze wokół łóżka, monitory. Dlaczego jestem podłączony do kroplówki, co mi tam podają? Pod sufitem

telewizor z wyciszonym dźwiękiem. Na rękę plastikowa opaska identyfikacyjna. Och, wspomnienia – cześć, tato. Za oknem ceglane budynki nowojorskie i skrawek zimowego nieba. W tym właśnie szpitalu rozpoczęła się pandemia AIDS i przez wiele lat zbierała śmiertelne żniwo; ilu młodych i nie tak już młodych mężczyzn zmarło w tej sali, na moim łóżku? Wspomnienie czarnych balonów unoszących się nad dachami West Village, pamiętam z jakiej okazji. Wspomnienia z moich pierwszych lat w Nowym Jorku, kiedy pracowałem w restauracjach, przeważnie jako pomocnik starszych kelnerów, pamiętam ich twarze i głosy, większość imion zapomniałem, tylko Sandy, Gino, ich sprośne, lubieżne dialogi i przekomarzania, czasami zabawne, czasami krępujące; Danny, który miał zwyczaj zaczajać się na mnie przy stanowisku dla pomocników i wrzeszczeć mi prosto w ucho, czegokolwiek Lola zapragnie, to właśnie dostanie... Wszyscy ci martwi kelnerzy, ilu ich zmarło w tym szpitalu?

Ranę na potylicy zszyli mi staplerem. Wyglądało na to, że ucho wygoi się w jakąś bezkształtną masę. Zebrało się nade mną konsylium w białych kitlach. Usłyszałem, że plamka na mózgu się nie powiększyła. Całe szczęście, że nie doszło do krwotoku. Doznałem poważnego wstrząśnienia mózgu. Chcieli zatrzymać mnie kilka dni na obserwacji. Dziwnie przyjemny ból w boku wywołany złamaniem żeber. Kiedy się obudziłem pod wieczór, znów była przy mnie Gus. Wiesz co? Potrącił cię samochód, sprawcy uciekła z miejsca wypadku. Nastolatka z Bronksu. Dziewczyna przyznała się ojcu, bo myślała, że cię zabiła. Kazał jej zadzwonić na policję.

Przetrawiłem tę informację. Teraz sobie przypominam, odezwałem się po chwili. Samochód, taaa. Wjechał na plażę i okrążył tę wielką wydmnę. Gapiłem się na Gus, ogarnięty znajomym już poczuciem, że dziwię się własnym słowom.

Samochód jechał wprost na mnie, powiedziałem, po piasku, z ogromną prędkością. Gus przyglądała mi się z otwartymi ustami. Zamknąłem oczy. Gdzie tam była Aura? Wygadywałem jakieś bzdury. Tę wydmę przy parkingu pamiętam z plaży w Cape Cod, dokąd chodziłem jako nastolatek.

Chyba nie masz racji, odparła Gus, bo wpadłeś pod samochód na rogu Szóstej Alei. Nigdy nie było tam żadnych wydm.

Nic z tego nie pamiętam. Ktoś mnie znalazł i zadzwonił pod numer 911. Jeszcze tego samego albo następnego dnia Gus opowiedziała mi, co się działo nazajutrz po ślubie w naszym wynajętym domu w San Miguel. Skacowana Aura zaszyła się w chłodnym cieniu sypialni i padła na łóżko twarzą w dół. Ja wyszedłem do ogrodu z przyjaciółmi. Po południu mieliśmy wrócić do miasta Meksyku, spędzić tam noc i nad ranem wylecieć w podróż poślubną na wybrzeże Pacyfiku. Gus siedziała w salonie z kilkorgiem gości, między innymi z Juanitą. Suknia ślubna Aury leżała rozpostarta na kanapie. Juanita uniosła rozdarty rąbek marszczonej spódnicy, uwalany błotem podczas tańca, przyjrzała mu się z bliska i uśmiechnęła pod nosem. To był t a k i piękny uśmiech, powiedziała Gus.

Kiedy wypisali mnie ze szpitala, kobieta z administracji oznajmiła, że moje rachunki zostaną pokryte z polisy dziewczyny, która mnie potrąciła. Podsunęła mi formularze do wypełnienia. Powiedziała, że powinno zostać jeszcze trochę pieniędzy dla mnie, i wytłumaczyła, co zrobić, żeby je dostać. Pewnie nie będzie tego dużo, uprzedziła, ale zawsze coś. Wygląda na to, że był pan nieźle zalany, dodała. Za tydzień powinienem się zjawić na badanie rezonansem i zdjęcie szwów. Gdybym poczuł mdłości, ostry ból głowy albo zaczął widzieć podwójnie, mam się od razu zgłosić na izbę przyjęć. Gus i jej mąż odwiedzili mnie do domu. Przez wiele

dni miałem zawroty głowy, ledwie stałem na nogach, trząłem się w środku jak galareta. Czułem się, kurwa, staro. Jeszcze w szpitalu wręczyli mi zestaw do pielęgnacji ucha: środek dezynfekujący, kremy, waciki, gazę i plastry. Z przewodu słuchowego wciąż sączył się jakiś dziwny przezroczysty płyn, zupełnie jak wydzielina z nosa. Po powrocie położyłem się na łóżku, przy sukni ślubnej Aury, i zaciągnąłem ciężkie beżowe zasłony. Cisza i spokój w sypialni, wolno upływające dni, półmrok. Jak wyczytałem z książek o śmierci i żałobie, zbierało się we mnie co najmniej przez rok. Pomyślałem o uczuciu spokoju, które ogarnęło mnie po słowach sanitariusza w windzie: mało pan nie umarł; o wrażeniu, że idę za Aurą w głąb ciemnego, aksamitnego tunelu. Cóż, nie umarłem, nie poszedłem. Wiezorami oglądałem telewizję. Wstawałem z łóżka kilka razy dziennie i szedłem do łazienki, żeby przemyć ucho i zmienić gazowy opatrunek. Rano schodziłem na dół po kawę i gazety, powolutku, jak zniedołężniały starzec. Po kilku dniach zacząłem jednak pewniej się trzymać na nogach. Trochę popracowałem. Zamówiłem jedzenie na wynos. Biorąc prysznic, używałem leczniczego szamponu Aury z wyciągiem z mięty i drzewka herbacianego.

18.

Kiedy słuchała profesora, jej nogi niec[pismo nieczytelne] się rozwarły, a tułów pochylił naprzód, jak tonący okręt.

W ciepły wrześnieowy dzień, kiedy słuchała profesora, który z pięknym kubańskim akcentem czytał wiersze Pabla Nerudy, laureata Nagrody Nobla, jej umysł swobodnie krążył w otchłani rozpostartej na kolanach białej kartki. Przyszła spóźniona, więc tak się szczęśliwie złożyło, że mogła się zaszyć w kącie nieklimatyzowanego pomieszczenia, ale w pewnej chwili poczuła na sobie czyjś wzrok i odruchowo uniosła głowę. Jej mimowolny gest zbiegł się z końcem wiersza Nerudy. To, co ujrzała, powinno było jej uzmysłowić, co się zaraz wydarzy, ale w tamtej chwili, nie mając tej wiedzy co starsze dziewczęta (myślała, że jej się przywidziało), nie uwierzyła, że zielone oczy profesora, powiększone przez szkła okularów, wpatrują się intensywnie w jej biust. Po prostu nie uwierzyła. Nie przy wszystkich, nie podczas czytania Nerudy (och, przecież właśnie z powodu czytania Nerudy). Nie dość, że profesor wlepił wzrok w jej piersi, a przynajmniej tak to w swojej (szalonej) wyobraźni widziała Guadalupe – to jeszcze ośmielił się spytać: *¿Qué piensas del poema Guadalupe?* Zanim zdążyła odpowiedzieć, wygłaszał już beznamiętną diatrybę przeciwko Nerudzie i jego „ckliwej poezji”. Neruda, powiedział, *no lo vamos a leer, clase, porque no me gusta*. Cenzorskie zapędy profesora wydały się Guadalupe trochę dziwne na zajęciach dla doktorantów i to samo pytanie, które prześladowało ją od czasu, gdy postawiła stopę na słynnym lotnisku JFK, wybuchło jej w głowie jak popcorn w mikrofalówce (jej głowa była popcornem, a sala mikrofalówką): co ja tu robię? Po co tu przyjechałam? Kim ja tu jestem? No dobra, czyli nie jedno pytanie ją prześladowało, tylko trzy, albo raczej to pierwsze pytanie rozwinęło się jak papierowy chiński wachlarz – w inne pytania, składające się na tę samą, sielską i tajemniczą scenę w czerwieni, bieli albo czerni. A potem pomyślała o swojej matce. Tak, moja matka, odpowiedziała wyimaginowanemu sędziemu na wyimaginowanej rozprawie przed sądem akademickim. Wyobraziła też sobie, że sędzia – jakaś rozmazana hybryda Derridy, Lyotarda i Foucaulta – w głos, z nieszczerego serca, się śmieje... Za nim inni sędziowie, człowiek, który nagrywa proces (nagrywacz sądowy?), publiczność (wszyscy w okularach, notujący skrupulatnie, na jakie pytania nie odpowiadać i jak się nie zachowywać), jeden w drugiego się z niej śmieją.

Śmieją się ze mnie^[8].

19.

Profesor nie lubił wprowadzić Nerudy, lubił za to wymyślone przez siebie słowa, na przykład „przydopis”. Powiedział kiedyś na zajęciach, jak czytamy w p r z y d o p i s i e ... Aura aż się wzdrygnęła i zerknęła na Valentinę. Ta przewróciła oczami: w ten sposób zawiązała się między nimi pierwsza nić porozumienia. Na wszystkich wydziałach literatury hiszpańskiej, kulturoznawstwa i studiów latynoamerykańskich aż się roiło od przemądrzałych wykładowców, którzy gardzili Nerudą albo kimś innym i zaśmiecali język „dowcipnymi” nowotworami w rodzaju „przydopisu”. Studenci przezwali tego profesora „Mi Verguita” (Wer-giii-ta), Mój Penisek. Mi Verguita znajdował odniesienia do fallusa dosłownie w każdym tekście i kazał swoim podopiecznym omawiać podmioty oraz konteksty falliczne, wplatając w dyskusję mniej lub bardziej wymuszone aluzje do własnego „uprzywilejowanego elementu oznaczającego”, któremu zawdzięczał ksywę. Mi Verguita wydał też jakąś powieść i trzymał w gabinecie ulotki z informacjami o spotkaniu promocyjnym w księgarni Barnes & Noble; dlatego przynajmniej część kolegów z wydziału serdecznie go nie znosiła i kopała pod nim dołki.

Mi Verguita mieszkał z rodziną w Bostonie i raz w tygodniu przyjeżdżał do Nowego Jorku. Aura miała zajęcia z Mi Verguitą – między innymi te, na których zmieszał Nerudę z błotem i po raz pierwszy użył określenia „przydopis” – na pierwszym semestrze studiów na Columbii. Po kilku spotkaniach w sali seminaryjnej Mi Verguita zaczął się umawiać z grupą na wieczorne posiedzenia

w swoim służbowym mieszkaniu. Zawsze przynosił galonową butlę czerwonego wina chilijskiego, czasem też flaszkę rumu. Po zajęciach włączał muzykę – przeważnie z Karaibów – i namawiał studentów do tańca. Wkrótce skupił całą uwagę na ślicznej, nieśmiałej, skromnie ubranej Kolumbijce z Bogoty – a przy okazji młodziutkiej żonie pewnego inżyniera budownictwa, który zrezygnował z własnej kariery, żeby dziewczyna mogła zrobić doktorat uczelni Ligi Bluszczowej, przyjechał razem z nią do Nowego Jorku i podjął pracę w śródmiejskim punkcie naprawy sprzętu komputerowego. Mi Verguita szczerze imponował tej kobiecie; kto wie, co jej szeptał na ucho, kiedy tańczyli razem po zajęciach, w każdym razie ujmował ją za podbródek, patrzył jej prosto w oczy i kąsał w wydatną dolną wargę jak podstępny królik. Któregoś dnia Aura wysłała mi e-mail z Columbii z informacją, że Mi Verguita został zawieszony. Kiedy studentka nie wróciła do domu po zajęciach, jej mąż poszedł do prodziekana wydziału i oskarżył profesora, że upił i uwiódł mu żonę. Kilka dni później Aura i jej koleżanki trafiły w sam środek śledztwa w sprawie molestowania, wszczętego przez sąd akademicki.

Mi Verguita był ostatnim, a może przedostatnim profesorem literatury latynoamerykańskiej, którego wydział zatrudniał w pełnym wymiarze godzin. Wszystkich wykładowców prowadzących zajęcia z poezji i prozy zmuszono do odejścia. Zastąpili ich specjaliści od teorii krytycznej i kulturoznawstwa. Aura mimowolnie podjęła studia na wydziale, na którym doszło do regularnej czystki. Fakultet ostatecznie zmodernizowano, żeby dorównać innym reformatorskim wydziałom w kraju. Czy jest gdzieś napisane, że na każdym wydziale studiów hiszpańskich musi się znaleźć miejsce dla poezji i beletrystyki? Jaki jest procent hiszpańskojęzycznej ludności na świecie, która kiedykolwiek

przeczytała albo w ogóle była w stanie przeczytać jakąś powieść?

Pod koniec drugiego roku studiów na Columbii, 29 maja 2009 roku, Aura zapisała w swoim notesie:

Nie chcę być wykładowcą akademickim.

Chcę być sobą. Nie jestem sobą, kiedy jestem naukowcem. Nie jestem naukowcem i nigdy nie będę. *La imaginación/las imágenes se avalanzan en una corriente de descarga poderosa una vez fuera del tanque que es/se ha vuelto/la Universidad. Casa Pánico. Las restricciones que no se entiende a si mismo. No confían en si mismo. Hay mejores maneras de la desconfianza que la auto referencia pedestre y estéril. Mi vida está en otra parte.*^[9]

Dlaczego Nowy Jork?

Chcę zostać. [W tym miejscu Aura narysowała osiem fruujących serduszek].
Clarice L'Inspector.

Zbiór opowiadań. *Variaciones sobre la vergüenza.*

[Wariacje na temat wstydu albo zażenowania; rzeczownik *vergüenza* można tłumaczyć na dwa sposoby. Aura wymienia pięć opowiadań, które już napisała albo zamierzała napisać].

Chcę rozwalić swój telewizor.

Po co mi telewizor?

Nie potrzebuję telewizora.

Nie wiem, jak zacząć to lato. Być może nigdy nie napiszę czegoś wielkiego. Wystarczy pisać. I pisać.

Rentgen z dzieciństwa.

NO ESCRIBIR CON ESPERANZA NI DESESPERANZA, SÓLO CON ESMERO
[Nie pisać ani z nadzieją, ani bez nadziei, tylko z oddaniem].

Znalazłem w papierach Aury pobazgraną kserokopię słynnego eseju Foucaulta *Kim jest autor*. Przeczytałem go z czystej ciekawości. Nie miałem zbyt dobrego rozeznania w teorii krytycznej. O ile dobrze zrozumiałem Foucaulta, „autor” jest tylko nazwiskiem, które pomaga w klasyfikowaniu tekstów, w odróżnianiu jednej książki

od drugiej. Nietrudno było sobie wyobrazić, że Aura uznała to za typowo borgesowski wygłup. Czy jej koledzy oraz profesor analizowali ten esej z równie śmiertelną powagą jak *Pierre'a Menarda*? Nie mam pojęcia. Tekst przypominał olśniewającą sieć wysnutą przez oszalałego pajaka geniusza. Doczytałem do miejsca, w którym Foucault powołuje się na wyjaśnienia św. Hieronima, że nawet homonimia nie jest wystarczającym dowodem na tożsamość autora, bo różne osoby noszą to samo nazwisko, może się zdarzyć, że ktoś pisze pod cudzym, i tak dalej. Foucault pyta: „Jak więc przypisać wiele wypowiedzi temu samemu autorowi?”. Znużona studentka przedziera się przez kolejne strony gęstego tekstu. Foucault zwleka z odpowiedzią. Światło dnia gaśnie. Aura czyta już od kilku godzin. Wreszcie zadaje sobie pytanie, czy nie lepiej wziąć się za *Portret damy*? Czy teraz nie jest to przypadkiem jej największy problem w życiu? Ciekawe, co będzie na kolację... dziki łosoś?

Na zajęciach z teorii krytycznej, prowadzonych przez nowego prodziekana wydziału, kalifornijskiego Chicano, który nazywał się Charly García, tak samo jak argentyński rockman, każdy student musiał przedstawić prezentację na temat jakiegoś współczesnego teoretyka. Aura wybrała Gayatri Spivak, ówczesną gwiazdę katedry komparatystyki literackiej na Uniwersytecie Columbia, swoją wykładownicę z pierwszego roku studiów doktoranckich. Omówiła ewolucję idei Spivak, poczynając od słynnego przekładu *De la grammatologie* Derridy, z przedmową tłumaczki, przez jej przełomowy esej *Czy podporządkowani Inni mogą przemówić?* – w którym, zdaniem Aury, wątek autotematyczny został wykorzystany do granic możliwości – aż po *Śmierć dyscypliny*, wówczas jej najnowsze dzieło.

Następnie przeszła do sedna, czyli powodu, z jakiego wybrała Spivak na bohaterkę swojej prezentacji. Zadała pytanie wszem wobec:

Jaka jest rola literatury w tym schemacie teoretycznym?

I odpowiedziała:

W istocie nadrzędna. Spivak nie porzuca badań ani krytyki tekstów literackich, zaznaczyła Aura, po czym skupiła się na objaśnieniach kilku spostrzeżeń Spivak na temat doniosłości literatury. Między innymi tego, że literatura i książki dopuszczają w y j ą t k o w y i n i e w e r y f i k o w a l n y model nauczania. Nieweryfikowalny aspekt literatury ma w tym przypadku znaczenie kluczowe, ponieważ w ujęciu Spivak to właśnie odróżnia dyskurs literacki od pozostałych dyskursów humanistycznych. Tu Aura sumiennie przeszła do omówienia jej wybranych prac krytycznych. Jak to się dzieje, że Spivak jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli teorii podporządkowanego, a mimo to wciąż broni literatury, która za każdym razem, gdy występuje w imieniu pozbawionego głosu, odsuniętego na margines Innego, Podporządkowanego, dopuszcza się aktu kolonizacji? Spivak, powiedziała Aura, nie boi się sprzeczności.

Charly García pochwalił Aurę za prezentację, zastrzegł jednak, że nie zgadza się z podejściem Spivak do tekstu literackiego. Po prostu tego nie rozumiem, oznajmił, dla podkreślenia swoich słów uderzając pięścią w kolano. Po prostu nie rozumiem, jakim cudem Spivak może wciąż bronić tekstu literackiego.

Doktorat Aury miał dotyczyć grupy młodych pisarzy i artystów meksykańskich, którzy rozpoczęli działalność twórczą w latach dziewięćdziesiątych, tuż po rozłamie w Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej. Pamiętam, jak siedziała przy komputerze, pracując nad piątą albo i szóstą wersją swojej dysertacji. Spoglądała znad

biurka i lamentowała, kiedyś tak pięknie pisałam, a teraz powoli zapominam, jak to się robi! Patrz, czego ode mnie wymagają! Mówiąc „pięknie”, Aura miała na myśli przede wszystkim styl recenzji i esejów publikowanych w jej ulubionych czasopismach, dajmy na to, w „London Review of Books”. Teraz musiała przeprowadzić analizę polityczno-gospodarczą rozłamu w PRI, posługując się żargonem naukowym.

Osoby, które nie chciały się podporządkować nowym standardom, skreślano z listy doktorantów. Na pierwszy ogień poszła Moira, przyjaciółka i nemezis Aury na początku jej studiów na Columbii. Aura doszła do wniosku, że będzie następna. Właściwie o niczym innym nie rozmawiała po powrocie do domu. Noc w noc cierpiała na bezsenność. Dlaczego sama utrudniła sobie sprawę i wybrała na promotorkę Pilar Segurę, postrach całej uczelni, wybitną urugwajską teoretyczkę literatury, znaną z poglądów marksistowskich? Bo Urugwajka została nową gwiazdą wydziału, na jej zajęcia pchały się wszystkie mądrale, nie wyłączając ambitnej Aury. Jesienią 2005 roku – w lecie zostaliśmy małżeństwem – podczas jednej z konsultacji dla doktorantów Segura powiedziała, och, Auro, jak słowo daję, wciąż jesteś taka niewinna. Musisz się wyzbyć tej naiwnej miłości do tekstu literackiego.

Zdaniem mojej żony miłość do literatury nie jest ani niewinna, ani naiwna. A jeśli nawet, to z pewnością nie bardziej naiwna niż miłość do teorii marksistowskiej.

Aura postanowiła się zapisać na studia magisterskie w dziedzinie twórczego pisania, organizowane przez City College. Próbkę swojej twórczości pokazywała tylko mnie i od czasu do czasu Loli, ale protekcyjne uwagi promotorki zirytowały ją do tego stopnia, że nie zawahała się stanąć przed komisją egzaminacyjną, od której

zależała ostateczna decyzja o przyjęciu kandydatów. Musieliśmy przetłumaczyć trzy opowiadania, które należało dołączyć do wniosku. Zachowaliśmy to w ścisłej tajemnicy: stypendium na Uniwersytecie Columbia zobowiązywało ją do pracy w pełnym wymiarze godzin, nie dopuszczając możliwości studiów równoległych na innej uczelni. Mnóstwo moich znajomych na całym świecie odnosi się z lekceważeniem do młodych amerykańskich pisarzy, którzy wybrali tę bezpieczną, tradycyjną, nieledwie biurokratyczną drogę do świata literatury. Podobne kursy uchodzą w najlepszym razie za wrota do kariery nauczyciela twórczego pisania. Niewykluczone, że Aura podjęła najodważniejszą decyzję w swoim życiu. Samo przystąpienie do egzaminów mogło zniweczyć jej doktorat. Bała się odrzucenia, choćby najłżejszej krytyki, wystawienia marzeń o karierze pisarskiej na próbę talentu i determinacji. Nie zamierzała przyznać się matce – w każdym razie nie od razu – chciała sobie zaoszczędzić dodatkowego stresu, przecież i tak była u kresu wytrzymałości nerwowej. Żeby więc mogła się odprężyć w czasie przygotowywania materiałów do wniosku, zabrałem ją na weekend nad jezioro Mohonk. Uwielbiała to miejsce. Mohonk Mountain House, nieforemny pałac wiktoriański w Dolinie Hudson, mógłby posłużyć za idealną scenerię do gotyckiego horroru albo kryminału na motywach powieści Agathy Christie. Aura kazała robić sobie zdjęcia, upozowana na ofiarę morderstwa porzuconą w długim korytarzu z ciągiem drzwi po obu stronach. Potem fotografowała mnie leżącego trupem na dywanie. W hotelu był salon odnowy biologicznej; Aura chodziła na masaż. Wielkie jacuzzi pod gołym niebem, gdzie można było odpocząć w bulgoczącej wodzie i kłębach pary unoszących się w chłodnym listopadowym powietrzu. Szlaki piesze. Większość gości stanowiły rodziny z klasy średniej, poza tym

kilkoro emerytów i pojedyncze młode małżeństwa. Kto chciał, mógł spędzić całe popołudnie przy grach planszowych, pijąc grzany cydr albo gorącą czekoladę, jedząc świeżo upieczone ciastka i placek z dyni. Wielkie pluszowe fotele i kanapy wokół kamiennych palenisk idealnych do pieczenia dziczyzny. Rozsiedliśmy się przy ogniu z laptopami na kolanach, tłumacząc jej najnowsze opowiadanie *Un secreto a voces*.

Trzy miesiące później, w marcu, dostała e-mail od pisarza – prawdziwego Słynnego Irlandzkiego Pisarza – który wykładał na studiach magisterskich. Opowiadania mu się spodobały, ale musi porozmawiać z nią osobiście. Czy mogłaby wpaść do college’u na „pogawędkę”? Wyznaczył jej termin jeszcze w tym samym tygodniu. Zbliżająca się pogawędka przez kilka dni była głównym tematem naszych rozmów. Czy ją przyjmą, czy nie? Po diabła Słynny Irlandzki Pisarz marnowałby czas i zapraszał ją na spotkanie, gdyby nie mieli zamiaru jej przyjąć? Może po prostu musi się upewnić, jaką masz wizję, powiedziałem. Mimo to Aura cierpiała katusze, była pewna, że coś jest nie tak, może u nich też obowiązuje zakaz studiów na równoległym fakultecie. Kiedy wreszcie dotarła na uczelnię, Słynny Irlandzki Pisarz czekał na nią w gabinecie razem ze starszym, jeszcze bardziej Słynnym Australijskim Pisarzem, który był kierownikiem całego programu. Najwyraźniej przyjaźnili się ze sobą i omówili już wcześniej jej kandydaturę. Zadali jej kilka pytań, na które odpowiedziała. Zapewnili, że nie mają nic przeciwko jej studiom na Columbii. Mają inny problem, no, może nie problem, tylko wątpliwość. Dołączone do wniosku opowiadania zrobiły na nich wrażenie, ale dostali je w przekładzie i to chyba nie jej autorstwa – każdy tekst opatrzyła dopiskiem: „Tłumaczyła Aura z pomocą przyjaciół”. Tymczasem zajęcia będą prowadzone wyłącznie po angielsku. Nie mają żadnych zastrzeżeń do jej

mówionej angielszczyzny, ale czy potrafi pisać w tym języku? Tylko pod tym warunkiem przyjmą ją na studia. Dali jej dobę na przygotowanie listu motywacyjnego o objętości co najmniej sześciu tysięcy słów, w którym wyjaśni, dlaczego chce się dostać na studia twórczego pisania. Poszła do domu i zrobiła, co jej kazali. Kilka dni później Słynny Irlandzki Pisarz zadzwonił ponownie, tym razem z wieścią, że została przyjęta. Na tydzień zapadła cisza. Czy nie powinni jej przysłać oficjalnego potwierdzenia? Może Słynny Irlandzki Pisarz skonsultował się potem ze Słynnym Australijskim Pisarzem, który odrzucił jej kandydaturę? Och, Aura, jęknąłem, dostałaś się, jeśli nie wierzysz, spytaj ich w e-mailu. Spytała. Kilka dni później dostała odpowiedź od Słynnego Australijskiego Pisarza: „Droga Auro, wszystko w porządku. Zdałaś. Zostałaś przyjęta na studia pisarskie. Dostaniesz list na papierze firmowym, ale to też jest PRAWDZIWY LIST. Jesteśmy szczęśliwi i dumni, że zyskaliśmy taką studentkę”. Tamtego wieczoru wybraliśmy się na ostrygi do małej francuskiej restauracji z metalowym szynkwasem. Rozpiliśmy butelkę szampana i poszliśmy z Valentiną i Jimem do kina w Greenwich Village. Kiedy wracaliśmy do domu, Aura przytrzymała mnie na chodniku, żeby Jim z Valentiną wysforowali się kilka metrów przed nas. Chciała, żebym poobserwował chód Jima. Czyżby Jim miał protezę lewej nogi? Może i tak. Nie byłem pewien.

Bohaterką jednego z opowiadań dołączonych do wniosku jest dziewczynka, którą przyłapano na codziennych kradzieżach z uczniowskich tornistrów i pudełek śniadaniowych. Rodzice wezwani na dywanik do dyrektora są szczerze zbulwersowani zachowaniem córki. Patrzyli na nią, jakby mieli przed sobą kogoś całkiem obcego. Jakiś czas temu matka obiecała dziewczynce, że jeśli

będzie grzeczna, pojedzie ze swoją siostrą przyrodnią na wakacje do jej matki, która ma dom w Orlando na Florydzie. Teraz czytelnik już wie, dlaczego dziewczynka kradnie: bo nie chce jechać do Orlando. Żeby ukarać córkę, matka zabrania jej jeździć rowerem po osiedlowym parkingu. Dziewczynka łamie zakaz, lecz zamiast krążyć po parkingu, po raz pierwszy w życiu wypuszcza się rowerem na niebezpieczną, ruchliwą ulicę. Aura, zachęcona pomysłem wynikiem rekrutacji na studia, wysłała opowiadanie *Un viaje fallido* do redakcji pewnego południowoamerykańskiego literackiego magazynu internetowego. Przyjęli. Zadebiutowała jako pisarka! Teraz mogła się już pochwalić matce. Juanita przeczytała opowiadanie i wpadła w złość. Najbardziej ją zirytowało, że matka nie ma pojęcia, dlaczego jej córka kradnie. W rzeczywistości przecież się domyśliła! Właśnie dlatego Aura nie pojechała z Katią do Orlando. Jakim prawem Aura wystawia przykre epizody z przeszłości na widok publiczny, i na dodatek je przeinacza? Aura próbowała jej wytłumaczyć, że to fikcja literacka, że gdyby opowiadanie było dłuższe, matka w końcu zorientowałaby się, w czym rzecz. Osia opowiadania była jazda rowerem, ten krótki i lekkomyślny zryw wynikający z potrzeby wolności i przygody – który skończył się w przydrożnym McDonalddie, gdzie w weekendy zawsze był klaun, a dzieci bawiły się na wielkiej plastikowej zjeżdżalni, ale tym razem było inaczej, w środku było pusto i brudno.

Kilka miesięcy później, kiedy Aura opublikowała następne opowiadanie, którego akcja toczyła się na osiedlu przypominającym Copilco, matka zareagowała dokładnie tak samo. Czyżby były to pierwsze przymiarki do książki *Rentgen z dzieciństwa*? W tej prozie kryły się gorzkie i niebezpieczne tajemnice. Przecież większość młodych autorek pisze o swoich matkach.

Historia powinna się urywać w momencie, kiedy bohaterka wreszcie wyrusza w nieznane. Czytelnik nie podziela jej entuzjazmu, bo wie, że podróż skończy się katastrofą. Ten kataklizm będzie miał jednak wspaniałe strony.

Fragmenty notatek do planowanej powieści wydają się dziwnie prorocze. Jeśli jednak są prorocze, kryją też w sobie perwersyjną zagadkę, bo jakże tu mówić o wspaniałych stronach śmierci? Sądzę, że Aura miała na myśli studia doktoranckie. Zamierzała napisać powieść z narracją wsteczną. Wyprawa w nieznane okazuje się podróżą do Nowego Jorku, gdzie Alicia ma zrobić doktorat na renomowanym uniwersytecie. To właśnie skończy się katastrofą: jej kariera naukowa. Nikt i nic poza tym. Czy mam rację?

20.

Cztery dni po pogrzebie Aury zadzwoniła do mnie jej matka. Od razu przeszła do rzeczy. Najwyraźniej przygotowała zawczasu swoją przemowę, być może nawet ją przećwiczyła. Juanita powiedziała:

Aura była doktorantką na uniwersytecie. Ja przez całe życie pracowałam na uniwersytecie, podobnie jak mój brat. Uniwersytet jest naszym domem i troszczy się o nas jak o członków rodziny, i otóż właśnie uniwersyteccy prawnicy są bardzo zaniepokojeni, że nie złożyleś oficjalnego zeznania.

Słuchając Juanity, ujrzałem swoje odbicie w ciągnącym się przez dwa piętra szklanym panelu, który oddzielał nasze mieszkanie na Escandón od niewielkiego tarasu; stoję ze słuchawką telefonu bezprzewodowego przy uchu, u podnóża schodów z jasnego drewna prowadzących do sypialni na poddaszu. Pomniejszony w pionowej perspektywie wnętrza, na tle żółtej ściany, wyglądałem jak zamazana sylwetka karła w lewym dolnym rogu olbrzymiego malowidła. Przez szparę w uchylonych drzwiach przesuwanych dobiegał szeleszczący szept bambusów, raptem sześć posadzonych pędów, w życiu bym się nie spodziewał, że wyrosną jak rośliny z bajki, na wysokość bez mała dwóch pięter. Jakies dwa tygodnie przed śmiercią Aura stała prawie w tym samym miejscu co ja teraz i patrzyła, jak schodzę po schodach. Uwielbiam to mieszkanie, oświadczyła. Było nasze: Aura dostała je w prezencie od matki. Było świeżo wykończone i puste, kiedy się do niego sprowadziliśmy. Aura miała nadzieję, że w ciągu czterech lat

zdołamy je umeblować, powolutku, rozważnie, na miarę naszych możliwości. Stolarz, u którego zamówiliśmy półki na książki, miał je dostarczyć po naszym powrocie znad morza. No to wróciłem znad morza bez Aury i rozmawiałem przez telefon z jej matką. O co mnie ona oskarża? O co jej chodzi z tymi uniwersyteckimi prawnikami, którzy są bardzo zaniepokojeni, że nie złożyłem jakiegoś zeznania?

To Juanita podjęła decyzję, że ciało Aury zostanie skremowane. Oznaczało to, że cała nasza trójka – Fabiola i ja z Juanitą – musi zostawić zmarłą w szpitalu i niespełna trzydzieści godzin po tragicznym wypadku na Pacyfiku pojechać do najbliższej *delegación*, czegoś pośredniego między lokalnym posterunkiem policji a biurem prokuratora okręgowego, żeby złożyć zeznania jako naoczni świadkowie i wykluczyć jakiegokolwiek podejrzenia, że domagając się spopielenia zwłok, próbujemy coś ukryć. Konieczne też było przeprowadzenie sekcji. Rozdzielili nas, Fabiolę wzięli do jednego pokoju, a raczej klitki, Juanitę do drugiego, mnie do trzeciego – a może weszliśmy na przesłuchanie razem z Juanitą? – wszystko mi się pomieszało, zapamiętałem jednak panujący tam ponury rozgardiasz: skuci kajdankami aresztanci w cywilnych ubraniach, siedzący na ławce pod ścianą, meble w brudnych odcieniach żółci i brązu. Nie zmrużyłem oka od naszego ostatniego dnia na plaży. Było popołudnie albo wczesny wieczór, a może już noc. Usiadłem na krześle przy metalowym biurku, naprzeciw tłustej czterdziestoparoletniej urzędniczki o niemrawym wyrazie twarzy, pochylonej nad starym komputerem – czarny ekran, neonowozielone litery – która kazała mi zrelacjonować bieg wydarzeń. Beznamiętnie spisała moje zeznania, śmigając ciężkimi palcami po klawiaturze. Opowiedziałem wówczas po raz pierwszy o wypadku i śmierci Aury, prawdopodobnie wdając się w niepotrzebne szczegóły, urzędniczka notowała jednak wszystko

jak leci, przynajmniej tak mi się wydawało. Wciąż miałem na sobie strój kąpielowy, koszulkę i sandały. Kiedy siedzieliśmy w poczekalni *delegación*, trząsałem się z zimna. Teraz zrobiło mi się gorąco. Po zakończonym przesłuchaniu poprosiła mnie o dowód tożsamości. Nie miałem przy sobie żadnych dokumentów. Paszport zostawiłem na plaży, w wynajętym domku w Mazunte. W portfelu znalazłem tylko kartę kredytową. Ponieważ nie okazałem dowodu, kobieta za biurkiem oświadczyła, że moje zeznanie jest nieważne. Tyle pisania na nic.

Juanita, powiedziałem w słuchawkę, przecież złożyłem wyjaśnienia. Byłaś tam ze mną. W *delegación*. Nie uznali moich zeznań, bo nie miałem przy sobie dokumentów. Zostawiłem paszport w domku w Mazunte.

Cedząc każde słowo – znałem ten ton, szyderczy i pełen sarkazmu – Juanita odparła, *ayyy*, jaka ładna historyjka. Jaka ładna historyjka. (*Qué bo-niii-ta his-tooo-ria*). Nie miałeś paszpoortu. Zostawiłeś go na plaaazy. Możesz teraz opowiedzieć tę historyjkę sędziemu i adwokatom.

Juanita, powtórzyłem. O co ty mnie oskarżasz?

Szczerze ci radzę, odpowiedziała, lepiej uciekaj z kraju, dla własnego dobra.

Nie mam zamiaru uciekać z kraju, odparłem. Nie mam powodu, żeby uciekać z kraju.

Prawnicy uniwersyteccy chcieli cię aresztować i natychmiast wsadzić za kratki, mówiła coraz szybciej. Ale ich powstrzymałam. Wystąpiłam w twojej obronie. Nie chcę cię widzieć ani z tobą rozmawiać, przynajmniej dopóki trwa śledztwo. Mój brat reprezentuje mnie jako adwokat. Od tej pory, jeśli masz mi cokolwiek do powiedzenia, skonsultuj to najpierw z nim.

Była to moja ostatnia rozmowa z matką Aury. Skoro tylko

odłożyłem słuchawkę, zadzwoniłem do Leopolda, żeby spytać go, o co chodzi. Dlaczego Juanita zwraca się do mnie tym tonem? Krótka wymiana zdań z Leopoldem, również ostatnia, skończyła się stwierdzeniem, żeby odtąd przekazywać mu wszystko na piśmie; potem połączenie zostało przerwane. Jeszcze tego samego wieczoru, a może nazajutrz, Juanita zadzwoniła do Fabioli i kazała jej trzymać się ode mnie z daleka, dopóki trwa śledztwo; w przeciwnym razie może się znaleźć na liście podejrzanych. Fabis wypadła z mieszkania, pobiegła do nas i zapukała do drzwi. Była w szoku, wyglądała jak ktoś, kto cudem uniknął śmierci w wypadku samochodowym; trzęsła się na całym ciele, z trudem powstrzymywała łzy i ledwie zdołała wykrztusić, co ją przed chwilą spotkało. Zadzwoniła do matki. Odette wpadła w furję. Tamtego wieczoru zabrała nas oboje na kolację do zatłoczonej restauracji, gdzie wszyscy mogli się przekonać, że nie mamy nic do ukrycia.

21.

Wrażenie, że mózg mi przecieka, że sny wylewają się z niego w pełne światło dnia. Zmęczenie, które ogarnia umysł niczym dłoń w starej rękawiczce ze miękkiej skóry, delikatnie, lecz nieubłagane, wyraźnie czuć nacisk obejmujących go palców. Budzę się o trzeciej albo czwartej nad ranem i zamiast rozpaczliwie gapić się w ciemność, zapadam w kolejną drzemkę pełną koszmarów; by za chwilę zerwać się zlanym potem i uświadomić sobie z ulgą, że to tylko sen. Wygrzebuję się wreszcie z pościeli, odrzucam poduszkę, którą nakryłem sobie głowę, wstaję z łóżka roztrzęsiony i wyczerpany, udręczony gonitwą myśli, przekopując się z trudem przez zwały scen i obrazów, które płyną przeze mnie nierównym strumieniem.

Aura była niebieska jak lody na patyku albo jak jeden z mrożonych lizaków, które przyrzadziła kiedyś z płynu do czyszczenia, ale nie było jej zimno, zwinęła się przy mnie w kłębek, zbliżyła powolutku, żeby mnie pocałować, i wtedy zerwałem się ze snu. Potem trafiłem do działu przecen w jakimś domu towarowym i w pudle ze sklejki znalazłem wystawione na sprzedaż sukienki Aury, schludnie poskładane w kostkę i opakowane w szeleszczący papier; rozpoznałem jedną i wyjąłem, potem drugą i trzecią, i znów się obudziłem ze wzrokiem utkwionym w ciemność. Śniło mi się, że byłem z nią kiedyś na randce w Parque Chapultepec, a teraz chciałem do niej zadzwonić i znów ją zaprosić na spacer, ale zapomniałem jej imienia. Jak się nazywa ta przemiła, inteligentna

młoda kobieta? Zachowałem jednak w pamięci twarz, a zwłaszcza śliczne piegi na nosie. Z tego snu obudziłem się uśmiechnięty. Jakby to imię wyleciało mi z głowy przez kolejną z jej nadprzyrodzonych sztuczek.

* * *

Przypominające tort weselny gzymsy pod sufitem, anioł, suknia ślubna i ołtarzyk; zawieszane na ścianie błyszczące meksykańskie serce z młotkowanej blachy; jej biurko, jej książki, jej komputer, pojemnik pełen ołówków, czekoladowe serce na walentynki, wełniane koty z Chiapas, o pustych oczach komiksowej Sierotki Annie; lampki nocne, każda z innej parafii, kupowane w okolicznych antykwariatach, jedna z czerwonym abażurem i namalowanym na ceramicznej podstawie kogutem; zabawka Robosapien na sekretarzyku z ciemnego drewna; jej ubrania w komodach, jej kosmetyki i perfumy; długie, ręcznie zaciągane zasłony, ledwie przepuszczające światło; bulgotanie, syk pary i radośnie trąbiące słoniki w żeberkach kaloryferów, dzięki którym pokój zrobił się jeszcze bardziej przytulny, grzejnik przenośny, brzęczący mi nad uchem w te ciemne zimowe tygodnie po wypadku, kiedy leżałem jak kłoda na naszej wielobarwnej narzucie. Jej książki, jej bibeloty, jej muzyka, wciąż unoszący się w powietrzu jej zapach, a w każdym razie woń jej rzeczy w nagrzanym mieszkaniu. Przebudzenie na dźwięk opon skrzypiących po nocnym śniegu, startujących samolotów i przejeżdżającego z łoskotem pług śnieżnego.

Pewnego wieczoru obserwowałem, jak próbuje wywabić kota, dzikiego albo zabłąkanego, spod samochodu zaparkowanego przy Degraw Street, przykucnęła w zimowej kurtce puchowej, cmokała

i gruchała przymilnie, machając rękawicą przed nosem przyczajonego zwierzaka; upłynęło z dziesięć minut, zanim czarno-biały kot wypełził spod wozu i dał się wziąć na ręce; od razu się oswoił i ufnie przewiesił łapy przez jej ramię. Posłuchaj, jak mruczy! Kiedy podszedłem bliżej, obrzucił mnie wrogim spojrzeniem. Francisco, powiedziała, weźmy go do domu, na co odparłem, Aura, nie, w naszym mieszkaniu nie wolno trzymać zwierząt, przecież wiesz, po czym dodałem, zresztą jest dziki i pewnie roznosi jakieś choroby, nie, O-rra, nie możemy go wziąć.

* * *

Przykro mi, że nie przeprowadziliśmy się do innego mieszkania, przykro mi, że nie mieliśmy psa ani kota, przykro mi, że nie wynajęliśmy lokalu piętro niżej, kiedy była okazja, bo moglibyśmy tamtego lata zostać w Nowym Jorku i zająć się ogrodem, zamiast jechać do Meksyku – pisałem o tym wszystkim w kolejnych e-mailach do Aury. Przykro mi z powodu twojej matki. Przykro mi, ale nie wiem, co począć z tym fantem. Przykro mi, że nie umiałem jej pomóc. Co powinienem był dla niej zrobić – rzucić się z mostu Brooklyńskiego? Kiedy wróciłem do Meksyku prawie rok po wypadku, dowiedziałem się, że wszyscy na uniwersytecie obwiniają mnie o twoją śmierć. Że ilekroć ktoś wspomni o tobie, o mnie albo o nas, pada sakramentalne, ooch, przecież nikt nie wie, co się tam naprawdę wydarzyło. Coś na pewno się stało, mówią, ale nikt nie wie co, wszystko to strasznie tajemnicze. Przecież wiadomo, że nawet nie złożył oficjalnego zeznania; uciekł z kraju, zanim zdążyli go przesłuchać, bardzo podejrzane. Nawet twój ojciec chrzestny, profesor literatury i poeta, powtarza te bzdury, bo się boi twojej matki i Leopolda, który ma duże wpływy na uniwersytecie. Mało tego, odmówił udziału w ceremonii pamiątkowej

zorganizowanej przez twoich kolegów przeszło rok po wypadku, bo i mnie tam zaproszono; muszę być lojalny wobec Juanity, powiedział. Żeby okazać lojalność Juanicie, twój ojciec chrzestny odmówił przeczytania choćby jednego wiersza, wygłoszenia choćby krótkiej mowy na twojej ceremonii pamiątkowej, bo i ja miałem tam być, a on musiał zachować lojalność wobec twojej matki. Właściwie dlaczego mam do nich pretensję, że im odbiło? Czemu nie mieliby ulec tej fali oskarżeń i nienawiści? Powinienem przynajmniej spróbować ich zrozumieć, może nawet im współczuć; pewnie i tak nic więcej nie da się zrobić.

Ostatnią lekturą Aury, rozpoczętą w mieście Meksyku i skończoną dzień przed naszym wyjazdem nad morze, była powieść Onettiego *Krótkie życie*, miałem ją teraz u siebie na Brooklynie, ale nie mogłem się zebrać, żeby do niej zajrzeć. Przeczytałem za to *Przegranego* Thomasa Bernharda i *Pod wulkanem*, obydwie z podkreślonymi jej ręką zdaniem i notatkami na marginesach. Byłem rad, że znów mogę czytać prozę, po tylu miesiącach wertowania książek o śmierci i żałobie oraz dzieł, dzięki którym miałem nadzieję wejść w świat radykalnej psychoanalizy i francuskich zakładów dla nerwowo chorych z powieści Aury. Pewnego dnia wziąłem do ręki broszurowe wydanie *Pnina*, podążyłem czarodziejskim szlakiem uwag spisanych przez Aurę zielonym atramentem i nie zdążyłem nawet wyjść poza pierwszy rozdział, a już sobie wyobraziłem wzbierający w niej śmiech i nieuchronne parsknięcie przez półotwarte usta, kiedy doszła do fragmentu, w którym nieszczęsny Pnin zdał sobie sprawę, że pomylił pociągi w drodze do Cremony; następny przystanek na śmiech w scenie z wiewiórką, która nakłania Pnina, żeby nacisnął przycisk poidełka. Aura brała niektóre wyrażenia

w cieniutkie zielone nawiasy, na przykład „szumiący wiatr” albo „w srebrzystym słońcu”, i notowała obok schludnym pismem „pogoda”. Po co pisać „pogoda” przy każdym opisie pogody w powieści? Ja znałem przyczynę. W ramach swoich zajęć Słynny Australijski Pisarz kazał studentom prowadzić dziennik pogody. Obserwowanie pogody, pisanie o pogodzie to wcale nie takie proste. Proszę zwrócić uwagę na rolę pogody w literaturze. W tamtym semestrze dzień w dzień – przygotowując się jednocześnie do obrony pracy doktorskiej – Aura sumiennie notowała swoje spostrzeżenia na temat pogody. Dowiedziałem się później od Wendy, że tylko dwie osoby z ich roku prowadziły regularne wpisy w tych dziennikach: ona i Aura.

To szczególne wspomnienie-dożnanie, że Aura śmieje się we mnie, było czasem jak święty dar. Nie nastawiałem się na ten śmiech, bywało jednak, choćby podczas lektury Pnina, że zjawiał się nagle, jakby przybywał ze świata duchów. Mogłem wówczas wciągnąć koniuszki warg, tylko tyle, żeby policzki się troszkę odęły, a potem utrzymać ten grymas, jakbym trzymał w ustach dwa gorące, obrane ze skorupki jajka na miękko, co kojarzyło mi się niezmiennie z odprężonym uśmiechem Aury, z jej codziennym, łagodnym wyrazem twarzy, nie tyle z trójwymiarowym nałożeniem jej rysów, ile z przejściem niektórych cech jej usposobienia, znacznie miłszego i pogodniejszego niż moje. Wciąż wodziłem kciukiem u nasady palca serdecznego, spodziewając się dotknąć obrączki; była za luźna, więc przy wyrzucaniu śmieci do kosza musiałem ją przytrzymywać; napady paniki, ilekroć wyczułem jej brak na palcu, ustępujące w mig na upomnienie od zdziwionego mózgu – J e s z c z e się nie nauczyłeś? Z n ó w muszę ci przypominać? – że obydwie nasze obrączki nawlokłem na łańcuszek i powiesiłem sobie na szyi.

Przez kilka tygodni po moim wypadku próbowałem też czytać od nowa *Lorda Jima*: doszedłem do wniosku, że czas pójść w ślady protagonisty, zniknąć ze wstydu, że moje życie legło w gruzach, zaszyć się w jakimś ustronnym, nieprzyjaznym miejscu, gdzie mógłbym zacząć wszystko od początku. Czułem się jednak przytłoczony tą książką, nękającym jej bohaterów lękiem przed śmiercią, ich groteskowymi zachowaniami, które nie zasłużyły nawet na miano tchórzostwa; nieśmieszni klauni, szykujący szalupy w pocie czoła, pod osłoną nocy, żeby uciec z parowca przewożącego malajskich pielgrzymów, który w ich przeświadczeniu szedł na dno, wpadający na siebie nawzajem, jeden z nich tak spanikowany, że traci przytomność i umiera na zawał, pamiętny skok Jima na szalupę – przypomniało mi to czas spędzony w szpitalu, kiedy mój ojciec, mniej więcej tydzień po wybudzeniu ze śpiączki, wyrwał sobie rurki do podawania tlenu i pokarmu, odłączył kroplówkę, przeskoczył przez poręcz łóżka i wylądował bokiem na podłodze, przebierając nogami w miejscu, podczas gdy próbowaliśmy go przytrzymać we dwoje z pielęgniarką, szpitalna koszula zadarła mu się nad pośladki, jego cienki, starczy kutas majtał się na wszystkie strony, szokujące doznanie, że ojciec miota mi się w rękach jak dzikie zwierzę, usiłując uciec przed śmiercią. Zamiast podziwiać jego wolę życia, czy cokolwiek to było, czułem wstręt, wstydziłem się go, a może n a p r a w d ę byłem w szoku – bo z pewnością wrażenie było wstrząsające – a wstyd ogarnął mnie później, kiedy pielęgniarki przywiązały go do łóżka, umocowały mu nadgarstki do poręczy skórzanymi pasami, jakby miały do czynienia z groźnym psychopatą. Owładnięci strachem przed śmiercią marynarze z *Lorda Jima* wzbudzali we mnie wspomnienia ojcowskiej hysterii. I przypomniałem sobie rozmowę z matką, kiedy usiedliśmy potem w sali szpitalnej – żadne z nas się nie spodziewało, że ojciec przeżyje

jeszcze pięć lat – i spytałem, dlaczego tata tak się boi umrzeć?, a matka odparła spokojnie, kto go tam wie, taki już jest twój ojciec. Przecież wiesz, zawsze był hipochondrykiem. Czyżby lęk przed śmiercią był jednym z przejawów hipochondrii? Kilka minut później, kiedy popadłem w swoją zwykłą szpitalną rutynę i zacząłem się gapić tępym wzrokiem w przestrzeń, matka zachichotała cichutko i powiedziała, nie boję się umrzeć, odrobinę zażenowana, z afektowaną pewnością w głosie. Ja też nie, odparłem, w każdym razie nie tak jak ojciec. Nie chodziło nam o to, że staniemy bez lęku w obliczu śmierci, raczej o nasz stosunek do umierania, o coś, nad czym przynajmniej matka chciała zachować kontrolę. Nie mlaskaj przy jedzeniu jak ojciec; nie siorb zupy jak ojciec; nie bij dzieci jak ojciec; nie unikaj pieprzenia się z żoną jak ojciec; nie panikuj i nie wąż się stchórzyć w obliczu śmierci jak ojciec. Wielu rzeczy się bałem, czy przez to upodobiłem się do ojca? Czy mój strach przed psami wiązał się jakoś z lękiem przed śmiercią? – pierwotny strach, że zostanę rozszarpany i pożarty przez dzikie bestie, puszczające nosem bańki z krwi, z pyskami unurzany w mojej posoce. Kiedy miałem mniej więcej trzy lata, zaszedłem psa od tyłu i szarpnąłem go za ogon, krótkowłosego szarego kundla z ogonem jak wąż kobra, pies się odwrócił, warknął, obnażył kły i rzucił się na mnie, wbijając mi zęby w rękę, a ja leżałem na podwórku, przygnieciony jego ciężarem, i darłem się wniebogłoso, aż przybiegł sąsiad z grabiami. Do dziś zostały mi niewielkie blizny i od tamtej pory agresywne psy – choć przecież lubię te zwierzęta i kilka ich w życiu miałem – psy, które szczekają, warczą i rzucają mi się do gardła, wyzwalają we mnie strach, podnoszą poziom adrenaliny, wpadam w panikę, choć nauczyłem się z tym kryć; już jako nastolatek potrafiłem zachować pozory spokoju i oprzeć się pokusie ucieczki albo wdrapania na drzewo,

mimo że serce waliło mi jak młotem. Jakiś tydzień po śmierci Aury Odette i Fabiola zaprosiły mnie do swojego letniego domu w Malinalco, żebym odpoczął i trochę się wyspał. Codziennie chodziłem na długie spacery po zabłoconych ścieżkach wśród pastwisk i łąnów zbóż, wprawiając w zdumienie miejscowych rolników, którzy mijali mnie konno albo na piechotę i prawdopodobnie nigdy przedtem nie widzieli takiego faceta jak ja, w średnim wieku, o stosunkowo jasnej karnacji, wyraźnie nietutejszego, wędrującego po drogach z policzkami mokrymi od łez, bywało, że zanoszącego się płaczem jak dziecko – idę o zakład, że z pewnej odległości musiało to brzmieć jak śmiech, i pewnie dlatego farmerzy oglądali się za mną, żeby się przekonać, co mnie tak rozbawiło. Właśnie podczas tych spacerów uświadomiłem sobie, że psy, które się za mną uganiają, stają mi na drodze samotnie albo watahą, odsłaniając zęby i warcząc, albo wściekle ujadają zza mijanych bram i ogrodzeń, nie budzą już we mnie strachu, że to, co kiedyś uruchamiało w moim ciele głośny alarm, przestało mnie w ogóle obchodzić.

Ostatniej nocy, długiej nocy przed śmiercią, Aura musiała zdawać sobie sprawę, że umiera, a w każdym razie, że wszystko na to wskazuje. Teraz bałem się czeluści, z którą tamtej nocy Aura zmierzyła się całkiem samotnie, beze mnie, bardziej się jej bałem niż czegokolwiek przedtem, kochanie. Nie potrafiłem nawet się do niej zbliżyć, zastanowić się nad nią bez poczucia, że moje ciało reaguje jak w obliczu zagrożenia przez psy, płaszcząc się, kuląc w sobie, a zarazem pchając mnie naprzód, czasem bez przekonania, z półprzymkniętymi oczami, zaschniętym i ściśniętym gardłem, za bardzo. Co ona czuła, co wiedziała, jak to było, co sobie myślała? Samotne przerażenie, które musiało ogarnąć ją tak intymnie, że ani mnie, ani nikomu innemu nie udało się dotknąć, ani sięgnąć w głąb

tak daleko, że nie chciałym albo najzwyczajniej nie potrafiłym sobie tego wyobrazić. Nawet wówczas, kiedy ten sanitariusz powiedział, mało pan nie umarł, nic z tych rzeczy, bo przecież wtedy niewiele mnie to obchodziło, albo po prostu nie chciało mi się w to wierzyć, a wiem, że Aurę obchodziło i że na pewno w to wierzyła. Tamtej nocy, kiedy musiała być bardziej przerażona i czuć się samotniej, niż umiem to sobie wyobrazić, mogła też mnie osądzić. Co sobie o mnie pomyślała, mogło być jednym z ostatnich przebiegów jej świadomości.

Fue una tontería, powiedziała Aura do matki o drugiej nad ranem w mieście Meksyku, kiedy wynieśli ją z karetki i przekazali na ostry dyżur. *Una tontería*: bezmyślność, głupota, wręcz idiotyzm, właśnie tak to ujęła Aura. To były ostatnie słowa, jakie od niej usłyszałem, wypowiedziane rozmyślnie zawadiackim tonem, charakterystycznym dla jej rozmów z matką – tonem dzielnej obozowiczki. Jak spędziłam wakacje? Migdałac się z Duńczykami, *mami*. *Fue una tontería, mami*. *Moja tontería?* Tego nie powiedziała, w żadnym razie. Nie brzmiało to, jakby zamierzała kogokolwiek obwiniać. Brzmiało to jak wyznanie dumnej ze swego wyczynu bohaterki. Pamiętam jej matkę, stojącą ze skrzyżowanymi ramionami, bladą jak płótno, patrzącą na mnie oskarżycielskim, pełnym nienawiści wzrokiem, w końcu trudno się dziwić. Przywieźli córkę do domu w takim stanie, sparaliżowaną od szyi w dół po nieszczęśliwym zderzeniu z falą. Ale to mgliste wspomnienie, być może tylko próba odtworzenia tamtej sytuacji w wyobraźni. Niewykluczone, że nawet nie zauważyłem Juanity, że nie zwróciłem uwagi na to, co do mnie mówi, kiedy odprowadzałem Aurę do szpitala dwanaście godzin po wypadku. Może w tamtej chwili nie zaprzętałem sobie głowy jej matką, może po prostu pamięć mnie zawodzi, może zdusiłem w sobie to wspomnienie, bo Fabis

twierdzi, że doskonale pamięta, jak zareagowałem na słowa Juanity: popatrzyłem na nią osłupiały, jakbym chciał spytać, dlaczego to powiedziałaś? – ale nie odstępiałem ani na krok od Aury. Dopiero Fabis przekazała mi zdanie, które padło z ust Juanity, kiedy jej córkę wieziono do szpitala, gdzie miała nazajutrz umrzeć. *Esto es tu culpa*. To twoja wina.

Był taki tydzień w 2005 roku, wiele miesięcy przed ślubem, kiedy Aura noc w noc nie spała, zadreęczając się myślą, że nasz związek skaże ją na koszmar wczesnego wdowieństwa. Ilekroć się budziłem, leżała przy mnie wpatrzona w ciemność, jej gorący, bezsenny oddech kojarzył się z rozpalonym, otwartym na oścież piecem, skóra parowała. Gdyby się tak logicznie nad tym zastanowić, umrę co najmniej dwadzieścia lat przed nią. Czy nie powinna pójść po rozum do głowy, oszczędzić sobie tej udręki? Rozmawialiśmy o tym nieraz. Mówiłem jej, nie martw się, *mi amor*, nie zamierzam żyć na tym świecie dłużej niż siedemdziesiąt pięć lat, obiecuję. Będiesz wtedy ledwo po pięćdziesiątce, wciąż piękna i pewnie już sławna, idę o zakład, że jakiś młodszy facet zechce się z tobą ożenić. Obiecujesz? – spytała i trochę się rozchmurzyła, a przynajmniej sprawiała takie wrażenie, więc jej obiecałem. Lepiej dotrzymaj słowa, Francisco, powiedziała, bo nie chcę zostać samotną starą wdową albo skończyć jak twoja matka; zdawała sobie sprawę, ile sił kosztowała matkę opieka nad moim ojcem. Jeśli nawet nie umrę jako siedemdziesięciopięciolatek, odparłem, możesz mnie zostawić, oddać dokądś na przechowanie i żyć własnym życiem, naprawdę, wcale się tym nie przejmę. Jeśli tylko zostaniemy rodzicami, nie będę się tym przejmował. Urodź mi dziecko, wystarczy mi jedno. A ona rzekła, w porządku, ale ja chcę pięcioro. Albo może troje. W takim razie przeprowadźmy się do Meksyku, powiedziałem, żeby

mogły studiować na UNAM. I tak miałem nadzieję przenieść się do Meksyku; to Aura, przynajmniej wtedy, wolała zostać w Nowym Jorku. Pewnego popołudnia tamtej ostatniej wiosny, wkrótce po swoich trzydziestych urodzinach, Aura spojrzała na mnie znad biurka, kiedy leżałem w łóżku z książką, i oznajmiła, mamy wszystko, czego nam potrzeba do szczęścia. Nie musimy być bogaci. W razie czego znajdziemy sobie pracę na uniwersytecie. Mamy swoje książki, możemy czytać, pisać, mamy siebie nawzajem. Frank, nie potrzeba nam więcej do szczęścia, mamy nieprawdopodobnego farta. Wiesz, jakiego mamy farta?

Innego dnia, pod koniec tamtej ostatniej wiosny, Aura powiedziała, że nie ma zamiaru iść w ślady innych kobiet po trzydziestce, które myślą tylko o tym, żeby zachować figurę dwudziestolatki; jej nie przeszkadza, że będzie *rellenita*, trochę przykości, czy mam coś przeciwko temu?

Esto es tu culpa. To twoja wina. Czy w tę ostatnią długą noc Aura choć raz sobie tak pomyślała? Że to moja wina? To nie była moja wina. Oczywiście, że to była moja wina. Czy byłbym w stanie żyć dalej, gdybym naprawdę uważał, że to moja wina? Pewnie tak, byłbym w stanie żyć dalej, gdybym tak samo bał się śmierci jak kiedyś psów. Sęk w tym, że przestałem się bać.

W tych pierwszych tygodniach śmierci, jestem tego całkiem pewien, Aura dawała mi znać o swojej obecności, nawet mi się ukazywała. Potem jednak sam sobie wmówiłem, powodowany racjonalnym, nowojorsko-nowoangielskim sceptycyzmem, że nie wierzę w duchy. Nie wierzyłem, że Aura kiedykolwiek wróci i usiądzie na swoim Podróżnym Krześle albo że wejdę kiedyś do mieszkania i zastanę ją

na środku sypialni, w sukni ślubnej, całkiem skołowaną, nieumiejącą wyjaśnić, gdzie i jak długo się podziewała. Te początkowe epizody, próbowałem się przekonywać, były tylko wypadkową szoku i tęsknoty. Na przykład gdziekolwiek się znalazłem w pierwsze dni po śmierci Aury, tam słyszałem jej ulubione piosenki Beatlesów: *Octopus's Garden* puszczone na cały regulator z jakiegoś samochodu, akurat w chwili, kiedy wchodziliśmy do domu, w którym mieszkali Yosh i Gaby, i gdzie tamtego wieczoru zebrali się nasi wspólni znajomi, między innymi z Nowego Jorku; *Lovely Rita*, kiedy utknęliśmy w korku, jadąc do zakładu pogrzebowego Gayosso; *Lucy in the Sky* w supermarkecie, gdzie kupowaliśmy alkohol w drodze powrotnej; przez kilka następnych dni zdarzały się sytuacje, które wprawiały wszystkich w osłupienie, komentowane przez meksykańskich przyjaciół Aury ze znaczącym błyskiem w oku. Czyżby Aura porozumiewała się z najbliższymi za pośrednictwem piosenek Beatlesów? Beatlesi nigdy nie wyszli z mody w Meksyku: słychać ich dosłownie wszędzie. Więc może nie był to szczególnie zaskakujący zbieg okoliczności?

Trzy dni po jej śmierci siedziałem w jednym z pierwszych rzędów na koncercie na placu Zócalo, dokąd zabrał mnie jakiś znajomy – ludzie bez przerwy gdzieś mnie ciągnęli – a gdy wokalista zadedykował Aurze piosenkę, spojrzałem w górę i zobaczyłem na tle nocnego nieba świetlistą twarz mojej żony, unoszącą się nad sceną i stuletnimi zabudowaniami wokół Zócalo, jakby zamkniętą we własnej kuli księżycowego blasku, rozjaśnioną przeuroczym, podekscytowanym, pełnym miłości uśmiechem, który odwzajemniłem, po czym oczy zaszyły mi łzami i wizja znikła. Tamtego wieczoru czułem, że Aura mnie kocha, i byłem jej za to wdzięczny, ale też doszedłem do wniosku, że śmierć ma dla niej

magiczny urok nowości, że Aura wciąż jeszcze nie zdaje sobie sprawy, co to naprawdę oznacza. Dwa razy budziła mnie w środku nocy, sadowiąc się na mnie bezcielesnym ciężarem, jej obnażone jędrne piersi wprawiały mnie jak zwykle w nieśmiałą ekstazę, bo chyba nawet młoda Marilyn Monroe nie miała tak wspaniałego i obfitego biustu jak Aura, zawsze mnie to zdumiewało, pewnie dlatego, że Aura nie obnosiła się z tym darem natury, próbowała się wręcz z nim chować. Och, i to słodkie jak miód spojrzenie, kiedy spytała swoim zwyczajem *¿Quieres hacer el amor?* Z jakim zapamiętaniem waliłem konia w naszym łóżku przez te pierwsze samotne tygodnie, z ponurą furią, nienawiścią do samego siebie, ze wściekłym zamiarem, żeby wyrzucić-to-kurwa-z-siebie-aż-do-końca, niczym beznadziejnie jurna małpa albo zdemenciały psychotyk z domu wariatów; obrzydliwe. Matka kolegi umówiła mnie na wizytę u psychoanalityka tanatologa – eleganckiej pół Żydówki, pół Meksykanki, która była również zagorzałą buddystką. Przepisała mi środki nasenne. To ona wprowadziła mnie w buddyjską praktykę wizualizowania niedawno zmarłych bliskich w kuli białego światła, żeby pomóc im odejść i odnaleźć spokój. Pewnego razu, kiedy się na tym skupiłem, zobaczyłem Aurę, która rozpaczliwie próbowała do mnie wrócić, wyciągając ramiona w proszącym geście; sprawiała wrażenie samotnej i przerażonej perspektywą „rozpłynięcia się w świetle”. Kilka dni później, kiedy poszedłem na siłownię poćwiczyć na rowerze stacjonarnym, znów ujrzałem Aurę. Stała w kącie sali, przezroczysta jak duch, a mimo to niezwykle wyraźna, zagubiona i zdezorientowana, jakby wreszcie do niej dotarło, czym naprawdę jest śmierć, wymachiwała rękami jak poprzednio, kiedy ukazała się w kuli białego światła, błagała o pomoc, żebym nie pozwolił jej zniknąć, tym razem jednak ze zwierzęcą paniką w oczach.

Podaję, że niejedyn zgorzylby się na wieść, że dwa tygodnie po śmierci Aury pojawiłem się znów w swojej ulubionej siłowni w dzielnicy Condesa, w dodatku po to, żeby poćwiczyć na rowerze stacjonarnym, w towarzystwie kobiet chcących zrzucić parę kilogramów oraz gejów w typie drugorzędnych aktorów serialowych. Każdy by pomyślał, kurwa, co za żalony *fresa*. Z odejściem Aury zawałił mi się jednak cały porządek dnia; była to jedna z nielicznych form aktywności, na jakie byłem w stanie się jeszcze zdobyć. Ćwiczenia na rowerze, godzina ostrego pedałowania w rytm dudniącej muzyki, pozwalały przynajmniej na tyle się zmęczyć, żeby potem choć odrobinę się przespać, a w każdym razie wypocić kaca. Pewnego wieczoru, w środku zajęć, pedałowując, ile sił w nogach, pomyślałem sobie, cóż to za nowa, okropna sensacja w ciele? Gdzieś w środku, między mostkiem a kręgosłupem, poczułem coś jakby twardej prostokąt, wypełniony letnim, bezbarwnym powietrzem. Pusty prostokąt o bokach z dachówek albo ołowianych prętów, tak go sobie zwizualizowałem, zatrzymujący martwe powietrze, stęchłe jak w szybie windowym wewnątrz opuszczonego budynku. Pomyślałem, że wiem, co to jest, i powiedziałem sobie, ludzie, którzy cały czas tak się czują, popełniają w końcu samobójstwo. Chciałem po prostu zsiąść z roweru i uciec albo skulić się na podłodze w pozycji płodowej, albo wyciągnąć rękę i zawołać pomocy. Mimo to pedałowalem bez wytchnienia, w rytm muzyki i poleceń instruktora, aż wypełniony martwym powietrzem prostokąt stopniowo zniknął. Nie czułem się potem dobrze, minęło jednak wrażenie absolutnej pustki i lęku pożerającego mnie od środka z geometryczną precyzją, niczym matematyczny dowód na bezsens życia, mojego życia.

To wrażenie dość często powraca, ale jak do tej pory zawsze mija. W pierwszych tygodniach i miesiącach po śmierci Aury miałem

poczucie bezcelowości i absurdu wszystkiego, co robię. Co wieczór szukałem kompanów do kieliszka; przyjmowali to ze zrozumieniem i pili ze mną chętnie, jak to Meksykanie, oczywiście nie każdej nocy, na zmianę, tylko ja chlałem na umór, jakbym chciał, żeby zamiast krwi popłynęła mi w żyłach tequila. Ciche, półprzytomne dni na kacu. Najpierw na siłownię, potem do knajpy. Pewnego razu, dobrze po północy, kiedy nie miałem już z kim pić, a zamierzałem się jeszcze doprawić, tylko że wszystko było już pozamykane, poszedłem do El Closet, renomowanego lokalu ze striptizem i tańcem erotycznym na stole – tak zwanym *un teibol* – otwartego do świtu albo i dłużej. Przestałem tu zaglądać, odkąd poznałem Aurę. Wspiąłem się po schodach, mijając po drodze kuchnię, gdzie zdarzało nam się szpiegować jedzące w pośpiechu *teiboleras* w błyszczących stringach, dotarłem na kolejne piętro, stanąłem w progu ciemnego holu, skąd prowadziły wejścia do pomieszczeń burdelowych, i ku swojemu zaskoczeniu ujrzałem Blancę, krępą, brzydką kobiecinę, która doglądała tych pokoików – przynosiła prezerwatywy i ręczniki, później sprzątała po gościach – w tym samym co zawsze, rozchełstany biały fartuch i zdefasonowanym czarnym swetrze z guzikami. Blanca spojrzała na mnie spode łba i wykrzyknęła *¡Pero Fraaank! ¡Esto es PECADO! ¡Tu estás CASADO!* To GRZECH! Jesteś ŻONATY! Nie dość, że po tylu latach pamiętała, jak mam na imię, to jeszcze doszły ją wieści, że znalazłem sobie kochającą żonę, mało tego, naprawdę się tym wszystkim przejęła. Aż mnie zatkało, zapomniałem języka w gębie. Kiedyś widziałem, jak Blanca wraca do domu o dziewiątej rano, po wreszcie skończonej pracy w El Closet, zgarbiona, przysadzista, wlokąc się noga za nogą po ocienionych drzewami ulicach Condesy, pewnie na przystanek metra, które miało ją powieźć do jakichś slumsów w barrio na obrzeżach miasta – ta kobieta gnom,

wykonująca robotę najpodlejszą z możliwych, ucieszyła się na wiadomość o moim małżeństwie z Aurą, ucieszyła się z mojego powodu. „Ten mężczyzna powinien się ożenić, bo będzie dobrym mężem”. Czy Blanca naprawdę tak myślała, obserwując mnie w El Closet? A teraz, po pięciu latach, kiedy znów mnie zobaczyła na tych samych schodach, wpadła w furję, bo rozwiałem jej złudzenia. *¡Tu estás CASADO!* Blanca, odezwałem się wreszcie, jest zupełnie inaczej, niż myślisz, słowo daję, wpadłem tylko na drinka, po czym skręciłem do klubu.

Usiadłem w rogu, z dala od sceny. *Las teiboleras* siedziały jak zwykle przy stolikach i na ławach pod ścianami, we własnym gronie, rozmawiając między sobą, próbując jakoś wytrwać do końca tej nudnej zmiany, od czasu do czasu rozglądając się za klientami, którzy sprawiali wrażenie, jakby warto ich było nagabnąć o drinka, zaproponować im taniec erotyczny, a może nawet coś więcej; co rusz któraś wstawiała, żeby ogarnąć parkiet wzrokiem somnambuliczki albo pójść do garderoby, kiedy zbliżała się pora jej występu. Niektóre siedziały przy stolikach z klientami albo tańczyły dla nich w dyskretnym półmroku zakamarków sali. Kelnerzy w białych koszulach i czarnych spodniach krążyli niezmiernie między stolikami, namawiając klientów do kupowania drinków tancerkom; kobieta w średnim wieku, z tacą na szelkach, sprzedająca papierosy, słodycze, pluszowe maskotki i tanie perfumy; dziewczyny w niegustownych mundurkach uczennic, które oferowały klientom bilety na taniec erotyczny i przyprowadzały im zamówione *teiboleras*. Czasem któraś z tancerek szła z klientem na zaplecze, do pokojów Blanki. Na scenie, którą ledwo widziałem z tej odległości, jakbym patrzył przez lunetę z odwrotnej strony, *teiboleras* po kolei robiły swoje: tańczyły, ściągały górną bieliznę, rzucały nią w klienta, niektóre zdejmowały też majtki, wiły się

na podłodze, uprawiały swoją gimnastykę na rurze. Tanie perfumy, dymny zapach kobiety, gorące i ciężkie powietrze, intymna emanacja wszechobecnego nastroju rozpasania i lubieżności. W najbardziej samotnych latach mojego życia, tych po Z i sprzed Aury, fantazjowałem czasem, że ożenię się z teibolerą. Niektóre dziewczyny zarabiały w ten sposób na chesne. Kiedyś, w innym klubie erotycznym, poznałem teibolerę, która studiowała literaturę na UNAM, rozmawiała ze mną o Dostojewskim i Rimbaudzie, poprosiła mnie nawet, żebym po powrocie do Nowego Jorku przesłał jej egzemplarz *Finnegans Wake*, bo w Meksyku nie można tego dostać, i zrobiłem to, ale więcej się do mnie nie odezwała, podała mi chyba fałszywy adres, w Las Portales, i chyba naprawdę nazywała się inaczej; podejrzewałem to, ale i tak wysłałem jej książkę. Dawno temu w El Close wzięłem na stronę kobietę handlującą drobiazgami z tacy na szelkach, znaną wszystkim jako Mami, i spytałem ją, która z akurat występujących dziewcząt nadawałaby się na żonę. Mami potraktowała mnie poważnie, powiodła wzrokiem po teibolerach, zwróciła się do mnie z szelmowskim uśmiechem emerytowanej *puta* i odparła, *ninguna*. Żadna.

Tamtej nocy papierosy sprzedawała jakaś inna kobieta, nie Mami, nie rozpoznałem też żadnej z tancerek sprzed pięciu lat; odkąd poznałem Aurę, sporo się tutaj zmieniło. Zlekceważyłem wszelkie nagabywania o drinka i dałem dziewczynom jasno do zrozumienia, że nie szukam ich towarzystwa. Po chwili jednak przysiadła się do mnie młoda kobieta w czerwonej bieliźnie, o szczupłych, kredowobiałych ramionach, długich czarnych włosach, uroczej twarzy z przykrytymi grubą warstwą makijażu śladami po trądziku, i powiedziała miękkim głosem, obserwuję cię od pewnego czasu. Czemu jesteś taki smutny? Odparłem, że stało się coś strasznego, ale

nie chcę o tym rozmawiać, wolałbym napić się w samotności. Mimo to próbowała pociągnąć mnie za język, pamiętam, jak mówiła, że ma dziewiętnaście lat, co pewnie było kłamstwem, że jest protestantką i pracuje tu tylko dlatego, żeby utrzymać swoją córeczkę, a skądinąd wiedziałem, że większość tancerek, w każdym razie Meksykanek, zatrudnia się w klubach ze względu na dziecko. Zanim wstała od stolika, zdążyła jeszcze powiedzieć, widzę, że jesteś człowiekiem szczerego serca. Wkrótce przytrafi ci się coś dobrego.

Podziękowałem jej za komplement i pomyślałem sobie, jakby nawiedził mnie anioł. Owszem, potrafiłem kochać ze szczerego serca, przynajmniej odkąd związałem się z Aurą. Niewykluczone, że złamane serce może być kiedyś zdolne do szczerzej miłości, ale moje roztrzaskało się na kawałki. Gdyby ta anielska teibolera zobaczyła mnie dzisiaj, jak sobie radzę dwa lata później, czy wciąż byłaby tego samego zdania co tamtej nocy? Czy cokolwiek zostało z mojego szczerego serca, kiedy miałem wypadek i w środku zimy zaszyłem się na kilka tygodni w domu? Czy ta przepowiednia w ogóle ma szansę się spełnić? Sęk w tym, że dziwki i teibolery w wielu sprawach się mylą.

Aura nie miała pojęcia, że kiedyś chodziłem do klubów z *teibol*. Sama też miała sekrety, które odkryłem dopiero po jej śmierci – z tym że nie tak obleśne, jak moje *teibol*, nic specjalnego, typowe wybryki okresu dojrzewania. Tylko nie wygadaj Frankowi, jakie było ze mnie ziółko, zaklinała Brasiego, swojego kolegę z Colegio Guernica, biorąc go na stronę w kantynie, dokąd chodziliśmy oglądać transmisje z mistrzostw świata w Niemczech, z Fadanellim i jego kumplami, między innymi Brasim, którego Aura nie widziała od lat. Co miała na myśli? Co chciała przede mną zataić? Kiedy wróciłem do Meksyku rok po jej śmierci, Brasi powiedział mi,

że w czasach licealnych Aura miała dwóch chłopaków naraz. Jeden z nich był najbardziej zarozumiałym wyrostkiem w klasie: przystojny, bogaty, zapalony sportowiec, straszny pozer, próżny jak wydmuszka – owszem, w Meksyku też się tacy trafiają. Jeśli wierzyć Brasiemu, chłopak kochał się w Aurze bez pamięci, a ona na każdym kroku robiła z niego idiotę: okłamywała go, stroiła sobie z niego żarty, przyprowadzała mu rogi, przekazywała dalej jego durne, zarozumiałe odzywki, wystawiała go nieustannie na pośmiewisko, z czego zupełnie nie zdawał sobie sprawy. Należało mu się, to prawda, ale *carajo*, potrafiła być naprawdę okrutna, przyznał Brasi, choć i tak zaśmiewał się do łez, mimo że od tamtej pory minęło co najmniej czternaście lat. Ten drugi chłopak nie mógł się z tym dobrze czuć. To był Dos Santos? – spytałem. Brasi powiedział, że nie wie, nie pamięta. Nie chciało mi się wierzyć, że Aura mogła się tak zachowywać, coś jeszcze musiało się za tym kryć. Ale Brasi znał Aurę od podstawówki, a teraz był profesorem filozofii na UNAM; byłem pewny, że sobie tego nie zmyślił. Aura, biedactwo, nawet mi nie wspomniała o Brasim, aż do tamtego wieczoru, kiedy wpadliśmy na niego w knajpie, jakby naprawdę się bała, że mi wygada, co wyprawiała jako piętnastolatka, jakby nie chciała, żebym się w ogóle dowiedział o jego istnieniu. Po śmierci Aury kilkakrotnie miałem do czynienia z ludźmi, którzy ją znali – choć przeważnie niezbyt dobrze – ludźmi, na których można się było napatoczyć między innymi w La Covadonga, tej przepastnej kantynie w Colonia Roma, która zrobiła się ostatnio tak modna, gdzie rówieśnicy Aury wyrastali jak spod ziemi, żeby się przedstawić, złożyć mi kondolencje, czasem podzielić się wspomnieniami. W niektórych pojawiały się sformułowania w rodzaju *contestaría*, pyskata, złośliwa, uszczypliwa, sarkastyczna, zdystansowana, powściągliwa. Jakby wszyscy znali taką właśnie

Aurę, choć za jej życia nigdy nie słyszałem, by ktokolwiek ją tak opisywał. Znajomi wspominali ją zwykle z pełnym czułości szacunkiem, jakby chcieli powiedzieć, och tak, Aura, bystra i dowcipna, ale lepiej było na nią uważać, chłopie, bo język miała ostry jak brzytwa. Zdarzało mi się tego doświadczyć na własnej skórze. Nie mów do mnie w sposób, w jaki twoja matka zwraca się do Rodriga, odparowywałem zwykle, czasem milkła speszona, innym razem potrafiła się wściekle odwinąć. Dobra, w takim razie nie bądź takim idiotą jak Rodrigo.

Najbliżsi przyjaciele wyrażali się jednak o niej zupełnie inaczej – koledzy z czasów licealnych, z którymi utrzymywała kontakty do końca życia, podkreślali, że była mądrą, nad wiek dojrzałą dziewczyną, wierną i kochającą partnerką. W Nowym Jorku, podczas studiów na Columbii i późniejszych studiów magisterskich w City College, miała opinię uroczej, nieśmiałej osoby, którą zawsze trzeba było namawiać, żeby zabrała głos na zajęciach. Sama cierpiała z tego powodu: w jednym ze swoich notatników nazwała się „spiętą, zastraszoną myszą”. Skąd taka zmiana? Może Aura kojarzyła swoje poprzednie wcielenie – kobiety zaczepnej, broniącej się przez atak, nieprzebierającej w słowach – z cechami odziedziczonymi po matce, wpojonymi przez matkę, bezpośrednio z nią związanymi. Nie chciała upodobnić się do swojej matki, podobnie jak ja nie chciałem upodobnić się do ojca. Jakby po przyjeździe do Nowego Jorku pozbyła się dawnej osobowości, zdjęła ją z siebie niczym kolczugę.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym wprost, choć może powinniśmy, bo kto wie, czy dobitna, szybciej ukształtowana samoświadomość nie wpłynęłaby jakoś na jej życie – energia kinetyczna naszych losów jest przecież tak mocno skondensowana, że reaguje na każdą, nawet najlżejszą zmianę – może skłoniłaby Aurę do podjęcia innych

decyzji i wyborów, może zniechęciłaby ją do lipcowych wakacji na plaży w Mazunte i przekonała do wyjazdu w jakieś zacisze, żeby popracować nad powieścią, może sprawiłaby, że oboje zostalibyśmy w domu, bo Aura postanowiłaby wcześniej zajść w ciążę i byłaby zbyt blisko rozwiązania, żeby wybierać się dokądkolwiek na wakacje, może doprowadziłaby do naszego rozstania; a gdybyśmy nawet znaleźli się tego dnia na plaży, może Aura weszłaby do wody godzinę później, bo w ten ostatni poranek zasiedziałyby się przy biurku w naszym domu nad morzem; a może Aura, pogrążona w rozmyślaniach – zastanawiając się, czy naprawdę to zrobiłam, naprawdę z siebie zdjęłam tę matczyną kolczugę? – wstałaby wolniej z leżaka i weszła do wody na tyle później, żeby ominąć tę falę, albo rozkojarzona, błędząc myślami gdzie indziej, zrobiłaby przed nią unik, zamiast ulec pokusie chwili – w ostatnim, śmiertcionośnym impulsie radości – i dać się jej porwać, tak jak ja dałem się porwać poprzedniej.

Jedyne, co się nie zmieniło przez ponad cztery lata naszego związku: ilekroć Aura przekroczyła limit dwóch, najwyżej trzech drinków, zaczynała recytować poezję. Rzecz jasna, czasem wychodziła daleko poza owe dwa, najwyżej trzy drinki, czy to ze mną, czy w towarzystwie swoich przyjaciółek, zwłaszcza Loli. Słyszała wśród znajomych z obyczaju telefonowania nazajutrz i przeproszenia ich ciężkim od wyrzutów sumienia, skacowanym głosem, na co odpowiadali, że nie ma za co przeproszać, że przecież nikt nie wylewał za kołnierz i wszyscy bawili się świetnie. Kiedy jednak Aura wypita za dużo ze mną, kończyła przeważnie na podłodze, zwinięta w kłębek w rogu pokoju, płacząc za ojcem. Nie miałam taty, zawodziła bełkotliwie, jakby wstąpił w nią duch małej dziewczynki. Tatuś mnie porzucił! Zostawił nas same! Nic go nie obchodziłam! I tak płakała, a ja dokładałem wszelkich starań,

żeby ją pocieszyć. Czasem mnie to drażniło: czy Aura naprawdę zamierza do końca życia płakać za swoim ojcem? Myślałem też ze zgrozą i litością, że poczucie odrzucenia zostawiło straszną wyrwę w jej duszy.

Tymczasem mój ojciec postanowił trzymać nas krótko i nikomu nie popuszczać. Siostry błagały matkę, żeby się z nim rozwiodła, zwłaszcza kiedy stosował wobec nas przemoc. Bił wprawdzie tylko mnie, siostry padały jednak ofiarą jego agresji słownej. Zabrakło im sił i determinacji, żeby uciec z domu tak daleko, jak powinny, bo czuły się bardzo związane z matką i nie chciały zostawiać jej samej; znęcał się nad nimi bez przerwy. Nie mam pojęcia, która z nich dwóch – czy ta trzykrotnie zamężna, bogata agentka nieruchomości, czy może biedna stara panna, recepcjonistka w hotelu Holiday Inn – z mocniejszym rozgoryczeniem przeklina teraz jego pamięć; która ma większą skłonność do paranoi, która jest bardziej wycofana i okaleczona emocjonalnie. Kiedy skończyłaś trzynaście lat, powiedziała do mnie matka, przestaliśmy cię widywać, ciągle włóczyłaś się po mieście z kolegami, a po szkole średniej przypadłaś na dobre. To prawda, mam, dzięki temu udało mi się przeżyć. Kim byłaby teraz Aura, dokąd los by ją zaprowadził, gdyby jej rodzice się nie rozstali, gdyby wychowała się w szczęśliwej rodzinie, gdyby była ukochaną córeczką szanowanego w całym Bajío polityka i prawnika, księżniczką w Krainie Truskawek?

Dwa lata przed śmiercią Aura przestała płakać za ojcem. Czyżby dlatego, że odkryła we mnie ojca zastępczego? Psychologiczna gadka szmatka; już widzę Aurę, jak pęka ze śmiechu. Była absolutnie przekonana, że z nas dwojga to ona jest bardziej dojrzała. Co nie znaczy, że nie tkwi w tym ziarno prawdy. Odgrywałem w jej życiu niejedną rolę, podobnie jak ona w moim.

W holu zakładu pogrzebowego Gayosso, przed wejściem do kaplicy, gdzie Aura leżała w blaszanej, emaliowanej na biało trumnie, spostrzegłem mężczyznę w wymiętym szarym garniturze. Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Przyciągnął moją uwagę nie tyle zropaczonym wyrazem twarzy, ile swoim zachowaniem, sposobem, w jaki chodził, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Wyglądał jak człowiek, który wpadł z impetem do pokoju, z którego właśnie wyszedł, chwytając się rozpaczliwie ostatniej szansy, żeby przemówić w swojej obronie. Albo jak ktoś, kto godzinami na próżno starał się kogoś przytulić i aż go ręce rozboleły ze zmęczenia. Miał długi, haczykowaty nos i opadający na czoło kosmyk siwiejących brązowych włosów. Domyśliłem się, że szuka Juanity. To był Héctor, ojciec Aury; wiedziałem od razu, zanim usłyszałem komentarz jednej z *tías*. Obserwowałem z bliska jego długi uścisk z Juanitą. Podszedłem. Jestem Francisco, mąż Aury, powiedziałem. Och, więc to pan jest mężem Aury, powtórzył żałośnie. Choć przez ostatnie dwadzieścia sześć lat widział się z Aurą zaledwie dwukrotnie, sprawiał wrażenie wstrząśniętego do głębi jej śmiercią, przynajmniej tak samo jak my wszyscy, jakby też nie mógł sobie wyobrazić, jak dalej z tym żyć. Obudził we mnie jakiś dziwny instynkt opiekuńczy, choć właściwie przed czym miałbym go teraz chronić? Naprawdę mieliśmy sobie niewiele do powiedzenia, nie w tym miejscu, nie w tej chwili. Usiedliśmy jednak razem na kanapie w rogu, rozmowa się nie kleiła, poczułem ulgę, kiedy zjawiła się Vicky. Dowiedziałem się, że Héctor i jego druga żona mają tylko jedno dziecko, córkę; Aura mówiła, że ma dwie siostry przyrodnie, których nigdy nie poznała, i w ogóle nie była pewna, czy to prawda. Sześć tygodni później, pod koniec sierpnia, kiedy zamierzałem w końcu wrócić do domu na Brooklynie, bez Aury,

usłyszałem w myślach jej głos, cichy, ale stanowczy: Francisco, zanim wyjedziesz z Meksyku, musisz zobaczyć się z moim ojcem i spytać, co się naprawdę wydarzyło między nim a moją matką. Dowiedz się też, dlaczego miał błoto na spodniach – usłyszałem wyraźnie, że mnie o to prosi, jakby nie chciała zaprzepaścić szansy rozwikłania tej zagadki i móc wreszcie skończyć opowiadanie o ich pierwszym i ostatnim spotkaniu po siedemnastu latach, kiedy ojciec pojawił się w restauracji w Guanajuato.

Na pogrzebie Héctor dał mi swój numer telefonu i zaprosił mnie w odwiedziny. Zadzwoiłem i kilka dni później pojechałem autobusem w region Meksyku zwany El Bajío, gdzie Aura przysłała na świat i gdzie odbyło się nasze wesele, do San José Tacuaya. Wybraliśmy się tam oboje tylko raz, w weekend przed ślubem, by zawieźć kosz jajek do żeńskiego klasztoru klauzurowego i poprosić siostry o modlitwę, żeby w ten dzień nie padało. Zgodnie z miejscową tradycją należało w noc poprzedzającą ślub wbić noże w ziemię, co też uczyniliśmy. Mimo to padało, choć niezbyt obficie i tylko przez chwilę. Tamtego dnia w San José Tacuaya Aura nie miała zamiaru szukać domu z ogrodem, w którym mieszkała przez pierwsze cztery lata swojego życia. Nie pamiętała, jak wyglądał z zewnątrz, nie wiedziała nawet, w której stoi dzielnicy.

Podróż autobusem z miasta Meksyku do San José Tacuaya trwała pięć godzin. Wyruszyłem o świcie. Filmy z kaset wideo, wyświetlane na monitorach z dźwiękiem włączonym na cały regulator, nie pozwalały ani przez chwilę zmrużyć oka. W końcu się poddałem i obejrzałem drugi z kolei, o chłopaku z robotniczej dzielnicy Filadelfii, który zaliczył sprawdzian kwalifikacyjny i dostał się do drużyny Philadelphia Eagles. Film szedł z dubbingiem w meksykańskiej odmianie hiszpańskiego, więc biali i czarni futboliści obrzucali się nawzajem bluzgami w rodzaju *chinga tu*

madre i cabrón, a w szatni skandowali *¡Viva los Aguilas!* Wtedy sobie przypomniałem, jak Aura cofała się krokiem rozgrywającego piłkę futbolisty. Przez całe życie nie mogłem się oduczyć nerwowego, chłopięcego nawyku małpowania quarterbacka cofającego się trzy kroki na pozycję podającego. Robiłem to raz po raz, oglądając wiadomości w telewizji, rozmyślając o tym i owym, chcąc złapać odpowiedni rytm. Pewnego dnia Aura poprosiła, żebym jej pokazał, jak to się robi, potraktowała to jako nowy, interesujący krok w tańcu. Nic szczególnego, odparłem, po prostu trzy kroki w tył. Trzymasz piłkę w tym miejscu, na wysokości podbródka, o tak, powiedziałem, i robisz krok wstecz, pierwszy krok, stopą po tej samej stronie co ręka, którą rzucasz – wyjaśniłem, demonstrując ten i następne dwa kroki oraz rzut piłką. Tymczasem Aura zrobiła pierwszy krok w tył stopą po stronie przeciwnej do ręki wyprowadzającej rzut. Tułów jej się skręcił i stanęła twarzą do mnie, kołysząc się na boki jak pingwin, który się potknął i stracił równowagę przy cofaniu, próbując mimo wszystko dokończyć sekwencję kroków, z niewidzialną piłką przy podbródku, zagryzioną dolną wargą i szeroko otwartymi oczami. Wyglądała prześmiesznie, jak błaznująca w *La Stradzie* Giulietta Masina. W końcu opanowała ten manewr, ale i tak robiła go po swojemu. Ilekroć uznała, że jest mi smutno albo czymś się denerwuję, obwieszczała gromko, *mira mi amor*, po czym wykonywała swój spazmatyczny taniec quarterbacka, by mnie rozśmieszyć.

Kiedy autobus dojeżdżał do San José Tacuaya, za oknem aż po horyzont rozpostarły się płaskie, zielonobrunatne pola truskawkowe, a po obu stronach szosy zaroiło się od knajpek i drewnianych straganów oferujących truskawki z bitą śmietaną. Dalej ciągnęły się przemysłowe przedmieścia z wielkimi zakładami produkcji samochodów i mnóstwem mniejszych fabryk. Ojciec Aury

mieszkał teraz w pobliżu kolonialnej starówki w centrum miasta, przy długiej, obrzeżonej ponurymi sklepami ulicy; omal nie przegapiłem domu, do którego prowadziły zwykłe drewniane drzwi wciśnięte między dwa ogólnodostępne lokale: aptekę i pralnię chemiczną. Zadzwoiłem, dwie minuty później Héctor prowadził mnie wąskim korytarzem na małe wilgotne patio wewnątrz starego, trzypiętrowego budynku, który kiedyś musiał być własnością zamożnej rodziny, potem jednak został podzielony na osobne mieszkania. Rodzina Héctora zajmowała ciasny lokal na parterze, urządzone ciężkimi staroświeckimi meblami, które przypominały mi wystrój domu moich dziadków w mieście Gwatemala. Przeszliśmy wprost do gabinetu, pełniącego także funkcję salonu; Héctor usiadł w fotelu, ja spocząłem na niskiej sofie ustawionej wzdłuż półek z imponującym zbiorem książek prawniczych i innych publikacji, przeważnie naukowych, na tematy polityczne i historyczne. Zwróciłem jednak uwagę, że tomy są mocno zakurzone i wydane nie później niż w latach siedemdziesiątych; księgozbiór sprawiał wrażenie skompletowanego co najmniej ćwierć wieku temu. Héctor powiedział, że dorabia sobie do emerytury, ucząc prawa w miejscowym college'u. Rzecz jasna, nie wspomniał o zbieraniu butelek, które rzekomo miał sprzedawać w punkcie skupu. Powiedział, że jego żona też pracuje, a córka, młodsza siostra przyrodnia Aury, mieszka w Dystrykcie Federalnym i zarabia jako kelnerka. To dopiero niespodzianka. Chciałem go spytać gdzie, ale poczułem, że mi nie wypada.

Kiedy widziałeś Aurę po raz ostatni? Kilka lat temu w Guanajuato, podczas świąt Bożego Narodzenia? Przecież wiedziałem, że tak. Odrobinę skonsternowany, poczułem, że budzi się we mnie podstępny dziennikarz realizujący własną strategię, rzucający pozornie niewinne pytania, by rozwiązać język rozmówcy.

Opowiedział mi o wydarzeniach tamtego popołudnia, o swoim nagłym, nerwowym, ostatecznym pożegnaniu z Aurą, która przyłapała go na rozpaczliwej próbie ucieczki z domu matki Vicky Padilli; kiedy Aura weszła potem do środka i zastała Juanitę pijącą tequilę z Vicky, coś w ich zachowaniu zniechęciło ją do podjęcia rozmowy na temat ojca. Héctor stwierdził oburzonym tonem, że Juanita i Vicky zrobiły sobie z niego pośmiewisko, że właśnie dlatego się stamtąd zabrał, choć miał nadzieję spędzić święta z Aurą. Narzekały na brak pieniędzy, aż Juanita wypaliła nagle, jeśli o nas chodzi, nic dziwnego, że jesteśmy biedne, ale dla ciebie, Héctor, nie ma żadnego usprawiedliwienia; w tym wieku powinienes już być zamożnym, wpływowym człowiekiem, a tymczasem spójrz na siebie, nawet nam się lepiej powodzi! Zaczęły się z niego śmiać. Opisywał tę scenę cichym, zmęczonym głosem, z dłońmi splecionymi i wciśniętymi między kolana, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dali, zamiast spojrzeć mi prosto w oczy. Współczuję, odparłem, wiem, jak Juanita i Vicky potrafią się nawzajem nakręcić. I przywołałem własne, jeszcze wcześniejsze wspomnienie, kiedy Aura miała dwadzieścia jeden lat i spotkaliśmy się we czworo w restauracji. Było to w czasie jej przerwy semestralnej, kiedy studiowała na University of Texas. Czy to nie wtedy ujrzałeś ją po raz pierwszy po siedemnastu latach rozłąki? Nie zdziwiłeś się, że twoja córka wyrosła na tak inteligentną i piękną kobietę?

Héctor odezwał się po chwili. Tak, to prawda, była piękną, wspaniałą dziewczyną, energicznie pokręcił głową i podkreślił z naciskiem, że nie, wcale go to nie zaskoczyło, odkąd Aura przyszła na świat, był święcie przekonany, że okaże się kimś wyjątkowym. Bez dwóch zdań, oznajmił, wielka w tym zasługa Juanity, że ją tak wychowała.

O tak, przyznałem. Czekałem na ten moment. Z tym że wiesz,

Héctor, ciągnąłem, Aura nigdy nie zaakceptowała Rodriga, bo nigdy nie pogodziła się z utratą ojca. Kochała cię i nie robiła z tego tajemnicy. Nie wiedziała, czemu rozstałeś się z Juanitą. Miała obsesję na tym punkcie, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego i z nią zerwałeś wszelkie kontakty. Znała mnóstwo dzieci z rozbitych małżeństw, które mimo to wciąż widywały się z rodzicami. Czemu z nią było inaczej?

Héctor słuchał w milczeniu, pochylony, jakby chciał się skupić na każdym moim słowie, później jednak stracił wątek; oparł się o wezglowie fotela, schował twarz w dłoniach i zaniósł się szlochom bez łez. Kiedy się opanował, wyjaśnił przyczynę zerwania kontaktów. Tak samo jak wcześniej Aurze: skoro Juanita wyszła ponownie za mąż, uznał, że Aura powinna mieć tylko jednego ojca. Ale dlaczego, drażyłem dalej, nie odpowiadałeś nawet na jej listy? Héctor odparł, że nie dostał żadnego listu. Pewnie wyczuł mój sceptycyzm, bo nagle wybuchnął, przecież wiesz, że Juanita była zawsze lekko szurnięta. Po czym, ot tak, zdradził mi sekret z przeszłości, tajemnicę skrywaną przed Aurą do końca jej życia, mimo że była bezwiednym świadkiem tamtych wydarzeń, podświadomie czuła ich znaczenie, być może nawet częściowo je zapamiętała, nigdy jednak nie zdołała ich oblec w słowa ani tym bardziej ujawnić.

Dowiedziałem się od Héctora, że to nie on porzucił Juanitę. Mimo wcześniejszych kłopotów małżeńskich nigdy by się na to nie zdecydował, ze względu na Aurę, jego najukochańszą córeczkę. Było na odwrót, to Juanita go opuściła. Uciekła z miasta Meksyku z innym mężczyzną, politykiem konkurencyjnej partii, i wzięła Aurę ze sobą. Po czymś takim musiałem wyrzucić ją z serca, powiedział Héctor. Wyrzuciłem z serca Juanitę. A przy okazji wyrzuciłeś z serca Aurę, pomyślałem. Przyznał, że Juanita próbowała się później z nim

pogodzić. Przyjechała do San José Tacuaya razem z córką, a kiedy do nich wyszedł, czteroletnia Aura zawołała jeszcze z samochodu, możemy już wrócić do domu, *Papi!* Ale Héctor nie przyjął Juanity, wyrzucił ją z serca.

Siedziałem oniemiały. Czyżby Aura właśnie do tego czyniła aluzję w swoich dziennikach? „W mojej głowie jest za dużo hałasu, to przez pamięć, wspomnienia, które wolałabym zapomnieć, wracają, wracają”. Jej wspomnienia z dzieciństwa, stłamszone i wyparte, zastąpione pokiereszowaną narracją złożoną z kłamstw, poczucia winy, krzywdy i bezsensu. Wspomnienia, które trzymała w sekrecie, jakby nie chciała albo nie potrafiła oblec ich w słowa.

Héctor już się uspokoił, sprawiał jednak wrażenie wyczerpanego. Uświadomiłem sobie, że jeśli go spytam o cokolwiek więcej, brutalnie naruszę jego prywatność. Jego wyznania i ukryte w nich sugestie należało przetrwać w milczeniu i bardzo powoli. Zostało mi jednak jeszcze jedno pytanie i chciałem je zadać. Wróćmy do waszego spotkania w restauracji, powiedziałem, kiedy Aura miała dwadzieścia jeden lat. Akurat nie padało, dzień był suchy i słoneczny, przynajmniej ona tak to zapamiętała, ale gdy wszedłeś do środka, zwróciła uwagę, że masz całą nogawkę uwalaną w błocie. Uśmiechnąłem się z przymusem. Aura zawsze była ciekawa, skąd się wzięło to błoto. Kolejna wielka tajemnica do rozwikłania.

Skinął głową i odparł, po drodze na spotkanie złapałem gumę i musiałem wymienić koło. Na szosie padało, wyprzedzająca mój samochód ciężarówka wjechała w kałużę i mnie ochlapała.

Wstał i poszedł do kuchni, żeby zaparzyć nam kawę. Sięgnąłem po moje blackberry. Dostałem pilną wiadomość od znajomego z Nowego Jorku, Johnny’ego Silvermana, specjalisty od prawa korporacyjnego, ujmującego ekstrawertyka, który zaprzyjaźnił się

z Juanitą na naszym weselu. Teraz Juanita traktowała go jak mojego adwokata, którym w rzeczywistości nie był. Adwokat występujący w jej imieniu, jeden z prawników uniwersyteckich, wysłał Johnny'emu e-mail z zawiadomieniem, że w ciągu dwóch dni mam opróżnić nasze mieszkanie na Escandón. Kiedy Héctor zjawił się z kawą, powiedziałem, że muszę złapać najbliższy autobus do Dystryktu Federalnego. Myślałem, że zjemy razem, oznajmił ze smutkiem. Miał nadzieję, że zostanę na obiad; żona niedługo wraca z pracy, przygotowała specjalne danie, *mole de olla*. Wybacz, powiedziałem, nie mam pojęcia, co zrobić w tej sytuacji, więc lepiej pojedę do domu i się tym zajmę. Streściłem mu, o co chodzi: matka zafundowała Aurze mieszkanie, zaproponowałem jej, że będę co miesiąc spłacał rachunki, dopóki nie zbiorę pieniędzy na wykup. Nie jestem pewien, czy z prawnego punktu widzenia wolno im tak po prostu wyeksmitować świeżego wdowca. Nie dam rady wyprowadzić się stamtąd w dwa dni! Héctor stwierdził, że w myśl tutejszego ustawodawstwa mam pełne prawo do tego mieszkania, że nie jestem osobą trzecią, jak określili mnie Juanita i jej adwokat. Przeprosiłem go na chwilkę i napisałem do Johnny'ego SMS, żeby skłonił ich do przesunięcia terminu o cztery miesiące, na styczeń, a ja do tego czasu będę nadal wnoszył opłaty w banku. Później, napisałem mu, spakuję swoje rzeczy i wyprowadzę się, nie żądając od Juanity nic w zamian; jeśli Juanita nie zgodzi się na takie rozwiązanie, czy może mi dać przynajmniej tydzień? Uświadomiłem sobie, że jeśli nawet zdobędę pieniądze na wykup, Juanita i tak mi nie sprzeda tego mieszkania. Wyszedłem na dworzec autobusowy w poczuciu winy, że nie zostałem na obiedzie. Przyrzekłem Héctorowi, że wkrótce znów przyjadę do San José Tacuaya, ale nie dotrzymałem obietnicy. W drodze powrotnej do Dystryktu Federalnego zadzwoniłem do Nowego Jorku i opowiedziałem

o wszystkim Gus.

Nie zapominaj, że przedstawił ci tylko swoją wersję, ostrzegła. Nie musi być prawdziwa. Niewykluczone, że odejście od męża było najlepszą decyzją w życiu Juanity. Zdaje się, że to mięczak. Pewnie przeczuwała, że facet nie wytrzyma napięcia, że jego kariera i tak legnie w gruzach.

Polityk odbija żonę drugiemu politykowi z prowincjonalnej, maczystowskiej dziury w Meksyku, zaprotestowałem, gdzie wszyscy się znają, nie sądzisz, że właśnie to zrujnowało mu karierę?

A daj spokój, odparła. Na miłość boską, przyjmuje się żonę i dziecko z powrotem, a jeśli ma się taką potrzebę, idzie się zerznąć żonę innego polityka. Ten kij ma dwa końce. Jak zawsze. Nie można wyrzec się takiej córki jak Aura z byle powodu, wrzasnęła w słuchawkę.

Kiedy skończyliśmy rozmowę, usiadłem w fotelu z zamkniętymi oczyma, przytuliłem głowę do siatkowej zasłony w bocznym oknie i pogrążyłem się w półprzytomnym śnie; jechałem samotnie w pociągu pędzącym przez syberyjskie pustkowia pełne wyjących wilków, scena jak z filmu *Doktor Żywago*, ta sama, która w dzieciństwie przypominała mi o koszmary. „Juanita przypomina ciemny las” – albo tak pomyślałem, albo mi się przyśniło; jakby to zdanie wyświetlało mi się litera po literze. Juanita jest lasem, a zarazem matką lasu, jego królową, wielkim myśliwym, rzucającą uroki czarodziejką. Jest wilkami, niedźwiedziami, rzeką pełną pożywnych ryb. Dzięciołem, który tu straszy, roztrzaskuje ludziom czaszki i wyjada z nich wspomnienia jak czerwce. Ugrzęzłem w puszczy, z każdym kolejnym dniem coraz słabiej pamiętam, kim byłem, wkrótce dzięcioł nie będzie miał na czym żerować. Czy Aura też utkwiała w tym lesie? Nigdy się tego nie dowiem, nie ma tu odpowiedzi na żadne pytania.

Od miasta Meksyku dzieliła mnie jeszcze godzina drogi, kiedy dostałem e-mail od Johnny'ego, w którym przekazał mi wiadomość otrzymaną właśnie od Juanity:

Szanowny panie Silverman, w odpowiedzi na pańską uprzejmą prośbę zawiadamiam, że nie mam nic przeciwko temu, żeby Frank został w mieszkaniu jeszcze przez tydzień, aż do wskazanej przez pana daty, aczkolwiek pod warunkiem, że przyjmie do wiadomości, iż po tym terminie wyegzekwuję niezwłocznie swoje wyłączne prawo do wspomnianego lokalu.

Dopiero dwa lata później, kiedy znalazłem tę korespondencję podczas przeglądania starej poczty, dotarło do mnie, że musiałem poprosić Johnny'ego o napisanie jeszcze jednego listu, przekierowanego później do mojej skrzynki:

Querida Juanita:

Przeczytałem uważnie pani poprzedni e-mail w sprawie Franka i uświadomiłem sobie, że nie wspomniałem o czymś niezmiernie istotnym: na prośbę Franka zwracam się z pytaniem, czy mogłaby pani przekazać mu odrobinę prochów Aury, żeby mógł wziąć je ze sobą na Brooklyn. Proszę wybaczyć mi szczerść, ale nie miałem pomysłu, jak to inaczej sformułować.

Doszły mnie potem słuchy, że dwa dni po pogrzebie, kiedy zadzwoniłem do Juanity, żeby ją uprzedzić, że za chwilę wpadnę, ta powiedziała innym gościom, że musi przede mną schować prochy Aury, bo przyjdę je zabrać. Szaleństwo matki w żałobie – dźga moje wzburzone serce ostrzem współczucia, choć nie wiem, czy to współczucie coś warte.

Stary krawiec powiedział, że Aura nie chciałaby widzieć, jak się obnoszę ze swoim smutkiem w ciężkim garniturze z czarnej wełny, więc zaproponował mi w zamian grafitową flanelę. Kiedy Chucho, nasz ulubiony ochroniarz z osiedla na Escandón, krępy mężczyzna koło pięćdziesiątki o łagodnych, niemal kobiecych oczach, ujrzał

mnie po raz pierwszy od śmierci Aury, wygramolił się ze stróżówki, podszedł i rzekł:

Resignación, señor. Resignación.

W dniu, który w innych okolicznościach byłby pierwszym poniedziałkiem po naszym powrocie z wakacji nad morzem, zgodnie z umową zjawił się stolarz, żeby dostarczyć nam piękne, nowiutkie półki na książki. Stolarz mieszkał na dalekich obrzeżach miasta i mimo proletariackich korzeni miał rude włosy i błękitne oczy, osadzone głęboko w pobrużdżonej twarzy. Pewnego ranka przed naszym wyjazdem przyszedł wymierzyć ściany i zwrócił uwagę, że oboje z Aurą mamy kaca po całonocnej rundzie po knajpach, więc zasunął nam szorstką, protekcyjną przemowę na temat własnego młodzieńczego alkoholizmu oraz decyzji, by skończyć z piciem, kiedy tylko został ojcem. Powiedziałem mu teraz o Aurze. Po długiej chwili milczenia wyjął spod pachy gazetę – jeden z licznych miejscowych brukowców, pełnych skandali i historii kryminalnych – i otworzył na stronie z informacją o śmiertelnie potrąconej przez samochód kobiecie z Polanco. Tekst zilustrowano zdjęciem ofiary: leżała twarzą do ziemi, w kałuży krwi, z rozrzuconymi rękami, ubrana w niebieską sukienkę.

Stolarz powiedział, pan spojrzysz na tę kobietę, potrącona na śmierć przez samochód, matka dwójki maleńkich dzieci. To się może przytrafić każdemu, Francisco, i przytrafia się co dzień.

Trzej mądrzy ludzie: krawiec, stolarz i ochroniarz. Najrozsądniejsze słowa, jakie usłyszałem w pierwszych dniach i tygodniach po śmierci Aury, padły właśnie z ich ust.

Grafitowy zamiast czarnego.

Resignación, señor. Resignación.

Takie rzeczy przytrafiają się co dzień.

Przynajmniej krawiec zdołał mnie przekonać.

Nasza córka Natalia nie urodziła się 17 stycznia 2009 roku na Brooklynie w Nowym Jorku. Jak uczciłem ten dzień? Przypomniało mi się dopiero pod wieczór. Opatrzyłem ucho, które po wygojeniu miało wyglądać jak naderwane w walce bokserskiej. Trochę popracowałem. Wyszedłem na spacer. Zastanawiałem się, czy wstąpić do kościoła, usiąść w ławce i pomyśleć o Aurze i Natalii, ale się rozmyśliłem.

Niedługo później, w chłodny i mglisty wieczór wracałem z restauracji, spojrzałem na drzewo przy naszym domu i w mokrych, bezlistnych, lśniących w blasku latarni gałęziach ujrzałem Aurę, która uśmiechała się do mnie w ten sam sposób, jak kilka dni po swojej śmierci, kiedy unosiła się w aureoli księżycowego światła nad placem Zócalo. Zdumienie i radość rozwiały wszelkie wątpliwości: przystanąłem na chodniku i odwzajemniłem jej uśmiech, grzejąc się w ciepłe własnego uczucia do żony. Podeszedłem do drzewa, położyłem dłonie na pniu i pocałowałem go.

Wcale się nie zdziwiłem, że Aura postanowiła się ukryć w pobliskim drzewie, zwłaszcza w tym drzewie, największym na osiedlu, dorodnym klonie srebrzystym, bujnie ulistnionym w lecie, teraz o nagiej, splątanej, szeroko rozgałęzionej koronie. Wiosną Aura chodziła po mieście z aparatem, fotografując drzewa okryte kwiatami i młodymi liśćmi; kupiła sobie klucz do oznaczania drzew w północno-wschodnich Stanach, żeby je rozpoznawać i nauczyć się ich nazw. Przez kilka następných dni za każdym powrotem do domu odnajdywałem Aurę w tym drzewie, jej zawieszony w gałęziach uśmiech, jej roziskrzony oczy, i wiedziałem,

że cieszy się na mój widok, i zawsze przystawałem, żeby ucałować pień klonu. Pewnego popołudnia szedłem ulicą zatopiony w myślach i zapomniałem spojrzeć na drzewo. Ledwo je minąłem, poczułem szarpnięcie, jakby ktoś chwycił mnie za włosy. Skruszony i zawstydzony, wróciłem pod drzewo, przeprosiłem je i pocałowałem. Byłem ciekaw, co o mnie myślą sąsiedzi. Drzewo rośło akurat przed domem z brązowego kamienia, którego parter zajmował krępy, przysadzisty facet w typie podstarzałego motocyklisty, o bicepsach obrońcy futbolowego i gęstym, przetykanym siwizną zaroście. Zacząłem się zastanawiać, jak zareaguje, kiedy przyłapie mnie na całowaniu drzewa pod drzwiami swojego mieszkania. Nie bałem się, że zrobi mi krzywdę, spodziewałem się raczej, że wyjdzie na dwór i wrzaśnie, co ty wyprawiasz, do kurwy nędzy? Nie byłem pewien, co wtedy odpowiem. Od tamtej pory, ilekroć spotkałem kogoś na ulicy albo zobaczyłem, że u motocyklisty pali się światło, a okna są odsłonięte, wyciągałem tylko dłoń, żeby połaskotać drzewo po korze i szepnąć, *hola, mi amor ¿cómo estás hoy? Te quiero*. Czułem wtedy jakąś niezwykłą lekkość, byłem nieomal szczęśliwy. Czyżbym powoli tracił rozum? Wmawiałem sobie, że tak naprawdę nie ma Aury w tym drzewie. A mimo to obudziłem się pewnej chłodnej nocy o trzeciej nad ranem i pamiętam, że przez cały dzień nie mogłem oczu oderwać od tego, co ujrzałem za oknem. Wskoczyłem z łóżka, narzuciłem kurtkę puchową na piżamę, włożyłem trampki i wyszedłem na dwór. Padał marznący deszcz. Chodnik był śliski i przypomniało mi się, że Aura nigdy nie nauczyła się chodzić po lodzie; nogi się pod nią rozjeżdżały, więc stroiłem sobie żarty, że wygląda jak Bambi na zamrzniętym stawie. Drzewo Aury było tej nocy piękniejsze niż kiedykolwiek, dosłownie olśniewające, jakby ktoś pokrył je szkliwem i oblał polewą z diamentów

rozpuszczonych w blasku gwiazd.

Francisco, powiedziała, nie po to wyszłam za męża, żeby teraz siedzieć sama na tym drzewie!

iClaro quo no, mi amor! Objąłem pień ramionami i przycisnąłem usta do szorstkiej, zmarzniętej kory.

Ucho się pięknie zgoiło, jakby Aura wstąpiła w nie prosto z drzewa i w środku nocy uleczyła je cudownym pocałunkiem. A może to zasługa szamponu leczniczego z miętą i wyciągiem z drzewa herbacianego? Tak czy siak, zrobiło się gładziej i wyglądało lepiej niż zdrowe, jakby pokryło się warstwą świeżej, niemowlęcej skóry, został tylko kawałek nieznacznie wystrzępionej chrząstki po zewnętrznej stronie małżowiny. I pomyślałem sobie o pięknych, wielkich uszach Aury i o tym, że Natalia byłaby już teraz na świecie i że urodziłaby się z pięknymi, wielkimi, niemowlęcymi uszami po matce.

Kilka dni później dostałem pocztą czek na 17 tysięcy 612 dolarów – od towarzystwa ubezpieczeniowego, w którym wykupiła polisę nastoletnia sprawczyni mojego wypadku.

Dwudziestego dziewiątego stycznia obudziłem się przed świtem i zastałem przy sobie wyciągniętą w pościeli Aurę, prawie niewidzialną, pozbawioną wyraźnych konturów, odrobinę jaśniejszą plamę na tle ciemnej sypialni. Czy naprawdę się obudziłem? Może miałem omamy z tęsknoty? Może to skutki lektury pewnej książki, napisanej przez psychiatrę, który prowadził badania na temat doznań z pogranicza śmierci? Moje odczucia po wypadku drogowym pokrywały się w wielu szczegółach z doświadczeniami

osób, które przeżyły śmierć kliniczną. Psychiatra uznał, że na ich podstawie można wysnuć hipotezę o istnieniu jakiejś formy duchowych zaświatów. Jeśli to nawet bzdura, trzeba przyznać, że sugestywna.

Zesłaś przed chwilą z drzewa? – spytałem.

Nie, odparła. *Mi amor*, to tylko sztuczki twojej wyobraźni. *Pobrecito*. Zachichotała. Czemu miałabym siedzieć na drzewie, i to w środku zimy?

Czyli ciebie też sobie wyobraziłem?

Nie, to naprawdę ja. Oczywiście, że ja.

Aura, dasz mi słowo honoru?

Sí, mi amor, to ja.

Nie rozumiem. Skoro możesz do mnie przyjść tak jak teraz, czemu nie zostaniesz na zawsze? Tak mi pusto bez ciebie.

Nie pozwalają nam tak często wychodzić, powiedziała. Gdybym przeniosła się tu na dobre, zmieniałabym się w ducha, a ja nie chcę być duchem. Duchy cierpią.

Brzmi to sensownie, przyznałem. I pomyślałem sobie, że to naprawdę ma sens.

O tyle rzeczy chciałem ją spytać. Chyba się domyślacie. Zanim jednak zdołałem cokolwiek z siebie wykrztusić, Aura dodała, Frank, przyszłam do ciebie, bo musisz coś dla mnie zrobić. Proszę cię, pojedź do Paryża i znajdź moją matkę.

Twoją matkę w Paryżu?

Ale Aury już nie było, rozwiąła się w powietrzu, znikła w blasku mroźnego poranka.

Napisałem e-mail do Brasiego, żeby sprawdził, czy matka Aury jest teraz w Paryżu. Odpisał jeszcze tego samego dnia, że Juanita jest z całą pewnością w Meksyku. Widział ją rano na UNAM.

22.

Powieść, którą czytałem przez kilka tygodni po wypadku, ukazała się niedawno: reklamowano ją jako książkę o 11 września, o ponurych następstwach ówczesnej tragedii, które doprowadziły do rozstania głównego bohatera z żoną. Kobieta nie może sobie poradzić z traumą, zostawia męża w Nowym Jorku i wraca z dzieckiem do Europy. To historia o samotności, opowiedziana z punktu widzenia mężczyzny pogrążonego w depresji, którego sytuacja zmieni się jednak na lepsze pod koniec książki, kiedy uda mu się odzyskać żonę i dziecko. Rodzina wyjeżdża w tropiki nad morze; narrator uczy się body surfing i zachęca żonę, żeby poszła w jego ślady. Mówi jej, że to łatwe. Nadciąga fala opisana jako „dość groźna”, mężczyzna wykrzykuje, no to jazda, albo coś w tym rodzaju, rozpościera ramiona, rzuca się głową naprzód, łapie falę i cały szczęśliwy wynurza się kilka metrów dalej. Żona ani myśli się ruszyć. Guzik ją obchodzi cały ten body surfing. Kiedy mąż ją namawia, żeby złapała następną falę, odpowiada, że woli popływać, i ze stoickim spokojem kładzie się plecami na powierzchni wody.

Niesamowite. Trudno to uznać za zwykły zbieg okoliczności. Czyżby autor znał naszą historię? Czyżby wiedział, że każąc swojej bohaterce odrzucić mężowską propozycję nauki body surfing, uratował jej życie?

Jeśli tak, chyba bym tego nie zniósł.

23.

Przed naszym weselem rozłożyliśmy na stołach jednorazowe aparaty fotograficzne, które później zostawiliśmy w mieszkaniu na Escandón zapakowane w torbę plastikową. Zabrałem je stamtąd dopiero kilka tygodni po śmierci Aury, w sumie z piętnaście sztuk, i oddałem materiały do wywołania w jednym z laboratoriów w mieście Meksyku. Byłem zdumiony, że wśród dwustu fotek znalazło się tyle osobnych ujęć nas dwojga. Całujemy się, szepczemy do siebie nad stołem, stoimy gdzieś w cieniu z dala od reszty gości, tańczymy w uścisku. Jakby na weselu kręcili się prywatni detektywi, szpiegowali nas, zbierali przeciwko nam dowody. Te kadry zdawały się jakoś bardziej intymne niż zdjęcia wykonane przez zawodowego fotografa ślubnego. Żaden z tych szpiegów wyposażonych w jednorazowe aparaty nie ujął nas w kadrze, który nie przypadłby mi do gustu. Najbardziej spodobała mi się fotka z końcówki wesela, z Aurą uchwyconą od tyłu, trzymającą w garści swoje ślubne dyskotekowe buty na platformie niczym sprinter schodzący z bieżni, z bosą stopą wysuniętą spod rąbka sukni, z podeszwą pokrytą pęcherzami, uwalaną farbą z pantofli, spoconą, zakrwawioną po wielu godzinach tańca. Jak się później okazało, bystre oko i refleks, dzięki którym udało się uchwycić Aurę w takim momencie, nie były udziałem amatora, który złapał ten kadr przypadkiem, tylko naszej przyjaciółki Pii, fotografki znanej z wystaw na całym świecie. Pia była też autorką czarno-białego zdjęcia na naszym zaproszeniu ślubnym – które dostaliśmy w prezencie od niej i jej męża Gonzalo – zdjęcia

wykonanego na ulicy niedaleko ich domu na Montmartrze. Widać na nim Aurę od pasa w dół, w kozakach i płaszczu zimowym; po lewej stronie moja noga, pośrodku ręce złożone w uścisku; sercem kompozycji jest jednak surowy cień naszych dłoni na zalanym słońcem bruku.

Trzy miesiące przed ślubem zaczęliśmy szukać księdza katolickiego, który mógłby nam udzielić sakramentu małżeństwa. Ślubu kościelnego zażyczyła sobie matka Aury, ale myślę, że i moja nie miała nic przeciwko temu. Planowanie uroczystości zaczęło wymykać się spod kontroli. Odbiliśmy wiele nieprzyjemnych rozmów o pieniądzach, pojawiły się też różnice zdań, zwłaszcza między Aurą a matką, które w wielu sprawach nie mogły dojść do porozumienia. Ten ślub walnie przyczynił się do debetu na mojej karcie kredytowej. Podzieliliśmy się kosztami mniej więcej po równo z Juanitą. Ona zaprosiła co najmniej stu gości – rodzinę, znajomych i kolegów z całego Meksyku – na naszej liście znalazło się około sześćdziesięciu nazwisk. W rezultacie przyszło ponad dwieście osób. Organizatorki wesela, grupa ekspatriatek gringo z San Miguel de Allende, podsuwały nam mnóstwo sugestii, które z pewnością pasowały do uroczystości urządzanych przez nie na co dzień, więc próbowały nam je wmusić bez pardonu, ja zaś bezwzględnie je odrzucałem, starając się przy tym nie sprawiać wrażenia ani na organizatorkach, ani na Juanicie, że skąpień na dodatkowe atrakcje, bo mnie na nie po prostu nie stać. Nie, naprawdę nie chcieliśmy orkiestry coverowej, którą wynajmowały na większość imprez; zatrudniliśmy własnych didżejów w Dystrykcie Federalnym. Nie życzyliśmy sobie podświetlanych balonów, meksykańskich tańców z kapeluszami ani pokazów sztucznych ogni. Tak, zgodziliśmy się na żywego osła

z przytroczonymi do siodła dzbanami z tequilą. Tak, poprosiliśmy, żeby nad stołami w namiocie rozwiesić *papel picados* z wyciętym napisem „Aura & Frank”. Juanita wpadła na pomysł, żeby zamówić też kilka ze sloganem „Viva Red Sox” ku pamięci mojego ojca. Zorganizowaliśmy występy *mariachis* tuż po ślubie i na zakończenie przyjęcia. Zastrzegliśmy sobie, żeby serwowano tequilę do białego rana. Powiedziałem Aurze, że nasze wesele powinno mieć atmosferę sielskiej fiesty z filmu *Dzika banda*, pomijając oczywiście końcową pacyfikację wsi. Drażniłem się z nią, że przyjadę na ślub konno, w towarzystwie moich друзb Saquiego i Gonzalo, i że przeberzemy się za tradycyjnych *charros*, jak Steve Martin, Chevy Chase i Martin Short z komedii *Trzej Amigos*.

Znalezienie księdza, który udzieli nam ślubu, okazało się jednak znacznie trudniejsze, niż się spodziewaliśmy. Meksykańscy nowożeńcy rezerwowali sobie kapłanów z rocznym wyprzedzeniem, musieli uczęszczać na nauki przedmałżeńskie, a księża celebrowali mszę ślubną w kościele. Tego nie mieliśmy w planach. Nie lepiej sobie znaleźć jakiegoś życzliwego lewaka w sutannie? Aura słyszała o pewnym klasztorze na południu miasta, ze szkołą katolicką prowadzoną przez dominikanów, którzy ze względu na działalność w ubogich dzielnicach Meksyku i w stanie Chiapas mieli jakieś nieoficjalne powiązania z uniwersytetem, więc umówiła nas na wizytę. Miejsce przyjęć urządzono pod gołym niebem, na betonowym dziedzińcu szkoły. Ksiądz, który wyszedł nam na spotkanie, wyglądał jak trener licealnej drużyny futbolowej: szeroki w barach, ubrany w wiatrówkę i dżinsy, ze schludnie zaczesanymi siwymi włosami i okularami w srebrnych oprawkach. Padre Jacques był Francuzem. Usiadł na skraju biurka, z założonymi na piersiach rękoma, my tymczasem przycupnęliśmy na plastikowych krzesłach, jak grzeczni uczniowie. Wyjaśniliśmy,

o co nam chodzi: żeby był tak łaskaw i przyjechał dwudziestego sierpnia do Atotonilco, katolickiego sanktuarium w wiosce na obrzeżach San Miguel, żeby dać nam ślub. Zamiast w kościele wolelibyśmy przyjąć sakrament na terenie zabytkowej, odrestaurowanej hacjendy, którą wynajęliśmy specjalnie na tę uroczystość; jeśli w tych okolicznościach nie mógłby odprawić całego nabożeństwa – tak naprawdę nie zależało nam na mszy ślubnej – bylibyśmy wdzięczni, gdyby udzielił nam tylko błogosławieństwa. Oczywiście pokryjemy koszty podróży i uiścimy wszelkie inne opłaty.

Aura uczyła się religii jak każde dziecko wychowane w rodzinie katolickiej – szkółka niedzielna, lekcje katechizmu, przygotowanie do pierwszej komunii – ja zaś przyjąłem chrzest i konfirmację. Przyznaliśmy, że robimy to przede wszystkim ze względu na nasze matki. Padre Jacques okazał zrozumienie i przestał nas wypytywać o dalsze szczegóły. Miał nam za to mnóstwo do powiedzenia. Jego hiszpańszczyzna, jakkolwiek płynna, brzmiała zupełnie jak jego język ojczysty, wykrzywiał usta niczym przejęty własną elokwencją francuski mówca, każde słowo podkreślał dobitnym wysunięciem szczęki. Wymagał od nas tylko udziału w sześciotygodniowych naukach przedmażeńskich. Mamy jeszcze czas. Sakrament małżeństwa jest odzwierciedleniem jedności Chrystusa z Kościołem – tak zaczęła się pierwsza lekcja. *Misterio Sacramental hasta la muerte*, pamiętam jak dziś. Małżeństwo, podobnie jak wszystkie inne sakramenty, należy traktować jako przygotowanie do ostatecznego sakramentu śmierci i wiekuistej łaski zbawienia; na to położył największy nacisk. Żeby przygotować nasze dzieci i wnuki do przyjęcia wiekuistej łaski zbawienia. I dalej głądził w tym tonie, powtarzając słowa „Chrystus”, „śmierć” i „zbawienie” we wszelkich możliwych kombinacjach, wznosząc się na szczyty

abstrakcji i przemawiając z coraz większym zapałem. Nie wiem czemu, ale pod wpływem tej tyrady przypomniła mi się scena z *Annie Hall*, w której protestancka rodzina błogosławi świąteczny posiłek, na co Woody Allen zmienia się nagle w chasyda. Musiałem mocno przygryźć wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Aura dokładała wszelkich starań, żeby się skupić i wyglądać poważnie, ale gdy zobaczyłem jej zesnurowane usta i wybałuszone oczy, zdałem sobie sprawę, że też z trudem opanowuje napad wesołości. Śmierć, Chrystus, śmierć, małżeństwo, zbawienie, Duch Święty, Trójca Przenajświętsza, ciągnął ksiądz. Dziękujemy, Padre, tak, zrozumieliśmy, małżeństwo jest przygotowaniem do zbawienia wiecznego. Ale Padre Jacques i tak nie mógł udzielić nam ślubu, w każdym razie nie pod koniec sierpnia. Nie, *c'est impossible*. Mimo to powinniśmy uczęszczać na nauki przedmażeńskie. Wyszliśmy na zewnątrz i oparliśmy się plecami o świeżo pobielony mur, dosłownie rycząc ze śmiechu, ha, ha, ha. Co za *bizarro* ksiądz! Och, *mi amor*, tak bardzo starałam się nie śmiać, ja też, ależ to było zabawne, kiedy w kółko gadał o tej śmierci! Ho, ho, ho.

Myślę, że nie znajdziemy księdza, który udzieli nam ślubu, powiedziałem. Chyba dam sobie spokój. Aura odparła, tiaaa, już nie chcę żadnego księdza. Zaczęła też mieć wątpliwości, czy zależy jej na tak hucznej uroczystości. Byłaby szczęśliwsza, powtarzała, gdybyśmy pobrali się w nowojorskim ratuszu.

Czemu więc wszyscy, nie wyłączając Aury, daliśmy się w końcu w to wkręcić? Może dlatego, że Juanita zawsze marzyła o wyprawieniu córce takiego wesela, a przynajmniej z takim rozmachem, bo pod innymi względami znacznie odbiegało od jej wyobrażeń, począwszy od pana młodego; wesela, na jakie sama nigdy nie mogłaby sobie pozwolić. Poza tym Juanita zyskała kolejną okazję, żeby dowieść, jak bardzo kocha swoją jedynaczkę.

Juanita, która kiedyś zgarnęła moje blackberry ze stolika w restauracji, przejrzała jego zawartość, uniosła telefon w górę i obwieściła, że nie jestem aż tak bardzo zakochany w Aurze, skoro nie mam ani jednego jej zdjęcia w komórce. Tylko że moje blackberry nie było wyposażone w aparat fotograficzny i nigdy nie przesyłałem na komórkę zdjęć z komputera, bo nawet nie przyszło mi to do głowy. Pamiętam, że czułem do Juanity coś na kształt podziwu, bo poświęciła tyle uwagi tej jednej rysie na obrazie mojej miłości, z którą zawsze lubiłem się tak obnosić, potraktowała tę rysę niczym nieuchronną wpadkę, która zniweczy zbrodnię doskonałą. Przygotowania do wesela działały Aurze na nerwy, ale jakoś sobie z tym radziła, ślęcząc godzinami nad laptopem, żeby uporządkować i uaktualnić dane na naszej internetowej stronie ślubnej. Wypalała płyty CD z muzyką, którą chciała odtworzyć tuż przed uroczystością; na ścieżce dźwiękowej znalazły się oczywiście ckliwe, infantylne kawałki hiszpańskiego popu z jej wczesnej młodości, między innymi piosenki Jeannette i Mecano, ewokujące nastrój dziewczęcych marzeń o ślubie. Rozmieszczanie gości przy stołach, rozrysowywanie kolejnych diagramów, zastanawianie się, jak dobrać poszczególne pary i pojedyncze osoby, kojarzyło jej się z projektowaniem gry planszowej na podstawie zasłyszanych plotek.

Oboje wiedzieliśmy, dlaczego chcemy się pobrać; nie kierowaliśmy się romantycznym impulsem, co przytrafiło mi się przed pierwszym ślubem, kiedy miałem zaledwie dwadzieścia kilka lat. Zdawaliśmy sobie sprawę, że są inne sposoby na wspólne życie, że można poczuć się „jak w małżeństwie” bez potrzeby sankcjonowania związku. Gdybyśmy mieli odrobinę luźniejsze podejście, byli gotowi założyć rodzinę w Berlinie albo gdziekolwiek indziej, pewnie zrezygnowalibyśmy ze ślubu. Pobraliśmy się jednak także ze względów praktycznych, żeby Aura mogła otrzymać status

imigrantki. Poza tym: ślub jako publiczne ujawnienie-uznanie-uczczenie naszego związku w towarzystwie rodziny i przyjaciół. W r e s z c i e znalazłem swoją brakującą połowę. O b o j e t r a f i l i ś m y n a s i e b i e. Połączmy się na wszelkie możliwe sposoby, także węzłem małżeńskim. Zróbmy sobie dzieci.

Gruby, oprawny w skórę album ze zdjęciami z naszego ślubu, który Natalia uwielbiałaby przeglądać we wczesnym dzieciństwie, jako mała dziewczynka, w uprzykrzonym okresie dojrzewania: spójrz na mamę, jak stoi przy tym osiołku w słomkowym sombrero na łbie, roześmiana, z rozczochranymi włosami – fakt, wygląda pięknie – z butelką tequili w garści, z opadniętym ramiączkiem sukni ślubnej, odsłaniającym ten słynny tatuaż, który usunęła sobie laserem tuż przed porodem, żeby nikt się na nią nie gapił, kiedy będzie mnie karmić piersią. Mama patrzy z podziwem na tatę, który dzieli tort weselny maczetą! *Tía* Fabis i *tía* Lida obrzucają mamę płatkami róż, a ona się śmieje i skacze w chmurę spadających kwiatów, z wyciągniętymi rękami, wygląda, jakby lewitowała. A fu, tata ufarbował sobie włosy. Od razu widać, bo są całkiem czarne, nie to co na wcześniejszych zdjęciach. Mama go namówiła. Powiedziała, taaa, kazałam Papi ufarbować włosy. Twój ojciec wszystko by dla mnie zrobił! Stary biedny tata. Mama chciała, żeby wyglądał młodziej, zwłaszcza w oczach znajomych, dalekich krewnych i kolegów z pracy Mamy Juanity. Wkrótce potem mama zmusiła wreszcie babcię, żeby wstąpiła do klubu AA, zagroziwszy, że w przeciwnym razie nie będzie mnie zostawiać pod jej opieką. Minęło już piętnaście lat, odkąd Mama Juanita nie wzięła do ust alkoholu! Co nie zmienia faktu, że dalej naśmiewa się z taty i traktuje go, jakby był wielkim, bezmózgim strusiem, ale ona ze wszystkich stroi sobie żarty, jest naprawdę komiczna, kocham ją; uwielbiam spędzać wakacje u babci w Taxco! Kiedy mama napisała

tę słynną książkę o Meksykance, która zamieszkała ze swoim mężem psychiatrą we francuskim domu wariatów i wynalazła automatyczne buty, rodzice odkupili ten dom od dawnej służącej mojej prababki Mamy Violety, ale to już zupełnie inna historia, słyszałam ją już z pierdylion razy.

Wideo i kolorowe zdjęcia ze ślubu dostaliśmy w prezencie od kuzyna Juanity. Nie znoszę tego wideo. Pewnie myślicie, że oglądam je w kółko, w końcu to jedyne pamiątkowe nagranie z Aurą. Ale jeszcze za jej życia jęczałem z zażenowania, kiedy kazali mi na to patrzeć. Czemu prawie bez przerwy jestem na ekranie? Czemu operator skupił się tylko na mnie? Bo wyglądałem jak cudownie uzdrowiony ślepiec, z rozpromienioną gębą muppeta. Dosłownie tryskałem entuzjazmem – wcale nie miałem poczucia, że na to wszystko nie zasłużyłem, że udało mi się psim swędem. Choć już dawno – na długo zanim poznałem Aurę – straciłem nadzieję, że ten dzień kiedykolwiek nadejdzie, co na tym filmie widać aż nadto wyraźnie. W moim zachowaniu było coś bezmyślnego, wymykającego się spod wszelkiej kontroli, niegodnego faceta w moim wieku: krążyłem wśród gości jak rozbrykany szczeniak, śmiejąc się od ucha do ucha.

Nikt z mojej rodziny nie pojawił się na weselu. Niespełna dwa tygodnie wcześniej matka upadła i złamała sobie biodro, więc siostry musiały się nią zaopiekować. Szczerze mówiąc, odetchnąłem z ulgą, że nie będę miał z nimi do czynienia. Uroczystość odbyła się w starej hacjendzie, na wysepce pośrodku stawu, a goście obserwowali ją z trawnika na drugim brzegu. Mistrzem ceremonii był sędzia cywilny o twarzy niemowlęcia, dwudziestosześcioletek, który dopiero rozpoczął swoją praktykę. Pia zrobiła zdjęcie Aury idącej samotnie przez trawnik – zanim dotarła do ojczyrna, który

towarzyszył jej przez resztę drogi – zasłoniętej białym welonem, ze ślubnym bukietem w ręku; skłębione nad nią ciemne chmury wciąż przetaczały się wyżej niż rozświetlone słońcem obłoki tworzące piękną grę światła i cieni w koronach topól włoskich. Niepokojąca klimatem osamotnienia fotografia, ostatnia klatka na tym filmie, z dziurkami perforacji wpijającymi się w prawą krawędź kadru jak rozżarzone szpony. Było wietrznie i mżysto, goście schowali się na werandzie przed domem, ale przed rozpoczęciem ceremonii niebo się przejaśniło. Złożyłem przysięgę małżeńską cały w uśmiechach, przytakując jak lalka z głową na sprężynie. Aura była skupiona i poważna, sprawiała wrażenie odrobinę przytłoczonej sytuacją. Śluby cywilne w Meksyku nawiązują do dawnej tradycji miejscowej, są długie, lecz niezbyt romantyczne. Żadnych pamiętnych sformułowań w rodzaju: „Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość”, choć zgodnie z czwartym punktem przysięgi mężczyzna – uważany za główne źródło siły i odwagi w małżeństwie – ma zapewnić kobiecie nie tylko wsparcie i utrzymanie, ale także ochronę. Kobietę ceni się za jej urodę, zdolność do współczucia i samopoświęcenia oraz intuicję; swojego męża, jak głosi punkt piąty, powinna zawsze traktować czule i z szacunkiem. Aura zażartowała później, że streszczenie całej tej przysięgi do jednego zdania zaoszczędziłoby wszystkim czasu – i odezwała się swoim pociesznym basem: Pan nie obędzie się bez Niewolnicy, a Niewolnica bez Pana.

Kiedy już było po wszystkim, zagrali mariachis, a dwaj chłopcy wprowadzili na mokry trawnik osiołka objuczonego dzbanami z tequilą. Meksykanie rzucili się hurmem do wielkiego białego namiotu i usiedli gdzie popadnie, rujnując nasz pieczołowity plan rozmieszczenia gości przy stołach. Hipsterski didżej z Dystryktu Federalnego zapuścił na początek technocumbię i Péreza Prado,

co spowodowało masową ucieczkę posuniętego w latach towarzystwa Juanity do zaparkowanych przed hacjendą samochodów; wrócili czym prędzej, przynosząc płyty Beatlesów i zespołu ABBA, które didżej, choć zrazu protestował – „W takim razie nie mówcie, że na waszym weselu miksował DJ OXO” – pokornie wprowadził do swojej playlisty na resztę imprezy. Tańczyliśmy do białego rana. W myśl meksykańskiej tradycji obsługujący wesele kelnerzy próbowali upić nowożeńców w sztok, co musiało niegdyś uchodzić za okoliczność niezwykle pożądaną, bo panna młoda powinna zachować dziewictwo aż do nocy poślubnej. Ilekroć się odwróciłem, kelner napełniał mi szklankę tequilą. W pewnej chwili poczułem się jak zwierzyna łowna. Kiedy gramoliliśmy się z Aurą do jednej z furgonetek rozwożących gości z powrotem do San Miguel, padłem plecami w błoto i dostałem ataku śmiechu.

Pewien bogaty znajomy Juanity z Guadalajary sprezentował nam skrzynkę tequili. Zaprzyjaźniony restaurator z Condesy sprzedał mi wino po cenie hurtowej. I tak dalej. W ten sposób przetrwaliśmy jakoś to huczne wesele. Udana impreza przyczyniła się do wzmocnienia więzi rodzinnych, złagodziła wzajemną nieufność i chyba choć trochę uspiła matczyne obawy Juanity. Mimo że Aura wciąż powtarzała, że równie dobrze moglibyśmy wziąć ślub w ratuszu.

Jak będzie teraz, skoro jesteśmy już po ślubie? Czy coś powinno się zmienić? Z początku byliśmy trochę skołowani i onieśmieleni, co objawiło się skrępowaniem w pierwszych dniach naszej podróży poślubnej, którą spędziliśmy w ustronnym ośrodku ekoturystycznym z własną wylęgarnią żółwi, nad brzegiem Pacyfiku w stanie Nayarit. Cóż za piękny słoneczny poranek! Czas

potraktować serio nasz miesiąc miodowy i poczytać jakąś poważną książkę w hamaku! Na drugi dzień wybraliśmy się pojeździć konno. Wierzchowiec ponióśł mnie w dół plaży, ignorując moje wrzaski i szarpanie za wodze. Ton komediowy znów wkradł się w tę opowieść: Aura wspominała z rozbawieniem, jak bezradnie telepałem się w siodle, przy wtórze rechotu kowboja, który zabrał nas na przejażdżkę. Nasza *cabaña* stała tuż nad oceanem, oświetlana w nocy tylko świecami i lampami olejowymi; nie było elektryczności. Wokół roiło się od niebieskich krabów; zaganialiśmy je w kął i robiliśmy im zdjęcia, kiedy wymachiwały swoimi samurajskimi szczypcami. Była też laguna, którą wieczorem przepływaliśmy w łódce wiosłowej, żeby dotrzeć na kolację. W salonie piliśmy margaritę i graliśmy w scrabble, używając słów zarówno angielskich, jak i hiszpańskich. Aura potrafiła jednocześnie grać w scrabble i czytać rozłożoną na kolanach książkę. Inni hotelowi goście trzymali się również we własnym gronie. Wyglądali jak gwiazdy rocka albo podrzędni gangsterzy z branży finansowej na dawno wyczekiwany urlopie: bez względu na porę dnia w ciemnych okularach i czapkach bejsbolowych z daszkiem naciągniętym na oczy, zawsze z dala od słońca. Fale były zbyt wysokie i niebezpieczne, żeby się kąpać; na plaży hotelowej obowiązywał zakaz wchodzenia do wody. Był za to basen imitujący fragment wybrzeża. I tak wybrałem się raz popływać w oceanie, choć uczciwiej byłoby przyznać, że wbiegłem na tyle głęboko, żeby zanurkować pod falą, po czym wybiłem się na powierzchnię i próbowałem walczyć z prądem, lawirując między skałami. Kiedy wyszedłem na plażę, portier popatrzył na mnie z dezaprobatą. Wskazał palcem na znak i przywołał mnie do porządku, *está prohibido nadar, señor*.

Choćby nie wiem co, wyznała Aura swojej przyjaciółce Marianie, zawsze można było na mnie liczyć. Czuła się ze mną bezpiecznie. Troszczyłem się o nią. Prędzej bym sam zginął, niż pozwolił, żeby jej się coś stało, powiedziała Aura do Mariany w mieście Meksyku, kilka dni przed naszym wyjazdem do Mazunte w lipcu 2007 roku, i właśnie dlatego była tak szczęśliwa w naszym małżeństwie.

A przecież niewiele brakowało, żeby wiosną tamtego roku przeze mnie zginęła. Wybraliśmy się do New Bedford, gdzie chciałem zrobić kwerendę do swojej nowej powieści. Podobnie jak większość nowojorczyków, którzy nie jeżdżą po mieście, rzadko siadam za kółkiem. Prowadzę teraz bardziej nerwowo niż w czasach, kiedy regularnie korzystałem z samochodu, choć jako kierowca czuję się nadal dość pewnie. W Meksyku woziliśmy się małym czerwonym hatchbackiem marki Chevrolet, który na co dzień stał w garażu u Juanity. Zawsze prowadziła Aura, przedzierając się przez tutejsze korki jak wodny chrząszcz pływak. Na podróż do New Bedford wynajęliśmy jednak SUV-a i ja usiadłem za kierownicą. Przegapiłem zjazd, straciłem głowę i postanowiłem skręcić w ostatniej chwili, odbijając gwałtownie na prawy pas. Samochód, któremu zajechałem drogę, zahamował z piskiem opon, kierowca wcisnął klakson, oburzeni użytkownicy autostrady obrzucili mnie wściekłym wzrokiem, zewsząd dobiegały okrzyki: „Ty chuju pierdolony!”.

Aura siedziała w fotelu pasażera i w razie czego samochód uderzyłby prosto w jej drzwi. Zszokowana, wygarnęła mi po angielsku, ty idioto, ty ciężki kretynie.

Nigdy nie zwracała się do mnie z taką pogardą. Zawstydzony, pojechałem dalej prosto, udając, że wcale nie miałem zamiaru skręcić. Aura odezwała się dopiero po kilku minutach, mamrocząc

pod nosem przeprosiny, wcale tak nie myślę. W takich sytuacjach ludzie plotą, co im ślina na język przyniesie. To adrenalina, powiedziała.

Ty idioto, ty ciężki kretynie. Nie mogłem wyprzeć tych słów z pamięci; wciąż mi chodziły po głowie, ilekroć je sobie przypominałem, robiło mi się znów smutno. Zachowałem się jak idiota, jak ciężki kretyn, próbując skrócić bez oglądania się na sąsiedni pas ruchu. Przecież tylko przegapiłem zjazd, skąd taka paniczna reakcja?

24.

Wyjąłem z kuchennej szuflady paczkę zostawionych przez Aurę cameli light, znalazłem jakieś zapałki, włożyłem kurtkę puchową i wyszedłem na dwór. Było już po dziesiątej w nocy, przy gruncie łąpał mróz; kiedy usiadłem na schodach, poczułem przez spodnie kłujący chłód betonu, jakbym dotknął bryły suchego lodu. Na kilku zaparkowanych samochodach wciąż piętrzyła się warstwa śniegu z ubiegłego tygodnia, inne, jeszcze nieodśnieżone, tkwiły w zaspach jak statki uwięzione wewnątrz gór lodowych, ale na chodnikach i środku jezdni zostały tylko brudne, zmarznięte resztki śniegowej brei. Zapaliłem papierosa. Po wewnętrznej stronie żelaznego ogrodzenia, przy bramie zastawionej kubłami na śmieci, stał przyczepiony do czarnych prętów rower Aury, na wpół zakopany w śniegu, pozbawiony siodełka, zardzewiał. Nie mogłem znaleźć kluczyka do blokady. Co kilka tygodni ktoś kradł z niego siodełko. Gdzie są te wszystkie siodełka? Dokąd może trafić takie skradzione siodełko rowerowe? Czy ktoś w Mołdawii jeździ teraz na siodełku Aury? To był pierwszy papieros, jaki zapaliłem od trzynastu lat. Zaciągnąłem się i zacząłem kaszleć. Zaciągnąłem się jeszcze raz i zatrzymałem dym w płucach. Zawroty głowy; poczułem mdłości i świat zawirował mi przed oczyma. Palce i uszy rozbolały mnie z zimna. Zerknąłem w głąb ulicy, na czarne, poskręcane konary i wiotkie gałęzie drzewa Aury, rozświetlone blaskiem księżyca. Minęło mnie dwóch dostawców rowerowych w kurtkach narzuconych na bluzy z kapturem, opony chrzęszczące na lodowym błocie, ciche, szczebiotliwe odgłosy meksykańskiej hiszpańszczyzny,

co drugie słowo to „güey”. Chcę odzyskać swoją przyjaciółkę, pomyślałem; rozumieliśmy się bez słów i tworzyliśmy zgraną parę. Z jednej strony mam już dość ludzi, którzy nie wiedzą, jak to jest, z drugiej – nikomu nie życzę podobnych doświadczeń. Zdusiłem papierosa Aury i zapaliłem następnego. Jeśli masz kobietę, nie pozwól jej odejść; nie pozwól jej odejść, moja dobra rada dla wszystkich, którzy jeszcze żyją. Wdychaj jej zapach, wetknij jej nos we włosy, zaciągnij się jej zapachem. Mów do niej po imieniu. To zawsze będzie jej imię. Nawet śmierć go nie odbierze. Czy jest żywa, czy martwa, zawsze to samo. Aura Estrada.

25.

It's so cold in Alaska...

Miałaś zostać gwiazdą rocka. Nie zdawałaś sobie jeszcze z tego sprawy, ale miałaś rzucić Columbię – mnie pewnie też byś porzuciła – by oddać się obleśnym urokom życia w drodze i choćby niszowej popularności. Raul, ten chłopak, którego poznałaś w mieście Meksyku i który później również studiował na Columbi, na wydziale architektury, właśnie założył zespół i występował z nim po klubach w Nowym Jorku i na północnym wschodzie Stanów. Muzycy uznali, że do wzniesienia się „na wyższy poziom” brakuje im żeńskiego wokalu, postanowili więc zorganizować przesłuchania. Raul namówił cię, żebyś spróbowała. Na kilka dni zatrzasnęłaś za sobą przeszklone drzwi sypialni, siedziałaś na podłodze z laptopem i śpiewałaś przy wtórze tej piosenki:

Stephanie says...

It's so cold in Alaska...

Wiedziałem, że cię wybiorą. Nie miałaś jakiegoś szczególnie pięknego głosu, ale nie w tym rzecz. Wystarczyło, że potrafiłaś utrzymać się w tonacji i cichutko melorecytować słowa, no dobrze, trochę jak Nico. Jestem pewny, że chodziło im przede wszystkim o twoją twarz, o to, że wyglądałaś jak meksykańska Björk. Musiałem się z tym pogodzić. Obiecałem sobie, że nie zmienię się w karykaturę zaborczego starszego kochanka. Przecież nie chciałaś się związać z jakimś Tommym Mottolą. Poza tym nie sądziłaś, że rozstaniemy się tylko dlatego, że zostałaś rockmanką, po prostu będziesz teraz czasem wyjeżdżać sama na weekendy i próbować

z zespołem. Wiedziałem, czym to się może skończyć i czym prawdopodobnie się skończy, ale trzymałem gębę na kłódkę.

Było to naszej pierwszej zimy, w ponure, sobotnie lutowe popołudnie. Odprowadziłem cię na przesłuchanie na Lower East Side, gdzie zespół wynajął studio nagraniowe. Czekałem na ciebie w kawiarni obok Tenement Museum. Usiadłem przy oknie, popijając kawę, wmawiając sobie, jak się cieszę z twojego sukcesu, śpiewając sobie w myślach *Stephanie Says*, najsmutniejszą na świecie piosenkę na pożegnanie. Ogarnął mnie żal, nie z tych szarpiących wewnętrżności, ale tamtego dnia położył się na mnie drapieżnym cieniem jak majająca w oddali sylwetka rekina. Wszystko miało się zmienić. Musiałem się z tym pogodzić. W końcu przyszłaś do kawiarni, z głupkowatą miną, usiadłaś koło mnie, upiłaś łyk kawy z mojej filiżanki – zostawiłaś na jej kremowym brzegu zaskakująco wyraźny ślad karminowej szminki – ugryzłaś spory kawałek z drugiej zamówionej przeze mnie porcji ciasta marchewkowego, twój szeroki, odsłaniający przerwę między zębami uśmiech zmienił się w grymas zażenowania, po czym oznajmiłaś wesoło, *¿Te cae, güey?* Raul mówi, że mój głos jest okropny i że nie mam pojęcia o śpiewaniu. Ale potraktowali mnie miło. Och, dziewczyna, która weszła przede mną, była naprawdę wspaniała, powinni ją wziąć. Zarejestrowali nasze występy na wideo. Frank, musimy od nich wyciągnąć tę taśmę i ją zniszczyć.

Powiedziałem, że byłaś bardzo dzielna, bo jednak spróbowałaś, że jestem z ciebie dumny, że uwielbiam, jak śpiewasz *Stephanie Says*, i oddałbym wszystko, żeby obejrzeć to wideo.

Zawsze miałaś przecucie, że zostaniesz gwiazdą, w tej czy innej dziedzinie. Nie opuszczał cię jednak strach, że to przecucie może się okazać fałszywe. Że mimo tych wszystkich kursów, studiów

na kolejnych uczelniach, przeczytanych książek, opanowanych języków, coraz to nowych stypendiów, pracy magisterskiej o Borgesie i pisarzach angielskich, i tak dalej, nie będziesz nikiem wyjątkowym, nie wykażesz się żadnym szczególnym talentem. Rozpaczliwie szukałaś czegoś, co byłoby wyłącznie twoją domeną. Mnie miałaś na wyłączność, ale nie o to ci chodziło.

26.

„La Casa Grande”, tak nazywaliśmy Columbię, a na studia pisarskie mówiliśmy „La Casa Chica”, zgodnie z meksykańskim żargonem, w którym pierwsze określenie oznacza dom, gdzie mężczyzna mieszka z żoną i dziećmi, drugie zaś – miejsce schadzek z kochanką. Przez trzy dni w tygodniu Aura prowadziła ćwiczenia dla słuchaczy studiów licencjackich na Columbii, pracując jednocześnie nad doktoratem i pomagając w organizowaniu finansowanych przez wydział konferencji naukowych. Dwa razy w tygodniu miała wieczorne zajęcia na studiach pisarskich, przyjmowała też mnóstwo zaproszeń na odczyty i zamówień na kolejne teksty. Była otwarta na wszelkie propozycje od redaktorów czasopism meksykańskich, o czasie do czasu zamieszczała recenzje książkowe w prasie anglojęzycznej. Czy można podjąć się tylu zobowiązań bez szkody dla zdrowia psychicznego? Niezupełnie.

Przekonywaliśmy się nawzajem, że musimy sobie zrobić wakacje. W tym roku spędzimy dwa tygodnie w Mazunte – na naszej ulubionej plaży nad Pacyfikiem. Żadne z nas nie siedziało dotąd na plaży dłużej niż tydzień. Nasz miesiąc miodowy trwał sześć dni.

Tylko kilkoro najbliższych przyjaciół z Columbii wiedziało o studiach pisarskich Aury. Gdyby rzecz wyszła na jaw, prawdopodobnie usunięto by ją z uczelni; być może nawet deportowano albo wytoczono by jej proces. Widmo deportacji prześladowało nas jak nocny koszmar. Aura przebywała w Stanach na mocy wizy studenckiej, wydanej za pośrednictwem Columbii, co będzie, jeśli uczelnia ją cofnie? W odniesieniu

do nieudokumentowanych studentów City College trzymał się zasady „nie pytaj, nie mów”: urzędnicy imigracyjni nie powinni wtykać nosa w nie swoje sprawy. Małżeństwo z obywatelem Stanów Zjednoczonych nie gwarantowało już przyznania zielonej karty, uprzedzono nas zresztą, że procedura ubiegania się o ten dokument jest teraz wyjątkowo czasochłonna i obwarowana licznymi warunkami. Zdawaliśmy sobie sprawę, że warto by zatrudnić jakiegoś specjalistę od prawa imigracyjnego, do tej pory jednak ograniczyliśmy się do przyklejenia na drzwiach lodówki kartki z numerem telefonu prawnika, którego polecił nam Silverman.

W City College Aura nie musiała robić tajemnicy ze swojego doktoratu na Columbii, ale starała się o nim jak najrzadziej wspominać. Już wkrótce się przekonała, że większość jej kolegów ze studiów nie przepada za czytaniem. A jeśli już cokolwiek czytają, to przeważnie tę samą amerykańską sieczkę beletrystyczną, ewentualnie jakichś Brytoli, Irlandczyków i co im tam w ręce wpadnie. Kiedy Słynny Australijski Pisarz zadał im w ramach ćwiczeń lekturę pierwszego rozdziału *Portretu damy*, żeby dać przykład, „jak wprowadzać kolejne postaci i przedstawiać łączące je relacje”, zaczęły się narzekania. Co to ma być? Nudne i staroświeckie. Jak się na tym uczyć współczesnej techniki punktów widzenia? A jednak Aura i jej przyjaciółka Wendy pogрузyły się w tej lekturze bez reszty; spotkały się wieczorem przed zajęciami, żeby prześledzić tekst linijka po linijce. Powrót do takiego modelu czytania, żeby każde słowo niosło z sobą znaczenia i emocje, których nie trzeba tłumić, okazał się dla Aury objawieniem. Myślę, że podjęcie studiów pisarskich pozwoliło jej spojrzeć świeżym okiem na stypendium Columbii, zrozumieć, że dopiero połączenie jednego z drugim zapewni jej to, czego się spodziewała po studiach

doktoranckich. Jej angielszczyzna stała się bardziej wyrazista, wolna od niejasności spowodowanych użyciem obcego języka; Aura nabrała śmiałości w pisaniu.

I pomyślałaś sobie, no jasne! Bóg ulubiłby harfę i akordeon Baby D tak samo, jak ulubił sobie androgyniczną muzykę aniołów; pewnie odkryjesz prawdę, kiedy trafisz do nieba po występie z Biurem Szanghajskim. Pewnie otworzysz szafkę w niebie i znajdziesz swój kostium niedźwiedzia.

To z jej pracy na zaliczenie ćwiczeń u Słynnego Australijskiego Pisarza, a kiedy Aura czytała ją na głos, w sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał, studenci zmieszani, wyraźnie pod wrażeniem; i znów poczułem, że serce mi pęka, poczułem jeszcze dobitniej niż rok później, kiedy Słynny Australijski Pisarz czytał tekst na głos podczas ceremonii pamiątkowej – „urywek... urywku... urywku z życia”, jak go nazwał – ten urywek z życia, który wciąż był dla mnie wszystkim.

Czytanie jej doktoratu szło mi jednak jak po grudzie. Tym razem Aura była jak motyl, który się klei do lepu na muchy, albo łyżwiarka figurowa pieczołowicie wykonująca wszystkie elementy obowiązkowe w programie krótkim: „performatywność w kryzysie”, „larwalny faszyzm podmiotowości”, prawa rynku, globalizacja i tak dalej. Ale niektóre idee, między innymi refleksja Deleuze’a, że literatura jest częścią tej samej choroby, którą zwalcza, znajdują żartobliwe ujście w jej prozie, na przykład w opowiadaniu *Belgijski artysta*, którego bohater czyta *Historię zarazków*, a gdy w jego mieszkaniu, zastawionym po sufit książkami, pojawia się młoda kobieta, oznajmia od progu: „Nie znoszę książek. Robię się po nich nerwowa”. Aura pracowała nad powieścią, zaczęła też regularnie publikować swoje teksty: esej o Bolaño i Borgesie, przyjęty z uznaniem w kręgach młodych literatów nowojorskich, inne opowiadania. Jeszcze tej samej wiosny, w maju, w artykule dla

magazynu „Gatopardo”, czegoś w rodzaju latynoskiego „Vanity Fair”, przedstawiła sylwetkę meksykańskiego krawca z Nashville, który projektował ubrania dla Elvisa, ale też dla Dylana. Po raz pierwszy się zdarzyło, żeby redakcja wyekspediowała ją dokądś samolotem. Obejrzałem zdjęcia Aury z Nashville, z dorocznego przyjęcia urządzanego przez krawca z okazji Cinco de Mayo, wyglądała tak spokojnie i tajemniczo, jakby była u siebie, w przeciwieństwie do tych wszystkich południowców w modnych, wsiowych ciuchach, ludzi, wśród których zawsze czułem się obco.

A mimo to, kiedy zbliżały się jej trzydzieste urodziny, nic z tego – kilka publikacji, praca, ambicje – nie spełniało jej oczekiwań. Aura potrafiła wyrecytować z pamięci nazwiska wszystkich pisarzy ze swego pokolenia, którzy zdążyli przed trzydziestką wydać powieść, zbiór opowiadań bądź esejów po angielsku albo hiszpańsku, i zaczęła doprowadzać nas oboje do szaleństwa tymi rankingami. Aura, kochanie, powinnaś przewyciężyć tę rozpacz. Ci wszyscy pisarze nie zaczęli w wieku dwudziestu kilku lat zbierać materiałów do doktoratu, na którym im wcale nie zależało, powtarzałem jej w kółko. Poświęcili przynajmniej część swojego czasu na pisanie. I w porządku! Zaczęła trochę późno, ale szło jej znakomicie! Więcej niż znakomicie! Czy nie zdawała sobie sprawy jak znakomicie? Czyżby nie docierało do niej, że wszyscy doceniają jej talent?

Cóż, może nie wszyscy. Kilku studentów zjechało ją z góry na dół i mocno to przeżyła. (Chodzi o opowiadanie opublikowane pośmiertnie nie gdzie indziej, tylko w „Harper’s Magazine”). Potrafiła się zafiksować na jednym nieprzychylnym komentarzu, który przesłaniał jej wszelkie pochwały.

Jeszcze tego lata, *mi amor*, dwa tygodnie na plaży w Mazunte.

Wynajmiemy domek nad morzem. Już za trzy miesiące!

Żyła w takim stresie, że budziła się co rano przed świtem i później nie mogła już zasnąć. Wstawała z łóżka rozbita i wyczerpana. Zdarzało jej się nasypać kawy do ekspresu i zapomnieć o dolaniu wody przed włączeniem; albo wlać samą wodę i zapomnieć o kawie. Może to normalne, kiedy się kończy trzydzieści lat? Zadzwoiła do Loli, która też miała wkrótce przekroczyć trzydziestkę, i spytała, co jej najpierw przychodzi do głowy, kiedy budzi się nad ranem, a Lola odparła, pójść do łazienki na siusiu.

Co gorsza, pracowałem akurat nad własną książką, mogłem więc sprawiać wrażenie obojętnego i pochłoniętego swoją robotą. Aura siadała czasem przy biurku w drugim pokoju i waliła na oślep w klawiaturę laptopa, żeby zagłuszyć odgłos mojego pisania. Była wściekła i urażona, że nie poświęcam jej dostatecznie dużo uwagi. Dzień w dzień urządzała mi awantury, że nie posłałem łóżka, nie spłukałem zlewu po myciu naczyń albo zostawiłem odsuniętą szufladę w komodzie. Mój grafik nie był aż tak napięty jak Aury, ale mnie też goniły terminy. Prowadziłem zajęcia na dwóch wydziałach i musiałem nadrobić zaległości z książką, która w maju powinna już trafić do wydawnictwa. Był to obszerny reportaż o pewnym morderstwie politycznym w Ameryce Środkowej, które stało się przedmiotem głośnego procesu ujawniającego związki zabójców z przestępczością zorganizowaną. W grę wchodziła przemoc na ogromną skalę – świadkowie, potencjalni świadkowie i inne osoby zamieszane w sprawę padały ofiarą zamachów albo ginęły bez wieści – z udziałem rzeszy bezwzględnych łotrów i psychopatów, w tym osób, z którymi miałem do czynienia osobiście, choć z pozoru starałem się trzymać od nich na dystans. Etap zbierania materiałów był już właściwie zamknięty; wiosną zrobiłem ostatni krótki wypad w teren i od tamtej pory śledziłem

rozwój wydarzeń w internecie. Praca nad książką ingerowała czasem w moje życie wewnętrzne, i to w sposób nieznośny, wpędzając mnie w tępą, szaleńczą obsesję, budząc gwałtowne emocje, nasilając poczucie zanurzania się w świecie, przed którym za wszelką cenę chciałem obronić Aurę. Obawiałem się też zemsty, bałem się morderców, którzy być może wiedzieli, że najprościej się ze mną rozprawić, wyrządzając krzywdę Aurze. Nic na to wprawdzie nie wskazywało, ale świadomość, że w razie czego bez trudu osiągną nas w Meksyku – część z nich miała powiązania z gangami narkotykowymi, z *Cártel del Golfo* i *Los Zetas* – domagała się podjęcia odpowiednich środków zaradczych. Premierę książki zapowiadano na jesień, więc powiedziałem Aurze, że będą to nasze ostatnie wakacje w Meksyku przed co najmniej dwuletnią przerwą. Uznałem, że za trzy lata moi najwięksi wrogowie, o ile jeszcze będą żyli, znajdą sobie jakieś świeższe cele.

W następne wakacje wybierzemy się do Francji; jakoś sobie poradzimy, obiecałem. To lato spędzimy w Meksyku, w tym dwa tygodnie w Mazunte, w wynajętym domku na plaży; to też jej obiecałem. Tymczasem okazało się, że Aura wcale nie jest pewna, czy nawet w te wakacje chce jechać do Meksyku. Wciąż powtarzała, że woli spędzić przynajmniej jedno lato w Nowym Jorku. Powiedziałem, że lato w mieście jest okropne, upalne, hałaśliwe, smrodliwe, na co ona odparła, że zamierza sama się o tym przekonać i że bym nie psuł jej przyjemności tylko dlatego, że mieszkam tutaj od lat. Jej znajomi uwielbiali nowojorskie lato! Aura znów zaczęła poruszać temat przeprowadzki do innego mieszkania, z dostępem do ogrodu, żebyśmy mogli sprawić sobie psa. Godzinami przeglądała ogłoszenia w serwisie Craigslist, szukając ofert dla lokatorów ze zwierzętami. Tak naprawdę chciała się wreszcie zająć własnymi sprawami, skupić całą swoją energię na pisaniu.

Powinienem był się domyślić, że właśnie dlatego nie chciała jechać do Meksyku. Nawet jeśli nie mogła uwolnić się od przeświadczenia, że lepiej spędzić to lato z matką – a sądzę, że nie mogła, choć może właśnie mogła? – powinienem ją namówić, żebyśmy pojechali tam najwyżej na miesiąc. Trzeba było tam w ogóle nie jechać. Trzeba było jej pozwolić, żeby choć raz wyzbyła się wszelkich skrupułów i zachowała samolubnie, o czym zapewne marzyła od dawna. Mogłem wynająć mieszkanie z wyjściem do ogrodu, w tańszej dzielnicy. Nasi sąsiedzi z dołu wyprowadzili się w kwietniu i opuszczony przez nich lokal był przez krótki czas dostępny. Mieliliśmy pięć dni do namysłu, trzeba było skorzystać z okazji. W ogródku rosły róże, dwie jabłonki, drzewko figowe i krzewy ozdobne, były też rabatki kwiatowe i grządki warzywne, po ogrodzeniu pięła się winorośl, większość zieleni wymagała stałej pielęgnacji, więc i tak nie moglibyśmy wyjechać na wakacje, bo trawa by żółkła, klomby zarosłyby chwastami i wszystko by uschło bez podlewania. Tyle że za tamto mieszkanie musielibyśmy płacić miesięcznie o tysiąc dolarów więcej niż za nasze. I nie wolno było trzymać w nim zwierząt. Nie, *Oo-rra*. Chciałem wyjechać do Meksyku. Sędzio wszechświata, jeśli szukasz we mnie winy, obwiń mnie właśnie o to. Tamtego lata powinniśmy byli zostać w Nowym Jorku i zająć się naszym ogrodem. *¿Le gusta ester jardín?*

Aura zamartwiała się nieustająco, że Rodrigo porzuci jej matkę. Ojczym upatrywał źródło wszelkich kłopotów małżeńskich w coraz większej skłonności Juanity do kieliszka, a przecież nie tylko o to chodziło. Aura z narastającym uporem namawiała matkę do skorzystania z pomocy specjalisty. Kłóciły się o to zajadle, podczas niemal codziennych rozmów przez telefon i na czacie internetowym. Pewnego wieczoru po naszym przyjeździe na ferie

bożonarodzeniowe Juanita i Rodrigo dołączyli do nas w jednej z kantyn w dzielnicy Condesa. Siedzieliśmy przy dużym okrągłym stole i piliśmy z przyjaciółmi. Kiedy przyszła pora się zbierać, Juanita wychyliła się z krzesła i zgarnęła ze stołu wszystkie szklanki, żeby dopić z nich resztki; skupiała się na każdym drinku jak bilardzista, który próbuje wbić bilę do łoży. Jaime, obdarzony głębokim basem Hiszpan, wymamrotał pod nosem jakiś dobroduszny żarcik, *ay, caray*, ubiegła mnie spryciara, czy coś w tym rodzaju. Aura próbowała zachować kamienną twarz, ale wyzierające z jej oczu gniew i upokorzenie ugodziły mnie w serce jak sztylet. Patrząc na jej zszarzałe policzki, zacięty wyraz twarzy, smutny, raptownie otrzeźwiający wzrok, zesnurowane i wygięte w podkówkę usta, dostrzegłem w niej podstarzałą kobietę, której życie okazało się pasmem gorzkich rozczarowań. Obrzuciła wściekłym spojrzeniem bezradnego, ogarniętego poczuciem winy ojczyzna, po czym stanęła u boku matki. Co najmniej rok wcześniej Rodrigo zostawił na tylnym siedzeniu w samochodzie Juanity broszurowy poradnik dla rozwodzących się małżeństw; wciąż tam leżał, jak śpiący skunks, którego nikt nie miał odwagi zbudzić. Aura była przekonana, że u sedna nałogu matki tkwi lęk przed porzuceniem przez męża, a oprócz tego wciąż niezabliźniona rana po nagłym rozstaniu z własną matką. Na domiar złego Aura przeprowadziła się do Nowego Jorku, zmieniła się w prawdziwą kobietę, wyszła za mąż, realizowała swoje ambicje i miała teraz mniej czasu dla niej. O życiu Juanity decydowały samotność, poczucie wyobcowania, bezradność i lęk, osaczające ją ze wszystkich stron. Mimo ponawianych przez Rodriga insynuacji i gróźb Aura nie była do końca pewna, czy ojczym zdobędzie się na decyzję o rozstaniu, choćby dlatego, że nie zarabiał wystarczająco dużo, by zapewnić sobie w miarę godziwe utrzymanie. Niemal każdy

weekend spędzał poza domem, później zaczął wyjeżdżać także w weekendy. Zadbany, wciąż wyglądał młodo; aż trudno uwierzyć, że nie miał żadnej kochanki. Gdziekolwiek się pojawił, epatował bierną agresją, popisując się beznamiętnym, maczystowskim okrucieństwem. A jednak widoczne było, że jest wciąż przywiązany do Juanity, która dawała mu coś więcej niż tylko dach nad głową. Miała w sobie niezaprzeczalny woltaż, pod który mężczyzna o tak niskiej mocy po prostu musiał się podczepić. Potrafiła go trzymać w napięciu.

Ale zwróciliśmy też uwagę, że Rodrigo, teraz już dziadek, wolałby poświęcać więcej czasu wnukom – dwójce chłopców w wieku czterech i dwóch lat oraz świeżo narodzonej dziewczynce. Kiedyś spędzał wakacje z Juanitą i Aurą, wykorzystując każdą chwilę, żeby dyskretnie porozmawiać przez telefon albo wymknąć się dokąds z wyklętą przed laty córką Katią, kiedy jednak przyszły na świat wnuki, priorytety mu się zmieniły. Aura się zamartwiała, że rosnące przywiązanie do własnej rodziny, na przekór Juanicie, która wciąż nie chciała przyjąć do wiadomości, że Katia w ogóle istnieje, prędzej czy później doprowadzi do ostatecznego rozstania ojczyma z jej matką. Gdyby dało się wszystkich zjednoczyć, przynajmniej na czas świąt – Bożego Narodzenia, Dnia Ojca – może Rodrigo by jednak nie odszedł? To ja wpadłem na ten pomysł i w porozumieniu z Aurą podzieliłem się nim z Rodrigiem. Tak zaczęły się nasze potajemne spotkania z ojczymem i Katią. Odgrywałem rolę wysłannika w tej doniosłej misji dyplomatycznej. Aura nie widziała się z siostrą przyrodnią od dwunastu lat. Nalegała, by rzecz całą utrzymać w sekrecie przed matką. Do tej pory udało nam się dwukrotnie umówić z Katią i Rodrigiem, poprzedniego lata i zimą, za każdym razem w innej restauracji. Katia przychodziła z mężem, kierownikiem średniego szczebla w międzynarodowej fabryce

sprzętu gospodarstwa domowego na obrzeżach miasta. Wyglądali jak typowe młode małżeństwo na dorobku: na pierwszym spotkaniu Katia pojawiła się w szarej sukience bez rękawów z białą bluzką pod spodem, w dyskretnych złotych kolczykach i naszyjniku do kompletu; jej mąż miał na sobie szkarłatny sweter i luźne ciemne spodnie. Katia wciąż sprawiała wrażenie radosnej nastolatki, najpopularniejszej dziewczyny w klasie. Jej długie kasztanowe włosy były lśniące i schludnie uczesane. Uśmiechała się do nas przyjaźnie – przynajmniej tak mi się wydawało – ale w jej żywym spojrzeniu dało się wyczuć pewną rezerwę. Gdzieś na dnie duszy czaiła się ciemność wyniesiona z dzieciństwa, z lat rozkapryszonej młodości, o których prawdopodobnie nie rozmawiała już z nikim poza doktor Norą Banini. Myślę, że właśnie dlatego poczułem do niej sympatię; zaintrygowała mnie. Ja też wolałem trzymać swą przeszłość w tajemnicy. Oboje nauczyliśmy się żyć w zgodzie z samym sobą i ciężko zapracowaliśmy na swoją obecną sytuację. Powiedziałem Aurze, że nie mogę zrozumieć rodziców, nawet przyszywanych, którzy potrafią wyrzucić z domu dziewiętnastoletnie dziecko i od tamtej pory nie podjąć żadnych prób pojednania. Chociaż Katia nie miała zamiaru nikomu przebaczać, nigdy też sama nie szukała przebaczenia. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z jej dziecięcego okrucieństwa wobec młodszej siostry; dowiedziałem się o tym dopiero później, od Fabis i z dzienników Aury.

Katia, mimo prób powściągnięcia emocji, była wyraźnie zadowolona z naszego pierwszego spotkania. Zwróciliśmy się do niej o pomoc w uratowaniu małżeństwa Juanity. Dała nam do zrozumienia, że w zasadzie nie ma nic przeciwko temu. Spojrzała przez stół na Aurę i rzekła, że się stęskniła za swoją siostrzyczką. Aura odwzajemniła jej uśmiech, przyznała, że też się za nią tęskniła,

po czym usiadła głębiej w fotelu. W sprzyjających okolicznościach, powiedziała Katia, moglibyśmy się spotkać wszyscy razem przy okazji świąt Bożego Narodzenia, ale... ale... Żeby ją ośmielić, wygłosiłem płomienną mowę w obronie jedności rodziny, przedstawiając się jako „bardzo rodzinny człowiek”. Rodrigo i Aura popatrzyli na mnie ze zdumieniem. Aura wykrztusiła ze śmiechem, że co? Poczułem, że się rumienię. Przecież wiedzieli, że nigdy nie stawiałem rodziny na pierwszym miejscu, że nikt z moich krewnych nie pojawił się na naszym weselu i że guzik mnie to obchodziło. Mogłem wówczas powiedzieć, zrozum, próbuję zachować się jak dyplomata, nie robię z siebie Mojżesza ani Jezusa. Tymczasem odparłem, chodzi mi o to, że stawiam rodzinę na pierwszym miejscu, myśląc o t o b i e, t w o i c h bliskich i o n a s z e j rodzinie, tak jest teraz i zawsze tak będzie. Katia się ożywiła: Aura, będziesz miała dziecko? Neeee, zaprotestowała Aura, jeszcze nie. Kiedyś, wszedłem jej w słowo, Aura przytaknęła, Rodrigo obdarzył nas czułym uśmiechem i zawołał radośnie: *órale!*

Naszą propozycję odrzucił mąż Katii. Ten elegancki mężczyzna, o silnej osobowości i dość ponurym usposobieniu, kiedy miał coś do powiedzenia, mówił to otwarcie. Po co mają brać na siebie takie ryzyko? Wiedział, że Juanita ma trudny charakter. Z jakiej racji miałby narażać swoją żonę i dzieci, spokój s w o j e j rodziny, i to jeszcze w święta, na starcie z taką kobietą? Powiedzmy sobie szczerze, teraz już na to za późno. Katia nie ma żadnego interesu w ratowaniu małżeństwa swojego ojca, wręcz przeciwnie, dla niej byłoby lepiej, gdyby ten związek się rozpadł. Aura zmieniła się na twarzy – jakby dostała mdłości po pochłonięciu za jednym zamachem całej kanapki z pastrami – co świadczyło dobitnie, że w swoim mniemaniu popełniła błąd i zdradziła matkę, godząc się na udział w tym spotkaniu. Nie musiała nic mówić, mogła

w skrytości ducha cieszyć się własnym sukcesem: to przecież ona zamieszkała w Nowym Jorku, zdała na studia doktoranckie, była na najlepszej drodze, by zostać pisarką, o czym zawsze marzyła. Nie sądzę jednak, by Katia czuła się od niej gorsza, prowadząc życie typowej przedstawicielki klasy średniej, z domkiem na przedmieściach na dobry początek. Miała śliczne dzieci, młodego, kochającego męża, pracę na pół etatu w charakterze analityka danych w agencji badań rynkowych. Na naszym kolejnym spotkaniu mąż Katii oświadczył, że Juanita powinna ją przeprosić i pierwsza wyciągnąć rękę na zgodę. Prawdopodobnie uznał to za ofertę pojednawczą. Gdyby sam na to wpadł, nie byłoby w tym nic złego.

Aura odparła, przyszedłam tu tylko po to, żeby pomóc swojej matce. Gdyby Papi opuścił ją teraz, w tym stanie psychicznym, załamałaby się kompletnie. Jeśli można cokolwiek zrobić w tej sytuacji i wpłynąć na Papi, żeby został z mamą, muszę poprosić was o pomoc. Każdy, kto ją zna – spojrzała Katii prosto w oczy – wie doskonale, że prędzej umrze, niż przeprosi pierwsza.

Katia i jej mąż zgodzili się na dalsze negocjacje w przyszłym roku, kiedy przyjedziemy do Meksyku na wakacje. W końcu i tak wszystko wzięło w łeb. Wiosną, miesiąc przed trzydziestymi urodzinami Aury, Rodrigo odszedł od Juanity. Pewnego przedpołudnia, kiedy była jeszcze w pracy i po powrocie spodziewała się zastać męża w domu, w pośpiechu spakował swoje rzeczy do kartonów, wyniósł je do samochodu i odjechał. Wymknął się jak sznur, powiedziała ich gosposia Ursula, informując o tym Aurę przez telefon. Żeby jeszcze uciekł własnym samochodem: zabrał Aurze jej małego czerwonego chevroleta, którym rozbijał się ostatnio, jakby wóz należał do niego. Gdzie on się teraz podzieje, drwiła Aura, pod mostem? Strojąc sobie żarty, próbowała

zbagatelizować swoją stratę. Mam nadzieję, że Rodrigo będzie dziś dobrze spał pod tym mostem. Nie wiedzieliśmy, dokąd się przeprowadził; przypuszczaliśmy, że do Katii. Z początku byłem zaskoczony, że to drugie z kolei rozstanie matki nie wywarło na Aurze większego wrażenia, nie odnowiło dawnej traumy, potwierdziło jedynie prawdziwość wciąż powtarzanej deklaracji: że w jej życiu liczył się tylko jeden tata. Dla Aury Rodrigo był przede wszystkim „mężem matki”, a teraz przestał nim być. Kilka dni później, w piątek po południu, tuż po zajęciach Aury, wylecieliśmy do Meksyku w pierwszą z dwóch podróży tamtej ostatniej wiosny. W weekendy, zamiast wracać na noc do naszego mieszkania na Escandón, zostawaliśmy z Juanitą. Ja spałem sam, na rozkładanej kanapie w pracowni, Aura spała z matką w jej łóżku.

Podobno nikt nie nocował na Escandón, odkąd Juanita i jej prawnicy kazali mi opróżnić lokal, ale Fabis, która mieszkała po drugiej stronie korytarza, napisała mi w e-mailu, że kilka razy widziała światło w naszej sypialni. Pewnego wieczoru, kiedy wracała do domu ze swoim chłopakiem Juancą, stanęła pod drzwiami, w nagłym porywie uczuć skrobnęła kluczem po stalowej framudze – miały zwyczaj umawiać się w ten sposób na plotki – i zawołała Aurę po imieniu, a wtedy światło nagle rozbłysło i zaraz potem zgasło. Duchy zaklęte w elektryczności, porozumiewające się za pomocą sygnałów świetlnych, czy to nie trąci opowieścią z dreszczykiem? Ostatniego lata wylecieliśmy z Aurą na wakacje 3 lipca. Rok później, kiedy wybrałem się do Meksyku sam, w pierwszą rocznicę jej śmierci, znów leciałem 3 lipca, tym samym wieczornym samolotem z Newark, i prosto z lotniska pomaszerowałem do Fabis.

Mieliśmy jedno poziome okno z szybą z mrożonego szkła,

naprzeciwko drzwi wejściowych, i drugie pionowe, zasłonięte kotarą, w sypialni na antresoli. Kiedy przyszedłem, w środku było ciemno, ale stanąłem pod drzwiami, pogłaskałem je ręką i szepnąłem coś do Aury. Żadnego migania. Fabis mówiła, że widziała te światła zaledwie miesiąc temu. Jakoś nie mogłem uwierzyć, że Juanita wpada tutaj na noc i śpi w naszym łóżku, które zostawiłem na miejscu. W ostatnich tygodniach ktoś jednak odłączył naszą automatyczną sekretarkę. Miesiącami wydzwaniałem z Brooklynu, żeby usłyszeć radosny, schrypnięty głos Aury, aż do dnia, kiedy w słuchawce nikt się nie odezwał. Później już nie próbowałem. Tymczasem Fabis dowiedziała się już wszystkiego od jednej z *tías*. Rodrigo zabrał sekretarkę, żeby zainstalować ją w mieszkaniu, które wynajął gdzieś w centrum. Poza tym wciąż jeździł małym czerwonym chevroletem Aury. W pierwszych tygodniach po jej śmierci dotrzymywał towarzystwa Juanicie; opiekował się nią, jak umiał, ale i tak się nie zeszli. Czyżby wślizgiwał się na noc do naszej sypialni, zanim znalazł sobie jakieś lokum?

Nasz maleńki ogródek na patio był oddzielony od garażu dwuipółmetrową ścianą z betonu przemysłowego. Przekonałem się, że bambusy wybujały ponad krawędź muru, zasłaniając widok na skrzydło budynku dawnej fabryki. Wyrosły aż na wysokość mieszkania nad nami, które też było od tej strony przeszklone, za to nie miało patia. Okno sąsiadów wychodziło więc na nasze bambusy, na subtelną gęstwinę okazałych, zielonych źdźbeł, szeleszczących i odchylających się na boki pod naporem deszczu i wiatru, długich, delikatnych pędów, które wyglądały jak rozcapierzone w powietrzu odnóża modliszek. Nie znałem sąsiadów z góry, ale jestem pewien, że wszyscy w tym domu słyszeli o śmiertelnym wypadku dziewczyny z parteru. Jestem ciekaw, czy

kiedykolwiek myśleli o Aurze, patrząc na nasze bambusy.

* * *

Podczas mszy za duszę Aury w kaplicy domu pogrzebowego Katia weszła bez wahania w rolę siostry, przynajmniej ja tak to odebrałem. Dosłownie przyłgnęliśmy do siebie, a ściślej ona pozwoliła mi do siebie przyłgnąć. Ksiądz stał nad obsypaną kwiatami białą trumną i klepał wyuczoną formułkę, jak to Aura jest szczęśliwa i spokojna, odkąd „skończyło się jej cierpienie i znalazła się wreszcie u boku Pana”, Katia trwała przy mnie, wsunawszy mi rękę pod ramię. Skierowała mnie do kolejki wiernych czekających na komunię, ukląknęłam, otworzyłam usta i po raz pierwszy od dziesięcioleci wziąłem na język leciutki, pozbawiony smaku opłatek. Czułem się później jak idiota, choć przecież nie zrobiłem tego umyślnie; zaprowadziła mnie, chciałem, żeby mnie zaprowadziła, równie dobrze mogłaby mnie zaprowadzić na skraj urwiska. Kiedy zadzwoniłem później do matki i znów usłyszałem, że Aura jest szczęśliwa i spokojna u boku Pana, tak się wkurzyłem, że nie odzywałem się do niej przez kilka miesięcy.

Dwa lata wcześniej, po wypadku, w którym matka złamała sobie biodro, siostry sprzedały dom w Namoset i umieściły ją w domu spokojnej starości na Florydzie, gdzie miała do dyspozycji osobne mieszkanko. Ilekroć do niej przyjeżdżaliśmy, matka zanurzała wątlą dłoń we włosach Aury – miała wtedy długą grzywkę – i mówiła, dlaczego się nigdy nie czesziesz, Auro? Lubisz, jak ci te włosiska spadają na oczy? Daj mi tu szczotkę. Po czym matka kazała Aurze pochylić głowę i pracowicie, w skupieniu, z narastającą frustracją wodziła jej szczotką po włosach. Po kilku pociągnięciach dawała za wygraną, jakby nie miała już siły, wręczała Aurze szczotkę i oznajmiała ze śmiechem, chyba potrafisz się sama uczesać? Albo

sarkała, czemu się tak ubierasz, Auro? Kto to słyszał, żeby zakładać dzinsy pod sukienkę?

Aura mówiła potem: *ay*, Francisco, twoja matka wcale nie jest taką kruchą starszą panią, za jaką chciałyby uchodzić. Oooh, ona uwielbia *joder* – lecieć sobie ze mną w chuja, tak bym to z grubsza ujęła. Aura zawsze zwracała się do niej *señora*. Prosiłem ją, żeby tego nie robiła, że tak to brzmi, jakby matka była jej szefem. Ja nie nazywam twojej matki *señora*, prawda? Mów do niej Yolanda albo Yoly. Aura obiecywała, że już więcej nie będzie, ale następnym razem znów wracała do formy *señora*.

Kiedy Aura miała długie włosy? Kiedy miała krótkie? Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć? Powinienem się jakoś nauczyć przywoływać to z pamięci – tak samo jak umiem prześledzić jej podróże, sprawdzając stemple w paszporcie: czerwiec 2005, krótkie; luty 2007, długie...

W pierwszą rocznicę zamierzałem wybrać się do Mazunte, i jeszcze tego samego dnia, dwudziestego czwartego lipca, polecieć z powrotem do miasta Meksyku. Dałem na mszę za zmarłych, którą ksiądz miał odprawić nazajutrz rano w dzielnicy Condesa. Wkrótce po śmierci Aury, kiedy Juanita i Leopoldo zaczęli mnie straszyć sądem, kilkoro znajomych załatwiło mi adwokata. Nazywał się Saúl Libnic i wraz ze współnikiem prowadził kancelarię niedaleko ambasady Stanów Zjednoczonych. Obydwaj specjalizowali się w obronach pracowników administracji publicznej uwikłanych w przestępstwa kryminalne, ale obsługiwali też klientów amerykańskich, którzy mieli problemy prawne w Meksyku. Tamtego lata podnajmowałem kawalerkę w dzielnicy Condesa.

Libnic mieszkał w sąsiedztwie, więc ilekroć chciał ze mną porozmawiać, spotykaliśmy się na śniadaniu w juice barze przy Avenida Amsterdam. Był tuż po trzydziestce, szczupły, mniej więcej mojego wzrostu, miał wygoloną głowę i wodniste oczy o szczerym spojrzeniu. Tamtego ranka oświadczył, że skoro sprawa jest już w toku, a ja i tak wybieram się nad morze, to powinienem się zobaczyć z prokuratorem okręgowym w Puerto Ángel. Postępowanie wszczęto przed sądem w mieście Meksyku, ale potem przeniesiono do sądu w Puerto Ángel. Co to właściwie oznacza, spytałem, że sprawa jest w toku? To znaczy, odparł, że prokurator okręgowy w Puerto Ángel ma rozpocząć śledztwo w sprawie śmierci Aury. Oczywiście, można zakładać, że nie ma dowodów świadczących na moją niekorzyść. Prokurator nie wydał nakazu aresztowania. Ze względów formalnych powinienem jednak złożyć zeznania, bo dotychczas tego nie zrobiłem. Złożyłem zeznania, zaproponowałem, tylko ich nie przyjęli, bo nie miałem paszportu. Owszem, przyznał, ale i tak muszę to zrobić, w przeciwnym razie nie zamkną sprawy. Zważywszy na wcześniejsze posunięcia wuja i matki Aury, powinno mi zależeć na zamknięciu postępowania. Najchętniej pojechałby ze mną do Puerto Ángel. Musiałbym pokryć wszystkie koszty, włącznie z jego honorarium. Kiedy podał mi sumę, spytałem, czy to absolutnie konieczne, na co odparł, że nie. Przyznałem, że nie stać mnie na taki wydatek. Libnic oświadczył, że umówił mnie już z prokuratorem i przy okazji podpytał go o postępy śledztwa. Za to mam mu zapłacić w gotówce. Oczywiście, odparłem. Saúl, spytałem, myślisz, że znajdą na mnie jakiś haczyk? W stanie Oaxaca rządzi Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna. Czy wuj Aury albo ci prawnicy uniwersyteccy, o których wspomniała Juanita, mogą użyć swoich wpływów, żeby przekupić prokuratora okręgowego bądź zmusić go inaczej, by wydał nakaz aresztowania?

Czy jest ryzyko, że podstawią fałszywych świadków? Libnic oznajmił, że wątpi w taki rozwój wydarzeń, ale wzięwszy pod uwagę realia meksykańskiego systemu prawnego, nie jest to wykluczone; dlatego właśnie chciałby mi towarzyszyć, tak na wszelki wypadek. Jeszcze się zastanowię, powiedziałem, ale naprawdę mnie na to nie stać. Odparł, żebym się nie martwił na zapas; wygląda na to, że najgorsze już za nami. Myślę, że mógłbym sobie pozwolić na ten wydatek, ale nie chciałem jechać do Mazunte w pierwszą rocznicę śmierci Aury, ciągnąc ze sobą adwokata.

Rodzice Fabis urządzali u siebie kolację, na którą zaprosili mnie i Rodriga. Nie widziałem się z nim od pogrzebu, ale kontaktowaliśmy się pocztą elektroniczną. Poszliśmy do gabinetu ojca Fabis, żeby porozmawiać na osobności. Owszem, powiedział Rodrigo, Juanita wciąż mnie obwinia o śmierć Aury. Ale, ciągnął, nie zamierza sugerować, że świadomie dopuściłem się przestępstwa. Zdaniem Juanity nie uchroniłem Aury przed konsekwencjami jej własnej impulsywności. Oskarża mnie teraz o tragiczną w skutkach nieodpowiedzialność.

Skinąłem tylko głową. Wiedziałem, że Rodrigo nie zamierza dociekać, ile w tym prawdy. W każdym razie nie można powiedzieć, że ją u c h r o n i ł e m. Z pewnością jej nie uchroniłem. Juanita zawsze się zamartwiała o córkę, próbowała ją uchronić przed skutkami jej impulsywności. Czy ja sam uważałem Aurę za osobę szczególnie impulsywną? Czy kiedykolwiek nazwałbym ją impulsywną?

Juanita zerwała wszelkie stosunki z *tías* i Vicky. Sęk w tym, wyjaśniła mi Vicky w jednym z e-maili, że przestała się kontaktować z kimkolwiek, kto nie chciał obciążyć mnie

odpowiedzialnością za śmierć Aury lub ośmielił się zasugerować, jak to ujęła Vicky, że byłem „jedyną miłością w jej życiu”. Ja jednak sądziłem, że Juanita naprawdę nie ma innego wyjścia, jak uznać nasze małżeństwo za nic nieznaczący epizod w życiu Aury; coś w rodzaju beztrosko niedomkniętych drzwi od kuchni, przez które wśliznął się zabójca. Juanita zachowała w pamięci przeszło dwadzieścia lat spędzonych z Aurą, czas, kiedy były dla siebie wszystkim. Jak to porównać z naszym zaledwie czteroletnim związkiem? Dowiedziałem się od dawnej przyjaciółki Aury, która wciąż pracowała na UNAM, że Juanita zaczęła rozpowiadać wszystkim na lewo i prawo, jakoby Aura – czy raczej jej duch albo zjawa – mieszkała teraz u niej w domu. Nie było w tym nic dziwnego. Przez co najmniej kilka tygodni żyłem w przeświadczeniu, że Aura ukrywa się w koronie drzewa na naszej ulicy, i od tamtej pory nie byłem w stanie przejść obok tego klonu bez poczucia winy, jakbym dopuścił się zdrady wobec Aury, nie próbując utrzymać w sobie tej wiary, nie zatrzymując się, jak dawniej, żeby ucałować pień albo przynajmniej coś do niego szepnąć.

Juanita jeszcze nie podjęła decyzji, co zrobić z prochami Aury, przynajmniej Rodrigo nic o tym nie wiedział.

Powiedziałem mu, że jeśli mógłbym w czymkolwiek pomóc, jestem gotów porozmawiać z Juanitą.

Odparł, że Juanita z pewnością nie zechce ze mną rozmawiać. Skoro ja czuję taką potrzebę, mogę napisać do niej e-mail, zasugerował. Dał mi jej nowy adres: składał się z imienia Aury i kilku cyfr. Ja też zmieniłem swój adres, na AUFRA z dodatkiem cyfr. Ależ jesteśmy do siebie podobni, pomyślałem; pod pewnymi względami tak strasznie, żałośnie podobni.

Nie mam potrzeby kontaktu z Juanitą, odpowiedziałem. Jeśli jej

to pomoże, porozmawiam z nią, ale nic więcej, bo Aura miałaby mi za złe.

Ale co bym jej wtedy powiedział? Nie zabiłem twojej córki. Przecież nie chce tego usłyszeć. Zabiłem twoją córkę, przepraszam. To moja wina. Słusznie mnie oskarżyłaś. Czy w ten sposób złagodziłbym jej cierpienie?

Co mam powiedzieć, Juanito, żebyś przestała o mnie myśleć i rzucać na mnie miażdżące oskarżenia, o ile naprawdę je rzucasz, naprawdę są miażdżące i naprawdę chcesz przestać? Może wcale nie chcesz. Są ludzie, którzy muszą kogoś obwiniać, jakby od tego zależało ich zdrowie psychiczne, jakby tylko to utrzymywało ich przy życiu. Spójrzmy na to od drugiej strony, Juanito, co mam powiedzieć, żebym nie musiał już myśleć o tobie, żebyś nie wchodziła już między nas ze swoimi oskarżeniami, nie wciskała się we wszystkie zakamarki mojej żałoby?

Codziennie kładę się spać w nadziei, że tej nocy przyśni mi się Aura, ale czasem mam koszmary z udziałem Juanity.

Przy kolacji Rodrigo puścił między nas komórkę, żebyśmy obejrzeni zdjęcia jego nowej dziewczyny. Była blondynką, chyba tlenioną, i wyglądała na odrobinę młodszą od niego; do jednego z ujęć pozowała owinięta w prześcieradło, z wystającym nagim ramieniem. Rodrigo patrzył z powagą, jak telefon krąży z rąk do rąk. Tylko pogratulować, pomyślałem. Tak właśnie powinien zachowywać się facet po rozwodzie. Zeskanował też i wgrał w komórkę kilka zdjęć Aury z dzieciństwa; nazajutrz przesłał mi je pocztą elektroniczną.

W każde wakacje, trzy lata z rzędu, zapraszaliśmy krewnych i znajomych na weekendowe spotkanie przy grillu na naszym patio. Około setki hamburgerów, kiełbaski, żeberka i hot dogi dla dzieci. Ja grillowałem, Aura i Fabis zajmowały się resztą, przyrządzały sałatki

i *fideo seco*. Trzy lata z rzędu – myślę, że wystarczy, by to uznać za naszą własną tradycję rodzinną. W te wakacje miałem urządzić przyjęcie na patio Fabis po mszy za duszę Aury. Zaprosiłem Rodriga i Katię. Prawdę powiedziawszy, poprosiłem Rodriga, żeby ściągnął też Juanitę, choć i tak wiedziałem, że nie przyjdzie. Odparł, że Leopoldo zabrał ją na weekend za miasto.

Podczas mszy siedzieliśmy z Fabis i jej matką za Rodrigiem, Katią z mężem i trójką ich dzieci. Mała dziewczynka z kucykiem wciąż wrywała się matce, żeby wgramolić się po oparciu ławki na kolana Rodriga i chwycić go rączkami za policzki. Młody dziadek dosłownie pękał z dumy. Mąż Katii trzymał żonę za rękę i co chwila kradł jej całusa. Wyglądała pięknie. Pomyślałem, że choć rzadko widuję Katię, odczuwam do niej coraz większą sympatię. Wzrusza mnie. Ludzie się zmieniają, dorastają, dobrze też mieć porządnego męża, który cię uwielbia.

27.

Przedostatniego lata wyjechaliśmy na kilka dni z Jaimem, Isabel i ich dziećmi na plażę San Agustinillo, tuż obok Mazunte. Razem z pewnym profesorem poezji, jego żoną i kilkorgiem znajomych z Madrytu wynajęliśmy cały rząd bungalowów nad morzem. Aura miała kiedyś zajęcia z tym profesorem, jeszcze na UNAM. Był cichy, ale zarazem szarmancki w obejściu. Chyba wszyscy wiedzieli, że dziesięć lat temu, kiedy Aura była jego studentką, durzył się w niej beznadziejnie – w każdym razie Aura była tego świadoma. Przyłapałem go, jak popatrywał na nią tęsknym, odrobinę zamglonym wzrokiem, i byłem pewien, że myśli sobie, jakby to było wczoraj, albo coś w tym rodzaju. Później, kiedy w milczeniu wsłuchiwalismy się w szum przypiływu, profesor opowiedział nam o zaprzyjaźnionym poecie, który nazywał się Manuel Ulania i pewnej nocy utonął, kilka lat temu, też w Pacyfiku.

Nadmorskie skały i urwiska wcinały się ostro w ocean, blokując fale tak skutecznie, że tuż przy brzegu powstała płycizna, w której mogły się pluskać dzieci.

Ale za stromą, poszarpaną krawędzią przylądka kotłowały się prądy. Kiedy nazajutrz profesor poszedł tam popływać, w pewnej chwili usłyszeliśmy paniczne wołanie o pomoc, *auxilio, auxilio!* Wdrapaliśmy się z Jaimem na urwisko i niezdarnie, z rozpluskaniem rzuciliśmy się do wody, zbyt daleko od profesora, żeby mu pomóc, na szczęście Aura wspięła się błyskawicznie na czubek wystającej skały, wyskoczyła w powietrze i spadła w morze jak grom z jasnego nieba, tuż obok swojego dawnego wykładowcy, objęła go ręką

w pasie i doholowała do brzegu. To, że profesor był całkiem bezpieczny na otwartej wodzie, tylko stracił panowanie nad sobą i zachował się jak ostatni tchórz, kiedy porwał go prąd, w niczym nie umniejsza bohaterstwa Aury. Aura uratowała mi życie, powtarzał w kółko profesor, kręcąc głową oszołomiony, jakby próbował zbagatelizować jej wyczyn, ale na próżno. Aura uratowała ci życie! – potakiwaliśmy w głos. *Mi amor*, co sobie pomyślałeś? Usłyszałam, że woła pomocy, powiedziała Aura, więc natychmiast zareagowałam! Impulsywna, owszem, działająca bez namysłu i wyobraźni. Szybka jak błyskawica, impulsywna superkobieta, szczerze mówiąc, tak sobie pomyślałam. Moja Aura! Jakaż cudowna z niej będzie matka! Jaimemu i mnie nieźle się dostało, znajomi pokładali się ze śmiechu, gdyby profesor mógł tylko na nas liczyć, z pewnością by utonął. Byłem rozczarowany, że kilka godzin później, po zakończeniu poobiedniej sjesty, nikt już nie chciał rozmawiać o tym, jak Aura uratowała profesorowi życie, wszystkim zależało, żeby uszanować jego uczucia, a może też uczucia jego żony i dzieci, i nie wracać do tego incydentu.

A gdyby nadszedł prawdziwy prąd odpływowy, wyniósł profesora i Aurę na otwarte morze i zatopił ich oboje? Co byśmy teraz powiedzieli o impulsywności Aury?

Impulsywność: buzujący wewnątrz nieposkromiony nadmiar.

Z początku zamierzaliśmy wybrać się do Meksyku na przełomie maja i czerwca, ale Aura zdecydowała, że poprowadzi zajęcia z hiszpańskiego w letnim semestrze na Columbii. Znów postanowiła zadbać o swoje CV, trafił jej się dodatkowy zarobek, poza tym nie śpieszyło jej się w tę podróż. Nasze mieszkanie wymagało kilku prac wykończeniowych, doszliśmy więc do porozumienia, że wyskoczę

tam na tydzień na początku czerwca i załatwię, co trzeba. Aura przygotowała mi listę: miałem znaleźć stolarza, który zrobi nam półki na książki; zainstalować niezbędne oświetlenie; brakowało nam paru sprzętów do kuchni; Aura potrzebowała biurka. Cieszyłem się na samotny pobyt w Meksyku, jak za dawnych lat. Po kilku nocnych hulankach w kantynach, które zaowocowały straszliwym kacem, przekonałem się jednak, że nie tędy droga. Czego właściwie się spodziewałem? Tęskniłem za Aurą; ona tęskniła za mną. Nabiliśmy sobie potężny rachunek za rozmowy telefoniczne, z czego wyzaliłem się w jednym z e-maili. Odpisała mi, właśnie po to pracujemy i zarabiamy, Francisco. Kupiłem jej biurko pokryte ciemnym, czerwonym fornirem. Wziąłem namiary na stolarza od półek, który sprawiał wrażenie prawdziwego fachowca, i wróciłem do domu.

* * *

3 lipca 2007 roku mniej więcej o wpół do trzeciej po południu Aura po raz ostatni wyszła z naszego mieszkania na Brooklynie, a ja zniósłem bagaże do czekającego na dole samochodu. Jej nowa wielobarwna narzuta została w domu, zwinięta i upchana w szafie; jej rower bez siodełka przypięliśmy na dwie blokady do żelaznego ogrodzenia. Około czwartej byliśmy już w poczekalni lotniska Newark, gdzie po kilkudziesięciu latach ciułania punktów w programie lojalnościowym dostałem propozycję bezpłatnego podwyższenia standardu podróży. Powiedziałem Aurze, że oczywiście może się przenieść do pierwszej klasy; ja polecę w ekonomicznej. Napiliśmy się szampana i wznieśliśmy toast za nasze wakacje.

Pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w Meksyku Aura wreszcie poczuła się swobodniej i zaczęła korzystać z życia.

Chodziliśmy w odwiedziny do znajomych. Aura czytała powieść Juana Carlosa Onettiego *La vida breve*. Pochłaniała jego kolejne książki od wiosny. Bohaterem jej najnowszego, pisanego po hiszpańsku opowiadania był młody mężczyzna, który porzuca studia doktoranckie w Stanach Zjednoczonych, żeby podjąć pracę nauczyciela w liceum na dalekiej prowincji meksykańskiej; opis szkoły i zatrudnionej w niej kadry przywodził na myśl prozę Kafki – na co zwrócił uwagę jeden z późniejszych recenzentów – podobnie jak pełne napięcia nocne rozmowy przez telefon między synem a mieszkającym w stolicy ojcem. Opowiadanie nosiło tytuł *La vida está en otra parte*. Aura korzystała z nowego biurka, pracując przy rozsuniętych na oścież szklanych drzwiach na patio. Uwielbiała to mieszkanie. Teraz była już pewna, że wkrótce zaczniemy tu bywać nie tylko w wakacje i podczas przerw semestralnych. Nie miałem nic przeciwko temu. Skoro Aura postanowiła pisać przede wszystkim po hiszpańsku, przeprowadzka do Meksyku wydawała się całkiem rozsądnym posunięciem. Skoro zdecydowaliśmy się na dziecko, Aura wolała być blisko matki.

Tuż za rogiem, przy Avenida Patriotismo, otwarto nowe centrum handlowe. Od najstarszej części La Condesa dzielił nas półgodzinny spacer; przedtem nie było tu żadnych ciekawych sklepów ani miejsc, w których można by coś przekąsić, a co dopiero napić się porządnej kawy, jeśli pominąć uliczne stragany z jedzeniem i kilka obskurnych *comida corridas*. Teraz mieliśmy Starbucksa, restauracje Italianni, Sanborns i parę innych sieciówek, które Aura pamiętała jeszcze z dzieciństwa, wszystkie pod jednym dachem, na piętrze galerii handlowej, dokąd wjeżdżało się windą. Parę razy wpadliśmy tam na obiad, któregoś dnia zostaliśmy dłużej, żeby obejrzeć klasyczny film walki z Brandonem Lee wyświetlany na gigantycznym ekranie z paneli. Pewnego wieczoru Aura kupiła w Sanbornsie chińskie

bierki. Wzięliśmy je potem do T.G.I. Friday's, żeby rozegrać partyjkę przy piwie i tequili. Gra okazała się wyjątkowo wciągająca – wymagała pewnej ręki i małpiej zręczności. Aura za każdym razem wygrywała dosłownie o włos. Pudełko z bierkami leży teraz na ołtarzyku. Kiedy jednak rozsypałem patyczki na stole w kuchni, spodziewając się, że otwarty kartonik zajaśnieje jakimś świętym ogniem, że przetrwał w nim blask tej słodkiej godziny, cień śmiechu i lekkiego jak piórko dotyku Aury, spotkało mnie gorzkie rozczarowanie. Zostałem sam z kupką plastikowych bierek.

Może pamięć jest przereklamowana. Może lepiej zapomnieć. (Wskażcie mi u Prousta fragment o zapominaniu, a jutro go przeczytam). Próba zachowania wszystkich wspomnień jest jak żonglowanie setkami tysięcy kryształowych kul naraz. Ilekroć któraś spadnie na podłogę i roztrzaska się w pył, otwiera się we mnie kolejna szczelina, w której znika bezpowrotnie część tego, kim kiedyś byłem. Nie sprzedałbym tych bierek nawet za tysiąc dolarów.

Aura zatrzymała się w Starbucksie przy regale z akcesoriami, zdjęła z półki turkusowy ekspres do kawy, uniosła prosząco brwi i obdarzyła mnie tym uśmiechem, który pojawiał się na jej twarzy, kiedy próbowała mnie naciągnąć na jakiś niezbyt rozsądny zakup. Miała już w domu taki ekspres, tyle że czarny. Spytałem, ile to kosztuje. Odpowiedziała. Mamy wydać czterdzieści dolarów tylko po to, by wzbogacić wystrój naszej kuchni mocnym turkusowym akcentem?

Przecież masz już podobny, zauważyłem.

Odstawiła ekspres na półkę, nie kryjąc rozczarowania. Teraz ten drobiazg mnie prześladowuje, niczym kolejny zagadkowy znak, wskazówka, którą przegapiłem i której wciąż nie rozumiem.

Zważywszy na to, co stało się z naszym starym ekspresem po drodze do Mazunte, chyba to raczej wskazówka albo dowód rzeczowy, aczkolwiek nie w potocznym, kryminalnym tego słowa znaczeniu.

A gdybym jej kupił ten turkusowy ekspres...?

3 lipca 2008 roku, rocznica naszego wylotu z Newark do Meksyku, i wracam do punktu wyjścia: ten sam wieczorny kurs, znów propozycja bezpłatnego podwyższenia standardu. Przed lądowaniem w mieście Meksyku muszę wypełnić formularz imigracyjny i zadeklarować się jako mężczyzna żonaty lub stanu wolnego. Jak zwykle zakreślam rubrykę „żonaty”. Trzy tygodnie później, 22 lipca, lecę do Puerto Escondido, następnego dnia biorę taksówkę do biura prokuratora okręgowego w Puerto Ángel, przy bocznej ulicy, z dala od smrodliwego portu.

Zamknięte drzwi na końcu krótkiego korytarza naprzeciwko wejścia, a na nich tabliczka z napisem „Oficina de Investigación Criminal”. Prokurator okręgowy prowadzi mnie jednak do niewielkiego, pozbawionego okien gabinetu po lewej stronie; w środku biurko, a na nim jak zwykle stary lichy komputer. Światło w pokoju uporczywie migocze, jakby samo powietrze mrugało oczyma. Nie bez powodu: plastikowe ramiona obracającego się wiatraka zamocowano pod dwiema wystającymi z panelu żarówkami. Prokurator okręgowy jest młodym, chudym mężczyzną o śniadej, pięknie rzeźbionej twarzy i lśniących czarnych włosach zaczesanych w tył. Za chwilę powtórzę mu historię tamtych wydarzeń, opowiedzianą po raz ostatni kilka godzin po śmierci Aury, kobiecie z *delegación*, która spisała całe moje zeznanie, ale nie mogła go włączyć do akt, bo nie miałem paszportu. Od tamtej pory opowieść snuła się w milczeniu po mojej głowie, ale też się zmieniała, szukając drogi ujścia i znajdując ją, niczym rwący nurt

rzeki zwężającej się w strumień: historia, w której biorę na siebie stosowną część winy i odpowiedzialności, nie tak poważną, jaką próbowali mnie obciążyć Juanitai Leopoldo, prawdopodobnie zbyt małą, by posłać mnie do więzienia pod jakimkolwiek zarzutem, chyba że sfabrykowanym, a mimo to wystarczającą, żebym już nigdy się nie uwolnił od zgrozy, wstydu i poczucia, że zawiodłem. Ale to, co później usłyszę od prokuratora okręgowego w Puerto Ángel, znów tę historię odmieni.

Dom, który wynajęliśmy w Mazunte, okazał się dość obszerny, by pomieścić kilkoro znajomych; mieliśmy nadzieję, że przyjadą i spędzą przynajmniej część tych dwutygodniowych wakacji w towarzystwie nas dwojga, kuzynki Fabioli i jej chłopaka. Z początku spodziewaliśmy się też Mariany, przyjaciółki Aury. Mariana mieszkała w małej kawalerce i pracowała na dochodne jako masażystka i mistrzyni uzdrawiania tradycyjną metodą hinduską; kiedyś studiowała psychoanalizę lacanowską na uniwersytecie, ale w pewnym momencie uświadomiła sobie, że zamiast sublimować własne ego, woli się go pozbyć. Byliśmy akurat w Pata Negra, kiedy Mariana oświadczyła, że nie da rady przyjechać. Ledwo wiązała koniec z końcem i nie stać jej było na wakacje. Przyznała, że i tak nie bardzo miała ochotę wpaść do Mazunte, bo fale są tam za wysokie.

Co takiego? Przecież w Mazunte jest bezpiecznie! Cała nasza czwórka – Aura, ja, Fabis i Juanca – zareagowała jednomyślnie. Mazunte słynie z położenia wzdłuż łagodnej krzywizny zatoki, która wystarczająco skutecznie wyhamowuje fale, by zmniejszyć ich wysokość, impet i siłę, pływakom nic tu nie grozi. Niebezpieczne są plaże nad otwartym oceanem, Ventanilla, pewnie też San Agustinillo. W Ventanilla pływasz na własne ryzyko, nie

wspominając już o Puerto Escondido czy nieco bardziej odległej Zipolite słynącej z prądów odpływowych i nazywanej Playa de la Muerte, bo co roku pochłania mnóstwo ofiar, a mimo to ludzie wciąż tam jeżdżą, ulubiona plaża hipisów, wędrownych ćpunów, nudystów i innych oszołomów.

Wiem, że w porównaniu z innymi plażami Mazunte jest stosunkowo bezpieczna, odparła Mariana. Ale nie można tam po prostu spokojnie popływać. Może się starzeję, ale nie lubię tłuc się o fale i wydłubywać sobie potem piasku z majtek, z włosów, czasem nawet spomiędzy zębów.

Aura powiedziała, że poza granicą obszaru, gdzie fale się łamią, woda jest już spokojna. Ona zawsze tam pływa. Mariana stwierdziła, że woli plaże na Karaibach, zwłaszcza Tulum: łagodny ocean, mnóstwo ośrodków jogi. Też lubię Tulum, wtrąciłem. Wszyscy lubiliśmy Tulum. Ale kogo stać na wynajęcie domku na plaży w Tulum, i to na dwa tygodnie? Koszty przelotu również były droższe, zarówno z Meksyku, jak i z Nowego Jorku. No i wszyscy uwielbialiśmy Mazunte. Owszem, zdarzały się tam wysokie fale, ale jakoś mnie to nie odstraszało. Kiedy wchodziłem do wody, nie ścisnęło mnie w dołku, jak na samą myśl o pływaniu w Puerto Escondido. Fale w Mazunte nie różniły się specjalnie od tych z Wellfleet na Cape Cod, gdzie w młodości uczyłem się bodysurfingu.

Podczas naszych pierwszych wypadów nad ocean zatrzymaliśmy się z Aurą w którymś z hoteli w Puerto Escondido, ale co rano jeździliśmy autobusem na plażę w Mazunte, trzy kwadransy drogi w jedną stronę, żeby wieczorem wrócić do domu taksówką. Kilka lat przed poznaniem Aury spędziłem przełom tysiącleci w Puerto Escondido z Isabel i Jaimem; kiedy dotarliśmy na miejsce, ludzie

mówili o zdradliwej fali, która dzień wcześniej roztrzaskała trzech surferów o skały na końcu plaży. Wszyscy zginęli. Pierwszego ranka poszedłem popływać, a potem od razu wstąpiłem na śniadanie do nadmorskiej kafejki, gdzie usłyszałem od jednego z kelnerów, niechlujnego Włocha, że jak ostatnio tam pływał, skończyło się krwotokiem z obydwu uszu. Isabel opowiedziała mi o swoim nauczycielu ze szkoły średniej, który pojechał na wakacje do Puerto Escondido; pewnego wieczoru, kiedy wybrał się na spacer po plaży, nadeszła potężna fala, porwała go z sobą i zatopiła w oceanie. Spędziłem później bezsenną noc w hotelu, leżąc na łóżku i wsłuchując się w szum fal, który zaczął mi się nagle kojarzyć z odgłosem łamania kości. Przez ponad cztery lata nie odważyłem się wejść do wody w Puerto Escondido, aż do pewnego weekendu, podczas którego postanowiłem oświadczyć się Aurze. Zapisaliśmy się na kurs surfingu. Fala, która dopadła mnie w chwili, gdy próbowałem stanąć na desce, dosłownie wybiła mi ją spod nóg; z zaskakującym impetem uderzyłem głową o piaszczyste dno i poczułem ostry ból wzdłuż kręgosłupa. Wyszedłem z wody chwiejnym krokiem, cały roztrzęsiony, i usiadłem na plaży. Instruktor wybuchnął śmiechem. Powiedział, że Aura ma do tego większą smykałkę. Leżała płasko na desce, instruktor stał w wodzie sięgającej mu do pasa, popychając Aurę jak dziecko na sankach i pozwalając jej się ślizgać na grzbietach fal, które załamywały się dalej, przy samym brzegu. Okazało się, że nie był licencjonowanym instruktorem. Okłamał nas i bez pytania wziął deski od kolegi, który prowadził legalną szkołę surfingu. Lekcja się skończyła, kiedy na plażę wpadła matka kolegi, wrzeszcząc na faceta, że ma natychmiast odnieść deski z powrotem, bo jak tak dalej pójdzie, to nas wszystkich pozabija.

Mieszkaliśmy w Santa Fe, jednym z najładniejszych hoteli

na plaży. Z rosnącej w ogrodzie palmy spadł dojrzały orzech kokosowy i z głuchym plaśnięciem wylądował na ścieżce tuż koło mnie. Śmiałyśmy się z tego incydentu, ale gdyby trafił mnie w głowę, mógłbym już nie żyć.

Przed hotelem, po drugiej stronie ulicy, stał kamienny mirador, punkt obserwacyjny z widokiem na ocean. Pomyślałem sobie, żeby tam się oświadczyć, choć miejsce wyglądało trochę jak z pocztówki. Miało też inną wadę: bezpośredni widok na skałę uwieńczoną ponurą rzeźbą, która przedstawiała wystającą z wody rękę tonącego. Monument powstał z inicjatywy rodzin pływaków i surferów, nie tylko meksykańskich, którzy zginęli w tych falach.

Zaręczynowy pierścionek z diamentem złożyłem w sejfie hotelowym. Nie znalazłszy miejsca ani okazji, żeby oświadczyć się w Puerto Escondido, postanowiłem zrobić to w Mazunte, dokąd wybieraliśmy się nazajutrz. Ale gdzie ukryć pierścionek, kiedy pójde popływać? Zawsze bałem się złodziei na tej plaży. Zbliżał się nasz ostatni wieczór w Puerto Escondido, a ja wciąż nie zdołałem się oświadczyć. Po lekcji surfingu, kiedy wyrznąłem głową o dno, miałem sztywną i obolałą szyję, zaczynało mnie brać przeziębienie, a co gorsza, poprzedniego dnia trafiła mi się jakaś nieświeża krewetka i teraz męczyły mnie skurcze żołądka. Na obiad zjadłem tylko miseczkę rosołu i popiłem go jedną margaritą. A przecież musiałem to zrobić. Nie mogłem czekać do powrotu. Przeprosiłem Aurę, że na chwilę się oddalę, i wstałem od stołu. Padał lekki deszcz, typowo tropikalna ciepła mżawka, która sprawia, że w przesyconym wilgocią powietrzu czujesz się jak w mięciutkiej chmurze otulającej twarz niczym delikatny jedwab. Tak będzie jeszcze bardziej romantycznie, pomyślałem, oświadczyć się w tym deszczu na plaży. Najpierw poszedłem do łazienki, później wyjąłem z sejfu pudełeczko z pierścionkiem. Kiedy włożyłem je do kieszeni,

w progu stanęła Aura. Chodźmy na plażę, poprosiłem. Po co? – spytała. Nie chcę iść na plażę, deszcz pada. E tam, zaledwie mży, odparłem, no chodź, pójdziemy na plażę. Muszę ci coś powiedzieć. Zauważyła, że trzymam rękę w kieszeni, i uśmiechnęła się. Powiedz mi tutaj, zachichotała. *Ay, mi amor*, co tam chowasz w kieszeni? To poważna sprawa, oznajmiłem, wyciągnąłem pudełko i przyklęknąłem na jedno kolano.

Gdyby spojrzeć na to z perspektywy czasu, już w Puerto Escondido, miejscu naszych zaręczyn, zlekceważyliśmy kilka wyraźnych sygnałów ostrzegawczych. Choć z drugiej strony ich nie zlekceważyliśmy. Po niefortunnej lekcji surfingu nie weszliśmy tam więcej do wody. Pływaliśmy w Mazunte, gdzie naszym zdaniem było bezpieczniej. A przecież i w Mazunte doszło do paru incydentów, które powinny były dać nam do myślenia. Jak się mają przecucia do konkretów? Jak rozstrzygnąć, które z sygnałów zostały fałszywie zinterpretowane bądź zlekceważone? Łańcuch dowodów, jak ślady stóp w topniejącym śniegu.

Pewnego ranka poznaliśmy w mikrobusie dwoje innych pasażerów, którzy też wybierali się z Puerto Escondido do Mazunte. Facet był Meksykaninem, który studiował w Szwecji i osiedlił się tam na stałe, a teraz przyjechał na wakacje ze swoją szwedzką żoną. Pracował jako programista, technik komputerowy albo coś w tym rodzaju. Siedział w drugim rzędzie, obok Aury, i przez całą drogę do Mazunte potoczył monologował o Meksyku i tutejszych plażach. Szwecja ma wiele do zaoferowania, ale nie uświadczysz tam takich plaż jak w Mazunte! Wymienił nawet długą listę uprawianych na wybrzeżu owoców tropikalnych, w tym, podkreślił, aż pięć różnych odmian bananów. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie był w Mazunte. Oboje z żoną mieli na głowach słomkowe kapelusze kowbojskie, które wyglądały na całkiem nowe. Kierowca

wysadził nas na skrzyżowaniu, skąd odchodziły *camionetas* do Mazunte, San Angustinillo i Ventanilla; nasi towarzysze wysiedli trochę wcześniej, żeby przed pójściem na plażę zwiedzić niewielkie muzeum przyrodnicze i wylęgarnię żółwi morskich w Mazunte. Aura miała niezły ubaw z nieposkromionego buractwa tego meksykańskiego frajera: „Najpiękniejsze plaże na świecie! Pięć różnych odmian bananów!”. Z wioski nad łagodną zatokę prowadziło kilka zapylonych dróg przez las. Na tyłach plaży stały kryte strzechą *palapas*, restauracje i tanie hotele w wiejskim stylu oferujące noclegi w hamakach; nad samym morzem ciągnęły się rzędy leżaków i ocienionych parasolami stolików, które można było wynająć na cały dzień – właśnie się rozsiedliśmy przy jednym z nich, kiedy wybuchło zamieszanie, rozległy się krzyki o pomoc i pływacy pobiegli ratować jakiegoś nieszczęśnika, któremu przytrafił się wypadek. Poszliśmy za nimi i ujrzeliśmy naszego Meksykanina ze Szwecji; leżał twarzą do dołu w płytkiej wodzie, młóćąc rękami i nogami, jakby się topił. Odwrócili go i przenieśli na piasek, gdzie się rozkaszał, zaczął dławić i rozpaczliwie chwycił ustami powietrze. Obok przykucnęła żona, wokół zebrali się gapie. Niektórzy widzieli, co się stało. Zakryła go fala, najwyraźniej stracił orientację, nałykał się wody i wpadł w panikę, mimo że fala się cofnęła, a morze wyrzuciło go prawie na sam brzeg. Nic mu się nie stało. Wróciliśmy na leżaki. Później zobaczyliśmy, jak oboje wloką się z powrotem, znów w kapeluszach na głowie, zebrawszy swoje rzeczy z plaży. Pożegnaliśmy się, ale tylko żona nam odpowiedziała; mężczyzna wlepił ponury wzrok w piasek. Przez kilka następnych lat zdarzało nam się wspominać przygodę Meksykano-Szweda – tragikomiczną historię nie tyle o samym niebezpieczeństwie, ile o niebezpieczeństwach płynących z nadmiaru wzruszająco naiwnego entuzjazmu – i zawsze się z tego śmialiśmy.

Zarezerwowaliśmy i wykupiliśmy bilety do Puerto Escondido na poniedziałek 23 lipca, na przejazd luksusowym autobusem nocnym, w którym siedzenia rozkładały się prawie jak łóżka. Zrezygnowaliśmy z samolotu, bo Fabis musiała się liczyć z każdym groszem; zresztą obydwie z Aurą zawsze jeździły nad morze autobusem. Rozsądne planowanie wydatków stanowiło dla mnie nowość i w gruncie rzeczy byłem rad, że zaoszczędzimy na kosztach podróży. Juanca nie mógł jeszcze wziąć urlopu i miał do nas dołączyć w przyszły weekend. Mniej więcej tydzień przed wyjazdem umówiłem się na kontrolę do lekarza rodzinnego Aury i po raz pierwszy w życiu zrobiłem sobie badania krwi, między innymi na poziom cholesterolu. Aura wierciła mi o to dziurę w brzuchu przez cały rok, ale zawsze jej odpowiadałem, że nie mam czasu. Kazali mi przyjść po wyniki w sobotę, żebym w poniedziałek mógł je pokazać lekarzowi. Tymczasem sprawdzaliśmy online pogodę w Puerto Escondido – nie mogliśmy znaleźć prognozy dla Mazunte – codziennie zapowiadali chmury i deszcz. Tamtego ranka Aura poprosiła mnie, żebym przeczytał brudnopis jej opowiadania o zdziwaczalym nauczycielu, *La vida está en otra parte*. Nie szczędziłem jej pochwał, ale zaznaczyłem, że moim zdaniem zanadto pośpieszyła się z zakończeniem. Nazajutrz, w niedzielę dwudziestego pierwszego, kilka minut po pierwszej po południu, kiedy właśnie wychodziłem z siłowni po treningu na rowerze stacjonarnym, na ekranie mojego blackberry wyświetliła się wiadomość od Aury:

fabiola jest u nas, teraz do kogoś dzwoni, zrobiłam jej na śniadanie jajka i kawę. Swoją jeszcze dopijam i pracuję nad opowiadaniem, w którym już sporo zmieniłam. Czy wczoraj wieczorem mówiłeś poważnie, że jestem artystką? Czy tylko ze mną flirtowałeś albo chciałeś mnie podpuścić???? ...kiedy wracasz, musisz odebrać swoje wyniki.

Na co odpisałem:

Claro que eres una artista, mi amor, de máxima sensibilidad e inteligencia (Oczywiście, że jesteś artystką, kochanie, niezwykle inteligentną i wrażliwą)

Na co odpisała: *Gracias mi amor, ¿pero a qué hora regresas?* (...ale o której wracasz?)

Na co odpisałem:

Ya en un ratito, mi amor (Za chwilę...)

Za minutę w pół do drugiej odpisała:

Ya ven estamos viendo de irnos hoy! (Wracaj natychmiast, sprawdzamy, czy da się jeszcze dziś wyjechać!) Bo nam ładna pogoda przepadnie.

To był ostatni e-mail, jaki dostałem od Aury.

Kiedy wróciłem do domu, dziewczyny były wyraźnie podekscytowane. Fabis dzwoniła do znajomej, która właśnie wróciła z Mazunte i powiedziała, że pogoda jest świetna – nie sprawdziła się żadna z prognoz internetowych. Powinniśmy jednak ruszyć dzisiaj, bo pod koniec tygodnia na pewno zaczną padać. Wszystkie miejsca w autobusach były już zajęte i nie udało się zmienić rezerwacji, ale Fabis i Aura wpadły na pomysł, żeby dotrzeć na miejsce okrężną drogą. Moglibyśmy pojechać autobusem do Oaxaca, spędzić noc w mieście i nad ranem wziąć samolot do Puerto Escondido, rzut kamieniem, tyle co na drugą stronę kordyliery, latają tam linie Aerovega. Przepadną nam wprawdzie bilety na autobus, ale nie ma sensu jechać nad morze, kiedy pogoda się już popsuje. Zaniosę lekarzowi wyniki po powrocie z wakacji. Trzeba się szybko spakować!

Czy powinienem był się sprzeciwić? Nie, *O-rra*, zapłaciliśmy już za te bilety, nie wolno nam dalej wyrzucać pieniędzy w błoto! Co z moją umówioną wizytą u lekarza? Mogłem i powinienem był

zaprotestować; szczerze powiedziawszy, próbowałem, ale bez przekonania. (Juanita często mi zarzucała, że jestem zbyt uступliwy wobec Aury). Kobieta, od której wynająłem domek na plaży, dała mi wcześniej klucze. Już mieliśmy wychodzić, kiedy Aura przypomniała sobie o ekspresie do kawy. Przecież będzie nam potrzebny, prawda? Nie zmieścił się do walizki, więc zapakowała go do czarnej plastikowej torby. Zeszliśmy do taksówki.

Kiedy dotarliśmy na dworzec autobusowy El Tapo, okazało się, że mamy jeszcze trochę czasu do odjazdu, więc poszliśmy do restauracji i zjedliśmy na kolację pyszne, tłuste *tortas*. Podróż do Oaxaca miała nam zająć około pięciu godzin. Zdążymy jeszcze wpaść do El Central na drinka. Autobus się jednak spóźnił. Wszystkie lokale w Oaxaca były już zamknięte, a musieliśmy wstać o wpół do szóstej rano, żeby dojechać na lotnisko. Kiedy wysiedliśmy z taksówki i szliśmy z bagażami do hostelu, Aura zdała sobie sprawę, że ekspres został w autobusie. Jeszcze na dworcu El Tapo, kiedy wkładała go na półkę nad naszym siedzeniem, gdzie wkrótce zniknął pod zwałami innych toreb, pomyślałem, że muszę to sobie zakonotować, bo inaczej zapomnimy go stamtąd zabrać; no i wyleciało mi z głowy.

Cóż, w takim razie kupimy ten turkusowy, powiedziałem.

Ale tamten kupiłam sobie jeszcze w Austin, westchnęła smutno Aura.

Wcale nie miałem ochoty nocować w tym hostelu. Na łózkach piętrowych w męskim dormitorium spało już kilku innych turystów, więc wszedłem do środka po cichutku, nie zapalając światła. Zastanawiałem się, czy to schronisko *m ł o d z i e ż o w e*, czy zwykły hostel. Znalazłem tylko cienki koc; postanowiłem nie zdejmować dzinsów ani koszulki. Leżałem na wąskim, niewygodnym łóżku, wściekły, że dałem się tak łatwo

wmanewrować w podróż okrężną drogą i marnotrawienie pieniędzy, byle tylko szybciej dotrzeć nad morze. Czemu Aura była taka niecierpliwa?

Na jakim etapie swej długiej podróży do Mazunte była wówczas fala, która później zabiła Aurę? Od tamtej pory dowiedziałem się trochę o falach i jestem pewien, że już istniała. Większość fal powierzchniowych o dostatecznej amplitudzie, nawet tych niezbyt wysokich, które docierają do Mazunte przy normalnej pogodzie, pokonuje dystans kilku tysięcy kilometrów. Podmuchy wiatru marszczą powierzchnię wody; pęd powietrza, zyskawszy dogodny punkt zaczepienia, przeistacza te zmarszczki w fale. Im potężniejsza fala, tym wiatr ją mocniej popycha, nadając jej coraz większą prędkość i wypiętrzając ją coraz wyżej. To nie morze wprawia w ruch fale, tylko energia wiatru, która zmienia się w energię kinetyczną wskutek tarcia na burzliwym styku wody i powietrza. Cząstki wody poruszają się po zamkniętych orbitach, jak pedały w rowerze, nieustannie przekazując energię kolejnym cząstkom, podnosząc falę i kształtując jej grzbiet; w dolinie fali zachodzi zjawisko odwrotne. Krótkie poszarpane fale, jakie tworzą się między innymi na jeziorach, pokonują stosunkowo niewielką odległość. Długie fale pędzą z silnymi wiatrami, które wieją na otwartym oceanie przez kilka dni, na dystansie wielu tysięcy kilometrów. Takie właśnie fale obserwuje się na wybrzeżu Pacyfiku: mocno wypiętrzone, tworzące szkliste grzbiety, które po osiągnięciu maksymalnej wysokości zaczynają się załamywać. Fala Aury mogła powstać co najmniej tydzień przed wypadkiem, w czasie tropikalnego sztormu na Oceanie Indyjskim, gdzie silne wiatry wieją uporczywie w jednym kierunku. Im fala starsza, tym bardziej niebezpieczna; przeczytałem, że wysokość i stopień wypiętrzenia fali zależą od jej wieku: „W miarę starzenia się fala stopniowo nabiera

wysokości, staje się coraz dłuższa i szybsza”. Gdzie była fala Aury tamtej nocy, którą przespaliśmy na łóżkach piętrowych hostelu w Oaxaca? Czy zdążyła już się zestarzeć i przeistoczyć w wehikuł śmierci, czy wciąż była jeszcze młoda, narodzona zaledwie dzień wcześniej, podczas jakiegoś sztormu na otwartym morzu, zaledwie półtora tysiąca kilometrów od wybrzeża? Jeden z wierszy Borgesa kończy się słowami:

*¿Quién es el mar, quién soy? Lo sabré el día
Ulterior que sucede a la agonía.*

Kim jest morze, kim ja jestem? Dowiem się tego w dniu, który nadejdzie po agonii – w tym kontekście słowo „agonia” można przetłumaczyć dosłownie, jako „męczarnie konania”.

Czy jestem falą?

Do domu w Mazunte dotarliśmy nazajutrz około południa. Miałem przy sobie odręcznie narysowaną mapkę, której taksówkarz nie był w stanie odcyfrować, ale w końcu udało się nam znaleźć naszą *callejón*: drogę przez las, biegnącą obok restauracji na szczycie stromego wzgórza; na końcu była brama, którą otworzyliśmy kluczem, po czym wspięliśmy się po schodach do domu przypominającego chatkę szwajcarskich Robinsonów, ukrytą w rozłożystych gałęziach tropikalnych drzew. Wewnątrz było kilka zadaszonych tarasów; Aura wybrała największy i wzięła się z miejsca do przesuwania mebli, żeby urządzić sobie pracownię na świeżym powietrzu. Mnie przypadła mniejsza, ocieniona platforma na niższym poziomie. Fabis, z zawodu grafik, obstawała twardo, że jest na wakacjach i nie potrzebuje żadnej pracowni. Sypialnie miały okna zasłonięte siatką i łóżka wyposażone w moskitiery, wokół domu wisiały hamaki, ale najlepsze miejsce

do spania było na górnym tarasie, ponad linią drzew, skąd roztaczał się wspaniały widok na zatokę i otwarte morze. Wtargaliśmy tam po schodach dwa cienkie futony. Do przyjazdu Juanki Fabis miała spać razem z nami na górze.

Po południu poszliśmy nad ocean. Było pochmurno, poprzedniej nocy spadł ulewny deszcz – pierwszy od wielu tygodni. Nikt nie słyszał, żeby zapowiadano jakieś opady w najbliższych dniach, ale po nawałnicy woda zrobiła się mętna; pływały w niej zbite kępy traw, połamanych gałązek i innych szczątków roślin. Choć Aura często jeździła na tutejsze plaże i uwielbiała spędzać czas w wodzie, zawsze bała się fal; tamtego dnia nie były zbyt wysokie. Aura chwyciła mnie za ramię, prosiła, żebym zaczekał, aż wczuje się w ich rytm, i dopiero wówczas wbiegaliśmy razem do wody. Unosząc się w toni, obejmowała mnie rękami za szyję i trzymała mocno, dopóki nie uznała, że czuje się wystarczająco pewnie, by zanurkować między fale i zapuścić się kawałek w głąb, gdzie już przestawały się łamać, gdzie woda była spokojniejsza i można się było kołysać z dala od niebezpiecznych grzywaczy. Aura uwielbiała się pluskać na otwartym morzu; pływała w tę i w tę jak sympatyczna, pełna energii foczka.

El agua está picada hoy, powiedziała Aura. Między bałwanami tworzyły się mniejsze fale, pojedyncze rozbryzgi wody, jakby ktoś obrzucał nas z nieba kamieniami. Wokół pojawili się bodysurferzy, przeważnie młodzi mężczyźni, ale też kilkunastoletni chłopcy. Podpłynąłem bliżej, żeby złapać falę. Przepuściłem kilka i utrafiłem w kolejną, rzucając się naprzód, prac z całych sił w stronę spienionego grzbietu, pozwalając się nieść z rozpostartymi rękami i głową wynurzoną nad powierzchnię wody, aż fala załamała się z hukiem, pochłonięła mnie i wyrzuciła prawie na brzeg, z ogromną prędkością i budzącym dreszczyk emocji impetem. Wróciłem

do Aury dumny jak paw, z szerokim uśmiechem na twarzy.

Czy to niebezpieczne? – spytała. Tak właśnie, spytała, czy to niebezpieczne. Bodysurfing zaczął ją rajcować. Pływała znacznie lepiej niż jej pięćdziesięcioletni mąż. Skoro on mógł uprawiać bodysurfing, czemu ona nie miałaby spróbować?

Niebezpieczne, odparłem, jeśli zaryjesz głową w piasek. Trzeba cały czas trzymać głowę nad wodą. Właśnie tak odpowiedziałem na pytanie Aury, jestem tego pewien, ani słowa mniej, ale też ani więcej.

Wychodząc z wody, znów przyłgnęła do mnie, żeby zaczekać na niewysoką falę, która popchnie ją naprzód; wtedy mnie puściła i młóćąc wodę z całych sił, popłynęła do brzegu w kłębach skotłowanej piany. Czasem trzeba było naprawdę walczyć z prądem wstecznym, przeważnie jednak wystarczyło dać się ponieść kolejnej fali.

Tamtego wieczoru zjedliśmy kolację w restauracji Armadillo, przycupniętej tuż nad naszą *callejón*. Poprzedniej nocy prawie nie zmrużyliśmy oka, więc położyliśmy się spać wcześniej, na górnym tarasie, spryskawszy go przedtem środkiem odstraszającym owady. Szeleszcząca w liściach drzew bryza kojarzyła się z młodym, niestrudzonym morzem. Nad ranem zbudziła nas kakofonia ptasich śpiewów i nawoływań. Z tarasu roztaczał się widok na łagodną krzywiznę zatoki – z jednej strony ograniczonej przez półwysep Punta Cometa, z drugiej przez odległe pasmo wzgórz dzielących Mazunte od San Angustinillo – za którą rozpościerał się Ocean Spokojny, niknąc w błękitnej poświacie na styku wody i nieba. W oddali majaczyły kutry rybackie i pojedynczy frachtowiec. Zeszliśmy po cichutku, żeby nie obudzić Fabis. Aura chciała natychmiast usiąść przy komputerze i popracować. W kuchni był ekspres; poprzedniego dnia kupiliśmy kawę i coś do jedzenia. Aura

pokroiła w cząstki papaję. Kiedy wspominam tamten dzień, jedyny spędzony od rana do wieczora na plaży, mam wrażenie, że trwał dwa albo i trzy dni: czas płynął tak leniwie, jak przystało na wakacjach nad morzem.

Nad czym pracowałem tamtego ranka? Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Może nad powieścią, do której się właśnie przymierzałem. Wziąłem też książkę do recenzowania, nowy przekład sześćsetstronicowej XIX-wiecznej powieści *Ród Maia*, której autorem jest portugalski pisarz Eça de Queirós. Rzecz dzieje się w podupadłej, dekadencej Lizbonie. Przerwałem lekturę w momencie, gdy Carlos Maia, młodzieniec tyleż inteligentny, co gnuśny, wdaje się w romans z madame Gomes. Zaszyłem się w cieniu, przy grubo ciosanym biurku, słuchając śpiewu ptaków, obserwując kolibry spijające nektar z kwiatów, co pewien czas wstając, żeby rozprostować kości, siadając z powrotem, trochę zazdroszcząc Aurze, że zabrała się do pracy w takim skupieniu i urządziła sobie znacznie ładniejszy kącik pisarski. Mniej więcej o wpół do jedenastej poszliśmy we trójkę na śniadanie do Armadillo. Potem wybraliśmy się na plażę. Dawny chłopak Aury, niejaki J., był właścicielem popularnego baru w Mazunte, gdzie wieczorami często grano muzykę na żywo. Historia ich związku wciąż była dla mnie zagadką. Wiedziałem tylko, że kiedy Aura miała osiemnaście albo dziewiętnaście lat, facet złamał jej serce. Rzucił studia na UNAM i przyjechał do Mazunte, żeby wieść żywot hipisa. Poznałem go rok wcześniej, podczas mundialu, kiedy oglądaliśmy u niego w barze mecz Francja – Włochy: młody, krępy mężczyzna o krótkich włosach i żołnierskim sposobie bycia, który najwyraźniej postanowił się ustatkować. Miał teraz żonę i dziecko. Tamtego popołudnia rozmawiali z Aurą po raz pierwszy od lat.

W pewnym momencie, kiedy znów zacząłem czytać *Ród Maia*,

Aura i Fabis poszły na spacer, pewnie do miejscowej kafejki internetowej. Aura wróciła w fatalnym humorze. Nie uwierzysz, powiedziała, opadłszy ciężko na ręcznik plażowy. Jeszcze tego mi brakowało. Wpadły na chwilę do baru J., żeby się przywitać, i dowiedziały się od jego żony, że jest w Dystrykcie Federalnym. Wiesz, po co?, spytała Aura. Kiedy odparłem, że nie mam zielonego pojęcia, Aura wypaliła, że J. pojechał do miasta, żeby poszukać grafika, który zaprojektuje mu okładkę. J. szykował się do wydania książki. Zbioru opowiadań o Mazunte.

Więc nawet ten hipisowski wyrzutek, mój były facet, właściciel baru na plaży, powiedziała Aura, wyda książkę przede mną.

Cóż, odrzekłem, nie sądzę, żeby mógł z nią startować do Nagrody Juana Rulfo. Opowiadania o włoskich hipisach i palaczach marihuany z Mazunte? Kto zechce to czytać?

Nie o to chodzi, zaprotestowała Aura. Nieważne, o czym są te opowiadania. Niewykluczone, że są świetne. Jestem beznadziejna.

Och, Aura, przestań, nie jesteś beznadziejna. Sama teraz pracujesz nad świetnym opowiadaniem. I tak dalej w tym tonie, pierdolenie kotka za pomocą młotka. Miałem już tego dość. Nie psujmy sobie dnia, pomyślałem, skoro tak się cieszyliśmy na te wakacje. Chociaż to rzeczywiście niefortunny zbieg okoliczności, że jej były chłopak ma wydać książkę i że dowiedziała się o tym w pierwszym dniu pobytu nad morzem. Rzecz jasna, od tamtej pory wypatrywałem tej pozycji w księgarniach, ale nigdy na nią nie trafiłem ani nie znalazłem o niej żadnej wzmianki.

Ale jedno trzeba było Aurze przyznać, umiała się szybko pozbierać i otrząsnąć z rozczarowania. Poszliśmy popływać. Bez wody długo by nie wytrzymała. Już wkrótce pluskaliśmy się i całowaliśmy się w oceanie. Nie przypominam sobie, żebym tego dnia surfował; jeśli tak, pewnie nie trafiła mi się dobra fala. Mazunte nie była

wymarzoną plażą dla surferów, ale prawie zawsze ktoś uprawiał bodysurfing albo ślizgał się na desce boogie. Nieliczni zapaleńcy pojawiali się zwykle pod wieczór. Czerwona flaga, oznaczająca zakaz kąpieli, wisiała jak zwykle, bo nikt jej nigdy nie zdjął, zawsze tam była. Nawet pracownik obsługi plaży, którego wreszcie o to spytałem, nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego tak jest i kto za to odpowiada.

Tamtego wieczoru zjedliśmy kolację na plaży. Z przyzwyczajenia wziąłem swój telefon BlackBerry; cały dzień nie działał, ale po zmroku złapał słaby sygnał. Dostałem e-mail od Barbary, znajomej z wydawnictwa. Napisała, że mój reportaż dostał świetną recenzję w zapowiedziach. Hurra! Było cudownie: ciemnobłękitny, fosforyzujący blask wieczoru, plażowe restauracje udekorowane sznurami kolorowych lampek, pomarańczowe płomienie pochodni gazowych. Niebo zrobiło się fioletowe, nad oceanem zapadły ciemności. Płynąca z głośników muzyka rockowa mieszała się z rytmicznym odgłosem fal, znacznie cichszych niż w Puerto Escondido. Wzięliśmy na spótkę dwie średnie pizze i dwa dzbanki wodnistej margarity. Byliśmy szczęśliwi. Jakbyśmy odkryli jakiś skarb, zgromadzili niewielką fortunę z takich jak ta nocy nad morzem.

Nad ranem Fabis poszła załatwić jakieś sprawy i zostawiła nas na chwilę samych, wykorzystaliśmy to na krótki seks, słodki, lecz trochę nerwowy – Aura się bała, że Fabis może zaraz wrócić. Kiedy się ubraliśmy i zeszliśmy po drabinie do kuchni, złapała mnie za krocze, przywarła ustami do mojego ucha i powiedziała, że wkrótce będziemy się kochać na okrągło i zrobimy sobie dziecko. *Ay, ya quiero un bebé!*, wykrzyknęła. Poczułem nagły przypływ energii i optymizmu. Już niedługo, po raz pierwszy w życiu, będziemy uprawiać seks w celach prokreacyjnych!

Aurze dobrze się pracowało tamtego ranka. Poszedłem na górę i zastałem ją przy laptopie, ze słuchawkami na uszach. Później, około dziesiątej, znów poszliśmy na śniadanie do Armadillo i siedliśmy do stołu przykrytego obrusem w biało-niebieską kratkę, obok polichromowanej figury Matki Bożej z Guadalupe i drewnianej głowy gryfa. Zjadłem enchiladas z ostrym czerwonym sosem i jajka sadzone z czarną fasolą. Aura jak zwykle zamówiła owoce z jogurtem i porcję enchiladas na spótkę z Fabis. Wypiliśmy po wielkiej szklancy specjalności zakładu, czyli soku pomarańczowo-marchwiowo-buraczanego, i po kubku mocnej kawy. Z czystego łakomstwa uraczyliśmy się jeszcze tostami z chleba domowego wypieku podawanymi z tutejszym miodem.

Kiedy szliśmy na plażę, Aura powiedziała, piszę naprawdę świetną rzecz.

Było to rzeczywiście do niej niepodobne, być może zdarzyło jej się po raz pierwszy w życiu, mówiła jednak z głębokim przekonaniem. Całkiem prawdopodobne, że nazajutrz znów ogarnęłoby ją zniechęcenie. Ale z pewnością coś się zmieniło w jej zachowaniu. Dopiero później to do mnie dotarło, kiedy uświadomiłem sobie, że przez tych kilka dni zdążyła wprowadzić mnóstwo korzystnych poprawek do opowiadania o nauczycielu; ostatniego poranka prawie je skończyła – w każdym razie na tyle, że po niewielkiej obróbce redakcyjnej nadawało się do publikacji. Pracowała ciężko przez cały rok; czemu właśnie teraz nie miałoby coś zaskoczyć, otworzyć drzwi do tej pory przed nią zamknięte, przenieść słowa i zdania w całkiem nowy wymiar, usytuowany gdzieś pomiędzy jej mózgiem a ekranem komputera, oprowadzić ją po przepastnym domu, którego wnętrza mają dziwne, niespotykane kształty, a mimo to skądś wiadomo, jak się po nich poruszać. Odbyliśmy niedawno dość nieskładną rozmowę na ten temat,

próbując opisać towarzyszące temu doznania.

I pomyśleć, że wciąż miała przed sobą dwa cudowne tygodnie pobytu nad morzem! Niewykluczone, powiedziała, że poświęci kilka popołudni na pisanie, zamiast chodzić na plażę.

Brzmi rozsądnie, odparłem. W gruncie rzeczy byłem zadowolony, że przyśpieszyliśmy nasz przyjazd o kilka dni. Gdybyśmy odczekali do poniedziałku, nasz nocny autobus właśnie wtaczałby się do Mazunte, a my, wykończeni, marzylibyśmy tylko o szklance zimnego piwa i odrobinie snu.

Z tamtego upalnego, prawie bezchmurnego dnia zapamiętałem też tłumy na plaży, mnóstwo ludzi taplających się w morzu z małymi dziećmi, pływających i uprawiających bodysurfing. Widocznie fale zachęcały do kąpieli. Niezbyt wysokie, pewnie nie takie *s t a r e*. Z tym że fale wędrują przez ocean całymi stadami, w tak zwanych pakietach, które nigdy nie docierają do lądu pojedynczo, bo po drodze się spotykają, łączą, nakładają na siebie, starsze mieszają się z młodszymi. Poza tym już wkrótce miałem się przekonać, że nawet stosunkowo niska fala załamuje się i pędzi do brzegu z impetem samochodu na pełnym gazie.

Rozsiedliśmy się na krzesłach, obserwując bodysurferów. Aura wyglądała na szczerze zainteresowaną i z zapałem komentowała ich umiejętności. Zapamiętałem zwłaszcza dwóch dobrze zbudowanych chłopaków o jasnej cerze, myślę, że braci, którzy byli najlepsi z całego towarzystwa; dosłownie muskali powierzchnię oceanu, balansując na krawędziach fal z rozpostartymi ramionami, niczym latający superbohaterowie. Weszliśmy do wody przynajmniej dwukrotnie, całą trójką, za każdym razem starając się złapać dogodną falę. Nie sądzę, by Aurze i Fabis w ogóle się to udało; próbowały się tylko ustawić, a gdy fala zawisała im nad głowami, nurkowały pod spodem. Ja zaliczyłem jeden krótki ślizg. Jakimś

cudem wymierzyłem odległość.

Poczułem instynktowną niechęć do młodego szpanera – długowłosego, chudego jak szczapa, wytatuowanego od stóp do głów, z kolczykiem w dolnej wardze – który usiadł po prawej tuż koło nas. Czemu tak blisko? Potem przyszedł jego kumpel i rozłożył się obok na ręczniku. Aura powiedziała, że chce iść do wody. Znowu? To już trzeci raz! Chciałem poczytać. *Ród Maia* zaczął mnie wciągać, orientujesz się długo przed pozostałymi bohaterami, że Carlos Maia zapalał grzeszną miłością do swej odnalezionej po latach siostry, madame Gomes – co tu dużo gadać, świetna lektura na plażę. Poprzedniego dnia Aura skończyła zbiór opowiadań Fabia Morabito – bardzo jej się spodobał – i teraz czytała na przemian Silvinę Ocampo i Bruno Schulza, w przerwach między jedną a drugim plotkując z Fabis.

Spójrz, ilu tam ludzi, powiedziałem. Wciąż nie rozumiem, czemu ten tłum nie zniechęcił wówczas Aury. Plażowicze siedzieli w wodzie dosłownie głowa przy głowie. Aura była mocno przewrażliwiona na tym punkcie – przeważnie wystarczyło jej rzucić okiem na to zbite, pstrokate, falujące kłębowisko, żeby przebiegł ją dreszcz obrzydzenia; krzywiła się ze wstrętem, podtykała mi rękę pod nos i kazała patrzeć na swoją gęsią skórę. Tamtego dnia morze było upstrzone ludźmi, czego Aura przecież nie znosiła!

Szepnąłem jej do ucha, że nie chcę iść do wody i zostawiać naszych rzeczy w zasięgu jakichś podejrzanych typów. Odszepnęła, że na pewno niczego nam nie ukradną. Zwykli plażowi hipisi.

Idźcie we dwie, powiedziałem.

Nie wygłupiaj się, jęknęły Aura i Fabis. Woda jest dziś cudowna. Chodź z nami!

Nie, odparłem, tym razem nie pójdę. Wolę poczytać.

Aura miała na sobie kupione specjalnie na ten wyjazd buty

do pływania, w których chodziła jak kaczka i nie mogła nadażyć za Fabis, znacznie od niej wyższą i poruszającą się ze zmysłowym wdziękiem. Człapiąc po piasku, wymachiwała rękami, żeby dodać sobie animuszu; zadarła wysoko głowę i rozmawiała z kuzynką radosnym, podekscytowanym tonem. W niebieskim, jednocześnie kostiumie sprawiała wrażenie znacznie okrągłej niż w rzeczywistości. Jaka rozkoszna, zabawna i śliczna jest ta moja Aura, pomyślałem. Ten moment rozstrzygnął o wszystkim; gdybym był falą, właśnie wtedy zacząłbym się wypiętrzać, czując w sobie gwałtowny, bolesny przypływ miłości; nawet gdyby ów przypływ miał się skończyć bezładną kotłowanąią, i tak bym to zapamiętał. Pomyślałem sobie: obiecuję, że już nie będę się złościł na Aurę, że jest tak niepewna siebie i wciąż potrzebuje wsparcia, co mnie to, kurwa, obchodzi, mój Boże, będę ją kochał bardziej niż kiedykolwiek i oczywiście natychmiast pójdę z nią popływać. Postanowiłem zabezpieczyć nasze rzeczy przed kradzieżą, możliwie dyskretnie, żeby nikt się nie poczuł dotknięty. Wsadziłem portfel, koszulkę, sandały i książkę, do której miałem już nigdy więcej nie zajrzeć, w płócienną torbę z księgarni Gandhi, przełożyłem nogę od krzesła przez jej uszy i mocno wbiłem w piasek. Zobaczyłem, że Aura i Fabis stoją po pachy w wodzie, twarzami do siebie, wciąż rozmawiając, nurkując w falach i wyskakując z impetem na powierzchnię. Wstałem, puściłem się biegiem po rozpalonej plaży i dałem susa do morza.

Kiedy wejdiesz na stronę YouTube i wpiszesz dwa słowa kluczowe, „Mazunte” i „waves”, znajdziesz mnóstwo filmików z tej plaży. Fale na wideo zarejestrowane przez turystów nie różnią się zbytnio od tych, w których pływaliśmy, niewykluczone nawet, zważywszy na tłum ludzi w wodzie, że były wtedy spokojniejsze. Gdybyś

wpisał w okienko słowo „Zippolite”, przekonałbyś się, że tamtejsze fale są znacznie wyższe i budzą większy respekt. Nie miałem wcześniej pojęcia o ich klasyfikacji, nie wiedziałem, że istnieją tak zwane fale rozlewające się, najbezpieczniejsze dla surferów, występujące na obszarach „stosunkowo dobrze osłoniętych przed wiatrem”; fale „kołyszące” lub „opadające”, które tworzą się tuż przy brzegu, przy silnym wietrze bądź w miejscach, gdzie dno raptownie się podwyższa, uważane za mniej bezpieczne od rozlewających się; oraz najgroźniejsze ze wszystkich fale „wznoszące”. Później nauczyłem się je rozróżniać, ale wciąż nie byłem pewien, z jakimi mieliśmy do czynienia w Mazunte. Plaża jest tam dość dobrze osłonięta, dno morskie jednak się wznosi, nawet w strefie nachylenia plaży. Na nowozelandzkiej stronie Seafriends Marine Conservation Center znalazłem dużo ciekawych informacji o falach, wysłałem więc do nich e-mail z linkami do dwóch wideo z Mazunte na YouTube i prośbą o klasyfikację. Dyrektor ośrodka odpisał:

Na obydwu filmach zarejestrowano fale opadające, które tworzą się nawet na stosunkowo spokojnym morzu. Takie fale są bardzo niebezpieczne, tworzą bowiem niemal pionową ścianę luźnego piasku, z której się trudno wydostać. Mogą też nagle, na krótkim dystansie, oddać całą swoją energię kinetyczną i spowodować gwałtowne zwiększenie prędkości przepływu wody. Przypuszczam, że Aura miała wyjątkowego pecha i trafiła w taką falę głową. Być może próbowała z niej wypłynąć i wpadła w panikę. Kto wie? Bardzo mi przykro, że tak tragicznie się to skończyło. Co nie zmienia faktu, że powinniśmy ostrzegać ludzi przed tymi zdradliwymi falami.

Dyrektor pewnie coś źle zrozumiał i pomyślał, że Aura utonęła. Fale były n a p r a w d ę spokojne. Pływacy, nawet małe dzieci, nie mieli żadnych kłopotów z wydostaniem się na powierzchnię, przynajmniej nic takiego nie zauważyłem. Fala raptownie oddała całą energię – tutaj akurat miał rację, podobnie jak w tym, że Aura

„trafiła w taką falę głową”.

Dołączyłem do pluskających się w wodzie Aury i Fabis i jeśli dobrze pamiętam, wszyscy troje postanowiliśmy spróbować swych sił w bodysurfingu. Poszło mi jak zwykle, prawie od razu złapałem falę i wynurzyłem się jakieś piętnaście, dwadzieścia metrów dalej, cały zachwycony, z szeroko rozpostartymi ramionami. Rozpierała mnie radość i byłem równie albo prawie tak samo dzielny jak ci wszyscy młodszy faceci z plaży. Fabis próbowała złapać następną, ale jej się nie udało. Kolejna fala wyrosła przed nami, jakby pchał ją od tyłu jakiś niewidzialny buldożer. Usłyszałem okrzyk Aury:

iEsta es mía! – Ta jest moja!

iEsta es mía! – jej wesoły, zadziorny głos, rozjaśniony ostatnim w życiu przebłyśkiem szczęścia.

Nie ustawiłem się odpowiednio, żeby sam złapać falę, ale zobaczyłem, że Aura się w nią rzuca; pomyślałem, nurkując pod spód, że ta jest chyba większa, potężniejsza, jakby ciężalsza niż inne, i poczułem ukłucie strachu (a może tylko pamięć mnie zwodzi?). Wynurzyłem się z jęzora kipiącej piany – zupełnie jakby woda się zagotowała. Fabis stała koło mnie. Złapałaś tę falę? – spytałem, ona odpowiedziała, nie, a ty? Ale ja zacząłem się już rozglądać za Aurą. Gdzie jest Aura? Nie mogłem jej wypatrzeć. Omiotłem wzrokiem wezbraną toń, czekając, aż Aura wystawi głowę nad wodę, zaczerpnie powietrza, przetrze oczy i odgarnie włosy z twarzy. Zupełna konsternacja, lęk... Nigdzie jej nie było. A potem ją zobaczyłem. Wyłoniła się z piany, jakby ktoś powolutku ściągnął z niej białą narzutę: na powierzchni morza dryfowały jej gładkie, zaokrąglone plecy i rozpostarte ramiona; unosiła się twarzą w dół, całkiem nieruchomo. Dopadłem ją w mgnieniu oka i wyniosłem na brzeg z pomocą trzech albo czterech innych

pływaków. Ależ była ciężka. Ułożyliśmy ją na piasku. Straciła przytomność, z nosa ciekła jej woda. Po chwili jednak otworzyła oczy. Ludzie krzyczeli, nie ruszajcie jej! Wymamrotała bezgłośnie, że nie może złapać tchu. Ktoś zawołał, zróbcie jej sztuczne oddychanie, więc przywarłem ustami do jej ust. Wdmuchnąłem powietrze i poczułem, jak ciepły oddech wchodzi mi z powrotem do płuc. Zdziwiłem się, że plaża jest tak stroma; jakbyśmy znaleźli się w jakimś rowie. (Czy wcześniej też tak było? Czy miało to związek z pływami morskimi?). Fala roztrzaskała się o brzeg i prawie zakryła Aurę. Dźwignęliśmy ją w kilka par rąk, potem nam się wyśliznęła, znów ją chwyciliśmy i przenieśliśmy na suchy, gorący piasek. Wezwijcie lekarza, karetkę, błagałem. Musiałem z nią zostać. Powiedziała, pomóż mi oddychać, więc znów przycisnąłem usta do jej warg. Wyszepiała, za mocno, a po następnym oddechu, teraz dobrze. Ktoś, chyba Fabis, stwierdził, że to *susto*, że ona nie może oddychać ze strachu, wystarczy, że się uspokoi, a wszystko wróci do normy, a ja to powtórzyłem Aurze, okropnie się wystraszyłaś, dlatego nie możesz oddychać, kiedy się uspokoisz, wszystko wróci do normy. Myślałem, że Fabis zadzwoniła po karetkę, tymczasem się okazało, że poszła szukać lekarza. Zanim znikła mi z oczu, Aura powiedziała, *quíéreme mucho, mi amor*. Kochaj mnie mocno, kochanie. Nie mogła się ruszyć, straciła czucie w rękach i nogach. Oznajmiła mi to z całkowitym spokojem, jakby w przeświadczeniu, że jeśli uda jej się zachować zimną krew, może ten koszmar odpuści i znajdzie sobie inną ofiarę. Powiedziałem, że to przejściowe, że wkrótce odzyska władzę w ciele. Trzymałem ją za rękę, ścisnąłem ją, ale nie czuła mojego dotyku. Była cała upaprana w piasku. Ktoś przy niej ukląkł, szturchnął ją w nogę i spytał, czy coś czuje. Gdzie, do kurwy nędzy, jest ta karetka? Ktoś inny, chyba jakiś Niemiec, powtarzał stanowczo, że nie powinniśmy w ogóle jej ruszać. *Aire*,

mówiła Aura, ilekroć nie mogła zaczerpnąć oddechu. Słowa wychodziły jej z ust jak pękające bańki mydlane.

No quiero morir, powiedziała. Nie chcę umierać.

Przecież ty nie umierasz, kochanie, nie bądź głupia. Trzymam ją za rękę, odgarniam jej włosy z czoła. Usta w usta, wdech, wydech, przerwa, wdech, wydech, przerwa...

Fabis nie znalazła lekarza. Jakimś cudem lekarz znalazł nas pierwszy. Młody, żylasty Meksykanin, wyglądał jak surfer. Może nie był lekarzem, tylko studentem medycyny. Fabis próbowała teraz wezwać karetkę, ale też niespecjalnie jej szło. Najpierw właściciele restauracji nie pozwolili jej skorzystać ze swojego telefonu albo nie powiedzieli, z kim właściwie powinna się skontaktować. Całą plażę obsługuje tylko jedna karetka, oznajmiła Fabis, teraz jest gdzieś w terenie i nie dotrze przed upływem dwóch godzin. Czyli nie ma karetki.

Aire, wyszeptała Aura.

Młody lekarz przejął dowodzenie. Nie mogliśmy tak długo czekać, musieliśmy przetransportować Aurę do najbliższego szpitala w Pochutla, jakieś trzydzieści kilometrów w głąb lądu. Ktoś się zaofiarował, że zawiezie ją swoim SUV-em. Postanowiliśmy zastąpić nasze deską surfingową i umieścić Aurę w tylnej części samochodu. Kiedy lekarz poprosił o pomoc, większość zgromadzonych wokół młodzieńców odskoczyła, jakby ktoś rzucił w nich lutlampą, kilku jednak podeszło bliżej, uklękło przy Aurze, dźwignęło ją ostrożnie, wsunęło pod spód deskę i przeniosło ranną do SUV-a. Ja pilnowałem, żeby miała twardo pod głową. Przycupnąłem z tyłu w samochodzie, podtrzymując jej głowę oburącz, żeby nie zsunęła się z noszy, i pochylałem się nad nią raz po raz, by wdmuchnąć jej w usta powietrze. SUV kolebał się powolutku na wyboistej, zapylonej drodze, jadąc zrywami po głębokich koleinach, niwecząc

wszelkie próby unieruchomienia rannej. Jakiś chłopak kucnął z drugiej strony, żeby przytrzymać nogi Aury i zapobiec wypadnięciu deski przez otwartą klapę samochodu. Miał w rękę zielone piórko, nie wiem, skąd je wytrzasnął, łaskotał nim podeszwy jej stóp i pytał, czy coś czuje. Szeptala, że tak, a ja powtarzałem, że skoro czuje muśnięcie piórkiem, to wszystko będzie dobrze. Chłopak od piórka modlił się nad Aurą. Jesteś aniołem, powiedziałem. W końcu wyjechaliśmy na szosę. Po trzech kwadransach przeprawy z Mazunte dotarliśmy do szpitala w Pochutla. Była mniej więcej trzecia po południu.

Pochutla jest gwarnym miasteczkiem handlowym. Szpital mieścił się na obrzeżach, w tandetnym, piętrowym budynku, który przypominał wiejską szkołę podstawową. Wpuścili mnie na oddział ratunkowy razem z Aurą. Był ciasny i urządzone iście po spartańsku. Przenieśli Aurę na łóżko razem z deską surfingową. Założyli jej kołnierz ortopedyczny. W szpitalu nie było nawet respiratora. Wciąż musiałem jej robić sztuczne oddychanie.

Pierwszy lekarz, który przyszedł obejrzeć ranną, był z całą pewnością alkoholikiem: rozczochrany, spuchnięty, zubożniały na wszystko. Przed wejściem na oddział znajdowała się niewielka poczekalnia z plastikowymi krzesłami i oknami zabezpieczonymi siatką. Fabis próbowała załatwić ostatnie telefony, zanim jej padnie bateria w komórce. Kiedy wykręciła numer matki Aury, odezwała się automatyczna sekretarka. Do Rodriga też nie mogła się dodzwonić. Zanim skończył się ten długi dzień, w jej aparacie wyświetliło się czterdzieści jeden nieodebranych połączeń z Juanitą i Rodrigiem. Ładowarkę zostawiła w domku w Mazunte. Spytała kierowcę SUV-a, czy mógłby ją przywieźć. Zgodził się. Narysowała mu mapkę dojazdu i przekazała klucze. Wrócił z ładowarką zaledwie godzinę później. Mógł jechać znacznie szybciej niż przedtem z Aurą.

Aura spytała, czy ja umrę?

Nie, kochanie, oczywiście, że nie umrzesz. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Podobne rzeczy zdarzają się czasem piłkarzom, powiedziałem. Znoszą ich z boiska, tak jak my cię znieśliśmy z plaży, a potem stopniowo wraca im władza w rękach i nogach. Czujesz już cokolwiek, choćby troszeczkę?

Sí, mi amor.

Wreszcie przynieśli ręczny respirator, pielęgniarka przytknęła ustnik do warg Aury, ja chwyciłem oburącz jajowatą bańkę z białego plastiku i zacząłem nią rytmicznie pompować powietrze. Kiedy się okazało, że trzeba wypełnić jakieś formularze, przy naciskaniu balonika zmieniła mnie inna pielęgniarka. Zaprowadzili mnie do maleńkiego pokoiku z biurkiem i staroświecką maszyną do pisania, w którym miałem zaczekać na lekarza. Wyjąłem swoje blackberry i przekonałem się, że mam sygnał. Zadzwoniłem do Juanity, ale nie odebrała, więc wysłałem jej e-mail z informacją, że Aura miała wypadek podczas kąpieli w morzu, jest w szpitalu, niech Juanita skontaktuje się natychmiast ze mną albo z Fabiolą. Bateria w moim telefonie też już była prawie rozładowana. Zdążyłem napisać do Silvermana, do mojego wydawcy w Nowym Jorku, do Gus, Saquiego i nie pamiętam, kogo jeszcze, z prośbą o pomoc w zorganizowaniu transportu rannej do Stanów Zjednoczonych. Byłem boso, miałem na sobie tylko kąpielówki i koszulkę. Gdyby nie Fabis, zostałbym w samych gaciach. Zachowała dość przytomności umysłu, żeby przebiec się po plaży i zebrać wszystkie nasze rzeczy.

Lekarz, który wreszcie do mnie przyszedł, był starszym panem z siwą czupryną i wąsami. Zbadał Aurę i nie stwierdził obecności wody w płucach – w zasadzie dobra wiadomość, tyle tylko, że nie miał racji. Zaczął zadawać mi pytania i wpisywać odpowiedzi

do formularza, powoli stukając w klawisze; procedura ciągnęła się w nieskończoność. W pewnej chwili wydało mi się, że Aura mnie woła, więc poderwałem się i wybiegłem z pokoju. Przy łóżku Aury zastałem innego lekarza, krzepkiego młodziana o puciołowatych policzkach i dobrodusznym, inteligentnym spojrzeniu. Obsługiwał ręczny respirator, powoli ściskając balonik i wodząc czujnym wzrokiem od twarzy Aury do monitora i z powrotem. Spytałem, czy Aura mnie wołała, pielęgniarki odparły, że nie, że jest *tranquila*. Młody lekarz przekazał im respirator i wyprowadził mnie na korytarz, żebyśmy zastanowili się we troje z Fabiolą, co robić dalej. Podjęliśmy decyzję, żeby czym prędzej, drogą lotniczą, przetransportować Aurę do szpitala w mieście Meksyku, nie do Oaxaca, jak nam wcześniej proponowano. Aura musi tam dotrzeć dzisiaj, podkreślił lekarz. Kiedy wróciłem do sali, pielęgniarki poprosiły, żebym rozebrał Aurę z niebieskiego kostiumu kąpielowego, jakby ta czynność, nawet w warunkach szpitalnych, należała wyłącznie do męża. Uniosły ranną, a kiedy zsunąłem ramiączka, ściągnąłem kostium i zdjąłem go Aurze przez nogi, okryły jej nagość prześcieradłem. Starą, pamiątkową bransoletkę, która miała na nadgarstku, przecięły obcęgami. Wziąłem od nich respirator, pocałowałem Aurę w czoło, potem w policzek, na chwilę otworzyła oczy. Młody lekarz powiedział, że puls i rytm serca znacząco spadły, ale podali jej zastrzyk z epinefryny i tętno zaczęło wracać do normy. Kazał mi obserwować wskaźniki na monitorze i dać mu znać, jeśli akcja serca obniży się do czterdziestu uderzeń na minutę. Stary lekarz wziął Aurę za rękę, a kiedy puścił jej dłoń, opadła bezwładnie. Kiedy stuknął ją młotkiem poniżej rzepki, pojawił się słaby odruch kolanowy. Powiódł młotkiem wzdłuż podeszwy stopy, spytał, czy coś czuje, na co odparła, że tak. Wymieniliśmy uśmiechy z pielęgniarkami.

Lekarz udał, że robi to po raz kolejny, ale tym razem nawet nie dotknął skóry; kiedy znów spytał Aurę, czy coś czuje, usłyszał tę samą odpowiedź.

Z tamtego długiego dnia zostały mi tylko zamglone urywki wspomnień. Wiem, że Fabiola bez przerwy wisiła na telefonie. *Tías* próbowały namierzyć Juanitę i Rodriga, co udało im się po wielu godzinach, najpierw dopadły Rodriga. Plan był taki, żeby załatwić Aurze transport odrzutowcem do Dystryktu Federalnego, albo z Puerto Escondido, albo z Huatulco, najpierw jednak musieliśmy znaleźć karetkę, która zawiezie ją na lotnisko. Jedno i drugie nie było łatwe. Wyszedłem na korytarz po torbę, którą schowałem pod krzesłem. Kiedy wyjąłem z niej sandały i portfel, okazało się, że ktoś ukradł mi całą gotówkę. Złodziej oszczędził tylko kartę kredytową American Express, z której nie można podjąć pieniędzy w żadnym meksykańskim bankomacie. Inne karty zostały w domku w Mazunte. Usłyszałem, że Fabis rozmawia przez komórkę z matką i powtarza jej płacziwym, nagłym tonem, ale mamó, spróbuj sobie wyobrazić, że chodzi o mnie – Odette pytała Fabis, czy moglibyśmy poczekać na transport do jutra. Fabis szlochała, ale mamó, ona może nie dożyć do jutra, doktor mówi, że trzeba ją przewieźć dzisiaj. Chwilę później wypadła z sali pielęgniarka i oznajmiła, że Aura mnie woła, więc wszedłem z powrotem do środka.

Odette i siostra Fabis znalazły firmę świadczącą medyczne usługi transportowe w Toluca, dosłownie na obrzeżach miasta Meksyku. Obiecali wysłać samolot do Huatulco. Robiło się późno, był już prawie wieczór, więc popędziły do jednego z ostatnich otwartych oddziałów bankowych, żeby podjąć z konta dwanaście tysięcy dolarów, bo firma zażyczyła sobie płatności w gotówce.

Aura powiedziała, że od leżenia na desce surfingowej rozbolały ją

nalgas, czyli tyłek. Co jasno dowodziło, że paraliż jej nie grozi. Szepnąłem jej namiętnie w samo ucho, że wszystko będzie dobrze, i całowałem ją tak długo, aż pielęgniarka kazała mi odejść od łóżka. Dziwnie się czułem, obserwując, jak siostry stoją nad Aurą, obsługują ręczny respirator, co chwila zerkają na monitor i rozmawiają sobie o własnych sprawach. Ale byliśmy już lepszej myśli, bo ranna się skarżyła, że dupa ją boli, musiała więc odzyskiwać władzę w kończynach – nikt nawet nie brał pod uwagę, że Aura może z tego nie wyjść. Wysłali po nią samolot. Zrobiło się ciemno. Karetka Czerwonego Krzyża ponoć była już w drodze. Siostra Fabioli znalazła w mieście Meksyku specjalistę od urazów rdzenia kręgowego, ojca przyjaciółki, jednego z najlepszych lekarzy w stolicy, czekał na Aurę w Hospital Angeles, w zamożnej dzielnicy Pedregal.

Pojawił się jednak kolejny problem: samolot nie mógł wystartować z Toluca, bo nie dostał zgody na lądowanie w Huatulco – w nocy lotnisko było zamknięte.

Młody lekarz powiedział, że Aura nie przeżyje do jutra w Pochulca.

Pracownica obsługi lotniska też miała na imię Fabiola. Fabis oświadczyła jej przez telefon, jeśli moja kuzynka umrze, będzie ją pani miała na sumieniu do końca życia. Johnny Silverman, zaprzyjaźniony adwokat z Nowego Jorku, też postanowił włączyć się do akcji. Jego firma zajmowała się sprawami z dziedziny prawa korporacyjnego i korzystała z usług jednego z najbardziej wpływowych i ustosunkowanych prawników w Meksyku, którego udało się ubłagać, żeby sam zadzwonił na lotnisko. Po rozmowie z prawnikiem Fabiola z Huatulco spuściła z tonu i oznajmiła, że port będzie otwarty do północy.

Karetka przyjechała dwie godziny po czasie, dopiero około

dziewiątej. Szpital miał do dyspozycji tylko jeden kołnierz ortopedyczny i nie mógł go nam odstąpić, pobiegłem więc do apteki po drugi. Ambulans Czerwonego Krzyża nie był też wyposażony w respirator. Młody lekarz, który pochodził z Guadalajary i właśnie zaczął staż w Pochutla, zaproponował, że weźmie respirator ręczny i pojedzie z nami. Owiniętą w prześcieradło Aurę udało się wreszcie podnieść z deski surfingowej i przetransportować do karetki na prawdziwych noszach. Wspaniałomyślny surfer chyba już się pogodził z utratą sprzętu.

Żeby dotrzeć do Huatulco, musieliśmy się tłuc trzydzieści kilometrów po krętej, wyboistej drodze. Zajęło nam to prawie godzinę. Wjechaliśmy na lotnisko przez tylną bramę, w świetle lamp rtęciowych, w parującym tropikalnym powietrzu, i dobiegł mnie jęk pracujących na jałowym biegu silników odrzutowych. Znaleźliśmy się z powrotem w dwudziestym pierwszym wieku, może nawet przeskoczyliśmy w dwudziesty drugi, bo samolot służb ratowniczych wyglądał jak z filmu science fiction; wciąż sobie przypominam tę młodą załogę w lśniących kombinezonach lotniczych, choć pewnie pamięć mnie zwodzi. Lekarzem prowadzącym była piękna kobieta o cudownie ujmujących manierach Dobrej Wróżki z Północy. Młody lekarz z Pochutla odrzucił propozycję Fabis, która chciała zafundować mu taksówkę z powrotem do Mazunte; ulotnił się dyskretnie po serdecznym, pełnym nadziei pożegnaniu, zabrał ze sobą ręczny respirator i poszedł nocować u kolegi. Aurę ułożono na kolejnych noszach, opatuloną szczelnie w srebrzysty koc termiczny. Śliczna lekarka oznajmiła, że oznaki życiowe są stabilne i jej zdaniem wszystko będzie dobrze. Po starcie uznała, że Aura nie potrzebuje respiratora: może oddychać samodzielnie. Aura spojrzała na mnie i spytała:

Mi amor, ¿me puedo dormir un poquito? Mogę się trochę przespać?

Niewykluczone, że było to ostatnie pełne zdanie w jej życiu; w każdym razie nic więcej nie zapamiętałem. Na chwilę zasnęła. Żeby jej nie obudzić, oparłem się pokusie szeptania jej do ucha słów miłości i otuchy.

Kolejna karetka powiozła nas z Toluca aż do dzielnicy Pedregal na południu miasta Meksyku. Jechałem z Aurą z tyłu, Fabis usiadła na przednim fotelu pasażera. Ambulans miał surowy, metaliczny wystrój i zaledwie podstawowe wyposażenie medyczne. Aurę znów podłączono do respiratora. Jechał z nami lekarz, na oko dwudziestoparoletni, szybki i pewny w ruchach; sprawiał wrażenie osoby czujnej, poważnej i kompetentnej, blady, o delikatnych, ostrych rysach twarzy, w okularach, pewnie Żyd. Wpatrywał się intensywnie w monitor, śledząc wskaźniki oznak życiowych. A potem raptownie się odezwał, a w jego głosie dało się wyczuć napięcie, nie podoba mi się, jak to wygląda. Optymizm towarzyszący nam podczas lotu – którego teraz nie jestem w stanie pojąć – gdzieś przepadł. Nie umiem powiedzieć, czy jestem wdzięczny losowi za te ostatnie chwile ulgi i nadziei, czy czuję się raczej okrutnie oszukany. Chyba ani jedno, ani drugie.

Juanita i Rodrigo czekali przed wejściem na szpitalny oddział ratunkowy. Razem z nimi zjawili się też kilka *tías*. Była mniej więcej druga nad ranem. Juanita stanęła ze skrzyżowanymi ramionami, spiorunowała mnie wzrokiem i wylała na mnie swoje oskarżenia. W takim stanie zwróciłem jej córkę, córkę, którą wydała za mnie za mąż i którą zobowiązałem się chronić. W takim stanie zwróciłem Aurę matce.

Aura była przytomna. Jakby zaoszczędziła całą energię, żeby oznajmić matce zawadiackim tonem, *fue una tontería*, Mami. To

była głupota, Mami.

Myślę, że słynny specjalista chirurg i jego ekipa od razu rozpoznali jej stan. Nie pamiętam, ile czasu upłynęło, zanim przyszli do poczekalni, żeby z nami porozmawiać. Chirurg był wysokim, korpulentnym mężczyzną. Powiedział, że Aura doznała złamania drugiego, trzeciego i czwartego kręgu z przemieszczeniem, które spowodowało ucisk na rdzeń, a co za tym idzie, uszkodzenie nerwów oddechowych oraz zniesienie czucia w obrębie kończyn i tułowia. Po takim wypadku będzie najprawdopodobniej całkowicie sparaliżowana. Lekarze próbują ustabilizować kręgosłup na tyle, by zmniejszyć opuchliznę rdzenia kręgowego. Później podejmą decyzję o ewentualnej operacji. Poza tym Aura zachłysnęła się wodą, którą trzeba usunąć jej z płuc. Zacząłem się spierać z doktorem. Powiedziałem, że w ciągu dnia Aura przejściowo odzyskiwała czucie w rękach i nogach, że podczas lotu jej wskaźniki życiowe trzymały się w normie, była nawet w stanie samodzielnie oddychać. Powiedziałem, że wszystko będzie dobrze, żeby mi uwierzył, i pamiętam, że patrzył na mnie przejmująco bezradnym wzrokiem, na mnie i moje kąpielówki, na moją brudną, przepoconą koszulkę.

Nie pozwolili nam wejść na oddział intensywnej opieki medycznej i zobaczyć się z Aurą. Zespoły lekarskie zajmowały się nią bez przerwy. Fabis z Juancą poszli do domu się przespać. Nie przypominam sobie, żeby w poczekalni został ktokolwiek poza Juanitą i Rodrigiem. Nie odzywali się do mnie. Usiedli po przeciwnej stronie, na kanapie obitej sztuczną skórą. Pokój był ledwo oświetlony. Czekaliśmy piętro wyżej. Nie mogłem do nikogo zadzwonić, bo nie miałem przy sobie ładowarki. Juanca obiecał przynieść mi ją nad ranem. W pewnej chwili wyszedłem, żeby przespacerować się po długich, opustoszałych korytarzach. Trafiłem

do szpitalnej kaplicy. Przysięgłem, że jeśli Aura przeżyje, zostanę pobożnym chrześcijaninem i będę co dzień okazywał swą wdzięczność Panu. Nie pamiętam, żebym się zastanawiał, dlaczego Juanita i Rodrigo trzymają się ode mnie na dystans, zauważyłem tylko sam fakt. Myślałem wyłącznie o Aurze. Jeśli przez pewien czas będzie sparaliżowana, zapewnię jej najlepszą rehabilitację w Stanach. Będę codziennie jej czytał i prosił, żeby dyktowała mi swoje utwory; takie myśli chodziły mi wtedy po głowie. Od czasu do czasu dźwigałem się z kanapy, stawałem przed zamkniętymi drzwiami na oddział intensywnej terapii, podnosiłem słuchawkę, wciskałem przycisk, pytałem, czy mogę wejść, żeby zobaczyć się z żoną, i za każdym razem dostawałem odpowiedź, że wizyty są dozwolone tylko w godzinach dziennych.

28.

O czym myślałaś tamtej długiej nocy, kochanie, kiedy leżałaś tam i umierałaś, ciężko ranna jak żołnierz na wojnie, samotna?

Miałaś do mnie pretensje? Czy choć raz pomyślałaś o mnie z czułością? Czy widziałaś albo słyszałaś, albo czułaś, że cię kocham?

29.

Wpuścili mnie dopiero nazajutrz rano, kiedy Aura była już w śpiączce. Asystentka słynnego chirurga, kobieta zawzięta jak buldog, poinformowała mnie, że Aura przeszła w nocy dwa zawały. Wreszcie mogłem przycisnąć wargi do jej pięknego ucha, podziękować za najszcześniejsze lata mojego życia i powiedzieć, że zawsze będę ją kochał. Potem asystentka bez pardonu wyprosiła mnie za drzwi. Mniej więcej kwadrans później, kiedy znów rozchyliłem białą zasłonę, z miejsca uderzyła mnie sterylna cisza wokół łóżka Aury, jasność jak po wybuchu bomby jądrowej, Aura zmarła przed kilkoma minutami, oznajmiła asystentka chirurga. Podszedłem bliżej. Jej zgaste oczy. Pocałowałem ją w policzek, który przypominał już w dotyku chłodną glinę. Mój szloch musiał się ponieść echem po całym szpitalu.

30.

Juanca nie zdążył na pogrzeb, bo pojechał z kolegą do Mazunte, żeby przywieźć z powrotem nasze rzeczy. Zastali dom w takim stanie, w jakim go opuściliśmy. Spakowali wszystko, nawet szampon Aury. Po zakończonej pracy Aura miała zwyczaj zatrząskiwać wieczko laptopa, kiedy więc go później otworzyłem, na ekranie wyświetliły się ostatnio otwarte okna. Dwa pliki tekstowe, poprawiona wersja opowiadania o nauczycielu i coś nowego, chyba początek innego opowiadania pod tytułem *¿Hay señales en la vida? Czy życie daje nam znaki?*

31.

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że prokurator okręgowy nie do końca rozumie, w jakim celu przyjechałem i po co mój adwokat mnie z nim umówił. Uświadamiam sobie, że broni się zawzięcie przed domniemanym zarzutem uchybień i zaniedbań w śledztwie. Siedząc w swoim maleńkim gabinecie, w rozmigotanym, przyprawiającym o ból zębów świetle żarówek przysłoniętych źle podwieszonym wiatrakiem, podkreśla z całą mocą, że prokuratura przeprowadziła dogłębne dochodzenie w sprawie śmiertelnego wypadku Aury w Mazunte. Przesłuchała świadków – właścicieli i pracowników restauracji na plaży oraz personel szpitala w Pochutla – i nie znalazła żadnych dowodów wskazujących na udział osób trzecich. Tak, wiem, że to był wypadek, przyjechałem tylko po to, żeby złożyć oficjalne zeznanie. Chcę mu opowiedzieć własną wersję wydarzeń, przez ostatni rok żmudnie przekutą w opis moich działań i zaniechań, zbyt śmiałych, zbyt biernych, zbyt mocno związanych z moim charakterem, mogący się okazać pełnoprawnym dowodem w sprawie. Jest też mnóstwo innych rzeczy, o których mu nie opowiem – znaki ostrzegawcze, obsesja śmierci w młodzieńczych i późniejszych dziennikach Aury, jej tajemnicza skłonność do tych plaż na wybrzeżu w stanie Oaxaca, jakby przeczuwała, że właśnie tam spełni się jej przeznaczenie. Co mi strzeliło do głowy, żeby w tym wieku uprawiać bodysurfing? Powinienem był wiedzieć, jakie to niebezpieczne. Umiałem też przytoczyć kontrargumenty świadczące na moją korzyść: że gdybym zachowywał się „stosownie do wieku”, byłbym zupełnie kimś

innym, mężczyzną, w którym Aura z pewnością by się nie zakochała. Co prawda, to prawda. Skręciła sobie kark w falach tylko dlatego, że byłem sobą. Jeśli tak do tego podejść, n a p r a w d ę byłem falą.

W takim razie co z wolną wolą? Aura pływała lepiej ode mnie, postanowiła spróbować bodysurfingu, chciała ujeździć tę falę; to był impuls z jej strony. Przez całe dorosłe życie, a nawet wcześniej, opierała się ludziom, którzy próbowali nią rządzić i narzucać jej swoje zdanie. Czy pan albo ja mamy prawo rządzić nią po śmierci? Wszystko to prawda, ale fakt faktem, gdybym do niej wtedy nie dołączył, gdybym nie zaczął surfować pierwszy, gdybym nie był sobą, nie rzuciłaby się w tę falę.

Na tym wybrzeżu są niebezpieczne plaże, mówi prokurator okręgowy. Zipolite bywa nazywana Playa de la Muerte, bo co roku pochłania mnóstwo ofiar. Puerto Escondido, Ventanilla, nawet San Agustinillo bywają niebezpieczne. Ale nie Mazunte. Oczywiście, każdy może się rzucić głową w fale i zrobić sobie krzywdę. Tylko że Aura padła ofiarą pierwszego od lat śmiertelnego wypadku w Mazunte. Pańska żona miała niewiarygodnego pecha, mówi prokurator, cóż, takie jest moje zdanie.

Pokazuje mi liczby. Prokurator okręgowy przegląda listę plaż i porównuje wskaźniki częstości wypadków śmiertelnych z ostatnich kilku lat – nie pamiętam dokładnych statystyk, poza tym, że czołową pozycję na liście zajmuje Zipolite, a na wszystkich pozostałych plażach notuje co najmniej kilka ofiar rocznie, z wyjątkiem Mazunte, gdzie zginęła tylko Aura.

Wypadek tak nietypowy, że przytrafił się tylko jednej osobie, i to właśnie Aurze, a nie komuś z niezliczonej rzeszy bodysurferów uprawiających ten sport w Mazunte dzień po dniu od wielu lat.

Aura miała wyjątkowego pecha. Umarła, bo byłem sobą, wiecznym chłopcem, *niñote*. Umarła, bo przepełniony miłością postanowiłem do niej dołączyć. Ale w tym wszystkim jest także pokusa uchylania się od PRAWDY, o którą moja pieczołowicie wysnuta historia rozbija się niczym potężna fala nicości. To, że pozostałem sobą, nie powinno było odebrać życia Aurze. To, że Aura pozostała sobą i rzuciła się w tę falę z d o w o l n e j p r z y c z y n y, też nie powinno jej zabić. Dziwność i bezsensowność tego wypadku – oto jest PRAWDA. I to tamtego dnia, gdy wyszedłem z biura prokuratora okręgowego, wydało mi się jeszcze trudniejsze do zniesienia niż poczucie odpowiedzialności za tę tragedię.

To zmienia śmierć Aury w coś, co nigdy nie przestanie się dziać, jakby ten absurdalny wiatrak w biurze prokuratora nieustannie wyrzucał jej śmierć w kosmos, jakby promienie słoneczne i cały blask świata obróciły się w migotliwe światło przesłoniętych plastikowymi ramionami żarówek, wżerające się w ziemię, w noc, w mój mózg, niezależnie od tego, czy zamknę oczy, czy je otworzę.

32.

Schody frontowe przed naszym domem na Brooklynie były wyjątkowo strome, a ponieważ dokuczała mi stara kontuzja, wyniesiona jeszcze ze szkoły średniej, przy schodzeniu zawsze stawiałem najpierw chorą nogę, usztywnioną w kolanie niczym kula inwalidzka. Aura naśladowała mój chód, wyolbrzymiając go komicznie, kołysząc się na boki jak kuternoga, z wyrazem skupienia na twarzy. W chłodne, wilgotne dni, kiedy kolano naprawdę mi dokuczało i zaczynałem kuleć, małpowiała mnie bezlitośnie, zgrywając rytm naszych kroków. Ludzie idący za nami musieli mieć niezły ubaw.

Przez całe życie byłem straszliwą łamagą. Frankie, podnoś nogi, jak chodzisz, nie szuraj stopami – napominał mnie ojciec w dzieciństwie. Tymczasem Aurę niezmiennie śmieszyło, ilekroć potknąłem się o krawężnik albo wystającą płytę chodnikową; rechotała w głos, jakbym urządził tę błazenadę specjalnie dla niej. Chyba dlatego sprawiało jej to tyle uciechy, że sama się nigdy nie potykała. Ruszała się zwiewnie i z gracją. Nie radziła sobie tylko na oblodzonych chodnikach i wtedy przychodziła moja kolej, żeby się z niej pośmiać. Chodziłem wprawdzie jak łajza, ale się nie przewracałem: szybko odzyskiwałem równowagę, niczym walczący o piłkę pomocnik, przynamniej na tyle byłem zwinny.

Jakieś dwa tygodnie po moim pierwszym samotnym powrocie na Brooklyn, kiedy wychodziłem z cuchnącej, rozgrzanej upałem stacji metra Broadway-Lafayette, potknąłem się i po raz pierwszy w życiu upadłem, twarzą naprzód, wyjątkowo boleśnie –

wyrzniętem o schody całym ciałem i zsunąłem się po stopniach, uderzając tułowiem, kłykciami i kolanami w twarde, zapaskudzone żelazo. Większość przechodniów minęła mnie obojętnie, kilku się jednak schyliło, żeby mi pomóc, podać rękę, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jakiś mężczyzna w garniturze nawet przyklęknął, położył mi dłoń na ramieniu i spytał, nic się panu nie stało? Może wezwać lekarza? Jestem cały i zdrowy, odparłem. Bardzo dziękuję za troskę, ale proszę mnie zostawić w spokoju, wszystko okej. Stałem na nogi i zacząłem się znów gramolić po schodach. Kolana i dłonie bolały mnie, jakby ktoś zmiażdżył je młotem kowalskim. Poczułem, że krew mi ścieka po łydce. Rozdarłem sobie džinsy nad kolanem. Twarz mi płonęła, miałem łzy w oczach, choć raczej ze wstydu.

Co to miało znaczyć? Czy ten bolesny upadek na schodach świadczył o tym, że się w końcu starzeję? Niewykluczone, postanowiłem jednak zlekceważyć ten sygnał. Później doszedłem do wniosku, że była to lekcja żałoby. Jednym z najczęstszych tematów, jakie przewijały się w poradnikach dla ludzi cierpiących po stracie bliskiej osoby, było poczucie samotności w rozpacz, jakby wszyscy wokół, z najrozmaitszych powodów, skrupulatnie wyliczonych przez autorów, nie potrafili udźwignąć tak wielkiego bólu. Ale co można w takiej sytuacji zrobić albo powiedzieć, żeby komuś pomóc? Człowieka pogrążonego w nieutulonym żalu nie można utulić ot tak, tylko na chwilę. Wydało mi się to całkiem logiczne; wszystko jest jak trzeba, nie może być inaczej. Jestem wdzięczny za wszystko, co usłyszałem, nawet za najbardziej niestosowne komentarze: „Dlaczego nie wrócisz do życia, jakie prowadziłeś przed poznaniem Aury?” – bo wyznaczają ostre granice, pokazują, w jakim punkcie naprawdę się znalazłeś, podczas gdy uwagi z pozoru taktowne mogą tylko spłyć tę przepaść, nie

ułatwiają jej przejścia. Musisz przeżyć to sam, nie masz innego wyboru.

33.

Rok później, po ceremonii pamiątkowej, kiedy rozmawiałem z Rodrigiem w mieszkaniu Fabioli, wreszcie do mnie dotarło, że tamtej ostatniej nocy wpuścili go jednak z Juanitą na oddział intensywnej terapii i pozwolili obojgu zobaczyć się z Aurą. Teraz Rodrigo mi dziękował. Dziękował za wszystko, co zrobiliśmy wówczas z Fabiolą, żeby przetransportować Aurę do miasta Meksyku i umożliwić matce pożegnanie z córką.

Kiedy dostali się na oddział, Aura była wciąż przytomna.

Co powiedziała? – spytałem.

Rodrigo odparł:

Aura powiedziała: „Nie chcę umierać”. Powiedziała: „Tyle mam jeszcze do zrobienia. *No quiero morir*”.

34.

Nie wiem, jak Juanita sobie z tym wszystkim radzi. Martwię się o nią i nie mówię o tym po to, żeby ludzie przestali mnie uważać za zimnego drania. Próbuję sobie wyobrazić Juanitę u niej w mieszkaniu, tam gdzie trzyma prochy Aury, ujrzeć ją oczyma duszy podczas codziennych zajęć, i ogarnia mnie przerażenie. Martwię się, że będę miał na sumieniu kolejną śmierć. Juanita nie odzywa się nawet do *tías*. Gdyby przeżywała tę żałobę inaczej, bardziej konstruktywnie, przynajmniej w opinii otoczenia, czy wpłynęłoby to na jej samopoczucie? Może trzyma się jakimś nadprzyrodzonym wysiłkiem woli? Wierzy, że spotka się z córką w zaświatach? Mam nadzieję, że znalazła sobie jakąś bratnią duszę, z którą może porozmawiać jak nigdy przedtem z *tías*, która ją rozśmieszy, pozwoli się poczuć kochaną, rozgrzeszy ją, zrozumie, wytrwa przy niej bez względu na wszystko i zawsze znajdzie sposób, żeby wyciągnąć ją z dna.

Oczywiście Aura była dla niej kimś takim. I tylko Aura.

35.

Moja przyjaciółka – odrobinę starsza ode mnie, matka córki świeżo wydanej za mąż – powiedziała, że Aura mimo wszystko przynależała bardziej do matki niż do mnie, że Juanita wciąż była jej „prawowitym opiekunem”. Nie chciała być niegrzeczna, po prostu wydawało jej się to oczywiste.

Nie zdążyłeś przejąć Aury na własność, powiedziała. Gdybyście mieli dziecko i założyli swoją rodzinę, doszłoby do istotnej przemiany.

Najbliższe przyjaciółki Aury, zwłaszcza Lola i Fabiola, które obserwowały latami jej związek z matką, same będąc córkami kobiet o silnej osobowości i niezależnych zawodowo – może warto dodać, że chodzi o córki Meksykanek – były odmiennego zdania w tej kwestii.

Aura nie czuła się już podopieczną swojej matki, powiedziała Lola. Jeśli już, to na odwrót. Poszła już inną drogą i zaczęła podejmować decyzje na własną rękę, poza tym założyła rodzinę, z tobą.

Czy wytrwa przy tej opinii po latach, kiedy jej własna córka, teraz wciąż jeszcze maleńka Aura, zacznie się od niej oddalać i podejmować decyzje na własną rękę, może tylko z przekory?

Czy Juanita wygrałaby w tym sporze?

36.

Czasem sobie myślałem, że nie wolno odbierać mężowi prawa do dysponowania szczątkami jego własnej żony, bez względu na argumenty strony przeciwnej. W końcu większość religii tego zabrania. Zostawmy zresztą religię na boku, mąż ma święte prawo i obowiązek pochować swoją żonę, pogrzebać jej ciało, kości, prochy. Powinienem był zabrać tę urnę, zrobić to, czego Juanita się po mnie spodziewała. Co ze mnie za człowiek, dlaczego właściwie stchórzyłem?

Przeważnie jednak chodziło mi po głowie coś innego: biedna kobieta, niech sobie zatrzyma tę urnę, te prochy to przecież nie Aura, wolę zachować pamięć o kobiecie z krwi i kości.

Czuję zamęt, nie potrafię rozstrzygnąć tej kwestii, nie jestem pewien, po czyjej stronie jest racja, i szukam odpowiedzi tam gdzie zwykle, w książkach. Pierwsza żona Ralpa Waldo Emersona umarła młodo, po długich zmaganiach z gruźlicą; Emerson rozpaczał po niej dwa lata, bliscy obawiali się o jego zdrowie, także psychiczne. Wreszcie kazał ją ekshumować i otworzyć trumnę, żeby stawić czoło faktom, skonfrontować się ze śmiercią i rozkładem. Potem wyjechał do Europy. Ja nie potrafiłem zaakceptować tej prawdy, ale czy musiałem? Co rusz staje mi przed oczyma obraz, jak wkładam rękę do urny, nabieram prochy Aury i wcieram je sobie w twarz, w powieki, wdycham je przez nos, zatykam nimi usta.

Owszem, pojechałem do Europy, za pieniądze z ubezpieczenia po wypadku, w którym potrącił mnie samochód. I w pewnej świątyni doznałem objawienia. Wstąpiłem do kościoła

w średniowiecznym mieście warownym, odległym od Paryża o mniej więcej dwie godziny jazdy pociągiem. W najstarszej części nawy, tuż pod sklepieniem, zachowały się dwa nietknięte witraże z czternastego wieku. Mieszkańcy wymontowali je podczas II wojny światowej, rozłożyli na części i przechowali w bezpiecznym miejscu. Dzięki temu przetrwały bombardowanie, które zniszczyło większość kościoła. Było już po mszy, więc przechadzałem się po odrestaurowanej nawie, czytając w angielskiej broszurze historię witraży i rozpamiętując czasy, kiedy oboje z Aurą zwiedzaliśmy katedrę i inne zabytkowe kościoły w Paryżu. Aura uważała się za wierzącą katoliczkę, choć nie chodziła na msze i nie obchodziła świąt kościelnych. Mimo to w świątyniach zawsze zapalała świece, czyniła znak krzyża, czasem nawet modliła się po cichu. Zatrzymałem się przy maleńkiej bocznej kaplicy Najświętszej Marii Panny, wrzuciłem do puszek euro, zapaliłem świeczkę i odmówiłem w myślach modlitwę, Najświętsza Panienko, jeśli istniejesz, proszę, weź Aurę w opiekę, a inny wewnętrzny głos w tym samym czasie mnie przedrzeźniał.

Stałem później pod jednym z zabytkowych witraży i próbowałem sobie wyobrazić, jak mieszkańcy miasteczka biorą w ręce tę siedemsetletnią mozaikę z kawałków kolorowego szkła, tak cenną i kruchą, po czym ostrożnie ją zawijają – no właśnie, w co? Głowiłem się nad tym przez chwilę. W stare gazety, w szmaty, obrus, gałgany, może w sutannę albo coś w tym rodzaju? Fiolet, czerwień, błękit, żółcień, zieleń, kolisty witraż z barwnych szkiełek ułożonych w wyrafinowany, choć z pozoru naiwnie prosty wzór geometryczny. Siedemset lat, zdawał się mówić witraż, tyle co nic, za tysiąc lat będę wyglądał tak samo. W obliczu wieku tego witraża i mrocznego wnętrza świątyni byłem zaledwie marnym pyłkiem, kolejną istotą ludzką, która straciła kogoś bliskiego, jedną

z milionów innych ludzkich istnień, które przez te siedemset lat stały i siedziały w tym kościele, patrząc w te same okna i rozmyślając o stracie swoich ukochanych. Niewiele mi czasu zostało, pomyślałem. W mgnieniu oka będzie po wszystkim. Pomyślałem o Juanicie i Rodrigu, o tym, jak mnie nienawidzą, o determinacji, z jaką próbują wymazać naszą miłość i małżeństwo z historii życia Aury. Trochę tak, pomyślałem sobie, jakby wyjęli z ram ten witraż i zamiast go przechować w bezpiecznym miejscu, skradli go i ukryli. Przywołałem z pamięci słowa: Wasza nienawiść może mnie ocalić. Wasza nienawiść może mnie nawet wybawić. Bo zostawia pustkę, którą mam obowiązek wypełnić, dla siebie i dla Aury. To właśnie przyszło mi na myśl w kościele.

Przeszedłem do kolejnego okna. Po tej stronie świątyni niebo musiało być odrobinę mniej zachmurzone, bo stało się tak, jakby na klawiaturze komputera ktoś wcisnął klawisz ze słoneczkiem i rozjaśnił witraż. Prastary, kalejdoskopowy wzór zrobił się wyraźniejszy i z miejsca rozpoznałem barwne koła wewnątrz większych kręgów i innych kształtów, wizerunki roślin, maleńkie figurki ludzi i zwierząt. Żółty, podługowaty przedmiot w dole, pomyślałem sobie, wygląda jak pałeczka do gry na perkusji.

Wyszedłem z kościoła i powędrowałem ulicami nad rzekę, powtarzając sobie w rytm kroków: liść, pierścionki, wyrzucona na brzeg, w beczce, zmysłowa, kłębek, szkwał, szczelina, pałeczka... W 2009 roku Aura Estrada skończyła trzydzieści dwa lata. Jej urodziny były miesiąc temu z kawałkiem. Miałem na sobie kurtkę puchową i pilotkę z nausznikami ze sztucznego futra kupioną w chińskiej dzielnicy. Po schodkach można było zejść wprost nad wodę. Nad brzegiem rosły bujne wysokie trawy, przeskoczyłem po gładkich kamieniach między kępami trzciny i stanąłem na płyciźnie. Mosty spinające brzegi, długi, jednostajny rząd

burych, krytych czarnymi dachami budynków po drugiej stronie rzeki, dym z kominów, szare niebo, kaczki.

37.

Poleciałem do Paryża. Chciałem stanąć przed pawilonem płazów w Jardin des Plantes, wybrać się do Cité Universitaire, gdzie nocowaliśmy kiedyś z Aurą w suterenie bez okien, w Maison du Mexique, i na rue Violet pod numerem piętnastym, gdzie podnajmowaliśmy mieszkanie przez miesiąc podczas ferii świątecznych na przełomie lat 2004 i 2005. Chciałem pójść na pobliski targ, na którym kupowaliśmy kapłona na bożonarodzeniową kolację, i do malutkiej pralni samoobsługowej, gdzie praliśmy, suszyliśmy i prasowaliśmy nasze rzeczy, czego nie robiliśmy nigdy, ani w Nowym Jorku, ani w Meksyku, bo tam korzystaliśmy z usług zwykłej pralni chemicznej. Odtworzyłem trasę długiego spaceru – opisanego przez Aurę w jednym z ukończonych rozdziałów powieści – na który Marcelo Díaz Michaux, przyszły psychoanalityk, wówczas meksykański student Sorbony, wybrał się w śnieżne popołudnie 1972 roku, otrzymawszy list od swojej ukochanej Juliety, późniejszej matki Alicii, z informacją, że wyszła za mąż za kogoś innego – począwszy od rue du Bac, wzdłuż Boulevard Saint-Germain, na drugi brzeg Sekwany przez Pont de Sully, do Place des Vosges i dalej, aż do Boulevard Voltaire przy stacji metra Oberkampf, gdzie Marcelo wpadł do teatru Le Bataclan, żeby kupić bilet na wieczorny koncert Velvet Underground.

Chciałem pójść do jednego z tych skromnych, zapyziałych kin, gdzie kiedyś oglądaliśmy filmy w nieznanym nam obojgu językach – w oryginalnej wersji arabskiej lub tajskiej – choć trzeba przyznać,

że Aura bez kłopotu śledziła francuskie napisy. Uwielbiałem siedzieć przy niej w ciemnościach, nie mając pojęcia, o czym rozmawiają bohaterowie, próbując złożyć intrygę do kupy i potem ofiarować ją Aurze, niejako w prezencie. Pewien film był o libańskiej rodzinie w rozdartym wojną Bejrucie. Kiedy wyszliśmy z kina, powiedziałem, cóż, wygląda na to, że ta dziewczyna miała naprawdę okrutnych rodziców i braci, skoro nie pozwalali jej nawet wyjść z domu. Nic dziwnego, że tak się skończyło, biedactwo.

Frank, ona była niewolnicą, powiedziała Aura. O to przecież chodzi! Ona jest libańską chrześcijanką, niewolnicą w rodzinie muzułmańskiej. *iAy, mi amor!*

Wybrałem się do jednego z tych kin bez Aury, obejrzałem fiński film, nudny jak flaki z olejem, mniej więcej w jednej trzeciej zasnąłem. Zatrzymałem się w tym samym obskurnym hotelu przy stacji metra Les Gobelins, gdzie wynajęliśmy kiedyś pokój. Znajomy polecił nam hotel Jeanne d'Arc, ale później się okazało, że w Paryżu jest kilka hoteli o tej nazwie i żaden nie jest tym, o którym wspominał nasz kolega. Mieliśmy już wejść na pokład samolotu lecącego z powrotem do Nowego Jorku, kiedy Aura dowiedziała się podczas odprawy, że jej wiza studencka straciła ważność. Czekałem na nią i marzłem przed budynkiem Konsulatu Stanów Zjednoczonych, niedaleko Łuku Triumfalnego. Francuscy policjanci próbowali mi wytłumaczyć, że nie mogę tu stać, bo w naszym bagażu może się znajdować bomba, nie zamierzałem jednak się ruszyć. Mieliśmy więcej walizek, niż zdołałbym unieść, poza tym jak Aura potem by mnie znalazła? Proszę bardzo, możecie mnie aresztować, odparłem zapalczywym tonem, nie ruszę się stąd, czekam na moją żonę – zamachałem im przed nosem swoim amerykańskim paszportem – niech nikt mi nie wmawia, że nie mogę czekać na żonę przed konsulem własnego kraju!

Powiedziałem, że Aura jest moją żoną, choć wtedy nią jeszcze nie była. Policjanci zostawili mnie wreszcie w spokoju. Dzięki wtopie z wizą zyskaliśmy trzy dodatkowe dni w Paryżu, które spędziliśmy w polecanym przez znajomego hotelu Jeanne d'Arc, w dzielnicy Marais.

Oczywiście, są w Paryżu miejsca urocze, są też miejsca wyjątkowo paskudne; ludzie najczęściej dokonują między nimi wyboru, więc znają to miasto tylko od jednej strony. Podobnie było ze mną, ale wyjazd do Paryża z Aurą okazał się dla mnie przejściem na drugą stronę lustra. Kelnerzy chylili się teraz nad naszym stołem, przebierali palcami jak podczas zabawy w kocią kołyskę i próbowali objaśnić Aurze łamaną hiszpańszczyzną, co oznaczają poszczególne pozycje w tajemniczej karcie dań. Kiedy pytaliśmy o drogę, Francuzi reagowali serdeczniej niż niejeden Meksykanin, *Paris es tu casa*. Z nieukrywaną przyjemnością robili nam zdjęcia naszymi aparatami. Aura naprawdę im się podobała, choć podejrzenie wielu przechodniów porównywało ją do Amelii, ślicznej, ale zarazem irytującej bohaterki przeboju paryskich kin.

Wróciłem teraz do Paryża sprzed Aury. Francuscy dresiarze łazili za mną od wyjścia z metra i dokuczali mi, przedrzeźniając stereotypowe kawałki z egipskich hitów tanecznych – dada-da-dadaaa. I tak dalej, nieważne. Świat, nie tylko Paryż, jest zbyt dumny i pełen wrogości, żeby mierzyć się z nim w pojedynek. Pamiętam to nowojorskie wesele, na którym Aura dostała miejsce przy stoliku obok białego zamożnego pisarza celebryty. W środku rozmowy wykrzyknął nagle, jesteś Meksykanką? To jakim cudem mówisz po angielsku? Aura zaczęła sobie uświadamiać, co ją czeka, jeśli zamierza robić karierę meksykańskiej pisarki w Stanach. Między innymi dlatego postanowiła tworzyć przede wszystkim w języku hiszpańskim.

Czułem się zupełnie jak przez całą zimę w Nowym Jorku, uwięziony w roztrzęsionych kadrach z jakiegoś czarno-białego niemego filmu. Poszedłem do baru Le Sully, gdzie kiedyś przesiadywali zaprzyjaźnieni paryscy Meksykanie, ale nie dostrzegłem żadnej znajomej twarzy, więc usiadłem w kącie i zamówiłem drinka, potem następnego. Wszystko migocze. Ciała, twarze, dłonie jak cukrowe laski świąteczne, z których ktoś zliział czerwone paski. Radioaktywne oczy. Usta wykrzywione w szurzym, przebiegłym grymasie. Ludzie pocierający podbródki, zaciskający wargi, wymieniający spojrzenia. Płaczący mężczyzna z twarzą ukrytą w dłoniach, niczym rzeźba Rodina. Płomienie w lustrach, cały bar wyglądał, jakby za chwilę miał się stopić, jak płonąca taśma celuloidowa, zapłaciłem i wyszedłem na dwór się przejść.

Wybrałem się do Paryża przede wszystkim po to, żeby odwiedzić La Ferté i tamtejszy szpital psychiatryczny, pierwowzór kliniki z nieukończonej powieści Aury. Mieliliśmy tu przyjechać wiosną 2008 roku, żeby Aura mogła zebrać materiały do książki. Od terminu naszej niedoszłej podróży minął już prawie rok. Czułem się w obowiązku spełnić ambicję Aury. Zdążyłem już uzupełnić zebrane przez nią informacje. Wiedziałem, że chodzi o eksperymentalny, typowo francuski, realizujący utopijne metody leczenia zakład dla nerwowo chorych, w którym miał pracować bohater powieści Aury, psychoanalityk Marcelo Díaz Michaux. Szpital mieścił się w siedemnastowiecznym *château*, w którym pacjenci, specjaliści zdrowia psychicznego, pielęgniarki i inni członkowie personelu mieszkali razem i prowadzili klinikę wspólnie, na równych prawach. Psychoanalitycy siekali w kuchni pietruszkę obok krających cebulę psychotyków. Pacjenci w La Ferté teoretycznie nie wiedzieli, który ze współlokatorów jest

psychoanalitykiem. Gdzieś przeczytałem, że nawet psychoanalitycy nie zawsze mieli pewność, czy rozmawiają z pacjentem, czy z innym specjalistą, tyle że incognito.

Pod koniec tej ostatniej jesieni, na pierwszym semestrze studiów pisarskich, Aura wysłała list do La Ferté pod adresem zasłużonego dyrektora placówki, osiemdziesięciosiedmioletniego doktora Oliviera Arnaux, z pytaniem, czy może złożyć wizytę w klinice. Mniej więcej dwa miesiące później nadeszła odpowiedź: w kopercie z szarego papieru, zaadresowanej ręcznie zielonym atramentem, na kartce bez nagłówka, ze zwięzłym zaproszeniem dla Aury, skreślonym tym samym atramentem i charakterem pisma. Pod listem nie podpisał się jednak doktor Arnaux, tylko niejaka Sophie Deonarine. Czyżby sekretarka doktora? Sygnatury nie opatrzone żadnym tytułem naukowym ani innym dopiskiem umożliwiającym identyfikację. Drżące litery sprawiały wrażenie, jakby ktoś je stawiał kurczowo trzymanym piórem albo zmusznie odrysowywał z jakiegoś topornego, drucianego szablonu. Czy Sophie Deonarine była po prostu jedną z pacjentek i odpisała Aurze w imieniu doktora Arnaux, niekoniecznie za jego zgodą? Na samą myśl o takiej ewentualności poczuliśmy dreszczyk emocji.

Zatrzymaliśmy się z Aurą w Cité Universitaire, bo dostałem zaproszenie od mojego przyjaciela Juana Ríosa, żeby wystąpić gościnnie na wieczornych warsztatach pisarskich prowadzonych przez niego w Instytucie Kultury Meksykańskiej. Jedną z uczestniczek była młoda Francuzka Pauline, która przez kilka lat mieszkała w Ekwadorze i pracowała dla organizacji zajmującej się ochroną zagrożonego gatunku niedźwiedzia andyjskiego. Była również słuchaczką studiów doktoranckich i zapisała się na warsztaty, żeby nie tracić kontaktu z językiem hiszpańskim. Po zajęciach poszliśmy razem na kolację. W trakcie naszej rozmowy

nastąpił jeden z tych zbiegów okoliczności, za których sprawą pisarz, zwłaszcza tak młody jak Aura, nabiera przekonania, że jego książka jakimś tajemnym sposobem wpisuje się w schemat wszechświata. Okazało się, że prawie ćwierć wieku temu, kiedy Pauline była małą dziewczynką, jej matka pracowała w klinice La Ferté. Pierwsze wspomnienia Pauline wiązały się właśnie z tym miejscem.

W jednym z dzienników Aury znalazłem później zapiski z jej rozmowy z Pauline. Psychotycy sprawiają nieraz wrażenie całkiem normalnych ludzi, zanotowała Aura. Do czasu. Tak jak ten pacjent, który dawał matce Pauline listę zakupów, ilekroć wychodziła na miasto. Pauline odkryła później jeden z tych świstków zachowany przez matkę na pamiątkę: „Le Monde”, tytoń do fajki, baterie, prezerwatywa z wiśni, nasienie...

W niedzielę wsiadłem do porannego pociągu do miejscowości sąsiadującej z La Ferté. Naprzeciwko mnie siedział chłopiec w kostiumie Spider-Mana podróżujący z rodzicami. Powinienem się tak przebrać, pomyślałem. Może jutro to zrobię. Pomysł przebrania się za Spider-Mana wydawał mi się przez chwilę tak dobry i rozsądny, że poczułem się odrobinę nieswojo.

Na stacji kolejowej zatrzymałem się przy budce z gazetami i próbowałem dopytać kioskarkę swoją łamaną francuszczyzną, skąd wziąć taksówkę do La Ferté. Odpowiedziała potokiem słów, z których nic nie rozumiałem. Stojący za mną w kolejce wysoki czarnoskóry młodzian odezwał się po angielsku z ciężkim karaibskim akcentem, ona mówi, że nie musi pan jechać taksówką. Do La Ferté kursuje mikrobus. Wystarczy zadzwonić. Pan się wybiera do kliniki, prawda?

Kioskarka wręczyła mi kartkę z telefonem do szpitala w La Ferté, gościu z Karaibów zrobił mi przysługę, wykręcił numer z mojej komórki i powiedział, przyjadą po pana o pierwszej po południu.

Zaczeka pan przed stacją. Niebieski mikrobus.

Dochodziła jedenasta. Powłóczyłem się po mieście, wstąpiłem do kościoła i poszedłem nad rzekę.

Rozparty w fotelu psychoanalityk wita pacjenta, który przychodzi do niego po raz pierwszy, przygląda mu się przez chwilę, po czym oznajmia, och, przecież pana tu nie ma. Wciąż jest pan jeszcze w ogrodzie.

Przeczytałem tę anegdotę w jednym z esejów doktora Oliviera Arnauk, wydanych w tłumaczeniu na angielski. Większość osobowości, pisał Arnauk, organizuje się wokół konkretnego punktu odniesienia. W przypadku schizofreników mamy jednak do czynienia z kilkoma takimi punktami: ich jaźń nie ogranicza się do własnego ciała ani nawet do określonej przestrzeni, w której to ciało przebywa. Psychiatrzy i psychoanalitycy z La Ferté, posługujący się słynną metodą diagnozy opartej na intuicji poetyckiej, uczą się rozpoznawać ten stan na pierwszy rzut oka. Wystarczy spojrzeć na pacjenta, który właśnie wszedł do gabinetu, żeby ustalić, że naprawdę przebywa w ogrodzie, na plaży albo gdzieś indziej, kilka lat temu albo i stulecie wcześniej.

Metoda przyjęta w klinice La Ferté polega na traktowaniu psychotyków, schizofreników i osób w ciężkiej depresji jak ludzi całkiem normalnych, którzy mimo podawanych leków wciąż mogą uczestniczyć w zajęciach terapeutycznych, angażować się w życie wspólnoty, wykonywać codzienne czynności, uczyć się i tak dalej. Celem, jak przeczytałem, jest z a s z c z e p i e n i e w osobowości pacjenta przynajmniej jednego z takich samokotwiczących się punktów odniesienia, żeby z czasem mógł albo przynajmniej miał szansę odwołać się w tym chaosie do konkretnego, zaszczepionego wzorca. Nie prowadzi to do całkowitego wyleczenia, ale

przynajmniej łagodzi udrękę, daje choremu choćby przelotną nadzieję wytchnienia, być może nawet nawiązania relacji z drugim człowiekiem. Delikatna sieć pajęcza, tak to sobie wyobraziłem, cieniutka jak błona bębenkowa proteza spokoju ducha, misternie wszczepiona w kłębowisko urojeń, bólu, lęku, poczucia zagubienia. Spodobała mi się ta koncepcja jakby żywcem wyjęta z baśni o elfach, które pojawiają się w środku nocy po to, żeby sprawić komuś nie magiczne buty, tylko nową jaźń albo duszę. Ciekawe, co w tej metodzie zafascynowało Aurę? Kiedy Marcelo Díaz Michaux po raz pierwszy zobaczył Irmę – gosposię Juliety i małej Alicii – co go skłoniło, żeby zabrać ją ze sobą do Francji i umieścić w klinice La Ferté? Czy da się wszczepić w moją duszę jakąś tajemniczą podobiznę duszy lub jaźni Aury? Może już się to stało i z miejsca to zauważą?

Duży niebieski mikrobus zatrzymał się przy krawężniku. Dwie osoby siedziały z przodu, pozostali pasażerowie rozproszyli się w trzech rzędach z tyłu pojazdu, w głębi przy oknie zajął miejsce mężczyzna o bladej, pociągłej twarzy i wąskich ustach, w ciemnym kapeluszu, trochę podobny do Williama Burroughsa. Pacjenci wracający z niedzielnej wycieczki na miasto, pomyślałem sobie. A może ten facet w kapeluszu wcale nie jest pacjentem?

Przez opuszczone okienko z przodu wyjrzała kobieta o gęstych, czarnych, kędzierzawych włosach, wyrazistych brwiach i śniadej cerze, atrakcyjna kobieta po trzydziestce, która zawołała mnie po nazwisku. Uścisnąłem jej drobną dłoń, otworzyłem drzwiczki i wsiadłem do środka. Staruszka w pomiętym wełnianym płaszczu siedziała pochylona, ze wzrokiem utkwionym w przedniej szybie; plastikową torbę pełną zakupów położyła na fotelu między nami. Kierowca, rumiany mężczyzna w czapce narciarskiej, spytał mnie o coś i od razu wyszło na jaw, że nie znam francuskiego.

Na szczęście okazało się, że kobieta na przednim siedzeniu jest stażystką z Brazylii i mówi po hiszpańsku. Miała na imię Luiza. Właśnie wyjeżdżaliśmy z miasta, kiedy mnie zagadnęła, w odwiedzinę? Do kogo? Odparłem, że nie wybieram się w odwiedzinę do żadnego z pacjentów. Przetłumaczyła moje słowa kierowcy, który spojrzał na nią pytająco, ale powstrzymał się od komentarza. Sunęliśmy szosą obsadzoną drzewami, rachitycznymi, bezlistnymi drzewami, które zostawały za nami w tyle jak samotne obeliski. Byłem pewien, że Luiza zastanawia się, jak delikatnie dać mi zrozumienia, że nie wpuszczą mnie do kliniki. Mam nadzieję, że przynajmniej zobaczę ją z zewnątrz, pomyślałem sobie. Odwróciłem się i zerknąłem na bladego mężczyznę w kapeluszu, który odwzajemnił się smutnym, rozedrganym spojrzeniem zmokłego na deszczu psa.

W jakim celu wybiera się pan do kliniki? – spytała Luiza.

Opowiedziałem jej o Aurze, niedokończonej przez nią powieści i naszej korespondencji z doktorem Arnauk. Aura dostała zaproszenie, wyjaśniłem, od sekretarki doktora Arnauk.

Ale doktor Arnauk nie pracuje w niedzielę, odparła Luiza, poza tym nie ma żadnej sekretarki. Nie zastanie pan prawie nikogo z personelu.

Chciałbym się tylko trochę rozejrzeć, powiedziałem. Po krótkiej przerwie dodałem, żeby wiedzieć, o co spytać doktora Arnauk, kiedy będę miał okazję się z nim spotkać.

Château wyglądał jak zamek w środku lasu: o murach i ścianach szczytowych z piaskowca, kryty ciemną dachówką, z portykiem wspartym na kolumnach, długimi rzędami okien i narożnymi wieżami o stożkowatych iglicach.

Jak dowiedziałem się od Luizy, dyżur w tę niedzielę miała niejaka Catherine. Będę musiał z nią porozmawiać. Catherine okazała się

drobną kobietą o pożółkłych siwych włosach i pokrytej zmarszczkami twarzy, ubraną w sweter i dżinsy, z ustami pociągniętymi ciemnoczerwoną szminką. Wyszła zapalić w głąb głównego korytarza i stanęła przy oknie wykuszowym, skąd roztaczał się widok na inne zabudowania, niektóre wyraźnie zamieszkane, o czym świadczył unoszący się z kominów dym, na zimowe pola i odarte z liści lasy. Catherine mówiła po angielsku i spytała o cel mojej wizyty. Powtórzyłem jej, co powiedziałem wcześniej Luizie w mikrobusie. Przez cały czas świdrowała mnie niebieskimi, wąskimi jak szparki oczami. Co zobaczyła? Pewnie nic strasznego? Pozwoliła mi spędzić cały dzień na terenie szpitala. Mikrobus, powiedziała, odwiezie mnie do miasta tuż przed odjazdem ostatniego pociągu do Paryża.

I tak, kochanie, udało mi się nas wprowadzić do kliniki La Ferté. Myślę, że zobaczyłem to, czego się spodziewałaś i co miałaś nadzieję ujrzeć. Miejsce spełniłoby twoje oczekiwania. Mają tu własną piekarenkę, gdzie pacjenci tłoczą się w ciepłe pieca opalanego drewnem, wdychając wilgotny aromat drożdży, śpiewając dziecięce piosenki i czekając, aż nakryte muślinem ciasto dostatecznie wyrośnie; mają fermę kóz, mają konie, mogą korzystać z najprzeróżniejszych zajęć plastycznych, muzycznych, nawet z kursów twórczego pisania organizowanych w starej kaplicy z kamienia. Wiesz, co przypomina mi ten *château*? Mohonk Mountain House, ale bez trofeów myśliwskich w salonie, bardziej obskurny, z brzydszym wyposażeniem, przecież to w końcu dom wariatów, a nie hotel ze spa. Choć kamienny kominek jest, i to z prawdziwym ogniem. Jest też bar – ze ścianami wyłożonymi ciemną boazerią i sklepionym, polichromowanym sufitem, jakiego w Mohonk nie uświadczysz – gdzie można kupić napoje gazowane,

soki owocowe, ciasta oraz słodczy, a co sobota, jak dowiedziałem się od Luizy, przyjeżdża z miasta Marie, śpiewaczka folkowa, i występuje od drugiej w nocy aż do świtu. Pacjenci sami sobie wybrali takie godziny. Wtedy są wszyscy na nogach, w nastroju do słuchania i wspólnego śpiewania. Ciekawe, czy Marie dałaby się namówić na wykonanie *Stephanie Says*? Poczuję przemożną potrzebę dołączenia do tych ludzi, pośpiewania w ich towarzystwie, pomyślałem sobie, że dzięki temu mógłbym się czegoś dowiedzieć, odkryć coś istotnego. Oczywiście pacjenci w niczym nie przypominają gości hotelu Mohonk. Oszczędzę ci jednak opisu tych malowniczych szaleńców.

Luiza wprowadziła mnie do jednego z pomieszczeń, otworzyła szafkę i zaczęła rozdawać leki kłębującym się w izbie chorym. Był wśród nich mężczyzna, który nie mógł się podnieść z podłogi. Leżał plackiem na brzuchu, z głową zwróconą na bok, czasem się nawet odzywał, choć rzadko i niezmiennie udręczonym głosem. Inni pacjenci przestępowali nad nim albo próbowali go ominąć.

Ze mną jest jednak inaczej, pomyślałem. Dotarłem tutaj dla ciebie, ale też i dla siebie.

Jak w takim razie wyglądałby obraz La Ferté odmalowany przez Aurę? Czym kierował się Marcelo Díaz Michaux, postanowiwszy ściągnąć Irmę do kliniki?

Kiedy wspinałem się po krętych drewnianych schodach na piętro, zwróciłem uwagę, że stopnie są pokryte kurzem, że ściany i balustrady dosłownie lepią się od pajęczyn. Jaka szkoda, że nie ma tu Irmy, pomyślałem, już ona by dopilnowała, żeby szpital nie zarósł brudem. To nie był mój głos. To był głos Marcela. To Marcelo, psychoanalityk, wspinał się po schodach, żeby zająć się pacjentami w swoim gabinecie. Przecież w domu czeka na mnie młoda żona. Przecież żona mnie kocha. Skoro tak, czemu czuję się

taki samotny? Dlatego że w La Ferté nie ma już Irmy? Ale wciąż jest we Francji, prawda? Gdzie jest Alicia? Też jej tu nie ma? Gdzie się podziała? *Où sont les akolotls?*

Skąd mam wiedzieć, jak wyglądałby obraz La Ferté odmalowany przez Aurę? Rób, co chcesz z tą La Ferté, kochanie. Jestem pewny, że świetnie sobie poradzisz. Dotrzymałem obietnicy, przywiozłem cię tutaj.



Przypisy

[1] Robi się ze mnie zdzira/ I czytam Bukowskiego choć go nie znoszę/ Chyba wolałabym być mężczyzną/ I wyrywać wszystkie kobiety które wejdą mi w drogę/ Niech się nikt nie gorszy/ To sprawa intymna/ To kłamstwo/ Poezja jest zmyśleniem i nikogo nie zbawi.

[2] Fragmenty wiersza Herberta w przekładzie Stanisława Barańczaka.

[3] Fragmenty wiersza Yeatsa w przekładzie Artura Międzyrzeckiego.

[4] Kocham cię, tato, i nie wiem, czemu się rozeszliście. Ale i tak cię kocham, tak samo jak wtedy, kiedy byliśmy razem. Posłuchaj, czy wciąż mnie kochasz jak przedtem? Mam nadzieję, że tak, bo ja ciebie nawet uwielbiam, do widzenia, tato, kocham cię z całego ♥.

[5] Przeł. Krystyna Tarnawska.

[6] *La Sra. Gama, administradora del Condominio Insurgentes y responsable directa de la clausura de dos de los lugares que amurallan la entrada al maltrecho inmueble – los conocidos antros El Bullpen y El Jacalito – camina segura en su traje de saco y minifalda azul eléctrico por el agrietado y oscuro pasillo del piso diez. Con una sonrisa forzada, invita a sus posibles futuras inquilinas, dos mujeres jóvenes buscando un espacio para empezar su negocio de costura, a tomar las escaleras hasta el piso ocho (el ultimo que alcanza el único elevador sobreviviente de los cuatro que existían hasta el temblor del '85 y cuyas paredes están adornadas por coloridos e inteligibles graffitis). Bajan en el piso*

cuatro.

[7] Tłum. Andrzej Sobol-Jurczykowski.

[8] Niezredagowany tekst na żółtej kartce formatu legal, z mnóstwem skreśleń, zabazgranych słów i innych poprawek, znaleziony w papierach Aury. Powstał podczas pierwszego semestru studiów na Columbii, kiedy jej angielski wciąż jeszcze był trochę sztywny.

[9] Wyobrażenia/obrazy rozlewające się potężną falą po otwarciu zbiornika/ którym stał się/Uniwersytet. Casa Pánica. Ograniczenia, które są same przez się niezrozumiałe. Same przez się niegodne zaufania. Istnieją ciekawsze sposoby okazywania nieufności niż jałowy i przyziemny autotematyzm. Moje życie jest gdzie indziej.